



ZA ZDROWIE
Wędrowca na Szlaku

LEBON

Jack London

Za zdrowie wędrowca na szlaku

Za zdrowie wędrowca na szlaku

- Lej, nie pytaj!

- Słuchaj no, Kid, nie będzie za mocne? Sama whisky i spirytus to już nie byle co, a jeszcze koniak i pieprzówka, i...

- Lej, powiadam! Cóż ty sobie myślisz, kto robi ten poncz? - Tu Malemute Kid uśmiechnął się dobrotnie poprzez obłoki pary. - Kiedy pobędziesz, synku, równie długo jak ja w tym kraju przymierając głodem, dowiesz się, że Boże Narodzenie zdarza się tylko raz na rok. A święta bez ponczu tyle są warte co dziura wydlubana aż do jałowej opoki.

- Nie boję się postawić na to grubszej stawki - przyznał mu słuszność Duży Jim Belden, który zjechał był na Boże Narodzenie ze swojej działki na Mazy May, gdzie jak każdemu wiadomo, przez dwa miesiące z górą żył wyłącznie łosiną. - Pamiętasz tę wódę, cośmy kiedyś przyrządzili dla tych ludzi z plemienia Tanana, co?

- No pewnie. Zrobiłoby wam się, chłopcy, miło na sercu, gdybyście ujrzeli całe to plemię pijane na umór, a wszystko dzięki wspaniałemu zaczynowi z cukru i kwasu chlebowego. Ciebie tu jeszcze nie było - zwrócił się do Stanleya Prince'a, młodego inżyniera-górnika, przebywającego na Północy dopiero od dwóch lat. - Nie było tu wtedy białych kobiet, a Masonowi zachciało się żeniaczki. Ojciec Ruth był wodzem Tananów i nie zgadzał się, podobnie jak reszta plemienia. Mocna była, co? No, ale zużyłem do niej ostatni funt cukru; wyszło z tego najpiękniejsze dzieło, jakiego kiedykolwiek dokonałem na tym polu. Szkoda, żeście nie byli świadkami pościgu w dół rzeki i po suchej przeprawie.

- A co się stało z tą squaw? [kobietą] - zapytał Louis Savoy, wysoki Kanadyjczyk francuskiego pochodzenia, nagle zaciekawiony: słyszał bowiem o tym szalonym czynie, kiedy zeszłej zimy był w Czterdziestej Mili.

Wtedy Malemute Kid, urodzony gawędziarz, opowiedział wiernie dzieje Lokinwara Północy.

Niejeden z przysłuchujących mu się twardych ludzi, sytych przygód na północnych szlakach, poczuł ściskanie w sercu i doświadczył niejasnych tęsknot za słonecznymi pastwiskami Południa, gdzie życie obiecywało coś więcej ponad jałową walkę z chłodem i śmiercią.

- Dotarliśmy do Yukonu zaraz po pierwszym ruszeniu lodów - zakończył Malemute Kid -

plemię było o kwadrans drogi za nami. I to nas uratowało. Drugie bowiem spłynięcie kry zważyło zapórę lodową w górze rzeki i odcięło pościg. Kiedy w końcu dostali się do Nukluketto, czekała na nich cała placówka pod bronią. Co do wesela, zapytajcie obecnego tu ojca Roubeau: on to przecież dopełnił obrzędu.

Jezuita wyjął fajkę z ust, lecz z konieczności ograniczył się do wyrażenia zadowolenia za pomocą patriarchalnych uśmiechów, gdy protestanci pospołu z katolikami objawiali swe uznanie głośnymi oklaskami.

- Coś podobnego! - wykrzyknął Louis Savoy, którego cała ta historia zachwycała swą romantycznością. - La petite squaw! man Mason bravel [Indianeczka! Zuch z tego Masona!]

Coś podobnego!

Następnie, kiedy już poczęły krążyć pierwsze blaszane kubki z ponczem, nieprzepity Bettles zerwał się na równe nogi i zaintonował swą ulubioną pieśń pijacką: To Henry Beecher, przyjaciele,

A wszyscy wszak nauczyciele

Sok sazafranu piją nałogowo -

Bo sazafranu słodki korzeń

Uchroni cię od słodkich schorzeń -

Więc pijmy, pijmy zakazany owoc!

[Sazafran - Sassafras Officinale Nees, drzewo rosnące w Płn. Ameryce; odwaru z jego kory lub korzenia używano dawniej jako lekarstwa przeciw syfilisowi.]

- Więc pijmy, pijmy zakazany owoc! - ryknął do wtóru pijacki chór.

O, pijmy, pijmy zakazany owoc!

Bo sazafranu słodki korzeń

Uchroni nas od słodkich schorzeń -

Więc pijmy zakaźny owoc!

Straszliwa mieszanka Malemute Kida zrobiła swoje; bywalcy obozów i szlaku roztajali w jej dobroczynnym cieple, po czym dokoła stołu krążyć poczęły żarty, pieśni i opowiadania o dawnych przygodach. Obcy sobie ludzie, z tuzina różnych krajów, pili za zdrowie wszystkich razem i każdego z osobna. Anglik Prince wznosił toast ku czci „Wuja Sama, cudownego dziecięcia Nowego Świata”; Jankes Bettles wypił za zdrowie Królowej, którą niech Bóg ma w swej opiece; Savoy zaś i niemiecki kupiec Meyers stuknęli się zgodnie kubkami za pomyślność Alzacji i Lotaryngii.

Następnie Malemute Kid powstał z kubkiem w ręce i spojrzał na szyby z przetłuszczonego papieru, które mróz pokrył szronem trzycalowej grubości. - Za zdrowie tego, który tej nocy wędruje po szlaku! niech mu nie zabraknie stawy; niechaj jego psy utrzymają się na nogach; a jego zapałki oby zawsze zdołały skrzesać ognia!

Chlast! Chlast! Usłyszeli dobrze znany świst bata, skowyt psów oraz skrzywienie podjeżdżających do chaty sań. Rozmowy ucichły w oczekiwaniu dalszego ciągu.

- To stary pionier; przede wszystkim dba o psy, a potem dopiero o siebie - szepnął Malemute Kid do Prince'a, gdy przysłuchiwali się kłapaniu szczęk oraz wilczym warknięciom i bolesnym skowytom, które powiadały ich wprawny słuch o tym, że obcy, karmiąc swój zaprzęg, odgania przy tym batem ich własne psy.

Wreszcie nastąpiło oczekiwane stuknięcie do drzwi, śmiało i ufne, po czym przybysz wkroczył do izby. Oślepiony przez światło, przystanął na chwilę przy drzwiach, dając obecnym sposobność przyjrzenia mu się. Był to osobnik niezwykle, a do tego dość malowniczo wyglądający w swym północnym stroju z wełny i futer. Wzrostu miał sześć stóp i parę cali, odpowiednio do tego rozbudowane barki i klatkę piersiową; gładko ogolona twarz była silnie zaróżowiona pod wpływem mrozu, na długich rzęsach i brwiach bielił się lód, co wraz z luźno zwisającymi nad uszami i karkiem kłapami wielkiej wilczej czapy sprawiało zaiste wrażenie jakiegoś Króla Zimy, który wstąpił tu z mroku nocy.

Dwa wielkie colty oraz kordelas łowiecki wisały u naszywanego paciorkami pasa, zaciśniętego na myśliwskiej kurcie. Ponadto obcy dźwigał - prócz nieodzownego bata na psy -

największego kalibru i najnowszego typu karabin do bezdymnego prochu. Kiedy wystąpił

naprzód, obecni dostrzegli, mimo pozornej pewności i sprężystości jego kroku, wyraźne oznaki przytłaczającego, ciężkiego znużenia.

Zapadło kłopotliwe milczenie, lecz pogodne powitanie obcego: - Co tam dobrego, chłopcy? -

szybko przywróciło swobodny nastrój. W następnej chwili gość i Malemute Kid ściskali już sobie dłonie. Choć nigdy dotąd się nie zetknęli, słyszeli o sobie wiele, więc poznali się bez trudu. Zanim przybysz zdążył wyjaśnić cel swej podróży, dokonano ogólnej prezentacji i dano mu kubek ponczu.

- Jak dawno temu przejechały tędy kryte sanie wiozące trzech ludzi i zaprzężone w osiem psów? - zapytał.

- Dokładnie przed dwoma dniami. Czy ich ścigacie?

- Tak. To mój zaprzęg. Ci zbóje przekłęci uprowadzili mi go sprzed nosa. W pościgu zyskałem już dwa dni - spodziewam się dogonić ich na następnym postoju.

- Czy myślicie, że się postawią ostro? - zagadnął Belden, by podtrzymać rozmowę, gdyż Malemute Kid postawił już na ogniu garnek z kawą i pochłonięty był smaženiem łosiowego mięsa na słońnie.

Obcy znacząco poklepał swe rewolwery.

- Kiedy opuściliście Dawson?

- O dwunastej!

- Wczoraj? - pytanie postawione zostało zdawkowo; nie mogło być przecież inaczej.

- Dzisiaj.

Dał się słyszeć ogólny szmer zdziwienia. I nic dziwnego, była północ, a przebycie siedemdziesięciu pięciu mil trudnego rzeczno-szlaku w dwanaście godzin to przecież nie żarty.

Rozmowa niebawem zeszła na tory ogólne, powracając do wspomnień dzieciństwa. Kiedy młody wędrowiec posilał się prostą strawą, Malemute Kid pilnie badał jego twarz. Szybko uznał, że rysy gościa wyrażają rzetelność i otwartość oraz że mu się podobają. Tchnące jeszcze młodością, nosiły piętno znoju i trudów życia.

Jego błękitne oczy, choć pogodne w chwili rozmowy i łagodne w spoczynku, dawały przedsmak owych twardych, stalowych błysków, które zwykły pojawiać się w czasie czynnych występów, zwłaszcza wobec silniejszego przeciwnika. Masywna szczeka i kanciasty podbródek świadczyły o uporze i niezłomności. Mimo że w obliczu tym było coś lwiego, nie brakowało w nim również pewnej miękkości i odrobiny kobiecości znamionującej naturę wrażliwą.

- Tak tedy pobraliśmy się z moją starą - rzekł Belden kończąc podniecającą opowieść o swych zalotach.

- Stało się, tatusiu, jesteśmy - powiada ona do ojca.

- Ano to niech was licho porwie - powiada on do niej, a potem do mnie: - Słuchaj, Jim, ściągnij te swoje odświętne łachy, bo musisz mi zaorać przed obiadem zdrowy szmat tych czterdziestu akrów. - A potem znów do niej: - Ty, Salusiu, zwiewaj między garnki. - Wtedy tak jakoś pociągnął nosem i pocałował ją. Mnie zrobiło się słodko na sercu, a on spojrzał na mnie i ryczy: - No i co, Jim! - No to powiadam wam, że jak pobiegłem do szopy, to aż się za mną kurzyło. - Czy dzieci czekają na was w Stanach?

- Nie. Salusia umarła, zanim przyszły. Dlatego mnie tu widzicie. - Belden począł w roztargnieniu zapalać fajkę, która wcale mu nie zgasła, po czym rozpogodziwszy się zapytał: -

A jak tam nasz gość - żonaty?

Zamiast odpowiedzi przybysz otworzył zegarek, odpiął go z rzemyka służącego za łańcuszek i podał pytającemu. Belden podkreślił płomień tłuszczowej lampy, przyjrzał się krytycznie wnętrzu koperty i klnąc pod nosem z podziwu, wręczył zegarek sąsiadowi, którym był Louis Savoy. Ten - z okrzykami: "Coś podobnego!" - przekazał go Prince'owi. Wszyscy zauważyli, że ręce mu drżały, a oczy zajaśniały osobliwą łagodnością. Tak więc z jednej twardej i szorstkiej ręki do drugiej przechodził skarb: naklejona fotografia kobiety, jednej z tych przymilnych istot, uwielbianych przez mężczyzn takich jak oni - kobiety z niemowlęciem u piersi.

Ci, którzy nie oglądali jeszcze tego cudu, płonęli z ciekawości; ci, co go już widzieli, popadli w milczące rozmyślenia o przeszłości. Stać ich było na to, by stawić czoło udręce głodu, atakowi

szkorbutu lub nagłej śmierci na lądzie czy wodzie; ale podobizna nieznannej kobiety z dzieckiem czyniła z nich wszystkich baby i niemowlęta.

- Nigdy jeszcze nie widziałem malca; pisała mi, że to chłopiec i że ma już dwa lata - rzekł

obcy, odzyskawszy swój skarb. Przez dłuższą chwilę spoglądał nań, po czym chwycił zegarek i odwrócił się, nie na tyle szybko jednak, by ukryć powstrzymywane łzy.

Malemute Kid zaprowadził go do posłania i kazał mu się położyć.

- Obudźcie mnie dokładnie o czwartej. Nie zróbcie mi tylko zawodu! - brzmiały ostatnie słowa gościa, a po krótkiej chwili ciężki jego oddech świadczył, że pogrążył się w sen człowieka śmiertelnie strudzonego.

- Do pioruna! Chwacki z niego chłop - zauważył Prince. - Trzy godziny snu po siedemdziesięciu pięciu milach z psami i z powrotem na szlak. Kto to jest, Kid?

- To Jack Westondale. Jest już w tym kraju bez mała trzy lata, ale nie zdobył nic prócz sławy człowieka, który haruje jak wół, a szczęścia nie ma za grosz. Nie znałem go osobiście, ale Charley Sitka opowiadał mi o nim.

- To rzeczywiście ciężki los, żeby człowiek, mający tak miłą młodą żonę jak on, marnował swe lata w tej zakazanej dziurze, gdzie każdy rok liczy się co najmniej podwójnie.

- Gubi go właściwie jego własny hart i upór. Dwa razy już udało mu się porządnie zarobić, gdy znalazł dobrą żyłę, a potem dwa razy stracił wszystko.

Tu rozmowę przerwał głośny okrzyk Bettlesa; wrażenie wywołane fotografią kobiety poczęło się już zacierać. Wkrótce też w rubasznych żartach zatonęły wspomnienia bezbarwnych lat jednostajnej strawy i zabójczego trudu. Jeden tylko Malemute Kid jakoś nie poddawał się ogólnemu nastrojowi i co chwila spoglądał niespokojnie na zegarek. Raz nawet, naciągnąwszy rękawice i bobrową czapę, wyszedł z izby i począł szperać w komórce.

Nie mógł też doczekać się wyznaczonej godziny i już piętnaście minut przed czasem wyciągnął gościa z posłania. Młody olbrzym zupełnie zdrętwiał i dopiero gwałtowne nacieranie postawiło go na nogi. Wlokąc się z trudem, wyszedł z chaty i zastał psy już zaprzężone i wszystko przygotowane do drogi. Towarzystwo życzyło mu powodzenia i rychłego zakończenia pościgu. Ojciec Roubeau, pobłogosławiwszy go naprędce, poprowadził biegiem całą gromadę z powrotem do domu, jako że nie jest zdrowo wystawiać się na działanie siedemdziesięciu czterech stopni [w skali Fahrenhelta] z gołymi uszami i rękami.

Malemute Kid odprowadził go aż na główny szlak i tam, serdecznie ściskając mu rękę, udzielił rad na drogę.

- Znajdziesz na saniach sto funtów łososiowej ikry - rzekł. - To tyle, co sto pięćdziesiąt funtów ryb. W Pelly nie dostaniesz żarcia dla psów, na co pewnie liczyłeś. - Obcy poruszył się, oczy mu

zabłyśły, lecz nie przerywał. - Nie zdobędziesz ani łuta pożywienia, czy to dla ludzi, czy dla zaprzęgu, aż do Pięciu Palców, które leżą przecież o dobre dwieście mil stąd. Wystrzegaj się nie zamrażanej wody na rzece Trzydziestej Mili i nie zapomnij skorzystać z wielkiego skrótów nad Le Barge.

- Skąd ty wiesz o tym? Przecież ta nowina chyba nie mogła mnie wyprzedzić?

- Nie wiem o niczym; a co więcej, nie jestem wcale ciekaw. Lecz ten zaprzęg, za którym gonisz, nigdy do ciebie nie należał. Charley Sitka sprzedał im go zeszłej wiosny. Ale Charley mówił mi, że porządny z ciebie chłop i wierzę mu. Zresztą spodobała mi się twoja gęba. A poza tym, jak zobaczyłem... a niech cię licho, szoruj jak najprędzej do morza i do tej swojej żony i... - Tutaj Kid zdjął rękawicę i dobył sakiewki.

- Nie, nie potrzeba mi. - Jack, mówiąc to, ścisnął kurczowo dłoń Malemute Kida, a na jego policzku zamarzały łzy.

- W takim razie nie oszczędzaj psów; odcinaj je z zaprzęgu, skoro tylko raz padną; kupuj psy i pamiętaj, że dziesięć dolarów za funt to taniocza. Dostaniesz je u Pięciu Palców, na Małym Łososiu i w Hootalinqua. A strzeż się zamoczenia nóg - rzucił ostatnią pożegnalną radę. - Idź, dopóki temperatura nie przekroczy dwudziestu pięciu stopni, ale gdy tylko się ociepli, rozpal ognisko i zmień skarpetki.

Nie upłynęło więcej niż piętnaście minut, gdy brzęk dzwonek zapowiedział przybycie nowych gości. Drzwi otworzyły się i do izby wkroczył oficer konnej policji Północno-Zachodniego Terytorium, za nim zaś dwaj poganiacze psów, mieszańcy półkrwi. Podobnie jak Westondale byli uzbrojeni po zęby i wyglądali na bardzo zmęczonych. Mieszańcy od urodzenia obcowali ze szlakiem i trudy te znosili dobrze; młody policjant był jednak u kresu sił. Mimo to zacięty upór jego rasy kazał mu nie zwalniać tempa, które sam wyznaczył i gotów był zapewne utrzymywać aż do chwili, gdy zwali się z nóg.

- Kiedy wyruszył Westondale? - zapytał. - Przecież się tu zatrzymywał? - Ostatnie pytanie było zupełnie zbędne, gdyż wygląd kolein aż nadto wyraźną dawał na nie odpowiedź.

Malemute Kid mrugnięciem oka dał znak Beldenowi, który czując pismo nosem, odrzekł

wymijająco:

- O, już dobry kawał czasu.

- No, no, mów pan prawdę - skarcił go policjant.

- Coś mi się widzi, że bardzo chcielibyście się z nim zobaczyć. Czy może coś przeszkobił gdzieś pod Dawson?

- Obrabował Harry'ego Mac Farlanda na czterdzieści tysięcy; wymienił to na placówce Towarzystwa na czek płatny w Seattle; no i kto teraz powstrzyma realizację tego czeku, jeśli my go

nie dopędzimy? Kiedy odjechał?

Wyraz podniecenia pojawił się w oczach obecnych, lecz zgasł natychmiast, gdyż Malemute Kid zdążył już dać wszystkim znak. Młody oficer ujrzał tylko kamienne twarze.

Z kolei zwrócił się do Prince'a. Patrząc w szczerą i pełną powagi twarz swego rodaka, Prince - nie bez przykrości - odpowiedział coś mętnego na temat stanu szlaku.

Wtedy przybysz wypatrzył ojca Roubeau; ten nie mógł przecież kłamać. - Przed kwadransem - odrzekł ksiądz - ale cztery godziny odpoczywał.

- Ma więc piętnaście minut przewagi, a do tego wypoczęty! O Boże! - Biedak aż się zatoczył w tył, na pół mdlejąc z wycieńczenia i zmartwienia, mruczając coś przy tym o przebyciu w dziesięć godzin trasy z Dawson i o pożałowania godnym stanie psów.

Malemute Kid zmusił go do wypicia kubka ponczu; następnie gość skierował się ku drzwiom, kładąc idź za sobą poganiaczom. Wszelako ciepło i nadzieja spoczynku działały zbyt kusząco, toteż oparli się ostro. Kid miał jakieś takie pojęcie o ich francuskim żargonie, przysłuchiwał się więc pilnie temu, co mówili.

Kłęli, że z psów wyciśnięto ostatnie siły; że Siwasza i Babette trzeba będzie zastrzelić jeszcze przed przebyciem następnej mili; że stan reszty zaprzęgu niewiele jest lepszy; i że dla wszystkich najlepiej byłoby zostać i odpocząć.

- Pożyczcie mi pięć psów? - spytał oficer zwracając się do Malemute Kida.

Kid jednak potrząsnął głową.

- Podpiszę czek płatny przez kapitana Constantine na pięć tysięcy - oto moje papiery - jestem upoważniony do korzystania z tego konta bez ograniczeń.

I znów milcząca odmowa.

- W takim razie zarekwiruję je w imieniu Królowej. Uśmiechając się niedowierzająco, Kid rzucił

okiem na swój dobrze zaopatrzony arsenał, Anglik zaś, widząc, że nic nie wskóra, ruszył

ponownie ku wyjściu. Poganiacze jednak nie zaniechali sprzeciwu, począł więc łącać ich gwałtownie, wymyślając od bab i kundli. Smagła twarz starszego mieszańca pokryła się rumieńcem gniewu, po czym zebrawszy się w sobie, oświadczył bez ogródek, że chętnie pogoni tak daleko, żeby jego zwierzchnik zwałił się z nóg, a wtedy z przyjemnością zostawi go w śniegu.

Młody oficer całym wysiłkiem woli ruszył stanowczo ku drzwiom, udając rzeškość, której mieć nie mógł. Wszyscy jednak odczuli i należycie ocenili ten jego chlubny wysiłek; on sam wszakże nie zdołał ukryć drgnień rozpaczki, które przebiegały mu po licach. Powleczone szronem psy kulily się w

śniegu zwinięte w kłębki i postawienie ich na nogi przekraczało niemal granice możliwości. Biedne stworzenia skowyczały pod ostrymi razami bata, poganiacze bowiem byli rozgniewani i okrutni; dopiero kiedy Babette, pełniąca rolę przodownika, wyłączona została z zaprzęgu, pozostałe psy zdołały jakoś ruszyć z miejsca i podjąć dalszą drogę.

- Podły łotr! I do tego łgarz! Coś podobnego! Ladaco! Złodziej! Gorszy od Indianina! - Wszyscy byli źli, raz dlatego, że dali się łatwo oszukać, po wtóre zaś, bo pogwałcone zostały zasady moralne Północy, gdzie uczciwość uchodzi za najcenniejszy klejnot człowieka. - I jeszcze udzieliliśmy łajdakowi pomocy wiedząc już, czego się dopuścił. - Oczy wszystkich zwróciły się z wyrzutem w kierunku Malemute Kida, który powstał z kąta, gdzie starał się ułożyć możliwie wygodnie Babette, i w milczeniu nalał z dzbana ostatnią już kolejkę ponczu.

- Mamy dziś zimną noc, chłopcy, diabelnie zimną noc. - Tak z daleka rozpoczął Kid swą mowę obrończą. - Wy wszyscy wędrowaliście po szlaku i wiecie, co to znaczy. Nie należy kopać leżącego. Znacie tylko jedną stronę medalu. Nigdy nie zdarzyło się, by niewinniejszy od Jacka Westondale'a człowiek jadł z nami z jednego garnka lub dzielił naszą pościel. Zeszłej jesieni powierzył on cały swój dorobek, wynoszący czterdzieści tysięcy, Joe Castrellowi, który miał

mu kupić ziemię w Kanadzie. Dzisiaj byłby już milionerem. Kiedy jednak sam pozostał w Circle City, opiekując się chorym na szkorbut współnikiem, co robi ten cały Castrell? Idzie do Mac 7

Farlanda, gra bez ograniczenia przebicia i przegrywa cały majątek. Następnego dnia znaleziono go martwego w śniegu. Biedny Jack liczył na to, że tej zimy uda się do żony i chłopca, którego nigdy jeszcze nie widział. Zauważcie, że wziął sobie dokładnie tyle, ile jego współnik przepuścił - czterdzieści tysięcy. No i uszedł; a wy co myślicie teraz zrobić?

Kid ogarnął spojrzeniem swych sędziów, a stwierdziwszy, że twarze ich złagodniały, wznosił

kubek w górę. - Piję więc za zdrowie tego, który tej nocy wędruje po szlaku! Niech mu nie zbraknie strawy. Niechaj jego psy utrzymają się na nogach, a zapalki jego oby zawsze zdołały skrzesać ognia! Niechaj Bóg go prowadzi, szczęście nigdy nie opuszcza, a...

- Konną policję pal lichy! - zawołał Bettles pod wtór brzęku pustych kubków.

Przełożył Zygmunt Glinka

Biała Cisza

- Carmen nie pociągnie dłużej niż dwa dni.

Mason wypluł grudkę lodu, posępnie spojrział na zbiedzoną sukę i wzięwszy do ust jej łapę, wygryzał lód przywarty boleśnie między pazurami.

- Jak żyję, nie widziałem psa o wymyślnym imieniu, który byłby cokolwiek wart - odezwał się, gdy dokończywszy zajęcia odepchnął Carmen. - Takie kundle więdną po prostu i zdychają z samej pychy. Czy słyszałeś kiedy, by stało się coś złego psu o dorzecznym imieniu, powiedzmy Cassiar, Siwasz, Husky? Nie, mój drogi! Spójrz choćby na Shookuma. Ten ma...

Hop! Wychudły zwierz porwał się z miejsca. Białe zębiska o włos chybiły grdyki Masona.

- Nie rusz! Rozumiesz!

Zręczny cios wymierzony za ucho ciężkim biczyskiem rozciągnął psa na śniegu. Shookum leżał drgając lekko, a jego wyszczerzone kły ociekały żółtawą śliną.

- A nie mówiłem. Ten ma ikrę. Trzymam zakład, że najdalej za tydzień zeżre Carmen.

- A ja gotów jestem założyć się o coś innego - powiedział Malemute Kid odwracając na drugą stronę bochenek zamarzonego chleba, który tajał koło ogniska. - Przed końcem podróży na pewno zjemy Shookuma. Jak myślisz, Ruth?

Indianka wrzuciła kawałek lodu do kawy, żeby się ustała, i przeniosła wzrok z Malemute Kida na swojego męża, Później spojrzała na psy, lecz nie odezwała się słowem.

Truizm, który usłyszała, nie wymagał odpowiedzi. Istniała tylko ta jedna możliwość. Nie było żywności dla psów. Zapasy dla ludzi skąpo mogły starczyć na sześć dni, a przed wędrowcami ciągnęło się dwieście mil nie przetartego szlaku. Dwaj mężczyźni i kobieta obsiedli ognisko i zabrali się do skromnego posiłku. Psy, które odpoczywały w szorach (był to tylko biwak południowy), zazdrosnym wzrokiem pochłaniały każdy kęs.

- Od jutra koniec z obiadami - oświadczył Malemute Kid. - No, i trzeba mieć na oku psy. Są coraz bardziej rozjuszone. Niech się trafi sposobność, a jak nic rozszarpią któregoś ze słabszych.

- Byłem kiedyś przewodniczącym koła młodych metodystów i uczyłem w szkółce niedzielnej! -

Po tej wypowiedzi na pozór bez związku z sytuacją Mason zapatrzył się w buchające parą mokasyny; bliski był drzemki, lecz ocknął się, gdy Ruth napełniła mu kubek. - Chwała Bogu, mamy pod dostatkiem herbaty! W Tennessee widziałem, jak to zielsko rośnie. Ach, ile dałbym dziś za gorący racuszek! Mniejsza o to, Ruth, wkrótce nie będziesz zdychać z głodu i na dobre zrzucisz mokasyny.

Słyszając to Ruth zrzuciła posępną maskę, a jej oczy rozgorzały blaskiem wielkiej miłości dla jasnoskórego władcy. Był to pierwszy biały człowiek, jakiego widziała, a zarazem pierwszy mężczyzna, który traktował kobietę odrobinę lepiej niż zwierzę lub juczne bydło.

- Aha, Ruth - ciągnął Mason odwołując się do niechlujnego żargonu, jedyne sposobu porozumienia między małżonkami. - Ty czekaj, aż będzie koniec naszej drogi, aż dostaniemy się w szeroki świat. Wsiądziemy na duża piroga białych ludzi i hajda na słona woda. Aha!

Wielka woda, niebezpieczna, zła woda! Wysoka fala hop i hop! tańczy cały czas w góra i w dół. Wielka droga, długa, bardzo długa droga. Płyniesz dziesięć snów, dwadzieścia snów, czterdzieści snów - obrazowo wyliczał dekady na palcach. - Cały czas woda i woda. Później będzie wielka wioska, dużo, bardzo dużo ludzi, jak komary w lecie. A wigwamy... Oho! Takie wysokie!... Oo! dziesięć, dwadzieścia sosen! Rozumiesz?

Umilkł bezradnie i spojrział błagalnym wzrokiem na towarzysza. Później pracowicie wytłumaczył na migi, jak to dwadzieścia sosen stoi jedna na drugiej. Malemute Kid uśmiechał

się z pogodnie cyniczną miną, ale Ruth szeroko otwierała pełne podziwu oczy. Była zadowolona, bo wydawało się jej, że biały władca żartuje, a taki zaszczyt pochlebiał

trwożliwemu sercu biednej kobiety.

- Później wejdiesz do... do takiej skrzyni i hopla! Już lecis w górę! - Dla ilustracji podrzucił

opróżniony tymczasem kubek i chwytając go zręcznie, zawołał: - I siup! Już zjeżdżasz na dół.

Biały człowiek wielki, wielki czarnoksiężnik. Ty w Fort Yukon, ja w Arctic City. Daleko, bardzo daleko, dwadzieścia pięć snów. Cała droga długi, bardzo długi sznur. Ja biorę sznur i gadam:

“Halo, Ruth, to ty?” A ty na to: “Czy mój dobry mąż?” A ja: “Tak”. A ty: “Nie można upiec dobra chleb. Nie ma już soda”. A ja: “Szukaj w schowku pod mąka. Do widzenia”. Szukasz w schowku pod mąka i znajdujesz dużo, bardzo dużo soda. Cały czas ty w Fort Yukon, ja w Arctic City. Oo! Biały człowiek wielki, wielki czarnoksiężnik. Tak, Ruth!

Wysłuchawszy cudownej baśni Indianka uśmiechnęła się tak promiennie, że obydwaj mężczyźni gruchnęli śmiechem. Ale zamieszanie wśród psów przerwało nagle opowieść o cudach szerokiego świata; nim rozpędzili ujadających zapaśników, kobieta osznurowała już sanie i przygotowała wszystko do drogi.

- Jazda! Hej, kundle! Jazda!

Mason zręcznie wywijał batem, kiedy zaś psy skomlać wyprężyły się w szorach i przypadły brzuchami do ziemi, poderwał sanki żerdką kierowniczą. Ruth pogoniła za nim drugi zaprząg, a Malemute Kid, który pomagał jej startować, zamykał pochód. Silny, zahartowany w trudach prostak, zdolny jednym uderzeniem pięści obalić wołu, nie mógł się jednak zmusić do bicia nieszczęsnych zwierząt, lecz zachęcał je tak, jak rzadko to robią poganiacze psów. Ba! Niemal skowytał wraz z nimi litując się nad ich udęką.

- Śmiało, no, śmiało! Naprzód, zdrożone biedaczyska - pomrukiwał z cicha, gdy kilkakrotnie nie udało się ruszyć z miejsca obładowanych sanek; na koniec jednak cierpliwość doczekała się nagrody i psy skomlać żałośnie podążyły śladem towarzyszy.

Ustały wszelkie rozmowy. Praca na szlaku nie dopuszcza tego rodzaju zbytku, wędrówka przez pustkę Dalekiej Północy jest najcięższym ze wszystkich śmiertelnych trudów. Za szczęśliwca uchodzi ten, który ceną milczenia okupi pomyślny dzień drogi ubitą ścieżką. Ale torowanie dziewiczego szlaku to harówka przekraczająca niemal wytrzymałość ludzkiego serca. Za każdym krokiem wielka rakietą grzęźnie, aż śnieg sięga kolana. Później wolniutko, prostopadle (bo cał odchylenia grozi katastrofa) trzeba wyciągać nogę na powierzchnię. I znowu naprzód! Druga rakietą zapada, aby po chwili windować się prostopadle pół jarda w górę. Zuch, który po raz pierwszy próbuje tej zabawy, zmęczy się do ona i da za wygraną po stu jardach, jeżeli przedtem nie zapłaczą mu się nogi i nie runie jak

długi na biały kobierzec.

Wędrowiec, co przez cały dzień nie wejdzie psom w drogę, może z czystym sumieniem i niewysłowioną dumą wypełznąć wieczorem do śpiwora; jeżeli zaś wytrzyma dwudziestodniową podróż Długim Szlakiem, będzie człowiekiem godnym zazdrości bogów.

Popołudnie mijało. Przejęci trwogą zrodzoną z Białej Ciszy niemi wędrowcy zginali utrudzone grzbiety. Natura ma wiele sposobów, by przekonać człowieka o jego słabości - nieustanne przyipywy morza, namiętna furia orkanów, postrach trzęsień ziemi, potężne, długie salwy artylerii niebieskiej. Ale najbardziej wymowna i przerażająca jest bierna groza Białej Ciszy.

Pod bezchmurnym, metalicznym niebem martwieje wszelki ruch. Najcichszy bodaj szept staje się świętokradztwem, a wylękniony człowiek boi się dźwięku swego głosu. Samotna drobina ludzka wędrująca upiornym pustkowiem wymarłego świata drży z obawy przed własną śmiałością i uprzytamnia sobie, iż życie jej warte tyle, co życie najlichszego robaka. Dziwne myśli przychodzą nie wzywane, a tajemnica wszechrzeczy domaga się ujęcia w słowa.

Nawiedza wówczas człowieka obawa śmierci, Boga i bezmiarów świata; rodzi się nadzieja zmartwychwstania i żywota wiecznego; uwięziony duch tęskni do nieśmiertelności i toczy daremną walkę z ciałem. Jeżeli stworzenie kiedykolwiek obcuje bezpośrednio z Bogiem, to właśnie w takich chwilach.

Dzień zbliżał się do końca. W miejscu gdzie rzeka kreśliła wielkie kolano, Mason zwrócił swój zaprząg w stronę skrótów przecinającego wąski język łądu. Ale psy nie mogły zdobyć stromego brzegu. Ześlizgiwały się raz po raz, chociaż Ruth i Malemute Kid popychali sanie. Nadeszła wreszcie ostateczna próba. Osłabłe z głodu, zdrożone zwierzęta wykrzeswały z siebie resztkę sił. W górę, w górę! Sanie przechylały się już na krawędzi urwiska, kiedy przodownik pociągnął sznur psów w prawo, włączając Masonowi pod rakiety. Skutki były fatalne. Mężczyzna został zwalony z nóg, jeden pies upadł w zaprzęgu, a sanie obsunęły się i całym ciężarem pomknęły w dół.

Bat świsnął złowrogo i spadł na psy, zwłaszcza zaś na tego, który upadł.

- Daj spokój, Mason - zaprotestował Malemute Kid. - Nie widzisz, że biedaczysko goni ostatkiem sił? Poczekaj trochę. Przyprzegniemy moje kundle.

Mason przestał wymachiwać batem i czekał spokojnie, aż przebrzmiały ostatnie słowa.

Wówczas długi rzemień rozwinął się znowu i oplótł ciało czworonogiego przestępcy. Carmen (gdyż to ona upadła) zwinęła się na śniegu, zawyła rozpaczliwie i przewróciła się na bok.

Był to tragiczny moment, smutny incydent na szlaku. Zdychający pies i skłóceni towarzysze podróży. Ruth przenosiła błagalny wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. Malemute Kid zdołał się pohamować i chociaż w oczach jego było morze żalu, pochylił się nad suką i przeciął rzemień. Nikt nie powiedział słowa. Połączono dwa zaprzęgi i dzięki temu zdobyto trudne zboczce. Sanie były znów w ruchu, a bliska śmierci Carmen wlokła się smutno w tyle.

Dopóki pies jest zdolny do wędrówki, nie strzela się do niego. Zostawia mu się ostatnią szansę: niech przypełźnie do biwaku, jeśli da radę, bo może uda się upolować łosia i pies odzyska siły.

Mason żałował już tego, co zrobił w złości, ale zbyt był uparty, by przyznać się do winy. Z

trudem wędrował na czele karawany, nie podejrzewając wcale, że w powietrzu wisi niebezpieczeństwo. Młody las rósł gęsto w osłoniętym od wiatrów jarze, którym wiodła teraz droga. O przeszło pięćdziesiąt stóp od szlaku strzelała w niebo potężna sosna. Stała tam przez wiele ludzkich pokoleń, a od początku los wydał na nią taki, nie inny wyrok - wyrok, który tyczył się zarówno jej, jak i Masona.

Mężczyzna schylił się, aby poprawić obłuzowany rzemyk mokasyna. Sanki stanęły. Psy bezgłośnie ułożyły się w śniegu. Cisza była widmowa. Najłżejszy podmuch nie szemrał pośród drzew inkrustowanych szronem. Chłód i martwota zewnętrznego świata zmroziły serce i zamknęły drżące usta przyrody. Stłumione westchnienie pulsowało w powietrzu. Nie było go właściwie słyhać, odczuwało się je tylko niby zapowiedź ruchu w zastygłej próżni. Nagle wyniosłe drzewo ugięło się pod brzemieniem lat i śniegu i odegrało ostatnią swą rolę w tragedii życia. Mason usłyszał złowróżbny trzask i próbował uskoczyć na bok, ale niemal już wyprostowany otrzymał miażdżący cios w ramiona i barki.

Nagle niebezpieczeństwo, gwałtowna śmierć! Ileż razy Malemute Kid spoglądał im oko w oko.

Sosnowe igły dygotały jeszcze, kiedy zaczął komenderować i skoczył na ratunek. Indianka nie zemdląca ani nie podniosła głosu w czymś zawołaniu, co uczyniłaby na pewno niejedna z jej białych sióstr. Na rozkaz towarzysza zawisała całym ciężarem u końca zaimprovizowanej dźwigni i łagodząc nacisk grubego pnia słuchała bolesnych jęków męża. Malemute Kid wziął

się tymczasem do siekiery. Stał dzwoniła o zmarznięte drewno, a każdemu zamachowi towarzyszył głośny, zdyszany oddech: "Uff! Uff!" dobywający się z piersi drwala.

Wreszcie Kid ułożył na śniegu żaloszny szczątek, co tak niedawno był krzepkim mężczyzną.

Ale nieporównanie gorsza od męki przyjaciela była niema rozpacz w oczach kobiety, ów wyraz beznadziejnego, a zarazem pełnego nadziei pytania. Mówiono niewiele. Ludzie Dalekiej Północy szybko poznają próżność słów i nieocenioną wartość czynów. W temperaturze sześćdziesięciu pięciu stopni niżej zera człowiek nie wyżyje długo leżąc na śniegu. Co tchu rozcięto więc osznurowanie sanek i ranny owinięty w futra spoczął na barłogu z gałązek. W

pobliżu huczał ogień rozniecony z drzewa, które było przyczyną nieszczęścia. Za Masonem i częściowo nad nim wzniesiono prowizoryczny namiot - kawał brezentu ustawiony tak, by chwycił promieniujące ciepło i zwracał je ku legowisku. Sztuczkę taką zna każdy, kto u źródeł

studiuje fizykę. Ponadto ludzie, co nieraz dzielili łożę ze śmiercią, bez trudu łowią uchem jej podzwonne. Mason był straszliwie zmasakrowany. Wynikało to jasno z najbardziej nawet pobieżnych oględzin. Miał złamaną prawą rękę, prawe udo i łopatkę. Nogi od bioder były sparaliżowane i istniało znaczne prawdopodobieństwo obrażeń wewnętrznych. Jediną oznakę życia stanowił słaby

jęk, który ranny wydawał od czasu do czasu.

Nie było nadziei; nie było rady. Niemiłosierna noc sunęła powoli. Ruth zapadła w posępny stoicyzm właściwy jej rasie, a ogorzałą na brąz twarz Malemute Kida zarysowały nowe zmarszczki. Prawdę rzekłszy, Mason najmniej cierpiał, bo spędzał właśnie czas we wschodnim Tennessee, u stóp Wielkich Gór Dymnych i ponownie przeżywał dzieciństwo.

Najbardziej wzruszająca była melodia zapomnianego od dawna południowego dialektu, kiedy biedak majaczył o ciepłych sadzawkach, tropieniu szopów, awanturniczych wyprawach po arbuzy. Dla Ruth słowa męża brzmiały niczym greka, ale Malemute Kid rozumiał wszystko i odczuwał tak, jak odczuwać potrafi takie rzeczy jedynie człowiek odcięty przez długie lata od całego sensu cywilizacji.

Z rana wróciła rannemu przytomność i Malemute Kid pochylił się nad nim, by lepiej słyszeć stłumiony szept.

- Pamiętasz, jak poznałem się z Ruth nad Tananą? [dopływ Yukonu] Na przyszłe ruszenie lodów minie cztery lata. Wtedy jeszcze nie zależało mi na niej tak bardzo. Cóż, była ładna, a ja młody... gorąca krew... Tak przynajmniej zdaje mi się dzisiaj. Ale, widzisz, od tego czasu mocno ją pokochałem. Była dobrą żoną. Zawsze w biedzie stawiała ze mną ramię w ramię.

Robotna jest i wie, jak zachować się w każdej sytuacji. Chyba pamiętasz, jak strzelała przy Łosiowym Wodospadzie, żebyśmy mogli zwać ze skały. Kule siekły po wodzie niby grad.

Pamiętasz? Albo ten głód w Nuklukyeto? Albo jak przeprowiła się przez rzekę podczas ruszania lodów po to, by w porę zdążyć z wiadomością? Tak, tak... Była mi dobrą żoną. O

wiele lepszą niż tamta. Bo ty nie wiesz, że byłem żonaty. Nie opowiadałem ci nigdy, co? A tak, raz już próbowałem szczęścia na południu, w Stanach. Dlatego właśnie jestem tutaj. Z tamtą znaliśmy się od dzieci, chowaliśmy się razem. Uciekłem, żeby dać jej powód do rozwodu.

Skorzystała z okazji, a jakże!

Ale to nie ma nic wspólnego z Ruth. Na przyszły rok myślałem zwinąć manatki i ruszyć z nią w szeroki świat. Ha, trudno! Już za późno. Słuchaj, Kid! Nie odsyłaj jej do rodziny. Taki powrót to sprawa diataelnie przykra dla kobiety. Pomyśl tylko! Blisko cztery lata na naszym boczku, fasoli, mące i suszonych owocach, a później znowu ryba i karibu. Źle by jej było wracać do dawnego, kiedy poznała już nasze obyczaje i zrozumiała, że żyjemy lepiej niż jej plemię.

Zaopiekuj się nią, Kid... Słuchaj! Dlaczego ty nie miałbyś... Ale nie!... Zawsze byłeś nieśmiały z babami, no i nigdy nie gadałeś, czemu zabłądziłeś do tego kraju. Bądź dla niej dobry i jak tylko będzie można, wypraw ja na południe, do Stanów. Ale zrób tak, żeby mogła wrócić, jakby ją ogarnęła nostalgia, rozumiesz?

A dziecko... Słuchaj, Kid! Ono nas jeszcze bardziej zbliżyło. Mam nadzieję, że to będzie chłopak. Pomyśl tylko! Krew z mojej krwi. Kid, on nie może zostać w tym kraju. A jeśli urodzi się córka, tym bardziej nie powinna tu zostać. Sprzedaj moje futra. Przyniosą co najmniej pięć tysięcy. Drugie tyle

mam na rachunku w Kompanii. Prowadź dalej nasze wspólne interesy.

Myślę, że ta działka nad potokiem powinna dobrze płacić. Dopilnuj, żeby chłopak uczył się jak należy i w dobrej szkole. I przede wszystkim, Kid, nie pozwól mu wracać. To kraj nie dla białych ludzi.

Ze mną koniec, Kid. Pociągnę może trzy, może cztery sny. Wy musicie iść dalej. Pamiętaj! To przecie moja żona i mój syn! O Boże, Boże! Mam nadzieję, że to będzie chłopak. Nie wolno wam bałamucić przy mnie. Słuchaj! Konający żąda, żebyście szli dalej.

- Daj mi trzy dni - poprosił Malemute Kid. - Może ci się poprawi. Może się coś zmieni.

- Nie!

- Tylko trzy dni.

- Musicie iść dalej.

- Dwa dni.

- To przecie moja żona i mój syn. Nie powinienes nalegać.

- Choć jeden dzień.

- Nie! Nie! Konający żąda...

- Tylko jeden dzień. Nietrudno będzie oszczędzić żywności. A nuż się zdarzy, że ubiję łosia?

- No, niech będzie! Jeden dzień i ani minuty dłużej. I... I, Kid... Nie zostawiaj mnie... Niech sam nie czekam tego... Jeden strzał... Jedno pociągnięcie cyngla... Rozumiesz? Ach, pomyśl tylko, pomyśl! Krew z mojej krwi i nie dożyję dnia, żeby go zobaczyć!

Przyślij mi Ruth. Chcę ją pożegnać i powiedzieć, żeby myślała o synu i nie czekała tu do mojej śmierci. Mogłaby odmówić, nie chceć pójść z tobą, gdybym jej nie przykazał. No i bywaj, stary, bywaj!

Kid! Słu... słuchaj. Wierć dziurę nad tym potoczkiem trochę wyżej ujścia. Wypłukałem tam z jednej szufli czterdzieści centów...

I... I słuchaj... - Malemute Kid pochylił się niżej, by złowić uchem ostatnie ciche słowa, którymi konający rezygnował ze swej pychy. - I przykro mi... wiesz... z powodu Carmen.

Malemute Kid zostawił Indiankę popłakującą z cicha nad rannym mężczyzną, zarzucił futrzaną pelerynę, przypiął rakiety śnieżne i ze strzelbą pod pachą zniknął w gęstwinie leśnej. Nie były mu obce troski i cierpienia częste na Dalekiej Północy, nigdy jednak nie stanął wobec tak bolesnego problemu. Teoretycznie rachunek był prosty, wyrażał się proporcją: trzy możliwe do uratowania życia przeciwko jednemu skazanemu nieodwołalnie. Mimo to stary wyga wahał

się. Przez pięć lat ramię przy ramieniu na rzekach i żmudnych szlakach, w obozowiskach i kopalniach, spoglądając w oczy śmierci podczas walk, powodzi lub głodu Malemute Kid i Mason splatali węzeł przyjaźni. Łączyło ich tak wiele, że Kid odczuwał nieraz podświadoma zazdrość od chwili, gdy Ruth weszła między przyjaciół. A dziś więzy te trzeba będzie przeciąć własną ręką!

Malemute Kid gorąco modlił się o łosia - o bodaj jednego łosia - ale wszelki zwierz musiał

widać opuścić okolicę i o zmierzchu zdżony myśliwiec przywłókł się do biwaku z pustymi rękami i pełnym troski sercem. Przyspieszył kroku na odgłos zacieklego ujadania psów i przeraźliwych krzyków Ruth.

Kiedy nadbiegł, zobaczył kobietę wymachującą siekierą pośrodku rozjuszony sfory. Psy złamały żelazne prawo swoich panów: dobrały się do zapasów żywności. Mężczyzna przystąpił do dzieła posługując się kolbą strzelby. Na pierwotnym, dzikim tle rozszalała bezlitosna, zaciekła gra, zgodna z regułą doboru naturalnego. Siekiera i strzelba raz po raz podnosiły się i opadały, chybiając lub trafiając celu. Wiły się wychudłe ciała, groźnie połyskiwały ślepie, piana kapiała z pysków. Ludzie i zwierzęta walczyli o przewagę aż do tragicznego końca. Wreszcie poskromione bestie odpełzły na skraj świetlistego kręgu, zaczęły lizać rany i wyciem rozpowiadać gwiazdom o swej niedoli.

Zbuntowane zaprzęgi pożarły cały zapas suszonego łosia i zostawiły ledwie pięć funtów mąki, które wystarczyć miały ludziom na dwieście mil wędrówki przez pustkowia. Ruth wróciła do męża, a Malemute Kid poćwiartował gorące jeszcze ścierwo psa, któremu siekiera rozłupała czaszkę. Troskliwie spakował wszystkie kawałki mięsa, a psom dał tylko skórę i trzewia niedawnego towarzysza.

O świcie wybuchło nowe zamieszanie. Zgłodniałe bestie poczęły napastować się wzajemnie.

Carmen, która uparcie trzymała się wątlej nitki życia, padła ofiarą rozwścieczonej sfory.

Daremnie bat świstał i zadawał razy. Psy wiły się i skowytały z bólu pod rzemieniem, lecz nie umykały, póki nie zniknął ostatni nędzny ochłap - kości, skóra, sierść, wszystko.

Małemu te Kid zabrał się do roboty słuchając Masona, który wrócił znowu do Tennessee i przemawiał mętnie lub krzyczał coś z zapałem do swoich bliskich z dawno minionych dni.

Wykorzystując pobliskie drzewa Malemute Kid pracował szybko, Ruth patrzyła, jak przygotowuje kryjówkę, jakiej myśliwi używają czasami, by zabezpieczyć mięso przeciw psom i rosomakom. Jedną po drugiej przygiął dwie młode sosny, a kiedy spotkały się wierzchołkami i prawie sięgały ziemi, związał je mocno rzemieniem z łosiowej skóry. Później batogiem zmusił

psy do uległości i zaprzął je do dwojga sanek, na które załadował wszystko z wyjątkiem futer okrywających Masona. Te owinął mocno i owiązał dokoła rannego, a oba końce sznura przytwierdził do sosen. Teraz jednym cięciem myśliwskiego noża mógł zwolnić przygięte drzewa i posłać ciało w górę, między korony sosen.

Ruth wysłuchiwała ostatniej woli męża i nie protestowała. Dokładnie wyuczyła się lekcji

posłuszeństwa. Od dziecka chyliła czoło przed panami stworzenia, podobnie jak inne niewiasty, opór uważałyby więc za wybryk przeciwny naturalnemu porządkowi rzeczy. Kid pozwolił jej na wybuch rozpaczy, kiedy po raz ostatni całowała męża (był to obyczaj nie znany jej ziomkom), następnie zaś powiódł Indiankę do pierwszych sanek i pomógł jej przypiąć rakiety śnieżne. Instynktownie, na oślep ujęła żerdkę sterową i bat, aby poganiać psy na żmudnym szlaku. Mężczyzna wrócił do Masona, który tymczasem zapadł w kompletną drętwotę. Ruth dawno już zniknęła z pola widzenia, a on siedział wciąż skulony przy ogniu i czekał, i modlił się, i nie tracił nadziei, że druh zdąży umrzeć własną śmiercią.

Nieswojo człowiekowi w Białej Ciszy sam na sam z posepnymi myślami. Milczenie nocy bywa miłosierne: spowija człowieka opiekuńczym mrokiem, nieuchwytnym całunem utkany z tysiącznych nitek współczucia. Ale wyiskrzona Biała Cisza, jasna i chłodna pod stalowym niebem, jest bezlitosna.

Upłynęła jedna godzina i druga. Ranny nie chciał umierać. W samo południe słońce nie wychyliło wprawdzie rąbka nad południowy widnokrąg, lecz zabarwiło niebo ognistą łuną i za chwilę zniknęło. Malemute Kid powstał, ciężkim krokiem przywłókł się do boku przyjaciela.

Szybko objął go spojrzeniem z ukosa i w tym momencie odczuł niezmierne przerażenie, bo wydało mu się, że Biała Cisza uśmiecha się szyderczo. Krótko huknął strzał. Mason wzleciał do powietrznego grobowca.

Malemute Kid umykał po śniegu i nie żałując bicza zmuszał psy do szaleńczego cwału.

Przełożył Tadeusz Jan Dehnel

Małżonka króla

I

W czasach kiedy Północ była bardzo jeszcze młodym krajem, rodzinne i obywatelskie cnoty jej mieszkańców wyróżniały się zarówno swą prostotą, jak i dzięki temu, że należały do rzadkości. Gdy ciężar gospodarskich obowiązków zaczynał doskwierać, a tęsknota za ogniskiem domowym przeradzała się w nieustanny bunt przeciw szarzyźnie samotniczego życia, poszukiwacz przygód przybyły z Południa - w braku czegoś lepszego - płacił umówioną cenę i brał żonę Indiankę. Dla niewiasty był to przedsmak raj, trzeba bowiem przyznać, że biały obieżyświat obchodził się z nią nieporównanie lepiej niż mąż z jej własnego plemienia.

Rzecz jasna, biali też byli zadowoleni z podobnych transakcji, co wcale nie znaczy, że Indianie mieli powody do narzekania. Po sprzedaniu swych córek i sióstr za bawełniane koce i dobrze już wysłużone strzelby, a także po przehandlowaniu ciepłych futer za lichy perkal i podłą whisky synowie tej ziemi ochoczo i radośnie zapadali na galopujące suchoty i inne krótkie choroby, nieodłącznie związane z dobrodziejstwami wyższej cywilizacji.

Właśnie w owych czasach arkadyjskiej prostoty obyczajów Cal Galbraith wędrował północną krainą i w drodze, nad Dolną Rzeką, zachorował. W życie poczciwych sióstr Misji Świętego Krzyża, które go przygarnęły i kurowały, Cal wniósł pewne urozmaicenie. A przecież nawet do głowy siostrzyczkom nie przyszło, że ich troskliwe zabiegi i sam dotyk delikatnych dłoni wlewają mu do żył gorący eliksir rozkoszy. Dziwne myśli nękały Cala Galbraitha i nie dawały mu chwili spokoju, aż oko jego spoczęło na dziewczynce z misji, imieniem Madeline. Ale niczego nie dał po sobie poznać, tylko cierpliwie czekał stosownej pory. Z wiosną trochę wydobrzeał, a kiedy słońce zataczało po niebie złocisty krąg i cała kraina pulsowała radością życia, Cal, choć jeszcze słaby, jakoś się zebrał i ruszył w drogę.

Owa Madeline, wychowanka misji, była sierotą. Jej biały ojciec pewnego razu nie zszedł z drogi siwogłowemu grizzly i nagle rozstał się z życiem. Wówczas matka Madeline, Indianka, skoro brakło mężczyzny, który by wypełnił jej spiżarnię na zimę, podjęła ryzykowny eksperyment - postanowiła przetrzymać do wiosennego połowu łososi obywając się zapasem pięćdziesięciu funtów mąki i o połowę mniejszą ilością słoniny. Po tym eksperymencie maleńka Chookra przeszła na utrzymanie zacnych siostrzyczek i od tego czasu nazywała się Madeline.

Dziewczynka miała jednak rodzinę. Najbliższym jej krewnym był wuj ladaco, który rujnował sobie zdrowie używając w tym celu niesłychanej ilości whisky, napoju białych ludzi. Chciał

koniecznie co dzień spacerować z bogami, a przy tej okazji nogi same niosły go prosto do grobu. W trzeźwym stanie wujo cierpiał niewypowiedziane katusze. Był to człowiek wyzuty z sumienia. U tego starego włóczykija zameldował się przepisowo Cal Galbraith. W rozmowie, jaka się między nimi wywiązała, wiele zużyto słów i mnóstwo tytoniu. Padły też pewne obietnice. Skończyło się na tym, że stary poganin zabrał parę funtów suszonego łososia, wsiadł w czółno z brzozonej kory i powiosłował do Misji Świętego Krzyża.

Świat nie dowiedział się, co on tam naobiecował i jak nałgał - siostry są bardzo dyskretne. A jednak

wrócił z mosiężnym krzyżykiem na śniadej piersi i siostrzenicą Madeline w czółnie. Tej nocy odbyło się weselisko połączone z potlatchem. Zabawa tak się udała, że przez dwa dni nikt ze wsi nie wyruszył na połów. Ale zaraz po nocy weselnej Madeline rankiem otrząsnęła ze swych mokasynów pył ziemi znad Dolnej Rzeki i wraz z mężem odpłynęła łodzią. Osiedli nad Górną Rzeką w miejscu zwanym Doliną. Mijały lata. Madeline była dobrą żoną, dzieliła trudy męża i gotowała mu strawę. Trzymała go krótko, aż przestał szastać złotym piaskiem i wziął

się porządnie do roboty. Wreszcie trafił na złotą żyłę, zbudował sobie domek w Circle City i był tak szczęśliwy, że ci, co bywali u niego w domu, nie mogli spokojnie na to patrzeć i zazdrość ich pożerała.

Aliści z biegiem czasu Północ zaczęła dorastać i poznała uroki życia towarzyskiego. Dotąd Południe słało tu swych synów, obecnie sypnęło nowymi zastępami, tym razem cór. Chociaż nie były to ani siostry, ani niczyje żony, nie omieszkały natchnąć mężczyzn nowymi ideami i nastroić życie na wyższą nutę, co uczyniły we właściwy sobie sposób. Linia roześmianych kobiet nie posuwała się już naprzód ku szeregowi tancerzy stojących pod drugą ścianą - nie tańczono już tego poczciwego, starego wirgińskiego kontredansa, nie weselono się też w tańcu z uciesznymi przyśpiewkami, zwanym "Dan Tucker". Indianki zapadły znów w swój plemienny stoicyzm i z okien domów, bez słowa skargi, obserwowały nowe porządki zaprowadzone przez ich białe siostry.

Potem nowa fala przekroczyła góry przybywając z ludnego Południa. I oto zjawily się kobiety, które wzięły władzę w swe ręce. Ich słowo było prawem, a ich prawo - nieugięte jak stal. Panie te kosym okiem patrzyły na żony Indianki. Białym kobietom, które przybyły tu wcześniej, zrzęda mina i siedziały cicho jak trusie. Znaleźli się tchórze wśród mężczyzn. Wstyd im się zrobiło ślubów, jakie złożyli córom tej ziemi, zaczęli krzywić się na własne, ciemnoskóre dzieci.

Ale byli też inni, prawdziwi mężczyźni. Ci z podniesionym czołem dochowali wiary swej przysiędze. Kiedy weszło w modę porzucanie tubylczych żon, Cal Galbraith pozostał

mężczyzną, za co poczuł ciężką rękę kobiet, które przybyły ostatnie, o niczym nie miały pojęcia i rządziły się tutaj jak szare gęsi.

Pewnego dnia nadeszła wieść, że w Górnym Kraju, który leży daleko za Circle City, obrodziło złoto. Pse zaprzęgi poniosły nowinę do Słonej Wody; wielkie statki zabierały złoto, a wraz z nim przewoziły przez północny Pacyfik obiecującą wiadomość; wyśpiewywały ją kable i druty telegraficzne. Wtedy to świat po raz pierwszy usłyszał o rzece Klondike i kraju nad Yukonem.

Cal Galbraith od lat pędził stateczny żywot. Był dla Madeline dobrym mężem, a ona powiła mu synka. Nadszedł jednak czas, gdy ogarnęło go niezadowolenie; jakoś brakowało mu ludzi jego rasy, tęsknił do życia, od którego został odcięty - słowem, owładnęło nim owo pragnienie, jakie czasem odczuwają mężczyźni, gdy mają ochotę zerwać więzy i poznać smak pełni życia.

Prócz tego rzeką spływały niesłychane opowieści o cudownym Eldorado, płomienne opisy miasta namiotów i chałup z okrągłaków, a także zabawne historie o najeździe chechaquo uganiających się po całym kraju. Circle City zamarło. Wszyscy ruszyli w górę rzeki i tam rozpoczęli nowe, wspaniałe

życie. Cal Galbraith nie mógł już usiedzieć na miejscu, tak bardzo chciał zobaczyć to wszystko na własne oczy. Gdy więc skończył płukanie, odważył na wielkich szalach Towarzystwa dwieście funtów złotego piasku i wziął za to czek płatny w Dawson.

Potem oddał swoje kopalnie pod opiekę Tomowi Dixonowi, ucałował Madeline na pożegnanie, obiecał, że wróci przed pierwszymi lodami, i wsiadł na statek parowy odpływający w górę rzeki. Madeline czekała. Czekala przez całe trzy słoneczne miesiące. Karmiła psy, wiele czasu poświęcała małemu Calowi, patrzyła, jak krótkie lato dobiega końca, a słońce rusza w daleką drogę na południe. I wiele się modliła, tak jak ją nauczyły siostry z Misji Świętego Krzyża.

Przyszła jesień, a wraz z nią pojawiły się pierwsze lody na Yukonie. Królowie z Circle City wracali na zimowe prace w swych kopalniach. Cala Galbraitha ani śladu. Tom Dixon musiał

jednak dostać list od Cala, bo ludzie Toma przywieźli jej sankami zapas suchej sosny na zimę.

Towarzystwo widocznie też otrzymało list, gdyż przysłało psie zaprzęgi z najlepszym towarem i wypełniło spizarnię Madeline. Powiedziano jej przy tym, że w sklepie ma kredyt nieograniczony.

Od niepamiętnych czasów mężczyzna był zawsze uważany za głównego sprawcę kobiecej niedoli. Tym razem jednak mężczyźni nie puścili pary z ust i tylko między sobą brzydko klęli na nieobecnego kolegę. Za to kobiety ani myślały pójść w ich ślady, w związku z czym Madeline bez niepotrzebnej zwłoki dowiedziała się ciekawych rzeczy o poczynaniach Cala Galbraitha, jak również o pewnej greckiej tancerce, która bawi się mężczyznami tak samo, jak się bawią dzieci puszczając bańki mydlane. Madeline była Indianką, a po drugie, nie miała przyjaciółki, do której mogłaby pójść po mądrą radę. Cały dzień modliła się i rozmyślała na zmianę, a w nocy, jako że decydowała się szybko, zaprzęgała psy, przywiązała małego Cala bezpiecznie do sanek i opuściła osadę.

Choć Yukon jeszcze płynął, lód przybrzeżny z każdym dniem narastał, a rzeka malała i toczyła się mętnym strumieniem. Kto sam tego nie doświadczył, nie może wiedzieć, co przeżyła Madeline wędrując sto mil po wąskim skrawku lodu, ani nie pojmie, ile wycierpiała przedzierając się przez lodowe zwały na przestrzeni dwustu mil, kiedy rzeka na dobre zamarzała. Ale Madeline była Indianką, więc jakoś dała sobie radę i pewnej nocy zastukała do drzwi Malemute Kida. Gospodarz najpierw nakarmił zgłodniałe psy i ułożył w łóżku zdrowego chłopaka, a potem zajął się kobietą, ledwie żywą ze zmęczenia. Słuchając opowiadania Madeline, Kid zdjął jej z nóg oblodzone mokasyny i końcem noża kłuł ją w stopy, żeby sprawdzić, w jakim stopniu zostały odmrożone.

Malernute Kid, chociaż chłop z niego był na schwał, serce miał jak z wosku, dzięki czemu potrafił obłaskawić najbardziej zażartego wilczura, a najskrytsze serca ludzkie nie miały przed nim tajemnic. Wcale zresztą o to nie zabiegał. Same się przed nim otwierały, jak kwiaty do słońca. Mówiono, że nawet ojciec Roubau spowiada się przed Kidern. Mężczyźni i kobiety z Północnej Krainy ustawicznie stukali do jego drzwi - drzwi, które każdy mógł otworzyć, bo sznurek od skobla zawsze zwisał na zewnątrz. W oczach Madeline Kid był człowiekiem, który nie zrobi nikomu krzywdy ani nie może się omylić. Znała go niemal od chwili, gdy przyszła na świat wśród ludzi białych jak jej ojciec. W swej na wpół barbarzyńskiej główce uroiła sobie, że Kid jest siedliskiem całej mądrości zgromadzonej przez wieki i że żadna zasłona nie kryje przed nim widoku przyszłości.

Fałszywe ideały rozpanoszyły się w kraju. Obecne rygory moralne niepodobne były do tych, jakie dawniej panowały na Północy. Kraj szybko dojrzał, co narobiło wiele złego. Wiedział o tym Malemute Kid, a i o Calu sąd miał wyrobiony. Zdawał sobie sprawę, że jedno nieopatrzone słowo może się stać przyczyną nieszczęścia, a poza tym zamierzał dać Calowi nauczkę i porządnie go zawstydzić. Toteż następnego wieczoru Stanley Prince, młody inżyniergórnik, wezwany został na naradę. Obecny był również Jack Harrington, zwany "Szczęśliwym Jackiem", oraz jego skrzypce. A w nocy Settles, który miał wielki dług wdzięczności wobec Kida, zaprzął psy Galbraitha, przymocował Cala juniora do sanek i pod osłoną ciemności ruszył nad rzekę Stuarda.

II

- I raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy. A teraz w drugą stronę! Nie, nie tak! Jack, jeszcze raz od początku. Patrz - tak.

Prince pięknie wykonał kilka kroków walca, jak przystało wodzirejowi.

- Proszę! Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy. I w lewo! No, już lepiej. Jeszcze raz. Słuchaj, nie wolno patrzeć na nogi. Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy. Krótszy krok! Wyprostuj się, nie biegniesz za sankami. No, spróbuj! O! teraz dobrze. Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy.

Prince i Madeline bez wytchnienia kręcili się w walcu. Stół i krzesła zsunięto pod ścianę, żeby było więcej miejsca. Malemute Kid przycupnął na pryczy, kolana podkurczył pod brodę.

Ogromnie był zaciekawiony. Jack Harrington siedział obok niego, pitolił zawzięcie na swoich skrzypeczkach, przygrywając do tańca Prince'owi i Madeline.

Nieczęsto się zdarza, by trzech mężczyzn tak się zajęło jedną kobietą. Najbardziej zaś wzruszający był rzeczowy spokój, z jakim przystąpili do dzieła. Żaden zapaśnik nie był tak ostro trenowany przed zawodami, żadnego wilczura tak usilnie nie zaprawiano do uprzęży, jak ci trzej ćwiczyli żonę Cala. Ale materiał był podatny, gdyż Madeline, inaczej niż większość kobiet jej rasy, uniknęła w dzieciństwie dźwigania ciężarów i wyczerpującej pracy na szlaku.

Ponadto była istotą zgrabną, giętką i obdarzoną wdziękiem, jak dotąd ukrytym. Właśnie ten jej urok mężczyźni starali się wydobyć na jaw i nadać mu zewnętrzny kształt.

- Cała bieda, że już się nauczyła tańczyć, i to okropnie - rzucił prince w stronę pryczy, posadziwszy zdyszana uczennicę na stole. - Pojętna to ona jest, ale lepiej by mi z nią poszło, gdyby nigdy w życiu nie tańczyła. Słuchaj, Kid, nie rozumiem, skąd jej się to wzięło?

Prince zademonstrował charakterystyczny ruch ramion i głowy - defekt postawy Madeline.

- Miała szczęście, że się chowała w misji - odparł Malemute Kid. - To od dźwigania ciężarów, kapujesz, od rzemienia na czole. Z innymi Indiankami jest znacznie gorzej. Madeline nie była objuczana bagażem, dopiero jak wyszła za męża, i to tylko na początku. Przy mężu dobrze dostała w skórę. Przeżyli razem głodówkę w Czterdziestej Mili.

- Damy temu radę?

- Nie wiem. Może pomogą długie spacerunki z trenerami. W każdym razie trochę się podciągnie, prawda Madeline?

Dziewczyna kiwnęła głową. Jeśli Malemute Kid, który wie wszystko, mówi, że coś będzie, to i będzie. Szkoda każdego słowa.

Podeszła do nich, pilno jej było zacząć na nowo. Harrington zmierzył ją spojrzeniem, podobnie jak

znawcy szacują konia. Najwidoczniej nie spotkał go zawód, bo nagle ożywił się i zapytał:

- Co dostał za ciebie ten twój parchaty wujek?

- Jedną strzelbę, jeden koc, dwadzieścia butelek hooch [samogon]. Strzelba złamana.

Ostatnie słowa wypowiedziała z pogardą. Niewątpliwie niesmakiem napawała ją myśl, że tak nisko oceniono jej cnotę panięską.

Po angielsku mówiła niezłe, choć wiele osobliwości językowych zapożyczyła od męża. Nie wyzbyła się jednak indiańskiego akcentu i zdradzała skłonność do charakterystycznych gardłowych dźwięków. Nauczyciele zabrali się także do jej wymowy, i to z niemałym powodzeniem.

Podczas następnej przerwy Prince odkrył nową przeszkodę.

- Słuchaj, Kid - powiedział. - Wszystko na nic. Nie nauczy się tańczyć w mokasynach. Włożyć dziewczynie pantofelki i jazda na woskowaną podłogę! Ho, ho, ho!

Madeline podniosła nogę i nieufnie obejrzała bezkształtny mokasyn domowej roboty.

Poprzednich zim, zarówno w Circle City, jak w Czterdziestej Mili, przetańczyła niejedną noc w takim obuwiu i było dobrze. A teraz... hm, jeśli coś nie jest jak należy, powinien wiedzieć o tym Malemute Kid.

I Malemute Kid wiedział. A miarę miał w oku. Wcisnął więc czapkę na głowę, naciągnął

rękawice i zszedł do osady. Postanowił złożyć wizytę pani Eppingwell. Jej mąż, Clove Eppingwell, był miejscową wielkością jako jeden z wyższych przedstawicieli państwowej władzy. Pewnego wieczoru na balu u gubernatora Kid zauważył zgrabną nóżkę pani Eppingwell. Wiedział też, że jest to osoba równie rozsądna, jak piękna, nietrudno więc mu przyszło poprosić ją o pewną drobną przysługę.

Po jego powrocie Madeline wyszła na chwilę do drugiej izby. Gdy znów się zjawiła, Prince zdębiał.

- Na Jowisza! - zawołał. - Kto by pomyślał! Mała czarodziejka! Otóż, moja siostra...

- Jest Angielką - przerwał mu Malemute Kid - i ma angielską nóżkę. A ta dziewczyna należy do rasy o drobnej stopie. W mokasynach nóżki swobodnie jej się rozwinęły, ale nie zniekształciła ich, bo nie biegła w dzieciństwie za psim zaprzęgiem.

To wyjaśnienie bynajmniej nie zmniejszyło zachwyty Prince'a. Kupiecki zaś zmysł Harringtona nie mógł się pogodzić z ceną Madeline. Kiedy patrzył na świetnie utoczoną stopę i kostkę dziewczyny, nie odstępowała go myśl o bezecnym rachunku: "jedna strzelba, jeden koc, dwadzieścia butelek hooch".

Madeline była żoną króla. Króla, który w każdej chwili mógł sięgnąć ręką do złotego skarbcza i zafundować sobie dwadzieścia wysztafirowanych laleczek. A jednak przez całe życie stopy Madeline

nie znały innego obuwia, jak z czerwonej, surowej skóry łośia. Teraz z trwogą spojrzała na białe atlasowe pantofelki. Ale szybko zrozumiała, co jest przyczyną męskiego podziwu malującego się w oczach opiekunów. Duma opromieniła jej twarz. Przez chwilę upajała się własną urodą. Potem szepnęła z jeszcze większym oburzeniem: "I jedna złamana strzelba!"

Nauka odbywała się regularnie. Co dzień Malemute Kid prowadził Madeline na daleki spacer, żeby poprawić jej postawę i skrócić krok. Mało prawdopodobne było, że ją ktoś rozpozna, bo Cal Galbraith i reszta "starej gwardii" zgubili się jak dzieci w tłumie obcych ludzi, którzy najechali Północ. Ponadto mróz ostro kąsał i delikatne kobiety z Południa w obawie przed okrutnymi pieszczotami mrozu najchętniej osłaniały policzki maskami z grubego płótna. Gdyby matka i córka, zakutane w parki [długie, luźne futro noszone na Alasce.] z wiewiórek, zakrywszy twarze, spotkały się na szlaku, przeszłyby obok siebie i wcale się nie poznały.

Nauka szybko postępowała naprzód. Początek był ciężki, ale potem poszło jak z płatka.

Zmiana zaszła od chwili, gdy Madeline przymierzyła białe atlasowe pantofelki i odnalazła sama siebie. Obok naturalnego poczucia godności osobistej zrodziła się w niej duma z ojca, białego renegata. Dotąd uważała się za kobietę obcego pochodzenia, niższej rasy, kupioną z łaski swego pana i władcy. W mężu widziała boga, który ją wyniósł, bez żadnej większej zasługi z jej strony, na swoje boskie wyżyny. Nigdy jednak nie zapomniała, nawet gdy urodził

się mały Cal, że nie należy do plemienia męża. Jeśli on był bogiem, to i kobiety jego rasy były boginiami. Wiedziała, co ją dzieli od bladoliczych niewiast, lecz nigdy się z nimi nie porównywała. Podobno im bliżej się kogoś poznaje, tym bardziej nim się pogardza. Tak czy inaczej, Madeline wreszcie zaczęła się wyznawać na białych włóczęgach i należycie ich oceniać. Wprawdzie umysł jej nie był zdolny do przeprowadzenia świadomej analizy, ale patrzyła na te sprawy z iście kobiecą przenikliwością. Owego wieczoru, gdy przymierzyła atlasowe pantofelki, nie uszedł jej uwagi szczyry i nie ukrywany podziw trzech przyjaciół.

Wtedy to po raz pierwszy porównanie z innymi kobietami samo się nasunęło. W grę wchodziła tylko stopa i kostka, trudno jednak wymagać, by porównania ograniczyły się do tych wdzięków.

Gdy się postawiła obok swych białych sióstr, zbladła ich aureola. Ostatecznie były tylko kobietami, czemuż :by więc nie miała wznieść się do ich poziomu? Zdała sobie sprawę z własnych braków, a wraz z poznaniem słabości przyszła siła. I z takim rozmachem wzięła się do roboty, że trzech nauczyciele często do późnej nocy rozprawiali o wiecznej zagadce, jaką jest białogłowa.

Tymczasem zbliżał się Dzień Dziękczynienia [amerykańskie święto, czwarty czwartek listopada]. Od czasu do czasu Bettles z osady nad Rzeką Stuarta donosił w paru słowach, jak się miewa młody Cal. Niebawem mieli powrócić. Bywało, że do chaty Kida zaglądał

nieoczekiwany gość, zwabiony taneczną muzyką i rytmicznym tupaniem, ale w izbie zastawał

tylko Harringtona, rzępolącego na skrzypkach, i tamtych dwóch, jak wybijali nogami rytm albo hałaśliwie kłócili się o jakiś taneczny krok. Madeline nikt nie widział, gdyż zmykała w popłochu do przyległej izby.

Pewnego wieczoru zapędził się do Kida Cal Galbraith. Właśnie otrzymali pomyslnie nowiny z osady nad Rzeką Stuarda, a Madeline przeszła samą siebie - nie tylko w ruchach, postawie i gracji, ale i w kobiecej zalotności. Mężczyźni pozwalali sobie na wcale ostre zaczepki - broniła się wspaniale. Upojona powodzeniem i zdobytą przewagą, zaczęła ich rozstawiać po kątach, wodzić za nos, przymilać się i grymasić, święcąc nie spotykane tryumfy. Instynktownie, mimo woli ulegali nie tyle jej urodzie, inteligencji i dowcipowi, co owej nieuchwytniej kobiecości, wobec której mężczyźni chyli czoło, choć nie potrafili jej określić. Kiedy Madeline i Prince puścili się w ostatni taniec tego wieczora, cała izba po prostu oszalała. Harrington wygrywał

na skrzypcach niesłychane cudeńka, a Malemute Kid tak się rozochocił, że porwał miotłę i kręcił się z nią w kółko, jakby go bies opętał.

Nagle ktoś zastukał do drzwi, aż się zatrzęsły, i natychmiast potem zobaczyli, że skobel się podnosi. Ale przeżywali już podobne sytuacje. Harrington grał dalej i ani się zająknął.

Madeline śmignęła w przezornie otwarte drzwi do drugiego pokoju. Miotła szurnęła pod pryczę. I nim Cal Galbraith i Louis Savoy wetknęli głowy do środka, Malemute Kid z Prince'em trzymali się w objęciach i wywijali skoczną szkocką polkę.

Indianki na ogół nie mają zwyczaju odchodzić od zmysłów pod wpływem silnych wrażeń, a jednak Madeline nigdy tak bliska nie była omdlenia, jak właśnie wtedy. Przycupnęła pod drzwiami i przez całą godzinę słuchała męskich basów dudniących w izbie na podobieństwo grzmotów przetaczających się po niebie. Jak akordy piosenek zapamiętanych w dzieciństwie każda intonacja, każde drgnienie męzowskiego głosu zapadało w duszę Madeline. Serce jej łomotało i kolana się pod nią uginały, aż wreszcie, ledwie żywa, obsunęła się na podłogę pod drzwiami. Dobrze się stało, że nic nie widziała ani nie słyszała, gdy Cal zaczął się zbierać do odejścia.

- Kiedy wracasz do Circle City? - z głupia frant zapytał Malemute Kid.

- Bo ja wiem - odparł Cal. - Nie wcześniej chyba, jak ruszą lody.

- A Madeline?

Za całą odpowiedź Cal zaczerwienił się i szybko spuścił oczy. Malemute Kid znienawidziłby go za to, gdyby nie znał mężczyzn. Ale dobrze ich znał, więc tylko gniew go ogarnął na żony i córki, które przybyły do tego kraju. i nie dość im było, że wygryzły Indianki zajmując ich miejsca, lecz jeszcze nabiły mężczyznom głowy nieczystymi myślami i napędziły im wstydu.

- Nic jej chyba nie brakuje - spiesznie dodał król Circle City, jakby się chciał usprawiedliwić. -

Tom Dixon pilnuje, jak wiesz, moich interesów i już jego w tym głowa, żeby jej na niczym nie zbywało.

Malemute Kid położył mu rękę na ramieniu. Cal zamilkł. Wyszli na dwór. Nad ich głowami zorza polarna roztaczała swe wspaniałości, grając cudowną gamą barw; w dole leżało uśpione miasto. Gdzieś daleko w dolinie odezwał się głos samotnego psa. Król znów zaczął coś mówić, lecz Kid

ścisnął mu rękę na znak, żeby dał spokój. Rosło psie zawrodożenie. Jeden po drugim odzywały się psy i po chwili noc wypełnił chór głosów wyjących na całe gardło. Kto po raz pierwszy słyszy tę niesamowitą muzykę, poznaje największą tajemnicę Północy; dla tego, kto słuchał jej często, brzmi ona jak podzwonne daremnych trudom. Brzmi jak skarga umęczonych dusz ludzkich, albowiem w pieśni tej zaklęte jest dziedzictwo Północy, cierpienia niezliczonych pokoleń - oto przestroga i pienia pogrzebowe dla nieszczęsnych ludzi, którzy się tutaj zabłąkali.

Chór zamarł w tłumionym łkaniu. Cal Galbraith lekko się wzdrygnął. Kid czytał w jego myślach jak w otwartej księdze. Wraz z nim przebiegał w pamięci upiorne dni głodu i choroby. Calowi dotrzymywała wtedy kroku cierpliwa Madeline. Dzieląc jego trudy i niebezpieczeństwa, nigdy nie traciła nadziei, nigdy się nie skarżyła. Przed oczyma duszy Cala przesuwają się dziesiątki obrazów, surowych i ostro zarysowanych, a ręka Przeszłości mocno zacisnęła palce na jego sercu. Nadeszła chwila, Malemute'a Kida korciło, żeby właśnie teraz rzucić kartę chowaną w zanadrzu i przypieczętować nią zwycięstwo w grze przeciw Calowi. Ale byłaby to zbyt łagodna nauczka, oparł się więc pokusie. W chwilę potem ścisnęli sobie ręce. Król schodził z pagórka.

Obszyte paciorkami mokasyny deptały śnieg, który zgrzytał pod nimi, protestując przeciwko tej zniewadze.

Madeline zupełnie się załamała. W niczym już nie przypominała owej zalotnicy sprzed godziny, której śmiech był tak zaraźliwy, a rumieńce i roziskrzone oczy siały zamęt w głowach nauczycieli. Słaba, zgaszona, siedziała na krześle, tak jak ją zostawili Prince i Harrington.

Malemute nachmurzył brwi. Nic z tego nie będzie. Gdy nadejdzie chwila spotkania z małżonkiem, Madeline musi się znaleźć jak cesarzowa, która mocno dzierży w garści berło swej władzy. Konieczne jest, żeby poszła w ślady białych kobiet, inaczej zwycięstwo nie będzie tryumfem. W tym duchu, surowo i bez owijania w bawełnę, przemawiał do niej Kid.

Wtajemniczył ją również w słabe strony płci męskiej, aż w końcu zrozumiała, jakimi to głuptasami są w gruncie rzeczy mężczyźni, i pojęła, dlaczego słowo ich kobiet jest prawem.

Parę dni przed Świętem Dziękczynienia Malemute Kid znów odwiedził panią Eppingwell.

Zacna kobieta najpierw przetrząsnęła swoje fatalaszki, a potem złożyła dłuższą wizytę w dziale konfekcyjnym Towarzystwa Handlowego Oceanu Spokojnego i wraz z Kidem udała się do jego domu, aby poznać Madeline. Teraz nastąpiła era, jakiej chata Kida jeszcze nie znała: kroilo się tam, przymierzało, fastrygowało, szyło i wyprawiało tysiąc innych cudownych i niepojętych sztuk, w związku z czym mężczyźni uczestniczący w spisku znaczną część czasu spędzali poza domem, na wygnaniu. W tych ciężkich chwilach masywne podwoje "Opery" stały przed nimi otworem. Tak często tam ich głowy zbliżały się do siebie i tak dogłębnie spełniali jakieś dziwne toasty, że bywalcy knajpy zaczęli węszyć w tym nieznanym potoku kryjące nieprzebrane skarby. Opowiadają, że gromadka chechaquo oraz co najmniej jeden stary wyga złożyli wtedy za ładą baru swój ekwipunek, gotowi na każde zawołanie wybiec na szlak w pełnym rynsztunku.

Pani Eppingwell była niewiastą wielce utalentowaną. Toteż gdy w noc Dziękczynienia oddała Madeline w ręce opiekunów, dziewczyna tak była przeobrażona, że aż się jej złękli. Prince z

przesadnym szacunkiem, bardziej zresztą szczerym niż udanym, opatulił ją w kanadyjski koc, a Malemute Kid, którego wzięła pod rękę, nie bez poważnych trudności odzyskał minę mentora. Pochód zamykał Harrington. Bez przerwy nękaną myślą o cenie, jaką zapłacił kiedyś Cal za tę dziewczynę, powłóczył nogami i przez całą drogę do miasta ani razu nie otworzył

gęby. Gdy stanęli przed tylnym wejściem do “Opery”, zdjęli koc z ramion Madeline i rozesłali go na śniegu. Oswobodziła nóżki z mokasynów Prince’a i wstąpiła na koc w nowych atłasowych pantofelkach. Bal maskowy dochodził szczytu. Madeline zawahała się, lecz opiekuni otwarli drzwi na oścież i wepchnęli ją do środka. Potem obiegli dom, by wkroczyć do wnętrza frontowym wejściem.

III

- Gdzie jest Freda? - pytały stare, kute na cztery nogi wygi, a dudki chechaquo tak samo energicznie dopytywały się, kto to jest Freda. W sali balowej aż szumiało od jej imienia. Freda była na ustach wszystkich. Szpakowate “kwaśne chłopaki”, [tak nazywano na Północy (w przeciwieństwie do chechaquo, dudków, żółtodziobów) tych poszukiwaczy złota, którzy już dobrze zapuścili korzenie na Alasce. Nazwa pochodzi od kwaśnego ciasta, zaczynu używanego przez nich, zamiast drożdży, do wypieku chleba.] pracujący na dniówkę w kopalniach złota, ale dumni ze swego przydomku, albo patrzyli z wysoka ma wyelegantowanych dudków i łgali jak najęci - Bóg stworzył ich przecież właśnie po to, by blagowali - albo spojerali na ignorantów z niewymownym oburzeniem. Zebrało się dzisiaj ze czterdziestu królów z Górnej i Dolnej Krainy. Każdy z nich był pewny, że jest na tropie Fredy, i śmiało ręczył za trafność swego domysłu królewskim złotym piaskiem. Facetowi, któremu przypadło w udziale ważenie worków ze złotem, trzeba było przydzielić pomocnika, bo sam nie dawał już rady. Równocześnie kilku wytrawnych graczy - takich, co to w małym palcu mieli arkana hazardu - zorganizowało totalizatora i przyjmowało obiecujące zapisy. Jedni typowali kilka “koni”, inni obstawiali faworyta.

Która maseczka jest Fredą? Co chwila już się zdawało, że zdemaskowano grecką tancerkę, lecz każde odkrycie siało tylko popłoch wśród graczy i wywoływało nową falę zawrotnych zakładów ze strony tych, którzy chcieli się odegrać. Malemute Kid też się zainteresował

polowaniem na Fredę. Jego przybycie wesoła kompania powitała hałaśliwą owacją. Znali go tutaj wszyscy. Bystre oko Kida mogło rozpoznać charakterystyczny krok tancerki, a jego ucho było szczególnie czułe na brzmienie głosu. Wybór Kida padł na czarującą istotę, która jaśniała na sali jako “Zorza Polarna”. Ale grecka tancerka tak sprytnie się zamaskowała, że nawet Kid nie mógł jej rozpoznać. Większość łowców złota opowiedziała się za “Rosyjską Księżniczką”, najwdzięczniejsza istotą na balu, a więc Fredą Moloof, któż bowiem mógłby jej dorównać?

W czasie kadryła podniosła się radosna wrzawa. Rozpoznano Fredę. Na poprzednich balach, gdy wodzirej wołał: “wszystkie pary kółeczko!” Freda wykonywała niepowtarzalną figurę własnej kompozycji. Gdy dzisiaj padła komenda, “Rosyjska Księżniczka” powtórzyła jota w jotę tę właśnie sztuczkę. Ledwie przebrzmiał chór okrzyków: “A nie mówiłem!”, od których zatrzęsły się belki powały, gdy - wielkie nieba! - wszyscy ujrzeni, że dwie inne maseczki, “Zorza Polarna” i “Duch Polarny”, odtańczyły nie gorzej tę sarną figurę. A kiedy bliźniacze “Pozorne Słońca” [są to odbicia tarczy słonecznej na niebie po obu stronach słońca, powstałe wskutek załamania promieni świetlnych w kryształkach lodu rozpylonych w górnych warstwach atmosfery.] i

“Królowa Mrozu” poszły śladem swych poprzedniczek, trzeba było posłać drugiego pomocnika facetowi przy wadze.

Bettles przybył na bal prosto ze szlaku. Wraz z nim huragan mrozu wtargnął na rozgorączkowaną salę. Bettles zawirował w tańcu. Z okrytych lodem brwi woda lała się ciurkiem, wąsy wciąż zamrożone skrzyły się, jakby je ktoś obsypał diamentami, i mieniły wszystkimi kolorami tęczy, a roztańczone nogi ślizgały się z chrzęstem na soplach lodu odpadających od mokasynów i grubych wełnianych skarpet. Taniec na Północy nie podlega regułom etykiety, gdyż mężczyźni ze złotodajnych wąwozów i

ze szlaku, jeśli nawet odznaczali się kiedyś wykwintnymi manierami, dawno ich się wyzbyli. Jedyne w najwyższych kołach świata oficjalnego przestrzega się zasad etykiety. Tutaj przynależność kastowa nie miała żadnego znaczenia. Milionerzy i golcy, poganiacze psów i konni policjanci na hasło: “panie do środeczka!” podawali sobie ręce i zgodnie zataczali koło, wytańcowując aż miło przeróżne kawałki. Niewybredni w uciechach, jurni, nieokrzesani, nie byli jednak gburami, lecz zachowywali się jak prości rycerze, a ich rycerskość w niczym nie ustępowała najbardziej wyszukanej oglądzie. W pogoni za grecką tancerką Cal Galbraith wkroczył się do kółka, w którym tańczyła “Rosyjska Księżniczka”, przedmiot ogólnych podejrzeń. Już jednak po pierwszym tańcu gotów był założyć się o swoje miliony, że to nie Freda, i co więcej, że nie pierwszy raz w życiu obejmuje jej kibić. Kiedy i gdzie to było, nie wiedział, ale dziwne uczucie bliskości tak nim owładnęło, że postanowił dowiedzieć się, kim jest ta kobieta. Malemute Kid mógł mu w tym pomóc. Ale Kid sam zapraszał “Księżniczkę” do tańca, kilka razy okrążali salę i coś jej z wielką powagą po cichu klarował. Najbardziej jednak upartym adoratorem

“Księżniczki” był Jack Harrington. Raz Jack odciągnął Calę na bok, podzielił się z nim najbardziej niezwykłymi domysłami, kim może być nieznajoma, i wyznał mu, że się na nią zawziął. Tego tylko brakowało królowi Circle City, wiadomo bowiem, że mężczyzna nie jest z natury stworzeniem monogamicznym. Cal zapomniał o Madeline i Fredzie. Co innego miał

teraz na oku.

Niebawem poszła wieść, że “Rosyjska Księżniczka” nie jest Fredą Moloof. Ciekawość wzrosła.

Oto nowa zagadka! Fredę znali i tylko nie mogli jej odnaleźć, a tu odnaleźli piękność, której nie znali. Nawet kobiety nic nie wskórały, choć znane im były wszystkie dobre tancefki w osadzie.

Zaczęto przypuszczać, że jest to ktoś z miejscowej śmietanki towarzystwa, kto sobie pozwolił

na szaloną eskapadę. Znaleźli się i tacy, co zapewniali, że “Księżniczka” zniknie, zanim nadejdzie chwila zdejmowania masek. Inni równie stanowczo twierdzili, iż jest to reporterka

“Gwiazdy” z Kansas City - przybyła tutaj, aby opisać ich wszystkich i wziąć po dziewięćdziesiąt dolarów za kolumnę tej pisaniny. Obsługa wagi ciężko pracowała.

O pierwszej w nocy wszystkie pary ruszyły do tańca. Rozpoczęło się zdejmowanie masek.

Śmiechu i radości było przy tym co niemiara. Wszyscy bawili się jak dzieci pozostawione bez opieki starszych. Wśród okrzyków zachwytu i zdziwienia opadała jedna maska za drugą.

Olśniewająca “Zorza Polarna” okazała się jędrną Murzynką, której dochody z opierania mieszkańców osady sięgały sumy pięciuset dolarów miesięcznie. Bliźniacze “Pozorne Słońca” odkryły wąsy i zostały rozpoznane jako dwaj bracia, pomniejsi królowie Eldorado. Do najznakomitszych par tanecznych należał Cal Galbraith z “Duchem Polarnym”. Naprzeciw nich stał Jack Harrington z “Rosyjską Księżniczką”. Pozostałe panie odrzuciły już maseczki, a greckiej tancerki wciąż nie było widać. Oczy całej sali zwróciły się na tę czwórkę. Cal Galbraith, zachęcony okrzykami, podniósł maskę swej partnerki. Ukazała się piękna buzia i pałające oczy Fredy. Na sali

powstała wrzawa, lecz natychmiast ścisła w napiętym oczekiwaniu na rozwiązanie nowej zagadki: kimże jest "Rosyjska Księżniczka"? Jej twarz wciąż okryta była maską. Jack Harrington mocował się z piękną nieznajomą. Wszyscy wspięli się na palce drżąc z ciekawości. Harrington brutalnie zdarł ze swej partnerki elegancki płaszcz, maska spadła - bomba wybuchła. Zostali wystrychnięci na dudków! Całą noc tańczyli z nieczystą Indianką.

Ale ci, którzy wiedzieli, a takich było wielu, nagle zamilkli i cisza zaległa salę. Cal Galbraith z gniewną miną wielkimi krokami ruszył do Madeline. Coś jej powiedział w indiańskoangielskim żargonie. Ani trochę się nie zmieszała i nie zwracając uwagi na to, że wszystkie oczy są na nią zwrócone, odpowiedziała mu po angielsku. Nie znać po niej było ani lęku, ani gniewu.

Malemute Kid uśmiechał się widząc, że Madeline zachowuje się jak prawdziwa dama. Król zrozumiał, że wyszedł na głupca i poniósł klęskę. Jego żona, prosta Siwaszka wzięła nad nim górę.

- Chodź! - powiedział wreszcie. - Idziemy do domu.

- Żałuję bardzo - odparła - lecz przyrzekłam panu Harringtonowi, że razem zjemy kolację.

Poza tym czeka mnie jeszcze kilka tańców, które już obiecałam.

Harrington podał jej ramię. Bez najmniejszego wahania pozwolił sobie pokazać plecy Calowi.

Co prawda, Malemute Kid już się zdążył przepchnąć przez tłum i był pod ręką. Król Circle City osłupiał. Dwakroć sięgnął za pas i dwakroć Kid zebrał się do skoku. Wycofująca się z placu para przeszła jednak bezpiecznie do bufetu, gdzie podawano ostrygi z puszek, po pięć dolarów porcja. Tłum wyraźnie odetchnął i parami podążył za nimi. Freda wydeła wargi. Wraz z Calem Galbraithem weszła do baru. Ale serce miała dobre, a języczek ostry, nic przeto dziwnego, że ostrygi Calowi zupełnie nie smakowały. Mniejsza o to, co mówiła, dość że twarz Cala czerwieniała i bladła na przemian, a on bez chwili wytchnienia klął na czym świat stoi pod własnym adresem.

W bufecie panował piekielny hałas. Ale gdy Cal Galbraith podszedł do stolika żony, zrobiło się cicho jak makiem siał. Od chwili zdjęcia masek ciężkie worki ze złotym piaskiem postawiono w zakładach o to jak się ta awantura skończy. Wszyscy patrzyli teraz z zapartym tchem. Błękitne oczy Harringtona ani się nie zmrużyły, lecz adorator pod zwisającym ze stołu obrusem trzymał

na kolanie pistolet marki „Smith and Wesson”. Madeline podniosła na Cala wzrok, nie zdradzający większego zainteresowania.

- Czy... czy mogę cię prosić o następnego walca? - wyjąkał król.

Małżonka króla rzuciła okiem na swój karnecik i skinęła głową.

Przełożył Kazimierz Piotrowski

Odyseja Północy

Sanie wyśpiewywały swoją nieustającą skargę przy wtórze skrzypu upręży i brzęku dzwonków

psów-przodowników. Ale i ludzie, i psy byli pomęczeni i nie wydawali głosu. Szlak był ciężki, zawałony świeżym śniegiem; mieli za sobą daleką drogę, a płozy, obciążone zamarzniętymi na krzemień ćwierciami łośiny, Ignęły uparcie do nie utorowanej powierzchni i stawiały opór z zaciekłością nieomal ludzką. Nadciągał mrok, ale tego wieczora nie miano rozkładać obozowiska. Śnieg padał miękko w nieruchomym powietrzu, nie płatkami, lecz w postaci maleńkich lodowych kryształków o delikatnym deseni. Było bardzo ciepło - ledwie dziesięć stopni poniżej zera, toteż ludzie nic sobie ze śniegu nie robili. Meyers i Bettles podnieśli nauszники u czapek, a Malemute Kid ściągnął nawet rękawice.

Psy były pomęczone już od południa, ale teraz zachowywały się, jakby w nie wstąpił nowy duch. Wśród bardziej bystrych dał się zauważyć pewien niepokój - zniecierpliwienie krępującą uprzężą, ruchy szybkie i niezdecydowane zarazem, prychanie i strzyżenie uszami. Jęły się złościć na swych bardziej flegmatycznych braci i podpędzać ich licznymi a chytrymi kąśnięciami w tylne kwatery. Tamte, skarcone w ten sposób, zarażały się podnieceniem i przekazywały je dalej. W końcu przodownik pierwszego zaprzęgu wydał przenikliwy skowyt zadowolenia, przycupnął niżej w śniegu i szarpnął się w obroży. Reszta poszła za jego przykładem. Podciągnęli się spóźnieni, naprężyły rzemienie, sanie pomknęły naprzód, a ludzie przywarli kurczowo do drążków sterowych, gwałtownie przyspieszając ruchy nóg, aby nie wpaść pod płozy. Całodzienne znużenie opuściło ich, jęli pohukiwać zachęcająco na psy.

Zwierzęta odpowiedziały radosnym poszczekiwaniami. Rwącym galopem mknęli przez gęstniejący mrok.

- Jazda! Jazda! - wołali mężczyźni jeden za drugim, kiedy sanie skreśliły raptem z głównego szlaku, przechylając się gwałtownie jak lugry [szybki statek przybrzeżny o skośnych żaglach, dwu - lub trzymasztowy] na wietrze.

Teraz nastąpił stujardowy wyścig ku jasnemu oknu o pergaminowej szybie, zwiastującemu własny domek, buzujący jukoński piecyk i kubki dymiącej herbaty. Okazało się jednak, że na ów własny domek dokonano tymczasem najazdu. Sześćdziesiąt kudłatych bestii ozwało się wyzywającym chórem i tyleż puszystych kształtów rzuciło się na psy ciągnące pierwsze sanie.

Drzwi otwarły się na oścież i wyszedł mężczyzna odziany w szkarłatny mundur policji. Brnąc po kolana wśród rozjuszonych bestii, spokojnie i bezstronnie wymierzał kojącą sprawiedliwość rękojęścią bata. Potem mężczyźni uścisnęli sobie ręce; w ten sposób Malemute Kid został

powitany we własnym domostwie przez obcego.

Stanley Prince, który powinien go być powitać i który odpowiadał za wyżej wymieniony jukoński piecyk i gorącą herbatę, gorliwie zajmował się gośćmi. Było ich około dwunastu - najbardziej nieokreślona zbieranina, jaka kiedykolwiek pełniła służbę w barwach królowej, wprowadzając w życie jej ustawy i sprawując funkcje jej poczty. Byli to ludzie różnego pochodzenia, ale wspólne życie urobiło ich w pewien typ - chudy i krzepki, o mięśniach stwardniałych na szlaku, twarzach brązowych od słońca i beztroskich duszach wyzierających śmiało z jasnych, spokojnych oczu. Poganiali psy królowej, siali strach w sercach jej wrogów, spożywali jej skąpy wikt i byli szczęśliwi. Napatrzyl się życia, mieli za sobą bohaterskie czyny i przygody jak z powieści, sami

jednak nie zdawali sobie z tego sprawy.

Zachowywali się całkiem jak u siebie w domu. Dwaj leżeli rozwaleni na tapczanie Malemute Kida, nucąc piosenki, które śpiewali ich francuscy przodkowie w czasach, kiedy jako pierwsi wchodzili do PółnocnoZachodniego Kraju i brali za żony jego indiańskie kobiety. Tapczan Bettlesa doznał podobnego najścia i trzech czy czterech krzepkich voyageurs [podróżnicy. Na Północy nazywano tak przewoźników, konwojentów i przewodników dalekich wypraw drogą wodną lub lądową. Byli to przeważnie kanadyjscy Francuzi. Stąd nazwa.] wpychało stopy pomiędzy jego koce, słuchając opowiadania jednego, który służył w brygadzie marynarskiej pod Wolseleyem, podczas wyprawy na Chartum. Gdy opowiadacz się znużył, jakiś kowboj jął

z kolei mówić o dworach, królach, o wielkich panach i paniach, których się napatrzył w czasie, kiedy Buffalo Bill objeżdżał stolice Europy. W jednym z kątów dwaj Metysi, starzy kamraci z jakiejś przegranej kampanii, naprawiali uprzęż i rozmawiali o dniach, kiedy to Kraj PółnocnoZachodni płonął powstaniem, a Louis Kiel był królem.

Grube żarty i grubsze jeszcze kawały krążyły tam i z powrotem, a o wielkich niebezpieczeństwach na szlaku i na rzece mówiono jak o najzwyczajniejszych rzeczach godnych przypomnienia tylko dlatego, że zawierały jakieś ziarnko humoru lub zabawne wydarzenie. Prince uległ czarowi tych bohaterów bez wawrzynowego wieńca, którzy byli świadkami tworzenia historii i którzy wielkość i romantykę uważali za coś zwykłego, nieodłączny element powszedniego życia. Z beztronską rozrzutnością rozczęstowywał wśród nich swój drogocenny tytoń; poszły w ruch zardzewiałe łańcuchy wspomnień, a zapomniane odyseje zmartwychwstawały ku jego uciesze.

Kiedy rozmowa wygasła, a podróżnicy napełnili ostatnie fajki i rozwiązali swe ciasno zwinięte futrzane śpiwory, Prince zwrócił się do kolegi po dalsze informacje.

- No cóż? O kowboju wiesz, co to za jeden - odparł Malemute Kid zabierając się do rozsznurowania mokasynów - a w jego towareyszu łoża nietrudno domyślić się angielskiej krwi. Co do reszty, to wszystko dzieci coureurs du bois [leśne włóczęgi, myśliwi i traperzy.]

zmieszanych z Bóg wie jakimi jeszcze rasami. Ci dwaj, co układają się przy drzwiach, to przepisowi Metysi, czyli Boisbrules [nazwa potomstwa z ojca Francuza kanadyjskiego matki Indianki.]. Po tamtym chłopaku, przepasanym wełnianą szarfą - zauważ jego brwi i kształt szczęki - widać, że jakiś Szkot wzdychał w zadymionym wigwamie jego matki. A ten przystojny typ, który kładzie sobie pod głowę pelerynę, jest pół-Indianinem, pół-Francuzem; słyszałeś, jak mówi. Nie podoba mu się, że ci dwaj Indianie położyli się koło niego. Widzisz, kiedy Metysi powstali pod wodzą Riela, Indianie czystej krwi zachowali pokój, toteż od tej pory nie zanadto się kochają.

- Ale kto jest ten ponury typ przy piecu? Przysięgłbym, że nie umie po angielsku. Przez cały wieczór ust nie otworzył.

- Mylisz się. Zupełnie dobrze zna angielski. Czyś śledził jego oczy, kiedy przysłuchiwał się rozmowie? Ja śledziłem. Dla tamtych to ani brat, ani swat. Kiedy mówili swoją własną gwarą, widać było, że nic nie rozumie. Sam się zastanawiałem, co to za jeden. Ano, zobaczymy.

- Dorzućcie no parę patyków do pieca! - rozkazał Malemute Kid podnosząc głos i patrząc badawczo na mężczyznę, o którym była mowa.

Usłuchał od razu.

- Nauczyli go gdzieś posłuchu - brzmiał cichy komentarz Prince'a.

Malemute Kid kiwnął głową potakująco, ściągnął skarpetki i pomiędzy leżącymi mężczyznami ostrożnie przedostał się do pieca. Zawiesił wilgotne skarpetki wśród dziesięciu czy iluś bratnich par.

- Kiedy spodziewacie się dojechać do Dawson? - zagadnął. Mężczyzna, nim odpowiedział, przyglądał mu się badawczo przez krótką chwilę.

- Mówią, że to siedemdziesiąt pięć mil. Więc... chyba za dwa dni. Można się było w jego mowie dosłuchać leciutkiego akcentu, ale nie było w niej ani nieporadnej zająkliwości, ani szukania słów.

- Byliście kiedy w tych stronach?

- Nie.

- Pewnie z Północno-Zachodniego Terytorium?

- Tak.

- Tam urodzony?

- Nie.

- No więc gdzieżeście się, u diabła, rodzili? Nie jesteście przecież żadnym z tych tutaj. -

Malemute Kid szerokim gestem ręki wskazał poganiaczy psów, włączając do nich nawet obu policjantów, którzy położyli się na posłaniu Prince'a. - Skąd jesteście? Widywałem twarze podobne do waszej, chociaż nie mogę sobie przypomnieć gdzie.

- Ja was znam - odparł tamten ni stąd, ni zowąd, czym od razu skierował pytania Malemute Kida na inny tor.

- Skąd? Widzieliście mnie kiedy?

- Nie; waszego współnika, księdza, w Pastilik, dawno temu. On pytał mnie, czy znam was, Malemute Kida. Dał mi prowiant. Nie zatrzymałem się tam długo. Nie słyszeliście o mnie od niego?

- Ach, to wy jesteście ten, który wymienił skóry wydr za psy? Mężczyzna kiwnął potakująco głową, wystukał fajkę i objawił swą niechęć do dalszej rozmowy, okręcając się futrami.

Malemute Kid zdmuchnął tłuszczową lampę i wpełznął pod koce razem z Prince'em.

- No, i cóż to za jeden?

- Nie wiem - jakoś mnie zbił z tropu, a potem zamknął się jak ślimak w skorupie. Ale to ciekawy typ. Słyszałem o nim. Osiem lat temu całe wybrzeże łamało sobie nad nim głowę.

Tajemniczy jakiś, uważasz. Przybył z północy, w samym sercu zimy, wiele tysięcy mil stąd; okrążył Morze Beringa i jechał, jakby go diabeł gonił. Nikt nigdy nie dowiedział się, skąd przybył; w każdym razie na pewno z daleka. Był bardzo zdrożony w owym czasie, kiedy dostał

żywność od misjonarza szwedzkiego nad Zatoką Gołownina i wypytywał się o drogę na południe. Dowiedzieliśmy się o tym później. Potem porzucił linię wybrzeża i puścił się prosto przez Norton Sound. Straszna pora, zamiecie i wichury, ale przetrzymał to, co by uśmierciło tysiąc innych. Przegapił St. Michaels i wylądował w Pastilik. Stracił wszystkie psy oprócz dwóch i był ledwo żywy z głodu.

Tak mu było pilno w dalszą drogę, że ksiądz Roubeau zaopatrzył go w żywność; psów nie mógł mu jednak odstąpić, gdyż czekał tylko na mój przyjazd, aby samemu udać się w drogę.

Nasz pan Ulisses był za mądry, aby ruszać dalej bez zwierząt; kręcił się więc zmartwiony przez kilka dni. Na saniach miał pęk cudnie wysuszonych skór z wydr, tych morskich wydr, wiesz, co to idą na wagę złota. Był również w Pastilik pewien stary rosyjski kupiec, istny Szajlok, który miał psów do licha i trochę. Cóż, nie targowali się długo i kiedy Tajemniczy wyruszył znów na południe, miał przed sobą zaprzęg, jakich mało. A pan Szajlok, nawiasem mówiąc, miał skóry. Widziałem je - były przepyszne. Zrobiliśmy obliczenie i doszliśmy do wniosku, że psy przyniosły mu co najmniej po pół tysiąca za sztukę. Nie to, żeby Tajemniczy nie znał wartości morskiej wydry; tak czy owak, był Indianinem, a choć mówił mało, z jego słów widać było, że przebywał wśród białych.

Kiedy lody spłynęły na morze, nadeszła wieść z wyspy Nunivak, że udał się tam po żywność.

Potem straciliśmy go z oczu i teraz spotykam się z nim po raz pierwszy od ośmiu lat. Skąd się wziął? Co tu robi i dlaczego stamtąd przybył? Jest Indianinem, bywał nie wiadomo gdzie i nauczył się dyscypliny, co Indianom rzadko się zdarza. Masz oto jeszcze jedną tajemnicę Północy do rozwiązania, Prince.

- Dziękuję bardzo, ale i tak mam ich za wiele na warsztacie - odrzekł tamten.

Malemute Kid już oddychał głęboko, ale młody inżynier-górnik patrzył prosto przed siebie w gęstą ciemność, czekając, by wygasło w nim dziwne podniecenie, które burzyło mu krew. A kiedy wreszcie usnął, mózg jego pracował dalej i teraz on także wędrował poprzez białe nieznane, borykał się z psami na nie kończących się szlakach i oglądał mężczyzn, którzy żyli, trudzili się i umierali, jak mężczyznom przystało.

Następnego ranka, na długo przed świtem, poganiacze psów i policjanci pociągnęli do Dawson. Jednakże czynniki pilnujące interesów jej królewskiej mości i władające losami jej pomniejszych poddanych nie pozwoliły pocztowcom długo odpoczywać, gdyż w tydzień później pojawili się znowu w Stuart River, ciężko obciążeni listami do Salt Water.

Wymieniono wprawdzie psy, ale nie ludzi.

Poganiacze zawiedli się w nadziei na jakiś dłuższy popas, w czasie którego mogliby porządnie wypocząć. Poza tym owo Klondike było nową połącią Północnego Kraju, mieli więc ochotę przyjrzeć się trochę Złotemu Miastu, gdzie złoty piasek płynął jak woda, a lokale taneczne huczały od nigdy nie kończącej się hulanki. Suszyli jednak skarpetki i ćmili wieczorne fajki z takim samym zapalem jak podczas pierwszej wizyty, choć dwóch czy trzech śmiałków przemyśliwało o dezercji i o możliwości przejścia przez niezbadane Góry Skaliste na wschód, stamtąd zaś - dostania się przez dolinę Mackenzie do dawnych swych terenów w krainie Chippewyan. Paru postanowiło nawet powrócić tą drogą do domów z chwilą wygaśnięcia terminu służby, zaczęli tedy niezwłocznie układać plany, ciesząc się z góry na to ryzykowne przedsięwzięcie, tak jak człowiek z miasta cieszyłby się na świąteczną wycieczkę do lasu.

Łowca Wydr zdawał się bardzo niespokojny, chociaż mało interesował się rozmową. W końcu odciągnął na bok Malemute Kida i rozmawiał z nim jakiś czas przyciszonym głosem. Prince rzucał w ich stronę zaciekawione spojrzenia, a sprawa stała się jeszcze bardziej tajemnicza, kiedy nałożyli czapki, wciągnęli rękawice i wyszli na dwór. Gdy wrócili, Malemute Kid postawił

na stole wagę, odważył coś około sześćdziesięciu uncji i przesypał je do worka Tajemniczego.

Wówczas przyłączył się do obrad przełożony poganiaczy, po czym załatwiono z nim jakąś transakcję. Następnego dnia drużyna pociągnęła w górę rzeki, ale Łowca Wydr zabrał kilka funtów prowiantu i zawrócił w stronę Dawson.

- Nie wiedziałem, co mam o tym myśleć - mówił Malemute Kid w odpowiedzi na pytanie Prince'a. - Biedaczysko chciał z jakiejś przyczyny zwolnić się ze służby - jemu przynajmniej przyczyna zdawała się ogromnie ważna, choć nie kwapił się powiedzieć o niej coś więcej.

Widzisz, to tak jak w wojsku: podpisał umowę na dwa lata i jedynym sposobem wyswobodzenia się było złożenie okupu. Nie mógł zdezerterować i dalej tu siedzieć, a po prostu niesłuchanie zależało mu na tym, aby zostać w kraju. Mówił, że zdecydował się zaraz po przybyciu do Dawson. Ale nikt go nie znał, on nie miał centa przy duszy, a ja byłem jedynym człowiekiem, z którym zamienił dwa słowa. Obgadał więc sprawę z namiestnikiem i ułożył się z nim na wypadek, gdyby udało mu się ode mnie dostać pieniądze - pożyczkę, uważasz. Powiedział, że zwróci w ciągu roku i jeżeli zechcę pokaże mi złote jabłko. Nigdy tego nie widział, ale wie, że to wielki majątek.

A gadał! Słuchaj, kiedy wyciągnął mnie na dwór, o mało się nie rozpłakał. Błagał i argumentował, klęknął przede mną w śniegu, ażem go musiał podnosić. Gadał i gadał w kółko jak szalony. Przysięgał, że od lat całych zmierza do tego właśnie celu i nie zniósłby teraz zawodu. Spytałem go, do jakiego celu, ale nie chciał powiedzieć. Mówił, że mogą go zatrzymać na stałe na tamtej połowie szlaku i w takim razie nie dostanie się do Dawson aż za dwa lata, a wtedy będzie już za późno. Jak żyję, nie widziałem, żeby ktoś tak się przejmował.

A kiedy powiedziałem, że dam mu te pieniądze, musiałem go na nowo wyciągać ze śniegu.

Powiedziałem mu, żeby to traktował jak pożyczkę prowiantu, która w razie pomyślnego wyniku

wyprawy zapewni mi pewien udział w zyskach. Myślisz, że się zgodził? Nie, mój drogi!

Przysiągł, że mi odda wszystko, co znajdzie, że da mi bogactwa, o jakich się największemu chciwcowi nie marzyło, i różne takie głupstwa. Otóż człowiekowi, który swoje życie i czas uzależnia od pożyczki prowiantu, zwykle dość trudno przychodzi oddać choćby połowę tego, co znajdzie. Coś w tym wszystkim jest, Prince, zapamiętaj to sobie. Posłyszymy o nim, jeżeli pozostanie w kraju.

- A jeżeli nie?

- W takim razie moja dobroduszna natura dostanie po nosie i będę biedniejszy o sześćdziesiąt uncji z okładem.

Wraz z długimi nocami przyszło zimno. Słońce już od dawna bawiło się w swoją odwieczną grę w chowanego wzdłuż południowej granicy śniegów, nim posłyszano cokolwiek o pożyczce Malemute Kida. Nagle pewnego posępnego ranka na początku stycznia przed jego domkiem poniżej Rzeki Stuarta zatrzymał się ciężko obładowany ciąg sań. Był to Łowca Wydr, a z nim szedł mężczyzna, jakich bogowie już właściwie zapomnieli stwarzać. Ludzie nigdy nie mówili o szczęściu, odwadze i szastaniu pięćsetdolarówkami, żeby nie padło przy tym nazwisko Aksela Gundersona; ani też opowieści o zimnej krwi, sile i śmiałości nie mogły krążyć wokół

obozowego ogniska, żeby nie wspomniano przy tym jego postaci. Zamierająca rozmowa rozpaliała się na nowo na wspomnienie kobiety, która dzieliła jego losy.

Jak już powiedziano, stwarzając Aksela Gundersona bogowie przypomnieli sobie swą starodawną zmyślność i odlali go na kształt owych mężów, jacy rodzili się, kiedy świat był

jeszcze młody. Pełne siedem stóp mierzył w swym malowniczym stroju króla Eldorado. Miał

pierś, szyję i kończyny olbrzyma. A żeby móc udźwignąć te trzysta funtów kości i mięśni, jego narty były o dobry jard dłuższe niż narty innych ludzi. Twarz grubo ciosana, o strzępiastych brwiach, masywnej szczęce i nieustraszonych oczach barwy najbledszego błękitu, była twarzą człowieka, który zna tylko prawo siły. Oszronione jedwabiste włosy koloru dojrzałego zboża jaśniały jak dzień wśród nocy, spadając na szubę z niedźwiedziego futra. Kiedy tak wyprzedzając psy sunął po wąskim szlaku, niosła się za nim jakaś nieokreślona legenda morza. A gdy rękojeścią bata stukał w drzwi Malemute Kida, przypominał Wikinga, który w czasie łupieskiej wyprawy na południe wali do bramy zamkowej domagając się, by go wpuszczono.

Prince obnażył swoje kobiece ramiona i wyrabiał ciasto na kwaśny chleb, rzucając zarazem częste spojrzenia na trójkę gości - gości tak niezwykłych, że człowiekowi może nie zdarzyć się drugi raz w życiu okazja oglądania podobnych pod swoim dachem. Tajemniczy, którego Malemute Kid przezwiał Ulissem, nadal go fascynował. Ale zainteresowanie swoje Prince dzielił głównie pomiędzy Aksela Gundersona i żonę Aksela Gundersona. Widać było po niej całodzienną podróż; rozhartowała się bowiem w wygodnych szalasach przez długie dni, kiedy mąż jej zdobywał bogactwa zamarzłych złotodajnych żył; była zmęczona. Spoczywała oparta o jego ogromną pierś, jak wiotki kwiat o ścianę, i odpowiadała leniwie na dobroduszne żarciki Malemute Kida, od czasu do czasu budząc dziwny niepokój we krwi Prince'a powłóczytym spojrzeniem głębokich, ciemnych oczu. Prince był bowiem

mężczyzną, zdrowym mężczyzną, który przez długie miesiące niewiele oglądał kobiet. Była starsza od niego, i do tego była Indianką. Ale różniła się od wszystkich znanych mu tubylczych żon: podróżowała - była między innymi w jego ojczyźnie, jak się dowiedział z rozmowy; wiedziała też sporo z tego, co wiedzą kobiety jego rasy, a poza tym dużo jeszcze rzeczy, o których one oczywiście nie mają zielonego pojęcia. Umiała przyrządzić posiłek z ryby suszonej na słońcu i przygotować nocleg w śniegu, a przecież przyprawiała ich o męczarnie drażniącymi szczegółami obiadów złożonych z wielu dań i budziła dziwne wewnętrzne niepokoje wspominając rozmaite spożywane w dawnych czasach potrawy, o których już bez mała zapomnieli. Znała zwyczaje łosia, niedźwiedzia i małego niebieskiego lisa, a także dzikich zwierząt ziemnowodnych znad północnych mórz; uczona była w tajnikach lasów i strumieni, a pismo wyryte przez człowieka, ptaka i czworonoga na delikatnej śnieżnej powłoce odczytywała bez najmniejszego trudu. A przecież Prince podchwycił wesoły, pełen zrozumienia błysk jej oczu, kiedy czytała Regulamin Obozowiska. Przepisy te spłodził Nieprzepity Settles w chwili siarczystego rozechocenia; odznaczały się jędrnym a niewybrednym humorem. Prince zawsze odwracał je do ściany przed przybyciem dam; któż jednak mógł przypuszczać, że ta Indianka... No cóż, teraz było już za późno.

Taka więc była żona Aksela Gundersona, kobieta, której imię i sława obieżyły cały Północny Kraj wraz z imieniem i sławą jej męża. Przy stole Malemute Kid przekomarzał się z nią z pewnością siebie starego przyjaciela, a i Prince otrząsnął się z początkowego onieśmienia i przyłączył do zabawy. Ona jednak dzielnie dotrzymywała placu w tym nierównym boju, podczas gdy mąż, mniej cięty w języku, ograniczał się do przyklasku. A dumny był z niej ogromnie; każde spojrzenie i każdy postępek świadczył o tym, jak wielkie miejsce zajmuje w jego życiu. Łowca Wydr jadł w milczeniu, zapomniany wśród wesołej utarczki, i na długo zanim tamci skończyli, podniósł się od stołu i wyszedł na dwór do psów. Niebawem jednak i jego towarzysze podróży naciągnęli rękawice i szuby i wyszli w ślad za nim.

Śnieg nie padał od wielu dni, toteż sanie sunęły po mocno ubitym yukońskim szlaku gładko jak po szczerym lodzie. Ulisses prowadził pierwsze sanie; przy drugich szedł Prince i żona Aksela Gundersona, przy trzecich Malemute Kid i żółtowołosy olbrzym, zamykając pochód.

- To tylko pomysł oparty na intuicji, Kid - mówił Gunderson - ale myślę, że okaże się słuszny.

On tam nigdy nie był, ale mówi przekonująco i pokazuje mapę, o której słyszałem będąc przed laty w kraju Kootenay. Chciałbym, żebyś i ty poszedł z nami, tylko że z niego dziwny człowiek: zaklął się wręcz, że rzuci wszystko, jeżeli kogokolwiek dobierzemy. Ale kiedy wrócę, ty pierwszy otrzymasz wskazówki, dopuszczę cię do największego po mnie udziału, a poza tym podzielę się z tobą terenem pod osiedle.

- Nie, nie! - zawołał, kiedy tamten usiłował mu przerwać. - Ja tym kieruję, a nim się rzecz doprowadzi do końca, przydadzą się dwie głowy. Jeżeli pomysł się sprawdzi - człowieku, przecież to będzie drugi Cripple Creek, słyszysz? - drugi Cripple Creek! To kwarc, rozumiesz, nie piasek, z którego trzeba wypłukiwać złoto; i jeżeli dobrze się zabierzemy do rzeczy, zagarniemy to wszystko - miliony, miliony! Już dawniej słyszałem o tym miejscu, i ty także.

Zbudujemy miasto - tysiące robotników - dobre drogi wodne - linie parowcowe - wielki ruch przewozowy - lekkie parowce do najdalej w górę rzeki wysuniętych punktów - może się wytyczy

linię kolejową - tartaki - elektrownia - założymy własny bank - spółkę handlową -

syndykat. Trzymaj tylko język za zębami, póki nie wrócę!

Sanie zatrzymały się w miejscu, gdzie szlak przecinał ujście Rzeki Stuarta. Było to nieprzerwane morze lodu rozciągające się szeroko, daleko ku nieznanemu wschodowi.

Odpięto rakiety śnieżne przytroczone do sań. Aksel Gunderson pożegnał się uściskiem dłoni i wyszedł na czoło. Jego wielkie, do płetw podobne rakiety grzęzły na dobre pół jarda w puchowej bieli i ubijały śnieg, by psy się nie zapadały. Jego żona zajęła miejsce za ostatnimi saniami, zdradzając długoletnią wprawę w kunszcie posługiwania się tym krępującym ruchy sprzętem. Ciszę przerywały wesołe pożegnalne okrzyki; psy skowyczały, a Łowca Wydr przemawiał za pomocą bata do jakiegoś krnąbrnego marudera.

W godzinę później sznur sań upodobił się do czarnego ołówka pełznącego długą, prostą linią po olbrzymim arkuszu białego papieru.

II

Pewnego wieczoru, wiele tygodni potem, Malemute Kid i Prince zabrali się do rozwiązywania zadań szachowych z kartki wydartej z jakiegoś odwiecznego czasopisma. Kid dopiero co był

powrócił ze swych posiadłości w Bonanzie i wypoczywał przed długim sezonem polowania na łosie. Prince również przebywał całą prawie zimę wśród jarów i na szlaku, uśmiechał mu się więc tydzień błogosławnego życia w chałupce.

- Postaw tu czarnego konia i zmusz króla do ucieczki. Nie, tak nie dobrze. Popatrz, nastęny ruch.

- Po co posuwać pionka o dwa pola naprzód? Z pewnością zabiją ci go po drodze, a skoro wieża usunięta z drogi...

- Ale poczekaj! W ten sposób powstaje luka i...

- Nie; pole jest bronione. Jazda, spróbuj! Zobaczysz, że się uda. Było to bardzo interesujące.

Ktoś pukał do drzwi już po raz wtóry, nim Malemute Kid powiedział: - Wejść. - Drzwi otworzyły się szeroko. Coś wtoczyło się do izby. Prince spojrział raz, a dobrze - i zerwał się na równe nogi. Zgroza w jego oczach sprawiła, że Malemute Kid odwrócił się gwałtownie i także się przeraził, choć nieraz przedtem zdarzało mu się oglądać okropności. "To" zataczało się ślepo w ich stronę. Prince odsunął się nieznacznie, póki nie dotarł do gwoźdźca, na którym wisiał

jego Smith i Wesson.

- Boże! Co to? - szepnął do Malemute Kida.

- Nie wiem. Wygląda na wypadek przemarznięcia i zagłodzenia - odparł Kid przesuając się w przeciwnym kierunku. - Uważaj! To może być szalone - ostrzegł wracając po zamknięciu drzwi.

"To" zbliżało się do stołu. Jasny płomień tłuszczowej lampy zwrócił jego uwagę. Najwidoczniej ubawione, wydało niesamowity rechot, który miał być śmiechem. Potem nagle człowiek - gdyż był to człowiek - przegiął się w tył, podciągnął skórzane spodnie i zaczął przyśpiewkę, jaką zawodzą ludzie obracający kołem kabestanu, [kołowrót służący do nawijania liny okrętowej.]

gdy morze grzmi im szyderczo prosto w uszy:

Nasz statek, chłopaki, unosi w dół prąd -

Do żagli, chłopcy, do żagli!

A jak wasz kapitan się zowie - i skąd?

Do żagli, chłopcy, do żagli!

Ze stanów Południa pochodzi nasz Jones!

Do żagli, chłopcy...

Urwał nagle, zatoczył się z wilczym warknięciem ku półce z mięsem i zanim zdążyli go powstrzymać, już darł zębami kawał surowego boczku. Pomiędzy Malemute Kidem a' nim wywiązała się zażarta walka. Ale szaleńcza siła opuściła go równie nagle, jak przyszła, i -

zesłabły - potulnie oddał łup. We dwóch usadowili go na stołku, gdzie rozwalił się leżąc połową ciała na stole. Łyk whisky wzmocnił go na tyle, że zdołał sięgnąć łyżeczką do cukiernicy, którą Malemute Kid przed nim postawił. Gdy nasycił nieco pierwszy głód, Prince wzdrygając się ze zgrozy podał mu kubek słabego bulionu.

Oczy stworzenia jarzyły się nieprzytomnie ponurym blaskiem, który z każdym łykiem rozbłyskał i przygasał. Na twarzy było bardzo mało skóry. Twarz ta zresztą, zapadła i wychudzona, mało była podobna do ludzkiego oblicza. Mrozy, jeden po drugim, wżarły się w nią głęboko, nakładając każdy swoją warstwę strupów na półzagojoną bliznę po poprzednim.

Sucha, twarda powierzchnia była krwawoczarna, pocięta bolesnymi pęknięciami, z których wзираło żywe, czerwone mięso. Skórzana odzież była brudna i w strzępach, a futro po jednej stronie osmalone i spalone - tym bokiem widać położył się kiedyś na ognisku.

Malemute Kid wskazał palcem na ślady odcinania - pasek po pasku - garbowanej na słońcu skóry: ponure świadectwo głodu.

- Kto ty jesteś? - powoli i wyraźnie wymówił Kid.

Człowiek nie reagował.

- Skąd przybywasz?

- Nasz sta-tek, chło-pa-ki, u-no-si w dół prąd - brzmiała urywana odpowiedź.

- Nie wątpię, że biedaczysko przyszedł rzeką - rzekł Kid potrząsając nim w nadziei, że w ten sposób wydobędzie zeń jakieś bardziej zrozumiałe słowa.

Ale człowiek wrzasnął pod dotknięciem, przykładając gwałtownym ruchem rękę do boku, najwyraźniej z bólu. Stał powoli na nogi, wsparty o stół.

- Śmiała się ze mnie - o, tak - z nienawiścią w oczach - i nie chciała pójść - ze - mną.

Zaniemówił i już walił się znowu, gdy Malemute schwycił go mocno za przegub ręki i krzyknął:

- Kto? Kto nie chciał pójść?

- Ona, Unga. Roześmiała się i pchnęła mnie, o - tak, i tak. A potem...

- No?

- A potem...

- A potem co?

- A potem on długo leżał w śniegu zupełnie bez ruchu. On - jeszcze - jest - tam - w śniegu.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie bezradnie.

- Kto jest w śniegu?

- Ona, Unga. Popatrzyła na mnie z taką nienawiścią w oku, a potem...

- No? No?

- A potem wzięła nóż, o - tak - i raz, drugi... słaba była. Szedłem bardzo wolno. A złota tam dużo, bardzo dużo złota.

“Gdzie jest Unga? Skąd to można wiedzieć? - myślał Malemute Kid. - Może ona umiera o milę stąd”.

Trząś przybyłym z całej siły, powtarzając raz za razem:

- Kto to jest Unga? Gdzie jest Unga?

- Ona - jest - tam - w śniegu.

- Mów dalej! - Kid z okrutną siłą ścisnął go za przegub.

- Ja - też - byłbym - w śniegu, ale - miałem - dług - do - spłacenia. Ciężko - było - miałem -

dług - do - spłacenia - dług - do - spłacenia - miałem... - Urywane słowa ustały. Człowiek niepewną ręką zaczął szukać w torbie i wydobyl worek z kozłowej skóry. - Dług - do -

spłacenia - pięć funtów - złota - pożyczka - Malemute Kid - ja... - Umęczona głowa opadła na stół i Malemute Kid próżno tym razem usiłował ją podnieść.

- To Ulisses - powiedział spokojnie, ciskając na stół worek złotego piasku. - Widocznie już koniec z Akselem Gundersonem i z tą kobietą. Chodź no, położymy go. To Indianin; wylizę się i jeszcze nam opowie całą historię.

Kiedy rozcinali na nim ubranie, zobaczyli koło prawej piersi dwie nie zagojone rany o stwardniałych krawędziach - rany klute nożem.

III

- Będę mówił o tym, co było, po swojemu, ale zrozumiecie mnie. Zacznę od początku i opowiem o sobie i o kobiecie, a potem - o mężczyźnie.

Łowca Wydr przysunął się do pieca jak ludzie długo pozbawieni ognia, w obawie, że ten dar prometejski lada chwila zniknie. Malemute Kid podkręcił knot tłuszczowej lampy i umieścił ją tak, aby światło padało na twarz opowiadającego. Prince wychylił się przez krawędź tapczana i przyłączył się do nich.

- Jam jest Naass, wódz i syn wodza, urodzony pomiędzy zachodem a wschodem słońca, w ciemności, na morzu, w ojcowskiej łodzi. Przez całą moc mężczyźni pracowali przy wiosłach, a kobiety czerpały z łodzi wodę, która nas zalewała. Tak walczyliśmy z burzą. Słona piana marzła na piersi mojej matki, a wraz z odpływem uszło z niej życie. Ale ja - ja podniosłem głos wśród wichrów i burzy i żyłem. Mieszkaliśmy na Akatanie...

- Gdzie? - spytał Malemute Kid.

- Na Akatanie, jednej z Wysp Aleuckich. Akatan, to za Chignik, za Kardalak, za Unimak. Jak powiadam, mieszkaliśmy na Akatanie, co leży wśród morza na samym krańcu świata.

Gospodarowaliśmy na słonych morzach łowiąc w nich ryby, foki i wydry, a nasze siedziby stały przytulone do siebie na skalistym skrawku dzielącym skraj puszczy od żółtego piasku wybrzeża, gdzie leżały łodzie. Niewiele nas było i świat nasz był bardzo mały. Na wschód ciągnęły się nieznane kraje - wyspy podobne do Akatanu; myśleliśmy tedy, że cały świat składa się z wysp i było nam z tym dobrze.

Ja różniłem się od mego ludu. W piaskach nadbrzeżnych leżały zakrzywione drewna i popaczone przez fale deski jakiejś łodzi niepodobnej do tych, jakie budował mój lud.

Pamiętam też, że na cyplu wyspy, skąd na trzy strony widać było ocean, stała sosna, która w żaden sposób nie mogła się tam sama zasiać, gładka i prosta, i wysoka. Powiadają, że dwaj ludzie przybyli w to miejsce i stamtąd przez wiele, wiele dni wypatrywali na wszystkie strony, póki światła stało. Ci dwaj ludzie przybyli z morza na owej łodzi, której szczątki leżały na brzegu. I byli biali jak wy i słabi jak małe dzieci, kiedy foki odpłyną i łowcy wracają do domu z pustymi rękoma. O rzeczach tych wiem od starców i staruszek, a oni słyszeli je od ojców i matek, którzy byli przed nimi. Ci obcy biali ludzie z początku nie umieli żyć po naszemu, ale potem, najadłszy się ryb i tłuszczu, stali się silni i okrutni. Pobudowali domy, każdy dla siebie, i wzięli sobie kwiat naszych kobiet, a z czasem przyszły i dzieci. Tak więc urodził się ten, który miał zostać ojcem ojca mojego ojca.

Jak mówiłem, byłem różny od mego ludu, gdyż miałem w sobie mocną, obcą krew białego człowieka, który przybył z morza. Powiadają, że przed przybyciem tych ludzi mieliśmy inne prawa. Ale oni byli okrutni i kłótniwi i walczyli z naszymi mężczyznami, aż wreszcie nie pozostało już nikogo, kto by ośmielił się stawić im czoło. Wtedy ogłosili się naczelnikami, zabrali nam nasze stare prawa i dali nowe, wedle których człowiek jest synem swego ojca, a nie matki, jak było po naszemu. Ogłosili też,

że syn pierworodny ma posiadać wszystko, co przed nim miał jego ojciec, a jego bracia i siostry mają sobie radzić o własnych siłach. I inne jeszcze dali nam prawa. Pokazali nam nowe sposoby łowienia ryb i zabijania niedźwiedzi, od których roilo się w lasach; nauczyli gromadzić większe zapasy na czas głodu. Te rzeczy były dobre.

Ale kiedy się stali naczelnikami i nie było już mężczyzn zdolnych stawić im czoło, wówczas pobili się ci dziwni biali ludzie między sobą. Ten, którego krew we mnie płynie, wbił swoją włócznię głęboko w ciało drugiego. Ich dzieci podjęły walkę, a po nich dzieci ich dzieci, i aż do moich czasów wielka była między nimi nienawiść i zdrada, tak że z każdego rodu zostało przy życiu tylko jedno, aby przekazać krew tych, co byli przedtem. Z mojego rodu ja; z tamtego -

tylko dziewczyna, Unga, która mieszkała z matką. Jej ojciec i mój nie wrócili pewnej nocy z połowu. Ale potem wielka fala wyrzuciła ich na brzeg, zwartych w mocnym uścisku.

Ludzie dziwili się nienawiści między tymi dwoma rodami, a starcy kiwali głowami i mówili, że walka będzie trwała dalej, kiedy jej i mnie urodzą się dzieci. Powiadali mi to, kiedy byłem jeszcze mały, aż wreszcie uwierzyłem i zacząłem patrzeć na Ungę jak na wroga, co ma się stać matką dzieci, które będą walczyły z moimi. Myślałem o tym codziennie, a kiedy wyrosłem na młodzieńca, przyszło mi spytać, dlaczego tak ma być. Odpowiedzieli: "Nie wiemy; tylko tyle, że ojcowie wasi tak czynili". A jam się dziwił, że ci, co przyjdą, mają staczać bitwy za tych, których już nie ma, i nie zdało mi się to sprawiedliwe. Ale ludzie mówili, że tak być musi, a ja byłem tylko wyrostkiem.

Mówili mi też, że muszę się śpieszyć, aby potomstwo moje dorosło i zmężniało przed jej potomstwem. To było łatwe, gdyż byłem naczelnikiem i ludzie poważali mnie przez wzgląd na czyny i prawa mych ojców i na bogactwa, które posiadałem. Każda dziewczyna zgodziłaby się pójść za mnie, ja jednak nie upodobałem sobie żadnej. Tymczasem starcy i matki dziewcząt mówili mi, abym się śpieszył, bo łowcy już wtedy na wyścigi ofiarowywali matce Ungi coraz wyższe ceny. A jeśli jej dzieci staną się silne przed moimi, moje na pewno zginą.

Nie znalazłem sobie tedy dziewczyny, aż dopiero pewnego wieczoru, kiedy wracałem z połowu. Słońce padało nisko, prosto w oczy, wiatr bujał swobodnie i czółna ścigały się z białymi falami. Nagle minęło mnie czółno Ungi, a ona popatrzyła na mnie, o - tak. Włosy leciały za nią chmurą czarną jak noc, a policzki miała mokre od piany fal. Jak mówię, słońce świeciło prosto w oczy, a ja byłem wyrostkiem. Ale jakoś wszystko było jasne i wiedziałem, że to krew woła do krwi. Nim popłynęła dalej, spojrzała poza siebie między dwoma uderzeniami wiosł - spojrzała tak, jak tylko kobieta Unga umiała spojrzeć - i znów poznałem, że to zew krwi. Ludzie podnieśli krzyk, kiedyśmy mijali pędem leniwe czółna zostawiając je daleko za sobą. Ale ona była zwinna do wiosła, a moje serce jak wzdęty brzuch żagla, toteż jej nie dogoniłem. Wiatr wzmógł się, morze pobielało; skacząc na fali jak foki na nawietrznej,[

nawietrzna - ta strona statku (lub np. wyspy), w którą uderza wiatr.] mknęliśmy po złocistej ścieżce słońca.

Naass siedział na pół wychylony ze stołka, w pozycji człowieka, który wiosłuje: przeżywał na nowo tamten wyścig. Gdzieś poza piecem widział czółno miotane na falach i płynące w powietrzu włosy Ungi. Głos wiatru brzmiał mu w uszach, a w nozdrzach czuł jego świeżą słoność.

- Ale ona dopłynęła do brzegu i śmiejąc się pobiegła po piasku do domu matki. A mnie przyszła tej nocy wielka myśl - myśl godna tego, który był wodzem całego ludu na Akatanie.

Więc kiedy wzeszedł miesiąc, idę do domu jej matki i patrzę na dary Yash-Noosha ułożone w stos pode drzwiami - dary Yash-Noosha, krzepkiego myśliwego, który zapragnął być ojcem dzieci Ungi. Inni młodzieńcy składali tam swoje dary i zabierali je z powrotem, a każdy układał stos większy od stosu poprzednika.

A jam roześmiał się do miesiąca i gwiazd i poszedłem do mego domu, gdzie złożone było moje bogactwo. Wiele razy odbyłem tę drogę, aż stos mój zrobił się tylekroć większy od stosu Yash-Noosha, ile jest palców u jednej ręki. Były tam ryby suszone na słońcu i wędzone, i czterdzieści skór włochatej foki, i dwadzieścia futer, a każda skóra zawiązana była przy pysku i grubo wypchana tłuszczem, i dziesięć skór z niedźwiedzi, które zabiłem w lasach na wiosnę, kiedy wychodzą z legowisk. Były tam paciorki i koce, i szkarłatne tkaniny, które nabyłem z wymiany od ludzi, co mieszkali na wschód od nas, a które KR oni nabyli z wymiany od tych, co mieszkali jeszcze dalej na wschód. Spojrzałem na stos Yash-Noosha i roześmiałem się, gdyż byłem naczelnikiem na Akatanie i bogactwo moje większe było od bogactwa wszystkich młodzieńców, a ojcowie moi dokonali wielkich czynów i nadali prawa, imiona zaś swoje po wszystkie czasy pozostawili na ustach ludu.

Kiedy więc nastał ranek, zszedłem na brzeg morza, zerkając na dom matki Ungi. Mój dar leżał jeszcze nietknięty, a kobiety uśmiechały się i mówiły chytre słowa jedna do drugiej. Zadziwiłem się, bo nigdy dotąd nikt nie ofiarował takiej ceny, i tej nocy dorzuciłem na stos więcej jeszcze, a obok położyłem czółno z pięknie wygarbowanych skór, które nigdy jeszcze nie pływało po morzu. Ale kiedy nastał dzień, leżało wciąż na tym samym miejscu, wystawione wszystkim na pośmiewisko. Matka Ungi była przebiegła, a ja wpadłem w gniew z powodu wstydu, który mnie spotkał w oczach mego ludu. Tej nocy więc dodałem jeszcze, aż stos stał się ogromny, i przydźwigałem łódź moją, która warta była tyle, co dwadzieścia czółen. Rankiem stosu już nie było.

Wówczas poczyniłem przygotowania do wesela i nawet ludzie mieszkający na wschodzie przybyli, aby najeść się na uczie i otrzymać dar na pamiątkę święta wyprawionego przez wodza. Unga starsza była ode mnie o cztery słońca, jak to u nas oblicza się lata. Byłem ledwo wyrostkiem, ale byłem też wodzem i synem wodza, a więc nic to nie szkodziło.

Aż tu nad taflą oceanu pojawiły się i rosły z tchnieniem wiatru żagle jakiegoś statku. Strugi wody broczyły z otworów w burcie, a ludzie spieszenie, z całych sił pracowali przy pompach. Na dziobie stał ogromny mężczyzna; wpatrywał się w wodną głębinę i grzmiącym głosem wydawał rozkazy. Jego oczy były barwy bladego błękitu wody na głębi, a głowę porastała grzywa jak u lwa morskiego. Włosy zaś jego były jak słoma południowych zbóż w czas żniwa lub jak włókna manili, z których marynarze splatają liny.

Ostatnimi laty widywaliśmy z daleka statki, ale ten był pierwszy, który przybił do brzegów Akatanu. Uczta została przerwana, kobiety i dzieci pouciekały do domów, a my, mężczyźni, napięliśmy łuki i czekaliśmy z włóczniami w ręku. Ale gdy stępka [Stępka - belka przebiegająca u spodu okrętu przez całą Jego długość.] statku dotknęła brzegu, obcy ludzie nie zwrócili na nas uwagi, zajęci własną

robotą. Kiedy fala opadła, przechylili szkuner na bok i załatali wielką dziurę w dnie. Kobiety chyłkiem powróciły i uczta ciągnęła się dalej.

Kiedy nadszedł przyływ, morscy wędrowcy zepchnęli szkuner na głęboką wodę, a potem przyszli do nas. Nieśli z sobą podarki i zachowywali się przyjaźnie, zrobiłem im więc miejsce i w szczodrobliwości serca rozdałem upominki takie jak wszystkim gościom, albowiem było to moje wesele, a ja byłem naczelnikiem na Akatanie. Ów z grzywą morskiego lwa był tam także; wysoki i mocny, że dziw, iż ziemia nie drżała pod jego stopami. Spoglądał często i śmiało na Ungę, trzymając ręce złożone na piersi, o - tak, i pozostał aż do chwili, kiedy słońce odeszło, a ukazały się gwiazdy. Wtedy wrócił na swój statek. Ja zaś wziąłem Ungę za rękę i powiodłem ją do mego domu. I były śpiewy, i śmiechu wiele, a kobiety mówiły chytre rzeczy, jak to kobiety w takich chwilach. Ale myśmy nie słuchali. Wreszcie ludzie pozostawili nas samych i rozeszli się po domach.

Jeszcze nic umilkł ostatni hałas, kiedy we drzwiach pokazał się wódz morskich wędrowców.

Miał ze sobą czarne butelki, z których piliśmy, i bawiliśmy się wesoło. Widzicie, byłem ledwo wyrostkiem i całe swoje życie przeżyłem na krańcu świata, więc krew moja zrobiła się jak ogień, a serce lekkie jak piana, która pryska, gdy fala uderzy o przybrzeżną skałę. Unga siedziała milcząca w kącie między skórami, z oczyma rozszerzonymi; zdawała się zalękniona.

A ów z grzywą morskiego lwa spoglądał na nią śmiało i długo. Potem jego ludzie weszli z tobołkami pełnymi dobytku, on zaś piętrzył przede mną bogactwa, jakich nie było na całym Akatanie. Były tam strzelby, duże i małe, proch i śrut, i naboje, i błyszczące siekiery, i noże ze stali, przemyślnie narzędzia i różne dziwne przedmioty, jakich nigdy przedtem nie oglądałem.

Kiedy dał mi znać na migi, że to wszystko moje, pomyślałem, że wspaniały z niego człowiek, skoro taki szczodry. Ale pokazał mi również, że Unga ma odjechać z nim na jego statku.

Rozumiecie? - że Unga ma odjechać z nim na jego statku. Krew ojców moich zapłonęła w jednej chwili i rzuciłem się, aby przebić go włócznią. Ale duch mieszkający w butelkach skradł

życie memu ramieniu. Tamten wziął mnie za szyję, o - tak, i stuknął moją głową o ścianę domu. Zrobiłem się słaby jak nowo narodzone dziecię i nogi nie chciały dłużej stać pode mną.

Unga krzyczała przeraźliwie, kiedy włókł ją ku drzwiom, i rękami czepiała się sprzętów domowych, strącając wszystko dokoła. Potem wziął ją w swoje wielkie ramiona, a kiedy targała go za żółte włosy, śmiał się głosem podobnym do ryków samca foki w czasie rui.

Popęzłem na brzeg morza i wezwałem moich ludzi, ale oni się bali. Tylko Yash-Noosh był

mężczyzną; tamci poty walili go wiosłem po głowie, aż legł twarzą w piasku i nie ruszył się więcej. Wtedy podnieśli żagle przy wtórze swych pieśni i statek odpłynął z wiatrem. Ludzie mówili, że dobrze się stało, bo nie będzie już więcej wojny krwi na Akatanie, ale ja nie przemówiłem słowa, czekając na pełnię. Wtedy nakładłem ryb i tłuszczu w czółno i odpłynąłem na wschód. Ujrzałem wiele wysp, wiele ludzi, i ja, który żyłem na krańcu świata, przekonałem się, że świat jest bardzo duży. Pytałem na migi, ale nikt nie widział żadnego szkunera ani mężczyzny z grzywą lwa morskiego.

Wszyscy stale pokazywali na wschód.

Sypiałem w osobliwych miejscach, jadłem dziwne rzeczy i spotykałem obce twarze. Wielu śmiało się ze mnie, gdyż myśleli, że pomieszało mi się w głowie. Ale niekiedy starzy ludzie zwracali swoją twarz ku światłu i błogosławili mi, a oczy młodych kobiet, które wypytywały mnie o nieznaną statek, o Ungę i o morskich ludzi, stawały się łagodne.

W ten sposób przez wzburzone morza i wielkie nawałnice przybyłem do Unalaski. Były tam dwa szkunery, ale żaden z nich nie był tym, którego szukałem. Płynąłem więc dalej na wschód, świat stawał się coraz większy i większy, lecz na wyspie Unamok ani na Kadiak, ani też na Atognak nie było słycho o statku. I tak pewnego dnia dotarłem do jakiegoś skalistego lądu, gdzie ludzie wykopywali w górze wielkie dziury. Był tam i szkuner, lecz nie mój. Ludzie ładowali na niego skały, które wykopali. Zdało mi się to dziecinne, wszak cały świat zrobiony jest ze skał. Ale dali mi jeść i wzięli do roboty. Kiedy szkuner zanurzył się już głęboko w wodę, kapitan dał mi pieniądze i kazał sobie iść, ja jednak spytałem go, w którą stronę się udaje, a on wskazał na południe. Pokazałem mu na migi, że chciałbym z nim jechać, a on śmiał się z początku, ale potem, mając mało ludzi, wzięł mnie do pomocy na statku. Tak więc nauczyłem się mówić ich językiem, ciągnąć liny i związać sztywne żagle w czasie niespodzianych szkwałów, i odrabiać kolejkę przy sterze. Nie było mi to jednak dziwne, gdyż krew ojców moich była krwią ludzi morza.

Sądziłem, że łatwo mi będzie znaleźć tego, kogo szukam, skoro raz dostanę się pomiędzy jego współplemięców. Toteż kiedy pewnego dnia zbliżyliśmy się do lądu i minąwszy morską bramę wpłynęliśmy do portu, myślałem, że zobaczę tam tyle szkunerów, ile palców było u moich rąk. Tymczasem statki zalegały nadbrzeże całymi milami, ściśnięte jak małe rybki. A kiedy udałem się do nich pytając o człowieka z grzywą morskiego lwa, śmiano się ze mnie i odpowiadano mi w językach wielu ludów. Przekonałem się, że ludzie ci pochodzą z najdalszych krańców ziemi.

Poszedłem tedy do miasta, aby spoglądać w twarz każdemu po kolei. Ale ludzi było tyle co sztokfiszów, kiedy gęstą ławicą podpływają do brzegów; niepodobna było ich zliczyć. Hałas uderzył w moje uszy, aż przestałem słyszeć. W głowie mi się kręciło od tego ruchu. Szedłem więc dalej i dalej przez lądy grające w ciepłym słońcu, gdzie na równinach rosły bogate zboża, a wielkie miasta pełne były po brzegi mężczyzn żyjących jak baby, z fałszywymi słowami na ustach i sercami, w których czarno było od żądzy złota. A przez cały ten czas mój lud na Akatanie polował i łowił ryby, i żył szczęśliwie, mniemając, że świat jest mały.

Ale spojrzenie Ungi wracającej z połowu było ze mną stale i wiedziałem, że znajdę ją, kiedy przyjdzie pora. Chodziła po cichych drożynach w zmierzchu wieczornym albo ścigała się ze mną przez gęsto zarośnięte pola mokre od rannej rosy, a w oczach jej była obietnica, jaką tylko kobieta Unga dać mogła.

Przewędrowałem tak tysiące miast. Jedni ludzie byli dobrzy i dawali mi jeść, inni śmiali się, a jeszcze inni przeklinali. Ja jednak trzymałem język za zębami i szedłem dalej dziwnymi drogami, i oglądałem dziwne widoki. Czasami ja, wódz i syn wodza, harowałem na obcych ludzi - ludzi szorstkich w mowie i twardych jak żelazo, którzy wyciskali złoto z potu i niedoli swoich braci. Nie dowiedziałem się jednak słowa o tych, których szukałem, dopóki nie wróciłem do morza jak foka powracająca do macierzystego stada. Był to już jednak inny port, w innym kraju, leżącym bardziej na

północ. Tutaj posłyszałem mgliste opowieści o żółtowołosym morskim wędrowcu i dowiedziałem się, że był to łowca fok i że właśnie wtedy pływał gdzieś po oceanie.

Zaciągnąłem się więc razem z leniwymi Siwaszami na szkuner polujący na foki i popłynąłem jego niewidocznym tropem ku północy, gdzie wówczas łowy były w pełni. Pływaliśmy przez długie, długie miesiące i spotykaliśmy dużo statków, i słyszeli wiele o szalonych czynach tego, którego szukałem, ani razu jednak nie wynurzył się z morza przed nami. Popłynęliśmy na północ, do samych Wysp Pribyłowa. Tam na wybrzeżach zabijaliśmy foki stadami i znosiliśmy ich ciepłe ciała na statek, aż otwory w burcie bluzgały tłuszczem i krwią, i nikt nie mógł ustać na pokładzie. Potem gonił nas statek parowy, który strzelał do nas z wielkich armat. My jednak rozwinąwszy żagle płynęliśmy tak szybko, że morze zalało nam pokład i zmyło go na czysto, po czym zgubiliśmy się we mgle.

Powiadają, że w owym czasie, kiedy uciekaliśmy z trwogą w sercach, żółtowołosy wędrowiec morski zawiązał do Wysp Pribyłowa, wprost do factorii, i podczas gdy część jego ludzi obezwładniała urzędników kompanii, reszta załadowała dziesięć tysięcy surowych skór ze składów, gdzie leżały w soli. Mówię: "powiadają", ale wierzę, że tak było, gdyż w czasie wszystkich podróży, które odbyłem wzdłuż brzegu nie spotkawszy go ani razu, morza północne rozbrzmiewały opowieściami o jego szaleństwach i odwadze, aż wszystkie trzy narody, które posiadają tam ziemie, ściagały go na swoich okrętach. Słyszałem też o Undze, gdyż kapitanowie wyśpiewywali głośno jej pochwały; towarzyszyła mu wszędzie. Opowiadano, że nauczyła się żyć wedle zwyczajów jego ludu i była szczęśliwa. Ale ja wiedziałem swoje -

wiedziałem, że serce jej tęskni do własnego ludu na żółtym piasku brzegów Akatanu.

Po długim więc czasie wróciłem do owego portu leżącego przy morskiej bramie i tam posłyszałem, że on udał się wskroś przez wielki ocean, aby polować na foki na wschód od ciepłego kraju, który rozciąga się na południe od Rosyjskich Mór. Tedy ja, który się stałem marynarzem, zaciągnąłem się na statek z ludźmi jego rasy i popłynąłem za nim łowić foki.

Mało było statków na wodach tego nowego kraju, my jednak trzymaliśmy się brzegu ławicy fok i gnaliśmy ją na północ przez całą wiosnę owego roku. A kiedy samice były już cielne i przeszły poza rosyjską linię, nasi ludzie jęli narzekać i zlekli się bardzo. Były bowiem wielkie mgły i co dnia ludzie ginęli na łodziach. Odmawiali pracy, więc kapitan zawrócił statek w tę stronę, z której przybył. Ale ja wiedziałem, że żółtowołosy wędrowiec morski nie zna lęku i będzie się trzymał ławicy choćby do samych Rosyjskich Wysp, dokąd mało kto się zapuszcza.

Więc ciemną nocą, kiedy wartownik drzemał na przednim pomoście, wziąłem łódź i popłynąłem sam ku ciepłemu, długiemu lądowi. Płynąłem na południe, aż natknąłem się na ludzi znad zatoki Yeddo, którzy są dzicy i nieustraszeni. A dziewczęta z Josziwary były maleńkie i gładkie jak stal, i miłe dla oka. Ale nie mogłem zabawić tam długo, bo wiedziałem, że Unga pływa na rozkołysanym pokładzie gdzieś na łowiskach północy.

Ludzie nad zatoką Yeddo pozbięli się ze wszystkich krańców świata i nie mając ni bogów, ni domu żeglowali pod flagą Japończyków. Z nimi to udałem się na bogate brzegi Wyspy Miedzianej, gdzie nasze składy spiętrzyły się solonymi skórami. Na owym cichym morzu nie ujrzeliśmy żywej duszy do chwili, kiedy zbieraliśmy się już do powrotu. Wtem jednego dnia mgła podniosła się nagle od

podmuchu silnego wiatru i oto prosto na nas wali szkuner, a tuż za nim dymiące lufy rosyjskiego okrętu wojennego. Umknęliśmy z wiatrem, a szkuner napierał

coraz bliżej, robiąc trzy stopy na nasze dwie. Na jego rufie stał mężczyzna z grzywą morskiego lwa; ściągał żagiel, aż ugięła się burta, i śmiał się, tak rozpierała go siła życia. I Unga też tam była - poznałem ją od razu - ale wysłał ją pod pokład, kiedy armaty zaczęły gadać przez morze. Jakem rzekł, posuwali się robiąc trzy stopy na nasze dwie, aż wreszcie przy każdym podskoku widać było wznoszący się zielony rudel. Rzuciłem się do steru i kłąłem, wystawiony plecami na rosyjski ostrzał. Wiedzieliśmy, że chce nas przegonić, aby umknąć, gdy my wpadniemy tamtym w ręce. Strzaskali nam maszty, tak że wlekliśmy się z wiatrem jak raniona mewa. Ale on płynął dalej, aż znikł za widnokrzem - on i Unga.

Co było począć? Świeże skóry mówiły za siebie. Zabrali nas do jakiegoś rosyjskiego portu, a następnie do odludnej krainy, gdzie zaprzęgli nas do roboty w kopalniach soli. Niektórzy poumierali, a inni - nie umarli.

Naass gwałtownym ruchem odgarnął koc z ramion, odsłaniając pokancerowane i poszarpane ciało, naznaczone niewątpliwymi razami knuta. Prince okrył go czym prędzej, bo widok nie był przyjemny.

- Byliśmy tam długo; czasami ludzie przedostawali się na południe, ale zawsze sprowadzano ich z powrotem. Więc kiedy my, przybyli z zatoki Yeddo, powstaliśmy pewnej nocy i odebrali strażnikom broń, udaliśmy się na północ. Kraina była bardzo rozległa, pełna bagnistych równin i wielkich lasów. Nadeszły zimna, wielkie śniegi zaległy ziemię, a żaden z nas nie znał drogi. Całe miesiące wędrowaliśmy przez puszcze bez kresu - jak długo, nie pamiętam już, bo mało było jedzenia i często układaliśmy się na ziemi, żeby umrzeć. Ale na koniec przyszedliśmy nad zimne morze; tylko trzech nas zostało, by je oglądać. Jeden wypłynął

był z Yeddo jako kapitan; miał w głowie położenie wielkich lądów i wiedział o miejscu, w którym można przepłynąć się po lodzie z jednego lądu na drugi. On nas prowadził - nie wiem, to trwało tak długo - aż było nas już tylko dwóch. Kiedy dotarliśmy do tej przeprawy, zastaliśmy tam pięciu ludzi, mieszkańców tego kraju. Mieli psy i skóry, a my byliśmy bardzo biedni.

Walczyliśmy w śniegu, póki nie umarli; kapitan umarł także. Psy i skóry były moje. Wtedy przeszedłem po lodzie, który się załamywał, i raz dostałem się na pływającą krę, która nosiła mnie tu i tam, aż zadał wiatr z zachodu i zapędził mnie na brzeg. A potem była zatoka Gołownina, Pastilik i ów ksiądz. Później - na południe, na południe, ku ciepłym, słonecznym lądom, gdzie byłem już na początku mojej wędrówki.

Morze jednak przestało być płodne i ci, którzy wyruszali po foki, ryzykowali wiele, a korzyści mieli mało. Flotylle porozpraszały się i kapitanowie ani marynarze nie słyszeli nic o tych, których poszukiwałem. Odwróciłem się tedy od oceanu, co nigdy nie spoczywa, i udałem się na lądy, gdzie drzewa, domy i góry siedzą stale na jednym miejscu i nie ruszają się wcale.

Podróżowałem daleko i nauczyłem się wielu rzeczy, nawet pisać i czytać z książek. I dobrze, gdyż

przyszła mi myśl, że Unga musi umieć to wszystko i że pewnego dnia, kiedy nadejdzie pora, my oboje... rozumiecie, kiedy nadejdzie wreszcie pora...

Tak dałem się unosić fali jak owe małe rybki, które wystawiają swoje żagielki na podmuchy wiatru, ale sterować nie umieją. Lecz oczy moje i uszy były stale otwarte i szedłem pomiędzy ludzi, co wiele podróżowali, wiedziałem bowiem, że wystarczy im ujrzeć tych, których szukałem, a zapamiętają ich dobrze. Nareszcie przyszedł mężczyzna prosto z gór, z kawałkami skał, w których bryłki szczerzego złota dochodziły do wielkości grochu; słyszał o nich, spotkał ich, znał. "Bogaci są - powiadał - i mieszkają tam, gdzie dobywa się złoto z ziemi".

Był to kraj dziki i bardzo odległy, ale z czasem dotarłem do obozu ukrytego wśród gór, gdzie ludzie pracowali dniem i nocą, nie oglądając wcale słońca. Jednakże pora jeszcze nie nadeszła. Przysłuchiwałem się ludzkim rozmowom. Odjechał - odjechali oboje - do Anglii, jak mówiono, po to, aby zgromadzić ludzi mających dużo pieniędzy i utworzyć z nich spółkę.

Widziałem dom, w którym mieszkali, wyglądał raczej na pałac, jeden z tych, jakie się widzi w starych krajach. Nocą zakradłem się tam przez okno, żeby zobaczyć, jak on się z nią obchodzi. Wędrowałem z pokoju do pokoju i myślałem sobie, że w ten sposób żyć muszą królowie i królowe, takie tam wszystko było doskonałe. Powiadali mi ludzie, że on traktuje ją jak królową, i wielu zachodziło w głowę, do jakiego plemienia należy ta kobieta, gdyż w żyłach miała inną krew, różniła się od kobiet Akatanu i nikt nie wiedział, kim jest. Zaiste, była królową.

Alem ja był wodzem i synem wodza, i zapłaciłem za nią niebywałą cenę w skórach, łodziach i paciorkach.

Ale po co tyle słów? Byłem żeglarzem i znałem drogi statków po morzach. Pojechałem za nimi do Anglii, a potem do innych krajów. Niekiedy słyszałem o nich z ust ludzkich, niekiedy czytałem w gazetach. Jednakże ani razu nie zdołałem się z nimi spotkać, mieli bowiem dużo pieniędzy i podróżowali szybko, a ja byłem człowiekiem ubogim. Potem spadły na nich kłopoty i bogactwo wysliznęło im się pewnego dnia jak kłęb dymu. Gazety pełne były tego w owym czasie, lecz potem wszystko ucichło, a ja wiedziałem, że wrócili tam, gdzie można wydobyć z ziemi dużo złota.

Byli teraz bardzo ubodzy, przestano więc o nich mówić; szukając wędrowałem od obozu do obozu, aż na północ od krainy Kootenay, gdzie wpadłem na ich trop. Byli tu i poszli, jedni mówili, że w tę, inni, że w tamtą stronę, a jeszcze inni, że udali się do krainy Jukonu.

Chodziłem tedy tu i tam, wciąż wędrując z miejsca na miejsce, aż wydawało się, że musi mnie znużyć świat, który okazał się tak bardzo wielki. W Kootenay przebyłem ciężki szlak, długi szlak, z pewnym Metysem z Północno-Zachodniego Terytorium, któremu zachciało się umrzeć, kiedy nas głód przycisnął. Dotarł on niegdyś do Jukonu jakąś nieznaną drogą przez góry, więc kiedy poczuł, że zbliża się jego godzina, dał mi mapę i zwierzył tajemnicę miejsca, gdzie - jak przysięgał na swoje bogi - było bardzo dużo złota.

Potem ludzie z całego świata zaczęli pchać się na północ. Byłem człowiekiem ubogim; zaprzedałem się jako poganiacz psów. Resztę wiecie. Spotkałem jego i ją w Dawson. Nie poznała mnie, gdyż byłem wtedy ledwo wyrostkiem, jej zaś życie było bujne, więc nie miała czasu wypominać tego,

który zapłacił kiedyś za nią niebywałą cenę.

Cóż dalej? Tyś mnie wykupił ze służby. Wróciłem, żeby załatwić sprawę po swojemu.

Czekałem bowiem długo i teraz, kiedy już położyłem na nim rękę, nie było mi spieszno. Jak powiadam, chciałem załatwić sprawę po swojemu, gdyż spojrziałem wstecz na moje życie, na wszystko, co widziałem i wycierpiałem; przypomniałem sobie chłód i głód bezkresnej puszczy nad Rosyjskimi Morzami. Jak wiecie, powiodłem go na wschód - jego i Ungę - na wschód, dokąd poszło wielu, ale skąd niewielu wróciło. Zaprowadziłem ich na miejsce, gdzie leżą kości i przekleństwa ludzi wraz ze złotem, którego osiąść nie zdołali.

Droga była długa, a szlak nie przetarty. Psów mieliśmy dużo i żarły wiele; sanie nasze nie mogły dźwigać wszystkiego, co potrzebne było do nadejścia wiosny. Trzeba było wracać, nim ruszą lody na rzece. Tu i ówdzie chowaliśmy żywność, aby ulżyć saniom i zabezpieczyć się przed głodem w drodze powrotnej. Przy McQuestion zastaliśmy trzech ludzi i w ich pobliżu zbudowaliśmy skrytkę, jak również przy Mayo, gdzie obozowało dwunastu łowców z plemienia Pelly, którzy przeprawili się z południa przez dział wód. Potem, dalej na wschód, nie widzieliśmy już ludzi, tylko uśpioną rzekę, nieruchomy las i Białą Ciszę Północy. Jak powiadam, droga była długa, a szlak nie przetarty. Czasami, mordując się przez cały dzień, nie robiliśmy więcej niż osiem do dziesięciu mil. W nocy spaliśmy jak nieżywi. A przez cały czas nawet im się nie śniło, że ja jest Naass, naczelnik na Akatanie, ręka sprawiedliwości.

Zostawialiśmy teraz mniej zapasów w skrytkach i w nocy nietrudno było wracać po przetartym już szlaku i zmieniać je w taki sposób, aby wyglądało, że prowiant skradły rosomaki. Bywają też miejsca, gdzie jest spadek na rzece, woda niesforna, lód od góry narasta, a spodem woda go podżera. W takim to miejscu sanie, które ja prowadziłem, wpadły pod lód razem z psami.

Dla niego i dla Ungi był to nieszczęśliwy przypadek, nic więcej. Ale na tych saniach leżało dużo prowiantu i ciągnęły je najsilniejsze psy. On jednak śmiał się, gdyż pełen był mocy życia, i dawał pozostałym psom mało żywności, aż zaczęliśmy odcinać je z uprzęży jednego po drugim i rzucać na pożarcie ich towarzyszom. "Lekko nam będzie wracać - mówił. - Będziemy szli od skrytki do skrytki i pożywiali się, bez psów i sań". Prawda to była, gdyż prowiantu mieliśmy bardzo mało, a ostatni pies padł w uprzęży tego wieczoru, kiedy dotarliśmy do miejsca, gdzie było złoto, kości ludzkie i przekleństwa.

Aby dotrzeć do tego miejsca, położonego - mapa bowiem mówiła prawdę - w samym sercu wielkich gór, rąbaliśmy stopnie lodowe w ścianie stromej górskiej grzędy. Za nią oczekiwało się doliny, lecz doliny nie było; śnieg rozpościerał się w dal płasko jak zboża na wielkich równinach, a wokoło, tu i ówdzie, potężne góry wznosiły swe białe głowy pomiędzy gwiazdy.

W połowie drogi na tej dziwnej równinie, która powinna być doliną, ziemia i śnieg urywały się nagle i leciały w dół, prosto do serca świata. Gdybyśmy nie byli żeglarzami, zakreśliłoby nam się w głowach na ten widok. My jednak staliśmy na krawędzi tej zawrotnej przepaści, wypatrując, którądy zejść. Po jednej, i tylko po jednej stronie ściana przypominała pokład przechylony w czasie bryzy wiejącej w górne żagle. Nie wiem czemu, ale tak było. "To paszcza piekieł - powiedział on. - Schodźmy". I zeszliśmy.

Na dnie stała chatka, którą ktoś zbudował z bierwion strąconych z góry. Chatka ta była bardzo stara; różnymi czasy poumieralo w niej samotnie wiele ludzi, i były tam kawałki brzozonej kory, na których odczytaliśmy ich ostatnie słowa i przekleństwa. Jeden umarł na szkorbut, innemu współnik zrabował ostatek żywności i prochu, po czym chyłkiem zemknął, trzeciego poszarpał szary niedźwiedź, czwarty polował na zwierzynę, póki nie umarł z głodu - i tak dalej; wszyscy oni wzdrali się opuścić złoto i przy nim tak czy inaczej zginęli. A bezwartościowe złoto, które zgromadzili, zółciło się na podłodze chaty niby w jakim śnie.

Mocną miał jednak duszę, a głowę bystrą ów mężczyzna, którego doprowadziłem aż tutaj.

“Nie mamy nic do jedzenia - powiedział - toteż popatrzymy tylko na to złoto i zbadamy, skąd się bierze i ile go jest. Potem odejdziemy szybko, zanim zalezie nam w oczy i skradnie rozum.

W ten sposób będziemy mogli powrócić tu w końcu z większą ilością żywności i posiąć je całe”. Obejrzelismy więc ogromną żyłę, która przecinała ścianę kotliny jak prawdziwej żyły przystało; zmierzylismy ją i prześledzili z góry i z dołu, wytyczyliśmy palikami działki i ponacinalismy korę na drzewach na świadectwo naszych praw. Potem zaś z kolanami trzęsącymi się z głodu, z czczością w brzuchach i sercami podchodzącymi nam pod same gardła, wspięliśmy się po raz ostatni po ogromnej ścianie i obróciliśmy twarze w stronę powrotną.

Przez ostatni odcinek wlekliśmy Ungę między sobą, padając często, ale w końcu dotarliśmy do skrytki. I patrzcie, żywności nie było. Cel osiągnąłem - on pomyślał, że to rosomaki, i przeklinał je i bogi swoje jednym tchem. Unga jednak była dzielna, uśmiechała się i wsunęła i dłoń w jego rękę, aż musiałem odwrócić oczy, aby utrzymać się na wodzy. “Odpoczniemy przy ogniu do rana - rzekła - a sił zaczerpnijemy z naszych mokasynów”. Pocięliśmy więc górne części naszych mokasynów na paski i gotowaliśmy je pół nocy, aby móc je pozuć i przełknąć.

Rankiem rozmawialismy o tym, jakie mamy widoki. Następną skrytką była o pięć dni drogi; na to nie mieliśmy sił. Trzeba było znaleźć zwierzynę. “Pójdziemy i zapolujemy” - powiedział. -

“Tak - rzekłem - pójdziemy i zapolujemy”.

Kazał Undze zostać przy ognisku, żeby oszczędzić jej sił. My zaś wyruszyliśmy, on w poszukiwaniu łośi, a ja do skrytki, którą przeniosłem w inne miejsce. Zjadłem jednak mało, aby nie zobaczyli we mnie dużo siły. On zaś wieczorem, kiedy wracał do obozu, padał po wiele razy. Ja także udawałem wielkie osłabienie i potykałem się na rakietach, jak gdyby każdy mój krok miał być ostatni. I znów czerpaliśmy siły z mokasynów.

To był wspaniały mężczyzna. Dusza podtrzymywała w nim ciało do ostatka; nie wyrzekał też głośno, chyba że w trosce o Ungę. Drugiego dnia poszedłem w trop za nim, aby nie stracić widoku końca. Kładł się często, żeby odpocząć. Tej nocy było już prawie po nim. Ale rankiem zaklął słabym głosem i wyruszył znowu. Był jak człowiek pijany i często patrzyłem, czy już nie daje za wygraną, ale siła jego była siłą mocnych, a dusza - duszą olbrzyma, dźwigał bowiem swe ciało przez cały długi dzień. Zastrzelił dwa górskie jarzabki, ale zjeść ich nie chciał. Ognia nie było potrzeba; jarzabki oznaczały życie; ale myślał tylko o Undze, toteż zawrócił w stronę obozu. Nie szedł już, tylko pełznął po śniegu na czworakach. W jego oczach wyczytałem śmierć. Nawet wtedy nie było jeszcze za późno zjeść

jarzabki.

Odrzucił strzelbę i niósł ptaki w ustach, jak pies. Szedłem przy nim, wyprostowany. On zaś spoglądał na mnie w chwilach odpoczynku i dziwił się, że jestem tak silny. Pojmowałem to, choć on już nie mówił; wargi jego poruszały się bez dźwięku. Powiadam wam, to był wspaniały człowiek i serce moje wołało o litość. Odczytywałem jednak wstecz księgę mego życia i przypominałem sobie chłód i głód bezkresnej puszczy nad Rosyjskimi Morzami. A poza tym Unga była moja, zapłaciłem przecież za nią niebywałą cenę w skórach, łodziach i paciorkach.

W ten sposób szliśmy przez biały las, a cisza kładła się na nas ciężko jak wilgotna morska mgła. A w powietrzu i wszędzie dokoła pełno było upiorów przeszłości. Widziałem żółte brzegi Akatanu i czółna wracające na prześcigi z połowu, i domy na skraju lasu. Byli tam i ci, co zrobili się naczelnikami, prawodawcy, których krew nosiłem w sobie i których krew zaślubiłem w Undze. Tak, i Yash-Noosh szedł przy mnie z mokrym piaskiem we włosach i złamaną włócznią w rękę. Wiedziałem, że nadeszła wreszcie pora, i w oczach Ungi widziałem obietnicę.

Jak powiadani, szliśmy tak przez las, aż wreszcie uderzył w nasze nozdrza dym obozowego ogniska. Pochyliłem się nad nim i wydarłem mu z zębów jarzabki. Przewrócił się na bok i tak leżał; w oczach wzbierało mu zdumienie, a ta ręka, która była pod spodem, przesuwała się powoli w kierunku noża u biodra. Ale ja mu go odebrałem uśmiechając mu się z bliska prosto w twarz. Nawet i wówczas nie zrozumiał. Więc zrobiłem ruch, jak gdybym pił z czarnych butelek i układał na śniegu wysoki stos dobytku i przeżywał na nowo to, co stało się w wieczór moich zaślubin. Nie mówiłem słowa, ale on rozumiał. Nie uląkł się jednak. Na jego wargach ukazał się pogardliwy grymas i zimny gniew; wraz z poznaniem prawdy zebrał nowe siły. Nie było daleko, lecz śnieg był głęboki, włókł się więc bardzo powoli. Raz leżał tak długo, że odwróciłem go i zajrzałem mu w oczy. Czasami wyglądał z nich on sam, a czasami śmierć.

Kiedym go puścił, powlókł się dalej. W ten sposób przybyliśmy do ogniska. Unga w jednej chwili była u jego boku. Jego wargi poruszały się bezdźwięcznie; następnie wskazał na mnie, aby Unga mogła zrozumieć. A potem leżał w śniegu, bardzo cicho, długi czas. I teraz jeszcze leży tam w śniegu.

Nie rzekłem słowa, póki nie ugotowałem jarzabków. Wtedy przemówiłem do niej w jej własnym języku, którego nie słyszała od wielu, wielu lat. Wyprostowała się, o - tak, i oczy jej rozszerzyły się ze zdumienia; spytała, kim jestem i gdzie nauczyłem się tej mowy.

“Jestem Naass” - powiedziałem.

“Ty? - rzekła. - Ty?” I podpełzła blisko, aby dobrze mi się przyjrzeć.

“Tak - odpowiedziałem. - Jam jest Naass, naczelnik na Akatanie, ostatni z rodu, jak i ty jesteś ostatnia z rodu”.

A ona roześmiała się. Na wszystko, com widział i czegom dokonał, obym więcej nie usłyszał

podobnego śmiechu! Mróz przeszył moją duszę, kiedym tak siedział tam wśród Białej Ciszy, sam na sam ze śmiercią i z tą kobietą, która się śmiała.

“Pójdź! - rzekłem, gdyż zdawało mi się, że oszalała. - Pożyw się i ruszajmy. Daleko jest stąd do Akatanu”.

Ale ona wtuliła twarz w jego żółtą grzywę i śmiała się, aż zdało się, że niebiosy walą nam się na głowy. Sądziłem, że uraduje się na mój widok i powróci skwapliwie do wspomnienia dawnych czasów, ale sposób, w jaki to czyniła, wydał mi się dziwny.

“Chodź! - zawołałem ujmując ją mocno za rękę. - Droga jest daleka i ciemna. Spieszmy się!”

“Dokąd?” - spytała. Usiadła przy tym prosto i przestała się śmiać.

“Na Akatan” - odrzekłem oczekując w napięciu, że na tę myśl rozświecili jej się twarz.

Tymczasem stała się ona podobna do jego twarzy; na ustach ukazał się pogardliwy grymas i zimny gniew.

“Tak - powiedziała - pójdziemy ręka w rękę na Akatan, ty i ja. I będziemy mieszkać w brudnych lepiankach, i żywić się rybami i tranem, i wydamy na świat pomiot - pomiot, z którego będziemy dumni przez wszystkie dni naszego życia. Zapomnimy o całym świecie i będziemy szczęśliwi, bardzo szczęśliwi. To dobre, to bardzo dobre. Chodź! Śpieszmy się. Wracajmy na Akatan”.

Wplotła palce w jego żółte włosy i uśmiechnęła się jakimś niedobrym uśmiechem. A w jej oczach nie było obietnicy.

Siedziałem w milczeniu i zdumiewałem się, jak dziwne są kobiety. Cofnąłem się myślą do owej nocy, kiedy on wywlókł ją ode mnie, a ona krzyczała przeraźliwie i targała go za włosy - za włosy, które teraz pieściła i których nie chciała porzucić. Potem przypomniałem sobie zapłaconą cenę i długie lata czekania; chwyciłem ją tedy mocno i odciągnąłem precz, jak niegdyś on. A ona opierała się, całkiem jak wtedy, i walczyła jak kocica o swoje małe. Kiedy zaś już ognisko znalazło się pomiędzy nami a tym mężczyzną, puściłem ją, a ona usiadła i słuchała. I opowiedziałem jej o wszystkim, co się tymczasem działo, o wszystkim, co mi się zdarzyło na obcych morzach, o wszystkim, co robiłem na obcych lądach; o długich, długich poszukiwaniach, o latach głodu i o obietnicy, która od początku należała do mnie. Tak, wszystko opowiedziałem, nawet to, co zaszło pomiędzy tym mężczyzną a mną i tego dnia, i w dawnych, młodych jeszcze dniach. A w miarę jakem mówił, widziałem, że wzbiera w jej oczach obietnica, pełna i wielka jak brzask. I czytałem tam litość, tklivość, miłość, serce i duszę Ungi.

Byłem na nowo wyrostkiem, bo jej spojrzenie było spojrzeniem Ungi biegnącej ze śmiechem po morskim brzegu do domu swej matki. Znikł okrutny niepokój i głód, i długie, długie czekanie. Pora nadeszła. Poczulem zew jej piersi i zdało mi się, że na niej muszę złożyć głowę i zapomnieć. Rozwarła przede mną ramiona, a ja przytuliłem się do niej. Wtedy nagle nienawiść zapłonęła w jej oku, a dłoń znalazła się u mego biodra. Raz i drugi dźgnęła nożem.

“Psie! - zawołała pogardliwie, ciskając mnie w śnieg - świnię!” - A potem zaśmiała się znowu tak, że cisza prysła, i wróciła do swojego zmarłego.

Jak powiadam, dźgnęła nożem raz i drugi. Ale słaba była z głodu i nie sądzono mi było umrzeć. Miałem jednak zamiar pozostać na tym miejscu i zamknąć oczy w ostatnim długim śnie wspólnie z tymi, których życie splotło się z moim i zawiodło moje stopy na nieznane szlaki.

Ale ciążył na mnie dług, który nie pozwolił mi spocząć.

Droga była długa, zimno dokuczliwe, a żywności mało. Indianie z plemienia Pelly nie natrafili widać na łosie i okradli moją skrytkę. To samo uczynili trzej biali, lecz gdy przechodziłem, leżeli chudzi i nieżywi w swym szałasie. Potem już nie pamiętam, aż wreszcie przyszedłem tutaj i znalazłem pożywienie i ogień - dużo ognia.

Gdy skończył, pochylił się nad piecykiem nisko, zachłannie. Przez długą chwilę cienie rzucane przez tłuszczową lampę malowały na ścianie jakieś tragedie.

- Ale Unga! - zawołał Prince wciąż pod silnym wrażeniem tej wizji.

- Unga? Nie chciała jeść jarząbków. Leżała objawszy go ramionami za szyję, z twarzą schowaną głęboko w jego żółte włosy. Przeniósłem ognisko tuż koło niej, aby nie czuła mrozu, ale ona przeczołgała się na drugą stronę. Tam także rozpałem ognisko; na nic się to jednak nie zdało, bo nie chciała jeść. Leżą tam dotąd w śniegu.

- A ty? - spytał Malemute Kid.

- Nie wiem. Lecz Akatan jest mały i nie mam chęci wracać tam i żyć na krańcu świata. Zresztą z życia mało jest pożytku. Mogę pójść do Constantine'a, który nałoży na mnie żelaza i pewnego dnia zawiąże mi na szyi kawałek sznura, o - tak, i zasnę na dobre. A jednak - nie.

Nie wiem.

- Ależ Kid - zaprotestował Prince - to morderstwo!

- Cicho! - rozkazał Malemute Kid. - Są rzeczy większe od naszego rozumu, leżące poza zasięgiem naszej sprawiedliwości. Co w tej sprawie jest słuszne, a co niesłuszne, powiedzieć nie sposób i nie naszą rzeczą jest sądzić.

Naass przybliżył się jeszcze bardziej do ognia. Zapadła wielka cisza, a przed oczyma wszystkich trzech mężczyzn jęły przesuwać się niezliczone obrazy; pojawiały się i ginęły.

Przełożyła Agnieszka Glinczanka

Napój Hiperborejów

O tym, co się zdarzyło pewnemu przedstawicielowi

białej rasy, wielkiemu cwaniakowi, pośród przedziwnego ludu, który żyje na brzegu Oceanu Lodowatego Północnego.

Prawdopodobność Tomasza Stevensa można by określić mianem niewiadomej x , a jego fantazję przyrównać do wyobraźni zwykłego zjadacza chleba podniesionej do n -tej potęgi, niemniej stwierdzić należy, że człowiek ten nigdy nie powiedział ani nie - uczynił nic takiego, co by wolno było zakwalifikować jako pospolite kłamstwo... Mógł igrać z prawdopodobieństwem i pochyłać się nad otchłanią niemożliwości, ale mechanizm jego opowiadań nigdy nie zgrzytał. Że znał Północ jak własną kieszeń, tego nikt kto żyw nie był

zdolny zaprzeczyć. Że był wielkim podróżnikiem i stąpał po przeróżnych niezbadanych szlakach, to potwierdzają liczne dowody. Poza tym, co mi osobiście wiadomo, znałem ludzi, którzy spotykali go wszędzie, a najczęściej tam, gdzie świat się kończy. Na przykład Johnson, były agent Towarzystwa Zatoki Hudsonskiej, swego czasu gościł go w faktorii na Labradorze -

gdy psy nieco odsapnęły, Stevens ruszył dalej. Albo McMahon, agent Towarzystwa Handlowego Alaski, który spotkał go w Dutch Harbor, a potem na którejś z najodleglejszych wysp archipelagu aleuckiego. Jest faktem bezspornym, że Stevens był przewodnikiem jednej z pierwszych wypraw naukowych na Północ zorganizowanych przez Stany Zjednoczone, historia zaś stwierdza stanowczo, iż podobne usługi oddał towarzystwu "Western Union", kiedy podjęto wysiłki zmierzające do przeprowadzenia linii telegraficznych przez Alaskę i Syberię do Europy. Wreszcie Joe Lamson, kapitan wielorybniczego statku, opowiada, że kiedy utknął w lodach nie opodal ujścia Mackenzie, Stevens przybył na pokład i poprosił o tytoń.

Ostatni fakt pozwala w sposób niezbity ustalić, że był to istotnie Tomasz Stevens w swej własnej osobie. Przez całe życie bowiem niezmordowanie uganiał się za tytoń.

Jeszcześmy się mało znali, a już nauczyłem się wyciągać do niego jedną rękę na powitanie, a drugą podawać mu kapciuch. Ale owego wieczoru, gdym go spotkał w szynku Johna O'Briena w Dawson, głowę Stevensa spowijały kłęby dymu z cygara za pięćdziesiąt centów i tym razem mój kapciuch nie był mu potrzebny, natomiast poprosił o mieszek ze złotym piaskiem. Staliśmy przy stole, za którym goście grali w faraona. Stevens bez chwili namysłu rzucił mój mieszek na stół stawiając na wysoką kartę.

- Pięćdziesiąt - powiedział. Bankier kiwnął głową. Wysoka karta wygrała, Stevens zwrócił mi mieszek, upomniał się o żeton i pociągnął mnie do wagi, gdzie kasjer niedbale odważył mu złotego piasku za pięćdziesiąt dolarów.

- A teraz się napijemy - oznajmił.

W chwilę później stawiając szklankę na ladzie tak mówił:

- To mi przypomina bimberek, jaki się piło w Tattarat. Nie, nic pan nie wie o tej osadzie, nie ma jej na żadnej mapie. A jednak istnieje i leży na samym brzegu Oceanu Lodowatego, głupie paręset mil od granicy Stanów. Żyje tam pół tysiąca zapomnianych przez Boga duszyczek, które się żenią i wychodzą za mąż, a w wolnych chwilach głodują i mrą. Badacze Północy jakoś ich przeoczyli, nie znajdzie ich pan również w spisie ludności z 1890 roku. Kiedyś utkwiał

tam w lodach statek wielorybniczy, ale ci, którzy po lodzie wydostali się na brzeg, ruszyli na

południe i słuch po nich zaginął.

- A swoją drogą pyszna była ta woda, którą pędziłem razem z Moosu - dodał po chwili z ledwie dostrzegalnym westchnieniem.

Wiedziałem, że wielkie czyny i niesłychane przypadki kryją się za tym westchnieniem, pociągnąłem go więc do rogu między ruletką a stołem do pokera i czekałem aż mu się język rozwiąże.

- Jedno miałbym do zarzucenia Moosu - zaczął przechylając głowę w zamyśleniu - to tylko i nic więcej. Był Indianinem gdzieś z dalekich kresów kraju Czippewajów, ale sęk w tym, że liznął Pisma świętego. Spędził kiedyś cały sezon w jednym obozie z pewnym kanadyjskim Francuzem, renegatem, który przedtem kształcił się w seminarium duchownym. Moosu nigdy nie widział, jak wygląda religia chrześcijańska w praktyce, za to nabił sobie głowę cudami, bitwami, odpustami i innymi historiami, których ani w ząb nie rozumiał. Poza tym był to równy gość, sprytny do roboty na szlaku i przy ognisku.

Dostaliśmy obaj porządnie w skórę i ledwie zipiąc zwaliliśmy się z nóg w Tattarat. Podczas przeprawy przez przełęcz złapała nas jesienna zadymka śnieżna - straciliśmy cały ekwipunek i psy. Żołądki przylgnęły nam do krzyża i leciały z nas ostatnie strzępy odzieży, kiedyśmy wreszcie doczołgali się do wioski. Mieszkańcy Tattarat na nasz widok niezbyt się zdziwili, bo przed nami spotkali tamtych wielorybników. Dali nam najędzniejszą chatkę z całej wsi i żywili najgorszymi ochłapami. Dziwne wydało mi się, że nas odosobnili. Ale Moosu tak to wyjaśnił:

- Szaman sick tumtum - powiedział, co oznaczało, że szaman, czyli znachor, był zazdrosny i poradził ludkowi, aby trzymał się od nas z daleka. Na podstawie krótkiej znajomości z wielorybnikami doszedł bowiem do wniosku, że moja rasa jest silniejsza i mądrzejsza. Postąpił

więc tak, jak zawsze postępowali wszyscy szamani na całym świecie. Zanim skończę, zobaczy pan, że miał świętą rację.

- Prawo tego ludu głosi: "Kto je mięso, musi polować" - objaśnił mi Moosu. - A ja i ty, o mój panie, nie mamy drygu do ich broni. Ani napiąć cięciwy, ani cisnąć włócznią jak należy nie potrafimy. Wobec tego szaman i Tummasook, który tu jest wodzem, poszeptali i został wydany rozkaz, że mamy wraz z kobietami i dziećmi taszczyć mięso do osady jako też usługiwać łowcom.

- A to bardzo niedobrze - odparłem - bo jesteśmy, mój Moosu, z lepszej gliny niż tutejszy lud, który błądzi w ciemnościach. Po wtóre, musimy wypocząć i nabrać sił, ponieważ droga na południe jest długa, a słaby nie ma czego szukać na szlaku.

- Ale my nie mamy nic - zaoponował rozglądając się po przegniłych bierwionach igloo i z obrzydzeniem kręcąc nosem na odór wiekowego morsa, którego zajadaliśmy na kolację. - Na takim wikcie nie wydobrejemy. Nie mamy nic prócz flachy „pocieszycielki zbolałych”, która pustego żołądka nie napełni, trzeba więc ugiąć karków pod jarzmem niewiernych, rąbać drwa i nosić wodę. A są tutaj różne dobre rzeczy, tylko nie dla nas. Ach, panie mój, nos nigdy mnie nie zmylił. Zawiódł on twego sługę do tajemnych spiżarni i schowków wśród stert futer w paru igloo. Dobry prowiant zagarnął tutejszy ludek u biednych wielorybników, a cały ten łup powędrował do rąk kilku osób.

Niewiasta Ipsukuk, która mieszka na krańcu wioski obok igloo wodza, ma znaczne zapasy mąki i cukru, a moje oczy powiedziały mi, że gębę miała umazaną w melasie. W igloo wodza Tummasooka jest herbata - czyżbym nie widział, jak żłopał ją ten stary wieprz? Szaman zaś ma puszkę herbaty „Z gwiazdą” i dwa kubły najprzedniejszego tytoniu. A co my mamy? Nic! Nic! Nic!

Gdym usłyszał o tytoniu, w głowie mi się zakręciło i nic nie odpowiedziałem.

Moosu sam jednak przerwał milczenie.

- I jest tu jeszcze Tukeliketa, córka wielkiego łowcy i bogacza. Niczego sobie dziewczyna.

Owszem, ładniutka.

Wiele myślałem w nocy, podczas gdy Moosu chrapał, bom nie mógł przeżyć tego, że tytoń jest tak blisko, a ja nie mogę sobie zakurzyć. Moosu powiedział prawdę: nie mieliśmy nic.

Wreszcie uprzytomniłem sobie, jak trzeba zadziałać i rano mówię do Moosu:

- Pójdiesz, zakręcisz się po swojemu i znajdziesz mi kość zagiętą jak gęsia szyja i pustą w środku. Spaceruj sobie jakby nigdy nic, ale wypatruj, gdzie mają garnki, patelnie i inne kuchenne naczynia. I pamiętaj, że posiadam mądrość białego człowieka, rób więc, com ci nakazał, spraw się dobrze a szybko.

Gdy poszedł, postawiłem lampę tranową na środku izby, a oblażę futra, pod którymi sypialiśmy, odrzuciłem pod ścianę, żeby było więcej miejsca. Rozebrałem strzelbę Moosu i zatrzymałem przy sobie lufę, potem z dzikiej bawełny, jaką kobiety zbierają tu w lecie, skręciłem mnóstwo knotów. Moosu wrócił z zamówioną przeze mnie kością i nowiną, że w igloo Tummasooka jest pięciogalonowa blaszanka od nafty i duży kocioł miedziany.

Pochwaliłem go za dobrą robotę i pozwoliłem mu zbijać bąki do wieczora. A kiedy północ była blisko, wygłosiłem doń mowę.

- Wódz, który zwie się Tummasook, ma miedziany kocioł oraz blaszankę po nafcie. - W tym miejscu wręczyłem mu solidny kamień, pięknie wygładzony przez morskie fale. - Obóz uspioły - mówiłem dalej - i tylko gwiazdki mrugają na niebie. Idź, bracie, wpęlnij po cichutku do igloo wodza i walnij go w kałdun tym kamieniem, a dobrze! Niechaj mięso i obfite jadło, jakie spożywać będziesz w dni, które idą, doda sił twemu ramieniu. Zrobi się krzyk i gwałt, cała wieś stanie na nogach. Ale ty, bracie, się nie bój. Zrób się niewidoczny i rozplyń się wśród mroków nocy i ciżby ludzkiej. A kiedy niewiasta Ipsukuk nawinie ci się pod rękę, ta, która umazała gębę w melasie, rąbnij ją w to samo, co wodza, potem zaś wal każdego, kto ci się napatoczy, a posiada mąkę. Następnie sam wznies pod niebiosa krzyk bólu, skręcaj się, załamuj ręce i lamentuj na znak, że i ciebie nawiedziły nocne zmyry. W ten właśnie sposób zdobędziemy zaszczyty i wielkie bogactwa, i puszkę herbaty „Z gwiazdą”, i najprzedniejszy tytoń, i twoją Tukeliketę, która jest niebrzydką dziewczyną.

Moosu pobiegł wykonać swoje zadanie, a ja cierpliwie czekałem w chatynce. Tytoń był już bardzo blisko. Nagle rozległ się wśród nocy okrzyk przerażenia, po czym nieopisany hałas wzbił się pod

niebo. Porwałem “pocieszycielkę zbolałych” i wybiegłem. Rwetes był wielki, kobiety zawodziły, całą wieś dusiła zmora strachu. Tummasook i kobieta Ipsukuk tarzali się z bólu po ziemi, w czym towarzyszyła im spora gromadka, między innymi Moosu. Odepchnąłem na bok tych, co mi się plątali między nogami, i przytknąłem szyjkę flaszki do ust Moosu.

Natychmiast ozdrowiał i przestał wyć. Wszyscy inni zdjęci tą samą niemocą zaczęli głośno dopraszać się o butelkę. Wówczas palnąłem mównicę. Zanim skosztowali leku i wrócili do zdrowia, zasekwestrowałem Tummasookowi miedziany kocioł oraz blaszankę po nafcie, a kobiecie Ipsukuk cukier i melasę, innym zaś pacjentom okazałem porcje mąki. Szaman mierzył

gniewnym spojrzeniem ludzi, którzy przypadli mi do kolan, ale sam z trudem ukrywał

zdziwienie, jakie go nurtowało. Z wysoko wzniesionym czołem udałem się do chaty. Po piętach deptał mi Moosu stękając pod ciężarem łupu.

W chacie wziąłem się do roboty. W miedzianym kotle Tummasooka zmieszałem trzy litry pszennej mąki z pięcioma litrami melasy i dolałem do tego dwadzieścia litrów wody. Kocioł

postawiłem przy lampie, żeby mieszanina sfermentowała i nabrała mocy. Moosu zrozumiał co się święci i oświadczył, że mądrość moja przechodzi wszelkie pojęcie i że jestem większy od Salomona, o którym słyszał jako mędrca dawnych czasów. Blaszankę umieściłem nad lampą.

Do jej otworu przymocowałem lejek, łączący blaszankę z kością kształtu gęziej szyi. Wysłałem Moosu, żeby utłukł lodu. Gdy go nie było, połączyłem lufę jego strzelby z gęsią szyją. Na środek lufy nałożyłem potem tłuczony lodu. U jej wylotu, obok patelni z lodem, podstawiłem mały żelazny garnek. Gdy zacier dostatecznie sfermentował (minęło dwa dni, zanim stanął na własnych nogach), przelałem go do blaszanki i zapaliłem knoty własnoręcznie skręcone.

Kiedy wszystko było gotowe, przemówiłem do Moosu.

- Pójdiesz - powiadam: - do wioskowej starszyny, przekażesz ukłony ode mnie i zaprosisz, by przyszli tutaj i przespali noc ze mną i z bogami.

Gorzałka wesoło bulgotała, kiedy goście zaczęli odchyłać skórzaną zasłonę wiszącą w drzwiach i chyłkiem, jeden po drugim wchodził do igloo. A ja nic, tylko obkładałam lufę tłuczonym lodem. Z jej wylotu - cyk, cyk, cyk - w żelazny garnek kapie trunek - uważasz pan, bimber. Ale oni nigdy czegoś podobnego nie widzieli, więc tylko niepewnie chichotali, kiedy opiewałem wielkie zalety tego napoju. W czasie przemówienia zauważyłem błyski zawiści w oczach szamana, wobec czego skończywszy posadziłem go obok Tummasooka i kobiety Ipsukuk. Potem dałem tej trójcy pić. Oczy zasły im łzami, w żołądkach zrobiło się gorąco.

Przestali się bać i chciwie wyciągnęli szklaneczki, żeby dać im jeszcze. Gdym ich już dobrze zaprawił, wziąłem się do reszty. Tummasook zaczął się przechwalać, jak to swego czasu zabił

białego niedźwiedzia, i odgrywając tę scenę tak się rozochocił, że omal nie ubił własnego wuja. Ale nikt nie zwracał na to uwagi. Kobieta Ipsukuk rzewnymi łzami opłakiwała syna, który przed wielu

laty zginął wśród lodów. Szaman podśpiewywał zaklęcia i wróżby. I tak przez całą noc, a nad ranem wszyscy leżeli pokotem i smacznie spali z bogami.

Ciąg dalszy nietrudno odgadnąć, prawda? Wieść o magicznym napoju szybko się rozeszła.

Jest to - mówiono - specjał, który przechodzi wszelkie pojęcie. Mowa ludzka jest zbyt uboga, żeby opisać choćby dziesiątą część cudów, jakie napój ten sprawia. Uśmierza ból, odpędza troski, przywołuje dawne wspomnienia, twarze zmarłych, zapomniane sny. To ogień, który ogarnia płomieniem krew, a paląc się, przecież nie spala. Serce wypełnia odwagą, rozprostowuje plecy, mężczyzn czyni czymś więcej niż mężczyznami. Odślania przyszłość, wywołuje zjawy i prorocze widzenia. Tryska mądrością, zna każdą tajemnicę. Nie ma dla niego rzeczy niemożliwych.

Niebawem wszyscy wołali, że chcą spać z bogami. Znosili najcieplejsze futra, najlepsze kęski mięsa, przyprawiali najmocniejsze psy. Ja jednak ostrożnie szafowałem bimbrem, sprzedając go łaskawie tylko tym, którzy przynosili mąkę, melasę i cukier. Zebraliśmy takie zapasy, że z trudem mieściły się w igloo, kazałem więc Moosu zbudować spiżarnię. Nie minęły trzy dni, a Tummasook zbankrutował. Szaman po pierwszej nocy zaczął pić z umiarem, bacznie mnie przy tym obserwował. Przez prawie cały tydzień siedział nam na karku. W ciągu dziesięciu dni nawet kobieta Ipsukuk wyczerpała swe zapasy i poszła do domu na niepewnych nogach.

Ale Moosu narzekał.

- Ach, panie mój - mówił - zgromadziliśmy przebogate zapasy mąki, melasy i cukru, lecz chałupina nasza marna, przyrodziewek chudy, a skóry, na których się śpi, wyliniały. Brzuch mój woła o mięso, od którego nie biłaby pod niebiosa okropna woń, woła o herbatę, jaką siorbie Tummasook, wzdycha tęsknie do tytoniu Neewaka, który jest szamanem i czyha na naszą zgubę. Mąki mam już po dziurki w nosie, opycham się cukrem i melasą ile dusza zapragnie, ale serce Moosu boleje, a jego łóżko jest puste.

- Zamilcz! - odrzekłem - słabą masz głowę i głupiec jesteś. Siedz cicho i czekaj, a wszystko to wpadnie nam w ręce. Gdybyśmy chapnęli teraz, chapnęlibyśmy niedużo, a w końcu nic by nam nie zostało. Jesteś dziecko wobec mądrości białego człowieka. Trzymaj język za zębami i patrz, a ja ci pokażę, jak postępują moi bracia za morzami i jak zagarniają bogactwa świata.

To się nazywa "byznes". Co ty o tym wiesz!

Na drugi dzień Moosu przybiegł do chaty zdyszany.

- O panie! Dziwne rzeczy dzieją się w igloo Neewaka, szamana. Koniec z nami, nie będziemy mieli ciepłych futer, nie skosztujemy dobrego tytoniu, a wszystko przez to, żeś pan wariował

za melasą i mąką. Leć pan zobaczyć, a ja tu przypilnuję samogonu. Poszedłem więc do igloo Neewaka. Wyobraź pan sobie, szaman sprytnie podpatrzył mój alembik i zrobił taki sam. Gdy mnie zobaczył, nie mógł ukryć uczucia dumy. Był to bowiem gość z głową na karku, a w moim igloo spał z bogami zapewne nie tak twardo, jakby się zdawało.

Nic jednak sobie z tego nie robiłem, bom swoje wiedział. Wracam tedy do chaty i przemawiam Moosu do rozumu.

- Na szczęście lud ten uznaje prawo własności, choć na ogół w małym stopniu korzysta z dobrodziejstw instytucji cywilizowanego świata. Dzięki temuż poszanowaniu własności ty i ja porośniemy w tłuszcz, a ponadto wprowadzimy tu nowe porządki, których inne narody dopracowały się wśród krwawego trudu i wielkich cierpień.

Moosu niedużo zrozumiał. Oczy mu się otwały dopiero, gdy wpadł szaman i łypiąc okiem oświadczył z nutą pogroźki w głosie, że chce ze mną dobić targu.

- Słuchaj - wołał - w całej wiosce nie ma ani krzty mąki i melasy. Sprytnie obrałeś z nich mój lud, który spał z twoimi bogami, a teraz nie ma nic prócz napęczniałych głów, słabych kolan i pragnienia, którego nie może ugasić. Źle jest, a wiedz, że lud słucha mego głosu. Lepiej więc będzie, jeśli zaczniesz ze mną handlować tak samo jak wtedy, gdyś kupował melasę i mąkę.

A ja na to:

- Dobrąś mowę powiedział, mądrość zagościła w twych ustach. A więc handlujmy. Za tę ilość mąki i melasy dasz puszkę herbaty "Z gwiazdą" i dwa wiadra tytoniu Moosu jęknął, a kiedy transakcja została zawarta i szaman poszedł, zaczął mi robić gorzkie wymówki.

- Teraz - mówił - teraz wsiąkliśmy na amen, boś pan oszalał! Neewak sam będzie warzył

hooch i przyjdzie chwila, że nakaże ludowi pić tylko jego hooch, żadnego innego. Wobec czego jesteśmy zrujnowani, nasz towar nic nie wart, zostanie nam nędzne igloo, a łożo Moosu zimne będzie i puste!

A ja na to:

- Klnę się na zewłok wilka, żeś cymbał i że ojcowie twoi byli, a potomkowie będą aż do ostatniego pokolenia durniami. Mieć twój rozum, to już lepiej nie mieć żadnego, oczy twe ślepe są na byznes. Mówiłem ci, co to jest byznes, ale ty nic nie rozumiesz. Idźże, synu tysiąca durni, napij się samogonu, który Neewak pędzi w swym igloo, i bij pokłony twym bogom za to, że korzystasz z mądrości białego człowieka, dzięki której opływasz w dostatki.

Jazda! A kiedy się napijesz, przynieś na wargach smak tego napitku, żebyś go mógł mi opisać.

Dwa dni potem Neewak przysłał nam ukłony i zaproszenie do swego igloo. Moosu poszedł, ja zostałem w domu. Słuchałem jak świergoce moja bimbrownia, powietrze było gęste od dymu szamańskiego tytoniu. Albowiem słaby był ruch w interesie owego wieczoru i właściwie zaszedł do mnie jeden tylko Angeit, wierny mi młody myśliwy. Po pewnym czasie wrócił

Moosu. Dusił się ze śmiechu i wesoło mrużył oczy.

- Jesteś wielkim człowiekiem - powiedział - panie mój, wielkim człowiekiem i wspaniałomyślnym. Dlatego nie potępisz sługi twego, Moosu, który miewa chwile zwątpienia i pewnych rzeczy nie może

ogarnąć rozumem.

- Cóż się stało? - zapytałem. - Czyś ty przypadkiem nie wypił za dużo? A tamci śpią jak zabici w igloo Neewaka szamana, co?

- Nie, wściekają się i brzuchy ich bolą, a wódz Tummasook złapał Neewaka za gardło i przysięgł na kości swych przodków, że nie chce go więcej widzieć na oczy. Słuchaj! Wchodzę do igloo, a tu gorzała bulgoce i bańki puszcza, para idzie przez gęsią szyjkę całkiem jak u ciebie, panie mój, tak samo zamienia się w płyn po spotkaniu z lodem i na samym końcu kapie do garneczka. Więc Neewak częstuje napitkiem... Boże ty mój, trunek zupełnie niepodobny do twego, bo ani w język nie szczypie, ani w oku łza się nie kręci. Co tu ukrywać - woda. Pijemy, pijemy na umór i wciąż siedzimy, a w sercach chłód i wielka powaga. Neewak się zmieszał, czoło mu się chmurzy. Wybiera z całego towarzystwa tylko Tummasooka i Ipsukuk, sadza ich osobno, prosi, żeby pili, pili, pili. Piją oni, piją, piją i siedzą sztywni a chłodni, aż Tummasook zrywa się w gniewie okrutnym i żąda zwrotu futer i herbaty. Ipsukuk podnosi głos, piskliwy i zły.

Całe towarzystwo woła, żeby szaman oddał, co od nich dostał, harmider wielki się robi...

- Czy ten pieski syn myśli, że jestem wieloryb? - słyszemy nagle głos Tummasooka.

Wódz odsuwa skórę wiszącą w drzwiach i staje wyprostowany w naszym igloo z twarzą pociemniałą z gniewu i chmurnym czołem.

- Napęczniałem - powiada - jak rybi pęcherz, zaraz pęknę, ledwie się mogę ruszyć, taki ciężar dźwigam. Lala! W życiu tak nie piłem, a jednak w oczach mi jasno, kolana mocne, ręka nie drży.

Jeden po drugim wchodzili ludzie do naszego igloo.

- Szaman nie umie sprawić, byśmy spali z bogami - skarżyli się - to się udaje tylko w twojej chacie.

Śmiałem się w duchu, gdy na prawo i lewo rozdawał bimber, a goście się weselili. A do mąki, którą sprzedałem był Neewakowi, tom domieszał hojną ręką sody zakupionej u kobiety Ipsukuk. No to jak mógł jego zacier sfermentować, jeśli soda mu nie pozwalała? Jakim, pytam się, cudem jego bimber mógł się zbimbrzyć, skoro nie chciał skwaśnieć?

Od tej pory bogactwo napływało do naszej chaty nieprzebranym strumieniem. Futer mieliśmy bez liku, a także kobiecych robótek, posiadliśmy też wszystką herbatę wodza, a mięso znosili nam bez końca. Pewnego razu Moosu opowiedział mi historię Józefa w Egipcie, zresztą okrutnie zniekształconą, ale to mnie natchnęło pewną myślą i niebawem połowa plemienia pracowała przy budowie wielkich moich spizarni mięsa. Z tego, co upolowali, dostawałem lwią część i wszystko magazynowałem. Moosu też nie próżnował. Z kory brzozy zrobił talię kart i nauczył Neewaka grać w "siódemkę". W grę wciągnął również ojca Tukelikety. Wkrótce poślubił dziewczynę, a na drugi dzień wprowadził się do chaty szamana, najpiękniejszej w całej wiosce. Neewak zszedł na psy, przerznął bowiem w "siódemkę" wszystko, co miał, razem z bębenkami ze skóry morsa i przyborami czarownika - wszystko. W końcu przyszło mu na to, że rąbał drwa, nosił wodę i był gotów do posług na każde skinienie Moosu. Ten zaś -

tak, Moosu, sam się ogłosił szamanem, czyli arcykapłanem, a z pokiełbaszonego przez się Pisma świętego stworzył nowych bogów i przed osobliwymi ołtarzami odprawiał gusła.

Byłem z tego zadowolony, bom uważał, że kościół i państwo powinny iść ręką w re'ke, a poza tym miałem jeszcze swoje państwowe plany. Wydarzenia rozwijały się tak, jak to przewidziałem. Pogodny nastrój i uśmiechnięte lica zniknęły z osady. Ludzie zrobili się posępni i chmurni. Raz po raz wybuchały kłótnie i bójki, dniem i nocą nie ustawał zgiełk i rwetes. Idąc za wzorem Moosu inni też zrobili karty. Myśliwi rżnęli w karciecia między sobą.

Tummasook prał okropnie małżonkę, aż jego wuj stanął w obronie kobiety i kłębem morsa rąbnął go tak, że wódz w nocy wył z bólu i pohańbił się w oczach narodu. Wśród tego rodzaju rozrywek poniechano łowów i wkrótce kraj nawiedziła klęska głodu. Noce były długie i ciemne, a w braku mięsa nie było za co kupić bimbru. Szemrano więc przeciw wodzowi. O to mi właśnie szło. Gdy już głód dobrze im się dał we znaki, zwołałem całą wieś, wygłosiłem wielką mowę, przybrałem pozę patriarchy i nakarmiłem głodnych. Moosu też palnął mówkę, dzięki której, jak również w uznaniu mych zasług wybrano mnie wodzem. Moosu, który rozmawiał z Bogiem i obwieszczał jego zarządzenia, namaścił mnie tranem. Okropnie mi gębę wysmarował, bo nie rozumiał, na czym polega obrządek pomazania. We dwójkę wykładaliśmy ludowi nową teorię boskiego pochodzenia królewskiej władzy. A że bimbru było w bród, mięsa nie brakowało i wyprawiliśmy festyn, nowy ład spotkał się z ogólnym uznaniem.

Widzisz więc, szanowny panie, zem siedział na wyżynach, odziewałem się w purpurę i panowałem nad ludem. I do dziś dnia byłbym królem, gdyby mi starczyło tytoniu i gdyby Moosu okazał się większym głupcem, a mniejszym łajdakiem. Bo, widzisz, wpadła mu w oko Esanetuk, najstarsza córka Tummasooka. A ja zaprotestowałem.

- O bracie mój - klarował mi Moosu - byleś łaskaw powiedzieć, że będą tu wprowadzone nowe porządki. Słuchałem słów twoich i czerpałem z nich mądrość. Ty rządysz z woli boskiej, a ja z woli boskiej się ożenię.

Nie uszło mej uwagi, że mówi do mnie przez "bracie", rozgniewałem się i obtańcowałem faceta. Ale odwołał się do narodu i przez trzy dni odprawiał gusła, w czym cała wieś brała udział. W końcu głos boży przemówił przez niego oznajmiając, że ma być wprowadzone wielożeństwo, albowiem taka jest wola boska. Ale chytra to była sztuka, gdyż ilość żon uzależnił od cenzusu majątkowego i w ten sposób dzięki swemu bogactwu wyniósł się ponad innych. Trudno go było nie podziwiać, chociaż władza wyraźnie przewróciła mu w głowie i wiadomo było, że nie spocznie, póki cała władza i wszystkie bogactwa nie znajdą się w jego łapach. Rozpierała go pycha, zapomniał, że mnie zawdzięcza swe stanowisko i począł czyhać na moją zgubę.

Ale było to interesujące, bo ten łapserdak po swojemu przekształcał pierwotne społeczeństwo.

Mając monopol samogonowy ciągnąłem z niego zyski, przestałem jednak dzielić się nimi z Moosu. Pomyślał trochę i wprowadził system podatków kościelnych. Nałożył na mieszkańców wsi dziesięcinę. Grzmiał przy tym o pierwotnych tłustych barankach i tak dalej, nicując na swój użytek zasłyszane i raz już przekręcone przypowieści biblijne. Nawet to zniósłem w milczeniu. Kiedy

wszakże wprowadził coś na kształt progresywnego podatku dochodowego, zbuntowałem się. Głupstwo zrobiłem, bo jemu właśnie o to chodziło. Odwołał się w tej sprawie do ludu, który go poparł, bo lud zazdrościł mi bogactw i sam płacił wysokie podatki.

- Dlaczego my mamy płacić - pytali - a ty nie? Czyż przez usta Moosu, szamana, nie mówi głos Boga?

Ustąpiłem. Ale zaraz podniosłem cenę bimbrow. Mój Boże! Moosu jakby na to czekał, natychmiast przykręcił śrubę podatkową.

Tak się zaczęła otwarta wojna. Postawiłem na Neewaka i Tummasooka stając w obronie ich praw uświęconych tradycją. Moosu wygrał, bo powołał do życia stan duchowny i obydwu nadał wysokie godności. Stał przed nim problem władzy, rozwiązywał go podobnie jak przed nim wielu innych. To był mój błąd. Sam powinienem był zostać szamanem, a on wodzem, lecz za późno to zrozumiałem, tak więc w starciu między władzą duchowną i doczesną skazany byłem na kieskę. Rozgorzał wielki spór, ale szala zwycięstwa szybko się przechyliła na stronę Moosu. Ludzie pamiętali, że to on mnie namaścił i jasne było dla nich, iż źródłem władzy nie jestem ja, tylko on. Zostałem sam z garstką zwolenników, z których najbardziej był mi oddany Angeit. Moosu stanął na czele partii ludowej i rozpuszczał pogłoski, jakoby zamierzał obalić go i ustanowić własnych bogów, najbardziej bezpiecznych pod słońcem. Szczwany drań znów mnie ubiegł, bo rzeczywiście tak chciałem zrobić: abdykować -

rozumie pan? - i orężem wiary walczyć z jego religią. Nastraszył lud opowieściami o niegodziwych postępkach moich bogów, a zwłaszcza jednego, który się nazywa Byznes (wymawiał Bzzz Nzzz) - i stłumił mój plan w zarodku.

Zdarzyło się, że Kluktu, najmłodsza córka Tummasooka, przypadła mi do gustu, i to nie bez wzajemności. Rozpocząłem starania, lecz ekswódz odpalił mnie - gdy już zapłacił cenę kupna - oświadczając, że Moosu zastrzegł sobie tę dziewczynę. Tego już było za wiele!

Miałem ogromną ochotę pójść do jego igloo i zaciukać dziada gołymi rękami. Przypomniałem sobie jednak, że tytoń już się kończy i z uśmiechem na ustach wróciłem do domu. Na drugi dzień Moosu odprawił zaklęcia i przefasonował cud z chlebem i rybami na wróżbę. Czytając między wierszami zrozumiałem, że arcykapłan pije do moich spiżarni, zawałonych mięsem.

Lud także nie był w ciemę bity. Szaman wcale ich nie nakłaniał, by poszli na łowy, większość więc pozostała w chatach i upolowano tylko parę karibu i niedźwiedzi.

Ale ja miałem co innego na oku, bom widział, że nie tylko tytoń, lecz i zapas mąki i melasy jest na ukończeniu. A poza tym uważałem za swój obowiązek pokazać, jaki mądry jest biały człowiek, i zalać sadła za skórę Moosu, któremu przewróciło się we łbie, gdy dzięki mnie zdobył władzę. Tej samej nocy poszedłem do swoich spiżarni. Ciężko tam pracowałem.

Nazajutrz rzucało się w oczy, że wszystkie psy stały się dziwnie leniwe. Nikt niczego nie podejrzewał, ja noc w noc ciężko pracowałem, psy były coraz tłustsze, a ludzie chudli i chudli.

Zaczęli szemrać i domagać się spełnienia proroctwa, lecz Moosu ich hamował czekając, aż głód

jeszcze bardziej im dokuczy. Do ostatniej chwili nawet się gałganowi nie śniło, jaką sztukę mu wytnę, i nie przyszło mu do głowy, że spiżarnie są puste.

Gdy wszystko było gotowe, posłałem Angeita wraz z wierną mi gromadką (karmiłem ich potajemnie), żeby obeszli wioskę i zwołali wiec. Całe plemię zebrało się na udeptanym śniegu przed moją chatą. Z tyłu wznosiły się na palach, jak na szczudłach, spiżarnie. Przyszedł i Moosu. Tłum zatoczył koło. W pierwszym szeregu stanął Moosu, prosto naprzeciw mnie, pewny, że coś tu knuję, gotów pierwszą zaczepkę odeprzeć druzgocącym ciosem. A ja wstałem i przy wszystkich mu się pokłoniłem.

- O Moosu, ty błogosławiony przez Boga! - tak zacząłem. - Dziwisz się pewnie, że zwołałem to zgromadzenie i niewątpliwie po tylu głupstwach, jakich narobiłem, oczekujesz niebaczących słów i postępów. O, nie! Powiedzione jest, że jak bogowie chcą kogoś ukarać, to mu najpierw rozum odbierają. A ja byłem naprawdę pozbawion rozumu. Sprzeciwiałem się twej woli, kpiłem z twojej władzy, dopuściłem się wielu bezecnych i swawolnych postępów. Tej nocy jednak zesłane mi było widzenie i ujrzałem, żeś zbłądził. A tyś stanął przede mną jak gwiazda płomienna, i brwi ci gorzały, i pojąłem w sercu moim, żeś wielki. Wszystko stało mi się jasne.

Zrozumiałem, że Bóg darzy cię swoim uchem i kiedy ty mówisz, on słucha. Przypomniałem sobie, że wszystko, com uczynił dobrego, uczyniłem za sprawą łaski boskiej i twojej.

- Tak, dziatwo moja! - wołałem zwracając się do ludu. - Jeślim kiedy postąpił sprawiedliwie, jeślim zrobił co dobrego, zawszem czynił za radą Moosu. Gdy go słuchałem, wszystko szło świetnie, gdym zatykał uszy i folgował swemu szaleństwu, same głupstwa z tego wychodziły.

Za jego to radą zebrałem zapasy mięsiwa i w czarne dni karmiłem głodnych. Z jego łaski zostałem wodzem. A jak używałem swej władzy? Pozwólcie, że wam powiem. Nic nie zrobiłem. W głowie mi się przewróciło, ubrdałem sobie, że jestem większy niżli Moosu, i uważacie - tyłkom się biedy napytał. Rządziłem niemądrze, bogowie się na mnie pogniewali.

O Boże, Boże! Głód trzewia wam ścisza, matkom w piersiach wyschło, zgłodniałe dzieciątka kwilą po nocach.

A ja, którym w sercu chował zatwardziałą nienawiść do Moosu, nie wiem, co mam począć i skąd tu wziąć żarcia.

W tym miejscu tłum zaczął kiwać głowami. Uśmiechali się i coś sobie na ucho szeptali -

wiedziałem, że o bochenkach chleba i rybach. Szybko waliłem dalej.

- A więc zrozumiałem własną głupotę i mądrość Moosu, pojąłem, że jestem niedojda, a Moosu głowacz. Dlatego, gdy przeszło mi szaleństwo, przyznaję się do winy i chcę naprawić zło, którym wyrządził. Spozierałem bezecnym okiem na Kluktu i co się okazało? Została oddana Moosu. A przecież Kluktu jest moja, bo czy nie zapłaciłem za nią Tummasoo'kowi towarem?

Ale jam niewart Kluktu, niechaj więc przejdzie z ojcowskiego igloo do igloo Moosu. Czyż bowiem

księżyc może świecić, gdy słońce błyszczy na niebie? Po drugie, Tummasook niech zachowa, co dostał ode mnie, a dziewczynę niechaj weźmie w darze Moosu, bo Bóg nakazał, aby został jej panem i władcą. Co więcej, ponieważ niemądrze używałem bogactwa i korzystałem zeń, aby was, moje dziatki, uciskać, oto składam w darze Moosu blaszankę po nafcie, jak również gęsią szyjkę, lufę oraz miedziany kocioł. Tym samym nie będę już mógł

zgarbiać wszystkiego pod siebie, a jeśli zechce się wam hooch, on ugasi wasze pragnienie, i to bez zdzierstwa. Boć wielki to człowiek i Bóg przemawia przez jego usta. I jeszcze coś: serce mi zmiękło, żałuję swego szaleństwa. Ja, który jestem kpem i synem kpów, ja - sługa złego boga Bzzz Nzzz, ja, który widzę wasze puste brzuchy i mię wiem, jak je zapełnić -

czemu, miałbym być wodzem, wynosić się nad was i przywieść naród do zguby? Po cóż miałbym robić to, co nie jest dobre? Natomiast Moosu, szaman, człek z wszystkich najmądrszy, stworzony jest do tego, by rządzić łagodną ręką i sprawiedliwie. Z powodów, które wam wyłuszczyłem, abdykuję więc i władzę swą przekazuję w ręce Moosu, on jeden bowiem będzie wiedział, jak was nakarmić w dniu, w którym zabraknie mięsa w kraju.

Gdym skończył, rozległy się huczne oklaski i lud wołał: Klosz! Klosz! co znaczy - dobrze.

W oczach Moosu dostrzegłem zdziwienie i niepokój. Nie mógł zrozumieć, o co mi chodzi, i bał się mej mądrości białego człowieka. Spełniłem wszystkie jego życzenia, niektóre zaś nawet uprzedziłem. Widząc, jak stoję tutaj własnoręcznie wyzuty z władzy, zdawał sobie sprawę, że nie pora podburzać lud przeciw mojej osobie.

Nim się rozeszli, obwieściłem, że wraz z przejściem bimbrowni na własność Moosu, wszystek samogon, jaki mam, przekazuję w ręce ludu. Moosu usiłował protestować, bo dotąd pozwalaliśmy zalewać się małym gromadkom, lecz nigdy wszystkim naraz. Ale tłum krzyczał: Klosz! Klosz! i zaczęła się huczna zabawa przed moim igloo. A kiedy trunek począł im szumieć w głowach i na dworze bawiono się coraz hałaśliwiej, ja w domu naradzałem się z Angeitem i paru oddanymi mi ludźmi. Powiedziałem im, co mają robić, i dokładnie przyuczyłem, co mówić. Potem chyłkiem przemknąłem się do lasu, gdzie miałem dwoje sanek dobrze wyładowanych i dwa nie przekarmione psy zaprzęgi. Wiosna, uważasz pan, była za pasem, śnieg okryła skorupa lodu, słowem w sam raz, żeby ruszyć w drogę na południe. Co więcej, tytoń się skończył. Spokojnie czekałem w lesie, gdyż nie miałem się czego obawiać. Gdyby chcieli mnie ścigać, psy mieli zapasione, a sami zbyt byli wygłodzeni, żeby mnie dognać. Poza tym wiedziałem, jaka niespodzianka ich czeka, bo sam ją starannie przygotowałem. Najpierw przybiegł jeden mój zausznik, a za nim drugi.

- O panie! - zawołał pierwszy ciężko dysząc. - W wiosce zrobiła się straszna chryja, wszyscy potracili głowy i sami już nie wiedzą, czego chcą. Spili się, jedni napinają cięciwy, inni się kłócą. Jeszcze u nas nie było takiej awantury.

A drugi mój zausznik mówi:

- Zrobiłem, jakieś kazał, o panie. Szeptalem chytne słowa w chętne uszy i budziłem wspomnienia dawnych czasów. Kobieta Ipsukuk płacze nad swoją biedą i bogactwem, które postradała.

Tummasook znów się uważa za wodza. A ludzie są głodni i wszystko się w nich gotuje.

Trzeci powiedział:

- Neewak powywracał ołtarze Moosu i odprawia zaklęcia przed starymi bogami, których czciliśmy przez tyle lat. Ludzie wspominają bogactwa, co przeciekły im przez gardła i są bezpowrotnie stracone. A Esanetuk, która jest sick tumtum, pobiła się z Kluktu i narobiła szumu. Potem, jako córki jednej matki, wzięły się we dwójkę do Tukelikety. Na sam koniec w trójkę jak trzy huragany uderzyły na Moosu z wszystkich stron, aż uciekł z domu i wystawił się na pośmiewisko. Bo mężczyzna, który nie umie sobie dać rady ze swym babińcem, jest kpem.

Wówczas nadszedł Angeit.

- Straszne kłopoty spadły na Moosu, o panie, bo tak długo szeptałem ludziom na ucho, aż przyszli do niego i mówią, że głodni, i żądają spełnienia wróżby. Wielkim głosem wołają: Itlwillie! Itlwillie! (Mięso). Więc Moosu krzyczy swoim niewiastom, rozjuszonym z gniewu i pijaństwa, żeby zamknęły gęby, i prowadzi plemię do twoich spizarni. Nakazuje mężczyznom otworzyć i najeść się do syta. A tu spizarnie puste. Mięsa ani kawałka. Mężczyźni stoją niemi, lud zdjęło przerażenie. Pośród ciszy zabieram głos:

- O, Moosu, gdzie mięso? O tym, że było, dobrze wiemy. Czyż nie przynosiliśmy go z łowów?

Kłamstwem byłoby, gdybyś powiedział, że jeden człowiek sam wszystko zjadł. A przecież myśmy z tego mięsa nie widzieli nawet skóry i kości. Gdzie jest mięso, o Moosu? Bóg cię słyszy. Gdzie mięso?

Ludzie wołają: "Bóg cię słyszy. Gdzie mięso?" I szepczą między sobą zdjęci strachem.

Wówczas wszedłem w tłum. Mówiłem o okropnych, tajemnych sprawach, o nieboszczykach, co przemykają się jak cienie i czynią zło, mówiłem tak długo, aż przerażeni zaczęli głośno krzyczeć i zbili się w gromadkę jak dzieci, które się boja ciemności. Neewak wygłosił mowę.

Dowodził, że wszystkie nieszczęścia przysły z chaty Moosu. Gdy skończył, szal ludzi ogarnął, chwyтали za włócznie, kły morsa, pałki i kamienie z morskiego brzegu. Moosu uciekł

do chaty. Nie pił hooch. Dlatego nie mogli go złapać, przewracali się jeden na drugiego i dreptali w miejscu. Do tej chwili wyją przed jego igloo, babiniec hałasuje w środku, on też się drze, ale sam swego głosu nie słyszy.

- O Angeit, dobrześ się spisał - pochwaliłem. - A teraz weź te puste sanki i chude psy, goń do igloo Moosu. Nim się pijany lud połapie, co robisz, czym prędzej rzuć Moosu na sanki i przywieź go tu.

Czekając na powrót Angeita, dałem parę dobrych rad moim wiernym towarzyszom. Moosu przyjechał na sankach. Siniaki na jego twarzy świadczyły, że niewiasty dobrze się z nim porachowały. Wypadł z sanek w śnieg i leżąc u mych stóp płakał.

- O panie! - woła. - Przebaczysz słudze twemu, Moosu, jego nieczne postęпки! Tyś wielki człowiek!

Na pewno przebaczysz!

- Mów mi "bracie", Moosu, mów mi "bracie" - szydziłem. Końcem mokasy na podniosłem go na nogi.

- Będziesz mnie słuchał?

- Tak, panie - skamlał - zawsze.

- No to kładź się przez sanki - przełożyłem bat do prawej dłoni. - Kładź się twarzą do śniegu.

Tylko prędko, bo jeszcze dziś ruszamy na południe.

Kiedy się należycie ułożył, zacząłem okładać go batem, za każdym uderzeniem wyliczając winy, jakich się względem mnie dopuścił.

- To za nieposłuszeństwo w ogóle - chlast! A to za nieposłuszeństwo w szczególności - chlast!

chlast! To za Esanetuk! To dla dobra twojej duszy! To za powagę twego urzędu! To za Kluktu! To za władzę od Boga! To za tłuste pierworodne baranki! A to i to za podatek dochodowy i bochny chleba tudzież ryby! A to za całokształt twego nieposłuszeństwa! A to na koniec, żebyś odtąd był ostrożniejszy i nabrał rozumu! A teraz przestań smarkać i wstań! Włóż rakiety śnieżne, idź

naprzód i toruj drogę psom. Uwaga! Naprzód! Marsz!

Tomasz Stevens uśmiechnął się pod wąsem, zapalił piąte cygaro i puścił serię kółek pod sufit.

- Ale co się stało z ludźmi w Tattarat? - zapytałem. - Czy to nie nazbyt okrutne skazać ich na śmierć głodową?

Roześmiał się i między jednym kółkiem a drugim powiedział:

- A czy nie mieli tłustych psów?

Przełożył Kazimierz Piotrowski

Rozniecić ogień

Dzień wstawał zimny i szary - niezwykle zimny i szary - kiedy człowiek porzucił główny szlak Yukonu, aby wspiąć się na wysoki brzeg rzeki, skąd mało widoczna, od dawna nie uczęszczana ścieżka wiodła ku wschodowi przez pyszne świerkowe lasy. Skarpa była stroma, więc u jej szczytu człowiek przystanął, by chwycić oddech, usprawiedliwiając się spojrzeniem na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Na bezchmurnym niebie nie było nawet śladu słońca i mimo jasności poranka nieuchwytny mrok zdawał się spowijać wszystko, przyćmiewać dzień subtelnym cieniem wynikłym z braku słońca. Mężczyzna nie przejmował się tym wcale. Do braku słońca przywykł. Nie widział go od wielu dni i wiedział, że nie ma jeszcze dni upływać, zanim radosna kula wyrzy nad linię południowego widnokregu, aby po chwili umknąć z pola widzenia.

Człowiek odwrócił głowę, spojrzął na drogę dopiero co przebytą. Szeroki na milę Yukon krył

się pod trzystopową skorupą lodu, na której śnieg spoczywał warstwą tejże grubości.

Wszystko to było niepokalanie białe, sfałdowane delikatnie w miejscach, gdzie podczas zamarzania rzeki spiętrzały się zatory. Na północ i południe, jak wzrok sięgnie, leżała gładka biel naznaczona jedynie krętym włosem ciemniejszej kreski, która na południu niknęła za jedną porośłą świerkami wysepką, a ku północy - za drugą. Ten kręty włos to był szlak, główny szlak wiodący w stronę południa pięćset mil do Chilcoot Pass, Dyea i słonej wody, w przeciwnym kierunku siedemdziesiąt mil do Dawson, dalej tysiąc do Nulato i wreszcie do Saint Michał nad Morzem Beringa, odległym o następne półtora tysiąca mil.

Ale tajemnicza, cienka niby włos i sięgająca daleko kreska szlaku, brak słońca na niebie, straszliwy ziąb, upiorna groza i obcość całego krajobrazu - wszystko to nie oddziaływało na wędrowca. Nie dlatego nawet, by od dawna przywykł do podobnych wrażeń; był świeżym przybyszem i na Północy spędzał pierwszą zimę. Chodziło o to, że absolutnie nie posiadał

wyobraźni. Bystro i czujnie reagował na sprawy życia - ale na same sprawy, nie ich sens i wymowę. Pięćdziesiąt stopni niżej zera oznaczało dlań osiemdziesiąt kilka stopni mrozu

[Fahrenheita], czyli kłopot i zimno - nic więcej. Stwierdzenie faktu nie prowadziło do żadnych rozważań nad własną słabością i uzależnieniem od temperatury oraz słabością człowieka jako gatunku, zdolnego do istnienia tylko w bardzo ciasnych granicach chłodu i gorąca. Nie wynikały stąd żadne ogólniejsze wnioski na temat nieśmiertelności i miejsca rodzaju ludzkiego w świecie.

Pięćdziesiąt stopni niżej zera równało się ukąszeniom mrozu, przeciw którym bronią rękawice, nauszniki, ciepłe mokasyny, grube skarpety. Pięćdziesiąt stopni niżej zera było dla wędrowca po prostu i jedynie pięćdziesięcioma stopniami niżej zera. W głowie nie powstała mu myśl, że coś więcej może kryć się za tym symbolem.

Człowiek odwrócił się, by ruszyć w dalszą drogę, lecz po zastanowieniu splunął. Zdziwił go nieco nagły suchy trzask, więc splunął powtórnie i stwierdził raz jeszcze, że ślina krzepnie w powietrzu. Wiedział naturalnie, że przy pięćdziesięciu stopniach niżej zera ślina pada z trzaskiem na śnieg. Ale jego ślina zamarzła już w drodze, a zatem temperatura musi być niższa niż pięćdziesiąt stopni; o ile niższa, nie dbał. Zmierzał do starej działki złotodajnej nad lewą odnogą Henderson Creek, gdzie obozowali już chłopcy. Przyszli działem wodnym z dorzecza Indian Creek, natomiast on wybrał okólną drogę, aby zbadać, czy wiosną da się sprowadzić pnie drzew z wysp na Ykonie. Do obozu dotrze około szóstej, po zmroku co prawda, ale zastanie tam chłopców, suty ogień i ciepłą kolację. No a obiad?... Człowiek zmacał ręką wypukłość pod bluzą, gdzie - również pod koszulą - spoczywał na gołym ciele węzełek w chustce do nosa. Był to jedyny możliwy sposób uchronienia strawy przed zamarznięciem. Wędrowiec uśmiechnął się do siebie na myśl o sucharach obficie nasiąkniętych wieprzowym tłuszczem, przekładanych grubymi plastrami smażonego boczku.

Szlak między potężnymi świerkami był nikły. Od czasu gdy przemknęły tamtędy ostatnie sanki, pokrywa śnieżna zgrubiała o stopę. Człowiek pomyślał z satysfakcją, że nie prowadzi sanek, podróżuje lekko, nie dźwigając nic, oprócz zawiniętego w chustkę obiadu. Natomiast mróz dziwił go i niepokoił. Z pewnością jest okropnie zimno - myślał pocierając dłonią w rękawicy zmartwiały nos i policzki. Miał bujny zarost, lecz owłosienie twarzy nie chroniło wystających kości policzkowych ani długiego nosa, wietrzącego czujnie zapach lodowatego powietrza..

Tuż za człowiekiem dreptał pies - rosły indiański husky, prawdziwy wilczur o szarym futrze, wyglądem ani zachowaniem nie różniący się wcale od swojego pobratymca, dzikiego wilka.

Pies czuł się niepewnie wśród przejmującego chłodu. Wiedział, że pora nie sprzyja wędrówkom. Instynkt mówił mu więcej niż ludzka, wyrozumowana świadomość człowiekowi.

Naprawdę było więcej niż pięćdziesiąt stopni niżej zera. Było więcej niż sześćdziesiąt czy nawet siedemdziesiąt - termometr wskazywałby siedemdziesiąt pięć stopni. Pies nic nie wiedział o termometrach. W jego mózgu nie znajdowało zapewne miejsca świadome określenie warunków dotkliwego zimna, jak to się działo w mózgu człowieka. Ale posiadał

instynkt i dzięki niemu odczuwał nieokreśloną, lecz wyraźną trwogę, która kazała mu trzymać się blisko człowieka i spoglądać niespokojnie na każdy jego ruch. Zdawać się mogło, że pies czeka chwili, gdy człowiek znajdzie się w obozie albo też stanie na popas, roznieci ogień. Pies nauczył się ognia i chciał go w tej chwili. Chciał również zagrzebać się w śnieg, ochronić własne wewnętrzne ciepło przed atakami mroźnego powietrza.

Wilgoć zamarzającego oddechu pokrywała psią sierść delikatnym pyłem szronu, którego drobne kryształki osiadały przede wszystkim na brwiach, pysku i wokół nozdrzy. Rude wąsy i broda człowieka były też oszronione, lecz w odmienny sposób, bo opar przybierał tam postać lodu, grubiejącego po każdym ciepłym, wilgotnym wydechu. Człowiek żuł tytoń, a lodowy kaganiec zaciskał mu wargi tak, że nie mógł nawet usunąć tytoniowego soku, który od czasu do czasu ciekł mu po brodzie. W rezultacie pod dolną wargą urosła mu broda barwy i konsystencji bursztynu, rosła coraz bardziej. W razie upadku rozbiłaby się niby szkło na drobne, lśniące okruchy. Ale człowiek nie zwracał uwagi na dodatkową brodę. Podobne utrapienie przeżywali na Północy wszyscy żujący tytoń, a on miał już za sobą dwie wędrówki w czasie dotkliwego zimna. Mróz był wówczas mniejszy niż obecnie, a termometr alkoholowy w Sixty Mile wskazywał pięćdziesiąt - pięćdziesiąt pięć stopni niżej zera.

Wędrowiec zostawił za sobą parę mil leśnej równiny, przeciął rozległą płaszczyznę pokrytą tu i ówdzie kępami brunatnych zarośli i stromym brzegiem zszedł do łożyska zamarzłego strumienia. Był nad Henderson Creek i wiedział, że do rozwidlenia ma dziesięć mil. Spojrzał

na zegarek. Zbliżała się dziesiąta. Obliczył, że robi cztery mile na godzinę, więc przy rozwidleniu powinien być pół do pierwszej. Postanowił uczcić to wydarzenie i właśnie tam zjeść obiad.

Pies nadal trzymał się nogi człowieka i z żałośnie opuszczonym ogonem dreptał za nim łożyskiem strumienia. Bruzda wyżłobiona przez sanki była dobrze widoczna, chociaż dwunastocalowa warstwa śniegu przysypała ślady ostatniej wędrówki. Świadczyło to, że od miesiąca nikt nie odbywał drogi ani w dół, ani w górę strumienia. Człowiek wytrwale utrzymywał tempo. Z natury nie był usposobiony refleksyjnie, a w danej chwili nie miał o czym myśleć, z wyjątkiem tego, że posili się przy rozwidleniu strumienia i o szóstej wieczorem będzie w obozie z chłopcami. Do pogawędki brakło mu towarzystwa, a gdyby nawet nie brakowało, rozmowę uniemożliwiłby lodowy kaganiec na ustach. Więc jednostajnie żuł tytoń i z minuty na minutę powiększał długość bursztynowej brody.

Od czasu do czasu machinalnie formułował myśl, że jest okropnie zimno i jak żyje nie zetknął

się z równie silnym mrozem. W marszu rozcierał policzki i nos wierzchem okrytej rękawicą dłoni. Robił to odruchowo raz jedną, raz drugą ręką. Ale mimo rozcierania każdy bodaj najkrótszy przystanek powodował drętwienie najpierw policzków, a w następnej sekundzie końca nosa. Człowiek nie wątpił, że odmrozi twarz i chwilami wyrzucał sobie, że nie zmajstrował takiego ochraniacza nosa, jaki nosi Bud podczas wielkich chłódów. Ochraniacz nosa zakrywa też policzki. Ale odmrożenie twarzy to ostatecznie drobiazg. Trochę bólu i tyle.

Rzadko wywołuje poważne następstwa.

Człowiek nie myślał, miał pustkę w głowie, lecz pilnie obserwował drogę, dostrzegał zmiany łożyska strumienia - kolana, łuki, zatory drzewne - i uważał bacznie, gdzie i jak stawia nogi.

Raz przystanął raptownie za zakrętem, niby spłoszony koń. Zawrócił, cofnął się szlakiem kilka kroków. Wiedział, że strumień zamarzł do dna, bo żaden strumień nie zachowuje wody w czasie arktycznej zimy. Ale wiedział również, że tu i ówdzie woda ze źródeł tryskających z urwistego brzegu płynie pod śniegiem na powierzchni lodu. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa takich miejsc, które nie zamarzają całkowicie nawet przy najtęższym mrozie. Są to pułapki kryjące rozlewiska pod śniegiem grubym niekiedy na trzy cale, niekiedy na trzy stopy. Czasami osłania je półcalowa skorupka lodu powleczone z kolei śniegiem.

Czasami warstwy lodu, wody i śniegu tworzą przekładaniec; kto raz załamie jego powierzchnię, załamuje ją coraz dalej i może zapaść się po pas.

Dlatego właśnie człowiek spłoszył się i zatrzymał raptownie. Wyczuł pod stopą niepewne podłoże, złowił uchem cichy trzask przysypanej śniegiem skorupki lodowej. Przy takiej temperaturze przemoczenie nóg oznaczałoby nie lada kłopot i niebezpieczeństwo, a już co najmniej zwłokę, gdyż należałoby zrobić postój, rozniecić ogień i pod jego osłoną zabezpieczyć bose stopy w czasie suszenia skarpet oraz mokasynów. Człowiek przystanął, aby zbadać wzrokiem łożysko i brzegi strumienia. Doszedł do wniosku, że źródło bije z prawej strony, więc pomyślał przez chwilę rozcierając nos i policzki, a następnie wrócił pod lewą skarpe i ostrożnie ruszył naprzód, próbując śnieg przy każdym kroku. Wreszcie niebezpieczeństwo zostawił za sobą, więc wsunął do ust świeżą prymkę i pośpieszył

łożyskiem strumienia w dotychczasowym tempie.

W ciągu następnych dwu godzin napotkał wiele podobnych pułapek. Zazwyczaj śnieg nad zamaskowanymi rozlewiskami był zakłęsły i odrobinę ciemniejszy, co dawało znać o niebezpieczeństwie. Jednakże raz człowiek zorientował się dopiero w ostatnim momencie i przystanął raptownie. Kiedy indziej podejrzewając coś złego, zmusił psa, by ruszył pierwszy.

Pies ociągał się i opierał, póki człowiek nie popchnął go do przodu. Wówczas podreptał przez równą, białą powierzchnię, lecz niespodziewanie załamał kruchy lód, uskoczył jednak w bok i odzyskał pewniejszy grunt. Ale zamoczył przednie łapy i ściekająca z nich woda momentalnie obróciła się w lód. Pies szybko zaczął oblizywać łapy, a następnie ułożył się na śniegu i jął

wygryzać lód spomiędzy palców. Działał pod wpływem instynktu. Oblodzone łapy sprawiałyby ból i

przeszkadzały w drodze. Pies nie wiedział o tym. Po prostu słuchał tajemnych rozkazów płynących z głębin jego istoty. Natomiast człowiek wiedział, bo potrafił wyrobić sobie świadomy pogląd na tę kwestię, ściągnął więc rękawicę z prawej dłoni, aby pomóc zwierzęciu przy wykruszaniu drobin lodu. Palce odsłonił ledwie na minutę, toteż zdziwił się, że zdążyły kompletnie zmartwieć. Naprawdę było bardzo zimno. Spiesznie nałożył rękawicę i z rozmachem począł tłuc dłonią o piersi.

O dwunastej dzień pojaśniał, lecz słońce w swojej zimowej podróży na południe odeszło za daleko, by wyrzeć nad linię widnokręgu. Wypukłość ziemi znajdowała się pomiędzy nim a Henderson Creek, gdzie człowiek szedł w samo południe pod bezchmurnym niebem, nie rzucając cienia. O pół do pierwszej, punktualnie co do minuty, osiągnął rozwidlenie strumienia.

Ucieszyła go własna szybkość; jeżeli nadal ją utrzyma, niezawodnie będzie z chłopcami około szóstej. Rozpiąwszy bluzę i koszulę sięgnął po prowiant. Zajęło to nie więcej niż ćwierć minuty, lecz nawet w tak krótkim czasie odkryte palce zmartwiały. Człowiek nie naciągnął

rękawicy, zamiast tego kilkanaście razy potężnie uderzył dłonią o udo. Następnie usiadł na ośnieżonym kłocu, aby podjeść. Szczypiący ból palców wywołany uderzeniami minął tak szybko, że człowieka ogarnął znów niepokój. Nie zdążył odgryźć kęsa. Ponownie jął tłuc palcami o nogę i szybko naciągnął rękawicę. Następnie obnażył lewą rękę, aby wreszcie zacząć obiad. Próbował ugryźć suchar, czemu przeszkodził lodowy kaganiec na ustach.

Przecież zapomniał, że trzeba rozniecić ogień, odtając nieco. Na myśl o własnej głupocie parsknął śmiechem i w tym momencie spostrzegł, że gołą dłoń ogarnia drętwa. Odczuł też, że kłujący ból w palcach nóg - ból, który dał o sobie znać zaraz potem jak usiadł - ustąpił

całkowicie. Człowiek zadał sobie pytanie, czy palce jego nóg są ciepłe, czy drętwe. Poruszył nimi w mokasynach i osądził, że są drętwe.

Spiesznie naciągnął rękawicę, zerwał się z kłoca. Strach go obleciał. Jął przytupywać mocno, póki nie wrócił kłujący ból w stopach. Człowiek pomyślał raz jeszcze, że naprawdę jest bardzo zimno. W swoim czasie nad Sulphur Creek mówił mu pewien stary wyga, jak diablo zimno potrafi być w tym kraju. Śmiał się wtedy, co bez wątpienia dowodzi, że nigdy nie należy być zbyt pewnym siebie. Oto dziś jest naprawdę zimno. Człowiek biegał tam i z powrotem, przytupywał mocno, zabijał ręce do czasu, kiedy uspokoiło go powracające ciepło wewnętrzne. Wówczas sięgnął po zapalki, by przystąpić do rozniecania ognia. Opał znalazł w zaroślach, gdzie minionej wiosny przybór wód pozostawił niewyczerpane zapasy chrustu.

Pracował systematycznie i rozpoczynając od małego rozniecił niebawem huczące wesoło ognisko, przy którym rozgrzał oblodzoną twarz i podjadł wreszcie z apetytem. Na krótki czas bezkresna, lodowata przestrzeń została przechytrzona. Zadowolony z ognia pies ułożył się wystarczająco blisko, by nie tracić ciepła, i wystarczająco daleko, by nie bać się osmalenia.

Człowiek skończył jeść, później nabił fajkę i paląc odpoczywał wygodnie. Wreszcie naciągnął rękawice, troskliwie zapiął nauszki przy czapce i ruszył szlakiem wzdłuż lewej odnogi strumienia.

Pies był niekontent, marudził przy ogniu. Człowiek nie znał zimna. Zapewne niezliczone pokolenia jego przodków nie doświadczały nigdy mrozu - prawdziwego mrozu, z temperaturą stu siedmiu stopni niżej punktu zamarzania. Ale pies znał go, prawdziwego zimna doświadczały niezliczone pokolenia jego przodków, po których odziedziczył wiedzę. Wiedział, że nie należy odbywać wędrówek w czas tak straszliwego mrozu. Kiedy nadciąga prawdziwe zimno, trzeba ułożyć się spokojnie w dole wygrzebanym w śniegu i czekać, aby mglista firanka wilgoci przesłoniła zewnętrzną lodową przestrzeń. Jednakże psa i człowieka nie łączyła zażyłość, nie było między nimi bliskiego porozumienia.

Pierwszy służył niewolniczo drugiemu, a jedyne pieszczoty, jakich zaznawał, to uderzenia batem i srogie, gardłowe dźwięki zapowiadające także ciosy. Cóż dziwnego, że pies nie usiłował przekazać człowiekowi swoich obaw? Nie dbał o jego bezpieczeństwo i wygody.

Przez wzgląd na siebie ociągał się i marudził przy ognisku. Ale człowiek gwizdnął, przemówił głosem zapowiadającym uderzenia bata, więc pies pośpieszył za nim i znów trzymał się nogi.

Człowiek sięgnął po prymkę i zaczął hodować nową bursztynową brodę. Jego wilgotny oddech szybko pokrywał kryształkami szronu wąsy, brwi i rzęsy. Zdawać się mogło, że lewa odnoga strumienia posiada mniej źródeł, bo w ciągu pierwszej pół godziny marszu człowiek nie zauważył nic podejrzanego. Nagle stało się! W miejscu gdzie sypka, gładka powierzchnia śniegu świadczyła o absolutnie trwałym podłożu, lód załamał się najniespodziewaniej.

Rozlewisko nie było głębokie. Człowiek odnalazł rychło pewny grunt, zdążył jednak przemoczyć nogi do połowy łydek.

Zirytował się, więc głośno przeklął swego pecha. Liczył, że około szóstej trafi do obozu i chłopców, ale wypadek oznaczał godzinę zwłoki, gdyż należało rozniecić ogień, wysuszyć mokasyny i skarpety. Przy takim mrozie był to kategoriyczny nakaz. Człowiek wiedział to, więc bez namysłu wspiał się na stromy brzeg strumienia. U szczytu skarpy, między kilkunastoma niewielkimi świerkami, spoczywały uwikłane w podszybie zapasy opału pozostawione przez wiosenną powódź. Były to głównie drobne gałązki, chrust, patyki, uzupełnione jednak większymi kawałkami drewna oraz kłakami zeszłorocznej trawy - bujnej i wysuszonej doskonale. Człowiek znalazł kilka większych bierwion na podstawie ogniska, bo w przeciwnym bowiem razie nikłe płomienie zapadłyby w topniejący śnieg. Rozniecił ogień przytykając zapałkę do wyjętego z kieszeni skrawka suchej kory brzozonej. Zapłonęła łatwiej niż papier, więc człowiek położył ją na podstawie z bierwion i spiesznie sycił nowo narodzony płomień garściami trawy i najdrobniejszym chrustem.

Pracował bez pośpiechu, systematycznie, bo zdawał sobie sprawę z ogromu niebezpieczeństwa. Stopniowo płomienie przybierały na sile, on zaś karmił je coraz grubszyimi patykami. Przycupnął wśród śniegu, wyciągnął gałęzie z płataniny zarośli, rzucał wprost na ognisko. Wiedział, że o niepowodzeniu nie może być mowy. Przy siedemdziesięciu pięciu stopniach niżej zera musi się udać pierwsza próba rozniecenia ognia - zwłaszcza jeżeli ktoś przemoczył nogi. Z suchymi nogami można biec i po pół mili, zmusić krew do prawidłowego krążenia. Ale w tej sytuacji bieg nie przyda się na nic. Nawet najszybszy ruch nie zdoła przeciwdziałać odmrożeniu.

O tym wszystkim człowiek wiedział. Ubiegłej jesieni rozmawiał nad Sulphur Creek z jednym starym wygą i obecnie był mu serdecznie wdzięczny za dobre rady. Utracił już wszelkie czucie w stopach, a że rozniecając ogień musiał ściągnąć rękawice, palce rąk też zdążyły mu zamrzeć. Uprzednie tempo czterech mil na godzinę zmuszało serce do pracy, zasilania krwią powierzchni ciała i najodleglejszych jego krańców. Ale gdy człowiek stanął, praca serca osłabła. Straszliwy chłód przestrzeni atakował nie zabezpieczony niczym wierzchołek globu, więc człowiek znajdujący się na tym wierzchołku odbierał ciosy w całej ich potęgę. Krew cofała się przed nimi. Była żywa jak pies i nie inaczej niż on pragnęła ukryć się, odgrodzić od zabójczego mrozu. Dopóki człowiek maszerował z szybkością czterech mil na godzinę, pompował krew i mimo oporu wypychał ku skórze. Obecnie jednak krew cofnęła się, uciekła do najgłębszych zakątków ciała. Najwcześniej odczuły to krańce. Wilgotne stopy marzły błyskawicznie, odsłonięte palce rąk martwiały, jakkolwiek nie zdradzały jeszcze objawów odmrożenia. Nos i policzki poczynają marznąć, a cała skóra chłodziła wraz z odpływem krwi.

Ale niebezpieczeństwo nie grozi! Mróz ledwie muśnie palce nóg, nos, policzki, gdyż ognisko zaczyna płonąć na dobre. Człowiek podsyca je patykami grubości swoich palców, niebawem zaś sięgnie po gałęzie grube jak ręka. Później zdejmie mokasyny oraz skarpety i w czasie kiedy będą schnąć przy ogniu, rozgrzeje boscie stopy - oczywiście natarłszy je wprzód śniegiem. Powiodło się rozniecenie ognia. Niebezpieczeństwo nie grozi! Człowiek przypomniał

sobie dobre rady starego wygi znad Sulphur Creek i uśmiechnął się ironicznie. Stary wyga z niewzruszoną powagą tłumaczył, że w Klondike nie należy podróżować samotnie, jeżeli termometr wskazuje pięćdziesiąt stopni niżej zera. A oto przykład! On miał nieszczęśliwy wypadek, podróżuje samotnie i zdołał się uratować. Niektórzy pośród starych wygów są strachliwi jak baby - myślał wędrowiec. - Byle nie stracić głowy, a sposób znajdzie się zawsze.

Prawdziwego mężczyznę z pewnością stać na samotną podróż. Dziwił się tylko szybkości, z jaką marzną policzki i nos, i doprawdy nie wyobrażał sobie, że palce mogą zamrzeć tak prędko. A zamartwiały bez wątpienia, bo wydawały się dziwnie obce, dalekie reszcie ciała, a zgięcie ich i uchwycenie gałęzi wymagało nie lada starań. Kiedy dotykał drewna, musiał

spoglądać na swoją dłoń, szacować wzrokiem, czy trzyma coś w palcach, czy nie. Widocznie nawaliły druciki łączące świadomość z końcami palców.

Ale to wszystko mało ważne. Przecież ogień trzaska, huczy, każdym roztańczonym płomykiem obiecuje życie. Człowiek zaczął rozsznurowywać mokasyny. Powlekał je lód. Grube wełniane skarpety przypominały żelazne futerały sięgające połowy łydek. Sznurowadła sprawiały wrażenie stalowych prętów, powykręcanych i splecionych jak po pożarze. Człowiek usiłował

rozplatać je drętowymi palcami, po chwili jednak zrozumiał niedorzeczność podobnych prób i dobył nóż z pochwy.

Niestety, zanim zdążył przeciąć sznurowadła, nastąpiła katastrofa - z jego winy lub raczej w wyniku jego błędu. Nie powinien rozniecać ogniska pod świerkiem. Należało poszukać otwartego miejsca. Jednakże łatwiej było wyciągać chrust z zarośli i rzucać prosto w płomień. Otóż drzewo obciążała ładunek śniegu. Od tygodni nie wiał wiatr, więc wszystkie gałęzie dźwigały nie lada brzemień. Za

każdym razem gdy człowiek wywlekał chrust z podszycia, powodował wstrząsy - wstrząsy znikome z jego punktu widzenia, ale wystarczająco mocne, by w sumie wywołać katastrofę. Wysoko, tuż pod wierzchołkiem świerka, jedna gałąź

uroniła swój ładunek, ten zaś spadając stracił śnieg z niższej gałęzi. Powtarzało się to raz po raz, obejmując całe drzewo; lawina rosła i niespodziewanie runęła na człowieka i ogień. Ogień zgasł momentalnie, a na jego miejscu wyrosła kopa świeżego, sypkiego puchu.

Człowiek doznał wstrząsu, jak gdyby nagle odczytano mu wyrok śmierci. Przez moment siedział nie odrywając wzroku od miejsca, które dopiero co gorzało. Później odczuł dziwny spokój. Może stary wyga znad Sulphur Creek mówił rozumnie. Gdyby obecnie miał

towarzysza podróży, nie zagrażałoby niebezpieczeństwo, bo towarzysz roznieciłby ogień.

Trudna rada. Sam musi to zrobić, a o powtórny niepowodzeniu nie może być mowy. Jeżeli nawet wszystko pójdzie gładko, i tak straci z pewnością kilka palców u nóg. Stopy ma już fatalnie odmrożone, a do rozniecenia drugiego ognia upłynie sporo czasu.

Człowiek snuł podobne rozważania, nie siedział jednak beczynnie. Nieustannie był w akcji.

Zbudował nową podstawę ogniska - tym razem na odkrytym miejscu, gdzie żadne drzewo nie groziło zdradzieckim przysypaniem płomieni. Następnie wziął się do gromadzenia trawy i chrustu, który znaczył zasięg wiosennej powodzi. Nie mógł zginać zmartwiałych palców, chwycić pojedynczych gałązek - zbierał całe naręcza. Był to sposób niedoskonały, bo pośród suszu zostawało sporo zielonego mchu i całkiem niepożądanego próchna, ale na nic lepszego wędrowiec nie mógł się zdobyć. Harował metodycznie, chwycił nawet naręcza grubych gałęzi, które przydadzą się później, kiedy ognisko nabierze prawdziwej mocy. Przez cały czas pies obserwował człowieka pilnie i jak gdyby z tajoną przyganą. Uważał go za twórcę ognia, więc dziwił się, czemu ogień powstaje tak opornie.

Wreszcie przygotowania dobiegły końca. Człowiek sięgnął do kieszeni po drugi kawałek kory brzozej. Wiedział, że się tam znajduje i, chociaż nie wyczuwał jej palcami, wyraźnie słyszał

suchy szelest. Grzebał w kieszeni, usiłował wydobyć korę, lecz próby nie przydawały się na nic. A przecież jasno uprzytamniał sobie, że odmrożenie stóp postępuje z sekundy na sekundę! Myśl ta rodziła panikę, którą starał się poskramiać, utrzymywać w ryzach. Za pomocą zębów naciągnął rękawice, począł wymachiwać rękami w tył i do przodu, z całej siły tłuc dłońmi o boki. Najpierw robił to siedząc, następnie w pozycji stojącej. Pies przyglądał mu się nadal. Pędzlem puszystego wilczego ogona okrywał przednie łapy. Czujnie nastawiał

spiczaste, wilcze uszy. Człowiek wywijał rękami, zabijał je mocno; odczuł przypływ zazdrości spoglądając na zwierzę, któremu w naturalnym okryciu było bezpiecznie i ciepło.

Wreszcie zauważył pierwsze nikłe objawy czucia w rozgrzewanych brutalnie palcach. Ledwie uchwytny świerzbienie rychło przybrało postać kłującego bólu; był dotkliwy, lecz człowiek witał

go radośnie i z ulgą. Szybko obnażył prawą rękę i wyciągnął z kieszeni kawałek kory.

Odsłonięte palce jeszcze raz zmartwiały w mgnieniu oka. Sięgnął po wiązkę zapalek siarkowych, ale zaciekle zimno zdążyło już pozbawić jego palce czucia i życia. Daremnie starał się oddzielić jedną zapalną, w trakcie tych zabiegów upuścił w śnieg całą wiązkę.

Spróbował podnieść ją i nie potrafił. Zmartwiałe palce odmawiały posłuszeństwa. Nie mógł zgiąć ich ani zacisnąć. Działał nad wyraz rozważnie. Starał się odpędzać myśli o marznących stopach, policzkach, nosie. Całą uwagę poświęcał zapalcom. Dotyk zastępował wzrokiem.

Pilnie śledził własne ruchy i kiedy palce znajdowały się po dwu stronach wiązki, łączył je albo raczej próbował łączyć. Druciki łączące z nimi świadomość były bowiem zerwane i palce słuchać nie chciały. Człowiek naciągnął rękawicę na prawą dłoń i począł gwałtownie tłuc nią o kolano. Wreszcie obydwoma dłońmi w rękawicach zdołał uchwycić wiązkę zapalek i wraz z okazałą porcją śniegu rzucić na ściśnięte kolana. Nie poprawiło to sytuacji.

Po wielu staraniach człowiekowi udało się ująć wiązkę między nadgarstki dłoni w rękawicach i tym sposobem podnieść do ust. Lód pękał z trzaskiem, gdy przemocą rozchyłał obmarzłe wargi. Cofnął dolną, drugą uniósł, by nie przeszkadzała, i górnymi zębami spróbował oddzielić jedną zapalną. Dopisało mu szczęście. Zapalca upadła na ściśnięte kolana. Ale i to zmieniło niewiele. Człowiek nie był w stanie podnieść zapalca. Po chwili jednak wynalazł sposób.

Chwycił ją zębami, zaczął pocierać o spodnie. Czynność tę powtórzył co najmniej dwadzieścia razy, nim zrodził się płomyk, który spróbował przytknąć do skrawka brzozy kory. Ale przy sposobności siarkowy dym trafił do nosa i gardła, więc człowiek zakrztusił się gwałtownie.

Zapalca upadła w śnieg, zgasła.

Stary wyga znad Sulphur Creek miał rację - pomyślał wędrowiec z tłumioną rozpaczą. - Przy pięćdziesięciu stopniach niżej zera nie wolno podróżować samotnie. Raz jeszcze począł

zabijać rękę, lecz dłoniom nie zdołał przywrócić czucia. Nagłe zębami ściągnął obie rękawice, między nadgarstki chwycił wiązkę zapalek. Mięśnie ramion miał sprawne, więc mógł je ścisnąć, mocno. Szybko potarł zapalca o spodnie. Buchnął ogień. Zapłonęło naraz siedemdziesiąt zapalek! Nie było wiatru, który mógłby je zgasić. Człowiek odwrócił głowę, aby uniknąć dławiącego dymu, i do kory brzozy przytknął gorejącą wiązkę. Odniósł wrażenie, że do rąk powraca czucie. Przypiekło mu się ciało. W nozdrzach miał swąd spalenizny, gdzieś głęboko pod skórą świadomość bólu. Świadomość ta przeobraziła się w nieznośne cierpienie, które jakoś wytrzymywał. Uparcie przysuwał zapalca do kory brzozy, która nie chciała się zająć, bo palące się dłonie przesłaniały ją, pochłaniając większą część ognia.

Na koniec, kiedy człowiek nie mógł dłużej znieść męki, nagłym ruchem rozłączył rękę. Zapalca z sykiem upadły w śnieg, jednakże kora zdążyła chwycić ogień. Człowiek począł rzucać na płomień suchą trawę i najdrobniejszy chrust. Nie był w stanie wybierać opału, segregować, gdyż chwycił go nadgarstkami. Lgnące do gałązek próchno i kępki zielonego mchu starał się usuwać o tyle, o ile było

to wykonalne za pomocą zębów. Pielęgnował ogień nieporadnie, troskliwie. Ogień oznaczał życie, więc zmarnieć nie powinien, nie mógł. Ucieczka krwi w głąb ciała powodowała dreszcze, ruchy stawały się coraz bardziej nieudolne. Wkrótce duża kępa zielonego mchu padła w środek młodych płomieni. Człowiek próbował wygrzebać ją palcami, ale ich drzenie utrudniało zadanie, rozpraszało płonąca trawę i drobny chrust, unicestwiała ogieniek w zątku. Człowiek próbował zaradzić złu, podgarniać zarzewie rękami, lecz trzęsąc się rozrzucał je coraz bardziej i bardziej. Jedna po drugiej gałązki buchały kłębem dymu i gasły. Starania twórcy ognia spełzły na niczym. Biedak bezradnie rozejrzał się dokoła i spostrzegł psa, który siedział w śniegu po przeciwległej stronie szczątków niedosłego ogniska. Poruszał się niespokojnie, dźwigał lekko raz prawą przednią łapę, raz lewą i przenosząc ciężar z jednej na drugą obserwował człowieka czujnie, jak gdyby z tęskną zadumą.

Widok psa zbudził szaleńczy pomysł. Wędrowiec przypomniał sobie opowieść o kimś, kto podczas śnieżycy zabił wołu i ocalił życie wpelnawszy do tuszy. Zabije psa, zagłębi ręce w jego ciepłym wnętrzu i będzie je tam trzymał, póki nie odzyskają czucia i władzy. Dzięki temu zdoła rozniecić nowy ogień! Odezwał się do psa, począł go nawoływać, lecz w tonie głosu była szczególna nuta przerażenia. Niepokoiło to psa, do którego człowiek nie przemawiał nigdy w podobny sposób. Zanosilo się na coś niedobrego i pies całą podejrzliwa naturą wietrzył

niebezpieczeństwo; oczywiście nie wiedział jakie, lecz w najgłębszych tajnikach mózgu jał odczuwać nieokreślony lęk. Słuchając ludzkiego głosu kładł uszy po sobie, nieco szybciej unosił przednie łapy, przerzucał ciężar ciała z jednej na drugą, lecz nie ruszał się z miejsca, bliżej nie podchodził. Wobec tego człowiek stanął na czworakach, ruszył w kierunku zwierzęcia, które zaniepokojone jego cudaczną pozycją przestraszyło się, cofnęło nieco.

Człowiek usiadł na śniegu i przez czas pewien walczył uparcie o wewnętrzną równowagę.

Później zębami naciągnął rękawice, nieporadnie dźwignął się na nogi. Spojrzał w dół, aby sprawdzić, czy rzeczywiście stoi, gdyż brak czucia w stopach pozbawiał go łączności z ziemią.

Następnie przemówił surowo do psa, który uspokojony jego normalną, pionową pozycją i głosem podobnym do uderzeń bata, pozbył się obaw i podejrzeń i wiedziony tradycyjną uległością, pozwolił się przywołać. Gdy był w jego zasięgu, człowiek stracił panowanie nad sobą. Raptownym gestem wyciągnął ręce i doznał szczerzego zdziwienia, kiedy odkrył, że nie może zacisnąć pięści, a w palcach nie ma czucia ani władzy. Na krótki czas zapomniał, że jego dłonie są już odmrożone i z każdą chwilą martwieją coraz bardziej. Wszystko to działo się błyskawicznie i zanim pies zdołał odskoczyć, otoczyły go ludzkie ramiona. Począł wyrywać się, skowyczeć, warczeć, człowiek zaś przyciskał go do siebie usiadłszy znów na śniegu.

Ale mógł tylko tak siedzieć, obejmować psa rękami, nic więcej. Zdawał sobie sprawę, że zabić ofiary nie zdoła. Zmartwiały dłońmi nie byłby w stanie dobyć noża z pochwy ani nawet zwierzęcia udusić. Uprzytomnił to sobie i rozluźnił uścisk, a pies warcząc nadal odskoczył

lękliwie z ogonem wtulonym między tylne łapy. W odległości czterdziestu stóp przystanął i nastawiwszy uszu zaczął znów obserwować czujnie i ciekawie.

Człowiek spuścił wzrok ku swoim dłoniom, aby je zlokalizować. Zobaczył, że zwisają bezwładnie u końca rąk. Zdziwił go i zastanowił fakt, że musiał odwołać się do wzroku, aby coś takiego stwierdzić. Jeszcze raz począł wymachiwać rękami w tył i do przodu, dłońmi w rękawicach uderzać o boki. Po pięciu minutach pobudził krew o tyle, że przestał dygotać, lecz nie odzyskał władzy ani czucia w palcach. Odnosił wrażenie, że jego dłonie zwisają niby odważniki u końców rąk, ale wrażenie zanikało, kiedy próbował je zgłębić.

Wówczas nadciągnęła mglista obawa śmierci - tępa i dojmująca. Urosła wkrótce, przybrała na sile, gdy człowiek uzmysłowił sobie, że nie chodzi już o odmrożone palce, nie chodzi nawet o utratę stóp i dłoni; stawką jest życie albo śmierć, a w tej rozgrywce on ma wszystkie szansę przeciwko sobie. Wówczas uległ panice, odwrócił się, zsunął po stromej skarpie i pomknął

łożyskiem strumienia, wzdłuż starego ledwie widocznego szlaku. Pies dotrzymywał mu kroku, a człowiek gnał na oślep bez określonego celu, opanowany grozą, jakiej nie zaznał nigdy w życiu. Zataczał się, grzązł w śniegu, stopniowo dostrzegając otoczenie: brzegi strumienia, stare zatory drzewne, bezlistne osiczyzny, niebo. Biegnać czuł się nieco lepiej. W każdym razie teraz już nie drżał. Jeżeli utrzyma tempo, może zdoła jakoś rozmrozić stopy, no i w ten sposób szybciej dotrze do obozu i chłopców. Niewątpliwie straci palce rąk i nóg, a także część twarzy.

Ale chłopcy zaopiekują się nim, ocalą to, co z niego zostanie, byle tylko trafił do obozu.

Człowiek myślał tak i jednocześnie zdawał sobie sprawę, że obozu i chłopców nie odnajdzie nigdy, gdyż od ratunku dzieli go zbyt wiele mil; odmrożenie robi postępy, a więc nic nie pomoże - będzie niebawem sztywny, lodowaty, martwy. Uparcie walczył z podobnymi myślami, które go napastowały, zmuszały do posłuchu, chociaż przepędzał je, próbował zająć się czymś innym.

Chwilami dziwił się, że potrafi biec mając stopy odmrożone tak, że nie odczuwają ani zderzeń ze śniegiem, ani ciężaru jego ciała. Jak gdyby sunął nad powierzchnią ziemi nie utrzymując z nią kontaktu. Gdzieś kiedyś widział uskrzydłonego Merkurego i teraz przyszło mu na myśl pytanie, czy Merkury odnosił podobne wrażenia ślizgając się w przestworzach.

Nadzieja na dotarcie do obozu i chłopców miała kruche podstawy - nie liczyła się z granicami ludzkiej wytrzymałości. Kilka razy biegnący ślizgał się, potykał, wreszcie począł dreptać nieporadnie i upadł. Spróbował wstać, lecz nie mógł sobie poradzić, wobec czego zdecydował, że posiedzi trochę, odpocznie; potem będzie maszerował, utrzyma jakoś regularne tempo. Siedział więc, stopniowo odzyskując dech i nagle zauważył, że jest mu ciepło, przyjemnie, wygodnie. Przestał dygotać. Fale gorąca jak gdyby ogarniały klatkę piersiową, cały tułów. Mimo to nic nie czuł, kiedy przesunął palcami po nosie i policzkach.

Twarz nie odtajała podczas biegu. Nie odtajały też ręce i stopy. Człowiek pomyślał, że odmrożenie rozprzestrzenia się coraz dalej, szerzej. Usiłował przepędzić tę myśl, ujarzmić, zainteresować się czymś innym. Jednakże wracała uparcie, dawała znać o sobie, chociaż z nią walczył - walczył, ponieważ budziła strach, a on bał się strachu. Wreszcie przyszła raz jeszcze, namalowała w wyobraźni obraz całkowicie zamrożonych zwłok i - tego już było za dużo. Człowiek poderwał się, powtórnie spróbował szaleńczego biegu wzdłuż szlaku. Po chwili zwolnił, począł maszerować równomiernym krokiem, lecz myśl o zamrożonych zwłokach popędziła go znowu.

Pies biegł za nim wytrwale, trzymał się blisko nogi. Kiedy człowiek upadł po raz drugi, usiadł

przed nim, ogonem nakrył przednie łapy i obserwował leżącego z baczny, ostrożnym zaciekawieniem. Ciepło i spokój zwierzęcia drażniły człowieka, więc zaczął je przeklinać, ono zaś ulegle położyło uszy. Tym razem dreszcze przyszły szybciej. Człowiek przegrywał bitwę z zimnem. Mróz przenikał ze wszystkich stron w głąb jego ciała. Myśl o tym dała mu znów ostrogę, lecz nim zdążył przebiec sto stóp, potknął się znowu i runął do przodu. Była to ostatnia fala paniki. Człowiek usiadł na śniegu i odzyskując oddech i panowanie nad sobą doszedł do wniosku, że śmierć należy przyjąć z godnością. Ale sformułował to inaczej.

Pomyślał, że za długo robił z siebie głupca biegając niby kura z odrąbaną głową - takie bowiem nasunęło mu się porównanie. Tak czy inaczej musi zamarznąć, więc lepiej chyba załatwić sprawę przyzwoicie. Wraz z nowo narodzonym spokojem pojawiła się senność. To niezły pomysł - rozumował człowiek - przespać własną śmierć, jak pod działaniem środka odurzającego. Zamarzanie nie jest aż tak przykre, jak się ludziom zdaje. Istnieje wiele gorszych sposobów umierania.

Nagle zobaczył chłopców, którzy nazajutrz odnajdują jego ciało. I on jest z nimi, idzie wzdłuż szlaku, szuka samego siebie. Jest z nimi nawet wówczas, gdy za kolanem strumienia ukazuje się trup leżący w śniegu. Jego trup, ale i nie jego, bo on stoi przecież z chłopcami, z góry spogląda na zwłoki. Z pewnością było zimno, diabelnie zimno - myśli. Kiedy wróć do Stanów, opowiem ludziom, jak wygląda prawdziwy mróz.

Niespodziewanie zmienia się obraz. Stary wyga znad Sulphur Creek pali fajkę. Jest mu ciepło, bezpiecznie, wygodnie. Człowiek widzi go zadziwiająco wyraźnie.

- Miałeś rację, dziadu, miałeś rację... - bełkoce niewyraźnie do starego znad Sulphur Creek.

Później z wolna zapada w sen, jak mu się wydaje, najśłodszy, najrozkoszniejszy w życiu. Pies siedzi naprzeciw niego, czeka. Krótki dzień dobiega kresu, zmienia się w przewlekły, ospały zmierzch. Nic nie zapowiada bliskości ciepłych płomieni, a pies nie widział nigdy człowieka, który siedziałby długo na śniegu i nie brał się do rozniecania ognia. Kończył się zmierzch, więc psia tęsknota do płomieni rosła, przybierała na sile. Zwierzę poczęło znowu dźwigać raz prawą, raz lewą łapę, przenosząc ciężar ciała z jednej na drugą. Wreszcie zawyło przeraźliwie i położyło uszy po sobie oczekując, że człowiek je skarci. Jednakże człowiek nie odezwał się, nie drgnął. Pies zawyło głośniejsze i po pewnym czasie podpełznął bliżej. Wówczas zwierzył

zapach śmierci, więc zjeżył sierść, odskoczył do tyłu. Zatrzymał się na moment, jeszcze raz zawyło do gwiazd, które mrugając wesoło tańczyły i migotały jasno na czystym niebie.

Następnie odwrócił się i pokłusował szlakiem w stronę znajomego obozu, aby znaleźć tam innych twórców ognia i strawy.

Przełożył Tadeusz Jan Dehnel

Sprzysiężenie starców

W koszarach sądzono człowieka. Stawką było życie. Przed sądem stał starzec, Indianin znad Rzeki Białej Ryby, która wpada do Yukonu poniżej jeziora Le Barge. Sprawa poruszyła całe Dawson, a także ludność osiadłą nad Yukonem - tysiąc mil w górę i w dół rzeki. Anglosasi -

rabusie mórz i lądów - przyjęli zwyczaj narzucania prawa podbitym ludom. Prawo to często bywa surowe. Ale w procesie Imbera nareszcie okazało się nieudolne i słabe. Z

matematycznego punktu widzenia kara nie mogła dorównać winie. Wyrok był przesadzony, niewątpliwy, lecz chociaż wyrażał się karą główną, Imber miał tylko jedno życie, a wieść głosiła, że odpowiada za dziesiątki zabójstw.

Prawdę rzekłszy, dłonie Imbera splamiła krew tylu ludzi, że dokładne obliczenie było niepodobieństwem. W izbie sądowej mężczyźni palili fajki albo grzali się przy piecu i nie mając nic lepszego do roboty, oceniali z grubsza, ile ofiar padło z ręki oskarżonego. Byli to wyłącznie biali; ginęli pojedynczo, po dwóch lub w większych grupach. Morderstwa zdawały się przypadkowe i pozbawione motywów, stanowiły więc zagadkę dla policji konnej zarówno w czasach pionierów złotego górnictwa, jak później, kiedy rozpoczęła się masowa eksploatacja strumieni, a rząd dominium przysłał gubernatora i nowej krainie kazał płacić za jej dobrobyt.

Ale prawdziwą zagadkę stanowiło przybycie Imbera do Dawson i dobrowolne oddanie się w ręce sprawiedliwości. Późną wiosną, gdy Yukon huczy i pieni się pod lodem, sędziwy Indianin (przybyły zamarzną rzeką) wspinał się z trudem na stromy brzeg i mrugając oczami stanął

pośrodku głównej ulicy miasta. Świadkowie tego przybycia zauważyli, że starzec był

oszołomiony i wyczerpany. Z trudem powlókł się do stosu budulcowego drewna i usiadł. Przez cały dzień nie ruszał się z miejsca i patrzył prosto przed siebie na płynący nieustannie strumień białych ludzi. Wiele głów obracało się ciekawie, aby zajrzeć mu w oczy; niejedna złośliwa uwaga padła na temat szczególnej miny starego Siwasza. Trudno zliczyć tych, co wspominali później swoje zdumienie na widok tej osobliwej figury i do końca życia reklamowali bystrość, z jaką od razu przeczuli coś niecodziennego.

Ale chwała bohatera wielkiego wydarzenia nieodwołalnie przypadła w udziale Dickensenowi, zwanemu Małym Dickensenem. Niegdyś przywiózł on na Północ górne marzenia i kieszenie pełne pieniędzy. Razem z gotówką zniknęły jednak marzenia i Dickensen, chcąc uzbierać na powrotną drogę do Stanów, przyjął urzędniczą posadkę w kantorze pośrednictwa "Halbrook i Mason". Na wprost kantoru, po drugiej stronie ulicy leżał stos belek, na którym usadowił się Imber. Dickensen wyjrzał oknem, nim poszedł na obiad, a gdy wrócił, znów wyjrzał i zobaczył, że stary Siwasz tkwi na tym samym miejscu.

Dickensen zaczął raz po raz wyglądać oknem. Później zaś (podobnie jak wielu innych) często pysznił się swą przenikliwością i sprytem. Był to romantyczny jegomość, porównał więc zastygły kształt starego poganina do bóstwa Siwaszów, które spokojnym wzrokiem mierzy hordę anglosaskich najeźdźców. Mijały godziny. Imber nie zmienił pozy ani o włos, nie drgnął

mu żaden mięsień na twarzy. Dickensen pamiętał, że w swoim czasie jakiś mężczyzna sztywno

siedział w saniach na tejże głównej ulicy, gdzie ludzie kręcili się wciąż tam i z powrotem. Wszyscy myśleli, że odpoczywa, lecz później, kiedy go ktoś dotknął, okazało się, że zamarzył na śmierć pośrodku ruchliwego miasta. Zesztywniał zgięty we dwoje. Przed włożeniem do trumny trzeba go było trzymać nad ogniskiem i odmrażać. Dickensen wzdrygnął

się na samo wspomnienie. Później opuścił kantor, by na chodniku wypalić cygaro i ochłonać.

Niebawem nadeszła Emilia Travis: wdzięczna, szykowna, urodziwa panna, która czy to w Londynie, czy nad Klondike ubrana była zawsze tak, jak przystoi córce inżyniera-górnika i milionera. Mały Dickensen położył cygaro na zewnętrznym parapecie okna (żeby je później odnaleźć) i zdjął kapelusz.

Po mniej więcej dziesięciu minutach gawędy Emilia Travis spojrzała ponad ramieniem Dickensena i wystraszona pisnęła. Dickensen odwrócił się, żeby zobaczyć, o co chodzi, i zdumiał się niezmiernie. Imber przeszedł z drugiej strony ulicy i stał w pobliżu niby ogromne, chude, zagłodzone widmo, pozerając wzrokiem białą dziewczynę.

- Czego chcesz? - zapytał Dickensen trochę drżącym, lecz zadzierzystym głosem.

Indianin odburknął coś i postąpił krok w stronę Emilii Travis. Uważnie, bystro oglądał ją cał po calu. Najbardziej bodaj interesowały go jedwabiste, ciemnoblond włosy i barwa policzków pokrytych delikatnym i zwiewnym puszkim, jak na skrzydłach motyla. Następnie zaczął

okrążać dziewczynę i przypatrywać się jej w skupieniu niby człowiek szacujący budowę konia albo łodzi. W czasie tej wędrówki różowe ucho znalazło się na drodze między oczami Indianina i łuną zachodu. Imber przystanął, utopił wzrok w przezroczystym szkarłacie.

Następnie wrócił do oględzin twarzy i długo, przenikliwie patrzył w błękitne oczy. Burknął coś znowu, położył dłoń między łokciem a ramieniem Emilii Travis. Drugą rękę uniósł i przygiął jej przedramię. Zrobił pełną niesmaku zdziwioną minę i z pogardliwym mruknięciem uwolnił rękę dziewczyny. Potem rzucił kilka gardłowych sylab, odwrócił się plecami do Emilii i powiedział

coś do jej towarzysza.

Dickensen nic nie mógł zrozumieć, a panna Travis wybuchnęła śmiechem. Gniewnie zmarszczony Imber spojrzał na jedno i drugie, obydwójce jednak pokręcili tylko głowami. Miał

już odejść, kiedy dziewczyna zawołała:

- Jimmy, hej, Jimmy! Chodź tutaj!

Z przeciwnej strony ulicy nadbiegł Jimmy - rosły, zamaszty Indianin - ubrany w nienaganny strój białego człowieka i sombrero godne króla złota z Eldorado. Zacinając się, jękając nawiązał rozmowę z Imberem. Był Sitkanem i narzecza z głębi kraju znał bardzo słabo.

- On człowiek znad Rzeki Białej Ryby - wyjaśnił Jimmy Emilii Travis. - Niedużo wiem, co gada.

Chce zobaczyć wodza białych.

- Może gubernatora - domyślał się Dickens.

Jimmy pomówił z człowiekiem znad Rzeki Białej Ryby. Stropił się, zrobił poważną minę.

- Chyba potrzebny mu kapitan Alexander - wyjaśnił. - On mówi, że zabił białą mężczyzna i białą kobietę i białego chłopca, dużo, bardzo dużo białych. On chce umierać.

- Na pewno ma kręcka - odrzekł Dickens.

- Co ma na pewno? - zdziwił się Jimmy.

Dickens wymownie stuknął się palcem w czoło i zrobił świdrowaty ruch.

- Możliwe, bardzo możliwe - przyznał Jimmy i raz jeszcze zwrócił się do starca, który natarczywie żądał widzenia z wodzem białych.

Konny policjant (spieszony na czas służby w mieście) przyłączył się do towarzystwa i słyszał, jak Imber powtórzył swe życzenie. Był to zuch o potężnych barach, szerokich piersiach i kształtnych, dobrze ustawionych nogach, tak wysoki, że o pół głowy górował nad roslym Imberem. Oczy miał chłodne, szare, a spoglądał i nosił się ze specyficzną pewnością siebie, która stanowi dziedzictwo krwi i tradycji. Imponującą męskość podkreślało jeszcze rzucające się w oczy chłopięctwo; policjant ledwie przestał być wyrostkiem, a rumieniec na jego twarzy byłby zjawiskiem równie normalnym jak na twarzy podlotka.

Imber z miejsca zapalał do niego sympatią. Oczy mu zabłyśły na widok blizny po cięciu szablą znaczącej policzek młodzieńca. Zwiędłą dłonią zaczął wodzić po jego łydce, pieścić stalowe ścięgna. Stukał palcami w pięknie sklepioną klatkę piersiową i obmacywał potężne płaty mięśni, co niby pancerz okrywały ramiona. Gromadkę powiększali zaciekawieni przechodnie: krzepcy górnicy, ludzie z pogranicza i z gór, synowie wielu długonogich, barczystych pokoleń.

Imber przenosił wzrok z jednego na drugiego, wreszcie przemówił głośno w swoim narzeczu znad Rzeki Białej Ryby.

- Co on mówi? - zapytał Dickens.

- Gada, że oni wszyscy takie same chłopcy jak policjant.

Mały Dickens był niski, toteż przez wzgląd na pannę Travis pożałował własnego pytania nie w porę. Policjant ulitował się nad nim i korzystając z pauzy wtrącił się do rozmowy.

- Myślę, że coś jest w tym jego gadaniu. Wezmę go do kapitana na przesłuchanie. Powiedz mi, Jimmy, żeby poszedł ze mną.

Jimmy zaczął się znów krztusić i jąkać. Imber odburknął coś, jak gdyby radośnie.

- Aha, zapytaj go jeszcze, Jimmy, co powiedział, kiedy trzymał mnie za rękę i w ogóle dlaczego to robił.

Jimmy powtórzył pytanie w imieniu Emilii Travis i otrzymał odpowiedź.

- On gada, że pani się nie boi - powiedział.

Dziewczyna uśmiechnęła się nie bez zadowolenia.

- On gada, pani nie skookum, nie silna, miękka, jak małe dziecko. On mógłby gołymi rękami połamać panią na kawałki. On mówi, że to bardzo zabawne, bardzo dziwne, że pani może być matką takich dużych, silnych chłopów jak policjant.

Emilia Travis nie stropiła się, nie spuściła wzroku, ale policzki jej pokraśniały. Mały Dickensen zawstydził się i poczerwieniał również, a chłopięca krew ubarwiła twarz okazałego policjanta.

- No, chodź ze mną! Jazda! - odezwał się przedstawiciel władzy i potężnymi łokciami uTORował drogę w tłumie.

W taki oto sposób Imber trafił do koszar, gdzie dobrowolnie złożył obszerne zeznania i skąd nigdy już nie wyszedł.

Imber sprawiał wrażenie człowieka strudzonego. Twarz jego wyrażała zmęczenie, beznadziejne zmęczenie sędziwego wieku. Ciężko opuścił ręce. Oczy miał szklane. Włosy, które powinny być siwe, spaliło słońce i zszargały niepogody, toteż odbarwione kosmyki zwisały w żalnym nieładzie. Imber nie interesował się tym, co działo się dokoła. Izba sądowa pełna była mężczyzn z nad strumieni i ze szlaków, a w gwarze niskich, stłumionych głosów dźwięczała złowroga nuta, która w uszach podsądnego brzmiała tak jak odległy szum morza w głębokich pieczarach.

Imber siedział blisko okna i od czasu do czasu spoglądał obojętnie na ponury krajobraz.

Chmury przesłaniały niebo, padała szara mżawka. Była pora wylewu Yukonu. Kra spłynęła i wody rzeki wtargnęły do miasta. Na głównej ulicy ludzie, co nie spoczywają nigdy, przesuwali się tam i z powrotem w czółnach i puchówkach. Często łodzie skręcały, wpływały na zalany wodą czworokąt znaczący miejsce placu alarmowego koszar. Czasami znikwały pod oknem.

Wtedy Imber słyszał stukanie burt o bale domu, pasażerowie z hałasem włączili przez okna.

Później chlupotała woda, kiedy ludzie brodzili w stronę schodów przez zatopioną izbę na parterze. Drzwi wpuszczały nowych przybyszów, którzy mieszały się z oczekującym tłumem.

Kapelusze trzymali w rękach, wysokie gumowe buty ociekały wodą. Wszystkie spojrzenia zmierzały ku oskarżonemu, jak gdyby publiczność czekała wyroku i posępnie delektowała się nadzieją kary. Imber patrzył na białych, dumiał o ich dziwnych obyczajach, o ich prawie, co nie śpi nigdy, lecz działa nieustannie w dobrych i złych dniach, w czasie powodzi i głodu, zamieszek i śmiertelnych zmagani - o prawie, które działać tak będzie do końca świata.

Ktoś donośnie uderzył w stół i gwar rozmów utonął w ciszy. Imber spojrzał ku temu człowiekowi. Wyglądał na ważną osobistość, ale Indianin odgadł, że biały o szerokim czole, który siedzi przy biurku w głębi izby, jest wodzem wszystkich zebranych nie wyłączając mężczyzny, co stukał. Ktoś inny podniósł się za tym samym stołem i począł czytać na głos z wielu ćwiartek cienkiego papieru. Rozpoczynając każdy arkusz odkasływał, przy końcu każdego ślinił palce. Imber nie rozumiał jego mowy, lecz zdawał sobie sprawę, że inni rozumieją i wpadają w gniew. Chwilami złościł się bardziej, a raz ktoś z publiczności zaklął

pod adresem oskarżonego siarczyście i krótko. Znowu rozległo się uderzenie w stół i nastąpiła cisza.

Biały za stołem czytał nieskończenie długo. Jednostajny, śpiewny ton kołysał do snu podsądnego i kiedy czytanie umilkło, Imber drzemał na dobre. Później jakiś głos przemówił

doń w jego własnym języku znad Rzeki Białej Ryby. Indianin ocknął się, bez zdziwienia spojrzał w twarz syna swojej siostry - młodzieńca, który przed laty porzucił rodzinne strony, aby zamieszkać pośród białych.

- Nie poznajesz mnie pewnie - odezwał się siostrzeniec zamiast pozdrowienia.

- Poznaje - odrzekł Imber. - Tyś Howkan, co od nas odszedł. Twoja matka umarła.

- Była stara - powiedział Howkan.

Imber nic już nie słyszał. Siostrzeniec dotknął jego ramienia i ponownie obudził starca.

- Powtórzę ci wszystko, co ten człowiek mówił, czyli historię zła, które wyrządziłeś i o którym, głupcze, opowiedziałeś dobrowolnie kapitanowi Alexandrowi. Ty musisz mnie zrozumieć i powiedzieć, czy to prawdziwa historia czy nieprawdziwa. Taki jest rozkaz.

Howkan trafił niegdyś do misji, gdzie nauczono go czytać i pisać. Teraz trzymał w rękach liczne ćwiartki cienkiego papieru (z których czytał biały za stołem) spisane przez kancelistę, gdy Imber ustami Jimmy'ego spowiadał się kapitanowi Alexandrowi. Howkan zaczął

tłumaczyć. Starzec słuchał czas pewien. Wreszcie zrobił zdziwioną minę i wzburzoną tonem przerwał siostrzeńcowi:

- To moje słowa, Howkanie! Czemu padają z twoich warg, chociaż twe uszy nie słyszały ich nigdy?

Zadowolony z siebie Howkan uśmiechnął się protekcyjnie. Miał rozdziałek pośrodku głowy.

- Słuchaj, Imberze - powiedział. - Słowa padają z tego arkusza. Oczywiście, moje uszy nigdy ich nie słyszały. Z papieru przez oczy idą do mojej głowy, a później moimi ustami do ciebie.

Taką odbywają drogę.

- Taką odbywają drogę? Są tutaj, na papierze?

Arkusze zaszeleściły między palcami starca. Wzrok jego powędrował ku niekształtnym literom.

Głos przycichł do nabrzmiałego grozą szeptu:

- To czary, wielkie czary, a ty, Howkanie, jesteś potężnym cudotwórcą.

- Ależ to nic wielkiego, nic wielkiego - zapewniał młody człowiek niedbałym, lecz chełpliwym tonem i na chybił-trafił odczytał fragment protokołu:

- "W tymże roku, przed ruszeniem lodów, przybyli stary mężczyzna i chłopiec, co utykał na jedną nogę. Ich również zabiłem, a stary mężczyzna czynił wiele hałasu..." To prawda - przerwał Imber zdławionym głosem. - Czynił wiele hałasu i długo nie chciał

umierać. Ale skąd wiesz, Howkanie? Może powiedział ci wódz białych? Jemu jedynie mówiłem o tym, a wówczas nikt mnie przecie nie widział.

Zniecierpliwiony Howkan pokiwał głową.

- Mówiłem ci przecie, głupcze, że wszystko jest na tych papierach. Imber utkwiał wzrok w poznaczonej atramentem białej powierzchni.

- Łowca spogląda na śnieg i powiada: w tym miejscu przechodził wczoraj królik, a tutaj, koło kępy wikliny przystanął, nastawił uszu i przeląkł się czegoś, co usłyszał; tutaj zawrócił

własnym śladem i ruszył prędeż, większymi susami, a tędy jeszcze prędeż i jeszcze większymi susami nadbiegł ryś; lam, gdzie pazury głęboko zaryły się w śniegu, ryś zaczął

ostatni, najdłuższy skok; tutaj uderzył, dostał królika, a królik był pod nim przewrócony brzuchem do góry; dalej prowadzi trop samego rysia, bo królika już nie było wcale... Łowca ogląda znaki na śniegu i mówi: to właśnie stało się tak, nie inaczej i na tym miejscu. Podobnie ty, Howkanie, oglądasz papier i mówisz niby łowca: to właśnie stary Imber uczynił tak, nie inaczej i na tym miejscu.

- Mniej więcej - powiedział Howkan. - A teraz słuchaj wreszcie i póki nie każą ci gadać, trzymaj za zębami swój babski ozór.

Następnie Howkan tłumaczył przez długi czas zeznania, a Imber siedział spokojnie w milczącej zadumie. Po zakończeniu przemówił:

- To słowa moje własne i prawdziwe, ale jestem już stary, Howkanie, i powoli przypominają mi się sprawy zapomniane, o których powinien wiedzieć wódz białych. Pierwszy był mężczyzna, co przyszedł z Górnymi Lodowymi i miał ze sobą zmyślne sidła sporządzone z żelaza. Ten szukał bobrów nad Rzeką Białą Ryby. Zabiłem go. Później, bardzo już dawno, trzech ludzi szukało złota w Rzece Białą Ryby. Tych zabiłem również, a ciała zostawiłem rosomakom.

Koło Pięciu Palców był biały, co miał tratwę i wielkie zapasy żywności.

W chwilach kiedy Imber robił pauzy, by odświeżyć wspomnienia, Howkan przekładał jego słowa, pisarz zaś brał się do notowania. Publiczność słuchała w skupieniu drobnych tragedii malowanych z prostotą. Wreszcie oskarżony wspomniał o rudym, zezowatym mężczyźnie, którego zastrzelił z bardzo dużej odległości.

- Piekielnik! - odezwał się ktoś z widzów stojących w pierwszym rzędzie.

Powiedział to z głębi duszy i ze szczerym bólem. On też miał rude włosy.

- Piekielnik! - powtórzył. - To był mój brat, Bill!

Wyraz "Piekielnik", powtarzany w regularnych odstępach, słyhać było w izbie sądowej do końca rozprawy. Sąsiedzi nie uciszali jednak przejętego grozą człowieka, nie przywoływano go też do porządku stukaniem w blat stołu.

Imber spuścił głowę; oczy mu zmętniały, jak gdyby od reszty świata odgradziła je szklista błona. Dumał tak, jak tylko starość może dumać o bezgranicznej nicości młodego wieku.

Niebawem Howkan zbudził go znowu, mówiąc:

- Wstań, o Imberze. Rozkazano, abyś wyjaśnił, czemu uczyniłeś dużo zła, czemu zamordowałeś wiele ludzi i na koniec przybyłeś tutaj na spotkanie prawa.

Starzec dźwignął się ciężko, zachwiał w przód i do tyłu. Zaczął mówić coś niskim, głuchym, ledwie dosłyszalnym głosem. Howkan przerwał mu rychło.

- Ten stary to skończony wariat - powiedział po angielsku do mężczyzny o szerokim czole. -

Mowa jego jest nierozumna jak mowa małego dziecka.

- Chcemy jednak wysłuchać jego mowy, mimo że jest nierozumna jak mowa małego dziecka -

brzmiała odpowiedź. - Chcemy wysłuchać słowo w słowo wszystkiego, co mówi. Zrozumiałeś?

Howkan zrozumiał. Imber zaś spojrział rozjaśnionym wzrokiem, bo był świadkiem sporu między synem swej siostry a wielkim człowiekiem. Zaczęła się opowieść, epepeja nieugiętego patrioty, godna, by słowa jej ryc w spiżu dla nauki nie narodzonych pokoleń. W tłumie zaległa martwa cisza. Sędzia o szerokim czole podparł głowę ręką i dumał o własnej duszy i duszy swojej rasy. Słyhać było tylko niski, gardłowy bas Imbera, na zmianę z dyszkantem tłumacza.

Od czasu do czasu rudowłosa mężczyzna rzucał tonem wyrzutu i zdziwienia jeden wyraz:

"Piekielnik". Dźwięczało to niby głos dzwonu bożego. - Jestem Imber z plemienia Białych Ryb.

Tak rozpoczął tłumaczenie Howkan, który szybko uległ barbarzyńskiemu dziedzictwu. Rychło pozbył się misyjnej ogłady i podziwianej cywilizacji. Porwał go pierwotny ton i rytm słów starca.

- Moim ojcem był Otsbaok, człowiek silny. W moim kraju grzało słońce i panowała radość, kiedy byłem małym chłopcem. Ludzie nie pragnęli nowości i nie słuchali obcych głosów, a obyczaje przodków były ich obyczajami. Młodzi mężczyźni chętni byli kobietom i spoglądali na nie z radością. Niemowlęta ssały piersi matek szerokich i ciężkich w biodrach przyszłością plemienia. Mężczyźni byli w owe lata mężczyznami. Za dni pokoju i obfitości, za dni głodu i wojny - zawsze byli prawdziwymi mężczyznami. W owe lata więcej było niż dzisiaj ryb w wodach i mięsa w puszczy.

Nasze psy niczym wilki nosiły grube futro i wytrzymałe były na mrozy i burze. A my tak samo jak nasze psy; byliśmy równie wytrzymali na mrozy i burze. Kiedy Pellisowie przychodzili do naszego kraju, zabijaliśmy ich albo oni nas zabijali, bo my, Białe Ryby, byliśmy mężczyznami, a nasi ojcowie i ojcowie naszych ojców wojowali z Pellisami i ustanowili granice kraju.

Jak mówiłem, z nami działo się tak jak z naszymi psami. Pewnego dnia przybył pierwszy biały człowiek. Wlókł się po śniegu na rękach i kolanach, skórę miał mocno napiętą, a pod skórą ostro sterczące kości. Nigdy nie widzieliśmy takiego człowieka; głowiliśmy się więc, skąd pochodzi i do jakiego osobliwego plemienia należy. Biały był słaby, słaby niby małe dziecko.

Daliśmy mu miejsce blisko ogniska i ciepłe futra, na których mógłby lec, a karmiliśmy go tak, jak karmi się małe dzieci.

Z białym człowiekiem przyszedł pies wielki jak trzy nasze, ale bardzo słaby. Sierść miał krótką, nie grzejącą, a ogon tak mu przemarzł, że cały koniec odpadł. Obcego psa karmiliśmy także, układali blisko ognia i pędzili od niego nasze psy, które na pewno by go zagryzły. Od łosiowego mięsa i suszonego na słońcu łososia człowiek i pies nabrali siły; urosli jakoś i zhardzieli. Człowiek mówił głośno, szydził ze starych mężczyzn i z młodych mężczyzn, a na dziewczęta spoglądał łakomym wzrokiem. Pies walczył z naszymi psami i chociaż miał krótką sierść i był jakiś miękki, jednego dnia trzy na śmierć poszarpał.

Kiedy wypytywaliśmy białego o jego plemię, odpowiadał: "Mam wielu braci" i śmiał się, ale to był śmiech niedobry. Wreszcie całkiem odzyskał siły i poszedł, a wraz z nim poszła Noda, córka wodza. Niebawem jedna z naszych suk urodziła szczenięta. Nigdy nie widział nikt podobnego miotu psów. Były krótkowłose i niezdarne, o dużych głowach i szerokich pyskach.

Dobrze pamiętam mojego ojca Otsbaoka, człowieka silnego. Twarz spochmurniała mu z gniewu na widok takiej niezdarności, chwycił więc kamień i wnet skończyła się niezdarność. A w dwa lata potem wróciła Noda. Na ręku przyniosła dziecko białego mężczyzny.

Tak się wszystko zaczęło. Przybył drugi biały z krótkowłosymi psami, które zostawił, kiedy ruszał dalej. Wziął za to sześć naszych najsilniejszych psów, a w zamian dał Koo-So-Tee, bratu mojej matki, zaczarowany pistolet, co bardzo łatwo mógł wystrzelić sześć razy raz po raz. Koo-So-Tee był dumny, pysznił się pistoletem, drwił z naszych strzał i łuków. "Dobre to dla niewiast" powiedział i z pistoletem poszedł śmiało na srogiego szarego niedźwiedzia. Teraz wiadomo, że niedobrze polować na srogiego zwierza z pistoletem w ręku. Skąd jednak mogliśmy wiedzieć o tym wówczas? Skąd mógł wiedzieć Koo-So-Tee? Odważnie stawiał czoło niedźwiedziowi i raz po raz wystrzelił sześć naboju z pistoletu. Ale zwierz ryknął tylko i niczym skorupkę jajka zgniół żebra łowcy, a mózg Koo-So-Tee wyciekł na trawę niby miód z pszczelnego plastra. Brat mojej matki był dzielnym łowcą i nie

zostawił nikogo, kto przynosiłby mięso jego żonie i dzieciom. Zatem gniew nas ogarnął i rzekliśmy: “Co dobre dla białych, dla nas niedobre”. Była to prawda, bo białych jest mnóstwo i tłustych, a nas, odkąd poznaliśmy ich obyczaje, ubywa wciąż i wciąż chudniemy.

Zjawił się trzeci biały z nieprzebranymi skarbami w cudownym pożywieniu i innych osobliwych rzeczach. Kupił od nas dwadzieścia najsilniejszych psów, a dziesięciu młodych łowców skusił

darami i obietnicami i zabrał w drogę, która nie wiedzieć dokąd prowadziła. Powiadają, że zginęli wszyscy w Górach Lodowych, gdzie nie powstała przedtem ludzka noga, albo pośród Wzgórz Milczenia, co leżą poza granicami ziemi. Tak czy inaczej, plemię Białych Ryb nie zobaczyło nigdy ani psów, ani młodych łowców.

Rok po roku przybywało coraz więcej białych i za każdym razem uprowadzali ze sobą młodych mężczyzn skuszonych zapłatą i darami. Czasami młodzi wracali i przynosili dziwne opowieści o niebezpieczeństwach i trudach, których zaznali w krainach położonych aż za ziemią Pellisów. Czasami nie wracali wcale. Mówiliśmy wówczas: “Biali nie dbają o życie, bo są bardzo liczni. Ale nas jest mało nad Rzeką Białej Ryby, a więc młodzi mężczyźni nie powinni opuszczać plemienia”. Ale młodzi mężczyźni odchodzili, odchodziły też dziewczęta, a w nas gniew wzbierał.

Prawda, jadaliśmy mąkę i soloną wieprzowinę, pijaliśmy herbatę, co jest rozkoszą. Ale kiedy zabrakło herbaty, źle się działo, bo wpadaliśmy w złość i nie skąpili obelżywego słowa.

Tęskniliśmy do rzeczy, które sprzedają biali. Handel! Handel! Ciągłe był tylko handel. Jednej zimy wymieniliśmy zapas mięsa za duże zegary, które nie chodziły, i zegarki, co miały wszystko w środku potrzaskane; dostaliśmy “ też wygładzone do cna pilniki i nicwarte pistolety bez ładunków. Później przyszedł głód, a że nie mieliśmy mięsa, cztery dziesiątki zmarły, nim nastąpiła wiosna.

Mówiliśmy: “Teraz jesteście słabi. Pellisowie napadną nas i rozszerzą swoje granice”. Ale u Pellisów działo się nie inaczej. Też byli słabi i nie mogli rozpocząć wojny.

Mój ojciec, Otsbaok, człowiek silny, był wtedy stary i niezmiernie mądry. Przemówił do wodza w takie słowa: “Spojrzyj na nasze psy, są nic niewarte. Nie mają już grubego futra ani mocy, giną od mrozu i padają w uprzęży. Chodźmy do wioski i ubijmy wszystkie oprócz suk-wilczyc, a te uwiążmy nocą na pustkowiu, żeby mogły parzyć się z dzikimi wilkami z puszczy. Inaczej nie odzyskamy psów tęgich i wytrzymałych na chłody”.

Rady mojego ojca posłuchano i plemię Białych Ryb zastąpiło w całym kraju z doskonałych psów. Ale nie zastąpiło ze swych ludzi. Nasza najlepsza młodzież, mężczyźni i kobiety, szli z białymi, żeby wędrować do odległych krajów po lądowych i wodnych szlakach. Dziewczęta wracały postarzałe i zniszczone, jak niegdyś Noda, albo nie wracały wcale. Młodzi mężczyźni przychodzili również. Przez czas pewien siadywali koło naszych ognisk. Mówili nieprzystojnie i nieprzystojnie postępowali. Pili szkodliwe trunki i dniem i nocą grali w kości. Serca ich targał

niepokój, aż wreszcie na nowe wezwanie białych ludzi ruszali do nieznanych krain. Byli bez honoru i nie szanowali nic! Drwili z naszych dawnych obyczajów. Śmieli się w nos wodzowi i szamanom!

Jak rzekłem, plemię Białych Ryb stało się słabe. Wymienialiśmy ciepłe futra i skórzaną odzież na tytoń i whisky albo na bawełniane szmaty, pod którymi dygotaliśmy z zimna w. czasie mrozów. Nawiedził nas niedobry kaszel. Mężczyźni i kobiety krztusili się, oblewali potem w długie noce. Łowcy na szlaku pluli, znaczyli śniegi krwią. Raz po raz ktoś krwawił gwałtownie z ust i konał. Kobiety rodziły rzadko, a dzieci przychodziły na świat wątłe, podatne chorobom. Bo od białych przywędrowały do nas inne choroby, o których nigdyśmy nie słyszeli i nic nie mogli pojąć. Nazywali je ospa i odra. Umieraliśmy niby łososi na płytkich wodach, kiedy jesienią, po złożeniu ikry, nie potrzeba już, by żyły dłużej.

Jedno wszelako było najdziwniejsze. Biali ciągnęli do nas niby tchnienie śmierci. Wszystkie ich drogi wiodły ku śmierci, ich nozdrza ziały śmiercią, lecz mimo to oni nie umierali. Do nich należy whisky i tytoń, i krótkowłose psy. Do nich należą choroby: ospa i odra. Do nich należy biała skóra i nieodporność na mrozy i burze. Ich są pistolety, co raz po raz strzelają sześć razy, ale są nicwarte. A przecie biali tyją od swych rozlicznych niedomagań, rozkwitają, ciężką ręką gniotą cały świat i dumnie depczą wszystkie ludy. Białe kobiety są takie miękkie, miękkie jak niemowlęta, bez trudu można by je połamać. Ale nie łamią się nigdy i rodzą silnych mężczyzn! Z miękkości i z chorób, i ze słabości powstaje siła, potęga i władza. Biali to bogowie albo szatany - jedno i drugie możliwe! Nie wiem. Cóż mogę wiedzieć ja, stary Imber z plemienia Białych Ryb? Wiem tylko, że niepodobna zrozumieć białych ludzi, wędrowców po nieskończonej drodze, co walczą wszędzie, jak ziemia długa i szeroka.

Rzekłem tedy, że mięsa w puszczy było coraz mniej. Prawda, strzelba białego człowieka jest doskonała i zabija z daleka, po co wszakże strzelba, jeżeli nie ma co zabijać, jeżeli nie ma mięsa? W moich młodych latach był łoś na każdym wzgórzu w bliskości Rzeki Białej Ryby, a co rok przychodziły nieprzeliczone karibu. Dzisiaj łowca może dziesięć dni wędrować puszcza i ani jeden łoś nie uraduje jego wzroku. Nieprzeliczone karibu już nie przychodzą. Powtarzam: mało warta strzelba, co zabija z daleka, jeżeli nie ma co zabijać.

Ja, Imber, rozważałem te sprawy i patrzyłem na zgubę plemienia Białych Ryb i Pellisów, i wszystkich innych plemion w całym kraju, które znikają tak jak zwierzyna z puszczy. Długo to rozważałem. Mówiłem z szamanami i ze starcami, co słynęli mądrością. Wychodziłem z wioski, aby mi gwar nie przeszkadzał. Nie jadałem mięsa, aby pełen brzuch nie osłabiał

bystrości ucha i oka. Długo, bezsennie siadywałem w puszczy. Oczy miałem szeroko otwarte, by dojrzeć znak. Baczenie, cierpliwie nastawiałem uszu na słowo, którego oczekiwałem. W

ciemne noce wędrowałem sam nad brzeg rzeki, gdzie wiatr zawodzi i płacze woda. Tam szukałem rady u duchów dawnych szamanów, zmarłych i pogrzebanych, obróconych w drzewa.

Wreszcie, jak gdyby w cudownym widzeniu, nawiedziły mnie ohydne, krótkowłose psy.

Wszystko wydało się jasne. Dzięki rozumowi Otsbaoka, mojego ojca i człowieka silnego, nasze psy-wilki zachowały czystą krew, grube futra i mocne były w zaprzęgu. Wróciłem tedy do wioski i wygłosiłem mowę w gronie mężczyzn. "Biali ludzie - powiedziałem - to tylko plemię, plemię bardzo liczne, w którego kraju na pewno zabrakło mięsa. Dlatego przyszli do nas i zdobywają sobie nowy kraj. Oni są przyczyną naszej słabości i wymierania. To lud dziwnie zgłodniały. Zabiera nasze mięso,

jeżeli więc chcemy żyć, trzeba postąpić z białymi tak, jak postąpiliśmy z ich psami”.

Długa była moja mowa. Doradzałem wojnę. Mężczyźni z plemienia Białych Ryb słuchali.

Jeden powiedział to, drugi tamto, a niektóry gadał o innych, mało ważnych sprawach. Nikt wszakże nie rzekł śmiałego słowa o bojowych czynach. Młodzi byli słabi - jak woda chwiejni, tchórzliwi. Ale ja patrzyłem na starców i dostrzegałem, że siedzą cicho, a w oczach ich zapalają się i gasną ognie. Późniejszą porą, kiedy wioska spała i nikt o niczym nie wiedział, wywiodłem starców do puszczy i tam wygłosiłem znów mowę. Rychło doszliśmy do ugody wspominając szczęśliwe młode lata i wolny kraj, i czasy obfitości, uciechy, słonecznych blasków. Nazwaliśmy się braćmi, zaprzysięgli wielką tajemnicę i ślubowaliśmy uroczyście, że oczyścimy kraj od złej rasy, która nas nawiedziła. Dzisiaj pojmuję, że byliśmy szaleni, ale skąd mogliśmy wówczas o tym wiedzieć my, starcy z plemienia Białych Ryb.

Ja spełniłem pierwszy czyn, aby dodać serca innym. Strażowałem nad Yukonem, póki nie nadpłynęło pierwsze czółno. Było w nim dwóch białych. Kiedy stanąłem nad brzegiem i podniosłem rękę, oni skręcili i jęli wiosłować w moją stronę, a człowiek, co siedział na rufie, zadarł głowę, aby zapytać, czego chcę. Dowiedział się rychło, bo moja strzała zaśpiewała w powietrzu i trafiła go prosto w grdykę. Drugi, który siedział przy wiosłach na dziobie, nie zdążył

przyłożyć kolby do ramienia, bo ugodził go pierwszy z moich trzech oszczepów.

“Oto początek - rzekłem starcom, co mnie obstąpili. - Rychło połączymy się z tymi spośród młodych, którzy moc zachowali, wtedy dzieło będzie łatwe”.

Później trupy dwóch białych wrzuciliśmy do rzeki. A z czółna (było to bardzo dobre czółno) uczyniliśmy ognisko. Spaliliśmy także rzeczy, co w nim były. Ale najprzód obejrzelśmy je, a były to skórzane wory, które porozcinaliśmy nożami. A w workach było wiele papierów takich, z jakich ty czytałeś dzisiaj, o Howkanie, opatrzonych znakami, których nie mogliśmy zrozumieć, dziwiliśmy się więc niemało. Teraz zmądrzałem i wiem, że te znaki to mowa ludzka, jak mi rzekłeś, Howkanie.

Kiedy Howkan skończył tłumaczyć przypadek z czółnem, w izbie sądowej podniosły się szepty i pomruk, a jakiś głos powiedział:

- To była poczta, co przepadła w dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Peter James i Delaney wieźli ją w górę rzeki. Ostatni rozmawiał z nim Matthews. Płynął w stronę ujścia, a spotkał ich blisko jeziora Le Barge.

Pisarz zaczął gryzmolić pilnie. Przybywał nowy rozdział do dziejów Północy.

- Niewiele więcej pozostaje - ciągnął z wolna Imber. - To, cośmy uczynili, jest na papierach.

Byliśmy starzy i rozumieli mało. Nawet dzisiaj ja, Imber, nie rozumiem jeszcze. Mordowaliśmy tajemnie i wciąż mordowali, bo byliśmy starzy i przebiegli i poznaliśmy prawdę, że działać można szybko, chociaż bez pośpiechu. Kiedy przyszli do nas biali ze srogimi twarzami i wzięli sześcioro naszych młodych mężczyzn okutych w łańcuchy tak, że nie mogli się ruszać, pojęliśmy, że zabijać

trzeba w dalszych okolicach. Jeden po drugim starcy odchodzili w górę rzeki lub w dół rzeki, do nieznanymi krajów. Zdobywali się na wielką odwagę, bo chociaż byliśmy starzy i mężni, strach przed nieznanymi krajami to wielki strach i łatwo ogarnia ludzi starych.

Zabijaliśmy tedy bez pośpiechu i chytrze. Zabijaliśmy na przełęczy Chilcoot i w Delcie, i na szlakach, co wiodą do morza; zabijaliśmy wszędzie, gdzie biali zakładali obozy albo stawiali noclegiem. Prawda, umierali, ale nie miało to znaczenia. Nieustannie przybywali zza gór. Było ich więcej i więcej, a nas, starców, ubywało i ubywało. Pamiętam biwak jednego białego przy Brodzie Karibu. Był to bardzo mały mężczyzna, a trzech naszych starców zaskoczyło go we śnie. Następnego dnia znalazłem wszystkich czterech. Oddychał tylko ów biały i tyle pozostało w nim tchu, że nim skonał, zdążył mnie przekląć raz, ale okropnie.

I my ginęliśmy zatem. Wciąż przepadał to jeden, to drugi. Czasami po długim czasie dowiadywaliśmy się, jak umierali. Czasami nie dowiadywaliśmy się wcale. A starcy z innych plemion, słabi i tchórzliwi, nie chcieli do nas przystawać. Jak rzekłem, moi bracia ginęli jeden po drugim, aż wreszcie zostałem sam. Jestem Imber z plemienia Białych Ryb. Ojcem moim był Otsbaok, człowiek silny. Teraz nie ma już plemienia Białych Ryb. Jam jest ostatni ze starców. Młodzi mężczyźni i młode kobiety odeszły. Niektórzy żyją pośród Pellisów, niektórzy pośród Plemienia Łososi, a najczęściej trafiło do białych ludzi. Jestem bardzo stary i bardzo strudzony, a że, jak mówiłeś Howkanie, na próżno walczyłem z prawem, przyszedłem szukać prawa.

- O Imberze! Zaiste, wielki z ciebie głupiec - powiedział Howkan.

Ale Imber już drzemał. Drzemał także sędzia o szerokim czole. W marzeniach, jak we wspaniałej wizji, stanęła przed nim jego rasa - zakuta w stal, odziana w kolczugi rasa prawodawców i budowniczych świata, wybrana spośród innych ludów. Widział jej brząsk migocący purpurą pośród mrocznych puszczy i posepnych fal morza. Widział ją w pełnym blasku, krwawym, płomienistym triumfie południa. Widział, jak zalane posoką czerwone piaski staczają się w ciemności nocy po cienistym zboczu. A na tle tego wszystkiego dostrzegał

PRAWO - bezlitosne i potężne, zawsze nieugięte i zawsze władcze, silniejsze niż ludzkie drobiny, które nim szafują albo łamią się pod jego brzemieniem, silniejsze niż on, sędzia, w którym serce przemawia za miłosierdziem.

Przełożył Tadeusz Jan Dehnel

Wiara w człowieka

Powiem ci, co zrobimy. Rzucimy kości.

- Dobrze - rzekł drugi mężczyzna odwracając się do Indianina, który w kącie chaty naprawiał narty.

- Słuchaj, Billebedam! Skocz no, mój drogi, do chaty Olesona i powiedz, że chcemy pożyczyć od niego kubek z kośćmi.

To niespodziewane żądanie podczas narady nad płacami robotników, nad drzewem i żywnością zaskoczyło Billebedama. Nigdy nie widział, żeby biali ludzie pokroju Pentfielda i Hutchinsona zasiedli do gry w karty czy w kości przed ukończeniem dziennej pracy, a teraz był

ranek. Ale jego twarz, obojętna, jak przystało na prawdziwego Indianina znad Yukonu, ani drgnęła, gdy wkładał rękawice i wychodził z chaty.

Choć była już ósma, na dworze panowały ciemności, toteż w chacie paliła się łojowa świeca zatknięta w szyjkę butelki po whisky, stojącej na sosnowym stole wśród nie sprzątniętych brudnych cynowych naczyń. Łój spływający z niezliczonych świec zastygł na długiej szyjce w miniaturowy lodowiec. W małej izbie, która tworzyła całe wnętrze chaty, panował taki sam nieporządek jak na stole. Przy jednej ze ścian, w głębi, stała piętrowa prycza z kocami w nieładzie, tak jak je zostawili ludzie, wygrzebując się spod nich rano.

Lawrence Pentfield i Corry Hutchinson byli milionerami, choć wcale na to nie wyglądali. Nie mieli w sobie nic niezwykłego i mogliby uchodzić za klasyczny wzór drwali w każdym obozie w Michigan. Ale za drzwiami chaty, w mroku, gdzie ziały dziury, wiele ludzi ciągnęło kołowrotem z ich głębi ziemię, żwir i złoto. Inni, za piętnaście dolarów dziennie, łupali skałę na dnie tych sztolni. Każdego dnia wydzierano skałom i windowano w górę złoto warte tysiące dolarów, a należało ono do Pentfielda i Hutchinsona, których zaliczano do najbogatszych królów Bonanzy.

Po wyjściu Billebedama Pentfield pierwszy przerwał ciszę układając na stos brudne talerze i bębniąc kostkami palców po oczyszczonym blacie stołu. Hutchinson objaśnił kopnącą świecę i zamyślony rozcierał sadzę z knota między opuszkami wskazującego palca i kciuka.

- Słowo daję, że też nie możemy jechać obaj! - zawołał nagle. - Wtedy nie byłoby o czym gadać!

Pentfield spojrzał na niego chmurnym wzrokiem.

- Gdyby nie twój cholerny upór, też nie mielibyśmy o czym gadać. Masz tylko wstać i odjechać.

Ja tu wszystkiego dopilnuję, a na przyszły rok przyjdzie moja kolej.

- Czemu to ja miałbym jechać? Nikt na mnie nie czeka tak...

- A twoja rodzina? - szorstko przerwał Pentfield.

- ...jak na ciebie - ciągnął Hutchinson. - To znaczy... myślę o dziewczynie, a ty o tym wiesz.

Pentfield posępnie wzruszył ramionami.

- Chyba może jeszcze poczekać.

- Czeka już od dwóch lat.

- Jak poczeka trzeci, też ją poznam, nie zestarzeje się.

- To już będzie trzy lata. Pomyśl, chłopie, trzy lata na tym krańcu ziemi, gdzie diabeł mówi dobranoc!

Hutchinson uniósł rękę niemal z jękiem.

Był dużo młodszy od swego współnika, nie miał jeszcze dwudziestu sześciu lat, ale z jego twarzy przebijała tęsknota, jak z twarzy ludzi, którzy całą duszą tęsknią za czymś, czego życie uporczywie im odmawia. Na twarzy Pentfielda malowała się taka sama tęsknota, a jej ciężar przygarbił mu ramiona.

- Śniło mi się dziś - powiedział - że byłem u Zinkanda. Muzyka gra, szklanki brzęczą, ludzie gadają, kobiety się śmieją, a ja zamawiam jajka... tak, mój panie, jajka sadzone i na miękko, i w szklance, i w postaci jajecznicy, i każdej innej. A wcinam tak, że mi nie nadążają podawać.

- Ja bym tam zamówił sałatę i świeże jarzyny - oblizując wargi skrytykował Hutchinson - a do tego duży krwawy stek, młodą cebulkę i rzodkiewkę, taką, co pęka w zębach.

- I ja bym to zjadł po jajkach, gdym się nie obudził. Pentfield podniósł z podłogi wysłużone banjo i zaczął brzdąkać. Hutchinson drgnął i westchnął ciężko.

- Przestań! - krzyknął z nagłym gniewem, gdy Pentfield uderzył w wesoły, pełen temperamentu rytm piosenki. - Zwariuję! Nie wytrzymam tego!

Pentfield cisnął banjo na pryczę i zadeklamował:

Tego, co gadam, słaby nie wyzna przed światem - Jam Wspomnienie i Męka... Słuchaj - jam twój Gród! Jam to wszystko, co nosi wieczorową szatę...

Hutchinson drgnął raz jeszcze i oparł głowę na stole. Jego kompan wrócił do monotonnego bębnienia palcami po stole. Głośny huk pękającej deski w drzwiach zwrócił jego uwagę: to białe jężory mrozu wciskały się do chaty. Pentfield zanucił: Owce w zagrodach... pusty sad,

I łosoś prze ku morzu...

O luba, jakże bym ci rad

Me serce u stóp złożył...

I znów zapadła cisza, którą przerwał dopiero Billebedam wchodząc do chaty i stawiając kubek z kośćmi na stole.

- Bardzo zimno - rzekł. - Oleson mówi, że Yukon zamarzł w nocy.

- Słyszysz, człowieku! - krzyknął Pentfield klepiąc Hutchinsona po ramieniu. - Ten, kto wygra, jutro rano o tej porze będzie już w drodze do ludzkiego kraju!

Uniósł kubek i z ożywieniem potrząsnął kośćmi.

- Jak gramy?

- W zwykłego kostkowego pokera - odparł Hutchinson. - Jazda, rzucaj!

Pentfield z brzękiem zmiotł naczynia i wyrzucił na stół pięć kostek. Obaj spojrzeli niecierpliwie.

Nie wypadła żadna para, a piątka była najwyższym oczkiem.

- Guzik! - jęknął Pentfield.

Po długim zastanowieniu zebrał wszystkie pięć kostek i wrzucił do kubka.

- Na twoim miejscu rzucałbym do piątki - doradził Hutchinson.

- Ale tam, zaraz sam zobaczysz - odparł Pentfield wyrzucając kości.

I znów nie było pary, tylko sekwens od dwóch do sześciu.

- Znów guzik! - stęknął Pentfield. - Nie masz co rzucać, Corry, i tak musisz wygrać.

Hutchinson bez słowa zebrał kości, potrząsnął nimi, z zamachem wyrzucił na stół i ujrzał, że także wypadła mu szóstka.

- Guzik jak u ciebie, ale zdobędę się na coś lepszego - powiedział zbierając cztery kostki i rzucając do szóstki. - Tu jest coś, co cię pobije.

Ale tym razem wypadła dwójka, trójka, czwórka i piątka - ani lepiej, ani gorzej niż Pentfieldowi.

Westchnął więc i powiedział:

- To się zdarza raz na milion.

- Nawet nie na milion - rzekł Pentfield łapiąc kości i szybko wyrzucając je rias stół. Ukazały się trzy piątki, a po długiej zwłoce, przy drugim rzucie wypadła mu w nagrodę czwarta. Zdawało się, że Hutchinson stracił resztę nadziei.

Przy pierwszym rzucie wypadły jednak trzy szóstki. Wróciła mu więc otucha, a w oczach Pentfieda zbudziło się powątpiewanie. Hutchinson miał jeszcze jeden rzut: jeszcze jedna szóstka, a wyruszy po lodzie ku morzu, do Stanów Zjednoczonych. Potrząsnął kośćmi, już, już miał je rzucić, ale zawahał się i znowu potrząsnął kubkiem.

- Rzucaj! Rzucaj! Szkoda czasu, nie przeciągaj! - ostro krzyknął Pentfield gnąc z hamowanego podniecenia paznokcie o blat stołu.

Kostka potoczyła się i zobaczyli szóstkę leżącą oczkami do góry. Patrzyli na nią w głębokiej ciszy. Hutchinson spojrział ukradkiem na partnera, który jeszcze bardziej skrycie pochwycił to spojrzenie i zagryzł wargi, usiłując okazać zupełną obojętność.

Wtedy wybuchnął śmiechem i wstał od stołu. Śmiał się nerwowo, z zażenowaniem. Był to jeden z

tych wypadków, kiedy lepiej jest przegrać niż wygrać. Podszedł więc do Pentfielda, który odwrócił się do niego z wściekłością:

- Milcz, Corry, milcz! Wiem, co chcesz powiedzieć... Że wolałbyś zostać, żebym ja pojechał i tak dalej. Ale milcz. Masz rodzinę w Detroit, z którą chcesz się zobaczyć, i to wystarczy. A poza tym możesz mi załatwić to, co sam chciałem zrobić, gdybym pojechał.

- Chodzi ci o?...

Pentfield wyczytał resztę pytania w oczach przyjaciela i odpowiedział:

- Tak, właśnie o to. Możesz mi ją przywieźć. Cała różnica, że ślub odbędzie się w Dawson zamiast w San Francisco.

- Człowieku! - zaproponował Corry Hutchinson. - Zastanów się u Boga Ojca, jak mogę ci ją przywieźć? Nie jesteśmy rodzeństwem i w dodatku nawet jej nie znam. Nie wypada, byśmy podróżowali we dwójkę. Oczywiście, wszystko będzie w porządku... my to wiemy, ty i ja, ale pomyśl, co ludzie powiedzą!

Pentfield zaklął pod nosem posyłając wszystkich ludzi do piekła, gdzie jest cieplej niż na Alasce.

- Gdybyś chciał tylko posłuchać spokojnie, a nie zaraz unosić się swoją przekłętą dumą, zobaczyłbyś - zaczął Hutchinson - że w tych warunkach nie mogę inaczej postąpić, jak pozwolić ci jechać tego roku. Następny rok będzie tylko za rok i wtedy ja pojedę.

Pentfield potrząsnął głową, choć widać było, że walczy z pokusą.

- Nic z tego, Corry, mój chłopie. Cenię twoją dobroć i wszystko, ale nic z tego. Wstydzilibym się, ile razy bym pomyślał, że orzesz tu za mnie.

Nagle uderzyła go jakaś myśl. W przystępie zapału przekopał i porozrzucał swoje posłanie, wyciągnął notes i ołówek i zasiadłszy przy stole, zaczął pisać szybko i bez namysłu.

- Masz - rzekł wciskając nagryzmołony list przyjacielowi. - Oddasz to tylko i wszystko będzie w porządku.

Hutchinson przebiegł list wzrokiem i odłożył na stół.

- A skąd wiesz, że jej brat zechce ruszyć w tę cholerną podróż tutaj? - zapytał.

- O, zrobi to dla mnie... i dla swej siostry. Widzisz, to taki żółtodziób, że nigdy nie puściłbym jej z nim samym. Ale z tobą podróż będzie i łatwa, i bezpieczna. Gdy się stąd wydostaniesz, od razu jedź do nich i przygotuj ją do tego. Potem możesz skoczyć do rodziny, do wschodnich stanów, a na wiosnę ona i brat będą już gotowi do drogi. Polubisz ją od pierwszego spojrzenia, jestem tego pewny. A z tej fotografii od razu ją poznasz.

Z tymi słowy otworzył kopertę zegarka i pokazał wklejoną w nią fotografię dziewczyny. Corry

Hutchinson przyglądał się zdjęciu z rosnącym zachwytem w oczach.

- Na imię jej Mabel - ciągnął Pentfield. - Musisz też wiedzieć, jak ja znaleźć. Gdy wysiądziesz we Frisco, weźmiesz dorożkę i powiesz tylko: "do mieszkania pana Holmesa, Myrdon Avenue". Wątpię nawet, czy potrzebujesz dodawać Myrdon Avenue. Dorożkarz będzie wiedział, gdzie mieszka sędzia Holmes.

- Wiesz - podjął po chwili - nie byłoby źle, gdybyś mi tak przywiózł parę drobiazgów potrzebnych... potrzebnych...

- Potrzebnych człowiekowi żonatemu - wypalił Hutchinson z uśmiechem.

Pentfield odpowiedział uśmiechem.

- Oczywiście - mówił - trochę obrusów, serwetek, prześcieradeł, powłoczek i tak dalej. I mógłbyś kupić jakiś porządny serwis. Rozumiesz, ciężko jej będzie przyzwycząić się do naszych warunków. Wyślij to wszystko statkiem przez Morze Beringa. A co byś powiedział o pianinie?

Hutchinson gorąco poparł ten pomysł. Zapomniał o dawnych obiekcjach i rwał się do swojej misji.

- Słowo daję, Lawrence - powiedział przy końcu narady, gdy już wstali od stołu. - Przywiozę ci twoją dziewczynę z szykiem i paradą. Będę gotował i dbał o psy, a bratu pozostanie tylko troska o jej wygody i o to, co ja przegapię. A możesz być pewien, że mało przegapię!

Nazajutrz Lawrence Pentfield po raz ostatni uścisnął rękę przyjaciela i patrzył, jak biegnie on za psami i znika na lodzie Yukonu w drodze do morza i świata. Potem wrócił do swej kopalni w Bonanzie, teraz tysiąc razy bardziej ponurej niż przedtem, i śmiało wkroczył w długą zimę.

Musiał pracować, dozorować ludzi, kierować wykopami, by szły za biegiem złotodajnej żyły, ale serca w to nie wkładał. Nie wkładał też serca w żadną inną pracę, dopóki na wzgórzu za kopalnią nie zaczęły wyrastać zręby nowej bierwionowej chaty. Była duża, ciepła i składała się z trzech wygodnych izb. Każdą belkę ociosano ręcznie, gładko i w kwadrat: kosztowny kaprys, skoro cieśla brał po piętnaście dolarów dziennie. Ale dla Pentfielda nic nie było za drogie, gdy chodziło o dom, w którym miała mieszkać Mabel Holmes. Budował więc ten dom i podśpiewywał:

o luba, jakże bym ci rad me serce u stóp złożył.

Przybił też sobie nad stołem kalendarz i każdego ranka, zaraz po wstaniu, zdierał jedną kartkę i liczył, ile jeszcze dni pozostało do chwili, kiedy na wiosnę jego przyjaciel przypędzi po lodzie Yukonu. Miał też inny kaprys: nie pozwalał nikomu spać w nowej chacie na wzgórzu.

Musiała tak świeża doczekać przybycia Mabel, jak świeże były jej ociosane w kwadrat belki.

Po ukończeniu budowy zawiesił na drzwiach kłódkę. Nikt nie wchodził do środka prócz niego.

Sam spędzał w chacie długie godziny i gdy z niej wychodził, z twarzy biła mu radość, a w oczach miał szczęśliwe, ciepłe błyski.

W grudniu otrzymał list od Corry Hutchinsona. Corry tylko co widział się z Mabel Holmes.

Pisał, że jest taka, jak być powinna żona Lawrence'a Pentfielda. Był nastrojony entuzjastycznie, a Pentfieldowi serce rosło, gdy czytał ten list. Potem przyszły nowe listy, jeden gonił drugi, a nieraz nadchodziły po dwa, trzy razem, gdy poczta się spóźniła. Wszystkie były w tym samym tonie. Corry właśnie wrócił z Myrdon Avenue, właśnie idzie na Myrdon Avenue albo właśnie jest na Myrdon Avenue. Ciągle przy tym siedział w San Francisco i nawet słówkiem się nie zająknął o wyjeździe do Detroit.

Lawrence Pentfield zaczynał myśleć, że przyjaciel zbyt długo przebywa w towarzystwie Mabel Holmes, jak na człowieka, który pojechał odwiedzić rodzinę. Parę razy przyłapał się nawet na lekkim niepokoju, choć byłby bardziej niespokojny, gdyby tak dobrze nie znał Mabel i Hutchinsona. Z drugiej strony Mabel dużo pisała o Corrym. W jej listach można było też wyczuć odrobinę lęku graniczącego nawet z niechęcią do podróży po lodach Yukonu i do ślubu w Dawson. Pentfield odpisał jej w serdecznych słowach i wyśmiał jej obawy, które brał

raczej za zwykły strach przed niebezpieczeństwem i niewygodami niż za naturalną dziewczęcą nieśmiałość.

Ale długa zima i nużące wyczekiwanie po dwóch poprzednich, równie długich zimach odbiły się na nim. Doglądanie ludzi i śledzenie biegu złotodajnej żyły nie mogły urozmaicić szarzyzny dnia, toteż pod koniec stycznia Pentfield zaczął czasem jeździć do Dawson, gdzie przy stołach gry mógł się trochę zapomnieć. A że mógł sobie pozwolić na przegraną - wygrywał i

“szczęście Pentfielda” stało się już przysłowiowe wśród graczy w “faraona”.

Szczęście dopisywało mu do połowy lutego. Nie wiadomo, jak długo by to jeszcze trwało, bo po jednej grubej grze nigdy już nie siadł do kart.

Zdarzyło się to w “Operze”. Przez godzinę wyglądało, że każda karta, na którą Pentfield postawił, musi wygrać. W chwilowej przerwie po jednym rozdaniu, kiedy dający karty tasował

talię, Nick Inwood,, właściciel zakładu, powiedział ni w pięć, ni w dziesięć:

- Widzę, Pentfield, że ten twój wspólnik dobrze sobie bryka na swobodzie.

- Niech się chłop trochę rozerwie - odparł Pentfield. - Zwłaszcza gdy sobie na to zasłużył.

- Każdy ma swój gust - roześmiał się Nick Inwood - ale ja tam nie nazwałbym małżeństwa dobrą rozrywką.

- Corry się żeni?! - wykrzyknął Pentfield nie posiadając się ze zdumienia i nie wierząc własnym uszom.

- Tak - odparł Inwood. - Czytałem w gazetach z Frisco, przywiezionych po lodzie dziś rano.

- A z kim się żeni? - zapytał Pentfield z wyrazem stoickiego spokoju, jak człowiek, który węszy

pułapkę i wie, że lada chwila zaczną się z niego głośno śmiać. Nick Inwood wyciągnął gazetę z kieszeni i zaczął ją przeglądać, mówiąc jednocześnie:

- Nie mam pamięci do nazwisk, ale coś jakby Mabel... Mabel... o, macie tu - Mabel Holmes, córka sędziego Holmesa... nie wiem, co to za jeden.

Lawrence Pentfield nawet okiem nie mrugnął, choć zdziwił się, skąd ktoś na Północy może znać nazwisko jego narzeczonej. Zimnym spojrzeniem powiódł po twarzach szukając na nich jakiegoś przelotnego znaku, czy nie obrano go sobie za cel żartów, ale nie dostrzegł nic prócz zwykłej ciekawości. Odwrócił się więc do Nicka i rzekł z chłodnym spokojem:

- Inwood, założę się o równe pięćset dolarów, że tego, co powiedziałeś, wcale nie ma w tej gazecie.

Nick patrzył na niego uśmiechając się z ironicznym zdumieniem.

- Idźże, smyku. Nie chcę twoich pieniędzy.

- Tak myślałem - uśmiechnął się kpiąco Pentfield i wracając do gry obstawił dwie karty.

Nick Inwood zaczerwienił się i jakby sam sobie nie wierzył, raz jeszcze uważnie przesunął oczami po szpalcie gazety. Potem odwrócił się do Pentfielda.

- Słuchaj no - powiedział podnieconym, urywanym głosem. - Nie pozwolę ci na to, wiesz!

- Na co mi nie pozwolisz? - wyzywająco zapytał Pentfield.

- Powiedziałeś, że kłamię.

- Nic podobnego. Powiedziałem tylko, że próbujesz robić głupie żarty.

- Grajcie, panowie - wtrącił się dający karty.

- Mówię ci, że to prawda - upierał się Nick Inwood.

- A ja ci powiedziałem: stawiam pięćset dolarów, że tego nie ma w tej gazecie - odparł

Pentfield rzucając na stół ciężki worek ze złotym piaskiem.

- Przykro mi cię ograbiać - rzekł Inwood wciskając mu gazetę do ręki.

Pentfield zobaczył, choć własnym oczom nie wierzył. Spojrzawszy na tytuł: "Młody Lokinwar

[postać z ballady W. Scotta pt. "Marmion".] przybył z Północy", przeleciał przez tekst aż do miejsca, gdzie dwa złączone nazwiska - Mabel Holmes i Corry Hutchinson - uderzyły jego wzrok. Wtedy spojrział na nagłówek gazety. Była to gazeta z San Francisco.

- Bierz pieniądze, Inwood - powiedział z nerwowym uśmiechem. - Trudno przewidzieć, co

nawyrabia mój wspólnik, gdy raz zacznie. - Potem wrócił do gazety i przeczytał całą wzmiankę słowo po słowie, bardzo wolno i bardzo uważnie. Nie mógł dłużej wątpić. Faktem niezaprzeczalnym było, że Mabel Holmes wyszła za Corry Hutchinsona, "jednego z królów Bonanzy", jak go określono, "wspólnika Lawrence'a Pentfielda (dotąd nie zapomnianego w sferach towarzyskich naszego miasta), który razem, z tym dżentelmenem posiada jeszcze inne bogate złoża w Klondike". Przy samym końcu wyczytał: "jak mówią, młoda para odwiedzi Detroit, a potem wyruszy w prawdziwą podróż poślubną do fascynującego Klondike".

- Zaraz wracam, zatrzymajcie moje miejsce przy stole - rzekł Pentfield wstając i biorąc worek, który tymczasem dotarł już do wagi i wrócił lżejszy o pięćset dolarów.

Pentfield poszedł ulicą i kupił gazetę z Seattle. Zawierała tę samą wiadomość, choć nieco krótszą: Corry i Mabel pobrali się niewątpliwie. Wrócił wtedy do "Opery" i znowu zasiadł do gry.

Zażądał, by nie ograniczać stawki.

- Zabiera się do dzieła - zaśmiał się Nick Inwood, ruchem głowy udzielając zgody bankierowi. -

Chciałem pójść do składów Kompanii, ale teraz zostanę i popatrzę na twoje zwycięstwo. - I rzeczywiście Pentfield zwyciężył po dwugodzinnej hazardowej grze, kiedy to bankier odgryzł koniuszek świeżego cygara, potarł zapalną i oznajmił, że bank został rozbity. Pentfield zgarnął czterdzieści tysięcy dolarów, uściśnął rękę Nickowi Inwoodowi i oświadczył, że już nigdy więcej nie siądzie do gry przy jego stole ani przy żadnym innym.

Nikt nie wiedział i nawet się nie domyślał, że zraniono go, co więcej, zraniono bardzo boleśnie.

Na oko nic się nie zmieniło w jego postępowaniu. Przez tydzień pracował jak zwykle, aż w portlandzkiej gazecie przeczytał sprawozdanie ze ślubu Hutchinsona. Wtedy zaprosił do siebie jednego z przyjaciół, by przypilnował kopalni, i ruszył za psim zaprzęgiem w górę Yukonu.

Zmierzał ku morskiemu szlakowi, dopóki nie dotarł do Białej Rzeki i nie skręcił w nią. W pięć dni później napotkał myśliwski obóz Indian znad tej rzeki. Wieczorem odbyła się tam wielka uczta, podczas której Pentfield siedział na honorowym miejscu obok wodza. Następnego ranka pognął swe psy z powrotem ku Yukonowi. Ale nie podróżował już sam. Tego wieczoru młoda kobieta nakarmiła jego psy i pomogła mu rozbić obóz. Utykała nieco, bo w dzieciństwie okaleczył ją niedźwiedź. Nazywała się Lashka i początkowo bała się tego dziwnego białego człowieka, który przybył z Nieznanego, nie przemówił do niej, nie spojrzął na nią i pojął za żonę, a teraz uwoził w Nieznane. Ale Lashce powiodło się lepiej niż większości indiańskich dziewczyn, które na Północy zostawały wybrankami białych ludzi. Ledwie bowiem stanęli w Dawson, ksiądz według zwyczaju białych usankcjonował ich poprzedni barbarzyński ślub.

Z Dawson, gdzie wszystko wydawało jej się cudem i bajkowym saem, mąż zabrał ją zaraz na złote działki Bonanzy i wprowadził do stojącego na wzgórzu domu z pięknie ociosanych bali.

To zdarzenie wywołało krótkotrwałą sensację nie dlatego, że Pentfield wziął sobie pod dach

Indiankę, ale dlatego, że zawarł z nią legalny związek. Kościelny ślub był jedyną rzeczą, której nikt nie rozumiał. Ale nikt też o nic Pentfielda nie pytał. Dopóki czyjeś wybryki zbytnio nie obrażały ogółu, dopóty ogół patrzył na nie przez palce. Mężowie białych żon nie zamykali też drzwi przed Pentfieldem. Ślub zdjął z niego piętno współżycia w konkubinacie z Indianką i oczyścił go moralnie, choć byli ludzie, którzy nie podzielali jego męskiego gustu.

Listy ze świata już nie nadchodziły. Sześć sań pocztowych zaginęło przy Wielkim Łososiu.

Zresztą Pentfield wiedział, że o tym czasie Corry z żoną musieli już być w drodze. Byli w podróży poślubnej, tej podróży, o jakiej przez dwa ponure lata marzył dla siebie. Na tę myśl gorzki grymas wykrzywił mu usta, ale był tylko jeszcze lepszy dla Lashki i poza tym nie zdradzał się z niczym.

Minał marzec i kwiecień zbliżał się ku końcowi, kiedy pewnego wiosennego ranka Lashka poprosiła, by pozwolił jej pojechać w dół rzeczki do oddalonej o kilkanaście mil chaty Siwasza Pete. Jego żona, Indianka znad Rzeki Stewarta, przysłała wiadomość, że dziecko jej niedomaga. Lashka, która uważała się za bardzo doświadczoną w chorobach dziecięcych i była stworzona na matkę, nigdy nie rezygnowała z okazji niańczenia dzieci innych kobiet, jak dotąd pod tym względem szczęśliwszych od niej.

Pentfield zaprzął psy i posadziwszy Lashkę w tyle sań, popędził korytem Bonanzy. W

powietrzu pachniało wiosną. Mróz nie kąsał już tak dotkliwie i choć śnieg ciągle jeszcze pokrywał ziemię, szmer i pokapywanie wody świadczyły, że zima rozluźniła swój żelazny chwyt. Szlak czasami uchodził pod wodę i tu i ówdzie przetarto nowy wokół ziejących w lodzie dziur. W takim to miejscu, gdzie dwoje sanek nie mogło się minąć, Pentfield usłyszał brzęk zbliżających się dzwoneczków i zatrzymał psy.

Zzajany zaprzęg, ciągnący ciężko obciążone sanie, wyłonił się zza wąskiego zakrętu.

Kierował nim jakiś mężczyzna, który miał coś znajomego w ruchach, a za saniami szły dwie kobiety. Pentfield znów spojrzął na mężczyznę przy hamowidle. To był Corry. Pentfield zeskoczył z sanek i czekał. Był zadowolony, że wziął ze sobą Lashkę. "Spotkanie nie mogłoby wypaść lepiej, nawet gdyby było uplanowane" - myślał. I czekając zastanawiał się, co mu powiedzą, co będą mogli powiedzieć. On sam nie potrzebował nic mówić. To tamci musieli się tłumaczyć, a on gotów był słuchać.

Gdy sanki się zjechały, Corry poznał go i zatrzymał psy. Z okrzykiem "Jak się masz, stary!" wyciągnął rękę.

Pentfield uścisnął ją oziębło i bez słowa. Tymczasem obie kobiety podeszły bliżej - i w tej drugiej poznał Dorę Holmes. Zdjął futrzaną czapkę z powiewającymi nausznikami, przywitał

się z Dorą i odwrócił do Mabel. Pochyliła się naprzód, piękna i rozpromieniona, ale zawahała się widząc obojętnie wyciągniętą rękę. Początkowo Pentfield zamierzał powiedzieć "Dzień dobry pani, pani Hutchinson", ale jakoś to "pani Hutchinson" ugrzęzło mu w gardle, wybąkał

więc tylko "Dzień dobry pani". Sytuacja była tak napięta i niezręczna, że lepszej nie mógł sobie wymarzyć. Mabel zdradzała zupełnie zrozumiałe zdenerwowanie, gdy Dora, którą najwidoczniej zabrano na pośrednika, powiedziała:

- Co się stało, Lawrence?

Nim zdążył odpowiedzieć, Corry szarpnął go za rękaw i odciągnął na bok.

- Słuchaj, stary, co to znaczy? - szepnął wskazując oczami Lashkę.

- Nie rozumiem, Corry, co to ciebie może obchodzić - odparł ironicznie Pentfield.

Ale Corry zmierzał prosto do celu.

- Co ta Indianka robi na twoich saniach? Ale mi zabiłeś ćwieka! Jak ja im to wyjaśnię? Mam nadzieję, że znajdzie się jakieś wytłumaczenie. Kto to jest? Czyja to żona?

Wtedy Lawrence Pentfield wymierzył swój cios, a wymierzył go z jakimś zimnym uniesieniem, które do pewnego stopnia miało wynagrodzić mu doznaną krzywdę.

- To moja żona, pani Pentfield - powiedział.

Corry Hutchinson szeroko otworzył usta, a Pentfield zostawił go i wrócił do obu pań.

Zgnębiona Mabel trzymała się na uboczu. Zapytał więc Dorę, jak gdyby nigdy nic, jak gdyby świat tonął w szczęściu i radości.

- Jakże pani zniosła podróż? Czy w nocy mróz nie dokuczał? A jakże pani to zniosła, pani Hutchinson? - dorzucił spoglądając na Mabel.

- Ach, ty drogi głuptasie! - wykrzyknęła Dora zarzucając mu w mocnym uścisku ręce na szyję.

- Więc czytałeś! Wiedziałaś, że coś się musiało stać, bo taki byłeś dziwny...

- Nie rozumiem... - wyjąkał.

- Sprostowano w następnym numerze - paplała Dora. - Nawet nam przez myśl nie przeszło, że właśnie tamten zobaczysz. Wszystkie inne gazety dobrze podały wiadomość. I właśnie tę nieszczęsną musiałeś zobaczyć!

- Poczekaj! Nie rozumiem, o co chodzi? - pytał Pentfield i serce mu nagle zamarło z przerażenia, bo czuł, że stoi nad brzegiem bezdennej przepaści.

Ale Dora paplała bez opamiętania.

- Kiedy dowiedziano się, że Mabel i ja wyjeżdżamy do Klondike, "Every Other Week" napisał, że po naszym wyjeździe zrobi się pusto w cieście, zamiast w mieście...

- A więc...

- A więc to ja wysłałam za Corry'ego - odparła Dora. - A ty przez cały czas myślałeś, że to Mabel.

- Rzeczywiście tak myślałem - wolno rzekł Pentfield. - Ale teraz rozumiem. Sprawozdawca pomylił imiona. Gazety z Seattle i Portlandu przedrukowały pomyłkę.

Chwilę stał w milczeniu. Mabel odwróciła się do niego i dojrzał błysk nadziei na jej twarzy.

Corry z głębokim zainteresowaniem przyglądał się dziurze na czubku mokasy, a Dora ukradkiem zerkała na nieruchomą twarz Lashki siedzącej na saniach.

Lawrence Pentfield ujrzał swą ponurą przyszłość. W mdłej perspektywie widział się na saniach za biegnącymi psami, z kulawą Lashką u boku. A potem powiedział całkiem po prostu, patrząc Mabel w oczy:

- Bardzo żałuję. To mi nie przyszło do głowy. Myślałem, że wysłaś za Corry'ego. Tam na sankach siedzi moja żona.

Mabel Holmes bez sił odwróciła się do siostry, jakby przytłoczyły ją nagle trudy ciężkiej podróży. Dora pochwyciła ją wpół. Corry Hutchinson ciągle przypatrywał się mokasynom.

Pentfield szybko powiódł okiem po ich twarzach i odwrócił się do swych sań.

- Nie możemy tu stać przez cały dzień, gdy malec Petego czeka - rzekł do Lashki.

Długi bicz świsnął w powietrzu, psy naparły piersiami na szleje, sanki przechyliły się i skoczyły naprzód.

- Corry, słuchaj! - krzyknął odwracając się Pentfield. - Zajmijcie starą chatę. Stoi od pewnego czasu nie używana. Zbudowałem nową na wzgórzu.

Przełożył Tadeusz Evert

Zamążpójście Lit-Lit

John Fox przybył do krainy, gdzie whisky zamarza na kamień i przez znaczną część roku może służyć za przycisk do papierów, a przybył tam wolny od mrzonek i złudzeń, jakie zazwyczaj utrudniają drogę do celu śmiałkom bardziej delikatnego pokroju. Urodzony i wychowany na samej granicy Stanów Zjednoczonych, przywiózł z sobą do Kanady umysł

ciasny i sporą dozę prymitywnej prostoty, ale nie był - jak to mówią - w ciemną bitą, dzięki czemu od razu świetnie mu się powiodło na nowej drodze życia. Ze zwykłego sługi Towarzystwa Zatoki Hudsona, który wraz z voyageurs obraca wiosłem i między jednym szlakiem wodnym a drugim dyrda na piechotę objuczony bagażem, szybko awansował na kierownika faktorii w forcie Angelus.

Tutaj, jako człowiek ubogi duchem, wziął za żonę kobietę z tubylczego plemienia i w szczęśliwym

pożyciu małżeńskim uniknął niepokojów i próżnych tęsknot, jakie są przekleństwem bardziej wybrednych mężczyzn, zatruwają im życie i stają się w końcu przyczyną klęski. Dobrze mu się wiodło, obowiązki swe spełniał chwalebnie i jako pracownik Towarzystwa zyskał sobie jak najlepszą opinię. Potem żona Foxa umarła. Jej ziomkowie zabrali zwłoki i wedle plemiennego obyczaju pochowali w blaszanej skrzyni wysoko na drzewie.

Żona urodziła mu dwóch synów. Awansowany przez Towarzystwo Fox powędrował z nimi jeszcze dalej w głąb Północno-Zachodniego Terytorium, aż do osady zwanej Sin Rock, gdzie objął ważną placówkę skupu futer. Spędził tam kilka samotnych i posępnych miesięcy, w czasie których niemałą odrazą napawał go widok szpetnych indiańskich dziewczuch. Bardzo się przy tym gryzł, że synowie rosą i brak im matczynej opieki. Aż oko jego spoczęło na Lit-Lit.

- Lit-Lit, no cóż, to jest Lit-Lit - na taki opis dziewczyny wysilił się Fox i tyle o niej powiedział swemu zastępcy, Aleksandrowi McLeanowi.

McLean niedawno przyjechał ze Szkocji, gdzie się wychował, i jeszcze miał mleko pod nosem

- jak mawiał Fox, mało więc obchodziło go, jak wygląda ożenek w tym kraju. Nie miał wszakże nic przeciw temu, żeby pryncypał naraził na potępienie swą nieśmiertelną duszę. Poza tym sam odczuwał zgubny pociąg do Lit-Lit i ponurą radość sprawiała mu myśl o ocaleniu własnej duszy kosztem małżeństwa tamtych dwojga.

Nie należy się dziwić, iż surowa szkocka dusza McLeana gotowa była jak na zawołanie odtajać w słonecznym blasku oczu Lit-Lit. Dziewczyna była ładna, smukła i gibka, niepodobna do zwyczajnej squaw - najczęściej o niekształtnej, szerokiej twarzy i pozbawionej temperamentu. Nazywano ją Lit-Lit, bo od dziecka była trzpiotką, fruwała jak motyl z kwiatka na kwiatek - płoche, wesołe stworzenie, śmieszka, wszędobylska fryga.

Ojcem Lit-Lit był Snettishane, znakomity wódz plemienia, a matką półkrwi Indianka. Pewnego letniego dnia zaszedł do niego John Fox, niby to po drodze, a w gruncie rzeczy w zamiarze wszczęcia pertraktacji o córkę. Usiedli razem w dymie ogniska, rozpalonego u wejścia do szałasów wódza dla ochrony przed moskitami, i gawędzili o wszystkim pod słońcem, a w każdym razie pod słońcem Północy, skrzętnie jednak omijali temat małżeństwa. Kupiec przyszedł w tej sprawie, Snettishane wiedział o tym, gość wiedział, że tamten domyśla się, o co chodzi, i dlatego obaj jak ognia unikali wzmianki na ten temat. Wymagała tego indiańska przebiegłość, która jest, prawdę mówiąc, oczywistą naiwnością.

Godziny mijały, a Fox i Snettishane zawzięcie palili fajki patrząc sobie niewinnie w oczy jak dwaj znakomici aktorzy. Było już dobrze po południu, gdy McLean i jego serdeczny kolega McTavish przeszli koło chatynki wódza, jakby ich to nic a nic nie obchodziło, i podążyli w stronę rzeki. Kiedy w godzinę później wracali ze spaceru, Fox i Snettishane zdołali już zacząć oficjalną wymianę poglądów na temat jakości prochu i bekonu sprzedawanych przez Towarzystwo. Tymczasem Lit-Lit, domyślając się, po co Kupiec przyszedł do ojca, wpęzła od tyłu do szałasów i zza zasłony wiszącej u wejścia podglądała dwóch elokwentnych mężczyzn siedzących przy ognisku. Na twarz wystąpiły jej rumieńce, oczy iskrzyły się ze szczęścia. Była dumna, że sam Kupiec (który w hierarchii północnej

krainy szedł zaraz po Bogu) właśnie ją sobie upodobał, i po kobiecemu ciekawa zobaczyć z bliska, jak wygląda ten mężczyzna.

Słońce odbite od tafli lodu, dym obozowego ogniska i wiatr sprawiły, że twarz ogorzała mu na kolor miedzi. Był więc tak samo śniady jak jej ojciec, a ona miała płeć jaśniejszą. Cieszyło ją to, ale najwięcej jej się podobało, że Fox jest barczystym, silnym mężczyzną, choć wielka czarna broda wyglądała tajemniczo i niepokojąco.

Młodziutka Lit-Lit nic nie wiedziała o mężczyznach. Siedemnaście razy patrzyła, jak słońce wędruje na południe i znika za linią horyzontu. Siedemnaście razy widziała, jak słońce wraca, dniem i nocą płynie po niebie, aż w końcu noc przed nim pierzcha. Przez wszystkie te lata ojciec strzegł jej zazdrośnie i zawsze stawał między nią a zalotnikami, z pogardą wysłuchiwał

młodych myśliwych, gdy prosili o jej rękę, i odprowadzał ich z kwitkiem, jak gdyby Lit-Lit nie miała ceny. Snettishane miał bowiem łeb do interesów. Lit-Lit była dla niego lokatą kapitału, od którego spodziewał się nie określonego procentu, lecz niewyczerpanych zysków.

Wychowana nieomal w klasztorze, w tej mierze naturalnie, w jakiej na to pozwalały warunki życia plemiennego, Lit-Lit z istic dziewczęcą ciekawością przyglądała się mężczyźnie, który niewątpliwie przyszedł po nią, mężowi, co miał ją nauczyć tylu nieznanymi rzeczami, władczej istocie, której słowo stanie się dla niej prawem, która po wszystkie dni kierować będzie każdym krokiem w jej życiu.

Gdy tak szpiegowała obu mężczyzn, przyczaiwszy się za zasłoną u wejścia do szałas, spłoniona i drżąca w obliczu nieznanego losu wyciągającego po nią rękę, ogarniało ją coraz większe rozczarowanie, w miarę jak dzień chylił się ku końcowi, a Kupiec i ojciec wciąż z nadętą powagą mówili o wszystkim, tylko nie o małżeństwie. Słońce skłaniało się coraz niżej, północ była już blisko. Kupiec zaczął wyraźnie zbierać się do odejścia. Już odchodzi - serce przestało jej bić, ożyło jednak, gdy Fox przystanął i odwrócił się na pięcie.

- i Słuchaj, Snettishane, co to jeszcze chciałem powiedzieć? Potrzebuję squaw, żeby mi prała bieliznę i reperowała odzież - zagadnął.

Snettishane chrząknął i zaproponował Wanidani, bezzębną staruchę.

- Ale skąd! - przerwał mu Kupiec. - Potrzebna mi żona. Myślałem o tym i przyszło mi do głowy, że może znasz dziewczynę, która by się nadawała.

Snettishane zrobił minę świadcząca, że go to zainteresowało. Kupiec zawrócił i z kamienną twarzą zatrzymał się na chwilę, by pogadać na ten nowy, mało zresztą ważny temat.

- A może Kattou?

- Ma tylko jedno oko - obruszył się Kupiec.

- Laska?

- Kolana szeroko jej się rozłaza. Gdy stoi, Kips, twój największy pies, może jej hycnąć między

nogami.

- Senatee? - Snettishane wciąż nie dawał za wygraną.

Tu John Fox udał, że się rozgniewał.

- Kpisz sobie ze mnie, czy jak? - wołał. - Czy jestem stary, że mi raisz leciwe baby? Zębów nie mam? Kulawy jestem? Ślepy? A może taki biedak, że żadna pięknooka dziewczyna nie spojrzy na mnie łaskawie? Słuchaj! Jestem Kupiec, bogaty i wielki, mocarz w tym kraju. Gdy ja mówię, ludzie drżą i słuchają moich rozkazów!

Snettishane był bardzo z tego zadowolony, ale jego sfinksowa twarz ani drgnęła. Wciągał

Kupca coraz dalej i prowokował do inicjatywy. Sam był stworzeniem pierwotnym, w głowie nie mieściło mu się więcej niż jedna myśl i dlatego mógł trzymać się tej myśli dłużej niż Fox.

Tamten bowiem, przy całym swym prostactwie, był naturą na tyle złożoną, że mogło mu naraz świtać w głowie kilka myśli, co nie pozwalało trzymać się swego tak uporczywie i długo, jak to potrafił wódz plemienia.

Snettishane z niezmaconym spokojem wywoływał, jak na apelu, imiona kandydatek. John Fox bez chwili namysłu dyskwalifikował jedna po drugiej, wyliczając ich braki. Wreszcie machnął

ręką i wybrał się w drogę powrotną. Snettishane patrzył za nim, lecz nie próbował go zatrzymać. Wnet ujrzał, że Fox znów wraca.

- Wyobraź sobie - zaczął Kupiec - że obaj na śmierć zapomnieliśmy o Lit-Lit. Tak sobie myślę, czy ona by mi się nie nadała?

Snettishane przyjął to z obojętną miną, lecz poza tą maską dusza jego szeroko się uśmiechała. Zwycięstwo było wyraźne. Gdyby Kupiec odszedł jeden krok dalej, wódz musiałby sam napomknąć o Lit-Lit, no ale Kupiec tego kroku nie zrobił.

Snettishane ani słówka nie pisał na temat zalet swej córki, chciał bowiem, żeby biały zrobił następny krok przewidziany protokołem dyplomatycznym.

- Hm - Kupiec myślał głośno. - Widzę tu jeden tylko sposób: po prostu trzeba spróbować. -

Podniósł głos. - Wobec tego dam ci za Lit-Lit dziesięć koców i trzy funty tytoniu, i to dobrego tytoniu.

Snettishane odpowiedział na to gestem mającym oznaczać, że wszystkie kocy i cały tytoń w świecie nie mogłyby wynagrodzić mu straty Lit-Lit z jej niezliczonymi zaletami. Ulegając jednak namowom Kupca, żeby oznaczył cenę, bez zmrużenia oka wymienił pięćset koców, dziesięć strzelb, pięćdziesiąt funtów tytoniu, dwadzieścia sztuk szkarłatnego materiału, dziesięć butelek rumu, grające pudło i wreszcie życzliwość, nieustanne względy Kupca oraz miejsce przy jego ognisku.

Na to Fox dostał najwyraźniej ataku apopleksji, który miał tę dobrą stronę, że liczba koców zmalała do dwustu i odpadło miejsce przy ognisku, warunek nie spotykany w małżeństwach białych z córami północnej ziemi. Dopiero po trzech godzinach targów doszli do zgody.

Snettishane miał otrzymać za Lit-Lit sto koców, pięć funtów tytoniu, trzy strzelby i butelkę rumu, w czym mieściła się już życzliwość i względy dla jej ojca w postaci - jak twierdził Fox -

dziesięciu koców i jednej strzelby ponad istotną wartość dziewczęcia. Wracając do siebie o trzeciej nad ranem w świetle słońca świecącego na północowschodzie, szef placówki handlowej miał niemiłe wrażenie, iż Snettishane grubo go okpił.

Zmęczony, zwycięski wódz postanowił udać się na spoczynek. U wejścia do szałasów przydybał

Lit-Lit, zanim zdążyła umknąć.

Chrząknął znacząco.

- Widziałaś. Słyszałaś. Przekonałaś się więc, jak wielki jest rozum i nieprzebrana mądrość twego ojca. Świetnie wydałem cię za mąż. Bacz na moje słowa i tańcz, jak ci zagram, idź, gdy ci każę, i wracaj, gdy cię zawołam, a będziemy się paśli bogactwami dużego białego człowieka, który jest taki głupi jak duży.

Następnego dnia zamknięto sklep Towarzystwa. Pryncypał otworzył przed śniadaniem butelkę whisky ku wielkiej radości McLeana i McTavisha. psom wydał podwójne racje, a sam włożył

najlepsze mokasyny. Na dworze przygotowywano potlach. Słowo to oznacza ucztę, a trzeba powiedzieć, że John Fox pragnął uczcić swój ślub z Lit-Lit przyjęciem równie wspaniałym, jak piękna była panna młoda. Po południu całe plemię przybyło na weselisko. Mężczyźni, kobiety, dzieci i psy - wszystko to obzerało się nieprzytomnie i każdy, nie wyłączając przygodnych gości i myśliwych z innych plemion, którzy akurat się nawinęli, każdy bez wyjątku został

obdarowany z hojnej ręki pana młodego.

Splakaną i wystraszoną Lit-Lit brodaty małżonek wystroił w nową perkalową sukienkę, mokasyny pięknie obszyte paciorkami, wspaniałą jedwabną chustkę na kruczoczną głowę, purpurowy szalik na szyję, miedziane kolczyki i pierścionki, a do tego pół litra rozmaitych błyskotek i nawet tani zegarek. Snettishane na ten widok nie wytrzymał i przy pierwszej okazji odciągnął ją na bok.

- Nie tej nocy ani następnej - mówił z wielką powagą - ale w którąś noc głosem kruka zawołam znad brzegu rzeki. Wtedy masz wstać z łóżka twego męża, który jest głupiec, i przyjść do mnie.

- Nie, nie - dodał spieszenie widząc, że spochmurniała na myśl o rozstaniu się z nowym, cudownym życiem. - Jak tylko to się stanie, twój wielki mąż, który jest głupiec, przyjdzie z płaczem do mnie. Wówczas ty też będziesz beczeć i narzekać, że to jest niedobrze, tamto ci się nie podoba, że być żoną Kupca jest trudniej, niż się zdawało, ale zgodzisz się wrócić, jeśli twój biedny stary ojciec, Snettishane, dostanie nową porcję koców, tytoniu i różnych innych bogactw. Pamiętaj: kiedy zawołam w nocy głosem kruka znad rzeki.

Lit-Lit skinęła głową, wiedziała bowiem, że niebezpiecznie byłoby odmówić ojcu posłuszeństwa, a poza tym stary niewiele żądał - krótkiej rozłąki z Kupcem, który będzie jeszcze szczęśliwszy, gdy ją odzyska. Wróciła na ucztę, a że zbliżała się północ, Kupiec odszukał ją i zabrał do fortu pośród żartów i głośnych przycinków, w których szczególnie celowały indiańskie squaw.

Lit-Lit szybko się przekonała, że pożycie małżeńskie z wodzem fortu przewyższa jej najśmielsze marzenia. Nie musiała już nosić drzewa i wody ani usługiwać grubiańskim mężczyznom. Po raz pierwszy w życiu mogła wylegiwać się w łóżku do chwili, gdy śniadanie było na stole. A co za łóżko! Czyste, miękkie, wygodne - czegoś podobnego jak żyje nie widziała. Albo jedzenie! Mąka upieczona na sucharki, gorące placki i chleb - trzy razy na dzień, codziennie, i tyle, ile dusza zapagnie! Rozrzutność przechodząca wszelkie pojęcie.

Radość jej była tym większa, że mądry Kupiec dobrze ją traktował. Pochował już jedną żonę i wiedział, że można popuścić cugli, a należy ściągnąć je, i to ostro, gdy trzeba.

- Lit-Lit jest panią tego domu - oznajmił stanowczo przy śniadaniu w dzień po weselu. - Trzeba jej słuchać. Zrozumiano?

McLean i McTavish zrozumieli. Wiadomo było, że szef ma ciężką rękę.

Lit-Lit jednak nie nadużywała swej władzy. Z miejsca zajęła się obu podrastającymi synami męża, a idąc za jego wzorem postarała się, aby im było lepiej niż dotąd i dała im tyle swobody, ile sama otrzymała od swego pana i władcy. Chłopcy nie mogli się nachwalić nowej mamy, McLean i McTavish przyłączyli się do nich, a Kupiec też nie szczędził pochwał małżeństwu, które przyniosło mu tyle radości. Wkrótce cała okolica Sin Rock wiedziała, jak dobrze sprawuje się Lit-Lit i jaki zadowolony jest jej mąż.

Tymczasem Snettishane, któremu wizje nieprzebranych korzyści nie dawały spać, uznał, że nadszedł czas i trzeba przystąpić do dzieła. W dziesiątą noc małżeńskiego pożycia Lit-Lit obudziło krakanie kruka. Wiedziała, że to Snettishane czeka na nią nad rzeką. W swym wielkim szczęściu zapomniała o układzie. Wraz z przypomnieniem odżył cały jej dziecinny lęk przed ojcem. Przez chwilę leżała drżąc ze strachu. Nie miała ochoty wyjść, a bała się zostać.

W końcu jednak

Kupiec odniósł ciche zwycięstwo. Jego dobroć, poparta siłą potężnych mięśni i kwadratową szczęką, dodała jej ducha, postanowiła więc zlekceważyć zew Snettishane'a.

Ale rano wstała wystraszona. Krzątając się po domu obawiała się, że lada chwila przyjdzie ojciec. W miarę jednak jak dzień upływał, odzyskiwała pewność siebie. Wielce podtrzymał ją na duchu podniesiony głos męża, gdy sztorcował McLeana i McTavisha za jakieś drobne uchybienie w pracy. Starła się nie tracić go z oczu. Kiedy poszła z nim do ogromnej piwnicy i ujrzała, jak obraca i ciska wielkimi belami towaru niczym puchowymi poduszkami, poczuła się umocniona w swym nieposłuszeństwie wobec ojca. Po raz pierwszy znalazła się w magazynie (Sin Rock był głównym punktem rozdzielczym dla całej sieci mniejszych placówek Towarzystwa). Oszołomiły ją

nieprzebrane bogactwa, jakie tam zgromadzono.

Widok składu i wspomnienie pustego szałas Snettishane'a rozwiały resztę wątpliwości. Wiarę w męża uwieńczyła krótka rozmowa z pasierbem.

- Biały tata dobry? - zapytała, a chłopiec odparł, że lepszego tatusia nie ma na całym świecie.

W nocy kruk znów się odezwał. Następnej nocy krakanie stało się jeszcze bardziej natrętne i obudziło Kupca, który przez chwilę niespokojnie obracał się na łóżku. Po czym głośno powiedział:

- Diabli nadali tego kruka! - a Lit-Lit zachichotała cichutko pod kocami.

Z pierwszym brzaskiem dnia zjawił się chmurny Snettishane. Do śniadania posadzono go w kuchni wraz z Wanidani. Odmówił "babskiego jadła" i w chwilę później dopadł zięcia w otwartym sklepie. Oświadczył, że dowiedział się, jakim klejnotem jest jego dziewczę, i przyszedł po nową porcję koców, tytoniu i strzelb - zwłaszcza strzelb. Został niewątpliwie oszukany i przybył, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Ale Kupiec nie miał niepotrzebnych koców ani nie chciał szafować sprawiedliwością. Wobec czego został poinformowany, że Snettishane spotkał się z misjonarzem w Rozstajnych Drogach, który oświadczył mu, że w niebie takie małżeństwa nie są dobrze widziane i ojciec ma obowiązek zażądać zwrotu córki.

- Jestem teraz gorliwym chrześcijaninem - zakończył Snettishane. - Pragnę, żeby moja Lit-Lit poszła do nieba.

Odpowiedź Kupca była zwięzła i rzeczowa. Posłał go bowiem nie do nieba, lecz w przeciwnym kierunku, czyli do diabła, i ująwszy za kołnierz oraz za fałdę koca, pomógł mu odbyć część drogi wypychając go za drzwi,

Ale Snettishane wrócił cichcem przez kuchnię i w dużej izbie mieszkalnej przyparł Lit-Lit do muru.

- Pewnie dziś w nocy spałaś tak mocno, żeś nie słyszała, jak cię wołałem znad rzeki? - zaczął, mierząc ją posępnym spojrzeniem.

- Nie. Obudziłam się i słyszałam. - Serce skoczyło jej do gardła, ale śmiało mówiła dalej: -

Zeszłej nocy też słyszałam. I dwie noce temu słyszałam.

Następnie, podniecona swym wielkim szczęściem i bojąc się, że mogłaby je utracić, wygłosiła płomienną tyradę w obronie praw kobiety - pierwszą prelekcję postępowej niewiasty na północ od pięćdziesiątego trzeciego stopnia szerokości geograficznej.

Nie znalazła jednak wdzięcznego słuchacza. Snettishane pogrążony był jeszcze w mrokach średniowiecza. Gdy przerwała, żeby zaczerpnąć tchu, powiedział groźnie:

- Dziś w nocy znów zawołam głosem kruka.

W tej chwili Kupiec wszedł do izby i po raz drugi pomógł Snettishane'owi w drodze do diabła.

W nocy rozległo się krakanie jeszcze bardziej natarchy niż dotąd. Lit-Lit sen miała lekki, usłyszała więc i uśmiechnęła się. John Fox poruszył się niespokojnie. Obudził się, na dobre zaniepokojony. Mruczał, parskał, klął po cichu i głośno, aż w końcu wyskoczył z łóżka. Po omacku poszedł do wielkiej izby mieszkalnej, zdjął z wieszaka strzelbę nabitą kaczym śrutem, pozostawioną tam przez lekkomyślnego McTavisha.

Kupiec ostrożnie wyśliznął się z domu i począł się skradać ku rzece. Krakanie ustało. Położył się w wysokiej trawie i czekał. Powietrze było rześkie i balsamiczne, ziemia po upalnym dniu parowała odurzająco. Kupiec poddał się rytmowi sennej nocy, zdrzemnął się, podłożył rękę pod głowę i po chwili zasnął na dobre.

Pięćdziesiąt jardów dalej, z głową wspartą o kolana, plecami do Foxa, spał Snettishane, zmożony nocną ciszą. Minęła godzina. Wódz nagle ocknął się i nie podnosząc głowy przeszył

noc chrapliwym, gardłowym głosem kruka.

Kupiec obudził się także. Nie zerwał się jednak nieprzytomnie jak człowiek cywilizowany, tylko ze snu przeszedł gładko do stanu trzeźwej czujności, jak to bywa u dzikich. W szarym mroku ujrzał jakiś ciemny przedmiot wśród trawy, zdjął strzelbę z ramienia i zmierzył się. Ledwie krakanie ozwało się po raz drugi, Fox pociągnął za cyngiel. Ustało monotonne cykanie świerszcza, dzika gęś przestała krzyczeć, urwało się nagle krakanie. Zapadła głucha cisza.

Fox podbiegł i sięgnął po ptaka, którego ustrzelił, ale jego palce zamknęły się na szczeciniastej czuprynie. Odwrócił twarz Snettishane'a ku gwiazdom błyszczącym na niebie.

Orientował się, jak śrut razi na odległość pięćdziesięciu jardów, i wiedział, że przysolił wodzowi w plecy i czułe miejsce poniżej. Snettishane wiedział, że on wie, ale obaj pominęli ten temat milczeniem.

- Cóż ty tu robisz? - zapytał Kupiec. - Czas byłby wyprostować stare kości w łóżku.

Snettishane był w uroczystym nastroju, mimo że śrut palił go pod skórą.

- Stare kości nie mogą spać - wyrzekł z wielką powagą. - Opłakuję córkę, moją córkę Lit-Lit, która niedawno jeszcze żyła, a teraz umarła i na pewno pójdzie do piekła białych ludzi.

- Płacz więc po drugiej stronie rzeki, żeby nie było słyhać w moim domu - powiedział Fox odwracając się na pięcie - bo strasznie głośno beczysz po nocy i nie dajesz ludziom spać.

- Serce mnie boli - odparł Snettishane - a dni moje i noce są czarne od smutku.

- Jak czarny jest kruk - dodał Fox.

- Jak czarny jest kruk - powtórzył Snettishane.

Nigdy już więcej nie słyszano głosu kruka znad rzeki. Lit-Lit nabiera pomału kształtów matrony i jest

bardzo szczęśliwa. Synowie Johna Foxa z pierwszej żony, tej, którą pochowano na drzewie, mają siostrzyczki. Stary Snettishane nie zachodzi już do fortu i całymi godzinami wyrzeka słabym, starym głosem na niewdzięczność dzieci w ogóle, a córki Lit-Lit w szczególności. Podeszłe lata zatruwa mu gorzkie przeświadczenie, że został oszukany.

Trzeba dodać, że sam John Fox nie twierdzi już, jakoby zapłacił za Lit-Lit o dziesięć koców i jedną strzelbę za dużo.

Przełożył Kazimierz Piotrowski

Skarby Sezamu

Jest to historia - prawdziwsza zresztą, niżby się zdawać mogło - z krainy złota, nic więc dziwnego, że będzie w niej mowa o niepowodzeniach. Co to jest niepowodzenie - zdania są podzielone. Nie ulega jednak wątpliwości, że słowo to wydałoby się zbyt blade Kinkowi Mitchellowi i Hootchينو Billowi, gdyby mieli nazwać to, co ich spotkało. Że obaj mają w tej sprawie wyrobione zdanie, powszechnie wiadomo w całym północnym kraju.

Jesienią 1896 roku obaj wspólnicy zeszli na wschodni brzeg Yukonu i z okrytej mchem kryjówki wydobyli kanadyjskie czółno. Wyglądali niezbyt zachęcająco. Lato spędzili na poszukiwaniu złota, przy czym zmordowali się setnie, jedli zaś całkiem kiepsko. Z odzieży zostały strzępy, a z nich samych skóra i kości. Nad głowami bzykały im, na kształt nimbów, roje moskitów. Twarze oblepili niebieskawą gliną. W rękę nieśli mokre bryły i smarowali gliną miejsca na twarzy, w których wykruszyła się zeschnięta skorupa. Kłótnia, żalonna nuta w ich głosach, a nadto nerwowe ruchy i gesty świadczyły o nieprzespanych nocach i bezskutecznej walce ze skrzydlatą zmorą. Czółno złapało dziobem prąd i odskoczyło od brzegu. - Do grobu mnie wpędzi to paskudztwo - jęknął Kink Mitchell, - Trzymaj, bracie, fason. Do domu niedaleko

- odparł Hootchينو Bill udając zucha, co w połączeniu z grobowym głosem sprawiało żalonne wrażenie. - Za trzy kwadransy będziemy w Czterdziestej Mili, a wtedy... ach, ty fąflu przeklęty!

Jedną ręką przytrzymał wiosło, drugą trzasnął się w kark. Nałożył świeżą warstwę gliny w miejscu, gdzie ugryzł go moskit. Klął przy tym siarczyście. Kinka Mitchella wcale to nie bawiło.

Skorzystał tylko z okazji i grubo wysmarował gliną własny kark.

Podpłynęli ku zachodniemu brzegowi Yukonu i lekko uderzając wiosłami pomknęli z prądem.

W czterdzieści minut później prześliznęli się między cyplem wyspy a lewym brzegiem rzeki.

Nagle ujrzeli Czterdziestą Milę. Wyprostowali grzbiety i spojrzeli na widok, jaki roztaczał się przed ich oczami. Unoszeni prądem długo i bacznie patrzyli przed siebie. Ich twarze przybierały z wolna wyraz zdumienia i konsternacji. Ani jednej smugi dymu nad paru setkami chałup! Nie słyhać odgłosu siekier, których kły zajadle tną drzewo, ani stukania młotków, skrzypienia piły. Nie widać ciżby psów i ludzi przed wielkim sklepem. W przystani nie ma statków parowych, nie ma czółen, promów i łodzi. Na rzece pusto, w osadzie głucho, jakby życie wymarło.

- Wygląda na to, że archanioł Gabriel zagrał już na trąbce i tylko myśmy się spóźnili -

zauważył Hootchino Bill.

Powiedział to od niechcienia, jak gdyby nic nadzwyczajnego się nie stało. Odpowiedź Kinka Mitchella świadczyła, że i on nie widzi powodu do obaw,

- A może mieszkali tu sami baptyści i wzięli łódki, aby wodą się dostać na sąd ostateczny? -

uzupełnił domysły współnika.

- Mój stary był baptystą - rozwijał dalej temat Bill - i zawsze mówił, że wodą jest bliżej o czterdzieści tysięcy mil.

Na tym skończyły się żarty. Wpłynęli do przystani i wspięli się na wysoki brzeg. Gdy szli opustoszałymi ulicami, zaczęło ich ogarniać uczucie bogobojnej trwogi. Przygrzewało słońce. Łagodny wietrzyk trzepotał linkami o maszt na chorągiew przed zamkniętymi drzwiami sali tańca "Kaledonia". Słysząc było bzykanie moskitów i pogwizdywanie drozdów, głodne sójki skakały między domami szukając jedzenia. Ale ani śladu ludzkiego życia.

- Skonani, jeśli się czegoś nie napiję - powiedział Hootchino Bill, mimo woli zniżając głos do ochryplego szeptu.

Wspólnik skinął głową bojąc się usłyszeć własny głos pośród grobowej ciszy. Szli dalej powłócząc nogami i milcząc jak zakłęci, aż nagle ujrzeli otwarte drzwi. Nad wejściem, zajmując cały front domu, wisiał szyld, który koślawymi literami obwieszczał ni mniej, ni więcej tylko "Monte Carlo". Obok drzwi, na krześle przechylonym w tył, w kapeluszu nasuniętym na oczy siedział i wygrzewał się w słońcu jakiś człowiek. Brodę i włosy miał długie, siwe, patriarchalne.

- Czy to nie stary Jim Cummings? Widocznie, tak jak my, spóźnił się na zmartwychwstanie -

powiedział Kink Mitchell.

- Pewnie nie dosłyszał trąbki archanioła.

- Hej, Jim! Wstawaj! - huknął Bill.

Stary zerwał się, zatoczył i mrużąc oczy odruchowo wybełkotał:

- Co dla panów? Czego się panowie napiją?

Weszli za nim do środka i stanęli przy długim szynkwasiu, za którym swego czasu uwijało się bez chwili wytchnienia pół tuzina zwinnych barmanów. W dużej izbie zazwyczaj pełnej zgiełku cicho było i smutno jak w grobie. Nie pobrzękiwały fiszki, nie dudniły głucho bilardowe kule.

Pokryte płótnem stoły ruletki i faraona wyglądały jak nagrobki. Z sali tańca w głębi nie dolatywały wesole głosy kobiet. Stary Jim Cummings drżącymi rękami wycierał szklanekę, a Kink Mitchell

gryzmolił swe inicjały na okrytej kurzem ladzie.

- A gdzie dziewczynki? - zawołał Hootchinoo Bill udając, że strasznie mu wesoło.

- Pojechały - odparł sędziwy barman słabiutkim głosem, zgrzybiałym jak on i drżącym jak jego ręce.

- A gdzie Bidwell i Barlow?

- Pojechali.

- Sweetwater Charley?

- Pojechał.

- Jego siostra?

- Też.

- A twoja córka Sally z dzieciakiem na ręku?

- Pojechała, wszyscy pojechali. - Stary smutno pokiwał głową i z roztargnieniem przestawiał zakurzone butelki.

- Nassypali piasku! Dokąd?! - wybuchnął Kink Mitchell tracąc już panowanie nad sobą. - Nie powiesz mi chyba, że wymiotła ich morowa zaraza?

- Toś pan nic nie słyszał? - zachichotał staruszek. - Wszyscy pojechali do Dawson.

- A cóż to za лихо? - spytał Bill. - Potok? Knajpa? Osada?

- Nigdyś pan nie słyszał o Dawson, he? - stary aż się krztusił ze śmiechu. - Toć to miasto, duże miasto, większe od Czterdziestej Mili. Tak, panie łaskawy, większe od Czterdziestej Mili.

- Jestem w tym kraju od siedmiu lat - oświadczył Bill z wielką powagą - i śmiem twierdzić, że pierwszy raz słyszę o Dawson. Czeka! Nalej no jeszcze tej whisky. A toś mi wbił klina! Gdzież to całe Dawson leży?

- W wielkiej dolinie, poniżej ujścia Klondike - odparł stary Jim. - A wy gdzieście się obracali przez całe lato?

- Dużo cię to obchodzi, gdzieśmy byli - opryskliwie odpowiedział Kink Mitchell. - Byliśmy tam, gdzie te psiekrwie komary unoszą się nad ziemią chmurą tak gęstą, że jak chcesz spojrzeć na słońce i dowiedzieć się, która godzina, to musisz kij rzucić w górę. Prawda, Bill?

- Święta prawda. Ale wracając do tego Dawson, jak to się stało, Jim?

- W potoku, który się nazywa Bonanza, dobywają uncję złota z każdej patelni, a jeszcze nie dobrali

się do głównej żyły.

- Kto to odkrył?

- Carmack.

Gdy wspólnicy usłyszeli nazwisko odkrywcy, wymienili spojrzenia pełne niesmaku, po czym z ogromną powagą zrobili do siebie oko.

- George Siwasz - skrzywił się Hootchino Bill. - Mąż Indianki - sarknął Kink Mitchell.

- Komu by się chciało lecieć do złota, które odkrył Carmack? Mnie by szkoda było na to mokasynów - oświadczył Bill.

- Mnie też - zapewnił wspólnik. - Wałkoń, jakich mało. Sam nawet łososia by nie złowił.

Dlatego skumał się z Indianami. Pewnie ten brudas, jego szwagier - jakże mu? Skookum Jim, co? - maczał w tym palce?

Stary barman skinął głową.

- Ma się rozumieć - powiedział. - A za nimi poleciała cała Czterdziesta Mila, prócz mnie i paru kalek.

- I pijaków - dodał Kink Mitchell.

- Mylisz się, hrabio! - gorąco zaprotestował starszek.

- Założę się o kolejkę, że Honkins nie poleciał! - zawołał Bill.

Twarz starego Jima rozpromieniła się.

- Przyjmuję zakład. Bill, przegrałeś.

- Jakim cudem, ta gąbka umaczana w alkoholu ruszyła się z miejsca? - zapytał Mitchell.

- Związali go i rzucili na dno łodzi - wyjaśnił Jim. - Przyszli i zabrali go z tamtego krzesła w rogu, a trzech innych strąbionych gości wyciągnęli spod fortepianu. Mówię wam, że wszyscy wyrwali Yukonem do Dawson, jakby ich diabeł gonił, kobity, dzieciarnia, niemowlaki na rękę -

cała hałastrą. Przychodzi do mnie Bidwell i mówi: "Jim, chciałbym, żebyś miał oko na «Monte Carlo». Jadę".

"A Barlow gdzie?" - pytam. - "Pojechał, a ja lecę za nim z zapasem whisky" - powiada. Nie pyta, czy się zgadzam, goni do łodzi i już płynie obracając wiosłem, jakby go bies opętał. No to siedzę tutaj. Przez trzy dni nikomu nie nalewałem whisky. Wy jesteście pierwsi.

Wspólnicy spojrzeli na siebie.

- A bodaj mi nóżka spuchła! - zawołał Hootchinoo Bill. - Wygląda na to, że obaj jesteście z tych, co postarali się o widelce, kiedy zupa leje się strumieniami.

- Czy to by ci dogadzało? - odparł Kink Mitchell. - Gonitwa niedojdów, pijusów i obiboków?

- I mężów Indianek - uzupełnił Bill. - Ani jednego prawdziwego kopacza w tym całym tałajstwie.

- Wszyscy fachowcy, tacy jak ty i ja - ciągnął Bill z wielką powagą - pracują teraz w pocie czoła nad Brzozowym Potokiem. A w całej tej zwariowanej wyprawie na Dawson nie ma jednego specjalisty. Oświadczam więc, że ani krokiem nie ruszę się za jakimś tam Carmackiem.

Musiałbym zobaczyć najpierw kolor jego piaseczku.

- Słusznie. Ja też - powiedział Mitchell. - Napijemy się.

Po oblaniu tej decyzji wyciągnęli łódkę na brzeg, przenieśli bagaż do swej chaty i ugotowali obiad. A jednak po południu zrobiło im się nieswojo. Przywykli do ciszy niezmiernego pustkowia, ale grobowe milczenie, jakie zalegało miasto, działało im na nerwy. Chwyтали się na tym, że nasłuchują znajomych odgłosów, "czekają aż narobi hałasu rzecz, która nigdy nie robi hałasu" - jak to trafnie określił Bill. Pustymi ulicami poszli do "Monte Carlo", wypili i brzegiem rzeki podążyli do przystani, gdzie słycać było tylko bulgotanie wody zmacanej przez wiry przybrzeżne, a czasem skoczył łosoś i błysnął w słońcu.

Usiedli w cieniu przed sklepem. Wdali się w pogawędkę z magazynierem gruźlikiem. Częste krwotoki usprawiedliwiały dostatecznie jego obecność w Czterdziestej Mili. Bill i Kink powiedzieli mu, że chcą posiedzieć w domu i porządnie odpocząć po ciężkiej harówce przez całe lato. Zapewniali go usilnie - po to, żeby im dał wiarę, ale i po to, żeby się sprzeciwił - iż z największą radością będą się teraz pławić w lenistwie. Jednakże magazyniera temat ten wcale nie interesował. Ustawicznie wracał do odkrycia złota w Klondike i na nic się zdały ich próby zmiany tematu rozmowy. O niczym innym nie mógł myśleć ani mówić. Wreszcie Hootchinoo wstał, zdjęty gniewem i oburzeniem.

- Do cholery z tym Dawson! - zawołał.

- Ja się przyłączam - oświadczył Kink Mitchell i twarz mu się rozjaśniła. - Myślałby kto, że tam się naprawdę coś dzieje, a to tylko żółtodzioby i pętaki robią tłok.

Właśnie w dole rzeki ukazała się łódź. Była długa i smukła. Płynęła przy samym brzegu. Stało w niej trzech ludzi. Za pomocą długich bosaków walczyli z bystrym prądem.

- Wyprawa z Circle City - objaśnił magazynier. - Spodziewałem się ich dopiero późnym popołudniem. Z Czterdziestej Mili jest o sto siedemdziesiąt mil bliżej do Dawson. No i widzicie!

Chłopaki nie tracą czasu!

- Posiedzimy tu sobie i pogapimy się, jak będą przejeżdżali - oświadczył Bill, bardzo z siebie zadowolony.

Gdy to mówił, pojawiła się druga łódź, a krótko potem dwie następne. Pierwsza łódź już ich mijała. W czasie wymiany okrzyków powitalnych załoga ani na chwilę nie poniechała bosaków.

W pół godziny później łódź, choć posuwała się wolno, zniknęła w górze rzeki.

Jedna łódź za drugą nadpływały teraz nie kończącym się korowodem. Niepokój Billa i Kinka wzrastał. Spoglądali na siebie ukradkiem i świdrowali się wzrokiem, ale gdy ich spojrzenia się spotkały, zmieszani odwracali głowy. Nadeszła jednak chwila, kiedy spojrzeli sobie prosto w oczy i żaden nie ustąpił.

Kink otworzył usta. Chciał coś powiedzieć, ale brakło mu słów i tylko z otwartą gębą wpatrywał się we współnika.

- Właśnie to samo sobie myślałem, Kink - powiedział Bill. Nieśmiało uśmiechnęli się do siebie.

Nastąpiło nieme porozumienie.

Wstali i poszli. Po drodze wciąż przyśpieszali kroku. Chaty dopadli biegiem.

- Nie mamy ani chwili do stracenia, bo już się zrobił ścisk - wykrztusił zdyszany Kink jedną ręką wrzucając puszkę z zakwasem do garnka na fasolę, a drugą łapiąc patelnię i imbryk do kawy.

- No pewnie - odparł zduszonym głosem Bill z głową zanurzoną głęboko w worek, w którym przechowywali wełniane skarpetki i ciepła bieliznę. - Słuchaj, Kink, nie zapomnij sody. Leży na półce, w kącie za piecem.

W pół godziny później spuszczała czółno na wodę i ładowali je przy wtórce dowcipnych uwag magazyniera na temat słabości natury ludzkiej i zaraźliwości gorączki złota. Gdy jednak uderzyli bosakami o dno rzeki i pchnęli czółno pod prąd, zawołał za nimi:

- Czołem chłopcy! Powodzenia! A nie zapomnijcie tam zająć jedną lub dwie działki dla mnie!

Energicznie skinęli głowami. Zrobiło im się żal biedaka, którego choroba przykuła do miejsca.

Kink i Bill oblewali się potem. Zgodnie z wersją Pisma świętego obowiązującą na Północy gonitwa jest dla szybkońców, działki należą do mocnych, a złoto zgarnia Korona tytułem należnej jej daniny. Kink i Bill byli szybcy i mocni. Ruszyli podmokłym szlakiem kołysząc się w biodrach i tak wyciągając nogi, że doprowadzili do rozpaczy dwóch żółtodziobów, którzy usiłowali dotrzymać im kroku. Z tyłu, między nimi a Dawson (gdzie porzucono łodzie i zaczęła się piesza wędrówka), ciągnął się długi sznur straży przedniej wyprawy z Circle City. W

wyścigu z Czterdziestej Mili dwaj współnicy minęli wszystkie łodzie wyprzedzając tuż przed lądowaniem w Dawson o jedną długość tę, która płynęła na czele. Nim jej załoga zdążyła wysiąść, Kink i Bill zrobili już kawał drogi.

- Uff! Tyle nas widzieli! - zachichotał Hootchino Bill ścierając gryzący pot z czoła i spoglądając za siebie na przebytą drogę.

Z tyłu, zza drzew wynurzyło się trzech mężczyzn. Dalszych dwóch deptało im po piętach, a po chwili pokazała się jeszcze jedna para: mężczyzna i kobieta.

- Dalej, Kink! Nie żałuj nóg! Ciągnij!

Bill przyśpieszył kroku. Mitchell obejrzał się spokojnie.

- Założę się, że bokami robią - powiedział.

- Masz tu jednego, który już nic nie robi - zauważył Bill wskazując na skraj szlaku.

Jakiś mężczyzna leżał na plecach ciężko dysząc, ledwo żywy z wyczerpania. Twarz miał

upiornie bladą, oczy nabiegłe krwią i szkliste - widać było, że walczy ze śmiercią.

- Chechaquo! - burknął Kink Mitchell i w tym jednym słowie wyraziła się cała pogarda wygi,

“kwaśnego chłopaka” do żółtodzioba, który zaopatruje się na drogę w “samorosnącą” mąkę i używa proszku do pieczenia sucharów.

Wspólnicy, wierni tradycji starej gwardii Północy, zamierzali pójść z biegiem strumienia i wytyczyć działkę poniżej miejsca odkrycia. Kiedy jednak ujrzeli “81 poniżej” wyrte na drzewie, co oznaczało okrągłe osiem mil od miejsca odkrycia, zmienili zamiar. Odległość tę przeszli w niecałe dwie godziny. Tempo było zabójcze, tym bardziej że szli nie udeptanym szlakiem. Po drodze spotykali dziesiątki ludzi, którzy padli ze zmęczenia.

W miejscu odkrycia niewiele mogli się dowiedzieć o górnym biegu potoku. Szwagier Carmacka, Indianin Skookum Jim, słyszał, że podobno w górę wytyczono trzydzieści działek.

Kiedy wreszcie ujrzeli żerdki narożne numeru “79 powyżej”, zrzucili tobołki z pleców i usiedli zapalić papierosa. Na próżno się mordowali. Potok Bonanza został zaJQty od ujścia aż do źródeł.

- Jak okiem sięgnąć, aż do najbliższego działu wód! - żalił się Bill, gdy wieczorem podsmażali bekon i gotowali kawę przy ognisku Carmacka w miejscu odkrycia.

- Spróbujcie tej strużyny - poradził im Carmack na drugi dzień rano.

“Ta strużyna” była szerokim potokiem, który wpadał do Bonanzy koło numeru “7 powyżej”.

Wspólnicy przyjęli radę z wyniosłą pogardą, na jaką zasługiwał mąż Indianki w oczach “starej wiary”, i zamiast go posłuchać spędzili cały dzień nad potokiem Adama, innym dopływem Bonanzy, budzącym większe zaufanie niż “strużyna”. Ale powtórzyła się ta sama historia: potok był zajęty aż do horyzontu.

Przez trzy dni Carmack powtarzał swą radę i przez trzy dni spotykał się tylko z pogardą. Ale czwartego dnia, nie mając nic innego do roboty, poszli w górę “strużyny”. Wiedzieli, że potok nie został jeszcze podzielony, ale ani im się śniło wytyczać działki. Wycieczkę zrobili głównie po to, by dać upust złym humorom. Stali się bowiem zdeklarowanymi cynikami i niedowiarkami. Kpili i szydzili z wszystkiego, lżyli każdego chechaquo, jakiego spotkali po drodze.

Ostatnia była działka numer 23. Dalej górny bieg strumienia czekał na tych, którzy go zajmą.

- Jeleni wygon! - zadrwił Kink Mitchell.

Ale Bill z niezmaconą powagą odmierzył pięćset kroków w górę strumienia i zatknął żerdki w czterech rogach działki. Potem znalazł wieko skrzyni od świec i na jego gładkiej stronie wypisał:

Ten jeleni wygon zarezerwowany jest dla

Szwedów i Dudków

(-) Bill Rader

Taką tablicę Bill przybił na środkowej żerdzi. Kink przeczytał napis z uznaniem i powiedział:

- To samo mi w sercu gra, wobec czego niech mi wolno będzie złożyć również mój własnoręczny podpis.

W ten sposób imię i nazwisko Mitchella znalazło się na tablicy. Owego dnia niejedno oblicze starego wygi rozjaśniło się na widok ręcznej roboty bratniej duszy.

- Jak tam strużyna? - zapytał Carmack, gdy wmaszerowali do obozu.

- Do diabła ze strużynami! - brzmiała odpowiedź Hootchinoo Billa. - Ja i Kink, jak tylko trochę odsapniemy, wybieramy się na poszukiwanie Skarbów Sezamu.

Skarbami Sezamu nazywano legendarny potok, o którym śniły wszystkie stare wygi.

Opowiadano, że warstwa kruszcu jest tam tak gęsta, iż przed płukaniem trzeba najpierw przesypać złote bryły do rynienki.

W czasie kilkudniowego odpoczynku przed wyprawą przyjaciele zmienili jednak nieco swój plan, na co wpłynęło pojawienie się niejakiego Ansa Handersona, Szweda.

Ans Handerson przez całe lato pracował jako robotnik nad potokiem Millera, powyżej Sześćdziesiątej Mili. Pod jesień powędrował nad Bonanzę, unoszony wraz z wielu podobnymi mu ofiarami na fali złotej gorączki, która miotła nimi po całym północnym kraju. Był to chłop wielki i chudy jak szczapa. Ramiona miał długie niczym człowiek jaskiniowy, dłonie wielkości głębokich talerzy, niekształtne i sękaty od ciężkiej pracy. Był powolny w mowie i ociężały w ruchach, oczy miał bladoniebieskie, a włosy słomiane. Oczy te zdawały się marzyć o jakichś niezwykłych sprawach, ale jakich - tego nikt nie wiedział, a już najmniej sam Handerson.

Wygląd niezwykłego marzyciela Szwed zawdzięczał być może temu, że był niewinny jak głąb kapuściany. W każdym razie tak go zakwalifikowali ludzie ulepieni ze zwyczajnej gliny, do których należeli Hootchinoo Bill i Kink Mitchell.

Wspólnicy spędzili dzień na wizytach i plotkach, a wieczorem zjawili się w tymczasowej siedzibie "Monte Carlo" - obszernym namiocie, gdzie poszukiwacze złota rozprostowywali strudzone kości i gdzie sprzedawano podłą whisky po dolarze szklaneczka. Skoro zaś jedyną walutą obiegową był złoty piasek, a wazono go tutaj z dodatkiem na rozkurz, szklaneczka kosztowała nieco więcej niż dolara. Bill i Kink nie pili, głównie z tej przyczyny, że ich jedyny i wspólny mieszek nie był dostatecznie tęgi, aby mógł wytrzymać więcej wycieczek do wagi.

- Słuchaj, Bill, zdaje się, że stuknę jednego chechaquo na wór mąki - oznajmił radośnie Mitchell.

Billa wyraźnie to zainteresowało i ucieszyło. Z prowiantem było krucho, a na wyprawę do Skarbów Sezamu też nie najlepiej byli zaopatrzeni.

- Mąka leci po dolarze za funt - odparł. - Ciekawe, jak to skombinowałaś?

- Opyłę pół naszej działki - wyjaśnił Kink.

- Jakiej znów działki? - zdziwił się Bill. Zaraz jednak przypomniał sobie pastwisko, które zarezerwował dla Szwedów, i powiedział tylko "Och!"

- Ja bym się nie bawił - dodał. - Jeśli trafiła się okazja, sprzedaj im cały kawałek, niech znają pana.

Bill potrząsnął głową.

- Gdybym chciał tak zrobić, facet się spietra i zwieje. Wmówiłem mu, że działka przedstawia poważną wartość i że puszczaemy w kurs połowę, bo się nam prowiant całkiem wyprztykał. Jak dobijemy targu, będziemy mu mogli zrobić prezent z reszty tego śmietnika.

- Jeśli ktoś nie zlekceważył naszego napisu i nie zajął działki - zaproponował Bill, choć bardzo mu się uśmiechała perspektywa wymiany parceli na worek mąki.

- Nikt jej nie capnął - uspokoił go Kink. - Działka ma numer 24 i stoi nie tknięta. Żółtodzioby wzięli napis na serio i obsadzali działki dalej, za twoimi żerdkami. Dojechali już do przełęczy.

Mówiłem z jednym, który właśnie stamtąd wrócił i nogi sobie zerwał.

Wtedy to dwaj przyjaciele usłyszeli po raz pierwszy Ansa Handersona. Szwed cedził słowa i bardzo się jąkał.

- Lubię zaryzykować - mówił do barmana. - Myślę, że kupię działka.

Wspólnicy zrobili oko do siebie i w parę minut potem zdziwiony i wdzięczny Szwed pił podłą whisky z dwoma nieznanymi, ludźmi o sercach z kamienia. Ale głowę miał tak samo mocną, jak oni twarde mieli serca. Ich mieszek raz po raz wędrował do wagi, odprowadzany troskliwym spojrzeniem Kinka Mitchella, a Handerson wciąż trzymał się sztywno. W jego bladoniebieskich oczach, jak morskie fale w letni dzień, przetaczały się i płonęły ogniem nieziemskie marzenia, aliści zjawisko to wywoływały opowiadania o złotym kruszcu na patelniach poszukiwaczy, a nie whisky, którą lekką ręką wlewał w gardło. Rozpacz ogarniała współników, ale nadrabiali tęgimi minami i hałaśliwą wesołością.

- Nie krępuj się, mój drogi - walcząc z czkawką powiedział Hootchينو Bill i klepnął Szwe da w plecy. - Jeszcze jednego. Właśnie obchodzimy dziś urodziny Kinka. To mój współnik, Kink, Kink Mitchell. A ty, przyjacielu, jak się zowiesz?

Gdy się dowiedział, palnął Kinka w plecy aż jęknęło. Kink udawał, że ogromnie go onieśmiela ta zabawa na jego cześć, Szwed zaś bardzo się ucieszył i zaproponował im kolejkę. Wkrótce po tym poczęstunku role się zmieniły i skąpa dusza Handersona wzniosła się na wyżyny niebywałej szczodrobliwości. Fundując czerpał jednak z dobrze wypasionego mieszka.

- Najmniej osiemset dolarów - oszacowało rysie oko Kinka. W związku z tym odkryciem Kink

skorzystal z pierwszej sposobności, by pomówić w cztery oczy z Bidwellem, do którego należała owa podła whisky i namiot.

- Słuchaj Bidwell, masz tu mój worek - powiedział z poufałością i pewnością siebie, na jaką mógł sobie pozwolić tylko jeden stary wyga wobec drugiego. - Odważ mi do niego pięćdziesiąt dolarów. Oddam ci za parę dni. Bill i ja będziemy ci wdzięczni do grobowej deski.

Od tej chwili mieszek przyjaciół coraz częściej wędrował na wagę, a obchód urodzin Kinka ogromnie się ożywił. Solenizant usiłował nawet zaintonować klasyczną pieśń starych wyjadaczy, "Więc pijmy, pijmy zakazany owoc", ale skiksował i utopił swą konsternację w nowej kolejce. Sam Bidwell uczcił urodziny Kinka jedną czy dwiema kolejkami na rachunek zakładu. Kink i Bill byli już dobrze ululani, kiedy Handersonowi oczy zaczęły się kleić, a język pomału się rozwiązywał.

Bill zrobił się sentymentalny i skłonny do zwierzeń. Spowiadał się ze swych smutków i nieszczęść barmanowi oraz całemu światu w ogóle, a Handersonowi w szczególności.

Niepotrzebne mu były zdolności aktorskie. Podła whisky podpowiedziała mu, jak ma zagrać swą rolę. Ogromnie się martwił o siebie i Kinka, a kiedy powiedział, że wraz ze współnikiem noszą się z myślą sprzedaży połowy cennej działki, bo nie mają co jeść, zapłakał rzewnymi łzami. Nawet Kink pilnie słuchał i wierzył.

W oczach Handersona pojawiły się niedobre błyski, gdy zapytał: - Ile myślicie wziąć?

Bill i Kink zdawali się nie słyszeć. Musiał powtórzyć pytanie. Zwlekali z odpowiedzią. Szwed wyraźnie się rozpalał. Trzymając się lady huśtał się w przód i w tył na stołku strzygąc uszami, żeby nie uronić ani słowa z tego, co tamci mówili na boku. A oni zawzięcie spierali się, czy sprzedać czy nie, i teatralnym szeptem targowali się między sobą o cenę, jakiej zażądać.

- Dwieście - hep - pięćdziesiąt - oznajmił w końcu Bill - ale właściwie to nie mamy zamiaru sprzedać.

- I bardzo mądrze robicie. Panowie wybaczą, że wtrącam swoje trzy grosze - podparł ich Bidwell.

- Ma się rozumieć - podchwycił Kink. - Nie jesteśmy instytucją dobroczynną, żeby hojną ręką rozdawać majątek Szwedom i tym podobnym.

- Ja myślę, my sze napijemy - powiedział przy wtórze czkawki Ans Handerson, zręcznie odkładając tamtą sprawę na bardziej stosowną chwilę.

Wówczas, aby przybliżyć tę stosowniejszą chwilę, mieszek Handersona zaczął kursować między tylną kieszenią jego spodni a szalą wagi. Bill i Kink długo się opierali, aż w końcu ulegli namowom Szweda. Wtedy on się zawahał. Odciągnął Bidwella na bok. Zataczał się niemożliwie i musiał objąć szynkarza, żeby nie upaść.

- Czy ci goście to porządni faceci, jak pan uważasz?

- Mur - z całego serca zapewnił Bidwell. - Znam ich od lat. Stara wiara. Jak sprzedają działkę, to

sprzedają działkę. Powietrzem nie handlują.

- Myślę, że ja kupię - oświadczył Ans Handerson chwiejnym krokiem zmierzając w stronę pary wspólników.

Tym razem jednak rozmarzył się na dobre i oznajmił, że albo kupi. całą działkę, albo nic.

Ogromnie to zabolalo Hootchينو Billa. We wspanialej tyradzie gromił świńską żarłoczność Szwedów i żółtodziobów. Podczas tej mowy kilka razy zasypiał, głos przechodził mu wtedy w ciche, nieartykułowane dźwięki, a głowa opadała na pierś. Ale ilekroć obudził go szturchaniec Kinka lub Bidwella, natychmiast z ust jego buchał nowy potok wyzwisk i obelg.

Ans Handerson znosił to spokojnie. Każde wyzwisko dodawało wartości działce. W tak przykry sposób okazywana niechęć sprzedania działki wiele dawała mu do myślenia, doznał więc niezmiernej ulgi, gdy Hootchينو Bill chrapnąwszy rymnął na podłogę i można było rozpocząć pertraktacje z dostępniejszym wspólnikiem.

Kink Mitchell istotnie był bardziej ustępliwy, choć matematyk całkiem kiepski. Płakał jak bóbr, lecz cóż z tego, skoro chciał sprzedać pół działki za dwieście pięćdziesiąt dolarów, a całą za siedemset pięćdziesiąt. Ans Handerson i Bidwell ciężko pracowali starając się sprostować jego błędne poglądy w sprawie ułamków, ale na nic się to nie zdało. Kink wylewał łzy i żale na szynkwasy i ramiona swych towarzyszy, ale nawet potok łez nie zdołał zmyć jego przekonania, że jeśli pół działki warte jest dwieście pięćdziesiąt, to dwie połówki muszą kosztować trzy razy tyle.

W końcu - nawet Bidwell nie bardzo pamiętał, jak się skończyła ta noc - spisana została umowa kupna - sprzedaży, mocą której Bill Rader i Charles Mitchell zrzekają się wszelkich praw i roszczeń do działki "Nr 24 Eldorado", taką bowiem nazwę nadał potokowi jakiś optymistycznie usposobiony chechaquo.

Gdy Kink podpisał umowę, wszyscy trzej zespolili swe siły, żeby ocucić Billa. Z piórem w ręce długo kiwał się nad dokumentem, ilekroć zaś chybnął się w tył lub w przód, w oczach Ansa Handersona zapalały się i gasły blaski cudownej złotej wizji. Kiedy wreszcie cenny podpis został złożony, a cena wypłacona w złotym piasku, Szwed westchnął głęboko i osunął się pod stół, gdzie snem sprawiedliwego przespał do rana.

Dzień wstał szary i chłodny. Szwed czuł się kiepsko. Gdy się obudził, odruchowo sięgnął ręką do mieszka. Zdziwił się. bardzo, że mieszek jest taki lekki. Pomału wspomnienia ostatniej nocy napływały do głowy Szweda. Czyjeś ochryple głosy nie dawały mu spać. Otworzył oczy i wyjrzał spod stołu. Dwa ranne ptaszki, a raczej dwóch ludzi, którzy spędzili całą noc na szlaku, wykrzykiwało, że potok Eldorado diabła jest wart. Szwed przestraszył się, sięgnął do kieszeni i znalazł akt sprzedaży działki "Nr 24 Eldorado".

W dziesięć minut później dziko łypiąc ślepiami wyciągnął spod koców Hootchينو Billa i Kinka Mitchella i chciał im koniecznie wcisnąć w ręce zabazgrany atramentem i poplamiony jak nieszczęście kawałek papieru.

- Myślę, że odbiorę moje pieniądze - mamrotał. - Myślę, że odbiorę moje pieniądze.

Miał łzy w oczach, szlochał. Łzy płynęły mu po policzkach, gdy ukląkł i błagał o litość. Bill i Kink wcale się nie śmiali. Serca im trochę zmiękły.

- Pierwszy raz widzę, żeby ktoś beczał po kupnie działki - odezwał się Bill. - I pozwolę sobie nadmienić, że mi się to w głowie nie mieści.

- Mnie też - zapewnił Kink Mitchell. - Z kupnem działki jest jak z kupnem konia.

Byli szczerze zdziwieni. W głowie im się nie mieściło, żeby mogli uderzyć w płacz po zawarciu transakcji handlowej i dlatego zupełnie nie rozumieli Szweda.

- Biedny, zasmarkany chechaquo - mruknął Hootchينو Bill. Wraz z Kinkiem patrzył za znikającym na ścieżce zgnębionym Szwedem.

- W każdym razie nie były to Skarby Sezamu - uśmiechnął się Kink Mitchell.

Nim minął dzień za złoty piasek Ansa Handersona kupili mąki i bekonu po szalonych cenach i przekroczyli dział wód zmierzając ku potokom, płynącym między Klondike i Rzeką Indiańską.

W trzy miesiące później wracając wśród śnieżnej zamieci przeszli przełęcz i wkroczyli na ścieżkę prowadzącą do "Nr 24 Eldorado". Był to zwykły przypadek. Wcale nie szukali działki.

Wśród białej zadymki niewiele było widać i zorientowali się, gdzie są, dopiero gdy wstąpili na działkę. Trochę się rozwidniło. Zobaczyli dół, a nad nim kołowrót w ruchu. Człowiek przy kołowrocie wyciągnął wiadro żwiru i przechylił je nad dołem. Ujrzeni też drugiego człowieka, dziwnie jakoś znajomego, który nabrał patelnię świeżego żwiru. Ręce miał ogromne, a włosy słomiane. Nim zdążyli podejść, odwrócił się i pobiegł z patelnią do chaty. Nie miał na głowie kapelusza i śpieszył się, bo śnieg sypał mu za kołnierz. Bill i Kink pobiegli za nim i weszli do chaty. Klęczał przy piecu i płukał żwir w misce wody.

Był tak pochłonięty pracą, że nawet się nie odwrócił, żeby zobaczyć, kto wszedł do izby.

Stanęli za jego plecami i patrzyli. Potrząsał patelnią szybkim, okrągłym ruchem, po czym wybierał palcami większe grudki żwiru. Woda była mętna i nie mogli dostrzec, co się mieści na zanurzonej w wodzie patelni. Nagle facet podniósł patelnię i jednym szarpnięciem odcedził

wodę. Ukazała się żółta masa, podobna do masła na dnie tłuszczki.

Hootchينو Bill przełknął ślinę. Nigdy w życiu nie marzył o tak bogatej próbie.

- Gęsto, przyjacielu? - odezwał się ochryłym głosem. - Jak pan myślisz, ile tego jest?

Ans Handerson nie podnosząc głowy odparł:

- Myślę, że pięćdziesiąt uncji.

- Toś pan okropnie bogaty, co?

Wciąż nie podnosząc głowy, Ans Handerson lekko potrząsał patelnią i wylawiał resztę drobnych kawałków żwiru.

- Myślę, że można mnie liczyć na pięćset tysięcy dolarów.

- Diabli nadali! - powiedział Hootchينو Bill, a w jego głosie zabrzmiała nuta szacunku.

- Tak, Bill, diabli nadali! - przytaknął Kink Mitchell. Wyszli na palcach i zamknęli za sobą drzwi.

Przełożył Kazimierz Piotrowski

Złoty mak

Mam całe pole maków. To znaczy, że dzięki łasce boskiej i życzliwości wydawców stać mnie na to, aby co miesiąc wybulić pewną ilość złotych monet na ręce sługi bożego, a zarazem właściciela majątku i w zamian za wyżej wspomniane świadczenie pieniężne uzyskać na okres dni trzydziestu część uprawnień przysługujących właścicielowi łąnu maków. Pole to złoci się na zboczu Piedmont Hills. U jego stóp leży cały świat. W dali, za srebrną taflą zatoki dymi San Francisco, które rozsiadło się na pagórkach, niczym drugi Rzym. Nie opodal Mount Tamalpais sięga nieba swym najeżonym grzbietem. W pół drogi do miasta widać Złote Wrota, ulubioną siedzibę morskich mgieł. Z naszego pola często widzimy skrzący się w promieniach słońca daleki błękit Oceanu Spokojnego i statki, które wytrwale odpływają lub mierzą do portu.

- Ileż radości przyniosą nam te maki! - powiedziała Bess.

- Tak odparłem. - A jak ci biedacy z miasta, którzy wybiorą się do nas z wizytą, będą nam zazdrościli! Udobruchamy ich jednak odprawiając każdego z ogromnym naręczem złotego kwiecica.

- Ale te historie trzeba będzie zwalić - dodałem pokazując palcem liczne, natrętne tablice (pamiętki po naszym poprzedniku), ustawione w widocznych miejscach wzdłuż granic pola.

Powtarzał się na nich jeden napis:

GRUNT PRYWATNY, PRZEJŚCIE WZBRONIONE

- Czemuż mielibyśmy bronić tym biedaczyskom z miasta spaceru przez nasze pole tylko dlatego, słowo daję, że nie mają przyjemności znać nas osobiście?

- Mam wstręt do takich tablic - zapewniała Bess. - To są aroganckie symbole władzy.

- Ublizają godności ludzkiej - dodałem.

- Plamią szlachetne piękno krajobrazu. Ohyda.

- Paskudztwo! - zawołałem z ogniem w oczach. - Precz z tym świństwem!

Czekaliśmy na maki, czekała Bess i ja czekałem, z niecierpliwością mieszkańców miasta, którym długo nie było dane oglądać rozkwitłych maków. Zapomniałem wspomnieć o domu nad makowym polem. Był to przysadzisty bungalow, rozbudowany bez ładu i składu.

Zamieszkaliśmy w nim zrywając z naszą miejską przeszłością dla zdrowszego, krzepkiego życia na wsi. Gdy wśród kłosów zboża pojawiły się pierwsze maki, pomarańczowożółte i złote, chodziliśmy koło nich uradowani, jakbyśmy upili się winem, i powtarzaliśmy sobie, że maki kwitną. Pośród ciszy wybuchaliśmy ni stąd, ni zowąd śmiechem albo zawstydzeni wymykaliśmy się chyłkiem z domu, żeby spojrzeć na nasze skarby. Ale kiedy wreszcie płomienista fala kwiecica załała pole, krzyczeliśmy na całe gardło, tańczyli, klaskali w dłonie nie tając już naszego szaleństwa.

Wówczas pojawili się Wandale. W chwili pierwszego najazdu właśnie namydliłem twarz i z brzytwą zastygłą w podniesionej ręce wyrząłem na ukochane pole. Na jego krańcu zobaczyłem dziewczynkę i chłopca z pełnymi naręczami złocistego łupu.

- Ach - pomyślałem w przystępie niezmiernej dobroci - jakże mnie cieszy ich radość! Jak słodką jest myśl, że oto dzieci skubią sobie maki na moim polu. Niechże je zrywają przez całe lato. Ale musi to być drobna dziatwa - zastrzegłem się w duchu - i niechaj zrywa sobie kwiatki tam, na dole. - Tę uwagę wywołało spojrzenie na wysokich złotych kawalerów kiwających głowami wśród pszenicy pod oknem. Potem brzytwa zniżyła się do poziomu mego oblicza.

Golenie jest czynnością pochłaniającą uwagę, wyrząłem więc przez okno dopiero po skończeniu tej operacji. Wyrząłem i otwarłem usta ze zdziwienia. To chyba nie moje pole? A jednak moje, bo tam strzeliste sosny skupiły się w godną gromadkę, oto magnolia ugina się pod ciężarem kwiecica, a japońskie pigwy obryzgały krwią płot przy drodze. Tak, to było moje pole, ale już nie okrywała go fala ognistych maków i wysocy złoci kawalerowie nie kiwali głowami wśród pszenicy pod oknem. Porwałem marynarkę i wypadłem z domu. Daleko znikły dwie olbrzymie kolorowe kule, pomarańczowa i złota, rzecz by można - dwa chodzące maki potwornej wielkości.

- Johnny - powiedziałem do mego siostrzeńca, dziewięcioletniego chłopczyka - Johnny, gdyby jeszcze raz przyszły dziewczynki i chciały rwać maki na naszym polu, zejdź do nich i jak najspokojniej i najuprzejmiej powiedz, że nie wolno.

Nastaly ciepłe dni. Słońce wyczarowało z żyznego łona ziemi nową falę ognia. Córeczka sąsiadki grzecznie poprosiła w imieniu mamy, czy mogłaby zerwać parę maków, bo chciałyby przyozdobić nimi mieszkanie. Bess pozwoliła, ale ja nic o tym nie wiedziałem i gdym ujrzał < malutką na środku pola, wzniosłem ręce ku niebu na podobieństwo semafora i zawołałem:

- Dziewczynko! Dziewczynko!

Dziewczątka wiało tak, że tylko nóżki widać było w powietrzu. Duma rozpierała mi pierś.

Odszukałem Bess, żeby jej powiedzieć, jaki potężny mam organ głosu. Wielkodusznna Bess natychmiast ruszyła na ratunek udając się z misją pojednawczą do mamy dziewczynki. Ale do dziś dnia dziewczątka ucieka i chowa się na mój widok. Wiem, że jej matka nigdy już nie będzie wobec mnie tak serdeczna, jakby była, gdyby nie tamto.

Nadeszły chmurne dni, dęły silne, porywiste wiatry, deszcz lał jak z cebra, pogoda na dobre się popsuła. Mieszkańcy miasta schowali się w swych norach jak szczury podczas powodzi.

Ledwie się wypogodziło, niczym szczury, które omal się nie potopiły i z trudem łapią powietrze, wypełzli na zielone stoki Piedmontu, żeby się wygrzać w słończku. Dzięki hordy wtargnęły na moje pole, wdeptywały w ziemię słodką pszenice, chciwe łapska darły maki z korzeniami.

- Postawię tablice zabraniające przejścia - powiedziałem. - Tak - odparła Bess i westchnęła. -

Nie ma innej rady.

Daleko jeszcze było do wieczora, gdy Bess westchnęła po raz wtóry. - Obawiam się, panie mój i władco, że twoje tablice na nic się zdadzą. Ludzie w ostatnich czasach zapomnieli sztuki czytania.

Wyszedłem na ganek. Nimfa miejska, w lekkiej sukience i stylowym kapeluszu ze strusimi piórami, przystanęła przed jedną ze świeżo przeze mnie postawionych tablic i w skupieniu ducha ją przeczytała. Cała jej postawa wskazywała na to, że pogrążyła się w głębokiej zadumie. Kształtów była posagowych. Ale to jej nie przeszkodziło odrzucić głowę wstecz, zadrzeć spódnicę i na czworakach przeleźć pod płotem. Gdy wstała po drugiej stronie, już w obu garściach trzymała maki. Podeszedłem drogą do niej i przemówiłem niewieście do sumienia. Poszła. A ja postawiłem więcej tablic.

Niegdyś, przed laty wzgórze te usłane były kobiercem maków. Przeciwwstawiając niszczyielskim siłom własną ochotę życia, maki utrzymywały stan równowagi między sobą a otoczeniem. Ale mieszkańcy miasta pojawili się jako nowa i straszliwa siła niszczyielska -

równowaga została obalona, maki niemal doszczętnie wyginęły. Jeśli wziąć pod uwagę, że mieszczanie rwali maki o najdłuższych łodygach i największych koronach oraz że istnieje prawo odtwarzania się gatunku, ujrzymy jak na dłoni, iż najbardziej okazałe maki przestały się siać, a na wzgórzach pozostały odmiany cherlawe i karłowate. Poza tym, że były niskie i cherlawe, skąpo porastały zbocza wzgórz. Dzień w dzień, rok po roku mieszczanie wylęgali na Piedmont Hills, skutek zaś był taki, że tylko tu i ówdzie jakiś geniusz rasy przetrwał w postaci mizernego kwiatka, szybko przekwitającego, jak dziecko slumsów, które przemyka się przez krótką młodość ku przedwczesnej, przywędłej i jałowej dojrzałości.

Ale na moim polu makom doskonale się powodziło. Znalazły tu ochronę nie tylko przed barbarzyńcami, ale i przed ptactwem. Kiedyś obsiano pole pszenicą. Nie zbierana wysiewała się co roku, a w jej chłodnym cieniu ziarnka maku kryły się przed bystrymi oczkami śpiewaków bożych. Potem, pnąc się ku słońcu wśród łodyg pszenicy, maki rosły wysoko i pyszniły się jeszcze bardziej niż ich królewscy przodkowie na otwartym polu.

Mieszkańcy miasta przeto, patrząc z nagich wzgórz na moje gorejące złotym ogniem pole, doznawali okrutnej pokusy i - trzeba rzec - pokusie tej ulegali. Przykry był ich upadek, nie mniej jednak żaloszny los spotkał moje ukochane maki. Tam, gdzie zboże okrywa się rosą i wchłania słoneczny żar, ziemia jest wilgotna. Dlatego maki wyrosłe w zbożu łatwiej wyrwać z korzeniami, niż złamać łodygę. A ludzie z miasta, jak zresztą wszyscy, najchętniej idą po linii najmniejszego oporu. Z każdym więc

zerwanym kwiatkiem unosili liczne, mocno zwarte pączki, a wraz z nimi możliwości rozwoju rośliny, i na zawsze niszczyli całą przyszlą krasę kwitnących maków.

Pewien mieszczuch, jegomość w średnim wieku, o białych rękach i rozbieganych oczkach, szczególnie urozmaicił mi życie. Nazwaliśmy go “repetentem”, bo się powtarzał. Kiedy z ganku błagaliśmy go, żeby przestał, wolnym spacerkiem podążał w stronę płotu, świetnie symulując, że nic nie słyszał, tylko z własnej i nie przymuszonej woli postanowił zakończyć przechadzkę.

Aby nie było żadnych wątpliwości, tu i ówdzie, z niczym nie zmaconą swobodą, pochylił się i skubnął od niechcenia kwiatek. W ten oszukańczy sposób oszczędzał sobie wstydu człowieka wyrzuconego, a nas pozbawiał satysfakcji wypędzenia intruza, po czym znów się pojawiał, i to pojawiał się często, za każdym razem uchodząc z łupem, jaki unieść może silny mężczyzna.

Być mieszkańcem miasta nie należy do przyjemności. Tego jestem pewny. Coś musi być w miejskim trybie życia, co wywołuje stany niepokojącej ślepoty i głuchoty, a przynajmniej tak się ma rzecz z osobami, które wchodzą w moje maki. Wśród wielu osób, którym przemawiałem do sumienia, nie znalazła się ani jedna, co by dostrzegła tablice ustawione przecieź w najbardziej widocznych miejscach, a z tych, na których wołałem z ganku, może jeden na pięćdziesięciu mnie słyszał. Poza tym przekonałem się, iż stosunek mieszczan do polnych kwiatów ogromnie przypomina stosunek człowieka umierającego z głodu do jedzenia.

Podobnie jak głodomór nie chce zrozumieć, że z większym pożytkiem zjadłby uncję mięsa niż pięć funtów, tak ci ludzie ani rusz nie mogą pojąć, że pięćset maków stłamszonych w jednym naręczu nie umywa się do luźnego bukieciku z paru okazów, kiedy to zielone listki i złote korony zdolne są zagrać całym swym urzekającym wdziękiem.

Od ludzi pozbawionych smaku bardziej godni są potępienia przekupnie. Hordy młodych gałganów plądrują moje pole i ograbiają mnie na przyszłość po to tylko, aby wystawać na rogach ulic i kupczyć kwiatkami wołając: “Do maków kalifornijskich! Za jedno pięć centów bukiet!” Mimo przedsięwziętych przeze mnie środków zapobiegawczych, niektórzy z nich wyciągali z mego pola dolara dziennie. Jedna szajka szczególnie boleśnie utkwiała mi w pamięci. Najpierw przeprowadzili rozpoznanie, czy nie ma psa - przyszli do kuchni i poprosili grzecznie o szklankę wody. Gdy pili, prosiliśmy ich, żeby nie rwali kwiatów. Kiwnęli głowami, otarli usta i poszli gęsiego tuż przy ścianie domu. Stratowali maki pod oknami, a potem cała szóstka rozwinęła się na kształt wachlarza i haratała obu rękami tak długo, aż doszczętnie ogołociła samo serce pola. Przeszli przez pole szybciej i spustoszyli je lepiej, niż najbardziej gwałtowny cyklon. Wołałem za nimi, ale lecieli na skrzydłach wiatru ciągnąc za sobą wspaniałe, królewskie maki, połamane i okaleczone, i dźwigając olbrzymie ich sterty. Jestem przekonany, że nigdy na morzu nie popełniono brutalniejszego pirackiego gwałtu.

Raz poszedłem na ryby i właśnie wtedy pojawiła się na polu jakaś kobieta. Gdy prośby i perswazje z ganku nie zrobiły na niej żadnego wrażenia, Bess posłała małą dziewczynkę, która poprosiła ową niewiastę, by przestała rwać maki. Najspokojniej w świecie haratała dalej.

Wtedy Bess sama poszła do niej, choć skwar był nieznośny. Baba nie przerywając swego zajęcia zakwestionowała prawo własności Bess i oświadczyła, że uzna je dopiero wtedy, gdy zostaną jej przedłożone odpowiednie akty prawne i dokumenty. Przez cały czas rwała w najlepsze nie

przepuszczając ani jednemu kwiatkowi. Babsko było duże i wyglądało wojowniczo, a Bess była tylko kobietą i nie umiała walczyć na pięści. W tym stanie rzeczy najazd trwał tak długo, aż baba miała dość. Wtedy powiedziała “cześć!” i majestatycznie pożeglowała dalej.

- Ludzie rzeczywiście zrobili się niedobrzy w ciągu ostatnich paru lat - powiedziała do mnie Bess dziwnie zmęczonym głosem, gdyśmy tego wieczoru siedzieli po kolacji w bibliotece.

Nazajutrz byłem gotów zgodzić się z żoną.

- Jakaś kobieta z dziewczynką leżą prosto w maki - oznajmiła May, nasza służąca.

Wyszedłem na ganek i czekałem, aż się pokażą. Dały nura między sosny i wynurzyły się na polu. Gdy pierwsze maki poszły z korzeniami, zawołałem. Dzieliło nas jakieś sto kroków.

Kobieta i dziewczynka odwróciły się i spojrzały na mnie.

- Proszę nie rwać maków - powiedziałem błagalnym tonem.

Zastanowiły się chwilę. Potem kobieta powiedziała coś półgłosem do malutkiej, obie zgięły się niczym składane noże i zaczęła się rzeź. Krzyczałem, ale one nagle ogłuchły. Wrzasnąłem tak przeraźliwie, że dziewczynka zawahała się. Kobieta dalej darła maki. Słyszałem jak po cichu dodawała ducha maleńkiej.

Przypomniała mi się syrena, której używałem, gdy trzeba było zawołać do domu małego Johnny, mego siostrzeńca. Był to straszliwy instrument, gotów postawić na nogi nieboszczyka.

Teraz dałem weń z całej siły, dałem, ale zgięte we dwoje kobiety wciąż pokazywały mi plecy i ani drgnęły. Co innego z mężczyzną, ale do walki wręcz z kobietą nigdy jakoś nie miałem wielkiej ochoty. Tym razem jednak brała mnie chętka wziąć się do tej baby, która podżegała dziewczynkę do aktów bezprawia.

Wszedłem do bungalowu i wziąłem gwintówkę. Wywijając nią na znak, że łaknę krwi, wznosząc przeraźliwe okrzyki ruszyłem na wroga. Dziewczynka związała z piskiem i schowała się za sosnami, ale kobieta spokojnie rwała dalej. Mnie jakby w ogóle nie widziała. A właśnie liczyłem na to, że jak mnie zobaczy, da nogę. Powstała kłopotliwa sytuacja. Ja tu szarżuję przez pole niczym rozjuszony byk i walę prosto na kobietę, a jej ani się śni zejść mi z drogi.

Nie pozostało nic innego, jak zwolnić kroku i zrozumieć, że się doszczętnie ośmieszyłem. Gdy zbliżyłem się do niej na odległość dziesięciu stóp, wyprostowała się i raczyła spojrzeć na mnie. Przystanąłem i zaczerwieniłem się aż po pięty. Może istotnie ją nastraszyłem (czasem wmawiam sobie, że tak było), a może zrobiło jej się żal tego wariata. W każdym razie wymaszerowała z mojego pola z wielce godną miną, ba, pełna majestatu, dźwigając w ramionach olbrzymi złotopomarańczowy ładunek.

Niemniej, od tej pory oszczędzałem płuc, ale nadal wywijiałem gwintówką. Dokonałem też świeżych uogólnień. Dopuszczając się rabunku, kobiety korzystają z przywilejów swej płci.

Mężczyźni okazują więcej respektu dla cudzej własności. Ich zbrodnicze popędy nie działają tak silnie jak u kobiet. Białogłowy mniej niż mężczyźni boją się broni palnej. A jeśli zdobywamy ziemię wśród niebezpieczeństw i na polach bitewnych, dzieje się to dzięki męstwu naszych matek. My, Anglosasi, jesteśmy rasą rabusiów lądów i mórz - cóż w tym dziwnego, skoro w niemowlęctwie ssiemy piersi kobiet tego samego pokroju co niewiasty, które plądrują moje złote łany.

A grabież nie ustawała. Syrena i wygrażanie bronią palną nic nie pomagały. Miejski ludek był mężny i nie znał trwogi. Zauważyłem, że zwyczaj "repetowania", czyli powrotu na miejsce przestępstwa, coraz bardziej się upowszechnia. Jakież miało znaczenie, ile razy pod rząd ich się przegnało, skoro zawsze wolno im było unieść z sobą owoce przestępstwa? Kto dwakroć lub trzykroć wyprosił jedną i tę samą osobę, w tego piersi wzbierają ludobójcze żądze. A jeśliś raz uprzytomnił sobie, że łakniesz ludzkiej krwi, ślepy los chwyta cię w swoje szpony i ciągnie w otchłań. Niejednokrotnie łapałem się na tym, że nieprzytomny przykładam strzelbę do ramienia i biorę na muszkę nieszczęsnych kłusowników. We śnie katrupiłem ich na przeróżne sposoby, a ścierwo wrzucałem do basenu. Z każdym dniem pokusa, żeby ich siec kulkami po nogach, stawała się coraz bardziej natrętna. Z każdym dniem wyraźniej czułem, że los mnie woła i muszę mu być posłuszny. Przed oczami wyrastała mi wizja szubienicy i ze stryczkiem na szyi patrzyłem w okrutną przyszłość moich dzieci, pogrążonych we wstydzie i hańbie.

Począłem bać się samego siebie, a Bess kręciła się po domu pełna trwogi i w tajemnicy przede mną błagała naszych przyjaciół, by mnie nakłonili do wyjazdu na wyuczasy. Wtedy gdy już się trzymałem ostatkiem sił, przyszła myśl, która mnie ocaliła: A może by tak konfiskować? Jeśli najazdy przestaną przynosić łupy, stracą rację bytu i muszą się skończyć.

Po tym odkryciu pierwszy wkroczył na pole mężczyzna. Czekałem na niego. Patrzę... ach, co za radość! Był to "repetent" w swej własnej osobie, niezmiernie pewny siebie po uprzednich sukcesach. Z gwintówką niedbale zwieszoną na ręce podszedłem do faceta.

- Najmocniej pana przepraszam - zacząłem gołębim głosem - ale, widzi pan, mnie samemu te maki są potrzebne.

Patrzył na mnie, mowę mu odjęło. Widok był niewątpliwie wspaniały i na pewno dramatyczny.

Stałem przed nim z gwintówką przewieszoną przez ramię, moja pełna słodyczy prośba jeszcze mi dźwięczała w uszach i czułem się jak Black Bart, Jesse James, Jack Sheppard, Robin Hood i całe pokolenia innych zbójców.

- No proszę - rzekłem nieco ostrzejszym tonem, który wydał mi się po prostu w sam raz. -

Bardzo żałuję, proszę mi wierzyć, jeśli to panu nie na rękę, ale oddaj pan te maki.

Niedbale podniosłem nieco moją pukawkę i uśmiechnąłem się. To go przekonało. Bez słowa wręczył mi maki i ruszył w stronę płotu, ale nie szedł już lekkim spacerowym kroczkiem, ani się pochylał, by uszczknąć kwiatek, który po drodze wpadł mu w oko. Taki był koniec

“repetenta”. Z jego oczu zmiarkowałem, że mnie nie lubi, a plecy zdały się wyrażać niemy wyrzut, gdy tak szedł przez pole, póki nie zniknął mi z oczu.

Od tego dnia bungalow tonął w powodzi maków. Pełno ich było w każdej wazie i każdym glinianym dzbanku. Płonęły ogniem na każdej półce, rozbuchały się po wszystkich pokojach.

Obdarzam przyjaciół olbrzymimi pękami kwiecia, ale znów napływają poczciwi mieszkańcy miasta i zbierają dla mnie nowe bukiety.

- Posiedź jeszcze chwilkę - mówię do gościa, który już chce odejść.

Siedzimy w cieniu, na ganku, a tymczasem niestrudzone miejskie istoty rwą maki i oblewają się potem w słonecznym skwarze. Kiedy już moje złote śliczności dostatecznie ciąży im w ramionach, idę na dół ze strzelbą na ramieniu i uwalniam facetów od ciężaru. W ten sposób doszedłem do przekonania, że nie ma złego, co by na dobre nie wyszło.

Akcja konfiskaty przebiegała jak najpomyślniej. Ale jednego nie wziąłem pod uwagę: wielkiej liczebności mieszkańców miasta. Choć starzy kłusownicy nie wracali, co dzień przybywali nowi. Stałem w obliczu tytanicznego zadania: nauczyć całe miasto, że wypadki na moje maki nie mają sensu. W toku rozładowywania nieproszonych gości z początku klarowałem im mój punkt widzenia, ale szybko dałem spokój. Szkoda było każdego słowa. Nie mogli zrozumieć. Pewnej damie, która pozwoliła sobie na insynuację, iż jestem kutwa, powiedziałem tak:

- Żadnej krzywdy pani dobrodziejce nie czynię. Gdybym wczoraj i przedwczoraj nie chronił

maków, miejska zgraja sprzątnęłaby je i dziś pani oczęta żadnych kwiatków by tutaj nie zobaczyły. Maki, których dziś nie pozwalam pani zerwać, są kwiatami, jakich wczoraj i przedwczoraj nie dałem zniszczyć innym. A zatem, proszę mi wierzyć, nic pani nie traci.

- Ale maki są tu dzisiaj - odparła spozierając żarłocznym okiem na ich płomienną urodę.

- Zapłacę panu - rzekł pewien dżentelmen innym razem. (Właśnie uwolniłem go od ciężaru.) Doznałem nagle uczucia wstydu, sam nie wiem czemu, może dlatego, że jego słowa uprzytomniły mi fakt, iż moim kwiatkom przypisuje się wartość nie tylko estetyczną, ale i monetarną. Na myśl, że postępuję jak zwyczajny groszórób, załamałem się i odparłem niepewnym głosem:

- Nie sprzedaję maków. Może pan wziąć sobie, co pan narwał. Nie minął tydzień i znów stanąłem oko w oko z tym samym dżentelmenem.

- Zapłacę panu - powiedział.

- Dobrze. Uiszczaj pan, proszę. Dwadzieścia dolarów.

Otwarł usta, spojrział na mnie badawczo, znów otwarł usta, po czym posmutniał i bez słowa położył kwiaty na ziemi.

Ale, jak się należało spodziewać, szczyt czelności osiągnęła kobieta. Gdy odmówiłem przyjęcia

zapłaty i zażądałem zwrotu zerwanych ślicznotek, postawiła się sztorcem.

- Ja zerwałam te maki - oświadczyła - a mój czas też kosztuje. Zapłaci mi pan za pracę, dostanie pan kwiatki z powrotem.

Ogień buntu ogarnął jej policzki, na twarzy, nawiasem mówiąc niebrzydkiej, malowała się stanowczość i determinacja. No cóż? Należałem do dzikiego szczepu żyjącego na wzgórzach, a ona była tylko kobietą, i to z miasta. Nie pragnę w tej chwili zagłębiać się w szczegóły, ale muszę z satysfakcją stwierdzić, że owa naręcz maków uświetniła później wnętrze mego bungalowu, a kobieta poszła do miasta nie otrzymawszy zapłaty za swą pracę. Bądź co bądź

kwiatki były moje.

- To są boże maki - powiedziała Płomienna Młoda Zwolenniczka Radykalizmu, której demokratyczne uczucia wzburzyły się, gdy ujrzała, jak pędzę ludzi z pola.

Potem przez dwa tygodnie śmiertelnie mnie nienawidziła. Poszedłem do niej i wyjaśniłem jej wszystko jak najdokładniej. Opowiedziałem historię maków, podobnie jak Maeterlinck opowiedział o życiu pszczół. Przedstawiłem temat w świetle biologii, psychologii i socjologii, rozpatrzyłem go z punktu widzenia etyki i estetyki. Rozgrzałem się przy tym i roznamiętniłem.

Kiedym skończył, wyznała, że ją nawróciłem, ale na dnie serca czułem, że powodowała się litością.

Szukałem pociechy u przyjaciół. Opowiedziałem im jeszcze raz historię maków. Nie zauważyłem, by ich to bardzo zainteresowało. Podniecałem się coraz więcej. Byli niemile zdziwieni. Patrzyli na mnie z zaciekawieniem.

- Uchybiasz tylko własnej godności osobistej użerając się z ludźmi o maki - powiedzieli. -

Naprawdę nie wypada.

Pobiegłem do innych przyjaciół. Szukałem sprawiedliwości. Sprawa nabrała dla mnie zasadniczego znaczenia, postanowiłem za wszelką cenę dowieść, że przecież mam rację.

Czułem potrzebę wytłumaczenia się, choć dobrze wiedziałem, że kto się tłumaczy, ten leży.

Jeszcze raz opowiedziałem historię maków od początku do końca. Wdałem się w najdrobniejsze szczegóły. Uzupełniłem luki, całość znacznie rozwinąłem. Mówiłem tak długo, aż ochrypłem. Gdy wyczerpany umilkłem, mieli znudzone miny. Potem mówili jakieś banały, starali się mnie pocieszyć, poruszali przeróżne tematy i pletli trzy po trzy. Gniew mnie ogarnął i zerwałem z nimi raz na zawsze.

Teraz czyham w domu na przygodnych gości. Zręcznie zagajam rozmowę na temat maków.

Przez cały czas pilnie obserwuję ich twarze, a gdy dostrzegę pierwsze oznaki opozycji, wylewam im na głowy cały, długo gromadzony zapas gniewu. Godzinami kłócę się z każdym, kto nie chce mi przyznać racji. Upodobiłem się do owego starca z opowiadania Guy de Maupassanta, który znalazł kawałek sznurka. Bez ustanku wyjaśniam - nikt nie chce mnie zrozumieć. Z miejskimi rabusiami

zaczęłam obchodzić się brutalniej niż dotąd. Już nie sprawia mi przyjemności odbieranie im łupów. To ciężka praca, wyczerpujące i obrzydliwe zajęcie.

Przyjaciele patrzą na mnie spode łba i z politowaniem coś tam mruczą pod nosem, gdy się spotkamy w mieście. Rzadko teraz mnie odwiedzają. Boją się. Jestem zgorzkniałym i rozczarowanym człowiekiem. Życie moje jest mroczne - cały blask uciekł z niego, aby jaśnieć na polu złotych maków.

Oto cena pewnych rzeczy.

Przełożył Kazimierz Piotrowski

Demetrios Contos

Nie należy sądzić, że greccy rybacy byli z gruntu źli. Bynajmniej. Tyle tylko, że byli to ludzie nieokrzesani, którzy łączyli się w osobne skupiska i zdobywali utrzymanie w walce z żywiołem.

Żyli z daleka od prawa i jego mechanizmów, nie rozumieli go, uważali je za tyranię. Zwłaszcza ustawy rybackie wydawały im się tyrańskie. I z tejże racji w ludziach z patrolu rybackiego upatrywali swych naturalnych wrogów.

Stanowiliśmy groźbę dla ich życia czy utrzymania, co pod wieloma względami wychodziło na jedno. Odbieraliśmy im zabronione pułapki i sieci, których sporządzenie wymagało całych tygodni trudu, materiał zaś kosztował poważne sumy. Nie pozwalaliśmy im łowić ryb w różnych porach roku, co było równoznaczne z pozbawianiem ich dobrego zarobku, który mogliby uzyskać, gdyby nie my. Kiedy zaś chwyciliśmy ich, szli pod sąd, który wymierzał im wysokie grzywny. Wszystko to sprawiło, że nienawidzili nas zajadle. Jak pies jest naturalnym wrogiem kota, a wąż człowieka, tak my - patrol - byliśmy naturalnymi wrogami rybaków.

Jednakże niniejsza historia o Demetriosie Contosie opowiedziana tu jest po to, aby wykazać, że potrafili oni zarówno nienawidzić zaciekle, jak postępować wspaniałomyślnie.

Demetrios Contos mieszkał w Vallejo. Obok Dużego Aleka był najroślejszym, najodważniejszym i najbardziej wpływowym człowiekiem pośród Greków. Nie zadzierał z nami i wątpię, czy kiedykolwiek byłby to uczynił, gdyby nie fakt, że wykosztował się na nową łódź do połowu łososi. Stała się ona przyczyną całej awantury. Kazał ją sobie zbudować wedle własnego pomysłu, przy czym zwykły typ tego rodzaju łodzi uległ tu pewnym zmianom.

Ku swojej wielkiej radości Demetrios stwierdził, że nowa łódź jest bardzo szybka - ściśle mówiąc szybsza od wszystkich innych w zatoce czy na rzekach. Od razu stał się pyszny i chełpliwy, kiedy zaś nasza pogoń "Marią Rebeką" za rybakami łowiącymi łosose w niedzielę rzuciła na nich postrach, Demetrios przysłał nam do Benicji wyzwanie. Przyniósł je któryś z miejscowych rybaków; Demetrios Contos oświadczał, że najbliższej niedzieli wypłynie z Vallejo, zarzuci na wprost Benicji sieci i będzie łowił łosose oraz że Charley Le Grant z patrolu może go łapać, jeśli potrafi. Oczywiście Charley i ja nie słyszeliśmy jeszcze o jego nowej łodzi.

Nasza własna była dość szybka i nie obawialiśmy się iść w zawody z jakąkolwiek inną.

Nadeszła niedziela. Wieść o wyzwaniu była już głośna, toteż rybacy i marynarze z Benicji stawili się co do jednego, tłumnie zalegając nabrzeże, które przypominało wielką trybunę na meczu piłki nożnej. Charley i ja zrazu nie dowierzaliśmy, lecz widok tłumu przekonał nas, że jednak coś jest w wyzwaniu Demetriosą.

Po południu, kiedy powiała silniejsza morka, ujrano jego łódź mknącą z wiatrem. Uczynił

zwrot o jakieś dwadzieścia stóp od nabrzeża, teatralnie pomachał ręką, zebrał w zamian serdeczne oklaski i cofnął się o paręset jardów w cieśninę. Potem opuścił żagiel i dryfując bokiem na wietrze, począł zakładać sieć. Nie wyrzucił jej wiele - może z pięćdziesiąt stóp, ale obaj z Charleyem byliśmy jak gromem rażeni widząc podobne zuchwalstwo. Wówczas nie wiedzieliśmy jeszcze (wyszło to na jaw później), że sieć była stara i nic niewarta. Mogła co prawda chwytać ryby, lecz większa zdobycz stargałaby ją na strzępy.

Charley potrząsnął głową i powiedział:

- Przyznam, że nic nie rozumiem. Cóż z tego, że wyrzucił ledwie pięćdziesiąt stóp? Nie zdążyłby wybrać sieci, gdybyśmy się za nim puścili. Ale w ogóle dlaczego on tu przypląwa i pod naszym nosem popisuje się łamaniem prawa? I to na dobitkę w naszym własnym mieście!

W głosie Charleya ozwała się nuta skargi i jeszcze przez kilka minut mamrotał coś gniewnie na temat czelności Demetriosą Contosa.

Tymczasem tamten siedział beczynnie na rufie swojej łodzi i obserwował pływaki sieci. Gdy w taką sieć uwikła się duża ryba, o fakcie tym pływaki oznajmują drganiem. Najwyraźniej stało się tak i tym razem, albowiem Demetrios wyciągnął około dwunastu stóp sieci i przytrzymał ją chwilę, nim cisnął na dno łodzi wielkiego, lśniącego łososia. Publiczność zebrana na wybrzeżu przyjęła to wybuchami oklasków. Tego już było Charleyowi za wiele.

- Chodź, bracie! - zawołał do mnie. Nie tracąc czasu skoczyliśmy do naszej łodzi i wciągnęliśmy żagiel.

Tłum krzykiem ostrzegł Demetriosą; odsądziwszy się od nabrzeża ujrzelśmy, jak Grek długim nożem odcina swą bezwartościową sieć. Żagiel jego łodzi był gotów do wyciągnięcia, toteż w chwilę później zatrzepotał w słońcu. Demetrios poskoczył na rufę, ściągnął szkot i łódź jęła szybko sunąć w stronę Contra Costa Hills.

Tymczasem byliśmy już nie dalej niż o trzydzieści stóp od niego. Charley nie posiadał się z radości. Wiedział, że nasza łódź jest szybka, a co więcej, świadom był, iż w sztuce żeglarskiej niewielu znalazłby sobie równych. Był pewien, że pochwycimy Demetriosą, a ja podzielałem tę pewność. Mimo to jednak najwyraźniej nie przybliżaliśmy się do ściganego.

Wiała piękna bryza. Mknęliśmy gładko po wodzie, ale Demetrios oddalał się z wolna. Nie tylko płynął szybciej, ale na dobitkę podszedł do linii wiatru o ułamek rumba [Rumb - 1/32 obwodu

horyzontu.] bliżej od nas. Zdaliśmy sobie z tego dobitnie sprawę, kiedy skręcił pod Contra Costa Hills i zakosem wyminął nas w odległości dziewięćdziesięciu stóp.

- Fiuuu! - gwizdnął Charley - albo ta łódź to jakieś чудо, albo my mamy pięciogalonową beczkę oliwy uwiązaną do kilu!

Nie ma co mówić - tak to wyglądało. W chwili kiedy Demetrios mijał Sonoma Hills po drugiej stronie cieśniny, byliśmy już tak beznadziejnie zdystansowani, że Charley kazał mi poluzować żagiel i zawróciliśmy do Benicji.

Kiedyśmy dopłynęli i przycumowali, rybacy zebrani na nabrzeżu zasypali nas docinkami.

Wysiadłem wraz z Charleyem i obaj odeszliśmy dość zawstydzeni; bolesny to bowiem cios dla czyjejs dumy, gdy człowiek sądzi, że ma dobrą łódź i umie nią żeglować, a tu przychodzi inny i bije go na głowę.

Charley gryzł się tym przez parę dni; potem dano nam ponownie znać, że następnej niedzieli Demetrios Contos powtórzy swój wyczyn. Charley otrząsnął się. Kazał wyciągnąć naszą łódź na brzeg, oczyścił i pomalował na nowo jej dno, poczynił drobne zmiany przy mieczu, obejrzał części ruchome i przesiedział niemal całą sobotę szyjąc nowy, o wiele większy żagiel.

Sporządził tak ogromny, że trzeba było dodać balastu, toteż na dno łodzi załadowaliśmy prawie pięćset funtów starego żelastwa kolejowego.

Przyszła niedziela, a wraz z nią i Demetrios Contos, by w biały dzień zuchwale łamać prawo.

Znów wiała południowa morka i znowu Demetrios odciął jakieś czterdzieści czy więcej Stóp swojej przegniłej sieci i odżegłował nam sprzed nosa. Tym razem był przygotowany na atak Charleya: jego żagiel wisiał wyżej niż przedtem i był zwiększony o cały dodatkowy kawał płótna.

Nie lada to był wyścig ku Contra Costa Hills; zwycięstwo nie przechylało się na niczyją stronę.

Jednakże robiąc zwrot ku Sonoma Hills zauważyliśmy, że choć szybkość nasza jest mniej więcej równa, Demetrios znów bardziej się zbliżył do linii wiatru. A przecież Charley prowadził

naszą łódź najwyborniej i najzręczniejsz, jak było można, wydobywając z niej więcej niż kiedykolwiek dotąd.

Mógł oczywiście wyjąć rewolwer i dać ognia do Demetriosa, jednakże z dawna już stwierdziliśmy, iż jest rzeczą przeciwną naszej naturze strzelać do uciekającego człowieka, który popełnił zaledwie drobne wykroczenie. Jakoż coś w rodzaju nie pisanej umowy stanęło między ludźmi z patrolu a rybakami. Jeżeli nie strzelaliśmy do nich w czasie ucieczki, oni ze swej strony nie bronili się, kiedy już dostaliśmy ich w ręce. Toteż Demetrios Contos uciekał

nam, my zaś jedynie robiliśmy, co w naszej mocy, żeby go dopędzić. Gdyby natomiast łódź

nasza okazała się szybsza od jego łodzi, czy lepiej była kierowana, zwyciężony w wyścigu z pewnością nie stawiałby oporu.

Stwierdził, że z uwagi na wielkość naszego żagla oraz rzeźwą bryzę dmącą poprzez cieśninę Carquinez musimy stale baczyć, by łódź się nie przewróciła, toteż podczas gdy Charley sterował, ja trzymałem główny szkot, owinąwszy linkę raz tylko dokoła drzewca, gotów do wypuszczenia jej w każdej chwili. Widzieliśmy, że Demetrios, prowadząc łódź w pojedynek, ma pełne ręce roboty.

Jednakże wszelkie nasze próby dogrania go okazały się daremne. Kierowany wewnętrznym wyczuciem zbudował sobie łódź lepszą od naszej. I chociaż Charley był równie dobrym, jeśli nie odrobinę lepszym żeglarzem, łódź jego nie dorównywała łodzi Greka.

- Wypuść szkot - rozkazał mi Charley i w chwili gdy łódź odpadała od wiatru, doleciał naszych uszu szydery śmiech Demetriososa.

Charley potrząsnął głową i rzekł:

- Nie da rady. Jego łódź jest lepsza. Jeżeli raz jeszcze popróbuje tej sztuki, trzeba będzie obmyślić inny plan działania.

Tym razem przyszła nam z pomocą moja wyobraźnia.

- A co byś powiedział - zapytałem w następną środę - gdybym tej niedzieli pogonił za Demetriosem łodzią, podczas gdy ty będziesz na niego czekał na przystani w Vallejo?

Charley zastanawiał się chwilę, po czym wykrzyknął:

- Dobra myśl! Zaczynasz ruszać tą swoją łepetyną. Muszę powiedzieć, że twemu nauczycielowi należy się za to uznanie. Tylko nie powinieneś zapędzać go zbyt daleko - dodał

po chwili - bo wyjdzie na zatokę San Pablo, a ja będę tkwił na przystani jak kołek i próżno czekał na niego.

We czwartek Charley wysunął zastrzeżenia co do mojego planu.

- Wszyscy będą wiedzieli, że pojechałem do Vallejo, a możesz być spokojny, że i Demetrios też będzie wiedział. Obawiam się, że trzeba porzucić ten pomysł.

Zastrzeżenie to było aż nadto słuszne i przez resztę dnia trapiłem się moim rozczarowaniem.

Jednakże tej nocy wydało mi się, że dostrzegam nową możliwość, i w zapale zbudziłem Charleya z twardego snu.

- No? - zapytał. - Co się stało? Dom się pali?

- Dom nie - odparłem - ale moja głowa. Posłuchaj, co ci powiem. W niedzielę obaj będziemy się waleśali po Benicji aż do chwili, gdy ukaże się żagiel Demetriososa. To uspi wszelkie podejrzenia. A potem, kiedy już zobaczymy jego łódź, odejdziesz wolnym krokiem do miasta.

Wszyscy rybacy pomyślą, że jesteś pobity i że zdajesz sobie z tego sprawę.

- Jak dotąd, w porządku - zauważył Charley, kiedy przerwałem, aby zaczerpnąć tchu.

- I to najzupełniej - ciągnąłem z dumą. - Pójdiesz niedbale w stronę miasta, ale kiedy już znikniesz im z oczu, pognasz co sił w nogach do Dana Maloneya, weźmiesz jego konika i pogalopujesz traktem do Vallejo. Droga jest w dobrym stanie i zdołasz tam dotrzeć szybciej niż Demetrios, który musi żeglować pod wiatr.

- Pierwsza rzecz, jaką zrobię z samego rana, to umówię się o konia - oświadczył Charley przyjmując bez wahania zmieniony plan.

- Ale, ale... - ozwał się nieco później, tym razem budząc mnie z twardego snu.

Dosłyszałem, że chichocze w ciemnościach.

- Słuchaj, chłopie, czy to aby nie nowość dla rybackiego patrolu dosiadać konia?

- Przesada - odparłem. - Zawsze powtarzasz, że należy wyprzedzać przeciwnika w pomysłach, a będzie się miało zwycięstwo w kieszeni.

- Hi, hi - zachichotał. - I jeśli ten pomysł, z koniem włącznie, tym razem nie zatka przeciwnika, to nie jestem twoim najniższym sługą, Charleyem Le Grant.

- Ale czy ty sam jeden dasz sobie radę z łodzią? - zapytał mnie w piątek. - Pamiętaj, że mamy teraz duży żagiel na dodatek.

Dowodziłem swojej biegłości w sposób tak przekonywający, iż Charley nie poruszał już tego tematu aż do soboty, kiedy to zaproponował, by zmniejszyć żagiel o cały kawał.

Przypuszczam, że rozczarowanie, jakie odmalowało się na mojej twarzy, kazało mu porzucić tę myśl; ja bowiem także chlubiłem się swymi żeglarskimi zdolnościami i mało nie wyszedłem ze skóry, aby wypłynąć samotnie pod wielkim żaglem i pruć cieśninę Carquinez w pościgu za uciekającym Grekiem.

Niedziela i Demetrios Contos przyszli pospołu, jak zawsze. Rybacy przywykli już zbierać się na przystani, gdzie go witali i wyśmiewali się z naszej bezradności. O kilkaset jardów od nabrzeża Demetrios opuścił żagiel i zarzucił jak zwykle pięćdziesiąt stóp przegniłej sieci.

- Pewnie te bzdury będą trwały, póki mu nie zabraknie starej sieci - burknął rozmyślnie Charley, tak że go dosłyszało paru Greków.

- Wtedy dam mu swoją - ozwał się szybko i złośliwie jeden z nich.

- Proszę bardzo - odpalił Charley. - Sam też mam starą sieć; może ją dostać, jeżeli do mnie przyjdzie i poprosi.

Roześmiali się wszyscy, gdyż mogli sobie pozwolić na tę dobrotliwość wobec człowieka, którego tak paskudnie wystrychnięto na dudka.

- No, bywaj zdrow, chłopie! - zawołał do mnie Charley w chwilę później. - Chyba pójdę do miasta odwiedzić Maloneya.

- Pozwolisz mi wziąć łódź? - zapytałem.

- Jeżeli masz ochotę... - odpowiedział obracając się na pięcie i odchodząc z wolna.

Demetrios wydobyl z sieci dwa duże łososie, a ja wskoczyłem do łodzi. Rybacy nastroszeni żartobliwie jęli się cisnąć dokoła i kiedy począłem wciągać żagiel, zarzucili mnie mnóstwem drwiących rad. Czynili nawet między sobą przesadne zakłady, że schwytam Demetriosą, a dwaj z nich, udając komisję sędziów, poprosili mnie uroczyście, bym im zezwolił udać się z sobą i zobaczyć, jak tego dokonam.

Mnie jednak nie było spieszno. Czekałem, ażeby dać Charleyowi jak najwięcej czasu; udawałem przeto niezadowolenie z rozpiętości żagla, tu i ówdzie robiłem drobne poprawki.

Dopiero kiedy byłem pewny, że Charley dotarł do Dana Maloneya i dosiadł już konika, odbiłem od nabrzeża i nastawiłem wielki żagiel na wiatr. Gwałtowny podmuch wypełnił go nagle i przechylił łódź burtą tak silnie, że parę wiader wody nabrało się do środka. Podobny drobiazg może przydarzyć się najlepszym nawet żeglarzom, a jednak chociaż natychmiast wypuściłem szkot i wyprostowałem łódź, zebrałem ironiczne brawa, jak gdybym popełnił nadzwyczajną niezręczność.

Kiedy Demetrios spostrzegł, że w łodzi patrolowej jest tylko jeden człowiek, i to na dobitkę chłopak, zaczął ze mną igrać. Wykonał krótki zwrot, przy czym ja płynąłem niecałe trzydzieści stóp za nim, i połuźniwszy nieco szkot, zawrócił ku nabrzeżu. Tu dalej robił krótkie zakosy, skręcał, kołował, wymykał się - ku wielkiej uciechu życzliwych mu widzów. Trzymałem się stale tuż za nim i śmiało robiłem wszystko to co i on, jakkolwiek niektóre jego sztuczki były dość niebezpieczne z takim żaglem i przy takim wietrze.

Ufał, że zada mi klęskę ostra morka wraz z silnym przypiływem, które wspólnie wzdymały morze. Ja jednak byłem u szczytu swojej formy i nigdy w życiu nie kierowałem łodzią lepiej niż tego dnia. Mózg pracował gładko i szybko, ręce ni razu się nie zawahały, wydawało się niemal, że z góry odgaduję tysiączne drobiazgi, które żeglarz winien każdej sekundy mieć na uwadze.

Klęska dotknęła nie mnie, lecz Demetriosą. Coś mu się popsulo w mieczu, który zaciął się i nie chciał opuścić do końca. Zauważyłem, że Demetrios w chwili wytchnienia, którą uzyskał

dzięki jakiejś przemyślnej sztuczce, szamocze się niecierpliwie z mieczem próbując wepchnąć go siłą. Nie zostawiłem mu wiele czasu, toteż zmuszony był szybko powrócić do rudla i szkotu.

Miecz nie dawał mu spokoju. Demetrios zaprzestał igraszek ze mną i ruszył w drogę powrotną do

Vallejo. Przy pierwszym długim zakosie stwierdziłem ku swojej radości, że mogę ustawić się na wiatr odrobinę lepiej od niego. W tym momencie przydałby mu się w łodzi jeszcze jeden człowiek, albowiem mając mnie ledwie o parę stóp za sobą, nie śmiał wypuścić rudla i powtórzyć próby wepchnięcia miecza.

Nie mogąc trzymać się wiatru tak dobrze jak przedtem, zaczął trochę luzować szkot, ażeby mi się wymknąć. Pozwalałem mu na to, póki nie nabrałem więcej wiatru w żagle, a wówczas skierowałem łódź prosto na niego. Kiedy się przybliżyłem, udał, że robi zwrot, co widząc uczyniłem to samo, by go wyprzedzić. Był to jednakże tylko zręczny podstęp; Demetrios trzymał się swego kursu, ja zaś musiałem co prędzej nadrobić straconą przewagę.

Był niewątpliwie bieglejszy ode mnie w manewrowaniu. Raz po raz już niemal go dosięgałem, lecz zawsze zwodził mnie i uciekał. Prócz tego wiatr wzmagął się ustawicznie i każdy z nas musiał pracować co sił, ażeby uniknąć przewrócenia się łodzi. Moja nie utrzymałaby się, gdyby nie owo dodatkowe obciążenie żelastwem. Siedziałem od nawietrznej, w jednej ręce trzymając rękojęść steru, a w drugiej szkot owinięty raz tylko dokoła drzewca; często musiałem go luzować, kiedy nadleciał ostrzejszy podmuch. Wskutek tego żagiel gubił wiatr, co było równoznaczne z utratą siły napędowej, toteż oczywiście zostawałem w tyle. Pociechą był

mi fakt, że Demetriosowi zdarzało się to równie często.

Silny przypyływ napierający pod wiatr przez cieśninę sprawiał, że morze rozkolebało się nadzwyczaj złośliwie i fale ustawicznie chlustały do wnętrza łodzi. Ociekałem wodą, a nawet żagiel był do połowy zmoczony. Raz jeden udało mi się tak wymanewrować, że dziobem uderzyłem w sam środek łodzi Demetriosa. Wtedy to właśnie byłby mi się przydał ktoś drugi.

Nim bowiem zdążyłem dobiec naprzód i przeskoczyć do łodzi Greka, ten wiosłem odepchnął moją, śmiejąc mi się drwiąco w nos.

Byliśmy teraz przy ujściu cieśniny, na bardzo przykrej połaci wód. W tym miejscu ścierały się bezpośrednio nurty cieśnin Vallejo i Carquinez. Przez pierwszą spływały wody rzeki Napa i wielkich kanałów, przez drugą - zatoki Suisun i rzek Sacramento oraz San Joaquin. Tam zaś, gdzie zderzały się tak olbrzymie masy bystro płynącej wody, wytwarzał się wir straszliwy. Na domiar złego wiatr wyl po zatoce San Pablo na przestrzeni piętnastu mil, gnając w tę stronę olbrzymie bałwany.

Przeciwne prądy rwały we wszystkich kierunkach, zderzały się, tworzyły wiry, leje i kipiele, chlustając wściekle w górę zakłętymi falami, które wwalały się do łodzi z obu stron. A nad tym wszystkim - zmaczone, wprawione w obłęd ruchu - huczały ogromne, dymiące kurzawą pian bałwany z zatoki San Pablo.

Byłem równie dziko podniecony jak woda. Łódź zachowywała się wspaniale: skakała i gnała wskroś pian niczym koń wyścigowy. Nie posiadałem się z radości. Ogromny żagiel, wyjący wichem, rozpędzone bałwany, łódź nurkująca - i ja, który choć byłem ledwie drobiną pośród tego wszystkiego, poskramiałem zmagania żywiołów, mknąłem wskroś nich i ponad nimi, triumfujący, zwycięski...

I właśnie wtedy, w chwili gdy parłem naprzód niczym zdobywca heros, łódź otrzymała potworny cios i w jednej chwili stanęła jak porażona. Wstrząs rzucił mnie do przodu, na jej dno. Kiedy zerwałem się, dostrzegłem przelotnie zielonawą, okrytą skorupiakami bryłę i natychmiast rozpoznałem w niej postrach żeglarzy - zatopiony kafar. Nikt nie jest w stanie ustrzec się przed czymś podobnym. Wypełniony wodą unosił się tuż pod jej powierzchnią i w zmaconej toni nie sposób było dojrzeć go w porę i wyminąć.

Cały dziób łodzi musiał zostać zmiażdżony, gdyż w parę sekund wypełniła się do połowy wodą. Potem kilka fal dokończyło dzieła i poszła prosto na dno, ciągnięta ciężkim brzemieniem żelaza. Stało się to tak szybko, że uwikłałem się w żagiel, który mnie wtłoczył

pod wodę. Kiedy przedarłem się na powierzchnię - bez tchu, czując, że płuca mi pękają - nie mogłem dostrzec ni śladu wiosła. Zapewne zniosły je gwałtowne prądy. Ujrzałem Demetriosą, który spoglądał za siebie z łodzi, i dosłyszałem jego szyderczy głos, wznoszący okrzyk triumfu. Trzymał się nadal kursu pozostawiając mnie na pastwę losu.

Nie miałem innej rady, jak tylko płynąć co sił, lecz wśród owego dzikiego kotłowiska mogło to trwać w najlepszym razie tylko parę chwil. Powstrzymałem oddech i zagarniając wodę rękami, zdołałem ściągnąć ciężkie buty marynarskie oraz kurtę. Jednakże mogłem zaczerpnąć i utrzymać w płucach bardzo niewiele powietrza i wnet przekonałem się, że trudno jest nie tyle płynąć, co oddychać.

Grzmociły we mnie i wtłaczały pod wodę ogromne bałwany idące z zatoki San Pablo, dławili fale wiru, które rzucały mi się w oczy, nozdrza i usta. A potem niesamowite, ssące leje chwytaly mnie za nogi i ciągnęły w dół po to, by mnie wyrzucić jakimś wściekłym chluśnięciem, gdy zaś wypływałem na powierzchnię, próbując pochwycić nieco tchu, wielka, biało-grzywa fala waliła mi się na głowę.

Niepodobieństwem było utrzymać się długo przy życiu. Wdychałem więcej wody niż powietrza, tonąc przez cały czas. Przytomność zaczęła mnie opuszczać, doznałem zawrotu głowy.

Instynktownie walczyłem nadal; już tracąc świadomość poczułem, że ktoś chwytą mnie za ramiona i wciąga przez krawędź łodzi.

Czas jakiś leżałem twarzą do dołu na ławce, na którą mnie rzucono, a woda wylewała mi się z ust. Po pewnej chwili, wciąż jeszcze osłabły i na wpół omdlały, obróciłem się, by zobaczyć, kto jest moim wybawcą. I oto ujrzałem, że na rufie, ze Szkotem w jednej, a rudlem w drugiej ręce, uśmiechając się i kiwając dobrotliwie głową, siedzi Demetrios Contos. Zamierzał zostawić mnie i pozwolić, bym utonął - tak wyznał później, lecz lepsza cześć jego natury stanęła do walki, zwyciężyła i nakazała mu po mnie zawrócić.

- Nic ci się nie stało? - zapytał.

Zdołałem wykrztusić słowo: "nie", aczkolwiek nie mogłem jeszcze przemówić.

- Dobrze umiesz żeglować - powiedział. - Nie gorzej od dorosłego chłopca.

Taki komplement z ust Demetriosą Contosa był dowodem rzetelnego uznania, toteż bardzo się

ucieszyłem, choć mogłem zaledwie kiwnąć głową z podziękowaniem.

Nie mówiliśmy więcej do siebie, ja bowiem z wolna wracałem do przytomności, a on pochłonięty był kierowaniem łodzią.

Zawinął do przystani Vallejo, przycumował i pomógł mi wysiąść. I właśnie w chwili kiedyśmy obaj stanęli na nabrzeżu, wyszedł zza jakichś sieci Charley i położył rękę na ramieniu Demetriosa Contosa.

- On mi uratował życie! - zaprotestowałem. - Uważam, że nie powinieneś go aresztować!

Wyraz zdumienia pojawił się na twarzy Charleya, lecz zaraz zniknął, jak to zwykle bywało, kiedy Charley coś postanawiał.

- Nic na to nie poradzę, mój drogi - powiedział łagodnie. - Nie mogę uchylać się od obowiązku, a moim obowiązkiem jest aresztować go. Mamy niedzielę; w jego łodzi są dwa łososie, które złowił dzisiaj. Czyż mogę postąpić inaczej?

- Ależ on uratował mi życie! - nalegałem nie znajdując innych argumentów.

Twarz Demetriosa Contosa pociemniała z gniewu, kiedy usłyszał decyzję Charleya. Miał poczucie, że potraktowano go niesprawiedliwie. Lepsza część jego natury zatriumfowała, dokonał wspaniałomyślnego czynu ratując bezbronego wroga, a w zamian za to wróg prowadził go do więzienia.

Wracając do Benicji posprzeczaaliśmy się z Charleyem. Ja występowałem w obronie ducha prawa, natomiast on trzymał się jego litery. Nie widział żadnego innego wyjścia. Przepis mówił

wyraźnie, że w niedzielę nie wolno łowić łososia. Charley był członkiem patrolu i miał obowiązek narzucić poszanowanie owego prawa. Nie było o czym gadać. Spełnił swój obowiązek i miał czyste sumienie. Mnie jednak wydawało się to niesprawiedliwe i było mi bardzo żal Demetriosa Contosa.

W dwa dni później pojechaliśmy do Vallejo na rozprawę. Musiałem stanąć jako świadek i najobrzydliwszym zadaniem, jakie spełniłem w życiu, było złożenie zeznań, że widziałem, jak Demetrios łowił te dwa łososie, które Charley znalazł w jego łodzi.

Demetrios wziął sobie adwokata, lecz sprawa była z góry przegrana. Przysięgli naradzali się zaledwie kwadrans, po czym wydali werdykt uznający Demetriosa winnym popełnienia przestępstwa. Sędzia skazał go na grzywnę w wysokości stu dolarów, z zamianą na piętnaście dni aresztu.

Charley podszedł do sekretarza sądu.

- Chciałbym zapłacić tę grzywnę - powiedział kładąc na stole pięć złotych dwudziestodolarówek. -

To... to jedyne wyjście, chłopie - wyjąkał obracając się ku mnie.

Łzy napłynęły mi do oczu, chwyciłem go za rękę.

- Ja chcę zapłacić... - zacząłem.

- Swoją połowę? - przerwał mi. - No pewnie, że się tego po tobie spodziewam!

Tymczasem adwokat zakomunikował Demetriosowi, że Charley uregulował także i jego honorarium.

Demetrios podszedł, by uściskać dłoń Charleya; do twarzy napłynęła mu gorąca południowa krew. Potem, nie chcąc dać się prześcignąć we wspaniałomyślności, począł nalegać, że sam zapłaci grzywnę oraz honorarium obrońcy, i niemal wpadł w pasję, gdy Charley odmówił.

Wydaje mi się, że ów postępek Charleya ukazał rybakom głębszy sens prawa skuteczniej niż cokolwiek innego. Prócz tego Charley znacznie urósł w ich oczach, a i mnie przypadł niejaki udział w pochwałach jako chłopcu, który potrafi kierować łodzią żaglową. Demetrios Contos nie tylko nie łamał już więcej przepisów, ale zaprzyjaźnił się z nami serdecznie i nieraz przyplątywał do Benicji na wspólną pogawędkę.

Przełożył Bronisław Zieliński

Miłość życia

Bo ze wszystkiego to tylko zostanie:

Żyli i w kości grali o swój los.

Zysk im przyniosło jednak owo granie,

Choć złota przy nim postradali stos.

Kulejąc zeszli z trudem na brzeg strumienia; raz nawet pierwszy z dwu idących zachwiał się wśród porozrzucanych bezładnie ostrych głazów skalnych. Byli znużeni i słabi, a twarze ich miały tępy wyraz cierpliwości, jaki pojawia się po ciężkim i długotrwałym znoju. Obładowani byli tobołami przytroczonymi do pleców. Rzemienie przeciągnięte wokół czoła ułatwiały dźwiganie ciężarów. Każdy z nich niósł strzelbę. Wlekli się zgarbieni, z pochylonymi ramionami i niżej jeszcze zwisającą głową, z oczyma wlepionymi w ziemię.

- Przydałyby się teraz ze dwa naboje z tych, cośmy zostawili w naszej kryjówce - rzekł

człowiek idący z tyłu.

Głos jego był całkowicie pozbawiony wyrazu. Mówił bez zapału, toteż mężczyzna, który właśnie zstępował w potok, mleczną pianą obryzgujący głazy, nie odpowiedział mu wcale.

Drugi wędrowiec wszedł również do wody, krok w krok za pierwszym. Nie zdjęli obuwia, chociaż

woda była lodowato zimna - tak zimna, że odczuwali ból w kostkach, a stopy zupełnie im zdrętwiały. Miejscami prąd podcinał im kolana, z trudem wtedy utrzymywali równowagę.

Ten, który szedł z tyłu, pośliznął się na gładkim kamieniu, zdołał jednak gwałtownym wysiłkiem utrzymać się na nogach. Krzyknął przeraźliwie z bólu. Był słaby i otumaniony. Zachwiał się i wolną rękę wyciągnął przed siebie, jak gdyby szukał oparcia w powietrzu. Kiedy odzyskał

równowagę, dał krok naprzód, ale znów się zachwiał, zatoczył i omal nie upadł. Wtedy zatrzymał się i począł patrzeć za odchodzącym towarzyszem, który nawet nie odwrócił głowy.

Stał tak chwilę i jakby walczył ze sobą. Wreszcie zawołał:

- Słuchaj, Bill, zwichnąłem nogę.

Bill brnął dalej w mlecznej wodzie i nawet się nie obejrzał. Towarzysz patrzył za nim. Na jego twarzy malowało się otępienie, a oczy miały wyraz oczu rannego jelenia.

Bill wdrapał się na przeciwległy brzeg strumienia i nie oglądając się szedł prosto przed siebie.

Człowiek stojący w wodzie nie spuszczał zeń wzroku. Wargi zadrżały mu nieco wraz z okrywającym je szorstkim, ciemnym zarostem. Próbował zwilżyć je językiem.

- Bill! - zawołał jeszcze raz.

Był to błagalny okrzyk silnego człowieka w rozpaczliwym położeniu. Lecz Bill nie odwrócił

głowy. Kuśtykał dalej pokracznie, wlokąc się w górę po łagodnym zboczu ku zarysowującemu się miękko na tle nieba grzbietowi niewysokiego wzgórza. Po chwili minął szczyt i znikł. Wtedy człowiek stojący w strumieniu z wolna objął spojrzeniem krąg świata, który pozostał mu teraz, gdy Billa już nie było.

Nad horyzontem słońce świeciło mętnie, zakryte niemal przez bezkształtną mgłę sprawiającą wrażenie jakiejś gęstwy pozbawionej konturów i jakby niematerialnej. Wyjął zegarek, opierając cały ciężar ciała na jednej nodze. Była czwarta. Ponieważ musiał to być koniec lipca albo początek sierpnia - dokładnej daty nie znał, mógł się mylić o tydzień czy dwa - słońce powinno było wskazywać w przybliżeniu północny zachód. Spojrzał ku południowi i uprzytomnił sobie, że gdzieś poza tymi nagimi wzgórzami znajduje się Wielkie Jezioro Niedźwiedzie. Wiedział

również, że w tym właśnie kierunku Krąg Polarny przecina swym niegościnnym szlakiem wielkie pustkowia Kanady. Rzeczka, w której teraz stoi, musi być dopływem Rzeki Miedzianej -

ta zaś, płynąc ku północy, wpada z kolei do Zatoki Koronacji i Oceanu Północnego. Nie był

tam nigdy, ale oglądał kiedyś te okolice na mapce wydanej przez Towarzystwo Zatoki Hudsona.

Raz jeszcze oczy jego ogarnęły otaczający go krąg świata. Nie był to widok pocieszający.

Wszędzie naokoło ten sam falisty zarys niewysokich wzgórz. Ani drzew, ani krzaków, ani traw

- nic prócz straszliwej pustki szybko napęlniającej oczy przerażeniem. - Bill! - wyszeptał raz i drugi.
- Bill!

Skurczył się pośród piennej wody, jak gdyby ogrom przestrzeni ciążył na nim wszechwładnie, brutalnie miażdżąc go swą majestatyczną grozą. Człowiek począł trząść się jak w febrze, aż strzelba wysunęła mu się z ręki i plusnęła o wodę. To go ocuciło. Stłumił w sobie strach, natężył całą wolę i - szukając w wodzie po omacku - natrafił na strzelbę. Potem przesunął

tobół ku lewej stronie pleców, żeby ulżyć nadwerężonej nodze. Wreszcie, ciężko dysząc, jął z wolna i ostrożnie kierować się ku brzegowi.

Nie zatrzymał się. W szaleństwie rozpacz, nie zważając na cierpienie, wydostał się po zboczu aż na grzbiet wzgórza, za którym znikł jego towarzysz. Ale ze szczytu ujrzał płytką dolinę bez śladu życia. Ponownie zwalczył strach, przesunął tobół bardziej jeszcze na lewo i pokuśtykał w dół po zboczu.

Dno doliny było grząskie od wody, którą gęsty, gąbczasty mech utrzymywał tuż pod powierzchnią. Woda tryskała spod stóp za każdym krokiem, a gdy tylko wyciągał nogę, ruchowi temu towarzyszył chlupiący odgłos mokrego mchu, niechętnie zwalniającego ją z uchwytu. Zdobywał sobie drogę od jednej kępki do drugiej i szedł po tropie towarzysza, szlakiem drobnych odłamków skalnych, rozsypanych niby wysepki na morzu mchu.

Chociaż samotny, nie czuł się jednak zgubiony. Dalej - wiedział o tym dobrze - dojdzie do okolicy, gdzie uschłe jodły i sosny, skarłałe i pokurczone, otaczają brzeg jeziora - do okolicy, która w mowie krajowców zwie się titchinnichilie, co oznacza "kraj patyków". Do jeziora wpada strumień, którego wody nie są już mlecznie zabarwione. Pamiętał dokładnie, że strumień ten pokryty jest trzcina, lecz nie ma tam drzew. Jego brzegiem dojdzie aż pod przełęcz, skąd strumyk bierze początek. Minąwszy przełęcz, dotrze do miejsca, skąd sączy się inny strumyk, który - płynąc już ku zachodowi - doprowadzi go do rzeki Dease. Tam, przy ujściu, pod przewróconą łódką zawałoną wielu głazami, mieści się kryjówka, gdzie leżą naboje do jego puste strzelby, haczyki do łowienia ryb, wędki, niewielka sieć, sidła - a więc wszystko, czego potrzeba do zdobycia pożywienia. Tam też znajdzie garść mąki, kawałek słoniny i nieco fasoli.

Tam wreszcie oczekiwać go będzie Bill i razem popłyną z biegiem rzeki Dease na południe do Wielkiego Jeziora Niedźwiedziego. Jezioro to przemierzać będą ku południowi, aż osiągną rzeki Mackenzie. Stamtąd ruszą dalej na południe, zima zaś na próżno będzie ich goniła, chociaż lód pokrywać zacznie zatoczki przybrzeżne, a dni staną się zimne i wietrzne. Wciąż dalej na południe - aż do jakiejś ciepłej izby w faktorii Towarzystwa Zatoki Hudsona, tam gdzie rośnie wiele wysokich drzew, a żywności będzie, ile dusza zapagnie.

Tak rozmyślał człowiek posuwając się mozolnie naprzód. Zmagał się zaś nie tylko ze swym ciałem, ale także i z myślami, usiłując przekonać samego siebie, że Bill nie zdradził, że Bill na pewno czeka na niego koło kryjówki. Należało zmusić się do tej wiary, bo inaczej czyż warto było walczyć? Lepiej położyć się i umrzeć. Gdy więc mglisty krąg słońca zapadał z wolna ku północnemu zachodowi, wędrowiec przemierzył po wielekroć w myśli każdą piędź swej drogi na południe,

drogi, którą wraz z Billem uciekać będą przed nadchodzącą zimą. Przejrzał też w myśli stokrotnie zarówno żywność schowaną w kryjówce, jak i leżącą na składzie w Towarzystwie. Od dwóch dni nie jadł wcale, a od dawna nie pożywiał się do syta. Co chwila schylał się, zrywał rosnące wokół blade jagody, wkładał je do ust, żuł i połykał. Jagody te składały się z odrobiny ziarna zawartej w odrobinie wody. Woda rozplýwała się w ustach, ziarnka zaś miały smak cierpki i gorzki. Wiedział, że nie posili się tymi jagodami, żuł je jednak wytrwale z wiara, która - silniejsza nad wiedzę - drwiła sobie z doświadczenia.

O dziewiątej wieczorem odbił sobie palec u nogi o występ skalny, po czym z samego znużenia i wycieńczenia zachwiał się i upadł. Przez pewien czas leżał na boku bez ruchu. Potem wysliznął się z opasujących go rzemieni i z trudem przybrał postawę siedzącą. Nie ściemniło się jeszcze zupełnie, więc w ostatekach światła dziennego począł obmacywać najbliższe kępy, szukając suchych pęczków mchu. Kiedy zebrał ich kupkę, rozpałił ogień - leniwy, dymiący ogień - i postawił na nim blaszaną menażkę, by zagotować wody.

Rozwinął toból i przede wszystkim policzył zapałki. Było ich sześćdziesiąt siedem. Przeliczył je trzykrotnie, żeby się upewnić. Potem podzielił je na trzy części, zawijając każdą oddzielnie w nieprzemakalny papier. Jedną paczuszkę schował do pustego woreczka od tytoniu, drugą pod podszewkę zmiętego kapelusza, trzecią pod koszulę na piersi. Ledwie to uczynił, ogarnęło go przerażenie. Co prędzej rozwinął i raz jeszcze policzył zapałki. Było ich nadal sześćdziesiąt siedem.

Wysuszył mokre obuwie przy ogniu. Z mokasynów pozostały wilgotne strzępy. Wełniane skarpetki były miejscami podarte, obolałe stopy krwawiły. Zwichnięta kostka dokuczała mu dotkliwie, obejrzał ją więc dokładnie i przekonał się, że napuchła do rozmiarów kolana.

Oderwał od jednego z dwóch swych koców długi pas i owiązał nim szczelnie kostkę. Oddarł jeszcze kilka takich pasów i owinął nimi stopy zamiast skarpetek i mokasynów. Potem napił się gorącej wody, nakręcił zegarek i wpełzł pod koce.

Spał jak nieżywy. Koło północy nadeszła i minęła krótka chwila ciemności. Słońce wstało na północnym wschodzie, a raczej ukazał się tam blask świtu, słońce bowiem zasnutę było czarnymi chmurami.

O szóstej rano obudził się leżąc spokojnie na wznak. Popatrzył w szare niebo i poczuł, że jest głodny. Przekręciwszy się na bok i wsparłszy się na łokciu, usłyszał nagle głośnie chrapnięcie i ujrzał byka karibu przyglądającego mu się z czujną ciekawością. Odległość nie wynosiła więcej niż pięćdziesiąt stóp. Widok zwierzęcia natychmiast przywiódł mu na myśl smakowicie skwierczącą nad ogniem pieczeń. Odruchowo sięgnął po nie nabitą strzelbę, odwiódł kurek i pociągnął za spust. Karibu zaryczał i pomknął w susach, stukając i dzwoniąc kopytami po głazach.

Wędrowiec zaklął i odrzucił pustą strzelbę. Jęczał głośnie, usiłując wstać. Była to długa i ciężka praca. Stawy jego przypominały zardzewiałe zawiasy. Kości obracały się w nich z tak wielkim oporem, iż każde zgięcie i rozprostowanie kończyny wymagało najwyższego napięcia woli.

Kiedy wreszcie stanął na nogach, musiał jeszcze zużyć dobrą minutę na to, by wyprostować grzbiet i

przybrać właściwą postawę stojącą.

Wczołgawszy się na mały pagórek, rozejrzał się po okolicy. Nie było drzew ani krzaków. Nic prócz szarego morza mchu, z rzadka tylko urozmaiconego przez szare skały, szare jeziora i szare pasemka strumyków. Niebo też było szare. Słońca ani śladu. Nie wiedział już, gdzie północ. Zapomniał też, skąd przyszedł tutaj poprzedniego wieczora. Ale nie zbłądził. Tego był

pewien. Wkrótce dojdzie do "krainy patyków". To będzie gdzieś na lewo, niedaleko, może nawet tuż za sąsiednim pagórkem.

Wrócił, by przygotować tobół do drogi. Upewnił się, że trzy oddzielne paczki zapalek istnieją jeszcze, lecz tym razem nie tracił czasu na liczenie. Za to zastanawiał się dłuższą chwilę nad pękatym woreczkiem z łosiowej skóry. Woreczek był nieduży, można go było nakryć dwiema dłońmi. Wiedział jednak, że waży on piętnaście funtów - tyle, co reszta jego rzeczy - i ta świadomość wprawiała go w zakłopotanie. Wreszcie odstawił woreczek na bok i dalej pakował

tobół. Ale po chwili zaprzestał pracy i począł wpatrywać się w łosiową sakiewkę. Chwycił ją chciwie, z błyskiem wyzwania w oczach, jak gdyby otaczające go pustkowie usiłowało wydrzeć mu skarb. A kiedy wreszcie wstał, by rozpocząć nowy mozolny dzień, woreczek spoczywał w tobole na jego plecach.

Podróżny skierował się na lewo, od czasu do czasu przystając, aby narwać jagód. Noga w kostce zeszywniała, kulał coraz wyraźniej, ale niedomagania te bladły w porównaniu z bólami w żołądku. Kurcze głodowe przejmowały go na wskroś, dręcząc tak dalece, że nie mógł już skupić uwagi na kierunku drogi, która miała go doprowadzić do "krainy patyków". Jagody nie uśmierzały cierpienia, drażniły tylko język i podniebienie swą nieznośną cierpkością.

W jakiejś dolince, którą mijał, stadko ptarmiganów skalnych wyleciało z szumem znad złomów i kęp jagód. "Kerkerker!" - krzyczały ptaki. Ciskał w nie kamieniami, ale nie mógł trafić. Położył

tobół na ziemi i jął skradać się jak kot do wróbli. Ostre odłamki skał przetarły mu spodnie i kolana poczęły znaczyć krwawy ślad. Ale ból ten nie istniał wobec męki głodu. Pełznąąc po wilgotnym mchu, przemoczył odzież, aż cały zdrętwiał z zimna. Nie czuł tego jednak, gnany gorączką głodu. A ptaki wzlatywały ciągle, wirując tuż nad człowiekiem, aż ich nieustanne

"kerkerker" poczęło brzmieć jak drwina. Przeklinał je i przedrzeźniał.

Raz się zdarzyło, że wpelznął wprost na jednego z nich, widocznie uspiętego. Nie zauważył

go, dopóki ptak nie zerwał się ze skalnego gniazda, uderzając go prosto w twarz. Nie mniej przerażony od ptarmigana, spróbował go pochwycić, ale w ręce zostały mu tylko trzy pióra z ptasiego ogona. Patrząc na ucieczkę ptarmigana, poczuł do niego taką nienawiść, jak gdyby został przezeń najdotkliwiej skrzywdzony. Następnie wrócił i ponownie dźwignął tobół.

W ciągu dnia doszedł do łańcucha dolin, gdzie zwierzyny było więcej. Stado karibu - co najmniej dwadzieścia sztuk - przebiegło kusząco na odległość strzału. Poczul szaloną chęć pogonienia za nimi

i pewność, że zdołałby je doścignąć. Czarny lis zbliżył się ku niemu, niosąc w pysku ptarmigana. Człowiek krzyknął. Wrzask był przeraźliwy, lis jednakże, odskakując w popłochu, nie wypuścił zdobyczy.

Przed samym wieczorem podróżny napotkał strumień zmętniały od wapiennego podłoża i płynący wśród kęp rzadkiej trzciny. Chwyciwszy mocno za nasadę trzciny wyciągnął z ziemi coś, co przypominało młode cebulki, nie większe od fasoli. Kęs ten wydawał się miękki i zęby człowieka pograżyły się weń z obiecującym chrupnięciem. Tkanki okazały się jednak twarde -

składały się z szorstkich włókien napęczniałych wodą, podobnie jak jagody - i równie jak one nie były pożywne. Mimo to zrzucił toból z pleców i na czworakach wpełzł między trzciny, chrupiąc i żując niby trawożerne zwierzę.

Był bardzo zmęczony i nieraz pragnął odpocząć - położyć się i zasnąć: parł jednak przed siebie bez ustanku, gnany nie tyle chęcią dotarcia do "krainy patyków", ile przemożnym głodem.

W kałużach szukał żab, rył ziemię pazurami, by znaleźć robaka - choć wiedział dobrze, że ani żab, ani robaków nie ma na tak dalekiej północy.

Na próżno zaglądał do wszystkich napotykanych stawków, aż wreszcie, kiedy nadszedł długi zmrok, odkrył w jednym z nich małą samotną rybkę wielkości piskorza. Zanurzył rękę po ramię, ale rybka umknęła. Sięgnął wtedy po nią oburącz i zmacił kałużę aż do dna. W

podnieceniu wpadł do wody, przemakając do pasa. Zmącona woda nie pozwalała już dostrzec ryby - trzeba było czekać, aż muł osiadzie.

Poszukiwania rozpoczęły się na nowo i trwały do powtórnego zmacania wody. Ale nie mógł

czekać. Dobył menażki i począł czerpać wodę z kałuży. Najpierw robił to gwałtownie, ochlapując się cały i wylewając wodę tak blisko, że z powrotem ściekała do dołka. Potem zaczął pracować uważniej, starając się zachować zimną krew, chociaż serce waliło mu w piersi, a ręce drżały. Po upływie pół godziny kałuża była niemal sucha. Nie zostało w niej ani kubka wody. Ryby jednak nie było. Znalazła szczelinę ukrytą między kamieniami i wymknęła się przez nią do sąsiedniego, znacznie większego stawku, którego nie zdołałby wyczerpać, choćby pracował całą dobę. Gdyby wiedział od początku o istnieniu szczeliny, mógłby zatkać ją kamieniami i zdobyć rybę.

Pomyślawszy o tym skulił się i opadł na wilgotną ziemię. Z początku płakał po cichu, sam sobie, następnie coraz głośniej, skarżąc się tej bezlitosnej pustyni, która otaczała go ze wszystkich stron; jeszcze przez długi czas potem wstrząsały nim ostre spazmy gwałtownego łkania.

Rozpalił ognisko i rozgrzał się kilku kubkami gorącej wody, po czym przygotował sobie nocleg na płycie skalnej w ten sam sposób jak i nocy poprzedniej. Przed samym zaśnięciem sprawdził jeszcze, czy zapalki mu nie zamokły, po czym nakręcił zegarek. Koce były mokre i zimne. W kostce pulsowało boleśnie. Czuł jednak tylko tyle, że jest głodny, a w niespokojnym śnie roiły mu się uczyty i potrawy przyrządzone i podawane na wszelkie możliwe sposoby.

Zbudził się zziębnięty i chory. Słońca nie było widać. Szarość nieba i ziemi stała się jeszcze pełniejsza, jak gdyby nabrała głębi. Dał ostry wiatr, a pierwsze płaty śniegu bieleły szczyty wzgórz. Powietrze wkoło niego także gęstniało i bieleło, kiedy rozpalał ogień, by znów zagotować wody. Był to mokry śnieg, podobny do deszczu, o płatkach wielkich i wodnistych. Z

początku topniały przy pierwszym zetknięciu z ziemią, ale padało ich coraz więcej, aż pokryły głązy, zgasiły ogień i zniszczyły zapas suchego mchu zebranego na opał.

Był to dla wędrowca znak, że pora zarzucić toból na plecy i ruszyć przed siebie - nie wiadomo dokąd. Nie troszczył się już o "krajną patyków" ani o Billa czy kryjówkę pod łodzią przewróconą do góry dnem nad rzeką Dease. Opanowało go jedno jedyne słowo: "jeść". Z

głodu bliski był szaleństwa. Nie zwracał uwagi na kierunek drogi, dopóki wiodła dnem kotlin.

Torował sobie szlak poprzez mokry śnieg ku kępom wodnistych jagód i po omacku wyrywał trzciny z korzeniami. Ale pokarm ten nie miał smaku i nie zaspokajał głodu. Znalazł jakiś kwaskowaty chwast i zjadł wszystkie jego pędy, jakie udało mu się wygrzebać. Niewiele tego zresztą było, bo ziele wijąc się po ziemi, łatwo kryło się przed okiem pod kilkucalową warstwą śniegu.

Tej nocy nie miał ognia ani gorącej wody. Wpełznął pod koc i zapadł w niespokojny sen człowieka głodnego. Śnieg przemienił się w zimny deszcz. Budząc się wielokrotnie, czuł na twarzy jego krople. Zaświtał dzień - szary dzień bez słońca. Deszcz ustał. Świadomość ostrego głodu znikła. Zdolność odczuwania go wyczerpała się widocznie. W żołądku tkwił

głuchy, ciężki ból, ale już nie tak dokuczliwy jak przedtem. Umysł działał sprawniej, skupiając uwagę ponownie na "krajnie patyków" i kryjówce nad rzeką Dease.

Porwał na pasy resztę jednego ze swych koców i owinął krwawiące stopy. Obandażował też zwichniętą kostkę i poczynił przygotowania do całodziennej wędrówki. Przy pakowaniu rzeczy zamyślił się dłużej nad woreczkiem z łosiowej skóry. W końcu jednak zatrzymał go przy sobie.

Śnieg stopniał pod deszczem i bieleły jeszcze tylko szczyty pagórków. Błysnęło słońce i podróżnemu udało się wreszcie oznaczyć strony świata, choć tym razem wiedział już, że zabłądził. Może w czasie wczorajszej wędrówki zboczył zanadto w lewo? Skierował się więc na prawo, by wyrównać odchylenie od właściwego kierunku drogi.

Chociaż kurcze głodowe straciły na ostrości, zdawał sobie sprawę, jak bardzo jest słaby.

Musiał często odpoczywać i korzystał z przerw, by zrywać jagody i trzcinę. Miał wrażenie, że suchy język nabrzmiał i pokrył się włochatym meszkiem; w ustach czuł gorzki posmak. Serce sprawiało mu także niemało kłopotu. Już po kilku minutach marszu zaczynało bezlitośnie, miarowo łomotać, po czym jak gdyby rzucało się tam i z powrotem w bolesnym pędzie miarowych uderzeń powodujących duszność i zawrót głowy.

W południe spostrzegł w sporym stawku dwa piskorze. Niepodobna było marzyć o wyczerpaniu wody, ale był już teraz spokojniejszy i zdołał jakoś schwytać je w menażkę. Nie były dłuższe niż

mały palec, wędrowiec jednak nie czuł szczególnego głodu. Głuchy ból w żołądku tępał i przygasał. Zdawało się nieomal, że żołądek drzemie. Zjadł ryby na surowo, żując z przesadną starannością, jedzenie pozostało bowiem już tylko nakazem rozsądku. Nie odczuwał głodu, ale wiedział, że musi jeść, aby żyć.

Pod wieczór złowił jeszcze trzy piskorze, z których dwa spożył, trzeciego zaś zachował na śniadanie. Słońce wysuszyło drobne kępki mchu, dzięki czemu zdołał się rozgrzać gorącą wodą. Tego dnia przebył nie więcej niż dziesięć mil. Następnego zaś dnia, posuwając się tylko wtedy, gdy pozwalało mu na to serce - przeszedł zaledwie pięć mil. Za to żołądek nie sprawiał mu teraz żadnych przykrości - jak gdyby zapadł w sen.

Znajdował się w nieznannej okolicy, gdzie więcej było karibu - lecz także i wilków. Nieraz ich wycie niosło się przez pustkowia, a raz dostrzegł nawet trzy sztuki umykające przed nim cichaczem.

I znów minęła noc; nad ranem, idąc za głosem rozsądku, rozwiązał rzemyki zaciskające pękaty woreczek z łosiowej skóry. Z jego otwartego wnętrza wysypał się żółty strumień złotego piasku i bryłek. Rozdzielił skarb z grubsza na połowy, z których jedną ukrył w szczelinie występu skalnego, owinąwszy w kawałek koca, drugą zaś wsypał z powrotem do sakiewki.

Zaczął też oddzierać pasy z jedyne go pozostałego mu koca, by przewinać stopy. Ze strzelbą nie chciał się jeszcze rozstać z uwagi na naboje leżące w schowku nad rzeką Dease.

W ciągu tego dnia - a był to dzień mglisty - głód rozbudził się w nim ponownie. Czuł się niezmiernie słaby, doznawał zawrotów głowy i chwilami aż tracił wzrok. Często teraz potykał

się i padał, pewnego zaś razu potknąwszy się runął prosto na gniazdo ptarmigana. Leżało tam czworo świeżo wyklutych piskląt, liczących zaledwie dzień - małe kłębki tętniącego życia, w sam raz nadające się na jednorazowe kąski; toteż pożarł je łapczywie, wpychając żywcem do ust i rozgniatając zębami niczym skorupki jaj. Matka piskląt polatywała nad nim bijąc skrzydłami z głośnym wrzaskiem. Użył strzelby jako maczugi - kura ptarmigana jednak unikała zwinnie jego ciosów. Ciskał w nią kamieniami i przypadkowo złamał jej skrzydło. Wtedy rzuciła się do ucieczki; biegła i wlokła po ziemi złamane skrzydło - ścigana przez swego prześladowcę.

Pisklęta zaostrzyły mu tylko apetyt. Kuśtykał więc dalej na swej chorej nodze, rzucając kamieniami i od czasu do czasu wykrzykując ochryple - to znowu posuwał się naprzód w milczeniu, podnosząc się z ponurą wytrwałością po każdym upadku lub przecierając ręką oczy, kiedy mroczyła je mgła osłabienia.

Pogoń za ptakiem zawiodła go na moczary na dnie doliny, gdzie w wilgotnym mchu dostrzegł

ludzkie ślady. Poznał, że nie był to jego własny trop - a więc musiał tędy przechodzić Bill. Nie mógł się jednak zatrzymać, gdyż ścigany ptak nie ustawał w biegu. Najpierw musi go złapać, a potem wróci i zbada ślady.

Człowiek zmęczył ptarmigana gonitwą, ale przy tym wyczerpał też własne siły. Kura leżała na boku,

dyszac - a on równieź dyszał leżac na boku w odległości kilku kroków i nie mogąc dowlec się do niej. Gdy wreszcie odpoczął nieco, ona także odzyskała siły i pierchła tuż sprzed wyciągniętej po nią chciwej ręki. Pościg zaczął się na nowo. Wreszcie zapadła noc i ptak umknął. Wędrowiec zachwiał się z wycieńczenia i upadł z tobołem przytłaczającym mu plecy. Padł twarzą na ziemię, kalecząc sobie policzek. Długą chwilę leżał bez ruchu; następnie obrócił się na bok, nakręcił zegarek i tak przeleżał do rana.

Jeszcze jeden mglisty dzień. Połowę ostatniego koca zużył na onuce. Nie udało mu się odnaleźć śladów Billa. Ale nie miało to znaczenia. Głód poganiał go bezlitośnie, chociaż zastanowiło go, czy Bill przypadkiem też nie zablądził. Koło południa ciężar tobołu stał się nieznośny. Podróżny raz jeszcze rozdzielił złoto, wysypując po prostu połowę na ziemię. Po południu wyrzucił resztę, pozostawiając sobie już tylko połowę koca, menażkę i strzelbę.

Doznawał halucynacji. Przywidziało mu się, że pozostał jeszcze jeden nabój. Tkwił w magazynie strzelby, on zaś go przeoczył. Z drugiej strony miał przez cały czas pełną świadomość, że magazyn jest pusty. Halucynacja jednak nie ustępowała. Przez kilka godzin zwalczał ją daremnie, aż wreszcie odemknął zamek u strzelby i przekonał się naocznie, że kuli nie ma. Rozczarowanie było tak gorzkie, jak gdyby naprawdę spodziewał się znaleźć ten nabój.

Szedł zawzięcie dalej przez pół godziny, gdy nagle halucynacja powróciła. Znowu próbował ją zwalczyć i znów złudzenie nie chciało ustąpić, aż w końcu - szukając ulgi - po raz drugi odemknął zamek. Niekiedy jego świadomość schodziła na dalsze bezdroża. Szedł wtedy naprzód uparcie, na kształt automatu, w mózg zaś - niby natrętne robactwo - wwierały mu się najdziwaczniejsze przywidzenia. Ale te wycieczki w kraj ułudy nie trwały długo, gdyż zawsze dotkliwie kurcze głodu przywoływały go do rzeczywistości. Pewnego razu sprowadził go na ziemię widok, który przyprawił go niemal o zemdlenie. Zachwiał się i zatoczył, usiłując jak pijak utrzymać się na nogach. Przed nim stał koń! Koń! Nie wierzył własnym oczom. Były one co prawda przysłonięte gęstą mgłą, przez którą przebijały migocące błyski. Przetarłszy w dzikim szale oczy, ujrzał tym razem już nie konia, lecz wielkiego burego niedźwiedzia. Zwierzę przyglądało mu się badawczo, z napastliwą ciekawością.

Człowiek podniósł już strzelbę prawie do ramienia, zanim zorientował się, co robi. Opuścił wtedy broń i dobył noża myśliwskiego, który nosił u pasa w pochwie naszywanej paciorkami.

Oto stało przed nim mięso - i życie. Przeciągnął palcem po klindze. Nóż był ostry, a u końca kolący jak sztylet. Za chwilę rzuci się na niedźwiedzia i zakłuje go. Ale nagle serce rozpoczęło swe ostrzegawcze, miarowe łomotanie.

Potem nastąpił gwałtowny zryw i werbel drżących uderzeń, ucisk żelaznej obręczy na czole i znów zamroczenie.

Nad zuchwalstwem rozpaczy wzięła górę gwałtowna fala strachu. Co będzie, gdy w tym stanie słabości zwierzę go zaatakuje? Zmusił się do przybrania jak najbardziej wyprostowanej postawy, ścisnął nóż w ręce i wlepił oczy w niedźwiedzia. Ten przybliżył się niezgrabnie o parę kroków, stanął na tylnych łapach i zaryczał niepewnie. Gdyby człowiek rzucił się do ucieczki -

pogoniłby za nim; człowiek jednak nie uciekał. Ogarnęło go teraz męstwo przerażenia. I on z kolei zaryczał dziko, straszliwie, wkładając w ten okrzyk cały strach, nierozłącznie związany z życiem i oplatający najgłębsze jego korzenie.

Niedźwiedź odsunął się na bok, mrużąc złowrogo, sam zaskoczony zachowaniem tajemniczego stworzenia, które stało przed nim wyprostowane, nie okazując lęku. Człowiek nadal nie poruszał się. Stał jak posąg, aż niebezpieczeństwo minęło - wtedy dopiero w ataku drgawek osunął się na mokry mech.

Po chwili zebrał się w sobie i poszedł dalej, opanowany strachem innego rodzaju. Nie był to już lęk przed śmiercią głodową, lecz obawa, że może zginąć w sposób gwałtowny, zanim jeszcze głód zdoła zgasić ostatnią iskrę tlejącej w nim woli wytrwania. Myślał o wilkach.

Poprzez pustkowia zewsząd płynęło ich wycie, napelniając przestwór grozą tak namacalną, że wędrowiec nieświadomie podniósł rękę w górę, starając się odepchnąć ją od siebie niczym ścianę namiotu wciskaną do środka przez wiatr.

Coraz częściej wilki parami lub w gromadach po kilka sztuk przecinały mu drogę. Unikały jednak jego sąsiedztwa. Były nie "dość liczne, a ponadto zajęte ściganiem karibu, które nie walczą, podczas gdy to dziwne stworzenie, chodzące w postawie wyprostowanej, gotowe zacząć drapać lub gryźć.

Późnym popołudniem wędrowiec natknął się na rozrzucone kości znaczące miejsce, gdzie wilki dopadły łupu. Szczątki te jeszcze przed godziną były pełnym życia cieleciem karibu, które biegało i porykiwało. Człowiek przyglądał się kościom obnażonym do czysta i gładkim, zabarwionym na różowo przez nie wygasłe w nich jeszcze życie. Czyż to prawda, że i on może obrócić się w to samo, zanim dzień się skończy?

Więc życie to tylko to? Przelotna marność. A przecież jedynie życie boli. W śmierci nie ma cierpienia. Śmierć - to sen. Oznacza kres wszystkiego, odpoczynek. Dlaczegoż więc nierad jest śmierci?

Nie filozofował jednak długo. Przykucnął na mchu z kością w ustach, Wysysając z niej te ślady życia, które barwiły ją jeszcze lekkim różem. Słodki posmak mięsa, ledwie wyczuwalny i tak niemal ulotny jak wspomnienie, przyprawiał go o szaleństwo. Zwarł mocno szczęki na kościach i począł je rozgryzać. Czasami pękała kość, a niekiedy ząb. Wobec tego zaczął

rozgniatać kości między głazami na miazgę, którą łykał. W pośpiechu stłukł sobie dłoń, a jednak znalazł chwilę na to, by pomyśleć ze zdziwieniem, jak niewielki ból sprawia kamień spadający na palec.

Nadeszły straszliwe dni śnieżycy i deszczu. Człowiek nie zdawał sobie sprawy z tego, kiedy odpoczywa, a kiedy rusza dalej. Tyleż drogi przebywał nocą co i za dnia. Leżał, gdziekolwiek upadł, a czołgał się znów, ilekroć płomień życia zaczynał w nim migotać i rozjarzał się nieco.

Przestał już walczyć jako istota świadoma. To tylko życie, które nie chciało w nim szesznąć, pędziło go jeszcze naprzód. Już nie cierpiał. Nerwy otępiały i straciły czucie, umysł wypełniały mu

dziwaczne zjawy i rozkoszne marzenia.

Nie przestawał jednak wysysać i przeżuwać pokruszonych kości cielęcía, których najdrobniejsze resztki pobierał był starannie i zabrał z sobą. Nie przecinał już teraz wzgórz ni przełęczy, lecz odruchowo trzymał się koryta dużego potoku płynącego dnem szerokiej i płytkiej doliny. Nie dostrzegał potoku ani doliny, widział tylko majaki. Dusza i ciało szły lub pełzły obok siebie, lecz oddzielnie - tak wątła była nić, która je łączyła.

Obudził się zupełnie przytomny, leżąc na wznak na skalnym występie. Słońce świeciło jasno i przygrzewało. Z dala dochodziło beczenie młodych karibu. W umyśle człowieka tkwiły niejasne wspomnienia deszczu, wichru i śnieżycy, ale nie zdawał sobie sprawy z tego, czy zawieja siekła go przez dwa dni czy przez dwa tygodnie.

Jakiś czas leżał bez ruchu, wchłaniając dobroczynne promienie słońca, które przesycały swym ciepłem jego wyniszczone ciało. Uprzytomnił sobie, że dzień był piękny. Może zdoła jakoś określić, gdzie się znajduje. Z bolesnym wysiłkiem odwrócił się na bok. U jego stóp płynęła leniwie szeroka rzeka. Zaniepokoiła go jej obcość. Powoli wiódł wzrokiem za nurtem wijącym się szerokimi skrętami pośród nagich wzgórz, bardziej nagich i płaskich niż którekolwiek ze wzgórz napotykanym przezeń dotychczas. Powoli, z rozmysłem, bez wzruszenia, z napięciem uwagi tak niewielkim, iż niemal graniczyło z obojętnością, człowiek śledził oczyma bieg nieznannej rzeki aż ku linii horyzontu i ujrzał, że uchodzi ona do jasnego, lśniącego morza.

Wciąż jeszcze nie czuł podniecenia. "To dziwne - pomyślał - to najprawdopodobniej przywidzenie, majak chorej wyobraźni". Domysł ten potwierdzał widok statku stojącego na kotwicy pośród pełnej blasku toni. Zamknął oczy na chwilę i znów je otworzył. Cóż za niezwykle uporczywe przywidzenie! Choć może nie ma w tym nic niezwykłego. Świadomość, że w sercu pustyni nie ma mórz ani statków, była czymś nie mniej pewnym niż to, że w pustej jego strzelbie nie mogło być naboí.

Wtem postyszał za sobą jakiś dźwięk - coś niby chwytnie tchu lub chrząkanie. Niezmiernie wolno, wskutek krańcowego wyczerpania i zeszywnienia, odwrócił się na drugi bok. Nie dostrzegł nic w pobliżu, czekał jednak cierpliwie. Sapanie i chrząkanie ponowiło się, a wtedy w odległości nie przekraczającej dwudziestu stóp człowiek uchwycił wzrokiem zarysowujący się między dwiema iglicami skalnymi szary wilczy łeb. Spiczaste uszy nie sterczały tak ostro, jak to zwykle widywał u wilków; oczy były zamglone i nabiegłe krwią, głowa zdawała się zwisać chwiejnie i żałośnie. Zwierzę mrugało nieustannie w blasku słońca. Musiało być chore. Kiedy na nie spojrział, zasapało i chrząknęło jeszcze raz.

Wędrowiec pomyślał sobie, że ten widok jest już z pewnością rzeczywisty - i odwrócił się znów w przeciwną stronę, by ujrzeć prawdziwy obraz tego świata, który poprzednio zasłoniło mu przywidzenie. Morze wciąż jednak lśniło w oddali, statek zaś był wyraźnie widoczny. Czyżby i to było rzeczywistością? Zamknął oczy na dłuższą chwilę i rozważał - wtedy nagle zrozumiał.

Poszedł widocznie na północny wschód od działu wód, oddalając się od rzeki Dease, a zagłębiając w Dolinę Miedzianą. Te wody, szeroko i leniwie rozlane, to właśnie Rzeka Miedziana, a tamto lśniące morze jest Oceanem Północnym. Na kotwicy stał statek wielorybiczny, który zapędził się na wschód, daleko na wschód od ujścia rzeki Mackenzie, i zawinął teraz do Zatoki Koronacji.

Przypomniawszy sobie oglądaną niegdyś mapę Towarzystwa Zatoki Hudsona i wszystko wydało mu się jasne i zrozumiałe.

Usiadł prosto i skupił uwagę na sprawach nie cierpiących zwłoki. Przetarł już na wylot sporządzone w drodze owijacze, tak że stopy nabrały wyglądu bezkształtnych ochłapów surowego mięsa. Ostatni koc został zużyty. Strzelby ani noża już nie miał. Zgubił też gdzieś kapelusz wraz z zatkniętą za podszewkę paczuszką zapalek - lecz za to za pazuchą tkwiły nadal pozostałe ich porcje, bezpieczne i suche pod osłoną woreczka od tytoniu i nieprzemakalnego papieru. Spojrzał na zegarek. Wskazywał jedenastą i jeszcze szedł.

Widocznie nie przestał go nakręcać.

Wędrowiec był spokojny i skupiony. Pomimo niezmiernego osłabienia nie czuł zupełnie bólu.

Nie był głodny. Nawet myśl o stawie nie sprawiała mu przyjemności, a we wszystkim, co robił, kierował się wyłącznie rozsądkiem. Oderwał nogawki spodni aż do kolan i owinał sobie nimi stopy. Dziwnym trafem zdołał zachować blaszaną menażkę. Będzie więc mógł napić się gorącej wody przed podjęciem straszliwej - jak to przewidywał - wędrówki do statku.

Ruchy jego były powolne. Trząsał się jak w gorączce. Kiedy zaczął zbierać suchy mech, przekonał się, że nie może stanąć na nogi. Spróbował na próżno raz i drugi, aż wreszcie musiał się zadowolić pełzaniem na czworakach. W pewnej chwili przyczołgał się w pobliże chorego wilka. Zwierzę usunęło mu się z drogi niechętnie, oblizując się językiem, który najwidoczniej utracił swą sprężystość. Człowiek zauważył, że język ten nie ma zdrowego, czerwonego zabarwienia. Był burożółty, pokryty na pół zaschląym śluzem.

Po wypiciu kwarty gorącej wody podróżny przekonał się, że zdoła wstać, a nawet chodzić, nie gorzej niż można by się spodziewać po człowieku umierającym. Co chwila zmuszony był

odpoczywać. Kroki stawiał drobne i chwiejne, bliźniaczo podobne do kroków chorego wilka, który snuł się jego śladami. Z nadejściem nocy, kiedy błyszcząca taflę morza powlekła ciemność, wędrowiec poznał, że nie przybliżył się do celu więcej niż o cztery mile.

Przez całą noc słyszał chrząkanie chorego wilka, od czasu do czasu zaś docierało do jego uszu pobekiwanie młodych karibu. Wszędzie wokół tętniło życie, i to życie silne, bujne i zdrowe, a jednocześnie - dobrze wiedział - chory wilk nie opuszczał ani na chwilę jego tropu w nadziei, że chory człowiek skona pierwszy. Otwierając z rana oczy, dostrzegł wlepione w siebie, pełne oczekiwania, zgłodniałe ślepią wilka. Stał skulony, z podwiniętym ogonem, podobny do nędznego, nieszczęsnego kundla. Drżał pod chłodnym powiewem porannego wiatru i od niechcenia wyszczerzył kły, kiedy człowiek odezwał się doń głosem przypominającym raczej ochryply szept.

Słońce wstało w pełnym blasku. Przez cały ranek brnął, raz po raz upadając, ku statkowi na lśniącym morzu. Pogoda była piękna, jak zwykle w krótkim okresie babiego lata na Dalekiej Północy. Mogła potrwać tydzień lub równie dobrze skończyć się jutro czy pojutrze.

Po południu natrafił na ślady. Był to trop człowieka, który widocznie również nie mógł już iść i

pełzał na czworakach. Wędrowiec pomyślał, że mógł to być Bill, myślał jednak o tym mgliście i obojętnie. Nie był już ciekaw niczego. Opuściła go wszelka zdolność odczuwania. Nie podlegał już cierpieniom. Zarówno żołądek, jak i nerwy zatonęły we śnie. A przecież życie tkwiące w nim pchało go naprzód. Choć był niezmiernie znużony, ono umrzeć nie chciało. I dlatego właśnie, że życie nie chciało umierać, człowiek jadł nadal jagody i piskorze, wlewał w siebie gorącą wodę i czujnym okiem śledził chorego wilka.

Idąc tropem czołgającego się towarzysza dotarł niebawem do końca śladów: niewielkiej kupki świeżo obgryzionych kości pośród mnóstwa śladów wilczych, odcisniętych w mokrym mchu.

Opodal leżał rozszarpany ostrymi kłami woreczek z łosiowej skóry, niczym nie różniący się od jego własnej sakiewki. Podniósł go, choć słabe palce z trudem zdołały udźwignąć ciężar. A więc Bill niósł złoto do ostatka. He, he! Przechytrzy Billa. Ocali życie i doniesie skarb Billa do statku na błyszczącym morzu. Śmiech jego brzmiał gardłowo i upiornie, niby krakanie kruka, a chory wilk dołączył się doń wyjąc złowieszczo. Nagle człowiek urwał. Jakże mógł szydzić z Billa, jeśli to właśnie Bill - jeśli te czyściutkie, białoróżowe kości były Billem?

Odwrócił się. Cóż, Bill opuścił go zdradziecko. Ale mimo to nie zabierze tego złota i nie będzie wysysał kości Billa. "Co prawda, Bill pewnie tak by postąpił, gdyby los zrządził odwrotnie" - pomyślał wlokąc się dalej.

Doszedł do małego stawku. Pochyliwszy się nad wodą w poszukiwaniu piskorzy, wzdrygnął się nagle i odrzucił w tył głowę, jak gdyby coś go ugryzło. Dostrzegł odbicie własnej twarzy.

Była tak potworna, że zbudzona na chwilę jego wrażliwość rażona została tym widokiem. Trzy piskorze pływały w stawku zbyt dużym, by mógł go osuszyć. Po paru tedy nieudanych próbach schwytania ich menażką - dał za wygraną. Bał się zresztą, że w niezmiernym swym osłabieniu mógłby wpaść do stawu i utopić się. Z tego samego powodu nie chciał dosiąść okrakiem pnia i powierzyć swego ciała rzece, chociaż wiele takich pni, zniesionych przez prąd, leżało na mieliznach wzdłuż brzegu.

Dnia tego zmniejszył odległość dzielącą go od statku o trzy mile; nazajutrz o dwie tylko - gdyż teraz już czołgał się na czworakach wzorem Billa. U schyłku piątego dnia statek wciąż jeszcze odległy był o siedem mil, on zaś nie był już zdolny do przebycia dziennie nawet jednej mili.

Okres babiego lata utrzymywał się jeszcze, człowiek nadal pełzał i mdlał na przemian, coraz to odwracając się z jednego boku na drugi, a chory wilk wciąż deptał mu po piętach, pochrzäkując i sapiąc. Kolana wędrowca upodobniły się do surowego mięsa, podobnie jak stopy, a chociaż ochraniał je ściągniętą z grzbietu koszulą, pozostawiał po sobie czerwoną smugę na mchu i kamieniach. Obejrząwszy się raz, dostrzegł, że wilk zlizuje chciwie jego krwawy ślad - i wtedy pojął, jaki mu grozi koniec - chyba że on sam zdoła załatwić się z wilkiem. Wówczas zaczęła się jedna z najbardziej ponurych tragedii bytu, jakie kiedykolwiek rozegrały się na świecie: ledwie żywy człowiek na czworakach i ledwie żywy, słaniający się wilk - dwa stworzenia ciągnące przez pustkowia swe śmiertelnie znużone ciała i czyhające wzajemnie na swe życie.

Gdyby wilk był w pełni sił, człowiek nie przejmowałby się tak bardzo swym położeniem, lecz myśl, że miałby dostarczyć pokarmu trzewiom ohydnego, na pół zdechłego stworzenia, napawała go wstrętem. Umysł jego ponownie schodził na manowce i dręczyły go przywidzenia, a okresy pełnej świadomości stawały się coraz rzadsze i krótsze.

Kiedyś z omdlenia obudziło go charczenie tuż nad uchem. Wilk odskoczył niezdarnie, stracił równowagę i padł bez siły. Widok był pocieszny, lecz nie rozśmieszył patrzącego. Nie przeraził go również. Zanadto zobojętniał już na wszystko. Ale jego świadomość była w tej chwili jasna -

leżąc więc zaczął się zastanawiać. Statek znajdował się nie dalej niż o cztery mile. Przetarłszy oczy widział go najwyraźniej - dostrzegł nawet biały żagiel niewielkiej łódki prującej jasne fale morza. Niepodobna było jednak marzyć o przebyciu tych czterech mil. Uznał ten fakt z całkowitym spokojem. Wiedział, że nie zdoła już przebrnąć nawet pół mili. A przecież - pragnął

żyć. Byłoby niedorzecznością umrzeć teraz, po tym, co przeżył. Los żądał od niego zbyt wiele.

Mimo więc że ginął - za nic nie chciał umierać. Może to było czyste szaleństwo, ale będąc już w szponach śmierci, rzucił jej wyzwanie - nie chciał umierać.

Zamknął oczy i z niezwykłą starannością doprowadzał swój umysł do równowagi. Zmuszał się do stawienia oporu temu wszechogarniającemu bezwładowi, który jak fala w przyływie podniósł się z głębin jego istoty, grożąc zatopieniem. Zabójczy ten bezwład napływał

nieustannie niby wzbierająca toń morska i zalewał pomału jego świadomość. Chwilami pogrążał się w nim niemal zupełnie, ostatkiem sił przedzierając się przez nurt zapomnienia, to znów - za sprawą jakiejś dziwnej, duchowej mocy - odnajdował w sobie jeszcze tyle woli, by wzmóc swą obronę.

Leżąc na wznak bez ruchu, słyszał zbliżający się z wolna chrapliwy wdech i wydech chorego wilka, który przysuwał się coraz bliżej i bliżej przez czas nieskończenie długi. Człowiek jednak nie poruszał się. Wreszcie poczuł pysk wilka przy swojej twarzy. Język, suchy i chropawy niby papier ścierny, otarł się o jego policzki. Człowiek gwałtownym ruchem wyrzucił przed siebie ręce lub raczej chciał to uczynić. Palce zagiął na kształt szponów, ale schwytał nimi tylko powietrze. Szybkość i pewność ruchów wymaga siły, on zaś tę siłę już postradał.

Straszliwa była cierpliwość wilka, nie mniej straszliwa cierpliwość człowieka. Pół dnia leżał bez ruchu, zwalczając nieprzytomność i czekając na to, co chciało się nim nasycić i czym on także pragnął zaspokoić swój głód. Niekiedy morze bezwładu zalewało go i wtedy śnił długie sny, ale bez chwili przerwy, na jawie czy we śnie, oczekiwał wciąż rżężącego oddechu i dotknięcia szorstkiego jęzora.

Oddechu nie dosłyszał, ale wynurzająca się z krainy snów świadomość dała mu odczuć ruch języka na dłoni. Człowiek czekał. Kły zwały się lekko, potem nacisk wzmógł się - widocznie dogorywający wilk zmuszał się do ostatnich wysiłków, żeby zapuścić zęby w pokarm, na który czekał od tak dawna. Człowiek jednak czekał równie długo - i oto krwawiąca ręka zacisnęła się na szczęce wroga. Z wolna - podczas gdy wilk bronił się słabo przed słabym uchwytem dłoni - druga ręka przesuwała się

ku jego szyi. Po pięciu minutach człowiek całym swym ciężarem leżał już na wilku. Ręce nie miały dość mocy, by go zadławić, ale twarz człowieka przycisnęła się szczelnie do gardzieli zwierzęcia, usta zaś pełne były sierści. Po upływie pół

godziny człowiek poczuł w przełyku ciepłą strugę. Nie było to przyjemne. Zdawało się, że roztopiony ołów wlewa mu się przemocą do żołądka, a przemocą tą była jego własna wola.

Wreszcie człowiek przewrócił się na wznak i zasnął.

Na statku wielorybniczym "Bedford" znajdowało się kilku członków ekspedycji naukowej. Z pokładu zauważyli jakiś niezwykle kształt na wybrzeżu. Zstępował on po piasku ku morzu.

Niepodobna było rozpoznać, do rzędu jakich istot zalicza się ów kształt, wobec czego uczeni, jak przystało ludziom nauki, wsiedli do kołyszącej się u boku statku szalupy i udali się na wybrzeże, by rzecz zbadać. Znaleźli tam żywe stworzenie, które jednak trudno byłoby nazwać człowiekiem. Było ślepe i nieprzytomne. Wiło się po ziemi niby jakiś olbrzymi robak. Wysiłki te były przeważnie bezowocne, ono jednak powtarzało je wytrwale, kręcąc się, zwijając i posuwając naprzód mniej więcej z szybkością dwudziestu stóp na godzinę.

W trzy tygodnie później człowiek, leżąc w łóżku na statku wielorybniczym "Bedford", opowiadał ze łzami spływającymi po wychudłych policzkach, kim jest i co go spotkało. Bełkotał też coś bez związku o swej matce, o słonecznej południowej Kalifornii i o domku wśród drzew pomarańczowych i kwiatów.

W niewiele dni potem siedział już przy stole w towarzystwie uczonych oraz oficerów z załogi statku. Pasł oczy widokiem ogromnych ilości jedzenia i z niepokojem patrzył, jak wędruje ono do ust sąsiadów. Przy każdym ich kąsie wyraz głębokiego żalu malował się w jego oczach. Był

zupełnie zdrow na umyśle, a jednak nienawidził tych posilających się ludzi. Prześladował go lęk, że może zabraknąć żywności. Zadawał kucharzowi, chłopcu do posług, a nawet kapitanowi pytania dotyczące posiadanych zapasów. Uspokajali go niezliczoną ilość razy, on jednak wciąż nie dowierzał i myszkował chytrze w okolicy spiżarni, chcąc o wszystkim przekonać się na własne oczy.

Zauważono, że zaczyna tyć. Istotnie, z każdym dniem nabierał ciała. Uczeni kiwali głowami i zagłębiali się w teoretyczne dociekania. Ograniczyli mu wreszcie posiłki, lecz on nadal popuszczał pasa i pęczniał pod koszulą niepomierne.

Marynarze szczyrzyli zęby w uśmiechu. Wiedzieli, o co chodzi. Kiedy zaś uczeni zaczęli go śledzić - dowiedzieli się również prawdy. Ujrzeni, jak po śniadaniu wymknął się ukradkiem i niby żebrak zaczepił marynarza wyciągając rękę. Marynarz z uśmiechem podał mu kawałek suchara. Człowiek pochwycił go łapczywie, spoglądając nań jak nędzacz na złoto, i wrzucił

sobie za pazuchę. W podobny sposób obchodził i innych rozbawionych marynarzy.

Uczeni zachowali się dyskretnie. Zostawili go w spokoju. Ale kiedyś w tajemnicy zrewidowali jego

łóżko. Było całe wyłożone sucharami. Siennik był nimi wypchany. Wszystkie zakamarki były ich pełne. A przecież człowiek był przy zdrowych zmysłach. Po prostu przedsięwziął środki ostrożności na wypadek ponownego głodu, oto wszystko. Wyleczy się z tego - zdecydowali uczeni. Tak się też stało, zanim jeszcze kotwica "Bedfordu" opadła na dno zatoki San Francisco.

Przełożył Zygmunt Glinka

Nieoczekiwane

Widzieć dostrzegalne i robić powszednie - to prosta sprawa. Życie indywidualne skłonne jest raczej do bezwładu niż ruchu. Skłonność tę wzmacnia cywilizacja, w której zasięgu widzi się tylko dostrzegalne, a nieoczekiwane nadchodzi bardzo rzadko. Jeżeli jednak nadchodzi i jest wystarczająco ważne, niezaradne jednostki giną. Nie mogą zobaczyć niedostrzegalnego, nie mogą stawić czoła nieoczekiwanemu, nie potrafią dopasować starannie sformowanego życia do kształtów odmiennych, niecodziennych łożysk: giną u kresu własnego, utartego łożyska.

Bywają jednak ludzie powołani do wielkich przeżyć. Jednostki zaradne wymykają się prawu dostrzegalnego i powszedniego, przystosowują życie do kształtu najdziwaczniejszych nawet łożysk, w które zabłądzą lub zostaną zepchnięte siłą. Taką jednostką była Edyta Whittlesey.

Urodziła się w rolniczej okolicy Anglii, gdzie życie płynie naturalnym rzeczy porządkiem, a nieoczekiwane jest tak bardzo nie oczekiwane, że uchodzi za niemoralność, jeżeli się czasami zdarzy. Edyta Whittlesey poszła na służbę wcześnie, była więc młoda, gdy naturalnym rzeczy porządkiem została pokojową wielkiej damy.

Zasadą cywilizacji jest narzucanie ludzkich praw życiu, dopóki nie zacznie ono działać regularnie i sprawnie, jak maszyna. Unicestwia się nieprzyjemne, przewiduje nieuniknione.

Człowiek nie moknie na deszczu, nie marznie podczas mrozów. Nawet śmierć skrada się groźnie ciachając kosą zniecka, lecz jest przygotowanym zawczasu pogrzebowym orszakiem sunącym gładko do rodzinnego grobowca, gdzie troskliwie odkurza się wszystko, a zawiasy oliwi, żeby ich rdza nie pokryła.

Takie właśnie było życie Edyty Whittlesey. Nic się nie działo. Trudno nawet nazwać wydarzeniem to, że mając dwadzieścia pięć lat towarzyszyła swej pani w wycieczce do Stanów Zjednoczonych. Łóżysko zmieniło tylko kierunek, zostało jednak tym samym dobrze naoliwionym łożyskiem. Bez przygód i niespodzianek wiodło na drugą stronę Atlantyku. Nawet okręt nie był okrętem na morzu, lecz pakownym wielopiętrowym hotelem, który porusza się szybko i pewnie, niezmiernym ciężarem gniecie fale i zmuszając je do uległości odmienia ocean w do znużenia spokojną sadzawkę. Na amerykańskim brzegu łożysko ciągnęło się dalej lądem; było to bardzo przyzwoite łożysko wiodące do hotelu na każdym postoju, a między postojami do hoteli na kołach.

W Chicago, kiedy jej pani oglądała jedną stronę życia towarzyskiego, Edyta Whittlesey poznawała drugą. Objawiła nawet pewną zdolność do zmagania się z nieoczekiwanym i do zwycięstwa nad nim, gdyż podziękowała za służbę i została Edytą Nelson. Hans Nelson, imigrant, Szwed z pochodzenia i cieśla z zawodu, ulegał germańskiemu niepokojowi, który na szlaku wielkiej przygody wciąż

popycha tę rasę ku zachodowi. Hans był muskularny, ciężki, zrównoważony, a mierna wyobraźnię łączył z niezwykłą przedsiębiorczością. Posiadał nadto uczciwość i dar kochania równe jego niepożytej energii.

- Będę pracował ciężko, a jak zbiorę trochę pieniędzy, pojedę do Colorado - rzekł Edycie następnego dnia po ślubie.

Po roku Nelsonowie byli już w Colorado, gdzie Hans pierwszy raz ujrzał kopaczy złota i zaraził

się ich gorączką. Poszukiwania wiodły go przez Dakotę, Idaho i wschodni Oregon, aż do gór Kolumbii Brytyjskiej. W obozie i na szlaku Edyta Nelson towarzyszyła mężowi - dzieliła jego szczęście, kłopoty i trudy. Dreptanie hodowanej w domu kobiety zamieniła na posuwisty chód górala. Nauczyła się spoglądać w oczy niebezpieczeństwu śmiało, ze zrozumieniem i na zawsze pożegnała paniczny strach zrodzony z nieświadomości, pospolity wśród mieszczuchów. Bo mieszczuchy głupieją ze strachu jak przerażone konie i zamarli ze zgrozy oczekują losu, zamiast porwać go za bary, albo rzucają się naprzód i w samobójczym pędzie ścielą drogę własnymi trupami.

Edyta Nelson spotykała nieoczekiwane na każdym zakręcie ścieżki, a wzrok wyćwiczyła tak, że w krajobrazie widziała przede wszystkim niedostrzegalne, ukryte. Ona, co nie zajmowała się kuchnią nigdy w życiu, potrafiła upiec doskonały chleb nad otwartym ogniem na zwyczajnej patelni, i to bez użycia chmielu, drożdży czy proszku do pieczenia. A kiedy zużyła ostatni kubek mąki i ostatni kawałek boczku, stać ją było na przystosowanie się do okoliczności: z mokasynów i miętko garbowanych skórzanych części ubrania i rynsztunku przyrządzała niby to gulasz, który mimo wszystko trzymał dusze w cielesnej powłoce i dawał siły do wleczenia się naprzód. Nauczyła się objuczać zarówno konia, jak człowieka, choć było to zadanie, które złamałoby mieszkańca miasta i odarło go z resztek ambicji. Wiedziała nawet, jakie węzły najlepiej nadają się do tego lub owego rodzaju bagażów. Umiała także - nie tracąc równowagi ducha - rozpalić ogień z mokrego drewna podczas gwałtownej ulewy. Krótko mówiąc, Edyta Nelson pod każdym względem zwyciężała nieoczekiwane. Ale WIELKIE NIEOCZEKIWANE

miało jeszcze zastąpić jej drogę i wystawić Edytę na ciężką próbę.

Fala poszukiwaczy złota odpływała na północ, ku Alasce, i nurt ten musiał porwać i rzucić w stronę Klondike Hansa Nelsona z żoną. Jesienią roku 1897 znaleźli się w Dyea, nie mieli jednak pieniędzy, aby przenieść sprzęt na drugą stronę Przełęczu Chilkoot i spławić później w dół Yukonu do Dawson. Owej zimy Hans Nelson pracował w swoim fachu i pomagał przy budowaniu wyrastających jak grzyby po deszczu domów miasta Skaguay, gdzie zaopatrywali się kopacze.

Cieśla był w ostatecznej rozpacz. Przez całą zimę słyszał nieodparty zew Alaski. Najgłośniejszą wołała Zatoka Latuya, toteż latem 1898 roku długie na siedemdziesiąt stóp czółno Siwaszów płynęło labiryntem skał nadbrzeżnych. W czółnie byli Hans Nelson i jego żona, a prócz nich (nie licząc Indian) trzech białych mężczyzn. Indianie zostawili pasażerów i bagaże nad ustronną zatoczką mniej więcej sto mil od Zatoki Latuya i wrócili do Skaguay. Trzej biali ludzie zostali, ponieważ wchodzili w skład zorganizowanej grupy, której uczestnicy pokrywali w równych częściach koszt wyprawy i mieli otrzymywać jednakowe zyski. Edyta Nelson podjęła się gospodarowania, przysługiwał jej więc udział taki sam jak mężczyznom.

Zrąbano pierwsze jodły, zbudowano trzyizbową chatę. Utrzymywanie w niej porządku stanowiło zadanie Edyty Nelson. Mężczyźni mieli szukać złota, co robili, i znaleźć złoto, co również się powiodło. Nie było to wspaniałe odkrycie, lecz dość ubogi pokład, gdzie wielogodzinna harówka przynosiła każdemu kopaczowi piętnaście do dwudziestu dolarów dziennie. Lato, krótkie na Alasce, przeciągało się niezwykle, więc Hans Nelson i jego towarzysze korzystali ze sposobności i powrót do Skaguay odkładali z dnia na dzień. W końcu było za późno. Od dawna uzgodniono, że poszukiwacze odpłyną w towarzystwie kilkudziesięciu miejscowych Indian, którzy wybierali się w jesienną podróż handlową wybrzeżem oceanu. Siwasze czekali na białych do ostatniej chwili, wreszcie ruszyli w drogę.

Spółka nie miała wyboru; musiała wyglądać przypadkowej okazji. Tymczasem trzeba było drzewa na działce i gromadzono opał.

Indiańskie lato marudziło, drzemało. Później nagle, jak na dźwięk surmy, przyszła zima.

Nadciągnęła nocą, a kiedy kopacze zbudzili się, wyła wichura, szalała zamieć śnieżna, zamarzały wody. Nawałnica ścigała nawałnicę, w przerwach zaś panowała cisza i słychać było tylko szturm morza na bezludne wybrzeże, gdzie słone bryzgi inkrustowały plażę zlodowaciałą bielą.

W chacie działo się dobrze. Zdobyty złoty piasek wart był około ośmiu tysięcy dolarów i poszukiwacze mogli się tylko cieszyć.

Porobili rakiety śnieżne, tropili zwierzynę, by zaopatrywać spiżarnię w świeże mięso, a w długie wieczory siadywali przy tasiecowych partiach wista lub pedro. Ponieważ ustała praca na działce, Edyta Nelson przekazała mężczyznom podsycanie ognia i zmywanie naczyń, sama zaś cerowała skarpety i naprawiała odzież.

W ciasnej chacie nie znano utyskiwań, swarów, drobnych sprzeczek, a mieszkańcy jej często gratulowali sobie wzajemnie, że żyją tak wesoło i po przyjacielsku. Hans Nelson (solidny, poważny, raczej sztywny) szczerze i od dawna podziwiał żonę za jej łatwość obcowania z ludźmi. Harkey - wysoki, chudy Amerykanin z Teksasu, człowiek przyjemny, choć małomówny, dobrze zgadzał się z towarzystwem, póki nikt nie zahaczył jego teorii, że złoto rośnie. Czwarty współnik, Michael Dennin, wnosił do zacisznej izby irlandzki humor. Był wysoki, atletycznie zbudowany, skłonny do nagłych wybuchów gniewu o byle drobiazg i niezawodnie pogodny w obliczu wielkich przykrości lub ciężkich trudów. Piąty i ostatni z kompanii, Dutchy, [Dutchy jest przezwiskiem, zniekształceniem wyrazu Holender (ang. Dutch). Dutchy mówi łamaną angielszczyzną] z własnej woli stanowił zwykły cel żartów. Sam sobie robił na przekór, byle budzić śmiech na swój rachunek i byle trwała uciecha. Zdaje się, miał jasny, świadomy cel w życiu: chciał być wesołkiem, szafarzem śmiechu.

Poważne kłótnie nie mąciły nigdy nastroju w szczupłym gronie. Panował tam umiejętnie podsycany, pełen zadowolenia duch pomyślności, gdyż każdy mógł poszczycić się wynikiem krótkiej pracy w ciągu lata: szesnastoma setkami dolarów.

Mieszkańcy chaty usiedli do śniadania późno, jak zwykle od czasu, gdy zima przerwała regularną pracę przy dozywaniu złota. Była już ósma, ale paliła się świeca zatknięta w szyjkę butelki. Edyta i Hans zajmowali oba końce stołu. Po jednej stronie, plecami do drzwi, siedzieli Harkey i Dutchy.

Miejsce naprzeciw nich było wolne. Dennin nie przyszedł jeszcze.

Hans Nelson zerknął na pusty stołek, wolno pokiwał głową i siląc się na dobry humor, powiedział:

- Zawsze pierwszy pcha się do żarcia. Bardzo dziwne. Może zachorował?

- Gdzie Michael? - zapytała Edyta.

- Wstał trochę wcześniej od nas i wyszedł na dwór - wyjaśnił Harkey.

Dutchy zrobił rozpromienioną minę, jak gdyby gotował figiel. Udawał, że wie coś niecoś o powodach nieobecności Dennina. Uśmiechał się tajemniczo. Inni zaczęli go głośno wypytywać. Edyta zajrzała do sypialni mężczyzn i wróciła do stołu. Hans spojrzął na żonę, lecz przecząco pokręciła głową.

- Nigdy nie spóźnia się na posiłki - orzekła.

- Nic nie rozumiem - podjął Hans. - Zawsze ma apetyt pierwsza klasa; je niczym wilk.

- Bardzo niedobrze - odezwał się Dutchy i smutno pokiwał głową. Zebrani przy stole zaczęli żartować na temat zniknięcia towarzysza.

- Wielka szkoda! - wtrącił znów Dutchy.

- Czego szkoda? - zapytał chór.

- Biedny Michael - westchnął Dutchy grobowym tonem.

- A cóż się stało Michaelowi? - zawołał Harkey.

- On więcej wcale nie głodny - ubolewał Dutchy. - Cały apetyt precz! On nie lubi żarcia.

- Nie widać tego, bo wpycha zawsze, aż mu się uszy trzęsą - powiedział Harkey.

- On nie chce być niegrzeczny dla pani Nelson - podjął szybko Dutchy. - Ja wiem, ja wiem wszystko! To bardzo niedobre. Po co on tutaj nie jest? Bo wyszedł na dwór. Po co wyszedł na dwór? Żeby dostać apetyt. Jak on to robi? Chodzi boso po śniegu. Aha! Ja wiem wszystko!

Tak bogate ludzie robią apetyt, kiedy apetyt pójdzie precz. Michael ma tysiąc i sześć setek dolarów. On bogaty człowiek. On nie miał apetytu. Jak otworzyliście drzwi, widzieliście, jak chodził boso po śniegu. Ale wy nie widzieliście apetyta. To cała bida Michaela! Jak on zobaczy apetyt, on go cap! i przyjdzie na śniadanie.

Bredniom wesołka odpowiadał donośny śmiech. Ledwie przebrzmiał, drzwi otworzyły się i do izby wszedł Dennin. Siedzący przy stole odwrócili głowy, spojrzeli na spóźnionego przybysza.

Trzymał dubeltówkę. W oczach wszystkich podniósł ją do ramienia i dwa razy dał ognia. Po

pierwszym strzale Dutchy padł na stół, wyrzucił kubek z kawą i płową czupryną zarył w talerzu płatków owsianych. Czołem przygniótł bliższy brzeg, toteż pełen włosów talerz stanął na blacie stołu pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Harkey podskoczył, zerwał się z miejsca, ale trafiony drugim strzałem, upadł twarzą na podłogę. "Wielki Boże!" - zagulgotało mu w krtani i zamarło.

Tak przyszło NIEOCZEKIWANE.

Hans i Edyta zdrętwieli. Sztywno siedzieli za stołem, urzeczony wzrok utkwili w mordercy.

Niewyraźnie widać go było przez obłok prochowego dymu. Wśród grobowej ciszy kawa rozlana z kubka Dutchy'ego ściekała na podłogę: kap, kap, kap... Dennin złamał dubeltówkę.

Wyrzucił puste gilzy. Trzymając strzelbę w jednej ręce, drugą sięgnął do kieszeni po ładunki.

Wsuwał je właśnie do luf, gdy Edyta Nelson ocknęła się, zaczęła działać. Nie miała wątpliwości, że Dennin chce zabić ją i Hansa. Na chwilę - nie dłuższą niż trzy sekundy -

poraziła, sparaliżowała kobietę potworna, niepojęta forma, w jakiej objawiło się nieoczekiwane. Później Edyta wyszła mu na spotkanie, chwyciła je za bary. Chwyciła zresztą w ścisłym słowa tego znaczeniu, gdyż kocim susem skoczyła na mordercę i obydwoma rękami uczepliła się szalika, który miał związany na szyi. Dennin, napadnięty zniecka, zachwiał się, cofnął o kilka kroków. Próbował odzyskać swobodę ruchów, nie wypuszczał broni z ręki. Stało się wszakże coś dziwnego: twarde mięśnie Edyty nabrały kociej zwinności.

Kobieta uskoczyła w bok i szarpnięciem za szyję przegięła mordercę prawie do podłogi.

Wyprostował się, okręcił szybko dokoła własnej osi. Edyta nie wypuszczała szalika. Trzymała mocno i uczeplona oburącz wirowała wraz z Denninem. Wreszcie nogi jej oderwały się od podłogi, a ciało zaczęło krążyć w powietrzu tworząc wir, który nagle zderzył się ze stołkiem.

Mężczyzna i kobieta runęli na podłogę, lecz w upadku nie zaprzestali obłąkańczej walki i szamocąc się przemierzali połowę izby.

Hans Nelson oprzytomniał i pojął nieoczekiwane o pół sekundy później niż żona. Procesy nerwowe i procesy myślowe zachodziły w nim wolniej. Był większym organizmem, toteż zmarnował pół sekundy, zanim dostrzegł, zrozumiał, zaczął wreszcie działać. Edyta zdążyła już skoczyć na Dennina i chwycić go za gardło, gdy Hans porwał się na nogi. Ale nie był tak chłodny i opanowany jak żona. Wpadł w dziką furję, w szal godny Wikinga. W chwili gdy podnosił się ze stołka, otworzył usta i wydał głos pośredni między rykiem a wyciem.

Błyskawiczny wir dwóch ciał krążył już po izbie, a Hans rycząc wciąż i wyjąc ścigał go i pochwycił wreszcie, kiedy Edyta i Dennin runęli na podłogę.

Hans rzucił się na powalonego mordercę i nieprzytomnie zaczął okładać go pięściami. Tłukł

potężnie, jak młotem, toteż Edyta poczuła wkrótce, że Dennin nie stawia już oporu. Wypuściła z rąk szalik, od~pełzła nieco dalej. Dysząc ciężko leżała na podłodze i patrzyła. Wciąż padały szaleńcze

razy. Dennin nie czuł ich bodaj. Nie reagował, nie ruszał się nawet. Kobięcie przyszło na myśl, że musiał zemdleć. Zawołała, żeby Hans dał spokój. Krzyknęła po raz drugi, ale Hans nie zwracał uwagi na jej głos. Chwyliła męża za rękę, lecz osiągnęła tylko tyle, że rozmach osłabł trochę.

Nie podszept rozsądku skłonił kobietę do tego, co zrobiła później, nie litość ani posłuszeństwo nakazowi religii: "Nie zabijaj!" Było to raczej poczucie prawa. Etyka rasy i otoczenia z dni młodości kazały jej własnym ciałem osłonić bezbronny mordercę przed furią męża. Hans spostrzegł, że bije żonę, i wtedy dopiero przestał. Pozwolił Edycie odciągnąć się od ofiary.

Podobnie rozjuszony, ale karny pies pozwala odciągnąć się swemu panu. Podobieństwo to sięgało jeszcze dalej. Na zwierzęcy sposób złość charczała w głębi gardzieli Nelsona, który kilka razy próbował znów się rzucić na zdobycz i uczyniłby to niezawodnie, gdyby Edyta zwinnie nie zagradzała mu drogi.

Uparcie odciągała szaleńca, wlokła do tyłu. Nigdy nie widziała męża w takim stanie, więc bała się go bardziej niż Dennina w gorączce walki. Nie mogła uwierzyć, że ta rozszalała bestia jest jej Hansem, i ze zgrozą uświadomiła sobie nagle, że jak dziki zwierz może w każdej chwili chwycić jej dłoń zębami. Hans nie chciał bić żony, lecz gorąco pragnął podjąć przerwana egzekucję. Przez kilka sekund szamotał się to w jedną, to w drugą stronę, lecz Edyta cierpliwie zagradzała mu drogę, uchylała się z nim razem, aż wreszcie rozsądek zaczął

powracać i mąż dał za wygraną.

Obydwoje z trudem dźwignęli się na nogi. Hans stanął pod ścianą, oparł się plecami. Twarz mu drgała, w gardle charczało głucho, nieprzerwane warczenie, które cichło z sekundy na sekundę, aż umilkło zupełnie. Przyszła pora na reakcję. Edyta stała pośrodku izby.

Załamывała ręce, sapała i wzdychała ciężko, trzęsła się jak liść na wietrze.

Nelson nie patrzył na nic, nic nie widział. Ale wzrok Edyty błędził niespokojnie po scenie niedawnych wydarzeń, od jednego szczegółu do drugiego. Dennin leżał bez ruchu niedaleko stołka obalonego szaleńczym wirem. Częściowo pod sobą miał dubeltówkę, nie zamkniętą jeszcze po wyrzuceniu pustych gilz. Z jego prawej dłoni wysuwały się dwa ładunki. Nie zdążył

ich włożyć w lufy, ale kurczowo ścisnął palcami, póki nie opuściła go przytomność. Harkey leżał twarzą do podłogi w miejscu, na którym upadł. Dutchy pochylony na blat stołu nurzał

płową czuprynę w talerzu płatków owsianych, a talerz sterczał wciąż pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Ten sterczący talerz szczególnie interesował Edytę. Czemu nie spada? To -

pocieszne! Zgodnie z naturalnym porządkiem rzeczy talerz płatków owsianych nie powinien stać kantem na stole, choćby nawet zamordowano człowieka.

Edyta przeniosła wzrok na Dennina, zaraz jednak wróciła do szczególnego talerza. Był taki zabawny! Odczuła historyczną ochotę do śmiechu. Później uprzytomniła sobie ciszę i zapomniała o talerzu. Zaprağnęła, by coś się zdarzyło. Jednostajne kapanie kawy ze stołu na podłogę podkreślało tylko

grobową ciszę. Czemu Hans nic nie robi, nie mówi? Spojrzała na niego i otworzyła usta, lecz przekonała się, że język nie chce pełnić zwyczajnych funkcji.

Gardło bolało ją dziwnie, usta miała suche, jak gdyby kostropate. Mogła tylko gapić się na męża, ten zaś gapił się na nią.

Nagle ciszę przerwał ostry metaliczny brzęk. Edyta krzyknęła, spojrzała w stronę stołu. Talerz spadł nareszcie. Hans westchnął, jak gdyby przebudzony ze snu. Brzęk talerza był dla Nelsonów początkiem życia w nowym świecie. Chata symbolizowała ów nowy świat, w którym od dzisiaj mieli żyć i działać. Dawna chata zniknęła na zawsze. Widnokręgi życia były zupełnie nowe, obce, Nieoczekiwane jak czarnoksiężnik musnęło porządek rzeczy, odmieniło perspektywy, przetasowało wartości, zrobiło zwodniczą mieszaninę ze wszystkiego, co realne i nierealne.

- Mój Boże! Hans!

Takie były pierwsze słowa Edyty.

Nelson nie odpowiedział. Ze zgrozą spojrzał na żonę i powoli rozejrzał się po izbie, pierwszy raz zaczął badać ją dokładnie. Później włożył czapkę i ruszył w stronę drzwi. Edytę ogarnęło przerażenie.

- Dokąd idziesz?! - krzyknęła.

Rękę miał na klamce. Odwrócił się i powiedział:

- Wykopać groby.

- Nie zostawiaj mnie, Hans, z... - spojrzeniem omiotła izbę - ... z tym wszystkim.

- No przecież trzeba je kiedyś wykopać - odpowiedział.

- Nie wiesz jeszcze ile - sprzeciwiła się rozpaczliwie, a widząc, że mąż się waha, dodała: - A zresztą, pójdę z tobą, to ci pomogę.

Wrócił do stołu. Machinalnie objaśnił palcami świecę. Później rozpoczęły się oględziny. Harkey i Dutchy nie żyli. Wyglądali okropnie, bo morderca strzelał z bardzo bliska. Hans nie chciał

podejść do Dennina, więc Edyta musiała samodzielnie przeprowadzić tę część śledztwa.

- Żyje! - zawołała.

Hans zbliżył się i z góry spojrzał na mordercę.

- Coś mówił? - zapytała Edyta, gdy w gardle męża zacharczały nieartykułowane dźwięki.

- Mówiłem, że to cholerna szkoda, że taki nie zdechł - odpowiedział Nelson.

Edyta schyliła się nad leżącym ciałem.

- Zostaw go - rozkazał Nelson surowym, nie swoim głosem. Opanowana nagłą trwogą podniosła wzrok na męża. Chwycił dubeltówkę upuszczoną przez Dennina i zaczął ją nabijać.

- Co robisz?! - krzyknęła prostując się gwałtownie.

Hans nie odpowiedział. Przyłożył kolbę do ramienia. Widząc to, Edyta chwyciła lufę blisko wylotu, szarpnęła ją w górę.

- Zostaw mnie! - krzyknął Hans ochryple.

Chciał jej wyrwać broń, ale kobieta przysunęła się bliżej, objęła go w pół.

- Hans! Hans! - zawołała. - Zbudź się! Opamiętaj! Nie bądź szalony!

- On zabił Dutchy'ego i Harkeya - odrzekł mąż. - Muszę go zabić.

- Ależ to zbrodnia! - sprzeciwiła się gwałtownie. - Istnieje przecież prawo!

Wykrzywił się wzgardliwie, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że nie wierzy w istnienie prawa w takiej okolicy. Ale powtórzył tylko beznamiętnie, uparcie:

- On zabił Dutchy'ego i Harkeya.

Edyta długo przekonywała męża, była to jednak dysputa jednostronna, gdyż ograniczał się do wypowiedzianego raz po raz: "On zabił Dutchy'ego i Harkeya". Kobieta nie ustępowała jednak, nie była w stanie uwolnić się od wpływów wychowania z lat dziecińczych, od krwi swego narodu. Poczucie praworządności stanowiło jej dziedzictwo, a stosowanie prawa było dla niej jedynym słusznym postępowaniem. Innej uczciwej drogi nie mogła sobie wyobrazić. Hans -

własnoręcznie wymierzający sprawiedliwość - był w równej niezgodzie z prawem jak zbrodnia Dennina. "Dwa złe postęпки nie dają w sumie dobrego - rozumowała Edyta - istnieje więc tylko jeden sposób ukarania mordercy: sposób legalny, ustalony przez porządek społeczny".

Wreszcie Nelson skapitulował.

- Dobrze - burknął. - Niech stanie na twoim. Jutro czy pojutrze on zabije ciebie albo mnie.

Sama zobaczysz.

Pokręciła głową i wyciągnęła rękę po dubeltówkę. Hans był gotów oddać ją żonie, lecz zawahał się w ostatniej chwili.

- Pozwól mi go zastrzelić. Tak będzie lepiej - poprosił.

Znów pokręciła głową i Hans powtórnie wyciągnął do niej rękę ze strzelbą. Wtem drzwi otworzyły

się i do izby wszedł bez pukania Indianin. Wraz z nim wtargnął podmuch wiatru i zawierucha śnieżnych płatków. Nelsonowie odwrócili głowy, spojrzeli na przybysza. Hans trzymał jeszcze dubeltówkę. Nie proszony gość bez dreszczu przyjął do wiadomości krwawą scenę. Przelotnym spojrzeniem obrzucił trupy i rannego. Na twarzy jego nie odmalowało się zdziwienie ani ciekawość. Harkey leżał u jego nóg, ale Indianin nie zwracał nań uwagi. Dla niego zwłoki Harkeya nie istniały.

- Straszna wiatr - odezwał się na powitanie. - Wszystko dobrze, co? Bardzo dobrze?

Hans ścisnął w rękę strzelbę. Był pewien, że Indianin jemu przypisuje zmasakrowane ciała.

Błagalnie spojrzął na żonę.

- Jak się masz, Negook - powiedziała z wysiłkiem. - Nie, nie bardzo dobrze. Straszne nieszczęście.

- Do widzenia. Już idę. Bardzo pilno - odrzekł Negook. Ostrożnie, bez pośpiechu przestąpił czerwoną kałużę na podłodze, otworzył drzwi i wyszedł.

Mężczyzna i kobieta spojrzeli na siebie.

- Myśli, że to nasza robota - wykrztusił Hans - że moja... Edyta milczała chwilę. Następnie powiedziała zwięźle, rzeczowym tonem:

- Mniejsza, co Negook myśli. To okaże się później. Teraz mamy dwa groby do wykopania. Ale przede wszystkim trzeba związać Dennina, żeby nie mógł uciec.

Hans nie chciał dotknąć mordercy, więc Edyta skrępowwała mu mocno ręce i nogi. Później wyszli w zamieć śnieżną. Zlodowaciała ziemia nie ustępowała pod uderzeniem kilofa.

Nelsonowie przynieśli drewno i na oczyszczonej ze śniegu twardej skorupie rozniecili ognisko.

Płonęło godzinę i rozmiękczyło kilka cali zamarznętej powłoki. Teraz należało wybrać łopatami tę warstwę i na nowo rozpalić ogień. Grób pogłębiał się z szybkością dwóch lub trzech cali na godzinę.

Praca była ciężka i zmudna. Tumany śniegu nie pozwalały ognisku palić się jak należy. Wiatr przenikał odzież, mroził skostniałe ciała. Nelsonowie odzywali się rzadko. Zawierucha przeszkadzała rozmowie. Najprzód próbowali odgadnąć motywy zbrodni Dennina. Później milczeli przejęci grozą. O pierwszej Hans spojrzął w stronę chaty i oznajmił, że jest głodny.

- Nie, Hans - odpowiedziała żona. - Nie teraz. Trudno wymagać, żebym sama poszła do chaty... do tej chaty... i gotowała tam obiad.

Koło drugiej Hans zgodził się towarzyszyć żonie, lecz zatrzymała go przy pracy. O czwartej oba doły zostały skończone. Były płytkie, nie głębsze niż na dwie stopy, nadawały się jednak do zamierzonego celu. Tymczasem zapadła noc. Hans wyciągnął sanki i dwa trupy powędrowały przez ciemności i zadymkę do zlodowaciałego grobowca. Pogrzeb nie przypominał w niczym uroczystego konduktu. Sanki głęboko tonęły w zaspach, opierały się mocno. Nelsonowie nie jedli nic od poprzedniego dnia,

toteż osłabli z głodu i nerwowego wyczerpania. Nie mieli sił, by walczyć z wichurą, i od czasu do czasu padali obaleni nagłym podmuchem. Sanki wywracały się kilkakrotnie, trzeba więc było ładować na nie od nowa upiorny bagaż. Ostanie sto stóp do grobów wiodło pod górę, stromym zboczem. Hans i Edyta przebyli tę drogę na czworakach, niby psy pociągowe. Z rąk uczynili przednie nogi, a dłonie nurzali w śniegu. Mimo to dwa razy ciężar ścigał ich w tył po stoku wzgóрка. Żywi i umarli, postronki zaprzęgu i sanki - wszystko to sunęło na dół w straszliwym nieładzie.

- Jutro ustawię w głowach mogił deski z ich nazwiskami - powiedział Hans po zasypaniu dołów.

Edyta szlochała. Nabożeństwo żałobne ograniczyła do kilku urywanych zdań. Na nic więcej nie mogła się zdobyć. Osłabła i mąż prawie ja odniósł do chaty.

Dennin odzyskał przytomność. Od dawna przewracał się z boku na bok i daremnie próbował rzucić pęta. Na Hansa i Edytę spoglądał pałającym wzrokiem, nie zaczynał jednak rozmowy.

Nelson nadal wzbraniał się dotknąć mordercy. Patrzył posepnie, jak żona wlecze go do sypialni mężczyzn, gdzie - mimo licznych wysiłków - nie mogła dźwignąć ciężaru z podłogi na pryczę.

- Pozwól mi go zastrzelić. Tak będzie lepiej. Od razu skończą się kłopoty - wystąpił Hans z ostatnią prośbą.

Edyta pokręciła głową i schyliła się, by wznowić próby. Ze zdziwieniem poczuła, że bezwładne ciało dało się unieść zupełnie łatwo, odgadła więc, że Hans zmiękł i pospieszył jej z pomocą.

Później przyszła kolej na sprzątanie kuchni. Podłoga opowiadała jednak uparcie o tragedii i przestała wtedy dopiero, gdy Hans zheblował poplamione deski, a strużynami napalił w piecu.

Dnie przechodziły i mijały. Wiele było ciemności i ciszy przerywanej tylko nawałnicami i grzmotem zamarzającego morza, które szturmowało wybrzeże. Hans słuchał najlżejszego skinienia Edyty. Utracił swą wspaniałą przedsiębiorczość. Żona chciała policzyć się z Denninem na swój sposób, w jej więc rękach zostawił całą sprawę.

Morderca był nieustanną groźbą. W każdej chwili mógł uwolnić się z więzów, toteż Nelsonowie pilnowali go dniem i nocą. Zawsze jedno lub drugie siedziało przy nim z nabitą strzelbą w pogotowiu. Zrazu Edyta ustanowiła ośmiogodzinne warty, ale tak długie i nieprzerwane napięcie było zbyt nużące. Później zmieniała się z mężem co cztery godziny. Nelsonowie musieli jednak spać, a że posterunku nie mogli opuszczać w nocy, prawie cały wolny czas poświęcali czuwaniu nad Denninem. Resztę pochłaniało przyrządzanie posiłków i zbieranie drewna na opał.

Po wizycie złożonej nie w porę przez Negooka Indianie omijali chatę. Edyta wysłała do nich Hansa z propozycją, żeby czólnem wzdłuż wybrzeża morskiego odwieźli Dennina do najbliższej osady białych lub bodaj faktorii. Misja ta spełzła na niczym. Z kolei pani Nelson wybrała się sama i odbyła rozmowę z Negookiem. Był on naczelnikiem małej wioski i w pełni oceniał wagę tego stanowiska; swoją politykę wyłożył jasno i w niewielu słowach.

- To zmartwienie białych - powiedział - nie zmartwienie Siwaszów. Moi ludzie wam pomogą,

zmartwienie będzie także zmartwienie Siwaszów. Jak zmartwienie białych będzie razem ze zmartwieniem Siwaszów, zrobi się jedno zmartwienie, bardzo wielkie zmartwienie, takie, że wcale nie będzie mu końca. Zmartwienie niedobre. Moi ludzie nie zrobili nic złego. Po co mają wam pomagać i mieć zmartwienie?

Edyta wróciła z kwitkiem do straszliwej chaty i nie kończących się czterogodzinnych wart.

Często podczas swej zmiany, gdy z nabitą dubeltówką siedziała nad więźniem, przymykała oczy i zaczynała drzemać. Za każdym razem budziła się przerażona. Chwytała strzelbę i szybko zerkała na Dennina. Były to odruchy nerwowe, które wywierały zgubny wpływ na organizm. Bała się tego człowieka. Nawet na jawie nie mogła stłumić przerażenia i raptownie sięgała po broń, ilekroć poruszył się pod kocami. Była bliska rozstroju nerwowego i zdawała sobie z tego sprawę.

Najprzód gałki oczne zaczynały drgać tak, że Edyta musiała zamykać oczy, by to powstrzymać. Z kolei przyszło nerwowe mruganie, bezwiedne, niemożliwe do opanowania.

Kobieta była wyczerpana fizycznie i nerwowo, ponadto zaś nie mogła zapomnieć tragedii.

Wciąż odczuwała grozę nie mniejszą niż w ów pierwszy ranek, kiedy nieoczekiwane wkroczyło do chaty i wzięło ją w posiadanie. Pełniąc codzienne posługi przy więźniu Edyta zaciskała zęby, żelazną ręką trzymała na wodzy ciało i ducha.

Hans reagował odmiennie. Bez reszty uległ myśli, że obowiązkiem jego jest uśmiercenie Dennina, ilekroć więc zajmował się spętanym jeńcem lub czuwał przy nim, Edytę dręczyła obawa, że mąż wpisze nową szkarłatną pozycję w kronikę chaty. Często przeklinał mordercę, obchodził się z nim brutalnie. Próbował jednak maskować swą zbrodniczą manię i od czasu do czasu mówił żonie:

- Przyjdzie pora, że sama będziesz chciała, żebym go zabił, a ja tego nie zrobię. Sprzykrzy mi się cała historia.

Nieraz podczas zmiany Hansa Edyta wchodziła cichaczem do sypialni. Strażnik i więzień złowieszczo wpatrywali się w siebie, niby dwie dzikie bestie. Na twarzy Nelsona wypisana była żądza mordy. Dennin miał obłąkaną, zaciętą minę szczura zapędzonego w pułapkę. - Hans! -

wołała wtedy kobieta. - Ocknij się, Hans!

Wracał do przytomności, opamiętywał się wystraszony, pełen wstydu, ale bynajmniej nie skruszony.

Hans stał się zatem drugim czynnikiem problemu, który nieoczekiwane dało Edycie do rozwiązania. Z początku chodziło jedynie o słuszne postąpienie z Denninem, a słuszne wydawało się kobiecie tylko trzymanie go pod strażą do chwili, gdy będzie mógł stanąć przed właściwym trybunałem. Później powstała kwestia Hansa. Edyta zrozumiała, że w grę wchodzi władze umysłowe i zbawienie duszy męża. Niebawem odkryła więcej. Problem obejmował

również jej własne siły i odporność. Uginała się pod brzemieniem. Jej lewe ramię odmawiało posłuszeństwa, zaczynało drgać. Edyta nie potrafiła donieść do ust pełnej łyżki, w niczym nie mogła

ufać zagrożonej ręce. Doszła do wniosku, że to objawy tańca świętego Wita. Dręczyła się pytaniem, jak daleko sięgną skutki choroby. Co będzie, jeśli ona załamie się zupełnie?

Nową grozą była wizja prawdopodobnej przyszłości, gdy w chacie pozostanie tylko Dennin z Hansem.

Czwartego dnia morderca odzyskał mowę.

- Co myślicie ze mną zrobić? - brzmiało pierwsze jego pytanie, które powtarzał później codziennie i wiele razy na dzień.

Edyta odpowiadała zawsze, że na pewno ona i jej mąż potraktują go zgodnie z prawem.

Następnie zadawała swoje nieodmienne pytanie:

- Czemu to zrobiłeś?

Dennin nie odpowiadał. Wybuchał gniewem, klął, rzucał się, szarpał krępujące go rzemienie z surowej skóry. Groził Edycie albo mówił, jak zapłaci Nelsonom, kiedy się wyzwoli, co musi nastąpić wcześniej lub później. W takich przypadkach kobieta odводziła kurki dubeltówki, gotowa posłać mu na spotkanie śmiertelny ołów, jeśli Dennin odzyska swobodę ruchów.

Ale serce biło jej mocno, drżała trwożliwie, odchodziła od zmysłów z napięcia i przerażenia.

Z biegiem czasu morderca złagodniał nieco. Znużyła go ta sama, wciąż leżąca pozycja - tak przynajmniej rozumowała Edyta. Zaczai prosić i błagać, żeby go rozwiązać. Sypał szalonymi obietnicami. Nie uczyni Nelsonom krzywdy. Sam powędruje wzdłuż wybrzeża morskiego i dobrowolnie odda się w ręce sprawiedliwości. Odstąpi Nelsonom swoją część złota.

Przepadnie w sercu dziewiczej puszczy i nigdy, przenigdy nie wróci do cywilizacji. Odbierze sobie życie zaraz po wyzwoleniu z pęt. Błagania kończyły się zwykle nieprzytomnym majaczeniem. Edyta była zdania, że morderca traci chwilami przytomność, nieodmiennie jednak kręciła głową i milcząco odmawiała Denninowi wolności, do której tęsknił tak, że często wpadał w dziką furję.

Mijały tygodnie. Więzień łagodniał coraz bardziej. Znużenie dochodziło do głosu, tłumilo wszystko inne.

- Taki jestem zmęczony, taki zmęczony - pomrukiwał często i jak rozkapryszone dziecko kręcił głową na poduszce.

Prosił pokornie o śmierć. Błagał o nią Edytę. Zaklinał Hansa, by położył kres jego mękom.

Chciał nareszcie odpocząć. Odpocząć!

Niebawem wytworzyły się warunki nie do zniesienia. Edyta była coraz bardziej nerwowa.

Zdawała sobie sprawę, że załamanie grozi lada chwila. Nie mogła nawet odpocząć należycie, gdyż dręczył ją strach, że Hans ulegnie swej manii i zastrzeli Dennina korzystając ze snu żony. Nadszedł już styczeń, lecz pierwszego szkunera kupieckiego należało spodziewać się dopiero za kilka miesięcy. Mógł wówczas zawinąć do zatoki, ale wcale nie musiał. Ponadto poszukiwacze złota nie zamierzali zimować w chacie i zapasy żywności bliskie były końca.

Hans nie uzupełniał ich polowaniem, bo konieczność pilnowania więźnia przykuwała obydwójce Nelsonów do miejsca.

Edyta pojęła, że coś trzeba przedsięwziąć. Z wysiłkiem wielokrotnie rozważała cały problem.

Nie potrafiła oczywiście otrząsnąć się z legalizmu swojej rasy, z poczucia praworządności odziedziczonego wraz z krwią i wpajanego od dzieciństwa. Wiedziała, iż wszystko, co uczyni, musi zgadzać się z zasadami prawa. Podczas długich godzin czuwania - gdy ze strzelbą na kolanach siedziała nad rzucającym się niespokojnie mordercą, a za oknem szalała nawałnica -

Edyta Nelson prowadziła samodzielne badania socjologiczne i na własny użytek studiowała ewolucję pojęć prawnych. Wreszcie przyszło jej na myśl, że prawo stanowi tylko wyraz przekonania i woli takiej lub innej gromady ludzkiej. Nie ma znaczenia fakt, jak liczna jest gromada. Bywają niewielkie, na przykład Szwajcaria. Bywają też duże, na przykład Stany Zjednoczone. Kobieta rozumowała dalej. Nie ma również znaczenia fakt, że gromada jest mała, bodaj najmniejsza. Kraj może liczyć tylko dziesięć tysięcy ludności, a przecie jej zbiorowe przekonanie i wola decydują o obowiązujących prawach. Czemu zatem tysiąc ludzi nie mogłoby stanowić takiej grupy? Jeżeli zaś wystarczy tysiąc, z jakiej racji nie ma wystarczyć stu, pięćdziesięciu, pięciu?... Dlaczego nie ma wystarczyć DWOJE?

Przestraszona śmiałością swoich wniosków omówiła je z mężem. Z początku nie mógł nic zrozumieć. Wreszcie rozjaśniło mu się w głowie i dorzucił przekonywający argument.

Wspomniał o wiecach poszukiwaczy złota, kiedy to wszyscy mężczyźni pracujący w okolicy zbierają się, aby stanowić prawa i wymierzać sprawiedliwość. Hans dowodził, że często bywa tylko dziesięciu lub piętnastu ludzi, a jednak wola większości obowiązuje całą dziesiątkę lub piętnastkę i każdy, kto sprzeciwi się tej woli, ponosi karę.

Edyta zobaczyła prostą, jasną drogę - nareszcie! Dennina trzeba powiesić. Hans wyraził

zgode. Przecież dwoje stanowili absolutną większość określonej gromady ludzkiej. Zbiorowa wola orzekła, iż morderca ma wisieć. Wprowadzając w czyn tę wolę Edyta chciała za wszelką cenę zachować formy zwyczajowe. Ale gromada ludzka była tak szczupła, że Nelsonowie z konieczności odgrywali role świadków, ławy przysięgłych, sędziów, ba! nawet katów.

Edyta formalnie oskarżyła Michaela Dennina o morderstwo Dutchy'ego oraz Harkeya i leżący na pryczy więzień wysłuchał zeznań - najprzód Hansa, później jego żony. Odmówił przyznania się lub nieprzyznania do winy i milczał uparcie, gdy kobieta spytała, czy podsądny ma coś na swą obronę. Z kolei Nelsonowie nie wstając ze stołków wydali werdykt ławy przysięgłych: winien. Wreszcie Edyta, jako sędzia, ogłosiła wyrok. Głos jej się trząsł, powieki trzepotały, lewa ręka drgała

nerwowo, ale pani Nelson zdobyła się na wysiłek:

- Michaelu Dennin! Zostałeś skazany na śmierć. Za trzy dni będziesz powieszony.

Tak brzmiała sentencja wyroku. Więzień bezwiednie westchnął z ulgą. Później roześmiał się szyderczo i powiedział:

- No, przynajmniej ta piekielna prycza nie będzie mi uciskać gnatów. Zawszeć to jaka taka pociecha.

Po ogłoszeniu wyroku wszyscy mieszkańcy chaty odczuli odprężenie. Zwłaszcza skazaniec.

Zniknęła jego pochmurna, zaciekle wrogość. Spokojnie rozmawiał ze swoimi strażnikami, a od czasu do czasu błyskał nawet dawnym dowcipem. Z przyjemnością też słuchał Biblii. Edyta czytywała mu Nowy Testament, a Dennin najbardziej interesował się synem marnotrawnym i łotrem na krzyżu.

Dnia poprzedzającego wyznaczony termin egzekucji Edyta zadała swe zwyczajne pytanie:

- Czemu to zrobiłeś?

- Bardzo prosta sprawa - odpowiedział Dennin. - Przyszło mi do głowy...

Stanowczym tonem kazała mu milczeć i zaczekać chwilę; sama pobiegła do pryczy męża.

Hans był wolny od służby, toteż budząc się przecierał oczy i mamrotał gniewnie.

- Idź zaraz - rozkazała mu żona - sprowadź Negooka i jakiego drugiego Indianina. Michael chce odbyć spowiedź. Muszą przyjść. Weź strzelbę i przygnaj ich pod groźbą, jeżeli zajdzie potrzeba.

W pół godziny później Negook i jego wuj Hadikwan zostali wprowadzeni do celi śmierci.

Przyszli niechętnie. Hans popędzał ich wycelowaną w plecy dubeltówką.

- Negooku - odezwała się Edyta - nie będzie zmartwienia dla ciebie ani twoich ludzi. Nic od was nie chcemy. Usiądźcie tylko, słuchajcie wszystkiego i starajcie się zrozumieć.

W takich warunkach skazany na śmierć Michael Dennin odbywał publiczną spowiedź. Kiedy mówił, Edyta notowała jego słowa, Indianie słuchali, a Hans pilnował drzwi, bo obawiał się, że świadkowie mogą czmychnąć.

Na początek morderca powiedział, że od piętnastu lat nie był w starym kraju, a zawsze miał zamiar wrócić tam z furą pieniędzy, aby swej starej matce zapewnić dobrobyt do końca życia.

- A jak mógłbym tego dokazać z głupimi szesnastoma setkami dolarów? - zapytał. - Cóż, chciałem mieć wszystko złoto, całe osiem tysięcy. Wtedy wróciłbym z fasonem. Przyszło mi do głowy, że to nic trudnego. Zabiję was wszystkich, w Skaguay zamelduję o napadzie Indian i zwięję do Irlandii. Więc wziąłem się do zabijania wszystkich, ale, jak lubił mówić Harkey, ukrajałem za duży kęs i

udławiłem się, zanim go zdążyłem przełknąć. Koniec spowiedzi!

Spełniłem obowiązek wobec ciała, a teraz, jak Bóg pozwoli, spełnię obowiązek wobec Boga.

- Negooku i Hadikwanie - zwróciła się Edyta do Indian - słyszeliście mowę białego człowieka.

Jego słowa są tutaj, na papierze. Musicie zrobić znak, o, taki znak na tym papierze, aby ci, co przyjdą później, wiedzieli, że słyszeliście wszystko.

Siwasze nakreślili krzyżyki obok swoich imion i Edyta pozwoliła im odejść, wprzód jednak zapowiedziała, by następnego dnia rano wrócili z całym plemieniem jako świadkowie dalszego rozwoju wydarzeń.

Denninowi na krótko oswobodzono ręce. Musiał przecie podpisać dokument. Później cisza zaległa w izbie. Hans był rozdrażniony, Edyta przygnębiona. Morderca leżał na wznak spoglądając prosto w pułap o szparach utkanych mchem.

- Teraz spełnię obowiązek wobec Boga - mruknął i zwrócił się do Edyty. - Poczytaj mi z książki

- poprosił dodając zaraz półzartobliwym tonem: - Pomoże mi to chyba zapomnieć o tej pryczy.

Dzień egzekucji wstał pogodny i zimny. Termometr wskazywał dwadzieścia pięć stopni poniżej zera. Dał lodowaty wicher, przenikał odzież i ciało, mroził do szpiku kości. Pierwszy raz od wielu tygodni Dennin stanął na nogach. Mięśnie jego długo nie pracowały, a że odwykł od utrzymywania się w pozycji pionowej, przychodziło mu to z trudem. Chwiał się w tył i do przodu, aż wreszcie poszukał oparcia i skrępowanymi rękami uczepił się Edyty.

- Zupełnie jakbym był zalany - roześmiał się głucho i zaraz dorzucił: - Lepiej, że to już koniec.

Cieszę się. I tak zdechłbym na tej piekielnej pryczy.

Kiedy Edyta włożyła mu na głowę futrzaną czapkę i zaczęła opuszczać nauszники, skazaniec roześmiał się znowu i zapytał:

- Po co tyle zachodu?

- Na dworze piekielnie zimno - odparła.

- Za dziesięć minut odmrożone ucho nie będzie ważne dla biednego Michaela Dennina -

powiedział.

Edyta nastroiła nerwy przed ostatnią, straszliwą próbą, ale proste zdanie mordercy zadało cios jej równowadze. Do tej pory wszystko odbywało się jak w upiornym śnie, lecz naga prawda ostatnich słów wstrząsnęła Edytą, kazała jej szeroko otworzyć oczy na realizm tego, co się dzieje. Irlandczyk nie przegapił jej zmieszania.

- Przykro mi, że cię zaniepokoiło moje głupie gadanie - powiedział zmartwiony. - Nic specjalnego nie miałem na myśli. To wielki dzień dla Michaela Dennina. Wesołym dziś jak szczygieł.

Zaczął gwizdać ochoczo, niebawem jednak zmienił ton na smutniejszy i zupełnie umilkł.

- Szkoda, że nie ma księdza - powiedział z żalem, lecz dodał bez namysłu: - No, ale Michael Dennin to stary wyga! W drodze na tamten świat obejdzie się bez ekstra wygód.

Był bardzo słaby i tak odwykł od chodzenia, że tuż za progiemomal go wiatr nie obalił. Edyta i Hans szli po dwóch stronach skazańca i podtrzymywali go silnie, on zaś żartował nieustannie, starał się rozweselić eskortę. Tylko raz nabrał powagi na czas wystarczająco długi, by udzielić wskazówek co do przesłania jego udziału w złocie pod adresem matki zamieszkałej w Irlandii.

Nelsonowie i Dennin wspięli się na niewielki wzgórek i spośród drzew wyszli na polanę.

Negook, Hadikwan i wszyscy Siwasze (do niemowląt i psów włącznie) otaczali kręgiem beczkę ustawioną denkiem do góry na śniegu. Byli skupieni, uroczyści. Przyszli, aby przekonać się na własne oczy, jak działa prawo białego człowieka. Opodal widać było grób wykopany przez Hansa w złodowaciałej ziemi.

Dennin spokojnym wzrokiem zbadał i rzeczowo ocenił przygotowania: grób, beczkę, grubość postronka, średnicę konara, do którego stryk był uwiązany.

- Jak Boga kocham, Hans, sam nie urządziłbym tego lepiej, gdyby o ciebie chodziło!

Głośno roześmiał się z własnego dowcipu, ale twarz Hansa zastygła w upiorną, posępną maskę, którą zdołałyby skruszyć chyba tylko trąby na Sąd Ostateczny. Poza tym Hansowi robiło się słabo.

Dotychczas nie zdawał sobie sprawy, jak straszliwym wysiłkiem może być wyprawienie na tamten świat bliźniego. Edyta rozumiała to od dawna, lecz rozumienie wcale nie ułatwiało jej zadania. Dręczyła ją niepewność, czy zdoła utrzymać się w garści, doprowadzić całą rzecz do końca. Raz po raz kusiło ją coś, żeby zawyć, krzyknąć, żeby rzucić się na śnieg albo zasłoniwszy oczy rękami odwrócić się na pięcie i pomknąć na oślep, uciec do puszczy, dokądkolwiek, byle dalej, dalej. Potężnym wysiłkiem woli panowała nad sobą.

Wyprostowana szła naprzód. Robiła to, co musiało być zrobione. Pośród szalonej zawieruchy uczuć była wdzięczna Denninowi za pomoc, której udzielał oprawcom w miarę możliwości.

- Daj no mi rękę - powiedział do Hansa i korzystając z tej podpory wgramolił się jakoś na beczkę.

Schylił się, żeby Edycie łatwiej było założyć mu pętlę na szyję. Później stanął znów prosto, kiedy Hans uwiązywał postronek do konara nad jego głową.

- Michaelu Dennin! Czy masz coś do powiedzenia? - zapytała Edyta donośnym, lecz rozdygotanym głosem.

Stojący na beczce skazaniec zaczął przestępować z nogi na nogę. Wstydliwie spuścił oczy, jak żółtodziób, który ma wygłosić pierwszą w życiu mowę. Odchrząknął raz i drugi.

- Lepiej, że to już koniec - powiedział wreszcie. - Obeszliście się ze mną po chrześcijańsku. Z

serca wdzięczny jestem za waszą dobroć.

- Oby Bóg przyjął cię jak skruszonego grzesznika - powiedziała Edyta.

- Aha - głęboki bas odpowiedział wysokiemu głosowi kobiety. - Oby Bóg przyjął mnie jak skruszonego grzesznika.

- Żegnaj, Michaelu! - krzyknęła rozdzierająco, żałośnie. Ciężarem całego ciała runęła na beczkę, lecz beczka stała.

- Hans! - zawołała omdlewającym tonem. - Hans! Ratunku! Prędeż!

Czuła, że brak jej sił, a beczka nie ustępuje. Nelson skoczył na pomoc, wytrącił podpórę spod nóg Michaela Dennina.

Kobieta odwróciła się, uszy zatkała palcami. Potem wybuchnęła śmiechem - ostrym, przeraźliwym, metalicznym śmiechem. Hans przeraził się tak, jak ani razu podczas długotrwałej tragedii. Nadeszło ostateczne załamanie Edyty Nelson. Mimo ataku hysterii zdawała sobie z tego sprawę i była szczęśliwa, że wytrzymała pod brzemieniem do ostatka.

Zatoczyła się w stronę męża.

- Hans, weź mnie do chaty - zdołała wyjąkać. - I pozwól mi odpocząć - dodała. - Ach, spać, spać, spać!...

Odeszła po śniegu. Mąż otaczał ją ramieniem, podtrzymywał z całej mocy, kierował

chwiejnymi krokami. Ale Indianie pozostali. W skupieniu patrzyli, jak działa osobliwe prawo białych, które każe człowiekowi wykonywać dziwaczny taniec w powietrzu.

Przełożył Tadeusz Jan Dehnel

Odszczepieniec

Oto wstaję do pracy. Modlę się w pokorze:

Spraw, abym się nie lenił, dobry Panie Boże,

Abym jeśli przed nocą zemrzeć mi wypadnie,

Pozostawił robotę skończoną przykładnie.

Amen.

Jeżeli nie wstaniesz natychmiast, nie dostaniesz ani kęsa!

Pogróżka nie odniosła skutku. Chłopiec czepiał się snu uporczywie, walcząc o chwilę niepamięci - jak marzyciel broni swego marzenia. Lekko zaciśniętymi rękoma wymachiwał

kurczowo w powietrzu. Słabe te razy wymierzone były przeciw matce, lecz ona z dawno już widać nabytą wprawą unikała ich, nie przestając gwałtownie potrząsać ramieniem syna.

- Zostaw mnie!

Krzyk ten dobywał się zrazu przytłumiony z otchłani snu, potem szybko wzbijał się w skargę, następnie wybuchał z wojowniczą pasją i wreszcie zamierał przechodząc w niewyraźny skowyt. Był to głos zwierzęcia, krzyk istoty umęczonej, pełen bezgranicznej udręki i protestu.

Lecz matka nie zwracała na to uwagi. Była to kobieta o smutnych oczach i znużonej twarzy; przywykła do tego obowiązku i spełniała go co dzień, przez całe życie.

Schwyciła kołdrę i usiłowała ją ściągnąć, ale chłopak zaprzestał wymachiwać pięściami i rozpaczliwie przywarł do kołdry. Zwinięty w kłębek w nogach łóżka, był jeszcze przykryty.

Wtedy próbowała zwlec pościel na podłogę. Opierał się dalej. Wreszcie mocno się wsparła, że zaś była cięższa od syna, bety ruszyły wraz z chłopcem, który czepiał się ich instynktownie, chroniąc się przed chłodem przejmującym go do szpiku kości.

Gdy zawisł na krawędzi łóżka, zdawało się, że nieuchronnie runie głową naprzód.

Oprzytomniał jednak. Wyprostował się i przez chwilę chwiał się niepokojąco. Nagle uderzył

stopami o podłogę. W tej samej chwili matka chwyciła go za ramiona i potrząsnęła. Zaczął

znowu grzmocić pięściami, teraz już celniej i mocniej. Równocześnie otworzył oczy. Matka puściła. Obudził się.

- Dobra jest! - mruknął.

Spiesznie wyniosła lampę pozostawiając go w mroku.

- Zapiszą cię - przestrzegała odchodząc.

Nie przeszkadzała mu ciemność. Odziawszy się przeszedł do kuchni. Chód tego szczupłego, drobnego chłopca był niezwykle ciężki. Nogi wlokły się za nim, co wydawało się nieprawdopodobne, tak były cienkie i kościste. Przysunął do stołu dziurawe krzesło.

- Johnny! - ofuknęła go matka.

Zerwał się i bez słowa podszedł do zlewu. Zlew był zatłuszczony i plugawy. Z otworu buchał przykry zapach. Johnny nie zwracał na to uwagi. Że zlew cuchnie, było objawem naturalnym -

tak jak to, że mydło jest umazane pomyjami i źle się pieni. Toteż niewiele zadawał sobie z nim trudu. Kilka chluśnieć zimnej wody z kranu dopełniło mycia. Zębów nie czyścił. Szczoteczki do zębów nie widział nigdy i nie przypuszczał, że na świecie mogą istnieć stworzenia zajmujące się takimi głupstwami.

- Mógłbyś przecież umyć się przynajmniej raz na dzień bez przypominania - gderwała matka.

Przytrzymując nadtłuczoną pokrywę na dzbanku z kawą, napełniła dwa kubki. Johnny nie odpowiedział ani słowa, był to bowiem stały spór między nimi, jedna ze spraw, w których matka była twarda jak kamień. Raz na dzień - przymusowe mycie twarzy. Wycierał się zatłuszczonym, wilgotnym, brudnym i podartym ręcznikiem, którego nitki osiadały mu na twarzy.

- Jakże bym chciała, byśmy nie mieszkali tak daleko - rzekła siadając do stołu. - Robię, co mogę. Wiesz o tym, ale jeden dolar mniej za mieszkanie - to znaczna oszczędność, a przy tym tutaj mamy więcej miejsca. Sam wiesz.

Nie zważał na te słowa. Słyszał je już nieraz. Zakres myśli matki był ograniczony - stale powtarzała, jak to źle, że mieszkają tak daleko od fabryki.

- Jeden dolar to znaczy więcej żarcia - stwierdził poważnie Johnny. - Wolę chodzić i mieć żarcie.

Jadł z pośpiechem, prawie nie gryząc chleba, i splukiwał kawą na pół przeżute kęsy. Bo ta gorąca, zamulona ciecz nosiła miano kawy. Johnny wierzył, że to jest kawa - i to doskonała.

Było to jedno z nielicznych złudzeń życiowych, jakie mu zostały. Prawdziwej kawy nie pił nigdy w życiu.

Jako omastę miał na chlebie kawałeczek zimnej wieprzowiny. Matka naląła mu drugi kubek kawy. A że zjadł swoją porcję, począł oglądać się, czy nie dostanie więcej. Podchwyciła jego pytające spojrzenie.

- Johnny, nie bądź żarłokiem! - zgromiła go. - Dostałeś swoją część; twoi bracia i siostry są mniejsi od ciebie.

Johnny nie odpowiedział; nie był skory do rozmowy. Przestał też oglądać się łapczywie za dodatkową porcją. Nie skarżył się; cierpliwość jego była tak straszliwa, jak straszliwa szkoła, którą przeszedł. Dopił swą kawę, otarł usta wierzchem dłoni i gotował się do odejścia.

- Zaczekaj chwilkę - rzekła matka pośpiesznie. - Myślę, że można odkroić ci z bochenka kawałek, maleńki kawałek.

Manewrowała jak kuglarz. Udając, że kroi kromkę dla niego, schowała bochenek wraz z oddzielną skibką chleba do skrzynki i podała mu jeden ze swoich dwóch kawałków. Sądziła, że go oszukała, ale zauważył jej podstęp. Mimo to wziął chleb bez wstydu. Był głęboko przekonany, iż matka z powodu chronicznej choroby niewiele może już jeść.

Spostrzegła, że syn żuje chleb na sucho, i nachyliła się, by mu wlać kawy ze swego kubka.

- Coś dzisiaj niedobrze z moim żołądkiem - tłumaczyła się.

Odległy gwizd, przeciągły i przejmujący, zerwał ich oboje na nogi. Kobieta spojrzała na blaszany budzik na półce. Strzałki wskazywały pół do szóstej. Świat fabryczny dopiero teraz się budził. Narzuciła chustę na ramiona, głowę zaś nakryła staromodnym kapeluszem, spłowiałym i niekształtnym.

- Musimy pędzić - rzekła przykręcając knot lampy i dmuchając w szkło.

Po omacku zeszli na dół. Było jasno i chłodno; Johnny'm wstrząsnął dreszcz przy pierwszym zetknięciu ze świeżym powietrzem. Gwiazdy nie zbladły jeszcze na niebie, miasto było pogrążone w ciemnościach. Syn i matka szli powłócząc nogami. Obca im była ambicja, by lekko stawiać stopy,

Po kwadransie milczącego marszu kobieta skrzyła w prawo.

- A nie spóźnij się - rzuciła ostatnią przestrożę, ginąc w pomroce.

Nic nie odpowiedział krocząc wytrwale swą drogą. W dzielnicy fabrycznej co chwila otwierały się jakieś drzwi. Johnny niebawem zmieszał się z tłumem śpieszącym w mroku. W chwili gdy mijał bramę fabryki, rozległ się powtórny gwizd syreny. Johnny spojrzał ku wschodowi. Skroś poszarpany szczytami domostw horyzont zaczynał się przesączać błądy brzask. Tyle zobaczył

ze światła dziennego, zanim odwrócił się do niego plecami, by przyłączyć się do towarzyszy pracy.

Zajął swoje miejsce przy jednej z wielu maszyn ustawionych w długie szeregi. Przed nim stała skrzynia napełniona małymi szpulkami, nad nią szybko obracały się większe. Nawijał na nie przedzę juty. Robota była prosta, wymagała jedynie pośpiechu. Małe szpulki odwijają się tak szybko, tyle dużych szpul miał do obsłużenia, że nie było czasu na próżnowanie.

Johnny pracował jak automat. Gdy nić kończyła się, używał lewej ręki jako hamulca, zatrzymywał dużą szpulę i chwycił palcami, dużym i wskazującym, wolny koniec nici.

Jednocześnie prawą ręką brał luźny koniec nici ze szpuleczki. Wszystkie te ruchy obie ręce wykonywały równocześnie i sprawnie. Następnie błyskawicznie zawiązywał węzeł tkacki i puszczał dużą szpulę. Węzły tkackie - to nic trudnego. Johnny chwalił się kiedyś, że potrafiłby je wiązać nawet przez sen. W istocie, zdarzało mu się to niekiedy: mozolił się przez całe wieki

- w jedną tylko noc - wiążąc bez końca owe supełki.

Niektórzy z chłopców marnowali czas i niszczyli maszyny, zaniedbując wstawić na miejsce szpulki, kiedy się opróżniały. Pilnował tego nadzorca. Właśnie przyłapał sąsiada Johnny'ego na tej szacherce i wytargał go za uszy.

- Spójrz tam, na Johnny'ego, czemu nie robisz tak jak on? - powiedział z gniewem nadzorca.

U Johnny'ego szpulki kręciły się jak wicher; lecz on ani nie drgnął słysząc tę pochwałę. Był

czas... ale to dawno temu... bardzo dawno. Jego apatyczna twarz pozostawała bez wyrazu, gdy słyszał, że go stawiano za wzór. Był doskonałym robotnikiem. Wiedział o tym. Powtarzano mu to tak często, że pochwały nie wywierały już na nim wrażenia. Z doskonałego robotnika Johnny zmienił się w doskonałą maszynę. Jeśli robota szła niesporo - była to, jak w maszynie, wina materiału. Johnny nie mógł popełnić błędu: byłoby to tak, jak gdyby doskonała sztanca wykrawała niedoskonałe gwoździe.

Nic w tym zresztą dziwnego. Nigdy jeszcze nie zdarzyła się przerwa w jego zażyłym obcowaniu z maszynami. Były niemal częścią jego samego, a w każdym razie urodził się wśród nich. Przed dwunastu laty powstało drobne zamieszanie w sali warsztatów tkackich, w tej właśnie fabryce. Matka Johnny'ego zemdląła. Położono ją na podłodze wśród wrzawy huczących maszyn. Odwołano od krosien dwie starsze niewiasty. Pomagał też majster. Po upływie kilku minut sala warsztatowa mieściła o jedną istotę więcej, niż weszło ich przez bramę. Był to Johnny, urodzony wśród zgiełku i warkotu maszyn, wchłaniający z pierwszym oddechem parne powietrze zgęszczone od fruujących w nim strzępków przędzy. Pierwszego dnia zakaszał usiłując oswobodzić płuca od owego nalotu; i z tego powodu kaszlał stale.

Chłopak sąsiadujący z Johnny'm popłakiwał pociągając nosem. Twarz wykrzywiała mu konwulsyjnie nienawiść do dozorczy groźnie spoglądającego ku niemu z daleka, ale już wszystkie szpulki wirowały jak należy. Chłopiec miotał pod adresem owych szpulek straszliwe przekleństwa, lecz nie było ich słychać już na odległość sześciu kroków, gdyż rozbijały się o zgiełk sali niby o ścianę.

Johnny'ego nic to wszystko nie obchodziło. Miał swoisty sposób przyjmowania otaczających go zjawisk. Zresztą fakty, które się wciąż powtarzają, stają się nudne, on zaś wielokrotnie był

świadkiem takich scen. Stawianie oporu nadzorcy wydawało mu się czymś równie bezcelowym jak sprzeciwianie się maszynie. Maszyny są na to, by działały w pewien określony sposób i wykonywały pewne zadania; podobnie - nadzorca.

O godzinie jedenastej na sali powstało jakieś podniecenie i w jednej chwili - niby tajemną mocą - ogarnęło wszystkich obecnych. Jednonogi chłopiec, pracujący po drugiej stronie Johnny'ego, zwawo prześliznął się po podłodze ku pustej skrzyni i schował się tam cały, razem ze swym szczudłem. Dyrektor fabryki zbliżał się w towarzystwie jakiegoś młodego człowieka. Gość był pięknie odziany, miał wykrochmaloną koszulę; według klasyfikacji Johnny'ego był to gentleman, a przy tym "inspektor".

Po drodze spoglądał bystro na chłopców. Co chwila zatrzymywał się i zadawał pytania. Musiał

przy tym krzyżeć na całe gardło; twarz wykrzywiała mu się pociesznie od wysiłku, by go słyszano. Przenikliwym okiem zauważył puste miejsce obok Johnny'ego, nic jednak nie powiedział; Johnny widać również zwrócił jego uwagę i inspektor nagle przystanął. Ujął

chłopca za ramię, by go odciągnąć nieco od; maszyny, lecz puścił natychmiast, wydając okrzyk zdumienia.

- Okrutnie chudy - zaśmiał się z zakłopotaniem dyrektor.

- Patyki - rzekł inspektor. - Proszę spojrzeć na te nogi. Chłopak ma krzywicę; zacząłki, ale ma.

Jeżeli nie skończy się padaczką - to tylko dlatego, że go suchoty zmogą wcześniej.

Johnny słuchał nic nie rozumiejąc. A zresztą nie interesowały go przyszłe choroby. Grożąca mu choroba - i to poważniejsza - była tuż, w postaci inspektora.

- Słuchaj, chłopcze, musisz powiedzieć mi prawdę mówił, a raczej wrzeszczał do ucha Johnny'ego inspektor. - Ile masz lat?

- Czternaście - skłamał Johnny z całej mocy swych płuc. Łgał tak głośno, że aż wybuchnął suchym kaszlem, który poruszył cały osad nagromadzony w nich od rana.

- Wygląda co najmniej na szesnaście - rzekł dyrektor.

- Albo na sześćdziesiąt - drwił inspektor.

- On zawsze był taki.

- Od jak dawna? - padło szybkie pytanie.

- Już od wielu lat. Wcale się nie starzeje.

- Ani młodnieje, prawda? Zapewne przez wszystkie owe lata pracował tutaj?

- Tak, z przerwami... ale to było dawno, zanim weszła w życie nowa ustawa - dodał

pośpieszenie dyrektor.

- Maszyna nieczynna? - inspektor wskazał stojącą opodal Johnny'ego maszynę, w której na pół pełne szpulki fruwały jak szalone.

- Wygląda na to. - Dyrektor skinął na nadzorcę i krzyknął mu coś. - Maszyna ta nie działa - zameldował inspektorowi.

Przeszli dalej; Johnny wrócił do pracy ucieszony, że nieszczęście go minęło. Ale kulawemu sąsiadowi nie powiodło się. Bystrooki inspektor wygrzebał go z paki. Chłopakowi wargi się trzęsły, miał wyraz twarzy człowieka, na którego spadła ciężka, nieodwracalna klęska.

Nadzorca był zdumiony, jak gdyby widział chłopca po raz pierwszy, na obliczu zaś dyrektora malowały się zdziwienie i niezadowolenie.

- Ja go znam - rzekł inspektor. - Ma dwanaście lat. W tym roku wykreśliłem go już z trzech fabryk, ta będzie czwarta.

Zwrócił się do kaleki:

- Obiecałeś mi pod słowem honoru, że pójdziesz do szkoły. Chłopak wybuchnął płaczem.

- Proszę pana inspektora, dwoje dzieci nam umarło, straszna bieda w domu.

- Czemu tak kaszlesz? - spytał inspektor, jakby oskarżał go o zbrodnię.

Chłopiec-kaleka odpowiedział tonem usprawiedliwienia:

- Nic mi nie jest. Zaziębiłem się tylko w zeszłym tygodniu, panie inspektorze. To wszystko.

Skończyło się na tym, że jednonogi chłopiec opuścił salę wraz z inspektorem w towarzystwie zaniepokojonego i protestującego dyrektora. Po czym wróciła monotonia. Minęło długie przedpołudnie i popołudnie jeszcze dłuższe; gwizd syreny oznajmił koniec roboty. Zmrok zapadł, nim Johnny po raz wtóry minął bramę fabryki. Słońce wspięło się po złocistej drabinie niebios, zalewając świat dobroczynnym ciepłem, następnie osunęło się w dół i zniknęło na zachodzie za spiętrzonymi dachami domostw.

Wieczera była posiłkiem rodzinnym - jedynym, przy którym Johnny spotykał się z młodszym rodzeństwem. Spotkania te miały dla niego przeważnie charakter utarczek, gdyż on był bardzo stary, oni zaś - przerażająco młodzi. Okazywał zniecierpliwienie wobec ich zdumiewającej, nadmiernej dziecinności. Nie pojmował tego. Jego dzieciństwo było już zbyt odległe. Był już niejako starym nerwowym człowiekiem, którego drażniła owa - zgoła dla niego bezsensowna -

burzliwość młodzieńskich umysłów. Zadumał się gniewnie, pochylony nad jedzeniem; pewną pociechą była mu myśl, że i oni niezadługo będą musieli iść do pracy. To wypędzi im z głów wszystkie głupstwa i uczyni ich jak on poważnymi i statecznymi. Tak to zwyczajnie, po ludzku, Johnny siebie brał za miarę, którą przykładał do całego świata.

Podczas posiłku matka tłumaczyła mu na różne sposoby, powtarzając w koło to samo, że ona stara się jak może, Johnny więc - ledwo skąpa kolacja się skończyła - z ulgą odsunął krzesło i wstał. Wahał się przez chwilę: położyć się spać czy wyjść przed bramę? Ostatecznie wybrał to drugie. Nie wędrował daleko. Przysiadł na progu, podwinąwszy nogi i pochyliwszy naprzód wąskie ramiona, łokciami wsparł się o kolana, dłońmi podtrzymując podbródek.

Siedząc tak nie myślał o niczym. Tylko odpoczywał. Jego umysł spał. Bracia i siostry wyszli z domu i wraz z innymi dziećmi hałaśliwie bawili się opodal. Latarnia elektryczna na rogu ulicy oświetlała ich wesołe figle. Johnny był drażliwym zrzędą, dzieci o tym wiedziały. Ale żyłka awanturnicza kusiła je, by mu się sprzeciwić. Ujęły się tedy za ręce i kołysząc się do taktu, zaczęły wykrzykiwać mu pod nosem różne niemądre, złośliwe wierszyki. Johnny zrazu obrzucał ich przekleństwami, które zasłyszał od majstrów. Lecz po chwili, uznając rzecz za zbyt błahą, pomny swej godności, pogрузzył się w zaciętym milczeniu.

Brat jego - dziesięcioletni Will, najstarszy po nim z rodzeństwa - wodził rej w tym kółku.

Johnny nie był zbyt czuły wobec brata. Jego życie od najwcześniejszych dni zatruwały ciągle ustępstwa i poświęcenia dla Willa. Uważał młodszego brata za niewdzięcznego dłużnika. W

latach - tak już odległych - gdy on, Johnny, mógł się bawić, ze znacznej części owego czasu ograbił go Will, którego trzeba było doglądać. Will wówczas był malutki, a matka, tak jak i teraz, spędzała całe dni w fabryce. Johnny musiał być Willowi zarazem i ojcem, i matką.

Widać było, że Will skorzystał z owych ustępstw i poświęceń. Był zdrow, krzepko zbudowany, wzrostem dorównywał bratu, a wagą nawet go przewyższał. Rzekłbyś: wszystkie soki żywotne spłynęły w żyły tego drugiego. Podobnie i usposobienie. Johnny był znużony, wyniszczony, apatyczny - młodszego brata rozsadzała bujna żywotność.

Irytujące śpiewanie stawało się coraz głośniejsze. Will w płasch nacierał coraz bliżej i pokazywał język. Johnny wyciągnął lewą rękę i chwycił chłopca za kark, wymierzając mu równocześnie silny cios kościstą pięścią. Pięść ta była rozpaczliwie chuda, że jednak potrafiła sprawić ból - świadczył o tym krzyk uderzonego. Reszta dziatwy wtórowała mu z przerażeniem, najmłodsza zaś siostrzyczka, Jenny, zemknęła do domu.

Johnny pchnął Willa, kopnął go w nogę, potem chwycił znowu, cisnął twarzą w błoto i wytarzał w nim kilkakrotnie. Wreszcie puścił. Wtem nadbiegła matka - jakby blady huragan macierzyńskiego oburzenia.

- Czemuż mi on nie daje spokoju? - odparł Johnny, gdy go łajała. - Czy nie wie, że jestem zmęczony?

- Ja jestem taki duży jak ty! - wołał Will w objęciach matczynych; na twarzy miał maskę z łez, brudu i krwi. - Teraz jestem taki sam, a urosnę jeszcze większy, wtedy cię stłukę, zobaczysz.

- Powinieneś pracować, kiedyś taki duży - burknął Johnny. - Tego ci trzeba. Do roboty. Mama powinna posłać cię do roboty.

- Ależ on za młody - protestowała matka. - To jeszcze dziecko.

- Ja byłem młodszy, kiedy zacząłem pracować.

Johnny stał jeszcze chwilę, wahając się, czy mówić dalej o doznanych krzywdach, ale zagryzł

usta gwałtownie, wykręcił się na pięcie i poczłapał do domu, by natychmiast położyć się do łóżka. Drzwi izby były otwarte ze względu na ciepło płynące z kuchni. Rozbierając się po ciemku, słyszał, jak matka rozmawiała z sąsiadką. Matka płakała, żalodne chlupanie przerywało jej słowa.

- Nie wiem, co się dzieje z Johnny'm. Nigdy mu się to nie zdarzało; taki był z niego cierpliwy aniołek. I jest dalej zacnym chłopcem - dodała na jego obronę, - Pracuje rzetelnie, choć zaczął

zbyt wcześnie, to prawda. Lecz to nie moja wina. Naprawdę, staram się, jak tylko mogę.

Chlupanie w kuchni nie ustawało. Powieki kleiły mu się do snu; mruknął jeszcze do siebie:

- Za to, że pracowałem rzetelnie, możesz ręczyć, czym chcesz!

Nazajutrz rano, jak zwykle, matka wyrwała go z objęć snu. Potem - skąpe śniadanie, wędrówka w ciemnościach, blady błysk jutrzeńki spoza dachów, gdy się odwracał tyłem do słońca, by zniknąć wśród murów fabrycznych. Był to jeszcze jeden dzień; wszystkie upływały tak samo.

A przecież bywała w jego życiu różnorodność: na przykład gdy zmieniał zajęcie albo chorował.

Kiedy miał sześć lat, był ojcem i matką dla Willa oraz młodszego rodzeństwa. W siódmym roku życia poszedł do fabryki nawijać szpulki. W ósmym dostał się do innej fabryki. Nowa jego funkcja była nadzwyczaj prosta - siedział trzymając w ręce mały kijek i nadawał kierunek spływającej przed nim, niby strumień, masie sukna. Strumień ów wydobywał się z trzewi maszyny, prześlizgiwał się po gorącym wałku i odpływał dalej. On zaś siedział wciąż na tym samym miejscu, z dala od światła dziennego, pod syczącym płomieniem gazowym, całkiem tak, jak gdyby sam stanowił tylko część maszynierii.

Czuł się wcale szczęśliwy przy tym nowym zajęciu, pomimo wilgoci i gorąca, cóż... był jeszcze młodzieńcem i doznawał marzeń i złud. Śniły mu się przedziwne rzeczy, kiedy doglądał owego dymiącego sukna spływającego nieskończoną strugą. Lecz przy tej robocie nie potrzebował

wcale myśleć, marzył więc coraz mniej, a umysł jego tępał i stawał się senny. Zarabiał

wszakże dwa dolary tygodniowo; te dwa dolary stanowiły o różnicy między ostrym głodem a niedojadaniem.

Ale gdy skończył dziewięć lat, stracił miłe zajęcie. Powodem tego była odra. Kiedy wyzdrowiał, trafiła mu się praca w hucie szklanej. Wynagrodzenie było tam lepsze, a robota wymagała zręczności. Płacono mu od sztuki; im szybciej się uwijał, tym większy przypadał mu zarobek.

To było podniecie, dzięki której stał się świetnym robotnikiem.

Prostą wykonywał czynność: przytwierdzanie szklanych korków do buteleczek. U pasa miał

kłębek szpagatu. Trzymał butelkę między kolanami, by mieć obie ręce wolne. Od owego siedzenia z korpusem wciąż zgiętym ku kolanom wąskie jego ramiona garbiły się, a piersi kurczyły co dzień przez dziesięć godzin. Nie sprzyjało to rozwojowi płuc, ale korkował trzysta tuzinów butelek dziennie.

Dyrektor był bardzo dumny i sprowadzał gości, by go oglądali przy pracy. W ciągu dziesięciu godzin trzysta tuzinów butelek przechodziło przez jego ręce. Osiągnął więc sprawność maszyny. Nie wykonywał najmniejszego zbytecznego ruchu. Każde poruszenie jego chudych rąk, każde drgnienie mięśni było szybkie i niezawodne. Pracował w najwyższym napięciu.

Skutkiem tego stawał się coraz bardziej nerwowy. W nocy, przez sen, mięśnie jego kurczyły się, w dzień zaś ani chwili nie mógł dać im folgi i wypoczynku. Był wciąż niby nakręcony, a mięśnie drgały same. Pobladał przy tym, a kaszel dokuczał mu coraz dotkliwiej. W końcu w skurczonych piersiach wybuchło zapalenie płuc i Johnny stracił pracę w hucie szkła.

Potem powrócił do fabryki, w której zaczął być karierę przy wirujących szpulkach. Tu czekał go

awans. Dobry był z niego robotnik.

Miał przejść zrazu do krochmalni, później - do "sali". Potem nie pozostawało nic prócz podnoszenia wydajności.

Maszyny działały obecnie szybciej niż wówczas, gdy po raz pierwszy przybył do fabryki, umysł zaś jego pracował powolniej. Jednak nie miał już marzeń - choć za młodych lat marzył tak wiele. Raz nawet kochał się. Było to w owym czasie, gdy pracował przy suknie; zakochał się w córce dyrektora. Była to znacznie od niego starsza, dorosła już panna; widział ją z daleka, chyba ze sześć razy. Lecz co z tego? Na powierzchni sukna spływającego przed nim strugą Johnny widział promienną przyszłość: pokonywał olbrzymie trudności, wynajdywał przedziwne maszyny, by dojść następnie do władzy w fabryce; w końcu brał "ją" w ramiona i skromnie całował w czoło.

Ale to wszystko należało już do przeszłości - zanim stał się zbyt stary i znużony, by kochać.

Ona zresztą wyszła za mąż i wyjechała, a umysł Johnny'ego począł zasypiać. Została mu jednak pamięć o owym epizodzie - niby o niezwykłym przeżyciu; nieraz ku niemu powracał

myślą - jak to czynią ludzie wspominający czas, kiedy wierzyli w bajki. Johnny nigdy nie wierzył w dobre wróżki ani w świętego Mikołaja; ale wtedy wierzył niezachwianie w uśmiechniętą przyszłość, która w jego wyobraźni żeglowała na strumieniu dymiącego sukna.

Bardzo wcześnie został mężczyzną. Gdy w siódmym roku życia pobrał pierwszy zarobiony grosz - był już młodzieńcem. Wyrastało w nim jakieś poczucie niezależności i zmienił się jego stosunek do matki.

Jako człowiek zarabiający na chleb i spełniający w świecie swą robotę, czuł się w pewnej mierze równy matce. Męskość, dojrzała męskość przyszła wówczas, gdy Johny poszedł na nocną zmianę do fabryki; chodził tam przez sześć miesięcy, a miał wtedy jedenaście lat.

Żadne dziecko, które poznało pracę nocną, nie jest już dzieckiem.

Żywoć Johnny'ego miał kilka wielkich dat. Jedną z nich był dzień, w którym matka kupiła trochę śliwek kalifornijskich. Inny fakt zdarzył się dwukrotnie: matka piekła ciasto. Były to wielkie przeżycia. Wspominał je tkliwie. W owym też czasie matka opowiadała mu o jakiejś przepysznej słodkiej potrawie, lepszej od ciasta, którą kiedyś miała przyrządzić, a którą nazywała "pływającą wyspą". Całymi latami Johnny oczekiwał chwili, gdy zasiądzie do stołu mając przed sobą ową "pływającą wyspę" - aż wreszcie oddalił tę myśl w krainę niedoścignionych marzeń.

Pewnego razu znalazł na chodniku dwudziestopięciocentową srebrną monetę. Było to również w jego życiu wydarzenie doniosłe, a przy tym - tragiczne. Ledwie spostrzegł pieniądz, zanim jeszcze go podniósł, wiedział co było jego obowiązkiem. W domu, jak zwykle, brakło żywności.

Powinien więc był zanieść pieniądz do domu - tak jak oddawał swój zarobek każdego sobotniego wieczora. Sprawa była w tym wypadku jasna i całkiem prosta, ale Johnny nie wydawał nigdy centa

ze swych pieniędzy i miał okrutną ochotę na cukierki, których kosztował

jedynie przy uroczystych okazjach.

Nie usiłował nawet oszukać samego siebie. Wiedział, że to grzech, i zgrzeszył rozmyślnie, puszczać się na orgię; kupił za piętnaście centów lodowatego cukru. Dziesięć centów schował - na następną hulankę. Lecz że nie był przyzwyczajony do noszenia przy sobie pieniędzy, zgubił te dziesięć centów. Zdarzyło się to właśnie wtedy, gdy cierpiał męki wyrzutów sumienia, i fakt ten wydał mu się karą boską. Grozą przejmowało go uczucie bliskości srogiego, zagniewanego Boga; Bóg widział wszystko i Bóg ukarał go odbierając mu nawet pełnię radości spożycia owoców grzechu.

Ileć później wracał pamięcią do tego wypadku - zawsze wydawał mu się jedyną ciężką zbrodnią w jego życiu, na której wspomnienie budziła się w nim na nowo skrucha. Była to jedyna ciemna plama na jego przeszłości. Jednak do tych wyrzutów sumienia dołączał się zawsze pewien żal: Johnny nie był zadowolony z użytku, jaki uczynił z owych dwudziestu pięciu centów. Mógł być lepiej ich użyć; opierając się na późniejszym swym doświadczeniu co do boskiej rychliwości, byłby uprzedził Boga i wydał całe ćwierć dolara za jednym zamachem.

Wracając tak wspomnieniami w przeszłość, w wyobraźni wydał owa pieniądze z tysiąc razy - za każdym razem korzystniej.

Jedno jeszcze miał wspomnienie, spłowiałe i przywiedłe, lecz wbite w pamięć raz na zawsze - straszliwymi ojcowskimi nogami. Była to raczej jakaś zmora aniżeli oglądanie pamięcią konkretnego faktu.

Osobliwe to wspomnienie nigdy nie nawiedzało Johnny'ego w biały dzień, gdy był całkiem rozbudzony. Przychodziło nocą do jego wezgłowia - w chwili gdy tracił świadomość zapadając w sen. Budziło go zawsze, zmuszając do trwożnego czuwania, i przez chwilę, przy pierwszym chorobliwym wstrząsie, wydawało się chłopcu, że leży w nogach łóżka. W łóżku zaś znaczyły się niewyraźne postacie rodziców. Johnny nie wiedział, jak wygląda ojciec. Zachował bowiem jedno tylko związane z jego osobą wrażenie: to, że ów ojciec miał okrutne, niemiłosierne stopy.

Wcześniejsze jego wspomnienia wędły wraz z nim samym, późniejszych zaś nie miał.

Wszystkie dni były jednakie. Wczoraj było to samo, co przed rokiem, tysiąc lat znaczyło tyleż, co jedna minuta. Nic się nigdy nie działo. Nie było wydarzeń, które by zaznaczały bieg czasu.

Czas nie płynął, stał w miejscu. Tylko maszyny wciąż były w ruchu, choć przecie nie dążyły nigdzie, mimo iż wirowały coraz szybciej.

Kiedy Johnny skończył czternaście lat, wzięto go do krochmalni. To było wielkie wydarzenie.

Coś się nareszcie stało, co warto było zapamiętać, coś ważniejszego niż nocny spoczynek. To rozpoczynało epokę. Była to fabryczna olimpiada, fakt, od którego liczy się czas. "Kiedy zacząłem pracować w krochmalni" - albo: "Przed moim wstąpieniem do krochmalni" - były to zdania, które Johnny nieraz powtarzał.

Szesnąstą rocznicę urodzin uczcił Johnny uroczyście przejściem do sali krosien. Tu miał

znowu podniecie w pracy, bo robota była akordowa. Pod tym względem przodował, gdyż fabryka urobiła z niego doskonałą maszynę. Po upływie trzech miesięcy pracował przy dwóch warsztatach, później przy trzech, wreszcie przy czterech.

Pod koniec drugiego roku pracy w warsztatach Johnny produkował znacznie większą liczbę jardów sukna niż którykolwiek z pozostałych tkaczy, a przeszło dwa razy tyle, co mniej zdolni wśród robotników. W domu sprawy zaczęły się poprawiać, w miarę jak dosięgwał pełni swej zdolności zarobkowania. Nie tak dalece jednak, by zwiększone dochody przewyższały potrzeby. Dzieci rosły i jadły więcej. Uczęszczały do szkół, a książki są drogie. Tak się jakoś składało, że im szybciej Johnny pracował - tym szybciej szły w górę cyfry wydatków. Nawet komorne zostało podwyższone, chociaż stan domu, już przedtem pożałowania godny, teraz był bliski ruiny.

Johnny wyrósł, lecz przy swym wzroście wydawał się jeszcze mizerniejszy. Był też bardzo nerwowy, skutkiem czego spotęgowała się jego drażliwość i zrzędnosc. Dzieci, po wielu gorzkich nauczках, stroniły od niego. Matka szanowała go ze względu na jego zdolność zarobkową, lecz szacunek ten mieszał się z pewnym lękiem.

Życie nie dawało mu żadnych radości. Nie widział nigdy zmian i następstwa dni. Noce przesypiał w nieświadomości. Pozostały czas trawił na robocie, a świadomość jego była świadomością maszyny. Poza tym w głowie miał pustkę. Ideałów nie posiadał, a złudzenie miał tylko jedno: że pija doskonałą kawę. Był wołem roboczym. Nie miał żadnych przeżyć duchowych, a jednak głęboko, gdzieś w zakamarkach jego duszy, była ważona i badana każda godzina znoju, każdy ruch rąk, każdy skurecz mięśni - i dojrzywało to, co miał zrobić i czym miał wprawić w zdumienie siebie samego i cały drobny światek swego otoczenia.

Wiosna zbliżała się już ku końcowi, gdy pewnego wieczora Johnny, przyszedłszy z fabryki, uczuł niezwykłą słabość i znużenie. Zasiadł do stołu i nie zauważył, że obecni są w nastroju jakiegoś naprężonego oczekiwania. Posiłał się w ponurym milczeniu, bezwiednie jedząc to, co przed nim postawiono. Dzieci chrząkały i mlaskały smakowicie. Ale Johnny pozostał głuchy na wszystko.

- Johnny, czy ty wiesz, co jesz? - spytała wreszcie z rozpaczą matka.

Spojrzał z roztargnieniem na talerz, potem tak samo na matkę..

- "Pływająca wyspa"! - oznajmiła triumfalnie.

- Aha - mruknął.

- "Pływająca wyspa"! - chórem krzyknęły dzieci.

- Aha - powtórzył i po dwóch czy trzech łyżkach dodał: - Jakoś dzisiaj nie jestem głodny.

Odłożył łyżkę i odsunawszy krzesło powstał ociężale.

- Chyba pójdę się położyć.

Przeszedł przez kuchnię. Powłóczył nogami jeszcze ciężiej niż zwykle. Rozbieranie się było dla niego jakimś tytanicznym, daremnym wysiłkiem; płakał bezsilnie, gramoląc się do łóżka z jedną tylko nogą: rozzutą. Zdawało mu się, że coś rośnie, nabrzmiewa mu w czaszce, przesłania i uciska mózg. Czuł, jak gdyby jego cienkie palce stawały się tak wielkie jak przegub ręki, a w ich końcach odczuwał jakieś niewyraźne szarpanie, podobnie jak w mózgu.

Ból w krzyżu dolegał mu nieznośnie. Bolały go wszystkie kości. W głowie miał wycie, huk i warkot miliona krosien. Całą przestrzeń zapełniały wirujące czółenka tkackie. Mknęły i przepadały bezładnie, pomieszane z gwiazdami.. On zaś tkał na tysiącu krosien sam jeden, warsztaty drgały coraz prędzej, a jego mózg także pracował coraz prędzej, coraz prędzej wysnuwając nić, która się nawijała na tysiąc latających czółenek.

Nazajutrz nie poszedł do roboty. Był nazbyt zajęty kolosalną pracą przy tysiącu krosien huczących w jego czaszce. Matka udała się do swego zajęcia, lecz przedtem sprowadziła lekarza. Ten stwierdził, że Johnny ma silną gripę. Jenny pielęgnowała brata, wypełniając polecenia doktora.

Był to istotnie potężny atak choroby; minął tydzień, zanim Johnny mógł wstać z łóżka i słaniając się przejść przez pokój. Jeszcze tydzień - zapewniał lekarz - a będzie mógł wrócić do pracy. Majster z tkalni przybył odwiedzić go w niedzielę po południu - pierwszego dnia jego rekonwalescencji.

- To nasz najlepszy tkacz - oznajmił majster matce chorego. - Robota na niego poczeka, niech się zgłosi dopiero za tydzień od poniedziałku.

- Czemu nie podziękujesz panu, Johnny? - odezwała się matka z niepokojem. - On tak ciężko chorował, że jeszcze nie przyszedł do siebie - tłumaczyła syna przed gościem.

Johnny siedział przygarbiony i patrzył uporczywie w podłogę. Pozostał w tej pozycji długo po odejściu majstra. Na dworze było ciepło; po południu chory usiadł na progu. Od czasu do czasu poruszał wargami. Był pochłonięty jakimiś zawiłymi obliczeniami.

Następnego ranka, gdy tylko się ociepliło, Johnny znów usiadł na progu, tym razem z ołówkiem i ćwiartką papieru w rękę, i prowadził dalej swoje rachunki, licząc z wysiłkiem i ze zdumieniem.

- Co następuje po milionie? - zagadnął Willa, gdy ten w południe przyszedł ze szkoły. - I jak się to oznacza?

Wieczorem tego dnia Johnny skończył swoje zadanie. Potem co dzień siadywał na progu, lecz bez papieru i ołówka. Ogromnie go zajmowało jedyne drzewo rosnące na przeciwległej stronie ulicy. Obserwował je po kilka godzin bez przerwy, przypatrywał się z zaciekawieniem, jak wiatr porusza

gałęziami i targa liście. W ciągu całego tygodnia był głęboko pochłonięty obcowaniem z samym sobą. W niedzielę, siedząc na progu, roześmiał się kilkakrotnie na głos - ku wielkiemu zaniepokojeniu matki, która już od lat nie słyszała jego śmiechu.

Nazajutrz, gdy ranek ledwo szarzał, podeszła do posłania, by go zbudzić. Johnny, wyspany do syta przez cały tydzień, tym razem ocknął się bez trudu. Nie walczył, nie usiłował

przytrzymywać kołdry, :gdy matka ją ściągała. Leżał spokojnie i spokojnie powiedział:

- To na nic, mamo.

- Spóźnisz się - rzekła sądząc, że jest jeszcze nieprzytomny ze snu.

- Ja nie śpię i powiadam mamie, że to na nic. Lepiej daj mi spokój. Nie wstanę.

- Stracisz robotę! - krzyknęła.

- Nie wstanę - powtórzył jakimś dziwnym, beznamiętnym głosem.

Matka tego dnia sama nie poszła do pracy. Johnny uległ jakiejś nie znanej jej chorobie.

Gorączka, majaczenie - to były dla niej rzeczy zrozumiałe. Ale tu był obłąd.

Narzuciła na niego pościel z powrotem i posłała córkę po lekarza.

Gdy przybył ów pan, Johnny spał słodko; spokojnie się też przebudził i pozwolił ująć za puls.

- Nic mu nie jest - stwierdził doktor. - Bardzo tylko osłabiony, skóra i kości.

- Zawsze był taki - zapewniała skwapliwie matka.

- Teraz niech mama pójdzie sobie i pozwoli mi dalej spać.

Johnny przemawiał z łagodnym spokojem; z takim samym łagodnym spokojem obrócił się na bok i zasnął.

Około godziny dziesiątej przebudził się i odział. Wszedł do kuchni i zastał tam matkę z wyrazem przerażenia na twarzy.

- Mamo, ja odchodzę - oznajmił - i chcę się pożegnać.

Skryła twarz w fartuchu, osunęła się na stołek i zaczęła płakać. Johnny czekał cierpliwie.

- Mógłbyś mi chociaż wytłumaczyć... - szlochała. - Dokąd? - zapytała wreszcie odsłaniając twarz i patrząc na niego wzrokiem, w którym więcej było przerażenia niż ciekawości.

- Nie wiem... wszystko jedno dokąd.

Gdy to mówił, oczyma duszy ujrzał obraz swego drzewa na drugiej stronie ulicy; obraz zalany oślepiającym blaskiem jak gdyby ważył się tuż pod powiekami - tak iż mógł go zobaczyć, gdyby tylko zechciał.

- A robota? - pytała drżącym głosem matka.

- Nie pójdę już wcale do roboty.

- Na Boga, Johnny, nie mów tego! - krzyknęła z bólem.

Słowa syna zabrzmiały dla niej jak bluźnierstwo.

Jak matka, która słyszy, że jej dziecko zaparło się Boga, tak rodzicielka Johnny'ego była zgorszona słowami syna.

- Co się właściwie z tobą dzieje? - nastawała, nieudolnie siląc się na stanowczość. - Cóż cię opętało?

- Liczby - odpowiedział Johnny. - Po prostu liczby. Mnóstwem liczb zajmowałem się w tym tygodniu; bardzo ciekawe rzeczy.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - rzekła pociągając nosem.

Johnny uśmiechnął się pobłaźliwie; matka aż wstrząsnęła się trwożnie, widząc, że zupełnie opuściła go zwykła drażliwość i szorstkość.

- Ja mamie objaśnię - rzekł Johnny. - Jestem śmiertelnie znużony. Co mnie tak wyczerpało?

Ruchy. Od urodzenia ciągle byłem w ruchu. Zmęczyło mnie to, nie będę się więcej ruszał.

Pamiętasz, mamó, jak pracowałem w fabryce szkła? Wyrabiałem trzysta tuzinów dziennie. Jak miarkuję, robiłem dziesięć różnych poruszeń przy każdej flasce. To daje trzydzieści sześć tysięcy ruchów na dzień. Na dziesięć dni wypada trzysta sześćdziesiąt tysięcy ruchów.

Miesięcznie - milion osiemdziesiąt tysięcy. Odrzucimy te osiemdziesiąt tysięcy - dodał z łaskawością dobrotliwego filantropa - odrzuc je, mamó; zostanie milion ruchów miesięcznie, a dwanaście milionów ruchów na rok.

Przy krosnach ruszam się co najmniej dwa razy tyle; to daje dwadzieścia pięć milionów ruchów rocznie, a mam uczucie, jak gdybym wykonywał te ruchy w ciągu przeszło miliona lat.

Otóż w zeszłym tygodniu nie ruszałem się wcale. Całe godziny bez jednego poruszenia!

Powiadam mamie, to było życie: tak sobie siedzieć godzina za godziną i nic nie robić. Nigdy przedtem nie byłem szczęśliwy; nie miałem czasu. Wciąż byłem w ruchu, a to nie bardzo sprzyja szczęściu. I to już się skończyło. Teraz będę tylko siedział i siedział, odpoczywał i odpoczywał, a potem jeszcze odpoczywał.

- Lecz co będzie z Willem i z dziećmiakami? - spytała z rozpaczą matka.

- A właśnie, z Willem i z dziećmiakami? - powtórzył.

Ale w głosie jego nie było goryczy. Z dawna wiedział o wysokich ambicjach matki co do przyszłości młodszego brata, ale już go to nie złościło. Nic już nie miało znaczenia, nawet to.

- Wiem, mamó, jakie miałaś zamiary co do Willa, posyłając go do szkoły: miał zostać buchalterem. Ale nic z tego; ja wyprzegam. Niech idzie do roboty.

- Na tom cię wychowała! - odparła z płaczem, unosząc fartuch, by znowu zakryć twarz, ale dała spokój.

- Wcaleś mnie nie wychowała - zauważył ze smętną łagodnością. - Sam się wychowałem, mamó, i Willa wychowałem również. On jest wyższy ode mnie i więcej waży. Jak byłem mały, pewnie za mało dostawałem jeść. Kiedy on przyszedł na świat i potem, gdy był jeszcze maleńki, ja już pracowałem i zarabiałem na papu także dla niego. Ale to się skończyło. Will może iść do roboty tak samo jak ja; zresztą, niech idzie sobie do piekła, mnie to mało obchodzi. Jestem zmęczony. Odchodzę. Czy nie pożegnasz się ze mną?

Nie odpowiedziała. Nakryła twarz fartuchem i płakała. Johnny zatrzymał się przez chwilę na progu.

- Przecież robiłam, co mogłam - szlochała matka.

Johnny wyszedł z domu i powędrował ulicą. Błady promyk radości zajaśniał na jego twarzy, kiedy mijał samotne drzewo.

- Teraz już nic nie będę robił - powiedział cicho. Spojrzał tęsknie ku niebu, ale rozjarzone słońce oślepiło go swym blaskiem.

Puszczął się w daleką drogę, kroczył powoli. Wypadło mu przejść obok przędzalni.

Przytłumiony huk sali warsztatowej obił się o jego uszy; chłopak uśmiechnął się. Był to uśmiech łagodny, dobroduszny. Johnny do nikogo nie żywił nienawiści, nawet do tych huczących, rozkołatanych maszyn. Nie było w nim goryczy, tylko jedno niepowstrzymane pragnienie wypoczynku.

Domy i fabryki malały stopniowo, a rosły wolne przestrzenie, w miarę jak oddalał się od miasta. Niebawem miał je już za sobą i skręcił w cieniistą alejkę obok toru kolejowego. Nie szedł jak człowiek. Nie wyglądał na człowieka. Był karykaturą ludzką. To jakiś skurczony, bezkształtny ochłap życia włókł się ciężko - niby chora małpa o zwisających ramionach, zgiętych plecach, wąskiej piersi - dziwaczny, groteskowy, straszny.

Minął mały przystanek kolejowy i położył się na trawie pod drzewem. Tak przetrwał całe popołudnie. Chwilami drzemał, a mięśnie kurczyły mu się podczas snu. Kiedy nie spał - leżał

bez ruchu, wodząc oczyma za ptakami albo patrząc w niebo poprzez rozpościerające się nad nim

gałęzie. Kilkakrotnie zaśmiał się głośno, ale śmiech ten nie miał żadnego związku z tym, co widział lub odczuwał.

O zmierzchu jakiś pociąg towarowy z hałasem wpadł na stację. Kiedy parowóz przetaczał

wagony na boczny tor, Johnny przekradł się wzdłuż pociągu. Otworzył drzwiczki pustego wagonu. Mozolnie i niezgrabnie wsunął się do wnętrza. Zatrzasnął drzwi. Parowóz zagwizdał.

Johnny leżał wyciągnięty jak długi i uśmiechał się w mroku.

Przełożył Gabriel Karski

Wyznanie

Wstanie Nevada mieszka kobieta, którą okłamywałem kiedyś wytrwale, konsekwentnie i bezwstydnie przez dobre kilka godzin. Nie mam zamiaru przeproszać jej za to. Broń Boże. Ale chciałbym sprawę wyjaśnić. Niestety, nie znam nazwiska tej kobiety ani jej obecnego adresu.

Jeśli więc przeczyta moje wspomnienia, bardzo proszę, by napisała do mnie.

Zdarzyło się to w mieście Reno, stan Nevada, latem 1892 roku. Dzień był jarmarczny i w Reno roiło się od złodziejasków i przeróżnych wydrwigroszy, nie mówiąc już o nieprzebranych hordach wygłodzonych trampów, które do cna objadły miasto. Głodne bractwo poty nachodziło mieszkania obywateli i stukało do drzwi kuchennych, póki te drzwi nie zamknęły się przed nimi na cztery spusty.

“Chudym miastem” nazywało się wówczas Reno w języku trampów. Pamiętam, że ominęło mnie tam wiele obiadów, chociaż niezgorzej umiałem zbierać datki, gdy mi wypadło chodzić po domach i przymawiać się o “wałówkę” lub zaproszenie do stołu albo gdym na ulicy wyciągał rękę po parę centów. Już tak mnie bieda przycisnęła, że pewnego dnia kiwnąłem konduktora salonki, którą podróżował jakiś milioner, i wtargnąłem do środka. Pociąg właśnie ruszał. Wskoczyłem na platformę i kropnąłem się prosto do wyżej wspomnianego bogacza.

Konduktor deptał mi po piętach. Wynik był remisowy, bo dopadłem krezusa właśnie w chwili, gdy konduktor dopadł mnie. Nie było czasu na ceremonie towarzyskie.

- Dwie dychy na kawałek chleba, prędko! - wypaliłem.

Na to - słowo uczciwości - milioner sięga do kieszeni i daje mi... okrągłe dwie dychy.

Jestem głęboko przekonany, że był to prosty odruch, bo facet zbaraniał. Długo potem nie mogłem odżałować, że nie poprosił o dolara. Dałby na pewno. Zeskoczyłem z platformy salonki. Fagas chciał mi koniecznie wymierzyć kopniaka w twarz. Ale chybił. Nie jest do pozazdroszczenia sytuacja człowieka, który chce zeskoczyć z najniższego stopnia wagonu i nie złamać przy tym karku, jeśli w tym samym czasie rozgniewany Etiop stoi na platformie i z tej wysokiej pozycji usiłuje gwizdnąć go w twarz butem numer jedenście. W każdym razie dwie dychy dostałem. Dostałem!

Wróćmy jednak do kobiety, którą tak bezwstydnie okłamałem. Było to wieczorem ostatniego dnia

meego pobytu w Reno. Poszedłem zobaczyć wyścigi kucyków na torze i przegapiłem obiad (ściślej mówiąc, posiłek w południe). Chciało mi się jeść, a tu jak na złość zorganizowano właśnie ochotniczą policję obywatelską, której zadaniem było wysiudać z miasta takich głodomorów jak ja. Stróżę porządku przyskrzynili już wielu moich braci trampów.

Słyszałem więc wołanie słonecznych dolin Kalifornii, wzywających mnie zza mroźnych grzbietów gór Sierra. Pozostało mi dokonać dwóch czynów, zanim otrząsnę pył Reno ze swych trzewików. Trzeba było wieczorem uczepić się ślepego bagażowego w pociągu transkontynentalnym idącym na zachód. Ale przedtem należało coś przekąsić. Nawet bowiem człowiek tryskający młodością musi się wzdrygnąć przed całonocną podróżą o suchym pysku, podróżą na świeżym powietrzu pociągiem, który prując przestrzeń gna wąskim korytem między zaspami, przez tunele, wśród wiecznych śniegów na niebotycznych szczytach górskich.

Ale przegryźć co nieco wcale nie było łatwo. W co najmniej dziesięciu domach odprawiono mnie z kwitkiem. Bywało i tak, że spotykały mnie obelżywe aluzje, na przykład informacje o domu za kratkami, gdzie mogę znaleźć najbardziej dla mnie odpowiednie miejsce pobytu. Sęk w tym, że tego rodzaju zapewnienia aż nazbyt bliskie były prawdy. Właśnie dlatego postanowiłem machnąć się wieczorem na zachód. Ramię prawa działało w mieście, gorliwie wyłuskując głodnych i bezdomnych, bo właśnie na nich czekały pokoje w pewnym ogrodzonym gmachu.

W niektórych domach zatraskiwano mi drzwi przed nosem, nie chcąc wysłuchiwać do końca uprzejmej i pokornej prośby o kawałek chleba. A w jednym domu wcale nie otwierali. Stałem na ganku i stukałem do drzwi, a oni patrzyli na mnie przez okno. Podnieśli nawet na rękach dobrze odkarmionego basalyka, żeby zobaczył, zza pleców dorosłych członków rodziny, trampa, który figę dostanie do jedzenia w ich domu.

Wyglądało na to, że trzeba będzie poprosić najbiedniejszych mieszkańców miasta, aby mi dali jeść. Nędzarze są ostatnią i niezawodną deską ratunku dla głodnego trampa. Zawsze można liczyć na ich pomoc. Nigdy nie wygnają człowieka proszącego o chleb. Nie raz i nie dwa w całych Stanach Zjednoczonych odmawiano mi pożywienia w wielkim domu na wzgórzu; zawsze mnie nakarmiono nad strumykiem lub bagnem, w nędznym domku o wybitych oknach zatkanym szmatami, gdzie mieszka kobiecina o zmęczonej twarzy, przygarbiona od ciężkiej pracy. O filantropowie! Idźcie między biedaków i uczcie się, albowiem tylko oni są miłosierni.

Nędzarz nie może się podzielić tym, co mu zbywa, ani odmówić komuś części swych zapasów. Nędzarz sam ma niewiele. Daje, i nigdy nie odmawia, z tego, co mu jest niezbędne i czego jakże często sam okrutnie potrzebuje. Kość rzucona psu to nie dobrodziejstwo.

Prawdziwym miłosierdziem jest kość, którą dzielisz się z psem, gdy jesteś tak samo jak on głodny.

Dobrze pamiętam jeden dom, z którego przepędzono mnie owego wieczoru. Okna jadalni wychodziły na taras. Przez te okna zobaczyłem mężczyznę zajadającego pasztet w cieście, wielki pasztet w cieście. Stałem w otwartych drzwiach. Mężczyzna w czasie rozmowy ze) mną bez przerwy jadł. Dobrze mu się wiodło, a powodzenie nauczyło go niechętnie spojrzeć na bliźnich, z którymi los gorzej się obszedł.

Prośbę o coś do zjedzenia facet z miejsca uciął.

- A pracować nie łaska? - prychnął.

Cóż to miało do rzeczy? Ani słowem nie wspomniałem o pracy. Tematem rozmowy, jaką z nim nawiązałem, było: "jeść". Istotnie, nie miałem zamiaru pracować. Chciałem tylko złapać wieczorem transkontynentalny idący na zachód.

- Nie wzięłbyś się do roboty, gdyby się trafiła okazja? - przypierał mnie do muru.

Zerknąłem na dobrotliwą twarz żony faceta i zrozumiałem, że gdyby nie obecność tego cerbera, już bym podjadał pasztet. Na razie cerber dalej go wtrajał. Zrozumiałem, że muszę gościa ugłaskać, jeśli chcę, by mnie dopuścił do spółki. Lekko tedy sobie westchnąłem i przyjąłem jego religię pracy.

- Jasne, że chcę pracować - zalałem.

- Bujda! - parsknął.

- Może pan to sprawdzić - odparłem brnąc dalej.

- Pięknie - odpowiada tamten. - Przyjdź jutro rano na róg ulicy takiej i takiej - (zapomniałem, gdzie to miało być). - Tam gdzie stoi spalony dom, wiesz? Dam ci pracę. Będziesz ładował

cegły.

- Dobrze, łaskawy panie. Przyjdę.

Chrząknął i znów wziął się do pasztetu. Czekałem. Po kilku minutach podniósł wzrok znad talerza, z miną, która miała oznaczać: "Myślałem, żeś już poszedł" - i zapytał: - He?

- Cze... czekam na kawałek chleba - odparłem grzecznie.

- A nie mówiłem, że ci się nie chce pracować? - huknął na mnie. Miał, oczywiście, rację. Ale aby dojść do tego wniosku, musiał czytać w moich myślach, bo logika wskazywała na co innego. Atoli żebrak stojący u drzwi winien być pokorny, przystałem więc na jego logikę, tak jak przedtem przyjąłem jego religię.

- Widzi pan, jestem głodny - powiedziałem z niezmienną uprzejmością. - A jutro rano będę jeszcze głodniejszy. Proszę pomyśleć, jak mi się będzie chciało jeść, gdy przyjdzie przez cały dzień rzucać cegły, a nic nie włożę do ust. Otóż, gdyby mi pan teraz dał coś przekąsić, tobym jutro miał krzepę do tych cegieł.

Poważnie zastanowił się nad moją prośbą, nie przestając jeść, podczas gdy jego żona najwyraźniej miała ochotę wstawić się za mną. Ale milczała.

- Powiem ci, co zrobimy - odezwał się pan domu między jednym kęsem a drugim. -

Przyjdiesz jutro do pracy, a w południe dam ci zaliczkę i będziesz miał na obiad. W ten sposób zobaczymy, czy masz poważne zamiary, czy nie.

- A tymczasem... - zacząłem, ale mi przerwał.

- Gdybym ci teraz dał jeść, nigdy więcej bym cię nie ujrzał. O, znam takich. Popatrz na mnie.

Nic nikomu nie jestem winien. Nigdy nie upadłem tak nisko, żeby prosić kogo o kawałek chleba. Zawsze sam zarabiałem na siebie. Bieda w tym, żeś jest próżniak i ladaco. Masz to wypisane na gębie. A ja pracowałem i byłem uczciwy. Tylko dzięki samemu sobie wyszedłem na ludzi. Ty też możesz dojść do tego uczciwością i pracą.

- Pańską uczciwością? - zapytałem.

Niestety, promyk humoru nigdy nie przebił mroków zapracowanej duszyczki tego człowieka.

- Tak, moją - odrzekł.

- I każdy może dojść?

- Tak, każdy. - Powiedział to z głębokim przekonaniem.

- Jeśli jednak my wszyscy upodobnimy się do pana, kto będzie ładował cegły, pozwoli pan, że się o to zapytam?

Przysięgam, że w oczach jego żony błysnęła iskierka wesołości. Ale pan domu przeraził się -

czy jednak trwogą zdjęła go perspektywa strasznych reform społecznych, przez które nie mógłby znaleźć amatora do noszenia cegieł, czy też winna była moja bezczelność, nigdy już się nie dowiem.

- Nie będę tu rzucał grochem o ścianę! - ryknął. - Wynocha, ty niewdzięczny smarkaczu!

Szurgnąłem nogami na znak, że już idę, i zapytałem:

- To nie dostanę nic do jedzenia?

Zerwał się na równe nogi. Chłop był barczysty. Czuję się nieswojo w tych obcych mi stronach, ścigany przez prawo. Dałem nogę. "Ale czemu niewdzięczny?" - pytałem sam siebie, trzasnąwszy furtką. "Cóż, u licha ciężkiego, mi dał, żebym miał być mu wdzięczny?" Obejrzałem się. Jeszcze go było widać przez okno. Wrócił do pasztetu.

Po ostatniej wizycie całkiem upadłem na duchu. Miąłem wiele domów, do żadnego nie ośmieliłem się zapukać. Wszystkie były pod jeden strychulec i wygląd ich nic dobrego nie wróżył. Kiedy miąłem pół tuzina przecznic, otrząsałem się z przygnębienia i wziąłem się w garść. Całe to zebranie o chleb było grą, jeśli więc karta mi nie szła, można było przetasować talię i rozdać karty na nowo. Postanowiłem zahaczyć najbliższy dom. Robiło się już ciemno, gdy obszedłem dom i stanąłem przed kuchennym wejściem.

Zapukałem cichutko. W drzwiach stała kobieta w kwiecie wieku. Ledwie ujrzał jej pocziwą twarz, spłynęło na mnie natchnienie - już znałem historyjkę, jaką jej opowiem.

Trzeba bowiem wiedzieć, że od zdolności opowiedzenia dobrej bajki zależy powodzenie żebraka. Musi on z miejsca, bez chwili zwłoki "rozgryźć" swą ofiarę i opowiedzieć bajkę ściśle dostosowaną do jej indywidualności i temperamentu. I właśnie tutaj powstaje największa trudność: w momencie "rozgryzania" trzeba już zacząć opowieść. Nie ma ani chwili do namysłu. Niczym w blasku błyskawicy trzeba ujrzyć charakter ofiary i wymyślić opowiastkę, która by pasowała do niej jak ulał. Dobry tramp musi być artystą. Tworzy spontanicznie, na poczekaniu, i to nie na temat wybrany ze skarbca swej wyobraźni, lecz musi wysnuć wątek, jaki odczytał z twarzy osoby, która otworzyła drzwi, mężczyzny, kobiety lub dziecka, osoby delikatnej lub opryskliwej, szczodrej lub sknery, pocziwej lub nieżyczliwej, Żyda lub goja, czarnego albo białego, mającego uprzedzenia rasowe albo brata wszystkich ludzi, prowincjała albo obywatela świata, itd., itd. Nieraz przychodziło mi na myśl, że właśnie zaprawie z okresu włóczęgi w znacznej mierze zawdzięczam powodzenie jako nowelista. Aby zdobyć kawałek chleba i utrzymać się przy życiu, zmuszony byłem opowiadać historie tchnące prawdą. Pod kuchennymi drzwiami z nieubłaganej konieczności wyrosła owa sugestywność i szczerłość, jakiej wszystkie powagi literackie domagają się od sztuki nowelistycznej. Doprawdy, wierzę, iż rzemiosło włóczęgi zrobiło ze mnie realistę. Realizm bowiem jest jedynym towarem, jaki można przy drzwiach kuchennych wymienić na jedzenie.

Ostatecznie sztuka to tylko doprowadzone do perfekcji oszustwo. Często jedynie dzięki chytrym sztuczkom można uratować swe opowiadanie. Pamiętam, jak łągałem na posterunku policji w Winnipeg, w prowincji Manitoba. Jechałem na zachód linią Canadian Pacific.

Naturalnie policjanci chcieli się czegoś o mnie dowiedzieć, więc opowiedziałem im swój życiorys - wytrząsałem go z rękawa. Były to szczury lądowe, żyjące w samym sercu kontynentu, cóż tedy lepiej do nich pasowało, jak właśnie morska opowieść? Na tym ani rusz nie mogli mnie złapać. Wobec czego opowiedziałem im rzewną historię o piekle, jakim było moje życie na statku-katordze, który zwał się "Glenmore". (Kiedyś widziałem "Glenmore" na kotwicy w zatoce San Francisco.)

Powiedziałem, że jestem Anglikiem i służyłem na statku jako chłopiec okrętowy. Na to oni, że nie mam wymowy angielskiej. Trzeba było wymyślić coś na poczekaniu. Urodziłem się i wychowałem w Stanach Zjednoczonych. Po śmierci rodziców wysłano mnie do dziadków w Anglii. Właśnie oni mnie oddali w służbę na "Glenmore". Mam nadzieję, że kapitan "Glenmore" wybaczy mi to, co na niego nagadałem w ów wieczór na posterunku policji w Winnipeg. Jakiż okrutnik! Co za brutal! Jaka szatańska pomysłowość w torturach! To wyjaśniało przyczynę mojej ucieczki z "Glenmore" w Montrealu.

Czemu jednak znalazłem się w samym środku Kanady, w drodze na zachód, jeśli moi dziadkowie mieszkają w Anglii? Niewiele myśląc stworzyłem sobie siostrę mężatkę, zamieszkałą w Kalifornii. Siostra się mną opiekuje. Szeroko rozwiodłem się nad jej złotym sercem. Ale nie zadowoliło to moich policjantów, którzy serca mieli z kamienia. Zaokrętowałem się na "Glenmore" w Anglii. A w ciągu dwóch lat, jakie poprzedziły moją ucieczkę w Montrealu

- co porabiał "Glenmore" i gdzie bywał? Wobec tego zabrałem tych szczurów lądowych w podróż dookoła świata. Miotani przez wzburzone żywioły, pod chłostą morskiej piany, stawiali wraz ze mną

czoło tajfunowi u brzegów Japonii. Ładowali i wyładowywali ze mną statek we wszystkich portach Siedmiu Mórz. Wziąłem ich z sobą do Indii, Rangun, Chin, przebijaliśmy, się wraz przez góry lodu wokół przylądka Horn, aż wreszcie przycumowaliśmy w Montrealu.

Wtedy powiedzieli, żebym chwilę poczekał. Jeden policjant wyszedł w ciemną noc. Grzałem się przy piecu i przez cały czas łamałem sobie głowę, jaką jeszcze pułapkę na mnie zastawiają.

Jęknąłem w duchu, gdy ujrzałem go w drzwiach za plecami policjanta. Nie cygańska elegancja kazała mu przekłuć uszy cienkimi złotymi obrączkami ani wiatry hulające po prerii osmagały mu twarz i okryły ją siatką zmarszczek, nie zamieć śnieżna i nie stoki górskie rozkołysały mu krok na jakże mi znany sposób. A w oczach, gdy na mnie spojrzeli, zobaczyłem, że ponad wszelką wątpliwość splukało je słońce Mórz Południowych. Ale temat sobie wybrałem! Pół

tuzina policjantów nie spuści ze mnie oka, gdy będę opowiadał - ja, który nigdy nie żeglowałem po morzach chińskich, nigdy nie okrążyłem przylądka Horn, nie widziałem na własne oczy ani Indii, ani Rangun.

Rozpacz mnie ogarnęła. Wcielony w ogorzałego od słońca i wiatrów syna morza ze złotymi kolczykami w uszach, czyhał na mnie zły los. Kim on jest? Czym jest? Muszę go przejrzeć na wylot, zanim on mnie rozłupie. Muszę wziąć nowy kurs, inaczej ci hultaje policjanci sami wyznaczą mi kurs na celę, sąd policyjny i miejsce, gdzie cel jest mnóstwo. Jeśli matros zacznie mnie wypytywać, zanim się zorientuję, co on w ogóle wie - jestem zgubiony.

Czy jednak zdradziłem rysiookim stróżom porządku publicznego miasta Winnipeg, w jak rozpaczliwym znalazłem się położeniu? O nie! Powitałem sędziwego marynarza z roziskrzonymi ze szczęścia oczami, udając, jak mogłem najlepiej, że na widok mego wybawcy doznałem podobnej ulgi jak tonący, który ostatkiem sił rozpaczliwie czepił się pasa ratunkowego. Oto człowiek znający się na rzeczy, który stanie przed tą sforą tępych wężycieli i zaświadczy, że mówię szczerą prawdę. W każdym razie to właśnie starałem się zagrać.

Uczepiłem się faceta i zasypałem pytaniami dotyczącymi jego osoby. Jakbym chciał swoim sędziom pokazać, kim jest mój wybawca, zanim mnie uratuje.

Był to zacy marynarz. Jak to mówią - dusza człowiek. Gdy go brałem na spytki, policjanci zaczęli się niecierpliwić. Wreszcie jeden z nich kazał mi zamknąć buzię. Zamknąłem, ale milcząc pracowałem twórczo, to znaczy pilnie szkicowałem akt drugi. Materiał zebrałem wystarczający. Marynarz był Francuzem. Stale pływał na francuskich statkach handlowych i tylko jeden rejs odbył na okręcie brytyjskim. Wreszcie - Bogu za to niech będzie chwała! - od dwudziestu lat nie był na morzu.

Policjant przynaglił go, żeby zaczął egzamin.

- Byłeś w Rangunie? - spytał marynarz.

Skinąłem głową.

- Wysadziliśmy tam na brzeg bosmana. Febra.

Gdyby zapytał, jaka febra, odparłbym: “gastryczna”, choć zielonego pojęcia nie miałem, co znaczy “gastryczna”. Ale nie zapytał. Za to następne pytanie brzmiało:

- Jakże tam Rangun?
- A owszem. Lało jak z cebra, kiedyśmy tam byli.
- Dostałeś przepustkę na ląd?
- Ma się rozumieć - odparłem. - Wybraliśmy się w trójkę. Trzech chłopców okrętowych.
- Pamiętasz świątynię?
- Jaką świątynię? - odparowałem.
- A tę wielką, u szczytu schodów.

Gdybym pamiętał, trzeba by ją opisać. Przepaść otwarła się przede mną. Kiwnąłem przecząco głową.

- Widać ją z każdego miejsca w porcie - poinformował mnie stary marynarz. - Nie trzeba dostać przepustki, żeby ją ujrzeć.

Jak żyję, do żadnej świątyni nie czułem takiej odrazy. Całą mą nienawiść skupiłem na tej świątyni w Rangunie.

- Nie ujrzysz jej pan z portu. Nie zobaczysz z miasta. I nawet ze szczytu schodów nic nie widać. Bo...
- Tu zrobiłem pauzę dla spotęgowania efektu. - Bo nie ma tam żadnej świątyni.
- Toć widziałem ją na własne oczy! - zawołał.
- W którym roku?
- Siedemdziesiątym pierwszym.
- Zawaliła się podczas wielkiego trzęsienia ziemi w roku 1887 - wyjaśniłem. - Bardzo była stara.

Nastała cisza. Marynarz natężył wzrok. Jego stare oczy chciały wskrzesić młodzieńczą wizję pięknej świątyni nad morzem.

- Schody jeszcze tam stoją - pocieszyłem starego. - Widać je z każdego miejsca w porcie. A pamięta pan tę malutką wysepkę po prawej ręce, gdy się wpływa do portu?

Najwidoczniej była tam taka wysepka (już byłem gotów przesunąć ją na lewo), bo facet skinął głową.

- Poszła na raki - powiedziałem. - Jest tam teraz siedem sążni głębokości.

Zyskałem na czasie, mogłem odsapnąć. Kiedy rozmyślał, jak to czas wszystko zmienia, zapinałem swoją historię na ostatni guzik.

- Pamięta pan komorę celną w Bombaju? Pamiętał.

- Doszczętnie spalona - obwieściłem.

- A pamiętasz Jima Wana? - znów mnie zahaczył.

- Nie żyje - powiedziałem. Ki diabeł był ten Jim Wan, zielonego pojęcia nie miałem.

Znowu stąpałem po cienkim lodzie.

- A pamięta pan Billy Harpera w Szanghaju? - zapytałem szybko. Stary majtek wyteżał

mózgownicę, ale w swej przywiedłej pamięci nie odnalazł Billy Harpera, dziecka mej wyobraźni.

- Jakże to, Billy Harpera pan nie pamiętasz? - nalegałem. - Każdy go zna. Spędził tam czterdzieści lat. Ba, jest tam do dziś. O to chodzi!

Wówczas stał się cud. Marynarz przypomniał sobie Billy Harpera. A może istniał Billy Harper, może spędził czterdzieści lat w Szanghaju i jeszcze tam żyje - w każdym razie nic dotąd o nim nie wiedziałem.

Jeszcze przez całe pół godziny rozmawialiśmy, marynarz i ja, w podobnym duchu. W końcu oświadczył policjantom, że jestem tym, za kogo się podaję. Przenocowałem u nich, dostałem śniadanie i zostałem zwolniony, bym mógł powędrować na zachód, do zamężnej siostry w San Francisco.

Wróćmy jednak do kobiety w Reno, która otworzyła mi drzwi, gdy zapadał zmrok. Od pierwszego spojrzenia na jej miłą twarz wszedłem w swą rolę. Zrobiłem się niewinnym barankiem, nieszczęsnym chłopczyną. Odebrało mi mowę. Otwarłem usta i zaraz je zamknąłem. Nigdy w - życiu nie prosiłem jeszcze o kawałek chleba. Byłem okrutnie, bezgranicznie zmieszany i zawstydzony. Ja, który zebraninę uważałem za rozkoszne igraszki, przedzierzgnąłem się w nieodrodnego synka pani Grundy, [uosobienie pruderii] dziedzicznie obciążonego całą jej mieszczańską moralnością. Jedyne fakt, że kiszki mi marsza grały, mógł

mnie zmusić do czegoś równie poniżającego i niegodnego jak prośba o wsparcie. Starłem się przybrać minę bladej i słabiutkiej nadziei, jaką żywi wygłodniały młodzieniaszek, niezwykle do wyciągania ręki,

- Jesteś głodny, biedaczku - powiedziała.

Szło mi o to, żeby ona zagaiła.

Skinąłem głową i przełknąłem łzy.

- Pierwszy raz w życiu... proszę o wsparcie - wyjąłem.

- Chodźże, chodź. - Drzwi szeroko się otwarły. - Właśnie skończyliśmy kolację, ale ogień się jeszcze pali i zaraz coś się zrobi dla ciebie.

Kiedy stanąłem w świetle, przyjrzała mi się uważnie.

- Gdybyż to mój synek był taki zdrow i silny jak ty - oświadczyła. - Ale słabe jest moje dziecko.

Upada czasem na podłogę. Właśnie dziś po południu upadł biedaczek i strasznie się potłukł.

Tyle w jej głosie było matczynej troski i niewysłowionej tkliwości, że zapragnąłem, aby i mnie wzięła pod swe skrzydła. Spojrzałem na chłopczyka. Siedział po drugiej stronie stołu, szczupły i blady, z zabandażowaną głową. Nie poruszył się, tylko wybałuszył oczy, błyszczące w świetle lampy, i gapił się na mnie z jakimś tępympo uporem i niezmiernym zdziwieniem.

- Całkiem jak mój biedny tatuś - powiedziałem. - Miał padaczkę. To zawrót głowy czy coś takiego. Doktorzy nic z tego nie rozumieli. Nijak nie mogli dojść, co mu właściwie jest.

- Umarł? - zapytała cicho, stawiając przede mną pół tuzina jajek na miękko.

- Umarł - chlipnąłem. - Dwa tygodnie temu. Na moich oczach. Razem przechodziliśmy na drugą stronę ulicy. Runął jak długi. Nie odzyskał już przytomności. Ludzie zanieśli go do apteki. Tam wyzionął ducha.

Z tego wysnułem żałosne dzieje mojego ojca - jak to po śmierci mamy opuściliśmy ranczę i przyjechali do San Francisco, jak jego emerytura (był weteranem) i skromne oszczędności, jakie uciulał, nie wystarczały nam na życie, jak próbował sprzedawać książki po domach.

Opowiedziałem też o własnej niedoli, gdy po jego śmierci kilka dni spędziłem sam jak palec na ulicach San Francisco. Zaczynała odgrzewać grzanki, smażyła bekon i gotowała nowe jajka, a ja dotrzymywałem jej kroku, biorąc pod swoją opiekę wszystko, co po - stawiała przede mną, i równocześnie dodawałem kolorów portretowi biednego sieroty i wzbogacałem go detalami. Sam już byłem tym biednym sierotą. Wierzyłem w niego tak samo, jak wierzyłem w jajka, które pożerałem. Mógłbym płakać nad sobą. Pamiętam, że chwilami płacz ścisnął mi gardło. To robiło duże wrażenie.

Istotnie, ilekroć dołożyłem barwy mojemu obrazowi, zaczynała dusza też mi coś dokładała.

Przygotowała mi drugie śniadanie na drogę. Do paczki włożyła jajka na twardo, pieprz, sól, różne rzeczy i wielkie jabłko. Zaopatrzyła mnie w trzy pary grubych, czerwonych skarpet wełnianych. Dała mi czyste chusteczki i sam już nie pamiętam, co jeszcze. A przez cały czas bez przerwy coś gotowała, ja zaś bez przerwy jadłem. Opychałem się jak dziki. Ale czekała mnie daleka droga przez Sierra w ślepym bagażowym i nie wiedziałem, kiedy i gdzie znowu coś zjem. I przez cały czas, niczym nieboszczyk na własnej stypie, niemy i sztywny, jej nieszczęsny synal siedział naprzeciw i gapił się przez stół na mnie. Pewnie byłem dla niego uosobieniem tajemnicy, romantyki, przygody - tego wszystkiego, na co nie pozwalał mu wąty promyk życia, jaki się w nim tlił. A przecież raz czy dwa razy nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że on mnie przejrzał aż do dna mojej zakłamanej duszy.

- Gdzie ty jedziesz? - zapytała kobieta.

- Do Salt Lake City - odparłem. - Mam tam siostrę, mężatkę.

(Zastanawiałem się, czy zrobić z niej mormonkę, [amerykańska sekta religijna] lecz zdecydowałem, że nie.) - Jej mąż prowadzi przedsiębiorstwo instalacyjno-kanalizacyjne.

W tej chwili zorientowałem się, że instalatorzy uważani są za ludzi zbijających ciężkie pieniądze. Ale słowo się rzekło. Trzeba było wprowadzić poprawkę.

- Przysłałiby mi pieniądze na drogę, gdybym ich o to poprosił - wyjaśniłem. - Ale była u nich choroba i mieli kłopoty z przedsiębiorstwem. Szwagra oszukał wspólnik. Więc nie chciałem pisać o pieniądze. Wiedząc, że jakoś tam się dostanę, dałem im do zrozumienia, że mi wystarczy na drogę. Siostra jest cudna i taka dobra. Zawsze mnie kochała. Pewnie zaczną pracować u szwagra i nauczę się zawodu. Siostra ma dwie córki. Młodsze ode mnie. Jedna to jeszcze maleństwo.

Ze wszystkich zameżnych sióstr, jakie posiadałem po różnych miastach Stanów Zjednoczonych, ta z Salt Lake City jest moją ulubienicą. To całkiem prawdziwa osoba. Ilekroć mówię o niej, widzę ją, obie córeczki i męża instalatora. Siostra jest roslą kobietą, mateczką, która pulchnieje dobrodusznie, z tych, co to - jak wiecie - świetnie gotują i nigdy się nie gniewają. Brunetka. Jej mąż jest zgodnym i niefrasobliwym facetem. Czasem zdaje mi się, że dobrze go znam. Może kiedyś się spotkamy, któż to wie? Jeśli ów stary marynarz mógł

przypomnieć sobie Billy Harpera, nie widzę powodu, abym ja pewnego dnia nie spotkał męża mojej siostry, która mieszka w Salt Lake City.

Natomiast jestem dziwnie spokojny, że nigdy nie spotkam na tym świecie moich licznych rodziców i dziadków - albowiem, jak by to rzec, systematycznie ich uśmiercałem. Choroba serca była moim ulubionym sposobem pozbywania się matki, chociaż tu i ówdzie załatwiałem się z nią za pomocą suchot, zapalenia płuc i tyfusu. Faktem jest, a mogą zaświadczyć o tym policjanci z Winnipeg, że żyli jeszcze moi dziadkowie w Anglii. Ale to było dawno i śmiało można przyjąć, że już leżą w grobie. W każdym razie nie pisali do mnie.

Mam nadzieję, że zacna kobieta z Reno przeczyta to, co tu napisałem, i daruje mi, że byłem taki niecnota i kłamczuch. Nie przepraszam, bo się nie wstydzę. Młodość, radość życia, żądza przygód przywiodły mnie do jej drzwi. Wyszło mi to na dobre. Zrozumiałem, że ludzie w głębi serca są dobrzy. Spodziewam się, że i jej to nie zaszkodziło. W każdym razie dzisiaj, gdy się dowie, jak to było naprawdę, z pewnością serdecznie się uśmieje.

Dla niej moja opowieść była prawdziwa. Wierzyła mi i wierzyła w całą moją rodzinę. Bardzo się bała, żeby mi się co nie stało w czasie niebezpiecznej podróży, nim dobrnę do Salt Lake City. Ten jej niepokój o mało nie wpędził mnie w biedę. Już się żegnałem, dźwigając oburącz wałówkę, a kieszenie wypychały mi grube skarpety, gdy przypomniała sobie bratanka, wuja czy jakiegoś innego krewniaka, poczciarza, który jeździł wagonem pocztowym i co więcej, miał

wyruszyć z Reno właśnie tego wieczoru i tym samym pociągiem, którym ja chciałem jechać na gapę. A to się złożyło! Zaprowadzi mnie na stację, opowie kuzynowi moją historię i namówi go, żeby mnie ukrył w wagonie pocztowym. W ten sposób, bez ryzyka i niewygód, dojadę prosto jak strzelił do Ogden. Salt Lake City leży zaledwie parę mil dalej. Serce mi omdlało. Niewiasta w miarę rozwijania swego planu coraz bardziej się rozgrzewała, a ja, z omdlałym sercem, musiałem udawać bezgraniczną radość i entuzjazm z powodu tak szczęśliwego końca wszystkich moich kłopotów.

Ładny mi koniec! Przecież miałem wieczór pojechać na zachód, a tutaj pchają mnie na wschód. Wpadłem, ale nie miałem serca powiedzieć jej, że wszystko, od początku do końca, było bezwstydnym kłamstwem. Udawałem więc wniebowziętego, a równocześnie głowiłem się, jak by tu umknąć. Nie było sposobu. Odprowadzi mnie do wagonu pocztowego - sama tak powiedziała - a potem jej krewniak przewiezie mnie do Ogden. A potem będę wracał

przedzierając się setki mil przez pustynię.

A jedna' miałem szczęście owego wieczoru. Już chciała włożyć kapelusz i pójść ze mną, gdy się połapała, że jest w błędzie. Jej krewny, urzędnik pocztowy, nie pojedzie dzisiaj. Zmieniono przecież plan wyjazdów. Wyruszy dopiero pojutrze wieczór. Byłem ocalony, naturalnie moja niepohamowana młodość nigdy by mi nie pozwoliła czekać całe dwa dni. Z wielkim optymizmem zapewniłem niewiastę, że prędzej dostanę się do Salt Lake City, jeśli wyjadę natychmiast. Wyszedłem, a w uszach brzmiały mi jej błogosławieństwa i życzenia wszystkiego najlepszego.

Ale te wełniane skarpetki były wspaniałe. Wiem coś o tym. Miałem jedną parę na sobie owej nocy w ślepym bagażowym transkontynentalnego, który pędził na zachód.

Przełożył Kazimierz Piotrowski

Jak mnie przymknęli

Do miasta Niagara Falls przybyłem w "pulmanie z bocznym wejściem", czyli - mówiąc po prostu - w krytym wagonie towarowym. Platforma znana jest wśród włóczęgów pod nazwą

"gondoli" (drugą zgłoskę wymawia się przeciągle i z naciskiem). Ale do rzeczy. Przyjechałem po południu i prosto z dworca udałem się do wodospadów. Na widok cudownego obrazu wód spadających w przepaść zapomniałem o całym świecie. Nie mogłem oderwać się stamtąd, choć dawno już należało rozejrzeć się gdzieś za kolacją. Nawet zaproszenie do stołu nie zdołałoby odciągnąć mnie od kontemplacji. Nadeszła noc, przepiękna noc księżycowa. Minęła jedenasta, a ja wciąż jeszcze trwałem przy wodospadach. Wreszcie trzeba było jednak pomyśleć o znalezieniu miejsca, gdzie można by "klapnąć", "kimnąć", "zaryć się", "stulić uszy", co w języku włóczęgów znaczy jedno i to samo: spać. Miałem niejasne przeczucie, że Niagara Falls jest niedobre dla łazików, toteż wyszedłem umyślnie poza jego obręb, na wieś.

Przeleżałem przez jakiś płot i zaryłem się w czystym polu. "Władza" nie znajdzie mnie tu na pewno - pochlebiałem sobie. Położyłem się na wznak w trawie i zasnąłem jak dziecko. Było tak rozkosznie ciepło, że spałem bez przebudzenia. Z pierwszym jednak braskiem ocknąłem się i natychmiast stanęły mi w oczach czarodziejskie wodospady. Znowu przeskoczyłem płot i ruszyłem drogą, by

jeszcze raz je zobaczyć. Godzina była najwyżej piąta, a przed ósmą nie wypadało prosić o śniadanie. Całe trzy godziny mogłem spędzić nad rzeką. Niestety! Nie było mi sądzone ujrzeć więcej ani rzeki, ani wodospadów.

Miasto spało jeszcze. Idąc opustoszałą ulicą zauważyłem trzech mężczyzn, którzy kroczyli po chodniku na moje spotkanie. Wszyscy szli w jednym szeregu. Widocznie też łaziki -

pomyślałem. Przypuszczenie moje nie było jednak zupełnie trafne. Zawierało tylko sześćdziesiąt sześć i dwie trzecie procent prawdy. Dwaj mężczyźni maszerujący po bokach byli istotnie łazikami, ale nie ten w środku. Zeszedłem na bok, żeby ustąpić z drogi nieznamym trójcy. Ona jednak nie chciała mnie minąć. Środkowy coś powiedział i wszyscy stanęli. Zwrócił się do mnie.

W mgnieniu oka zrozumiałem sytuację. Był to łapacz i jego dwie ofiary. "Władza" wyruszyła o świcie na łowy i trafiła na zwierzynę. Ja byłem tą zwierzyną. Gdybym miał tyle doświadczenia co w parę miesięcy później, odwróciłbym się na pięcie i pognął jak szalony przed siebie.

Mógłby strzelać za mną, ale gdyby nie trafił, byłbym uratowany. W żadnym razie nie goniłby mnie, jako że lepsze dwa wróble w garści niż sroka na dachu. Ale cóż! Stałem jak głupi, kiedy na mnie krzyknął. Rozmowa nasza była krótka.

- W jakim hotelu pan mieszka? - zapytał.

Tu mnie złapał. Nie mieszkałem w żadnym, a ponieważ nie wiedziałem, jak nazywają się miejscowe hotele, nie mogłem twierdzić, że mieszkam w którymś z nich. Zresztą zbyt wcześnie pojawiłem się na ulicy. Wszystko przemawiało przeciw mnie.

- Dopiero co przyjechałem - oświadczyłem.

- No to proszę zawrócić i iść przed nami. Tylko nie za daleko. Ktoś chce się z panem zobaczyć.

Wpadłem. Wiadoma rzecz, kto chciałby mnie widzieć. Łapacz zaprowadził mnie i dwóch zatrzymanych włóczęgów do miejscowego więzienia. Tam nas zrewidowali i zapisali do odpowiednich rejestrów. Nie pamiętam już dzisiaj, pod jakim nazwiskiem mnie tam wciągnięto.

Podałem się za Jacka Drake, ale przy rewizji znaleziono u mnie listy adresowane do Jacka Londona. Wywołało to zamieszanie i potrzebę wyjaśnień, których zresztą dokładnie sobie nie przypominam. Do dziś dnia nie wiem, czy dostałem się do ula jako Jack Drake czy Jack London. Tak czy inaczej, figuruję niewątpliwie w rejestrach więziennych miasta Niagara Falls.

Można to sprawdzić. Chwycono mnie w drugiej połowie czerwca roku 1894. W kilka dni po moim aresztowaniu zaczął się wielki strajk kolejarzy.

Z kancelarii zaprowadzono nas do "hobo", pod klucz. "Hobo" to część więzienia, gdzie w wielkiej żelaznej klatce siedzą drobni przestępcy. Większość drobnych przestępców stanowią łaziki, czyli "hobo" - stąd nazwa klatki. Zastaliśmy tam już kilku włóczęgów, świeżo capniętych, poza tym co chwila otwierały się drzwi i do klatki wtrącano po dwóch, trzech nowych gości.

Nareszcie gdy zebrali nas szesnastu, zaprowadzili po schodach na górę, do sali sądowej.

Opiszę wiernie wszystko, co działo się w tej sali, bo moja duma obywatelska Amerykanina doznała tam nieuleczalnego wstrząsu.

W izbie sądowej zasiadło szesnastu oskarżonych, sędzia i dwóch oskarżycieli z ramienia szeryfa. Sędzia sam pisał protokół. Świadków nie było. Nie było też obywateli miasta Niagara Falls, którzy by mogli przekonać się, w jaki sposób wymierzano tu sprawiedliwość. Sędzia rzucił okiem na leżącą przed nim listę spraw i wywołał jakieś nazwisko. Wstał jeden z łazików.

Sędzia spojrzał na przedstawiciela szeryfa.

- Włóczęgostwo, Ekscelencjo - oświadczył przodownik.

- Trzydzieści dni - orzekł Ekscelencja.

Łazik siadł, po czym sędzia wywołał inne nazwisko i następna postać podniosła się z ławki.

Sprawa pierwszego trwała w przybliżeniu piętnaście sekund. Sprawa drugiego odbyła się z nie mniej błyskawiczną szybkością. Oskarżyciel oświadczył: "Włóczęgostwo, Ekscelencjo", Ekscelencja zaś odpowiadał: "Trzydzieści dni". I tak szło dalej jak w zegarku, po piętnaście sekund i trzydzieści dni na sztukę.

Co za potulne owieczki - myślałem z politowaniem. - Czekaście, niech przyjdzie kolej ,na mnie!

Zadam ja bobu Ekscelencji! Nagle, w toku procedury, przyszło Jego Ekscelencji do głowy udzielić głosu jednemu z podsądnych. Traf chciał, że wybór nie padł na prawdziwego włóczęgę. W niczym nie przypominał on cwane go zawodowca. Gdyby podszedł do nas w chwili oczekiwania na towarówkę przy stacyjnej wieży ciśnień - bez wahania zaliczylibyśmy go do "wesołych kotów". Wesoły kot to synonim żółtodzioba w krainie łazików. Ten nowicjusz był

już dość posunięty w latach, których mógł mieć około czterdziestu pięciu. Plecy miał przygarbione, a twarz zniszczoną przez niepogody.

Wiele lat - zeznawał - był woźnicą w jakimś przedsiębiorstwie (jeżeli się nie mylę, w Lockport, w stanie Nowy Jork). Interesy szły nietęgo i ostatecznie, w ciężkim roku 1893, firma padła.

Pracował tam do samego końca, chociaż ostatnio zajęcie stało się bardzo nieregularne.

Opowiadał rozwlekłe o niemożności znalezienia roboty przez kilka następnych miesięcy, kiedy to w całym kraju tak wielu było bezrobotnych. Na koniec doszedł do wniosku, że może prędzej znajdzie jakąś pracę nad Jeziorami, i wyruszył do Buffalo. Naturalnie był bez grosza i w ten sposób znalazł się tutaj. To było wszystko.

- Trzydzieści dni - zawyrokował Ekscelencja, po czym rzucił następne nazwisko.

Nowy łazik zerwał się z ławki.

- Włóczęstwo, Ekscelencjo - rzekł oskarżyciel, Ekscelencja zaś odrzekł:

- Trzydzieści dni.

I tak szło dalej - po piętnaście sekund i po trzydzieści dni na łazika. Maszyna sprawiedliwości działała sprawnie. Sędzia z powodu wczesnej pory pracował zapewne na czczo i dlatego się spieszył.

Krew Amerykanina zawrzała w moich żyłach. Stały za mną liczne pokolenia mych amerykańskich przodków. Jedną ze swobód, o którą walczyli i za którą umierali, było właśnie prawo do obrony przed sądem przysięgłych. To dziedzictwo, uświęcone ich krwią, wołało teraz, abym się za nim opowiedział. Nic to - odgrażałem się w duchu - niech tylko przyjdzie kolej na mnie.

Nadeszła. Moje nazwisko - jakkolwiek brzmiało - zostało wywołane i wstałem. Przedstawiciel szeryfa rzekł: - Włóczęstwo, Ekscelencjo - ja zaś zacząłem mówić. Sędzia jednak powiedział równocześnie: - Trzydzieści dni. - Próbowałem protestować, ale w tej samej chwili Ekscelencja wywołał z listy następne nazwisko, a mnie rzucił tylko jedno słowo: - Milczeć!

Przedstawiciel szeryfa posadził mnie na ławie. W tej samej chwili następny łazik otrzymywał trzydzieści dni, a dalszy już wstawał.

Obdzieliwszy wszystkich po trzydzieści dni na głowę, Ekscelencja, zbierając się już do odejścia, zwrócił się nagle do woźnicy z Lockport, tego jedyne, któremu pozwolił mówić i zapytał:

- Dlaczego porzuciliście pracę?

Przed chwilą woźnica wyjaśnił, jak to nie on pracę, ale praca jego porzuciła, toteż zapomniał języka w gębie.

- Ekscelencjo - bąknął zmieszany - to dziwne pytanie.

- Trzydzieści dni dodatkowo za porzucenie pracy - zawyrokował sędzia i na tym posiedzenie zamknięto. W rezultacie woźnica dorobił się sześćdziesięciu dni, wszyscy zaś inni dostali po trzydzieści.

Odprawdzono nas na dół, zamknięto na klucz i poczęstowano śniadaniem. Było wcale niezłe jak na więzienie - przez cały następny miesiąc nie jedliśmy nic równie dobrego.

Byłem oszołomiony. Oto skazano mnie po jakiejś parodii sądu, gdzie nie tylko pozbawiony zostałem prawa do sądu przysięgłych, ale i prawa nieprzyznania się do winy. Przypomniałem sobie, że moi przodkowie walczyli jeszcze o coś - o habeas corpus. [prawo nietykalności osobistej] Czekałcie, ja wam pokażę! Ale kiedy zażądałem adwokata - roześmiano mi się w oczy. Habeas corpus jest rzeczą piękną, ale cóż mi z tego, jeśli nie mogę się porozumieć z nikim spoza więzienia. Mimo to jeszcze

pokażę, co umiem! Nie będą mnie tu przecie trzymali do śmierci. Poczekajcie! Niech się tylko znajdę na wolności! To wystarczy. Już ja im dam nauczkę! Orientuję się cokolwiek w prawie i wiem, co się obywatelowi należy. Rozgłoszę po świecie o tym nadużyciu. Wizje procesów o odszkodowanie i sensacyjne nagłówki gazet tańczyły mi przed oczyma, kiedy weszli strażnicy i pognali nas do głównej kancelarii.

Policjant włożył mi kajdane na przegub prawej ręki. Więc to tak - pomyślałem sobie - jeszcze jedna zniewaga! Poczekajcie tylko, aż wyjdę! - drugi kajdane od pary zamknął na lewej ręce jakiegoś Murzyna. Murzyn był roslym chłopem, miał dobrze ponad sześć stóp, tak że gdy stanął obok mnie, podnosił trochę moją rękę do góry. Był to najbardziej oberwany i najweselszy Murzyn, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Wszystkich nas skuli parami, po czym przynieśli lśniący, stalowy łańcuch i przewlekli go przez kółka kajdanków, a końce zamknęli na kłódkę. Staliśmy się teraz grupą skutych razem kajdaniarzy. Padł rozkaz odmarszu i ruszyliśmy przez ulice pod konwojem dwóch policjantów.

Wielkiemu Murzynowi i mnie przypadł zaszczyt kroczenia na czele pochodu.

Po mroku więzienia oślepił mnie blask słońca na dworze. Nigdy słońce nie wydawało mi się tak rozkoszne jak w owej chwili, kiedy miałem być pozbawiony jego widoku trzydzieści dni.

Maszerowaliśmy ulicami miasta do stacji kolejowej, budząc zainteresowanie przechodniów, a szczególnie grupy turystów, siedzących na werandzie hotelu.

Łańcuch miał sporo luzu i z głośnym brzękiem i szczękiem usadowiliśmy się parami na ławkach wagonu dla palących. Płonąc oburzeniem za zniewagi zadane mnie i moim przodkom, byłem jednak zbyt rozsądny, by stracić głowę. Wszystko to było dla mnie zupełnie nowe. Miałem przed sobą trzydzieści tajemniczych dni, należało więc obejrzeć się za kimś obytym z życiem w więzieniu. Wiedziałem już, że nie jedziemy do jakiegoś małego więzienia na stu ludzi, lecz do ogromnego zakładu, który mieści parę tysięcy więźniów skazanych na kary od dziesięciu dni do dziesięciu lat.

Na ławce za mną, przykuty tak jak i ja do łańcucha, siedział jakiś krępy, muskularny mężczyzna. Wyglądał na trzydzieści pięć do czterdziestu lat. Przyjrzałem mu się dobrze. W

kącikach oczu błyskały mu iskierki dobrodusznego humoru. Poza tym było to stworzenie nieokrzesane, zupełnie amoralne, podległe wszelkim namiętnościom i popędowi dzikiego zwierzęcia. Ale było w nim coś, co mnie do niego przekonało: kąciki oczu - pogoda i dobroduszna wesołość zwierzęcia, zanim ktoś je podrażni.

Był tym, kogo szukałem, i podobał mi się. Toteż kiedy pociąg niósł nas do Buffalo, a skuty ze mną Murzyn-dryblas, zanosząc się od śmiechu i płaczu na przemian, bełkotał o jakiejś robocie w pralni, którą z pewnością straci wskutek aresztu - przeprowadziłem rozmowę z tym człowiekiem. Miał pustą fajkę. Napełniłem ją własnym, bezcennym tytoniem w takiej ilości, że starczyłoby go za tuzin papierosów.

W czasie rozmowy umocniłem się w przekonaniu, że to typ odpowiedni dla mnie, wobec czego

podzieliłem się z nim resztą tytoniu.

Dzięki wrodzonej giętkości i dostatecznej znajomości życia mogę przystosować się do każdej sytuacji. Tym razem postawiłem sobie za cel zbliżenie z tym człowiekiem, chociaż nie przypuszczałem nawet, jak dalece trafny był mój wybór. Mój nowy przyjaciel nie znał jeszcze więzienia, do którego jechaliśmy, ale odsiadywał już gdzie indziej po dwa, trzy, a nawet pięć lat zwanych w gwarze aresztanckiej "kawałkami", toteż bardzo był mądry. Pokumaliśmy się i chętnie posłuchałem, gdy poradził, abym szedł za jego przykładem. Nazywał mnie "Jack" i ja też go tak nazywałem.

Pociąg stanął na jakiejś stacji pięć mil przed Buffalo i my - kajdaniarze - wyładowaliśmy się z wagonu. Nie pamiętam nazwy tej stacji. Brzmiała coś jak Rocklyn, Rockwood, Black Rock, -

Rockcastle czy też Newcastle. Z tego miejsca - obojętne, jak się zowie - poprowadzili nas kawałek drogi piechotą, po czym wsadzili do tramwaju. Był to staroświecki wagon z dwiema długimi ławami po bokach. Wszystkich pasażerów przeniesiono na jedną ławę, my zaś z głośnym brzękiem łańcucha zajęliśmy drugą. Siedzieliśmy naprzeciw nich i do dziś pamiętam przerażone twarze kobiet, które najwidoczniej uważały nas za skazanych morderców i kasiarzy. Starałem się zrobić możliwie najgroźniejszą minę, ale mój towarzysz - ów wesoły Murzyn - nie przestawał łypać oczami, śmiać się i powtarzać: "O Boże, Boże miłosierny!" Wysiedliśmy z tramwaju i ruszyliśmy do kancelarii więzienia hrabstwa Erie. Tam wpisano nas do ksiąg więziennych, w których figuruję dotychczas pod jednym z dwóch wspomnianych nazwisk. Poinformowano nas również, że należy zostawić w kancelarii wszystko, co mamy: pieniądze, tytoń, zapalki, scyzoryk...

Mój koleżka dał mi głową znak, żebym nie słuchał.

- Wszystko, co zabierzecie ze sobą, zostanie skonfiskowane w więzieniu - ostrzegł urzędnik.

Mój przyjaciel raz jeszcze potrząsnął głową. Wykonywał pośpiesznie rękami jakieś ruchy, kryjąc się za plecami towarzyszy. (Kajdany nam już zdjęto). Przyjrzałem się, co robi, i natychmiast tak jak on zawiązałem w chustkę do nosa drobiazgi, które chciałem wziąć ze sobą.

Węzełki te wsunęliśmy obaj za pazuchę. Więźniowie, z wyjątkiem jednego czy dwóch, którzy posiadali zegarki, nie zdali wcale rzeczy urzędnikowi. Postanowili widocznie spróbować szczęścia i przesznułować swe drobiazgi, ale nie byli tak mądrzy jak mój koleżka i nie zawiązali ich w chustki.

Nasi konwojenci zabrali łańcuchy i kajdany i wyruszyli z powrotem do Niagara Falls, my zaś -

pod nadzorem innych strażników - zostaliśmy wprowadzeni do więzienia. Kiedy byliśmy w kancelarii, przybyło kilka nowych grup aresztantów. W sumie było nas czterdziestu do pięćdziesięciu.

Trzeba wam wiedzieć, wam, którzy nigdyście nie siedzieli, iż ruchy człowieka w więzieniu są równie ograniczone jak handel w wiekach średnich. Więzień nie może poruszać się swobodnie. Co parę kroków spotyka ogromne stalowe drzwi lub bramy, zawsze zamknięte.

Szliśmy do golami, ale po drodze musieliśmy parę razy czekać na otwarcie drzwi. Czekaliśmy tak w pierwszym "hallu". Hali nie jest zwykłym korytarzem. Wyobraźcie sobie podłużny prostopadłościan, zbudowany z cegieł i wznoszący się na wysokość sześciu pięter, a na każdym piętrze rząd cel, tak po pięćdziesiąt w rzędzie. Albo raczej wyobraźcie sobie ogromny plaster miodu w kształcie sześcianu. Postawcie ten sześcian na ziemi, otoczcie ścianami i pokryjcie dachem, a będziecie mieli pojęcie, czym jest hali w więzieniu hrabstwa Erie. Aby mieć obraz całości, wyobraźcie sobie jeszcze wąskie galeryjki o żelaznych poręczach, biegnące przez całą długość każdego rzędu cel i połączone ze sobą po obu końcach sześcianu systemem zejść pożarowych - wąskimi, stalowymi schodkami.

Zatrzymano nas w pierwszym hallu i kazano czekać, aż dozorca otworzy drzwi. Tu i ówdzie przesuwali się więźniowie, krótko ostrzyżeni, ogoleni, odziani w pasiaki. Zauważyłem jednego z nich na galeryjce trzeciego piętra. Wychylał się na dół opierając ręce o poręcz, jakby nieświadomy naszej obecności. Oczy jego zdawały się tkwić w próżni. Mój koleżka cicho syknął. Więzień spojrzął w dół. Wymienili rękami jakieś znaki, po czym frunęło w górę zawiniątko mojego opiekuna. Więzień złapał je, błyskawicznie wsunął za pazuchę i znowu wpatrzył się bezmyślnie w przestrzeń. Przyjaciel kazał mi zrobić to samo. Upatrzyłem chwilę, kiedy dozorca się odwrócił, i posłałem swój węzełek w ślad za pierwszym.

W minutę później otworzono drzwi i weszliśmy do golami. Krzatali się tu mężczyźni w więziennych ubraniach; byli to miejscowi fryzjerzy. Nie brakło też wanien, kranów z gorącą wodą, mydła i szczotek do szorowania. Kazali nam się rozebrać i wykapać, przy czym każdy musiał wyszorować plecy sąsiada. Ostrożności te były najzupełniej zbędne, więzienie bowiem roіło się od robactwa. Po kąpieli każdy z nas otrzymał płócienny worek na odzież.

- Złóżcie całą odzież do worków - powiedział strażnik. - Nie uda wam się nic przemycić.

Stanąć nago w szeregu, będzie inspekcja.

Ci na trzydzieści dni, lub mniej, zachowują buty i szelki. Kto ma wyrok dłuższy, nic nie zatrzymuje.

Oświadczenie to wywołało popłoch. Jak nagi człowiek może coś przemycić? Tylko my dwaj jużśmy sobie poradzili. Teraz przystąpili do dzieła więzienni fryzjerzy. Krzatali się pośród biednych przybyszów, uprzejmie proponując, że zaopiekują się ich cennymi drobiazgami, i obiecując zwrócić wszystko jeszcze tego samego dnia. Golarze ci, gdyby uwierzyć ich słowom, byli urodzonymi filantropami. Chyba nigdy nie uwalniano ludzi szybciej od zbędnego balastu, jeśli pominąć przygodę Fra Lippo Lippi. [włoski malarz XV w., ograbiony przez piratów] Zapalki, tytoń, bibułka, fajki, scyzoryki, pieniądze - wszystko wędrowało za obszerne pazuchy fryzjerów. Od łupu tego wyraźnie napęcznieli, strażnicy jednak udawali, że nic nie widzą. Krótko mówiąc, nic nie zostało nigdy zwrócone. Fryzjerzy nie mieli wcale zamiaru zwracać tego, co wzięli. Zdobycz uważali za swoją bezsporną własność. Była to i c h zdobycz.

W więzieniu kwitło mnóstwo tego rodzaju procederów. Z biegiem czasu, dzięki nowemu druhowi, sam miałem obdzierać innych.

W golami stało kilka foteli, a fryzjerzy uwijali się szybko. Nigdy w życiu nie widziałem równie błyskawicznego golenia i strzyżenia. Więźniowie mydlili się sami, fryzjerzy zaś golili ich z

szybkością jednego klienta na minutę. Strzyżenie trwało nieco dłużej. Po upływie trzech minut z twarzy mej znikł puszek osiemnastoletniego młodziana, głowa zaś przypominała kulę bilardową pokrytą zaczątkami szczeciny. Wszystkie brody i wąsy ulotniły się równie szybko jak odzież i drobiazgi. Daję słowo, uporządzili nas tak, że wyglądaliśmy na bandę opryszków. Nie przypuszczałem nawet, byśmy mogli być tak brzydcy.

Potem ustawiliśmy się w rząd do przeglądu - czterdziestu czy pięćdziesięciu drabów równie nagich, jak owi kiplingowscy bohaterowie, co szturmem zdobyli Lungtungpen. Teraz łatwo nas było obszukać, gdyż pozostały tylko nasze buty i my. Dwóm czy trzem ryzykantom, którzy nie zaufali fryzjerom, szybko skonfiskowano znalezione mienie w postaci tytoniu, fajek, zapalek i drobnych pieniędzy. Potem przyniesiono nasze nowe stroje: grube koszule więzienne oraz kurtki i spodnie w wyraźne pasy. Myślałem zawsze, że pasiaki nakładają tylko kryminalistom skazanym za ciężkie zbrodnie. Straciwszy teraz to złudzenie, włożyłem oznakę hańby i po raz pierwszy zakosztowałem przyjemności marszu więziennego.

Zbici ciasno, gęsiego, z rękami na ramionach poprzednika, weszliśmy do innego obszernego hallu. Tutaj ustawiono nas pod ścianą i kazano obnażyć lewe ramię. Młody student medycyny, który odbywał praktykę na takim bydle jak my, począł obchodzić linię więźniów. Szczepił ospę ze cztery razy prędej, niż golili fryzjerzy. Poleciał nam jeszcze, byśmy nie starli szczepionki i pozwolili krwi zaschnąć, po czym rozmieszczono nas w celach. Przed rozstaniem mój przyjaciel zdążył mi szepnąć: - Wyssij natychmiast!

Skoro tylko zamknięto mnie w celi, wyssałem ranekę. Widziałem potem takich, co nie wyssali.

Mieli na ramionach tak wielkie dziury, że można było w nie pięść wcisnąć. Sami sobie winni.

Mogli wyssać.

W celi miałem towarzysza, młodego silnego chłopaka, nie rozmownego, lecz bardzo zaradnego, tak wspaniałego kolegę, jak rzadko. Zalety jego były tym godniejsze uwagi, iż właśnie odbył dwuletnią karę w jednym z więzień stanu Ohio.

Zaledwie pół godziny spędziliśmy razem w celi, gdy jakiś więzień nadszedł leniwie po galerii i zajrzał w nasze okienko. Był to mój przyjaciel. Oznajmił, że zezwolono mu chodzić po hallu.

Wypuszczano go z celi o szóstej z rana, zamykano zaś dopiero o dziewiątej wieczór. Spiknął

się tu z wpływową osobistością i zaraz został korytarzowym. Ten, który go tak wyróżnił, sam należał do braci więziennej i pełnił obowiązki pierwszego korytarzowego. W naszej sieni było trzynastu korytarzowych. Starszyznę stanowili pierwszy korytarzowy i jego dwóch zastępców, każdy zaś z dziesięciu pozostałych zarządzał jednym rzędem cel.

My, nowo przybyli, mieliśmy do wieczora pozostać w celach, aby pozwolić wessać się szczepionce - informował mój przyjaciel. Od jutra staniemy do przymusowej pracy na podwórzu więziennym.

- Wyciągnę cię z roboty, jak tylko będzie można - obiecywał. - Postaram się o usunięcie któregoś z

korytarzowych i wprowadzę cię na jego miejsce.

Wsunął rękę za pazuchę, wy dobył moje cenne zawiniątko, podał przez kratkę i powędrował dalej wzdłuż galerii.

Rozwiązałem chusteczkę. Niczego nie brakło. Nawet zapalki. Podzieliłem się tytoniem i bibułą z moim współlokatorem. Chciałem już zapalić zapalkę, kiedy powstrzymał mnie ruchem ręki. Na każdej pryczy leżał cienki, brudny koc. Chłopak oderwał wąziutki pasek, zwinął go mocno w długi wałeczek, po czym przytknął doń drogocenną zapalkę. Knot z koca nie zapalił się, lecz zaczął tlić na samym końcu. Takie urządzenie starczy na całe godziny i w języku więziennym zowie się "żagwią". Kiedy się dopala, należy zwinąć drugą żagiew, przytknąć końcem do wygasającej, rozdmuchać i w ten sposób przenieść na nią żar. Samego Prometeusza mogli byśmy nauczyć, jak przechowywać ogień.

O dwunastej podano obiad. W drzwiach celi wywiercony był u spodu niewielki otwór przypominający spotykane w kurnikach przejścia dla kurcząt. Przez ten otwór wetknięto dwa kęsy suchego chleba i dwie miseczki "zupy". Porcja zupy składała się z kwarty gorącej wody okraszonej pływającym na wierzchu samotnym okiem tłuszczu. Było tam także nieco soli.

Wypiliśmy zupę nie tykając chleba. Nie znaczy to, że byliśmy syci lub że chleb okazał się niejadalny. Przeciwnie - chleb dano całkiem niezły. Mieliśmy jednak inne powody. Mój towarzysz odkrył, że cela wprost roi się od pluskiew. Wszystkie szczeliny i szpary między cegłami, skąd poodpadał tynk, kryły niezliczone kolonie tych pasożytów. Rozpanoszyły się do tego stopnia, że nawet w biały dzień wylaziły całymi gromadami z kryjówek na ściany i sufit.

Mój współlokator znał się na robactwie. Niby nieustraszony Childe Roland, zatrafił do boju.

Rozgorzał niebywały bój, który trwał całe godziny i nie znał pardonu. A kiedy niedobitki wrogów ukryły się w głębi swych twierdz z cegły i tynku, praca nasza dobiegła za ledwie połowy. Przeżuwaliliśmy kęsy chleba doprowadzając je do konsystencji kitu. Ilekroć pluskwa zdołała ukryć się w szparze, zalepialiśmy ją czym prędzej masą chleba. Pracowaliśmy w pocie czoła aż do zmroku i wreszcie wszystkie szpary, szczeliny i wklęsnięcia zostały zaklejone.

Wzdrygam się na samą myśl o tych tragediach śmierci głodowej i wzajemnego pożerania, jakie niewątpliwie zaczęły się rozgrywać za tymi chlebowymi ściankami.

Rzuciliśmy się na prycze zmęczeni i głodni, oczekując kolacji. Dzień przepracowaliśmy rzetelnie. W przyszłości nie będziemy przynajmniej znosić męczarni ze strony robactwa.

Wyrzekliśmy się obiadu, by na koszt żołądka ocalić skórę, ale byliśmy zadowoleni. Niestety!

Jakże próżne są wysiłki ludzkie! Za ledwie dokonaliśmy mozolnego dzieła, strażnik otworzył drzwi. Zarządzono przemieszczenie więźniów. Przeniesiono nas do celi o dwa piętra wyżej i tam zamknięto.

Nazajutrz wczesnym rankiem otwarto cele, po czym kilkuset więźniów ustawiono gęsiego na dole i

wyprowadzono na podwórze do pracy. Kanał Erie przylega do tylnego podwórza więzienia. Mieliśmy wyładowywać barki, które podpływały kanałem. Trzeba było dźwigać na plecach do więzienia olbrzymie sztaby żelazne przypominające podkłady kolejowe.

Próbowałem zbadać podczas pracy otoczenie i rozważyć widoki ucieczki. Ani cienia nadziei!

Po szerokim murze spacerowali wartownicy uzbrojeni w broń wielostrzałową, a dowiedziałem się jeszcze, że na wieżach strażniczych stały w pogotowiu karabiny maszynowe.

Nie przejmowałem się tym zbyt. Trzydzieści dni to niewiele. Spokojnie odsiedzę swoje i dodam niejedno do kolekcji materiałów, z których zrobię użytek po wyjściu na wolność.

Oskarżę te sępy żerujące na praworządności sądownictwa. Pokażę wtedy, co potrafi amerykański chłopak, kiedy jego prawa i przywileje obywatelskie zostaną sponiewierane tak jak moje. Odmówiono mi prawa do sądu przysięgłych. Nie zapytano, czy przyznaję się do winy. Nie przeprowadzono w ogóle przewodu sądowego (tego, co odbyło się w Niagara Falls, nie mogę nazwać rozprawą). Nie pozwolono mi porozumieć się z adwokatem ani z kim bądź

innym, pozbawiając w ten sposób prawa odwołania się od wyroku. Ogolono mi zarost, ostrzyżono czuprynę przy skórze, ubrano w pasiastą odzież kryminalisty, zmuszono do ciężkiej pracy o chleb i wodzie i do haniebnego więziennego maszerowania pod zbrojną eskortą - za co? Cóżem takiego uczynił? Jaką zbrodnię popełniłem wobec zacnych obywateli Niagara Falls, aby tak się na mnie mścili? Nie naruszyłem nawet ich przepisu zabraniającego nocować pod gołym niebem w obrębie miasta. Noc spędziłem przecież na wsi, poza zasięgiem ich jurysdykcji. Nie prosiłem o jedzenie po domach, nie żebrałem na ulicy.

Przestępstwo moje ograniczyło się do tego, że przeszedłem po chodniku i zachwyciałem się ich marnym wodospadem. Cóż w tym złego? Nie byłem winien najmniejszego wykroczenia przeciw prawu. No, jak wyjdę na wolność, pokażę, co umiem.

Nazajutrz próbowałem dogadać się ze strażnikiem: chciałem wezwać adwokata. Strażnik wyśmiał mnie. To samo uczynili inni. Byłem rzeczywiście odcięty od świata. Chciałem napisać list, ale poinformowano mnie, iż listy podlegają cenzurze lub konfiskacie przez władze więzienne, a zresztą "krótkoterminowi" w ogóle nie mają prawa korespondować z kimkolwiek.

Nieco później próbowałem przemycać grypsy za pośrednictwem uwalnianych więźniów, ale okazało się, że rewidowano ich, a znalezione listy niszczone. Niech i tak będzie! Wszystko to pogorszy tylko ich sytuację, gdy wyjdę na wolność.

W miarę jednak jak mijały dni więzienia (opiszę je w następnym rozdziale), niejednego się nauczyłem. Opowiedziano mi o policji, sądach policyjnych i adwokatach historie równie niewiarygodne, jak potworne. Więźniowie, na podstawie własnych doświadczeń z policją wielkich miast, mówili rzeczy wprost straszne. Jeszcze okropniejsze były jednak historie ludzi, którzy zginęli z rąk policji i nie mogli ich potwierdzić. W wiele lat później, przeglądając raport komitetu Lexow, miałem czytać o wielu faktach budzących jeszcze większą grozę niż opowiadania zasłyszane w więzieniu. Ale wtedy, w pierwszych dniach po uwięzieniu, odnosiłem się do tych spraw z

niedowierzaniem.

Lecz z biegiem czasu musiałem uwierzyć. Na własne oczy ujrzałem w tym więzieniu rzeczy niewiarygodne i potworne. A w miarę jak się przekonywałem, rósł we mnie lęk przed gończymi psami prawa i całą instytucją wymiaru sprawiedliwości.

Moje oburzenie ustępowało przed falą ogarniającego mnie strachu. Zrozumiałem w końcu dokładnie, przeciwko czemu chciałem powstać. Stałem się cichy i pokornego serca. Co dzień bardziej uroczyście przyrzekałem sobie nie robić szumu, kiedy mnie uwolnią. Nie pragnąłem już nic - tylko uciec jak najdalej stąd. Tak też i uczyniłem. Trzymałem mocno język za zębami, wyszedłem cicho za mury i mądrzejszy, pokorniejszy, ruszyłem chyłkiem do Pensylwanii.

Przełożył Zygmunt Glinka

Serce kobiety

O, kryty szronem łeb wilczura wsunął się z tęsknym wyrazem w ślepiach, unosząc połę namiotu.

- A pójdziesz stąd, Siwasz! Szatańskie plemię! - zaprotestował chór głosów ze środka. Settles trzepnął psa cynowym talerzem i łeb cofnął się czym prędzej. Louis Savoy umocował

ponownie płótno zakrywające wejście i kopnięciem odsunawszy od fajerki patelnię, począł

grzać ręce. Na dworze był tęgi mróz. Przed dwoma dniami termometr spirytusowy pękł na sześćdziesiątym ósmym stopniu poniżej zera, od tego zaś czasu mróz brał coraz silniejszy, coraz bardziej dokuczliwy. Niepodobna było przewidzieć, kiedy wreszcie mroźna fala się skończy. Kiepskim doprawdy byłoby pomysłem przebywać w taką porę bez wyraźnej potrzeby z dala od ciepłej izby i zwiększać ilość wdychanego lodowatego powietrza. Czasem waży się ktoś na podobne rzeczy, ale zazwyczaj odmraża przy tym płuca. Poczyna go trapić suchy, ostry kaszel, szczególnie silny gdy w pobliżu smaży się słonina. Następnego lata lub już na wiosnę ludzie rozmrażają ogniem ziemię, wykopują dół i składają zwłoki, okrywając je z wierzchu mchem. Wierzą święcie, że za sprawą mrozu nieboszczyk pozostanie tam cały i nienaruszony, aż do chwili zmartwychwstania w dniu Sądu Ostatecznego. Sceptykom nie wierzącym w fizyczne wskrzeszenie w owym wyrocznym dniu zalecić można Klondike jako wymarzony kraj do przekroczenia wrót śmierci. Co nie znaczy zresztą wcale, że nadaje się on do spędzania w nim życia.

W namiocie nie było tak zimno jak na dworze, ale wcale nie za ciepło. Jedyńm przedmiotem zasługującym na nazwę mebla był piecyk żelazny, do którego wszyscy lgnęli. Połowę podłogi przytrzaśnięto gałązkami choiny, rozłożono na nich futrzane śpiwory, pod spodem zaś leżał

śnieg. W pozostałej części śnieg, udeptany mokasynami, zalegały garnki, patelnie i inne przybory polarnego obozowiska. W rozżarzonem do czerwoności piecu ogień aż huczał, lecz już o trzy kroki od niego leżała bryła lodu tak sucha i kanciasta, jakby ją przed chwilą wyrąbano w zamrzłym łożysku strumienia. Mroźne powietrze, napierające z zewnątrz, pędziło w górę całe ciepło namiotu. Tuż ponad piecem, tam gdzie rura przebijała płótno pułapu, widać było wyraźnie trzy koncentryczne kręgi: najmniejszy suchy, wilgotny silnie parujący i największy mokry, z którego kapała woda. Resztę

pułapu i ściany powlekała półcalowa warstwa suchego, białego szronu migocącego jak kryształ.

- Och, och, och! - Młody chłopak leżący na podłodze wśród futer, z twarzą wychudłą, mizerną i zarośniętą, wył we śnie z bólu coraz głośniejszy i coraz bardziej płaczący. Jego ciało, na pół wynurzone spod futer, drżało i miało się niespokojnie, jakby spoczywało na łożu z pokrzyw.

- Poobracajcie go! - rozkazał Settles. - Znow go chwyciły kurcze.

Pół tuzina usłużnych towarzyszy chwyciło chorego i zaczęło obracać, masować i trzepać bez miłosierdzia.

- Przeklęty ten szlak! - mruknął młodzieniec, kiedy nareszcie zdołał wydobyć się z futer i usiąść. - Biegałem ile wlezie, grałem w obronie przez trzy sezony z rzędu i hartowałem się na wszystkie sposoby. Przybyłem w końcu do tego zatraconego kraju i oto okazuje się, że jestem jakimś zniewieściałym Ateńczykiem, bez krzty męskości.

Podsunał się na łokciu do pieca i skręcił papierosa.

- Ja nie narzekam, wiem, że to moja wina, ale wstyd mi po prostu za siebie. Po długich trzydziestu milach czuję się tak połamany i wycieńczony jak mieszcuch po pięćdziesięciu milach wycieczce za miasto. Cholera mnie bierze! Zapałki macie?

- Uspokój się, chłopcze! - Settles podał choremu zamiast zapałek rozżarzoną szczapkę i mówił dalej ojcowskim tonem: - Nie przejmuj się, wszyscy muszą przez to przejść. Do diabła, i ja przecież pamiętam moją pierwszą wyprawę. Połamany jesteś, powiadasz? Trzeba było widzieć, jakem swego czasu dobre dziesięć minut mordował się, by wstać i rozprostować grzbiet po napiciu się wody z przerębli. Wszystkie stawy trzeszczą, a kości tak dokuczają, że można oszaleć. Co? Kurcze? W takie supły mnie kiedyś pokręciły, że pół dnia cały obóz musiał mnie rozplątywać. Jesteś jeszcze szczeniakiem, ale zuch chłopak. Poczekaj, od dziś za rok zapędzisz nas, starych, w kozi róg. Najważniejsze, że nie masz na sobie tłuszczu, który już niejednego tęgiego chłopca wyprawił przed czasem na łono Abrahama.

- Tłuszczu?

- A tak, właśnie. Grubasy gorzej znoszą trudy podróży. - Nigdy o tym nie słyszałem.

- Nie słyszałeś? Przecież to jasne. Wielcy, tędzy ludzie są zdolni do jednorazowego potężnego wysiłku, ale wytrzymałości nie mają za grosz. Wytrzymałość nie idzie w parze z opasłością.

Tylko nieduży, żyłasty chłop potrafi wszystko znieść i trzymać się czegoś niby pies kości. Do stu piorunów, tęgi tego nie potrafi.

- Masz słuszość - wtrącił się do rozmowy Louis Savoy. - Znałem jednego chłopca krzepkiego jak byk. Wybrał się kiedyś nad Potok Siarczany z tym mikrusem Łonem McFane. Pamiętacie Łona? Malutki, rudy Irlandczyk, zawsze uśmiechnięty. No i szli tak, szli - cały dzień i całą noc.

Grubas osłabł i zaczął pokładać się na śniegu. Chudzielec kopie go - a ten drze się jak dziecko. I tak przez całą drogę Łon kopał i kopał, aż go wreszcie dokopał do mego szałas.

Trzy dni wylegiwał się pod moją derką. Nigdy nie przypuszczałem, że mężczyzna może być taką babą. Oto co robi z człowieka tłuszcz.

- No, a jakże było z Akselem Gundersonem? - zapytał Prince. Potężna postać przybysza ze Skandynawii i jego tragiczna śmierć wywarły swego czasu silne wrażenie na młodym inżynierze. - Teraz leży gdzieś tam, daleko... - Wyciągnął rękę w nieokreślonym kierunku tajemniczego wschodu.

- Był to najpotężniejszy z ludzi, jacy kiedykolwiek wędrowali ku Słonej Wodzie i potrafili w pościgu zmęczyć łosia - dorzucił Bettles. - Ale on był wyjątkiem potwierdzającym zasadę.

Pamiętacie jego żonę, Unge? Sto dziesięć funtów żywej wagi, samo czyste mięso bez łąta tłuszczu. A męstwem przewyższała go jeszcze, jeżeli to możliwe. Gotowa była znieść wszelkie niewygody, troszcząc się tylko o męża. Wszystko zrobiłaby dla niego.

- Kochała go - wtrącił znowu młody inżynier.

- Nie o to chodzi. Po prostu...

- Posłuchajcie, bracia - wmieszał się do rozmowy Charley Sitka, który siedział w kącie na skrzynce z żywnością. - Mówiliście o warstwie tłuszczu oplatającego mięśnie tęgich mężczyzn, o dzielności kobiet i miłości - słusznie mówiliście. Przypomniała mi się historia z czasów, gdy kraj ten był jeszcze młody, a ogniska ludzkie tak od siebie odległe jak gwiazdy na niebie. Los chciał, że zetknąłem się wtedy z pewnym dużym opasłym mężczyzną - iż kobietą.

Była drobna, lecz serce miała większe od bawolego serca mężczyzny. I była naprawdę dzielna. Odbywaliśmy ciężką drogę właśnie ku Słonej Wodzie. Nastaly ostre mrozy, głębokie śniegi i głód okrutny. Ale miłość tej kobiety była miłością ogromną - nie można tego inaczej wyrazić.

Zamilkł na chwilę i toporem odrąbał parę kawałków lodu z wielkiej bryły leżącej przy nim, po czym cisnął odłamki do stojącego na piecu naczynia do przemywania złota, gdzie lód tajał

zamieniając się w wodę do picia.

Towarzysze przysunęli się bliżej, a chłopak, którego chwytały kurcze, na próżno szukał

wygodniejszej pozycji dla swego udręczonego ciała.

- Bracia, skórę mam czerwoną, bo płynie we mnie krew Siwaszów, lecz serce moje jest białe.

Po ojcach przejąłem w smutnym dziedzictwie jedno, od przyjaciół uzyskałem w darze drugie.

Kiedy byłem jeszcze chłopcem, objawiła mi się wielka prawda. Zrozumiałem, że świat należy do was i że Siwasze nie zwalczą nigdy białych, że skazani są na zagładę, tak jak giną od mrozu niedźwiedzie i jelenie. Pragnąc ciepła zasiadłem pośród was u ogniska i oto stałem się jednym z

was. Dużo widziałem w życiu. Zaznałem wielu dziwnych rzeczy i natrudziłem się niemało, przebywając dalekie szlaki z ludźmi różnych ras. Dlatego dzisiaj czyni mię waszą miarą, według was sądzę ludzi i po waszemu myślę. Toteż jeśli będę źle mówił o jakimś białym, nie weźmiecie mi tego za złe, kiedy zaś opowiem rzeczy wzniosłe o członku plemienia moich ojców, nie pomyślicie sobie: "Charley Sitka pochodzi sam z plemienia Siwaszów, chytry płomień ma w oczach, a język jego nie zna honoru". Czy nie tak?

Koło słuchaczy głuchym pomrukiem przytaknęło mówcy. - Kobietę zwano Passuk. Nabyłem ją uczciwie od rodzinnego jej plemienia Chilcat, którego totem wznosi się na wybrzeżu Słonej Zatoki wielkiego morza. Serce moje nie rwało się ku tej kobiecie i nie zwracałem uwagi na jej urodę. Rzadko bowiem odrywała oczy od ziemi i była nieśmiała a trwożliwa, jak zwykle dziewczęta rzucone w ramiona obcego mężczyzny, którego nigdy przedtem nie widziały. Jak powiadam, nie miałem w sercu swym dla niej miejsca. Wybierałem się właśnie w wielką podróż i trzeba mi było kogoś, kto by na szlaku karmił psy i wraz ze mną pracował przy wiosle w czasie długich wędrówek po rzece. Jedna kołdra starczy na dwoje. Tak więc wybrałem Passuk.

Trzeba wam wiedzieć, że służyłem wówczas rządowi. Wzięto mnie tedy na pokład okrętu wojennego wraz z saniami, psami, żywnością w konserwach i kobietą Passuk. Udaliśmy się na północ, aż do zimowej granicy lodów na Morzu Beringa. Tam wylądowaliśmy - ja, Passuk i psy. Dostałem od rządu pieniądze, mapy krajów, po których nie stąpała jeszcze nci i ludzka, i pocztę.

Przesyłki te opatrzone były rządową pieczęcią i starannie zabezpieczone przed wilgocią.

Miałem dostarczyć je statkom wielorybniczym, więzionym przez lody na wielkiej Mackenzie.

Największa to rzeka na świecie, jeśli nie liczyć naszego Yukonu, matki rzek.

Wszystko to zresztą nie jest ważne, gdyż opowiadanie moje nie dotyczy ani statków polujących na wieloryby, ani zimy wśród skał lodowych, którą spędziłem na brzegu Mackenzie.

Później, gdy miało się na wiosnę, a dni stały się dłuższe i cienka skorupa lodowa pokryła śnieg po odwilży, udaliśmy się na południe - Passuk i ja - ku dolinie Yukonu. Droga była ciężka, lecz słońce wskazywało nam kierunek. Kraj był wtedy jeszcze odludny, jak mówiłem.

Musieliśmy płynąć pod prąd, robiąc wiosłem i drągiem, aż dobrnęliśmy do Czterdziestej Mili.

Miło było znów ujrzeć białe twarze, toteż przybiliśmy do brzegu. Zima była prawdziwie ciężka.

Mróz i ciemności ogarnęły nas równocześnie, a wraz z nimi - głód. Agent placówki handlowej dawał po czterdzieści funtów mąki i dwadzieścia funtów słoniny na głowę. Fasoli nie było.

Psy wyły bez przerwy. Ludzie mieli zapadłe brzuchy i twarze głęboko pokryte bruzdami. Silni słabli, słabi umierali. W dodatku szalał szkorbut.

Pewnego wieczoru zebraliśmy się wszyscy w sklepiku, gdzie widok pustych półek jeszcze mocniej dawał nam odczuć pustkę w żołądkach. Rozmawialiśmy cicho przy blasku ognia na kominie, gdyż świece chowano dla tych, którzy doczekają wiosny. Narady skończyły się tym, iż ktoś z nas musi

ruszyć w drogę i dotrzeć nad ocean, żeby dać znać światu o naszym rozpaczliwym położeniu. Wszystkie oczy zwróciły się ku mnie, gdyż uważany byłem za doświadczonego podróżnika. “Do Misji Haines - rzekłem - która leży na brzegu morza, jest siedemset mil, a każdy cal tej drogi wymaga ciężkiej pracy na raketach śnieżnych. Dajcie mi najsilniejsze psy i najlepszą żywność, to pojedę. A ze mną pójdzie Passuk”.

Zgodzili się. Nagle wstał niejaki Długi Jeff, Jankes, tęgi chłop o budowie siłacza. Mowa jego była chełpliwa. Oznajmił, że jest również wielkim wędrowcem stworzonym do szlaku i wykarmionym na bawolim mleku. Pójdzie razem ze mną i - gdybym padł w drodze - zanieś sam wiadomość do Misji. Młody byłem i nie znałem jeszcze Jankesów. Skądże mogłem wiedzieć, że samochwalstwo jest oznaką słabości i że ci Jankesi, którzy naprawdę dokonują wielkich czynów, trzymają język za zębami? Tak więc zabraliśmy najsilniejsze psy i zapas żywności i ruszyliśmy we troje - Passuk, Długi Jeff i ja.

Wy, bracia, wszyscyście torowali drogę w dziewiczym śniegu, posługiwaliście się drągiem sterowym i przedzieraliście się przez koryta rzek zawałone lodem. Niewiele więc mówić będę o trudach naszej wędrówki. Powiem tylko, że czasem robiliśmy dziesięć mil dziennie, a czasem trzydzieści. Przeważnie jednak dziesięć. Owa najlepsza żywność nie ratowała nas, gdyż od samego początku drogi musieliśmy oszczędzać i wydzielać sobie porcje. W tych warunkach nie mogliśmy też zbyt wiele wymagać od doborowych psów, które z trudem utrzymywaliśmy na nogach. Przy Białej Rzece z trojga sań ubyły nam jedne, a uszliśmy dopiero dwieście mil. Ale nic się nie zmarnowało; padłe psy napełniły żołądki swych zdolnych jeszcze do pracy towarzyszy.

Ani smużki dymu, ani ludzkiego słowa, dopóki nie dotarliśmy do Pelly. Liczyłem, że dostanę tam żywności i zostawię Długiego Jeffa, który jęczał już z wycieńczenia. Ale urzędnik placówki w Pelly miał rżenie w płucach, chorobliwie błyszczące oczy i niemal doszczętnie puste składy; pokazał nam też równie pustą spiżarnię misjonarza i jego świeży grób przywalony kamieniami dla ochrony przed psami. Do Pelly schroniła się garstka Indian, lecz dzieci i starców już wśród nich nie było; nie ulegało wątpliwości, że niewiele z ludzi doczeka wiosny.

Ruszyliśmy dalej z lekkim żołądkiem i ciężkim sercem, a pół tysiąca mil śniegu i milczenia dzieliło nas jeszcze od Misji Haines, która leży nad brzegiem morza.

Był to okres największych ciemności; nawet w południe słońce nie rozświetlało widnokregu.

Ale zatorów lodowych było mniej, co ułatwiło nam drogę; gnałem więc psy ostro, od wczesnego ranka do późna w nocy.

Jak mówiłem w Czterdziestej Mili, każdy krok na tym szlaku trzeba było torować z największym wysiłkiem.

Od raket dostaliśmy na nogach ran, które zamiast się goić to pokrywały się strupami, to znów pękały. Z każdym dniem było gorzej, aż pewnego ranka przy zakładaniu raket Długi Jeff zapłakał z bólu jak dziecko. Kazałem mu torować drogę przed najlżejszymi saniami, on jednak wciąż, aby uniknąć bólu, zdejmował rakiety. Mokasyny Jeffa, pogrążając się w nieubitym śniegu, zostawiały za sobą doły, w które potem zapadały się psy idące w zaprzęg. Były tak chude i wymizerowane, że kości sterczały

im przez skórę. Nie mogły iść po takim szlaku.

Złajałem Jeffa ostro, on zaś obiecał poprawę, lecz nie dotrzymał słowa. Wobec tego dostał batem po grzbiecie, po czym psy już się więcej nie zapadały.

Człowiek ten wskutek trudów podróży i otyłości zamienił się po prostu w dziecko.

A tymczasem - Passuk! Gdy mężczyzna leżał przy ognisku i płakał, kobieta gotowała; nad ranem pomagała zaprzęgać, wieczorem zaś wyprzęgać psy. Jej zawdzięczały, że tak długo utrzymały się przy życiu. Zawsze szła przodem, udeptując psom drogę.

Passuk... jak by to rzec? Uważałem wówczas za rzecz naturalną, iż robi to wszystko, i nie zaprzętałem sobie tym głowy. Zajęty byłem innymi sprawami, a zresztą byłem młody i niewiele wiedziałem o kobietach. Dopiero później, patrząc wstecz, zrozumiałem.

Jeff był już zupełnie do niczego. Psom i tak brakło sił, lecz on stale przysiadł się na sanie, ilekroć zdołał pozostać w tyle. Passuk wzięła jego sanie, wobec czego nie miał nic do roboty.

Rano wydzielałem mu uczciwie porcję żywności i posyłałem go naprzód. My zaś z kobietą zajmowaliśmy się zwijaniem obozu, pakowaniem sań i zaprzęganiem psów. W południe, kiedy słońce z nas kpiło, doganialiśmy i mijaliśmy Długiego Jeffa ze łzami zamarzniętymi na policzkach. Wieczorem urządzaliśmy postój, oddzielając rzetelnie porcję Jeffa i rozkładając mu legowisko z futer. Rozpalaliśmy też wielkie ognisko, żeby mógł nas dostrzec z daleka. Po kilku godzinach dowlekał się do nas, jęcząc zjadał swój przydział i zasypiał. Nie był chory. Był

tylko znużony, wycieńczony szlakiem i słaby z głodu. Ale Passuk i ja byliśmy przecież równie znużeni, wycieńczeni i słabi, a mimo to spełnialiśmy całą pracę, on zaś żadnej. Zgubiła go niezawodnie warstwa tłuszczu, o której mówił Bettles. My jednak nadal dawaliśmy uczciwie Jeffowi jego porcję żywności.

Pewnego dnia spotkaliśmy dwa widma wędrujące przez krainę milczenia. Byli to biali: mężczyzna i młodzieniec. Łód ruszył na jeziorze Le Barge i pochłonał większą część ich dobytku. Teraz każdy z nich niósł tylko derkę na plecach. Nocami rozpalali ognisko i kulili się przy nim do rana. Pozostało im jeszcze trochę mąki. Mieszali ją z gorącą wodą i pili.

Mężczyzna pokazał mi osiem kubków mąki; było to wszystko, co posiadali, mając przed sobą dwieście mil śnieżnego szlaku do Pelly nawiedzzonego śmiertelnym głodem. Mówili, że za nimi idzie Indianin, ich towarzysz. Podobno dzielili się z nim uczciwie, lecz nie mógł za nimi nadążyć. Nie wierzyłem. Gdyby dzielili się uczciwie, Indianin nie zostałby w tyle.

Żywności dać im nie mogłem.

Próbowali ukraść najtłustszego psa, który był zresztą i tak chudy jak szczapa, ale zagroziłem im rewolwerem i kazałem iść precz.

Odeszli jak pijani, kierując się poprzez ciszę śniegów ku Pelly.

Miałem teraz jedno sanie i trzy psy - skóra i kości.

Wiecie, że kiedy drzewa jest mało, ogień pali się źle, a w izbie zimno. Tak też było i z nami.

Głodnych mróz szarpał ostrzej, twarze poczerniały nam do tego stopnia, że nie poznałaby nas rodzona matka. Nogi dokuczały nieznośnie. Co rano wyruszając w drogę i przypinając rakiety, z trudem powstrzymywałem okrzyk bólu. Passuk nigdy się nie skarżyła, szła naprzód i torowała drogę. Nasz Jankes był bez przerwy.

Na rzece Trzydziestej Mili prąd powyrywał w niektórych miejscach pokrywą lodową, pełno więc było rozpadlin i wyrw, a nawet otwartej wody. Któregoś dnia Długi Jeff, który jak zawsze wcześniej opuścił miejsce postoju, zatrzymał się, by poczekać na nas przy jednym z takich zalewów. Pomiędzy nim a nami stała otwarta woda. Jeff przeszedł po pasemku otaczającego lodu; dla sań jednak przejście było zbyt wąskie. Odszukaliśmy więc przesmyk dość mocnego jeszcze lodu. Passuk ważyła niewiele, poszła więc pierwsza, trzymając w poprzek drogi długą tykę na wypadek załamania się lodu. Ale była lekka i rakiety miała szerokie, toteż przeszła szczęśliwie, po czym zaczęła przywoływać psy. Te jednak nie miały rakiety ani tyki, powpadały więc natychmiast i porwał je nurt rzeki. Trzymałem sanie mocno tak długo, aż rzemienie popękały i psy poszły pod lód. Zwierzęta były chude, ale liczyłem, że dostarczą stawy na tydzień - cóż, kiedy przepadły.

Następnego ranka rozdzieliłem resztkę żywności na trzy części.

Oświadczyłem też Jeffowi, że może iść z nami lub osobno, jak uważa. Pójdziemy teraz szybko, gdyż nie mamy ładunku. Jeff zaczął narzekać na poranione nogi i inne dolegliwości, zarzucając mi niekoleżeńskie postępowanie. Nogi Passuk i moje były jeszcze gorzej poranione, pracowaliśmy bowiem przy psach, a wyglądaliśmy - pożał się Boże! Długi Jeff przysięgał, że raczej umrze, niż pójdzie dalej. Wobec tego Passuk wzięła futrzaną derkę, ja zabrałem garnek i siekierę i mieliśmy już wyruszyć. Ale Passuk spojrzała na część żywności oddzieloną dla Jankesa i rzekła: "Po co marnować żywność dla niedołęgi? Lepiej niech umrze!" Potrząsnąłem głową i odparłem: "Nie, kto raz był kolegą, zostaje nim na zawsze".

Wtedy kobieta poczęła mówić o towarzyszach z Czterdziestej Mili. Było tam wiele dzielnych ludzi, a wszyscy oczekiwali, że z wiosną dostarczę im żywności. Sprzeciwiłem się jej ponownie. Wówczas wyrwała mi pistolet zza pasa, a Długi Jeff przeniósł się przed czasem na łono Abrahama, jak to się wyraził nasz brat Bettles. Skarciłem za to Passuk, lecz nie okazała żalu ani się nie obraziła. Ja zaś w głębi duszy przyznawałem jej rację.

Charley Sitka ucichł i dorzucił parę bryłek lodu do naczynia na piecu. Mężczyźni milczeli i zimny dreszcz przeszywał im plecy na dźwięk przejmującego wycia psów, które na dworze skarżyły się na swą nieszczęsną dolę.

- Dzień po dniu mijaliśmy wraz z Passuk ślady śnieżnych legowisk obu widm wiedząc, że i my zadowalać się będziemy musieli podobnymi noclegami, aż do chwili dotarcia do Słonej Wody.

Wreszcie napotkaliśmy Indianina, który również posuwał się jak widmo w stronę Pelly. Mówił, że tamci dwaj nie rozdzielili żywności sprawiedliwie, wobec czego już od trzech dni brak mu mąki.

Żywi się gotowanymi strzępami mokasynów. Ale z mokasynów zostało już niewiele. Indianin pochodził z wybrzeża i mówił tym samym co Passuk narzeczem, wobec czego rozumiała jego opowiadanie. Nigdy nie był w dolinie Yukonu i nie znał doń drogi, lecz mimo to dążył w stronę Pelly. Jak to daleko? Dwa sny? Dziesięć? Sto? Nie wiedział, lecz szedł

do Pelly. Za daleko byłoby powracać. Chcąc nie chcąc musiał iść naprzód.

Nie prosił o żywność, bo wiedział, że i u nas było z nią krucho. Passuk spoglądała to na niego, to na mnie w rozterce, niby kuropatwa, której małym zagroza niebezpieczeństwo.

Powiedziałem więc do niej: "Z tym człowiekiem postąpiono nieuczciwie. Czy dać mu część naszych zapasów?" Oczy jej zalśniły od nagłej radości, lecz potem długo patrzyła to na mnie, to na obcego, aż wreszcie rzekła z zaciętym i stanowczym wyrazem twarzy: "Nie. Słona Woda jeszcze daleko, a śmierć czyha blisko. Niech lepiej zabierze obcego człowieka, a zostawi przy życiu męża mego Charleya". Tak więc Indianin odszedł ku Pelly po śnieżnej drodze. Tej nocy Passuk płakała. Nigdy dotychczas nie widziałem Passuk płaczącej. I nie dym był temu winien, bo drzewo było suche. Dziwiłem się więc temu smutkowi i myślałem, że jej serce kobiece zmiękło z bólu i wysiłku w tej mrocznej wędrówce.

Dziwne jest życie. Myślałem o tym często, rozważałem długo: z każdym dniem jednak wydawało się dziwniejsze. Skąd bierze się w nas tak silne umiłowanie życia? Jest ono przecież grą, w której żaden człowiek nie wygrywa. Życ - to pracować ciężko i cierpieć dotkliwie, dopóki starość nie przygniecie człowieka na tyle, że ręce jego opadną bezwładnie na zimny popiół martwych ognisk. Trudno jest żyć. W bólu chwyta niemowlę pierwszy swój oddech, w bólu oddaje starzec ostatnie tchnienie, a wszystkie dni nasze pełne są troski i smutku. Lecz człowiek mimo to zdąża w otwarte ramiona śmierci, potykając się, padając, ale spoglądając wstecz i walcząc do końca! A przecież Śmierć jest dobra. Tylko od Życia doznajemy bólu. Kochamy jednak to Życie, a nienawidzimy Śmierci. Dziwne.

Niewiele rozmawialiśmy z Passuk podczas naszej dalszej wędrówki. Nocami leżeliśmy w śniegu jak trupy, rankiem ruszaliśmy w drogę jak widma. Otaczała nas zupełna martwota.

Nie spotykaliśmy pardw ani wiewórek, ani nawet królików - żadnej żywej istoty. Rzeka milczała w białych okowach. Soki zastygły w drzewach. Mróz był równie silny jak w tej chwili. Nocami gwiazdy przybliżyły się do nas, skacząc i tańcząc po niebie. A w dzień drwiły z nas pozorne słońca, dwojąc i trojąc nam się w oczach. Powietrze iskrzyło się i migotało, a śnieg wyglądał

jak pył diamentowy. Ani ciepła, ani dźwięku - nic, tylko mróz siarczysty i milczenie. Wędrując jak we śnie, zatraciliśmy rachubę czasu. Tylko oczy zwracaliśmy ku Słonej Wodzie, myśli mieliśmy pełne Słonej Wody i nogi same nas ku niej wiodły. Obozowaliśmy koło Takheena, nie wiedząc, gdzie jesteśmy. Oczy nasze patrzyły na Białego Konia nie widząc go. Stopy nasze stąpały po szreni przełęczą Kanion, nie czując tego. Nie odczuwaliśmy nic. Za to często padaliśmy na drodze, ale nawet padając twarze mieliśmy zwrócone ku Słonej Wodzie.

Pozostała już tylko jedna porcja żywności, którą jak zawsze podzieliliśmy sprawiedliwie.

Passuk padała coraz częściej, aż przy Jelenim Rozstaju siły opuściły ją zupełnie. Rankiem leżeliśmy

pod wspólną derką nie mając już zamiaru iść dalej. Postanowiłem zostać tutaj i powitać śmierć razem z Passuk; dojrzałem bowiem na tyle, że pojąłem wreszcie, czym jest miłość kobiety. Ponadto do Misji Haines pozostawało jeszcze osiemdziesiąt mil drogi, pośrodku której wielki Chilcoot wznosił swój szczyt, owiany przez burze, wysoko ponad granicę lasów. I oto Passuk poczęła mówić do mnie cichutko, ja zaś przysunąłem ucho tuż do jej warg, aby ją słyszeć. I teraz, kiedy nie bała się już mego gniewu, otworzyła przede mną duszę. Mówiła o swej miłości i o wielu rzeczach, których dotychczas nie rozumiałem.

Rzekła mi: “tyś moim mężem, Charley, ja zaś byłam ci dobrą żoną. Dzień po dniu rozpalałam ognisko, gotowałam dla ciebie stawę, karmiłam psy, pracowałam przy wiosle, torowałam szlak. Nie skarżyłam się nigdy. Nie narzekałam, iż w szałasie mego ojca w Chilcat więcej było ciepła i więcej strawy. Kiedy mówiłeś - słuchałam. Kiedy rozkazywałeś - byłam ci posłuszna.

Czyż nie było tak, Charley”. Odpowiedziałem: “Tak było”.

Ona zaś ciągnęła dalej: “Kiedy zjawiliś się u nas w Chilcat i nie spojrzawszy nawet, kupiłeś mnie jak psa, kazać iść za sobą, serce moje obruszyło się przeciw tobie, pełne trwogi i goryczy. Wiele wody jednak upłynęło od tego czasu. Potem okazałeś mi dużo dobroci, Charley, jak łaskawy pan wiernemu psu. Serce twoje pozostało zimne i nie było w nim miejsca dla mnie. Pomimo to odnosiłeś się do mnie sprawiedliwie, twoje postępowanie było uczciwe.

Widziałam, jak spełniałeś śmiałe czyny i podejmowałeś wielkie przedsięwzięcia.

Porównywałam cię z mężczyznami innych plemion i rozumiałam, że wyróżniasz się spośród nich honorem, mądrym słowem i szczerą mową. Byłam dumna z ciebie, Z każdym dniem coraz bardziej wypełniałeś moje serce i brałeś myśli moje w niewolę. Byłeś dla mnie jako letnie słońce, którego złoty szlak kręgiem się toczy po niebie i nigdy zeń nie schodzi.

Gdziekolwiek padło spojrzenie moich oczu, spotykało słońce. Lecz serce twe pozostało zimne, Cherley, i nie było w nim miejsca dla mnie”.

Rzekłem: “To prawda. Było zimne i nie miało miejsca dla ciebie. Ale to już minęło. Teraz serce moje jest jak śnieg na wiosnę, kiedy powraca słońce. Nastaje wielka odwilż i roztopy, wody ruszają z szumem, wszystko pączkuje i zieleni się; pokrzykują kuropatwy, nucą piegże i wszędzie rozlega się śpiew radosny. Bo oto przysły lody, Passuk, a ja pojąłem miłość kobiety...” Uśmiechnęła się lekko i dała mi znak, bym ją mocniej przytulił. Po chwili rzekła: “Jestem szczęśliwa”. Potem długi czas leżała cicho, oddychając łagodnie z głową na mojej piersi.

Wreszcie szepnęła: “Tu szlak mój się kończy, jestem już zbyt zmęczona. Ale przedtem chcę ci o czymś powiedzieć. Kiedyś, dawnymi czasy, kiedy byłam dziewczynką, w Chilcat, bawiłam się sama wśród stosów futer w szałasie mego ojca. Mężczyźni poszli na łowy, kobiety zaś zajęte były wraz z chłopcami zwożeniem zdobyczy z lasu. Była wiosna. Zostałam zupełnie sama. Nagle wielki brunatny niedźwiedź, obudzony właśnie ze snu zimowego i tak wygłodzony, że futro na nim zwisało, wsunął łeb do szałasu i sapnął głośno. Brat mój właśnie w tej chwili nadbiegł z pierwszymi saniami pełnymi mięsa. Zaczai ciskać w napastnika głowniami z ogniska, psy zaś obskoczyły niedźwiedzia, tak jak stały, w uprzęży i z saniami.

Rozgorzała bitka pełna wrzawy. Walczący zwalili się na ognisko, porozrzucali futra, przewrócili szałas. W końcu niedźwiedź padł trupem, trzymając w paszczy palce mego brata. Na twarzy chłopaka pozostały ślady pazurów. Czy przyjrzałeś się Indianinowi idącemu do Pelly?

Zauważyłeś rękawice bez wielkiego palca i tę dłoń, którą grzał przy naszym ognisku? To był mój brat. Rzekłam, że nie należy dawać mu żywności. I odszedł głodny w krainę milczenia”.

Oto, bracia moi, miłość kobiety Passuk, która umarła w śniegach Jeleniego Rozstaju. Miłość jej była potężna, bo kazała poświęcić rodzzonego brata dla mężczyzny, który prowadził ją ciężką drogą do gorzkiego końca. Miała w sobie miłość tak wielką, że w końcu poświęciła dla niej samą siebie. Zanim oczy Passuk zamknęły się na wieki, ujęła moją rękę i wsunęła sobie na piersi, pod kaftan z wiewiórczych skórek. Dotknąłem małego, mocno ubitego woreczka i zrozumiałem nagle, dlaczego tak z sił opada. Dzień po dniu dzieliliśmy się sprawiedliwie aż do ostatniego okrucucha. I codziennie kobieta jadła tylko pół swojej porcji, chowając resztę do owego woreczka.

Powiedziała jeszcze: “Nadszedł koniec drogi dla Passuk, lecz twoja droga, Charley, biegnie dalej, poprzez wieki Chilcoot w dół aż ku Misji Haines i morzu; wiedzie dalej i dalej, pod światłem wielu słońc, poprzez obce kraje i nieznanne wody; pełna jest lat szczęśliwych, czci i wielkiej chwały; dąży ku chatom wielu kobiet, dobrych kobiet, lecz nie zaprowadzi cię nigdy do uczucia silniejszego nad miłość Passuk”.

Wiedziałem, że mówi prawdę. Ogarnęło mnie szaleństwo; rzuciłem pękaty woreczek, przysięgając, że i mój szlak dobiegł kresu i że przy niej zostanę. Ale przygasłe oczy kobiety wezbrały łzami i wyszeptwała: “Pośród mężczyzn Charley Sitka odznaczał się zawsze honorem, a słowo jego nigdy nie zawodziło. Czyż zapomniał teraz o swej godności, że traci czas na próżne słowa przy Jelenim Rozstaju? Czy nie pamięta już Charley o ludziach z Czterdziestej Mili, którzy oddali mu najlepszą żywność i najsilniejsze psy? Passuk zawsze była dumna ze swego męża. Niechże więc Charley wstanie, przypnie rakiety i rusza naprzód, by Passuk mogła na zawsze zachować swoją dumę”.

Kiedy ostygła mi w ramionach, wstałem, podniosłem woreczek z żywnością, przypiąłem rakiety i powlokłem się naprzód. Słabość ogarnęła moje kolana, kręciło mi się w głowie, szumiało w uszach, a iskry ogniste latały mi przed oczami. Zapomniane przeżycia lat chłopięcych zmartwychwstały mi nagle w pamięci. Siedziałem przy uczcie nad pełną misą, śpiewałem pieśni i tańczyłem pod wtór głosów męskich i dziewczęcych, pod wtór bicia w bębny ze skóry morsa. Potem Passuk ujęła mnie za rękę i szła u mego boku. Gdy zasypiałem

- budziła mnie, kiedy padałem - podnosiła. Jeżeli zbacział w głęboki śnieg - prowadziła mnie z powrotem na właściwą drogę. W taki to sposób - obcując ze zjawami niby szaleniec lub pijak

- doszedłem wreszcie do Misji Haines nad brzegiem morza.

Charley Sitka rozsunał szeroko poły namiotu. Jasność dnia dochodziła szczytu. Na południowej stronie nieba, ważąc się tuż nad ledwie widoczną Przełęczą Hendersona, lśniło słońce jak tarcza lodowa. Po obu jego stronach pałały złudne słońca. Powietrze drgało niby pajęczyna roziskrzonego szronu. Przed namiotem, koło drogi, wilczur zjeżony od chłodu podniósł pysk ku niebu i wył żałośnie.

Przełożył Zygmunt Glinka

Dwa tysiące “mocnych

“Mocny” to tramp. W swoim czasie miałem szczęście podróżować przez kilka tygodni z hordą, która liczyła dwa tysiące głów i znana była pod nazwą “armia Kelly’ego”. W drodze z Kalifornii przez Dziki Zachód generał Kelly i jego bohaterowie szturmem brali pociągi, co się na nic nie zdało, bo po przekroczeniu Missouri napotkali zniewieściały Wschód. Wschód nie miał

najmniejszej ochoty na bezpłatny transport dwu tysięcy łazików. Przez pewien czas armia Kelly’ego czekała bezradnie w Council Bluffs, by, przywiedziona zwłoką do rozpacz, ruszyć na zdobycie pociągu akurat w dniu, kiedy do niej przystałem.

Widok był imponujący. Generał Kelly dosiadł wspaniałego karego rumaka i przyjmował

defiladę - swoich dwu tysięcy “mocnych”, którzy pod rozwiniętymi chorągwiami, w takt bojowych tonów kapeli doboszów i trębaczy, kompania po kompanii maszerowali dwiema dywizjami w stronę torów kolejowych opodal maleńkiej miejsciny Weston, odległej o siedem mil. Jako najświeższy rekrut, znajdowałem się w ostatniej kompanii ostatniego pułku drugiej dywizji - i to w ostatniej czwórce straży tylnej. Armia legła biwakiem obok linii kolejowej lub raczej linii kolejowych, gdyż było ich dwie - do Chicago, Milwaukee i Saint Paul oraz do Rock Island.

Zamierzaliśmy opanować pierwszy pociąg, lecz władze kolejowe pokrzyżowały nasze plany i zdecydowanie wygrały. Pierwszego pociągu nie było. Dwa towarzystwa kolejowe doszły do porozumienia i ruch zawiesiły. Obozowaliśmy więc przy zamarłych torach, a tymczasem dobrzy ludzie z Omaha i Council Bluffs zaczęli działać. Trwały przygotowania, aby utworzyć bandę, zawładnąć pociągiem w Council Bluffs i złożyć go nam w darze przyprowadziwszy szczęśliwie do Weston. Ale i tę grę zwietrzyły władze kolejowe. Nie czekały na organizujące się bandy. Wczesnym rankiem drugiego dnia lokomotywa z jednym wagonem osobowym podjechała do stacji i stanęła na bocznicu. Był to znak, że powraca zamarłe życie, więc cała armia rozmieściła się wzdłuż torów.

Nigdy jednak życie nie wracało na opustoszałe szyny w sposób równie przewrotny jak tamtym razem. Od zachodu przeszył powietrze gwizd parowozu. Zbliżał się, zmierzał ku wschodowi.

My też zmierzaliśmy ku wschodowi. Poruszenie przebiegło długie szeregi. Gwizd rozbrzmiewał raz po raz, gwałtownie, zawzięcie; rozwijając maksymalną szybkość pociąg przemknął z łoskotem. Nie ma na świecie trampa, który potrafiłby złapać taki pociąg.

Zagwizdała następna lokomotywa i drugi pociąg przeleciał rozwijając maksymalną szybkość -

po drugim, trzeci, czwarty i tak pociąg po pociągu do ostatniego, którego skład stanowiły wagony osobowe, kryte i otwarte towarowe, nieczynne lokomotywy, wagony brekowe, ambulansy pocztowe, platformy remontowe, cały wybrakowany park gromadzony zazwyczaj na wielkich stacjach kolejowych. Wreszcie bocznicę Council Bluffs zostały kompletnie oczyszczone, lokomotywa z jednym wagonem osobowym ruszyła ku wschodowi, tory zamarły powtórnie i na dobre.

Upłynął dzień jeden i drugi. Nic się nie działo. Wzdłuż torów biwakowały dwa tysiące trampów nękanych deszczem ze śniegiem, mżawką, gradem. Jednakże nocą dobrzy ludzie z Council Bluffs zyskali jeden punkt przewagi nad władzami kolejowymi. Uformowana tam banda przeprawiła się za rzekę do Omaha i połączywszy się z drugą bandą zrobiła wypad na stację towarzystwa kolejowego Union Pacific. Wspólnymi siłami zacni ludzie najprzód zdobyli parowóz, później zestawili jakoś pociąg, zatłoczyli go niemiłosiernie i przyjechali do nas linią z Rock Island. Władze kolejowe starały się udaremnić również tę akcję, lecz poniosły klęskę ku śmiertelnej trwodze zawiadowcy odcinka drogowego i jakiegoś funkcjonariusza stacyjnego z Weston. Ci dwaj posłuszni sekretnemu rozkazowi nadesłanemu telegraficznie, próbowali rozkręcić szyny i wykoleić tłum naszych sympatyków. Przyłapani na gorącym uczynku, otoczeni przez dwa tysiące rozjuszonych trampów, zawiadowca odcinka drogowego oraz jego zauszniak gotowali się na śmierć. Nie przypominam sobie, co ich ocaliło - zapewne nadejście pociągu.

Obecnie przyszła kolej na naszą porażkę i rzeczywiście tak się stało. Połączone bandy z Council Bluffs i Omaha przeholowały w pośpiechu i zapomniały, że pociąg musi być wystarczająco długi. Nie było w nim miejsca dla dwu tysięcy łazików. Wobec tego połączone bandy i nasza armia wznosiły entuzjastyczne okrzyki, bratały się i przed rozstaniem śpiewały pieśni. Bandy odjechały do Omaha zdobytym pociągiem, my rozpoczęliśmy następnego rana stuczterdziestomilowy marsz do Des Moines. Po przekroczeniu Missouri Kelly'ego została spieszona i od tej pory nigdy nie wznowiła podróży koleją. Zabieg ten kosztował moc pieniędzy władze kolejowe, które jednak wychodziły z założeń zasadniczych i postawiły na swoim.

Underwood, Leola, Menden, Avoca, Walnut, Marno, Atlantic, Wyoto, Anita, Adair, Adam, Casey, Stuart, Dexter, Carlham, De Soto, Van Meter, Booneville, Commerce, Valley Junction -

jak odradzają się w pamięci nazwy miejscowości, kiedy śledzę na mapie szlak naszej wędrówki przez żyzne ziemie Iowy! A ten gościnnie lud farmerów! Wyciągali wozy, aby podwozić nam bagaż. Przy drogach podejmowali nas gorącymi obiadami. Burmistrz małych, zasobnych miasteczek wygłaszali mowy powitalne i co tchu wyprawiali kolumnę w dalszą drogę. Na spotkanie wychodziły nam delegacje małych dziewczynek i pańien, a dobrzy obywatele setkami wylęgali z domów, aby ująwszy się za ręce tworzyć kordon i przeprowadzać nas główną ulicą swojego miasta. Nasza wizyta sprawiała takie wrażenie, jak przyjazd cyrku, a zdarzało się to co dzień, gdyż po drodze napotykałiśmy wiele miasteczek.

Wieczorami ludność zalewała biwaki. Każda kompania miała własne ognisko i przy każdym ognisku coś się działo. Kucharze z mojej kompanii - kompanii "L" - byli mistrzami śpiewu i tańca, więc stanowili gwóźdź programu. W innej części obozowiska popisywał się chór, a jednym z jego solistów był wypożyczony z naszej kompanii "Dentysta", co napawało nas nie lada dumą. Wyrwał on zęby całej armii, a że zabiegi odbywały się przeważnie w czasie posiłków, znaczna różnorodność wydarzeń wpływała zbawiennie na nasze trawienie. Dentysta nie dysponował środkami znieczulającymi, łatwo jednak znajdował dwu lub trzech ochotników, którzy z prawdziwą przyjemnością trzymali pacjenta. Niezależnie od imprez organizowanych przez poszczególne kompanie, często odprawiano modły pod kierunkiem miejscowych kaznodziejów, nigdy zaś nie brakowało chętnych do wygłaszania przemówień politycznych.

Wszystko to działo się naraz, niby w dobrze zorganizowanym wesołym miasteczku podczas

wielkiego jarmarku. Pośród dwu tysięcy trampów znajdzie się wiele talentów. Przypominam sobie, że mieliśmy wyborową dziewiątkę baseballa, która każdej niedzieli - niekiedy nawet dwa razy - organizowała spotkania z lokalnymi drużynami.

W ubiegłym roku, kiedy podróżując z odczytami wjeżdżałem do Des Moines pulmanem -

naturalnie prawdziwym, nie "pulmanem z bocznymi drzwiami" - na krańcach miasta zobaczyłem stare cieplarnie i serce zabiło mi żywiej. Tutaj, w tych cieplarniach, przed dwunastoma laty, armia stanęła obozem i przysięgła uroczyscie, że ma zbolale nogi i dalej nie zrobi kroku. Opanowaliśmy cieplarnie i oznajmili mieszkańcom Des Moines, że zamierzamy zostać - przyszliśmy, ale za nic nie odejdziemy. Des Moines to miasteczko gościnne, niezdolne jednak wytrzymać zbyt dużo. Zechciej, miły czytelniku, zrobić prosty rachunek arytmetyczny. Dwu tysiącom trampów potrzeba trzech posiłków dziennie, co czyni sześć tysięcy posiłków na dzień, czterdzieści dwa tysiące na tydzień lub sto sześćdziesiąt osiem tysięcy podczas miesiąca najkrótszego w kalendarzu. To kosztuje, a że nie mieliśmy pieniędzy, kłopot spadał na Des Moines.

Ludność miasta była w rozpacz. Tkwiłiśmy na biwaku, wygłaszali przemówienia polityczne, organizowali koncerty religijne, grali w baseballa lub krykieta i każdego dnia zjadali sześć tysięcy posiłków, a Des Moines płaciło. Obywatele pertraktowali z towarzystwami kolejowymi, lecz te były uparte. Orzekły, że nie pojedziemy, i sprawa załatwiona. Pozwolenie nam na jazdę stworzyłoby precedens, a o takim precedensie towarzystwa kolejowe nie chciały słyszeć. Więc jedliśmy nadal i to było najtragiczniejsze w tej całej sytuacji. Wybieraliśmy się do Waszyngtonu, więc Des Moines musiałyby rozpisać pożyczkę municypalną, by pokryć koszt naszego przejazdu nawet po taryfie ulgowej. Z drugiej strony musiałyby rozpisać pożyczkę municypalną celem zaprowiantowania dwutysięcznej armii.

Nagle jakiś miejscowy geniusz rozwikłał problem. Nie chcemy maszerować - zgoda! Wobec tego pojedziemy. Od Des Moines do Keokuk nad Missisipi płynie rzeka Des Moines, której wspomniany odcinek mierzy z grubsza trzysta mil. Miejscowy geniusz osądził, iż możemy odbyć podróż drogą wodną, jak zostaniemy zaopatrzeni w stosowną flotyllę. Udamy się z biegiem Missisipi do Ohio, następnie zaś pod prąd Ohio i ostatecznie do Waszyngtonu odbędziemy niedługi spacer przez góry.

Des Moines ogłosiło subskrypcję i społecznie usposobieni obywatele zaofiarowali kilkanaście tysięcy dolarów. Sprowadzono pokaźne ilości drewna, lin, gwoździ, bawełny do kalfatażu i na brzegach rzeki Des Moines rozkwitła wielka era szkutnictwa. Niestety, Des Moines to nędzna struga, niesłusznie zaszczykana mianem rzeki. Na rozległych obszarach naszego Zachodu zasłużyłaby najwyżej na nazwę strugi. Najstarsi mieszkańcy miasteczka kiwali głowami, mówiąc, że nie uda się przedsięwzięcie. W rzece nie starczy wody, by nas spławić. Miasto nie dbało o to. Zależało mu jedynie, aby nas wyprawić w drogę, a my, doskonale odżywieni optymiści, nie przejmowaliśmy się również.

W środę, dziewiątego maja 1894 roku, wyruszyliśmy w drogę rozpoczynając gigantyczny piknik. Des Moines wykręciło się stosunkowo łatwo i niewątpliwie winne jest spizowy pomnik lokalnemu geniuszowi, który uwolnił je od plagi. Oczywiście miasto musiało zapłacić za łodzie; ponadto zjedliśmy sześćdziesiąt sześć tysięcy posiłków i dodatkowe dwanaście tysięcy zabraliśmy jako prowiant na wypadek głodu wśród dzikich bezdroży. Któż jednak wyobrazi sobie przebieg

wydarzeń, gdybyśmy w Des Moines spędzili jedenaście miesięcy, nie jedenaście dni? Na pożegnanie zapowiedzieliśmy ludności miasta, że wrócimy, jeżeli rzeka nas zawiedzie.

Dobrze było mieć w magazynie dwanaście tysięcy posiłków, a bez wątplenia najlepiej dla opiekunów tego magazynu, który zawieruszył się niebawem i przynajmniej moja krypa nie oglądała go ani razu. Podczas wędrówki rzecznej system podziału na kompanie uległ

beznadziejnemu poplątaniu. W każdym zgromadzeniu ludzkim, w każdym obozie muszą znaleźć się w pewnych proporcjach dekownicy, niedojdy, przeciętniacy, spryciarze. W mojej łodzi znalazła się śmietanka kompanii "L" - dziesięciu chłopców spryciarz w spryciarza.

Trafiłem do nich sz dwu racji. Przede wszystkim byłem spryciarzem nie gorszym niż inni. Po drugie, mój przydomek brzmiał "Jack-żeglarz", musiałem zatem znać się na łodziach i podróżowaniu drogą wodną. Nasza dziesiątka zapomniała rychło o pozostałych czterdziestu z kompanii "L", a gdy minął ją jeden posiłek, zapomniała też o magazynie prowiantowym oraz intendentach. Zyskaliśmy niezależność. Na własną rękę płynęliśmy z biegiem rzeki, wyprzedzali inne łodzie, organizowali żarcie i, przyznając ze wstydem, nieraz zagarnialiśmy żywność, którą farmerzy przygotowali dla całej armii. Na znacznej części trzystumilowego odcinka byliśmy zwykle o pół dnia lub nawet dzień drogi przed siłami głównymi. Udało nam się zdobyć kilka amerykańskich flag, kiedy więc dostrzegaliśmy jakąś miejscowość albo zgromadzoną nad brzegiem grupę farmerów, rozwijaliśmy owe flagi i tytułując się strażą przednią żądaliśmy wyjaśnień na temat prowiantu przysposobionego dla armii. Naturalnie reprezentowaliśmy tę armię i nam przekazywano zapasy żywności. Ale nie było w nas małostkowej chciwości. Nigdy nie zabieraliśmy więcej, niż dało się unieść, unosząc oczywiście to, co najlepsze. Nie odrzuciliśmy na przykład tytoniu wartości kilku dolarów, ofiarowanego przez jakiegoś wspaniałomyślnego farmera. Nie odrzucaliśmy masła i cukru, kawy i puszek z konserwami. Ale tam, gdzie zapasy składały się z worków grochu i mąki lub dwu czy trzech świeżo zarżniętych wołów, rezygnowaliśmy z nich bez wahania rzucając rozkaz, by prowiant wydać intendentom, których łódź podąża naszym śladem.

Do licha! Zaradna dziesiątka zbierała śmietankę z nadrzecznych okolic! Przez długi czas generał Kelly daremnie usiłował nas poskromić. W lekkim, krągłodennym czólnie wyprawiał

dwu wioślarzy, którzy mieli doścignąć nas i położyć kres pirackim praktykom. Pościg udał się -

rzecz zrozumiała - ale ich było dwu, nas dziesięciu. Oznajmili, że są upoważnieni przez samego generała, by nas aresztować, kiedy zaś daliśmy wyraz swemu niezadowoleniu, pośpieszyli do najbliższej miejsciny i zażądali pomocy od czynników oficjalnych. Wobec tego natychmiast wysiedliśmy na brzeg, przyrządzili wczesną kolację i pod osłoną nocy minęli najbliższą miejscinę wraz z jej czynnikami oficjalnymi.

Część tej podróży uwieczniłem w dzienniku. Odczytuję go teraz i wciąż napotykam zwrot powtarzający się uparcie: "Jedzenie dobre". Jedliśmy dobrze - to prawda. Gardziliśmy nawet kawą na wodzie. Naszą kawę przyrządzaliśmy na mleku nazywając ten boski napój - o ile sobie przypominam - "jasna wiedeńska".

Zaradna dziesiątka znajdowała się na czele i zbierała śmietankę, intendenci pozostawali daleko w

tylę, a zagubione pośrodku siły główne przymierały głodem. Postępowaliśmy niesumiennie wobec armii - przyznaję - lecz naszą grupę tworzyło dziesięciu indywidualistów.

Nie brakowało nam inicjatywy, przedsiębiorczości oraz głębokiej wiary, że prowiant winien przypadać temu, kto pierwszy przybędzie; "jasna wiedeńska" słusznie należy się silnym. Lecz armia musiała się obejść bez żarcia przez czterdzieści osiem godzin. Wreszcie zrobiła postój w małym miasteczku o mniej więcej trzystu mieszkańcach. Nazwy tego miasteczka nie pamiętam, lecz zdaje mi się, że brzmiała Red Rock. Podobnie jak we wszystkich miejscowościach na drodze armii ludność Red Rock utworzyła komitet bezpieczeństwa.

Licząc po pięć osób na rodzinę było tam około sześćdziesięciu rodzin. Cóż dziwnego, że komitet bezpieczeństwa zdrętwiał ze strachu, gdy miasto nawiedziły dwa tysiące zgłodniałych trampów, a łodzie ich stanęły u brzegu rzeki w dwu albo trzech szeregach. Generał Kelly był

uczciwy i prawy. Nie zamierzał dręczyć nieszczęsnej miejsciny. Rozumiał, że sześćdziesiąt rodzin nie może dostarczyć darmo dwu tysięcy posiłków. Zresztą armia miała swój skarbiec.

Ale komitet bezpieczeństwa zupełnie stracił głowę. "Nie współdziałać z najeźdźcą" - to była ich dewiza, kiedy więc generał Kelly chciał kupić żywność, komitet odmówił z miejsca. Nie było nic na sprzedaż. Pieniądze generała Kelly były nieważne w tamtym mieście. Wówczas generał

Kelly zaczął działać. Zabrzmiały surmy. Armia opuściła łodzie i wzdłuż wybrzeża rzeczki uformowała szereg bojowy. Generał Kelly nie szafował słowami.

- Chłopcy! - rozpoczął - kiedy jedliście ostatni raz?

- Przedwczoraj - odkrzyknęli chłopcy.

- Głodni jesteście?

Powietrze zadrżało od potężnego "tak"! z dwu tysięcy gardzieli. Wtedy generał Kelly zwrócił się do komitetu bezpieczeństwa:

- Zechcą panowie ocenić sytuację. Moi ludzie nie jedli od czterdziestu ośmiu godzin. Jeżeli wypuszczę ich na miasto, nie odpowiadam za rozwój wydarzeń. Są gotowi na wszystko.

Chciałem zakupić dla nich prowiant, panowie odmówili sprzedaży. Teraz cofam ofertę. Nie proszę już. Wymagam. Na decyzję zostawiam pięć minut. Albo zarzną panowie sześć wołów i wydadzą cztery tysiące posiłków, albo wypuszczę swoich ludzi. Pięć minut, proszę panów.

Przerażony komitet bezpieczeństwa spojrział na dwa tysiące zgłodniałych łazików i skapitulował. Nie czekał pięciu minut. Uznał, że nie ma wyboru. Rzeź wołów i rekwizycja żywności rozpoczęły się niezwłocznie. Armia zjadła suty obiad.

Tymczasem dziesiątka bezlitosnych indywidualistów sunęła przodem i wybierała wszystko, co w ręce wpadło. Ale generał Kelly poradził sobie nawet z nami. Obydwoma brzegami rzeki wyprawił

jeźdźców, którzy ostrzegali farmerów oraz ludność miejską. Zadanie to spełnili bez zarzutu. Gościnnie uprzednio farmerzy gotowali nam lodowate przyjęcie albo gdy próbowaliśmy lądować, wzywali policjantów i spuszczały psy. Wiem o tym z osobistego doświadczenia. Dwa psy opadły mnie w miejscu odgrodzonym od rzeki płotem z drutu kolczastego. Dźwigałem dwa wiadra mleka na "jasną wiedeńską". Nie uszkodziłem płotu, ale piliśmy tamtego dnia ordynarną kawę gotowaną na zwyczajnej wodzie, no i musiałem "wpaść" do pewnej miejscowości w poszukiwaniu pary znośnych spodni. Ciekaw - jestem, łaskawy czytelniku, czy próbowałeś kiedy przesadzić szybko płot z drutu kolczastego mając w prawej i lewej ręce po wiadrze mleka? Od tamtej pory żywię szczególnie uprzedzenie wobec drutu kolczastego i zbieram dane statystyczne w tej materii.

Póki wyprzedzali nas dwaj jeźdźcy generała Kelly'ego, nie było mowy o dostatnim wyżywieniu, wobec czego powróciliśmy do armii, aby wszcząć rewolucję. Była to afera nieznacznej miary, rozbiła jednak kompanię "L" drugiej dywizji. Kapitan tej kompanii nie chciał przyjąć - jak się wyraził - dezertersów, zdrajców, maruderów i gdy pobierał z intendencji prowiant dla podkomendnych, nam nic nie dawał. Nie docenił nas - w przeciwnym razie nie skąpiłby żarcia takiej dziesiątki. Rychło poczęliśmy spiskować z porucznikiem, który przystał do nas wraz z załogą swojej łodzi, za co został obwołany kapitanem nowej kompanii "M". Dowódca kompanii

"L" podniósł raban. Wzięli się do nas generał Kelly, pułkownik Speed, pułkownik Baker. Ale nasza dziesiątka trzymała się mocno i rewolucję zalegalizowano.

Nadal nie zawracaliśmy sobie głowy intendenturą. Nasi spryciarze wyciskali z farmerów lepszy prowiant. Ale świeżo kreowany kapitan żywił pewne podejrzenia wobec doborowej dziesiątki.

Nie wiedział, kiedy zobaczy nas znowu, jeżeli z rana wysuniemy się na czoło, postanowił więc ugruntować swoją władzę i w tym celu wezwał kowala. Rufa naszej łodzi została opatrzona dwoma mocnymi kółkami z żelaza. Odpowiednio dopasowane potężne haki znalazły się na dziobie drugiej łodzi. Kropy ustawiono jedna za drugą, haki trafiły w kółka i to definitywnie załatwiło sprawę. Temu kapitanowi nie mogliśmy się zgubić. Ale byliśmy niepokonani. Nawet z kajdanów potrafiliśmy ukuć cudowne urządzenie, które pozwoliło nam wysforować się przed siły główne.

Jak wszystkie wielkie wynalazki, ten również powstał przypadkowo. Odkrycie nastąpiło, gdy pierwszy raz nadzialiśmy się na karpę w wartkim nurcie. Czołowa łódź utknęła, druga szarpana prądem obracała ją na przeszkodzie. Daremnie usiłowaliśmy się jakoś wyzwolić.

Wtedy zakomenderowałem, aby załoga czołowej łodzi przeszła do drugiej. W mgnieniu oka czołowa łódź spłynęła gładko i ludzie powrócili na swoje miejsca. Od tej pory przestały nas trwożyć karpy, głazy, mielizny i inne zatory na rzece. W momencie kiedy łódź czołowa grzęzła, załoga jej przeskakiwała do drugiej. Oczywiście czołowa zyskiwała swobodę ruchów, osiadała natomiast druga. Wówczas dziesiątka zuchów przenosiła się automatycznie z drugiej łodzi do czołowej i druga łódź nabierała sprawności.

Kropy używane przez armię nie różniły się między sobą. Wszystkie były szerokie i krótkie, miały płaskie dno i zarys czworokątny. Ich szerokość wynosiła sześć stóp, długość dziesięć, głębokość półtorej stopy. Kiedy zatem siedziałem u steru drugiej z połączonych hakami łodzi, miałem przed sobą statek dwadzieścia stóp długi, wypełniony dwudziestką tęgich trampów, którzy zmieniali się

przy wiosłach i żerdkach pychowych, a ponadto zawierający koce, sprzęt kuchenny, nasze prywatne zapasy żywności.

Generał Kelly nadal miał z nami kłopoty. Odwołał swoich jeźdźców, by zastąpić ich trzema łodziami policyjnymi, które tworzyły straż przednią i nie pozwalały wyprzedzać się komukolwiek. Statek transportujący kompanię "M" miał na pieńku z tymi łodziami. Naturalnie łatwo mogliśmy wysforować się do przodu, lecz nie chcieliśmy naruszać dyscypliny. Wobec tego zachowywaliśmy przyzwoitą odległość od ruf łodzi policyjnych i oczekiwali sposobności.

Oczekiwaliśmy cierpliwie, chociaż wiedzieliśmy, że przed nami leży dziewicza kraina farmerów - nie obzebrana, więc hojna. Trzeba nam było tylko białej wody, kiedy zatem minęliśmy kolano rzeczki i zobaczyli odcinek o wartkim prądzie, zdaliśmy sobie sprawę, co nastąpić musi. Bęc!

Pierwsza łódź policyjna trafia na kamień. Buch! Coś całkiem podobnego przytrafia się drugiej.

Łup! Trzecia dzieli los poprzedniczek. Oczywiście i nas spotkało to samo, ale... raz, dwa!

Załoga czołowej łodzi znajduje się w drugiej. Raz, dwa! Wszyscy są już w czołowej łodzi, druga się opróżnia. Raz, dwa! Obie załogi powracają na dawne miejsca i całość sunie z nurtem.

- Stać! Stać, łobuzy! - wrzeszczą tamci z policyjnych łodzi.

- Nie da rady! Niestety ta cholerna woda! - biadamy mknąc wartkim prądem ku gościnnej krainie farmerów, aby śmietanką jej bogactw uzupełniać prywatne zapasy żywności.

Znowu pijemy "jasną wiedeńską" i wierzymy głęboko, że prowiant słusznie należy się temu, kto pierwszy przybędzie.

Biedny generał Kelly! Musiał wykombinować inny sposób. Cała flotylla wystartowała przed nami. Kompania "M" drugiej dywizji zajęła w szyku miejsce właściwe, czyli ostatnie. Ale skuteczna rada na ten nowy sposób kosztowała ledwie jeden dzień. Przed sobą mieliśmy dwadzieścia pięć mil trudnej wody - same głazy, wiry, mielizny, karpy. Właśnie na myśl o tym odcinku najstarsi mieszkańcy Des Moines z powątpiewaniem kiwali głowami. Blisko dwieście łodzi rozpoczęło żeglugę przez trudną wodę i niebawem szyk poplątał się zadziwiająco. Tylko my sunęliśmy niby po maśle między uwiecznionymi kryptami. Jedynie drogą lądową można było ominąć głazy, płycizny, karpy. My jednak nie potrzebowaliśmy omijać niczego. Szliśmy prosto na przeszkody. Raz, dwa! Raz, dwa! Załoga czołowej łodzi do drugiej, później odwrotnie i znów na dawne miejsca. Wieczorem rozbiliśmy obóz i leniuchowaliśmy przez cały dzień następny czekając, aby armia połatała uszkodzone łodzie i zrównała się z nami.

Nasza złośliwość nie znała granic. Postawiliśmy maszt, podnieśli żagle-koce i odbywali podróż w skróconym czasie, gdy wszyscy inni mozolili się w godzinach nadliczbowych, aby nie stracić nas z oczu.

Generał Kelly odwołał się do dyplomacji. Na zwykłą modłę nie zdołałaby nas doścignąć żadna jednostka pływająca. Nie ulegało wątpliwości, że stanowimy szajkę najtęższych zuchów na wodach

Des Moines. Zlikwidowano łodzie policyjne, nasz pokład zaszczycił swoją obecnością pułkownik Speed i w asyście tego wybitnego oficera pierwsi osiągnęliśmy Keokuk nad Missisipi. Obecnie chciałbym powiedzieć generałowi Kelly'emu oraz pułkownikowi Speedowi: oto moja prawica! Obydwaj byliście bohaterami, godnymi miana prawdziwego mężczyzny.

Gorzko żałuję co najmniej dziesięciu procent przykrości, jakie sprawiła wam czołowa łódź kompanii "M".

W Keokuk z całej flotylli związano jedną kolosalną tratwę i po dniu żeglugi z wiatrem wziął nas na hol parowiec płynący z biegiem Missisipi do Quincy w stanie Illinois. Tam stanęliśmy obozem na Gęziej Wyspie, położonej opodal przeciwległego brzegu rzeki. Zaniechano metody jednej tratwy. Łodzie łączone w grupy po cztery nakrywano spiesznie pokładami. Ktoś powiedział mi, że Quincy to miasto najbogatsze wśród miast swojej miary, jak Stany Zjednoczone długie i szerokie. Skoro to usłyszałem, odczułem nieposkromioną pokusę, by

"tam wdepnąć". Rzecz zrozumiała. Nikt z odrobiną oleju w głowie nie mógł pominąć równie obiecującej miejscowości. Przeprowiłem się przez rzekę małym czółnem, wróciłem zaś w okazałej barce, załadowanej po burtę rezultatami "wdepnięcia". Oczywiście zatrzymałem na własne potrzeby całą zebraną gotówkę - sporą mimo uregulowania należności za wynajem barki. Pamiętałem też o dolnej bieliźnie, skarpetkach, wierzchniej garderobie, koszulach, obuwiu, nakryciu głowy. Później kompania "M" wzięła, co jej było trzeba, i stos godny jeszcze uwagi oddaliśmy kompanii "L". Niestety, w owe dni byłem młody i rozrzutny. Pocziwym ludziom z Quincy opowiedziałem tysiąc historyjek, z których każda była dobra. Później, kiedy zabrałem się do pisania dla rozmaitych magazynów, nieraz biadałem nad obfitością treści i skarbami wyobraźni, którymi obdarzyłem wtedy szczerze Quincy w stanie Illinois.

Niepokonana dziesiątka rozpadła się w mieście Hannibal w stanie Missouri - rozpadła się bez planu, całkiem spontanicznie. "Kotlarz" i ja zdezerterowaliśmy ukradkiem. Tego samego dnia Scotty i Davy odbyli spieszną przeprawę na brzeg rzeki po stronie stanu Illinois. Ulotnili się także McAvoy i "Ryba". Z dziesiątki ubyło sześciu, a co stało się z pozostałymi czterema, nie mam pojęcia. Jako próbkę życia "na szlaku" przytoczę kilka fragmentów mojego dziennika, pochodzących z okresu bezpośrednio po dezercji.

"Sobota. 26 maja. O godzinie 2.11 w nocy złapaliśmy pośpieszny, który zwolnił na rozjeździe.

Scotty i Davy zostali zdjęci zaraz. Nas czterech zdjęto o czterdzieści mil dalej, na stacji Bluffs.

Po południu «Ryba» i McAvoy złapali towarowy, kiedy «Kotlarz» i ja poszliśmy skombinować coś na ząb".

"Niedziela. 27 maja. O godz. 3.21 w nocy złapaliśmy pośpieszny. Na ślepej platformie bagażowego byli Scotty i Davy. Wszyscy zostaliśmy zdjęci w Jacksonville, już za dnia.

Przebiega tędy linia C. i A. , chyba więc przesiądziemy się na nią. «Kotlarz» poszedł dokądś i nie wrócił. Pewno złapał towarowy."

“Poniedziałek. 28 maja. «Kotlarza» nie ma. Scotty i Davy znaleźli gdzieś nocleg i nie przyszli w porę, by złapać osobowy K.C. o 3.30. Ja złapałem go i po wschodzie słońca wylądowałem w Masson City, mieście o dwudziestu pięciu tysiącach mieszkańców. Tam złapałem pociąg bydłocy i jechałem przez całą noc.”

“Wtorek. 29 maja. O 7 rano przybyłem do Chicago...”

Po wielu latach, będąc w Chinach, dowiedziałem się z niemałą przykrością, że metoda żeglugi zastosowana na trudnych wodach Des Moines (Raz, dwa! Raz, dwa! Czołowa łódź, druga.

Druga, czołowa.) nie była oryginalnym wynalazkiem. Identyczny system stosują od tysięcy lat chińscy przewoźnicy rzeczni. Ale pomysł jest sprytny - sprytny, jeżeli nawet nie nasz własny.

Odpowiada testowi prawdy doktora Jordana: “Czy to spełni zadanie? Czy powierzyłbyś temu własne życie?”

Przełożył Tadeusz Jan Dehnel

Przygoda Marcusa O'Briena

Sąd postanawia, że musicie opuścić osadę... W sposób ustalony zwyczajem, tak, w sposób ustalony zwyczajem.

Sędzia Marcus O'Brien był roztargniony; Mucluc Charley trącił go pod żebro. Marcus O'Brien odchrząknął i ciągnął dalej:

- Zważywszy powagę przestępstwa, jak również okoliczności łagodzące, sąd doszedł do wniosku i postanowił, że należy zaopatrzyć was w żywność na trzy dni. To wszystko.

Jack z Arizony rzucił ponure spojrzenie na Yukon. Rzeka toczyła swe wzdęte, niezgruntowane, czekoladowe wody, rozlane na milę « szeroko. Brzeg wznosił się tu zwykle na dwanaście stóp ponad wodę, ale teraz Yukon szumiał nieomal równo z jego poziomem, pożerając co chwila okruchy ziemi. Spadały one prosto w rozwarte gardziele nieskończonych zastępów brunatnych wirów i znikwały natychmiast. Jeszcze kilka cali, a wody zalałyby Red Cow.

- Nie wystarczy - powiedział z goryczą Jack. - Żywność na trzy dni to za mało.

- A Manchester? - odparł poważnie Marcus O'Brien. - Nie dostał w ogóle jedzenia.

- No i znaleźli jego trupa wyrzuconego na brzeg Dolnej Rzeki i na wpół zżartego przez psy -

brzmiała odpowiedź Jacka z Arizony. - A zabił bez zaczepki. Joe Beeves nawet słowa nie pisnął, a Manchester, tylko dlatego, że był nie w sosie, wsadził mu kulę. Nie jesteście sprawiedliwi, O'Brien, mówię wam otwarcie. Dajcie mi żarcia na tydzień, to będę miał jakąś szansę. Jak dostanę tylko na trzy dni, to leżę.

- Dlaczegoście zabili Fergusoną? - zapytał O'Brien. - Brak mi już cierpliwości do tych nie

sprowokowanych zabójstw. To się musi skończyć, bo w Red Cow nie ma za dużo ludzi. To porządna osada i nigdy tu nie było morderstw, a teraz pienia się jak zaraza. Żal mi was, Jack, ale musicie posłużyć za przykład. Ferguson nie zrobił wam nic takiego, żeby go aż zabijać.

- Nie zrobił? - parsknął Jack z Arizony. - Powiadam wam, O'Brien, że nic nie rozumiecie. Nie macie za grosz artystycznej wrażliwości. Pytacie, dlaczego zabiłem Fergusona? A dlaczego Ferguson śpiewał: "Gdybym był ptaszkiem małym"? To chciałbym wiedzieć. Odpowiedzcie mi. Dlaczego śpiewał: "ptaszkiem małym, ptaszkiem małym"? Jeden ptaszek by wystarczył. Jednego jeszcze bym zniósł. Ale nie; on musiał

śpiewać o dwóch! Dałem mu szansę. Podszedłem do niego strasznie grzecznie i poprosiłem uprzejmie, żeby z jednego zrezygnował. Namawiałem go. Są świadkowie, którzy to potwierdzili..

- Ten Ferguson nie był znowu takie słowicze gardziołko - odezwał się ktoś z tłumu.

O'Brien zawahał się.

- Czy człowiek nie ma prawa do artystycznych uczuć? - pytał Jack z Arizony. - Ostrzegłem Fergusona. Dalsze słuchanie o tych jego ptaszkach było przeciwne mojej naturze. Ba, bywają tacy wytrawni i wrażliwi znawcy muzyki, że zabiliby człowieka za dużo błahszą rzecz niż ja.

Chętnie zapłacę za swoje artystyczne uczucia. Przełknę lekarstwo i jeszcze łyżkę obliżę, ale żarcie na trzy dni to lekka przesada, bo to jest tak, jakbym już wykitował. No dalej, róbcie ten pogrzeb.

O'Brien jeszcze się wahał. Zerknął pytająco na Mucluca Charleya.

- Ja bym powiedział, sędzio, że żarcie na trzy dni to krzynekę za surowo - poddał tamten - ale to już sędzia decyduje. Wybraliśmy was do tego sądu, zgodziliśmy się stosować do waszych postanowień i takeśmy, psiakrew, robili, i dalej będziemy robić.

- No, może i byłem trochę za surowy, Jack - powiedział pojednawczo O'Brien - bo taki jestem podminowany tymi zabójstwami. Zgadzam się dać wam żywność na tydzień. - Odchrząknął

dostojnie i rozejrzał się zwawo dookoła. - A teraz możemy już kończyć sprawę. Łódź jest gotowa. Idźcie po żywność, Leclair. Rozliczymy się później.

Jack z Arizony był wyraźnie kontent. Mruczając coś na temat "cholernych ptaszków" wsiadł do łodzi ocierającej się gwałtownie o brzeg. Było to spore czółno z nie heblowanych desek sosnowych, piłowanych ręcznie z drzew, które rosły nad jeziorem Lindeman, o kilkaset mil w górę rzeki, u stóp Chilcoot. W łodzi leżała para wiosel i koce Jacka. Leclair przyniósł żywność w worku od mąki i załadował ją do łodzi szepcząc:

- Dałem ci dobrą miarę, Jack. Boś zabił sprowokowany. - Odepchnijcie! - zawołał Jack z Arizony.

Ktoś odwiązał cumę i wrzucił ją do łodzi. Prąd porwał łódź, okręcił ją i poniósł. Morderca nie kwapił się do wiosel; przysiadł tylko na rufie i skręcił papierosa. Gdy skończył, potarł zapałkę i zapalił. Patrzący z brzegu mogli dostrzec małe kłęby dymu. Pozostali tam, póki łódź nie zniknęła za

zakrętem o pół mili w dół rzeki. Sprawiedliwości stało się zadość.

Mieszkańcy Red Cow ustanawiali prawa i wykonywali wyroki bez owego przewlekania, które jest właściwe łagodnej cywilizacji. Nad Yukonem nie było innych praw poza tymi, które sami sobie ustanowili. Musieli to czynić sami. Red Cow kwitło nad brzegami Yukonu od dawna - już w roku 1887 - kiedy Klondike i tłumne do niego wędrowki były jeszcze sprawą nie przeczuwanej przyszłości. Ludność Red Cow nie wiedziała nawet, czy jej osada znajduje się na Alasce, czy na Północno-Zachodnim Terytorium, czy żyją pod gwiazdzistym sztandarem, czy też pod flagą brytyjską. Nie trafił tu żaden przedstawiciel władz, który by podał im długość i szerokość geograficzną tego miejsca. Wiedzieli, że Red Cow leży gdzieś nad Yukonem i to im wystarczało. Jeżeli idzie o sztandary, to i tak znajdowali się poza wszelką jurysdykcją. A jeśli idzie o prawo, to żyli na ziemi niczyjej.

Sami więc stanowili prawa, a były one bardzo proste. Wyroki wykonywał Yukon. Około dwóch tysięcy mil poniżej Red Cow wpada on do Morza Beringa deltą szeroką na sto mil. Te dwa tysiące mil były od początku do końca dzikim pustkowiem. Co prawda tam, gdzie Porcupine wpada do Yukonu w obrębie Kręgu Polarnego, znajdowała się placówka handlowa Kompanii Zatoki Hudsona, ale była ona o wiele setek mil dalej. Przebąkiwano również, że o kilkaset mil od tego miejsca są misje. To jednak była tylko pogłoska; ludzie z Red Cow nigdy tam nie dotarli. Tu, do tego pustkowia, przedostali się od strony Chilcoot i górnego biegu Yukonu.

Ludzie z Red Cow nie zwracali uwagi na wszelkie pomniejsze wykroczenia. Pijaństwo, burdy i używanie plugawych słów uznawali za przyrodzone i niezbywalne prawo. Byli indywidualistami i tylko dwie rzeczy uważali za święte: własność i życie. Nie było tam kobiet, które mogłyby skomplikować ich proste zasady moralne. W Red Cow stały tylko trzy zbite z kłoców domki -

większość ludności, składającej się z czterdziestu mężczyzn, zamieszkiwała w namiotach i szałasach z chrustu. Brakowało aresztu, w którym można by zamknąć złoczyńców, a ludzie byli nazbyt zajęci kopaniem i szukaniem złota, aby oderwać się od pracy bodaj na jeden dzień i wybudować więzienie. Poza tym podstawowy problem wyżywienia uniemożliwiał

zastosowanie tej metody. Toteż jeżeli ktoś pogwałcił prawo własności lub życia, wsadzano go do łodzi i puszczano z biegiem

Ykonu. Ilość przydzielonego jedzenia była proporcjonalna do wagi przestępstwa. Tak na przykład zwyczajny złodziej mógł dostać żywność na okres dwóch tygodni; złodziej niezwykły -

nie więcej niż połowę tego. Morderca nie sprowokowany nie dostawał nic. Człowiek, którego uznano winnym zabójstwa sprowokowanego, otrzymywał żywność na czas od trzech dni do tygodnia. Marcus O'Brien obrany został sędzią i on to przydzielał żywność. Ten, kto złamał

prawo, zdawał się na los szczęścia. Unoszony przez Yukon docierał albo nie docierał do Morza Beringa. Żywność na kilka dni dawała mu pewne szansę. Pozbawienie jej było właściwie równoznaczne z karą śmierci, choć zostawała jeszcze wątpliwość ocalenia w zależności od pory roku.

Załatwiwszy się z Jackiem i zaczekawszy, aż zniknął im z oczu, ludzie odeszli z brzegu i wrócili do swoich spraw - wszyscy z wyjątkiem Kudłatego Jima, który prowadził jedyną na całej Północy grę w faraona i spekulował na działkach, na których przeprowadzano próbne kopania. Tego dnia zdarzyły się dwie rzeczy doniosłe. Przed południem Marcus O'Brien natrafił na złoto. Z trzech kolejnych rynek wyplukał złoto najpierw za dolara, potem za półtora, wreszcie za dwa. Natknął się na żyłę. Kudłaty Jim zajrzał do wykopu, sam przepłukał kilka rynek i zaoferował O'Brienowi dziesięć tysięcy dolarów za wszystkie prawa, z czego pięć tysięcy złotym piaskiem, a zamiast pozostałych pięciu - połowę dochodu z faraona. O'Brien odrzucił ofertę. Oświadczył ze wzburzeniem, że jest tu po to, aby wyciągać pieniądze z ziemi, a nie z ludzi. A zresztą faraona nie lubi, prócz tego zaś ocenia swoje znalezisko na sumę znacznie wyższą od dziesięciu tysięcy.

Drugie doniosłe wydarzenie nastąpiło po południu, kiedy Siskiyou Pearly przyplłynął do brzegu i uwiązał swą łódź. Przybywał prosto z szerokiego świata i miał w posiadaniu gazetę sprzed czterech miesięcy. Co więcej, przywiózł pół tuzina baryłek whisky przeznaczonych dla Kudłatego Jima. Ludzie z Red Cow rzucili pracę. Zaczęli kosztować whisky - szklaneczka po dolarze odważonym w złocie na wadze Kudłatego - i omawiali nowiny. I wszystko byłoby dobrze, gdyby Kudłaty Jim nie powziął pewnego zgubnego planu, który polegał po pierwsze na tym, ażeby spić Marcusa O'Briena, po wtóre zaś, aby od niego odkupić działkę.

Pierwsza połowa planu udała się wspaniale. Zaczęło się wczesnym wieczorem, a około dziewiątej O'Brien doszedł już do stadium śpiewania. Jedną ręką obejmował Kudłatego Jima za szyję i usiłował nucić piosenkę nieodżałowanego nieboszczyka Fergusona o małych ptaszkach. Uznał, że może to robić zupełnie bezpiecznie z uwagi na fakt, że jedyny w osadzie człowiek odznaczający się wrażliwością artystyczną właśnie w tej chwili pędzi w dół Yukonu, unoszony prądem z szybkością pięciu mil na godzinę.

Natomiast druga połowa planu zawiodła. Bez względu na to, ile whisky wlewano O'Brienowi do gardła, nie dawał się przekonać, że jego absolutnym, przyjacielskim obowiązkiem jest odprzedać prawa do działki. Wahał się wprawdzie i chwilami już, już był bliski zgody, ale gdzieś w głębi swej zamroczonej świadomości chichotał sam z siebie. Był godnym partnerem w tej grze prowadzonej przez Kudłatego Jima i bawił się nią doskonale. Whisky była w dobrym gatunku, dostarczona w specjalnej baryłce i jakieś dziesięć razy lepsza od tej, która znajdowała się w pięciu pozostałych.

W szynku Siskiyou Pearly częstował trunkiem resztę mieszkańców Red Cow, podczas gdy O'Brien i Kudłaty urządzali ową handlową orgię w kuchni. Ale O'Brien nie był człowiekiem małostkowym. Przeszedł do szynku i wrócił z Mucluc Charleyem i Percy Leclair.

- To są moi wspólnicy, tak, wspólnicy - oznajmił mrugając do « nich i zarazem uśmiechając się niewinnie do Kudłatego. - Mam zawsze zaufanie do ich osądu, tak, zawsze. Porządne chłopcy.

Daj im trochę wody ognistej, Kudłaty, a potem obgadamy sprawę.

To brzmiało podejrzenie, ale Kudłaty Jim dokonawszy pośpiesznego obliczenia i pomny, że z ostatniej rynki wyplukał złota za siedem dolarów, doszedł do wniosku, iż warto postawić dodatkową whisky, chociaż w sąsiedniej izbie szła po dolarze od szklanki.

- Nie ma mowy, żebym się zgodził - wybełkotał O'Brien do swoich przyjaciół wprowadzając ich w sprawę i wyjaśniając, o co idzie. - Kto, ja? Ja miałbym to sprzedać za dziesięć tysięcy dolarów? Ale skąd! Sam wykopię złoto, a potem pojadę do tego boskiego kraju, do południowej Kalifornii... tam będę mógł siedzieć sobie do późnej starości... a potem zacznę...

jakem już mówił... co to ja miałem zacząć?

- Hodować strusie - podpowiedział Mucluc Charley.

- O, właśnie; to będę robił. - O'Brien raptem znieruchomiał i spojrzał zdumiony na Mucluca Charleya. - A ty skąd wiesz? Nigdy tego nie mówiłem. Zdawało mi się tylko, że mówiłem. Ty umiesz czytać w myślach, Charley. No, jeszcze jednego!

Kudłaty Jim napełnił szklanki i miał przyjemność widzieć, jak znika whisky za cenę czterech dolarów, z czego równowartość jednego dolara przełknął on sam. O'Brien bowiem uparł się, że musi pić równo z gośćmi.

- Lepiej weź forszę od razu - nalegał Leclair. - Kopanie w tej dziurze zabierze ci ze dwa lata, a przez ten czas mógłbyś sobie hodować maluśkie strusiątka i wyskubywać pióra starym.

O'Brien rozważył tę propozycję i kiwnął głową na znak zgody. Kudłaty Jim spojrzał z wdzięcznością na Leclair'a i znowu napełnił szklanki.

- Czekaście no! - wybełkotał Mucluc Charley, któremu język zaczynał się plątać. - Mówię ci jak ojciec spowiednik... jak brat rodzony... cholera! - przerwał i zebrał się, by zacząć od nowa. -

Jak przyjaciel... jak współnik... doradzałbym raczej... pozwoliłbym sobie wspomnieć... to znaczy zwrócić uwagę, że może jest więcej tych strusi... Ach, cholera! - przełknął jeszcze jedną szklankę, po czym ciągnął z większym skupieniem: - Mnie idzie o to... o co to mi idzie? -

Palnął się kilka razy dłonią w czoło, ażeby wstrząsnąć nagromadzone w głowie myśli. - No, mam! - wykrzyknął tryumfalnie. - A jeżeli w tym wykopie siedzi grubo więcej niż dziesięć tysięcy dolarów?

O'Brien, który najwyraźniej gotów już był dobić targu, obrócił się gwałtownie.

- Brawo! - ryknął. - Bycza myśl! Wcale mi to do głowy nie przyszło. - Serdecznie ścisnął dłoń Mucluca Charleya. - Dobry z ciebie przyjaciel! Dobry współnik! - obrócił się wojowniczo do Kudłatego Jima. - A może tam jest ze sto tysięcy dolarów? Przecieżbyś nie obrabował starego kumpla, prawda, Kudłaty? Jasne, że nie. Ja cię znam... lepiej, niż ty sam siebie... no, lepiej.

Nalejcie jeszcze jednego. Wszyscyśmy tutaj przyjaciele, mówię wam, wszyscyśmy...

I tak płynęła rozmowa, płynęła whisky, a nadzieja Kudłatego Jima to wzbierała w nim, to opadała. Z kolei Leclair zaczął nalegać na natychmiastową sprzedaż i omal nie przeciągnął

na swoją stronę wzdragającego się O'Briena, jednakże ten w ostatniej chwili uległ bardziej błyskotliwym kontrargumentom Charleya. Potem znów Mucluc Charley wysunął

przekonywające racje, które przemawiały za sprzedażą, a Percy Leclair stanowczo się temu sprzeciwił. Nieco później opowiedział się za sprzedażą sam O'Brien, natomiast obaj przyjaciele z płaczem i przekleństwami usiłowali mu to wyperswadować. Im więcej pili, tym płodniejsza stawała się ich wyobraźnia. Przeciwno jednemu trzeźwemu "za" lub "przeciw" znajdowali tuzin pijackich argumentów, przekonywali się wzajem tak gorliwie, że w toku dyskusji ustawicznie zmieniali poglądy.

W pewnym momencie Mucluc Charley i Leclair twardo obstawali przy sprzedaży, ochoczo odpierając wszelkie zastrzeżenia O'Briena, w miarę jak je wysuwał. O'Brien wpadł w rozpacz.

Wyczerpał ostatnie argumenty i siedział w milczeniu. Spoglądał błagalnie na przyjaciół, którzy go opuścili. Kopnął pod stołem Charleya w goleń, ale ten podlec natychmiast przedstawił

nowe i jak najlogiczniejsze racje, przemawiające za sprzedażą. Kudłaty Jim przyniósł papier oraz przybory do pisania i wykaliografował umowę. O'Brien siedział trzymając pióro w pogotowiu.

- Napijmy się jeszcze po jednym - poprosił. - Jeszcze po jednym, zanim odpiszę te sto tysięcy dolarów.

Kudłaty Jim z tryumfem napełnił szklanki, O'Brien łyknął whisky pochylił się, aby położyć swój podpis niepewnym piórem. Zaledwie zdążył usadzić pierwszy kleks na papierze, zerwał się nagle, uderzony myślą, która przeniknęła do jego świadomości. Stał przed nimi chwiejąc się w przód i w tył, a w jego wybałuszonych oczach odzwierciedlał się proces myślowy, przebiegający pod czaszką. Na koniec powziął postanowienie. Oblicze opromieniła mu dobrotliwość. Obrócił się do karciarza, ujął go za rękę i powiedział uroczyście:

- Kudłaty, ty jesteś mój przyjaciel. Daj łapę. Słuchaj, stary, ja tego nie zrobię. Nie sprzedam.

Nie ograbię druha. Żeby potem żaden skurczybyk nie mógł powiedzieć, że Marcus O'Brien okradł kumpla, bo kumpel był zalany. Ty jesteś zalany, Kudłaty, i ja cię nie okradnę. Właśnie mi przyszło do głowy... przedtem ani razu... nie wiem, co mi się stało, alem o tym dotąd nie pomyślał. No bo przypuścmy, Kudłaty, mój stary, tylko przypuścmy, że na tej całej cholerniej działce nie ma złota za dziesięć tysięcy. Byłbyś wtedy obrabowany. Nie, mój kochany, tego nie zrobię. Marcus O'Brien wyciąga forszę z ziemi, a nie od przyjaciół.

Percy Leclair i Mucluc Charley utopili protesty karciarza w powodzi zachwytów nad taką szlachetnością uczuć. Przyskoczyli z obu stron do O'Briena, objęli go czule za szyję, a potok ich słów zagłuszył propozycję Kudłatego, aby w akcie sprzedaży umieścić klauzulę, że w wypadku, gdyby działka nie zawierała złota za dziesięć tysięcy dolarów, nabywca otrzyma zwrot różnicy między wpłaconą ceną a rzeczywistą wartością wydobytego kruszcu. Im dłużej gadali, tym szlachetniejsza i bardziej ekliwa stawała się dyskusja. Wyrugowano z niej wszelkie przyziemne pobudki. Ot, po prostu trójka filantropów usiłowała obronić Kudłatego Jima przed nim samym i jego własną filantropią. Z uporem bowiem twierdzili, że istotnie jest filantropem.

Odmawiali uznania choćby na chwilę, że w całym świecie można by znaleźć jedną jedyną niegodną myśl. Wdrapywali się, gramolili i wpełzali na niedosiężne wyżyny etyczne, bądź też tonęli w

metafizycznych odmętach czułości.

Kudłaty Jim pocił się i cały parował whisky. Stanął wobec dziesiątków argumentów, nie mających absolutnie nic wspólnego ze złotą żyłą, którą chciał kupić. Im dłużej gadali, tym bardziej oddalali się od niej i oto o drugiej nad ranem Kudłaty Jim uznał się za pobitego.

Przeprowadził po jednym swych zataczających się gości przez kuchnię i wypchnął ich na dwór. O'Brien był ostatni; wszyscy trzej trzymając się za ręce, aby nie upaść, przystanęli chwiejąc się na podwórku.

- Z ciebie jest pierwszorzędny biznesman, Kudłaty - mówił O'Brien. - Muszę powiedzieć... że podoba mi się twoje podejście... szlachetna, hojna gość... gość... gościnność. Moje uznanie...

Nie ma w tobie nic niskiego, za grosz chciwości... Zawsze mówiłem...

Ale właśnie w tej chwili Kudłaty Jim zatrzasnął drzwi. Cała trójka wybuchnęła radosnym śmiechem. Śmiali się długo. W końcu Mucluc Charley spróbował przemówić.

- Zabawne... takeśmy się uśmieśli... nie, nie to chciałem powiedzieć. Idzie mi o to, że... że co?

Aha, mam! Śmieszne, jak te myśli uciekają. Uciekające myśli... gonitwa za uciekającymi myślami - fajna zabawa. Tyś kiedy gonił za zającem, Percy, mój przyjacielu? Raz miałem psa... doskonały był na zające. Jakże mu było? Nie pamiętam imienia... w ogóle nie miał

imienia... zapomniałem... uciekające imię... gonitwa za uciekającym imieniem... nie, za myślą... uciekającą myślą... Ale już mam... chciałem powiedzieć, że... a niech cię diabli!

Zaległo dłuższe milczenie. O'Brien wysliznął im się z objęć i siadł na ziemi, gdzie najspokojniej zasnął. Mucluc Charley gonił uciekającą myśl poprzez wszystkie zakamarki i szczeliny roztapiającej się świadomości. Leclair czekał jak urzeczony na jego opóźniającą się wypowiedź. Nagle uczył, że tamten grzmotnął go w plecy.

- Mam! - ryknął Mucluc Charley stentorowym głosem. Wstrząs ten przerwał ciągłość procesu myślowego Leclair'a.

- Po ile od rynki? - zapytał.

- Guzik tam, rynka! - rozżłościł się Charley. - Mam tę myśl... mam... trzymam... dogoniłem ją.

Twarz Leclair'a przybrała wyraz podziwu i zachwyty; znów zawisł wzrokiem na ustach Charleya.

- ...O, cholera! - zaklął Mucluc Charley.

W tej chwili drzwi kuchni otworzyły się i Kudłaty Jim wrzasnął:

- Wynocha do domu!

- Śmieszne - rzekł Mucluc Charley. - To ssamo pomyślałem, to ssamo. Chodźmy do domu.

Dźwignęli O'Briena, wzięli go między siebie i ruszyli. Mucluc Charley rozpoczął na głos pogoń za inną myślą. Leclair z entuzjazmem przyłączył się do tego pościgu. O'Brien natomiast nie.

Nic nie słyszał, nie wiedział i nie czuł. Był po prostu zataczającym się automatem, którego tkliwie, choć niezbyt pewnie podtrzymywali obaj współnicy.

Szli ścieżką biegnącą wzdłuż brzegu Yukonu. W tej stronie nie było wprawdzie domu, była natomiast owa nieuchwytna myśl. Mucluc Charley zaśmiewał się, że nie może jej złapać ku zbudowaniu Leclair'a.

Doszli do miejsca, gdzie stała przy brzegu łódź Siskiyou Pearly'ego. Lina, którą była przywiązana do pnia sosnowego, przebiegała w poprzek ścieżki. Potknęli się o nią i wyrócili; O'Brien znalazł się na spodzie. Nikły przebłysk świadomości rozświetlił jego mózg. Uczuł, że tamci zwalają się na niego i począł zapamiętale grzmocić ich pięściami. Potem znów zasnął.

Rozległo się jego łagodne chrapanie, a Mucluc Charley zachichotał.

- Mam nową myśl! - oznajmił. - Nowiuteńką. Właściem ją złapał... bez żadnego trudu. Po prostu sama przyszła i tylko ją poklepałem po główce. Już ją trzymam. O'Brien zalał się, zalał

się jak świnia. Wstyd... cholerny wstyd... ale damy mu szkołę. Tam stoi łódź Pearly'ego.

Wsadzimy do niej O'Briena, odepchniemy... i niech sobie spływa Yukonem. O'Brien budzi się rano... prąd za mocny... Nie można wiosłować pod prąd... musi wracać na piechotę. Przyjdzie wściekły jak cholera. A my do lasu... Ale mu damy nauczkę, dobrą nauczkę.

W łodzi Siskiyou Perly'ego nie było nic prócz pary wiosła. Burta ocierała się o brzeg w miejscu, gdzie leżał O'Brien. Wturlali go do środka, Mucluc Charley odwiązał linkę, a Leclair zepchnął łódź w prąd. Następnie, wyczerpani tym ciężkim wysiłkiem, ułożyli się na brzegu i zasnęli.

Nazajutrz całe Red Cow dowiedziało się o kawale, który splątano Marcusowi O'Brienowi.

Ludzie robili wysokie zakłady o to, co spotka obu winowajców, gdy ich ofiara powróci. Po południu wystawiono obserwatora, który miał dać znać, gdy tylko ujrzy O'Briena. Każdy chciał

być świadkiem tej chwili. Ale O'Brien nie wrócił, choć go oczekiwali do północy. Nie wrócił też następnego dnia, ani w dwa dni później. Red Cow nigdy więcej nie ujrzało Marcusa O'Briena i chociaż snuto wiele domysłów, nie zdołano uzyskać klucza do tajemnicy jego zniknięcia.

O tym, co się zdarzyło, wiedział tylko sam Marcus O'Brien, ale nie wrócił więcej, by to wyjawić.

Nazajutrz obudził się w męce. Niezwykła ilość wypitej whisky przepaliła mu żołądek, który był

wysuszony i rozprażony jak piec. O'Brien miał głowę obolałą od środka i od zewnątrz, lecz jeszcze gorszy był ból twarzy. Przez sześć godzin żarły O'Briena nieprzeliczone chmary moskitów i cała

twarz obrzmiała mu od ich trującego jadu. Z najwyższym wysiłkiem zdołał

rozewrzeć wąskie szpareczki powiek, aby wyrzeć na świat. Poruszył rękami, ale go zaboląły.

Zerknął na nie, lecz ich nie mógł poznać, tak były spuchnięte od jadu moskitów. Poczul się zagubiony i niejako utracił własną tożsamość. Nie znajdował w sobie nic znajomego, nic, co by mogło przez skojarzenie myślowe obudzić w jego mózgu poczucie ciągłości własnego istnienia. Rozstał się całkowicie ze swoją przeszłością, albowiem nie miał nic, co mogłoby w nim wskrzesić jej wspomnienie. Prócz tego był osłabiony, nieszczęśliwy, że brakowało mu chęci i energii do ustalenia, kim lub czym jest w istocie.

Dopiero gdy odkrył skrzywienie małego palca - skutek źle zestawionego złamania sprzed lat - poznał, że jest Marcusem O'Brienem. Natychmiast cała przeszłość stanęła mu przed oczami.

Kiedy zaś ujrzał krwawy wylew pod paznokciem dużego palca, samorozpoznanie stało się podwójnie pewne i wiedział już, że te obce ręce należą do Marcusa O'Briena czy też może raczej Marcus O'Brien należy do owych rąk.

Pierwszą jego myślą było, że jest chory, że dostał malarii. Otwieranie oczu zadawało mu taki ból, że przez cały czas miał je zamknięte. Niewielka gałąź, niesiona przez wodę, uderzała rozgłośnie w bok łodzi. Wydało mu się, że to ktoś puka do drzwi jego chaty, powiedział więc:

“Proszę”. Odczekał chwilę, po czym rzekł z irytacją: “To nie wchodź, szlag by cię trafił!” Mimo to pragnął, by weszli i powiedzieli mu, na co jest chory.

Jednakże gdy tak leżał, wydarzenia ubiegłej nocy zaczęły odtwarzać się w jego pamięci.

Pomyślał, że wcale nie jest chory, tylko spał się, a teraz pora już wstać i iść do roboty. “Robota” nasunęła mu na myśl wykop i wtedy przypomniał sobie, że odmówił przyjęcia zań dziesięciu tysięcy dolarów. Podniósł się raptownie i z wysiłkiem otworzył oczy. Zobaczył, że siedzi w łodzi, unoszonej przez wzdęte, brunatne wody Yukonu. Porosłe świerkami brzegi i wysepki były mu nieznane. Przez pewien czas siedział otumaniony. Nie mógł nic zrozumieć.

Przypomniał sobie wczorajszą orgię pijacką, ale nie widział związku między nią a swym obecnym położeniem.

Zamknął oczy i ścisnął oburącz rozboląta głowę. Co to się stało? Z wolna w jego mózgu zaczęła się budzić przerażająca myśl. Pasował się z nią, usiłował ją odegnąć, ale powracała uparcie: widocznie kogoś zabił. To jedno mogło być wytłumaczeniem, dlaczego służył teraz Yukonem. Prawo Red Cow, które sam tak długo stosował, zastosowano teraz do niego.

Zamordował kogoś i dlatego puszczono go na rzekę. Ale kogo? Chciał wyrzeć z obolałego mózgu odpowiedź, lecz nasuwało mu się jedynie mgliste wspomnienie czyichś ciał walących się na niego i ciosów, które zadawał. Kim byli ci ludzie? A może zabił kilku? Sięgnął do pasa.

W pochewce nie było noża. Bez wątplenia zamordował nim właśnie. Ale musiała być jakaś po temu

przyczyna. Otworzył oczy i z przerażeniem zaczął przeszukiwać łódź. Nie było w niej ani jednej uncji żywności. Usiadł z jękiem. Zabił nie sprowokowany. Zastosowano do niego najsurowszy wymiar kary.

Przez pół godziny siedział bez ruchu trzymając się za bolącą głowę i usiłując myśleć. Potem ochłodził sobie wnętrzości łykiem wody zaczerpniętej z rzeki i poczuł się lepiej. Wstał - i samotny na szeroko rozlanym Yukonie, zagubiony pośród pierwotnej puszczy - zaczął

przeklinać wódkę. Później przywiązał łódź do olbrzymiego pnia sosny, który był głębiej zanurzony w prądzie i przez to płynął szybciej. Obmył twarz i ręce, usiadł na rufie i znowu pogрузzył się w rozmyślaniach.

Był koniec czerwca. Od Morza Beringa dzieliły O'Briena dwa tysiące mil. Łódź płynęła z przeciętną szybkością pięciu mil na godzinę. W tej porze roku na tak dalekiej Północy nie zapadał zmierzch, mógł więc płynąć bez przerwy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

To wypadło sto dwadzieścia mil dziennie. Po odliczeniu dwudziestu na nie przewidziane wypadki, zostawało sto mil na dzień. Za dwadzieścia dni dopłyne do Morza Beringa. Nie wymagało to żadnego nakładu energii; całą pracę wykona rzeka. Mógł leżeć na dnies łodzi i oszczędzać siły.

Przez dwa dni nie jadł nic. Potem, spłynąwszy na rozlewiska Yukonu, wylądował na jednej z płaskich wyseppek i nabierał jaj dzikich gęsi i kaczek. Nie miał zapalek, zjadł je więc na surowo. Podtrzymały go na siłach. Minąwszy Krąg Polarny natrafił na placówkę Kompanii Zatoki Hudsona. Załoga nie powróciła jeszcze z Mackenzie i placówka była zupełnie ogołocona z żywności. Poczestowano go jajami dzikich kaczek, ale odpowiedział, że w łodzi ma ich na kopy. Zaproponowano mu także szklanke whisky, ale odmówił z gwałtowną odrazą.

Dostał jednakże zapalki i potem mógł już gotować jaja.

W pobliżu ujścia rzeki powstrzymały go przeciwne wiatry i przez dwadzieścia cztery dni żywił

się wyłącznie jajami. Na nieszczęście przepłynął nie obudziwszy się obok obu misji: Świętego Pawła i Świętego Krzyża. Toteż mógł uczciwie powiedzieć, co zresztą później czynił, że cała gadanina o misjach nad Yukonem jest wierutną bzdurą. Nie ma tam żadnych misji, co sam najlepiej sprawdził.

Znalazwszy się na Morzu Beringa zamienił dietę jajczaną na mięso fok i nigdy nie potrafił

rozstrzygnąć, co mu mniej przypadało do smaku. Pod jesień wziął go na pokład kuter amerykańskiej straży granicznej, a następnej zimy O'Brien odniósł w San Francisco poważny sukces wygłaszając pogadanki na temat wstrzemięźliwości. Na tym polu znalazł swoje powołanie. "Unikajcie butelki!" - oto jego hasło i zawołanie bojowe. Potrafi delikatnie dawać do zrozumienia, że w jego własnym życiu wódka spowodowała okropną katastrofę. Napomyka wręcz, że utracił fortunę za sprawą owej pokusy szatańskiej, ale słuchacze wyczuwają za tym wydarzeniem cień jakiegoś strasznego, nieodgadnionego zła, które przypisać należy butelce.

Ma wielkie sukcesy w tej kampanii; posiwił już oraz zyskał sobie szacunek biorąc udział w świętej wojnie przeciwko pijaństwu.

Natomiast nad brzegami Yukonu zniknięcie Marcusa O'Briena przeszło do legendy. Jest taką samą tajemnicą jak zaginięcie sir Johna Franklina.

Przełożył Bronisław Zieliński

Kochany Kleks

Straciłem serce do Stefana Mackaye'a, choć kiedyś w ogień bym za nim skoczył. Owszem, swego czasu Stefan droższy mi był od rodzonego brata. A dziś, jeśli go spotkam, nie ręcę za siebie. Po prostu wierzyć się nie chce, żeby człowiek, z którym dzieliłem chleb i koc, człowiek, z którym przewędrowałem szlak Chilcoot, mógł zrobić coś podobnego. Zawsze uważałem Stefana za równego chłopca i dobrego kolegę, co to urazy w sercu nie chowa i nie ma w sobie odrobiny złośliwości. Przestałem raz na zawsze ufać swoim sądom o ludziach. No cóż, pielęgnowałem faceta, gdy chorował na tyfus, razem zdychaliśmy z głodu u źródeł rzeki Stewarta, on mi uratował życie na Małym Łososiu. I oto, po tylu latach przeżytych razem, jedno tylko mogę powiedzieć o Stefanie Mackaye'u: jest największym nędznikiem, jakiego znałem.

Jesienią roku 1897, ogarnięci gorączką złota, wyruszyliśmy do Klondike, lecz wybraliśmy się zbyt późno, żeby przejść Chilcoot przed zamrożeniem wód. Maszerowaliśmy dźwigając na plecach ekwipunek, gdy zaczął sypać śnieg i trzeba było kupić psy, żeby bagaż resztę drogi odbył na sankach. W ten sposób dostał nam się ów Kleks. Psy były drogie. Zapłaciliśmy za niego sto dziesięć dolarów. Wyglądał na tę cenę. Mówię: "wyglądał", bo był to jeden z najlepiej prezentujących się psów, jakie widziałem w swym życiu. Ważył sześćdziesiąt funtów i był

wprost stworzony do zaprzęgu. Nie mogliśmy w żaden sposób określić jego rasy. Ani husky, ani malemute, ani pies z Zatoki Hudsona. Podobny był do każdego, a przecież nie wyglądał

jak żaden z nich. A do tego wszystkiego miał w sobie coś z psa białego człowieka, bo na jednym jego boku - w gąszczu barw żółtobrazoworudych oraz brudnobiałych - widniała czarna jak węgiel plama wielkości czerpaka do wody. Właśnie dlatego nazwaliśmy go Kleksem.

Prezentował się okazale, szkoda gadać. Kiedy był w formie, muskuły pęczniały mu na całym ciele. Wyglądał na najsilniejszego psa Alaski, i najbardziej inteligentnego. Na pierwszy rzut oka zdawać się mogło, że uciągnie więcej niż trzy psy, z których każdy ważył tyle samo co on.

Może by i uciągnął, ja tego nie widziałem. Co innego mu było w głowie. Celował w złodziejstwach i grabieży. Miał niesamowitą wprost zdolność zgadywania, kiedy zanosi się na robotę, i zawsze zmykał w samą porę. Zgubić się i odnaleźć potrafił w sposób zgoła natchniony. Ale gdy trzeba się było wziąć do roboty, natychmiast ulatniała się jego inteligencja i zostawała z niego kupa trzęsącej się, bezmyślnej galarety. Serce człowiekowi krwawiło z rozpacz na ten widok.

Bywają chwile, kiedy przychodzi mi na myśl, że nie była to głupota. Może - podobnie jak niektórzy moi znajomi - Kleks za mądry był na to, żeby pracować. Nie dziwiłbym się wcale, gdyby wyszło na

jaw, że daleko nam do jego inteligencji. Może on to wszystko przemyślał i doszedł do wniosku, że nieporównanie lepiej jest czasem oberwać nic nie robiąc, niż nie brać w skórę i harować od rana do nocy. Był dostatecznie inteligentny, żeby to sobie wykalkulować.

Mówię wam, siadywałem nieraz i patrzyłem w oczy tego psa, aż dreszcze zaczynały mi latać po krzyżu, a szpik pęczniał jak drożdże - taka inteligencja błyszczała w jego ślepiach. Nie potrafię nic o tej inteligencji powiedzieć. Żadne słowa tu nie pomogą. Widziałem ją, i tyle.

Czasem, patrząc w jego ślepią, miałem wrażenie, że zaglądam w głąb duszy ludzkiej. To, com widział, przejmowało mnie lękiem i przywodziło na myśl reinkarnację i temu podobne rzeczy.

Powiadam wam, czułem w ślepiach tej bestii coś wielkiego, jakąś tajemniczą wieść, do której zrozumienia sam byłem za mały. Cokolwiek to było (wiem, że robię z siebie teraz durnia), cokolwiek było - zbijało mnie z tropu. Nie umiem określić, com widział w ślepiach tego psa. Nie był to blask i nie był kolor. Coś, co uciekało w głąb, choć oczy ani drgnęły. Może zresztą nie widziałem, jak uciekało, ale czułem. Był to raczej wyraz - otóż właśnie - wyraz, który robił na mnie wrażenie. Nie, nie był to tylko wyraz, lecz coś więcej. Nie wiem, co to było, dość, że doznawałem uczucia pokrewieństwa. Och nie, nie jakiegoś sentymentalnego związku między człowiekiem i psem. Było to raczej poczucie równości. Te ślepią nie błagały jak oczy sarny.

One wyzywały. Chociaż nie. Po prostu wyrażały spokojne poczucie równości. Nie sądzę, by to było świadome. Wierzę, iż sam sobie z tego nie zdawał sprawy. Coś tam po prostu było w jego oczach, no i błyskało. Nie, wcale nie błyskało, poruszało się. Wiem, że plotę głupstwa, ale gdybyście patrzyli tak jak ja w oczy tego zwierzęcia, tobyście zrozumieli. Ze Stefanem było to samo. Cóż, raz nawet spróbowałem zabić kochanego Kleksa - był przecież do niczego. I wpadłem. Prowadziłem go w krzaki, szedł za mną powoli i niechętnie. Wiedział, co w trawie piszczy. Stałem w dogodnym miejscu, przydepnąłem linkę i wyciągnąłem wielkiego colta.

Kleks usiadł i patrzył na mnie. Mówię wam - o nic nie prosił. Tylko patrzył. Zobaczyłem wtedy mnóstwo niepojętych rzeczy, poruszających się, tak, poruszających, w jego źrenicach. Nie widziałem w ścisłym znaczeniu tego słowa. Myślałem, że widzę, bo jak już wspomniałem, dziś uważam, że było to tylko wrażenie. Muszę wam otwarcie powiedzieć - nie dałem rady. Czułem się tak, jakbym miał zabić człowieka, świadomego niebezpieczeństwa, odważnego człowieka, który patrzy spokojnie w lufę mej broni i pyta spojrzeniem: "No, kto się boi?" Poza tym owa tajemnicza wieść była tak blisko, że zamiast prędko pociągnąć za cyngiel, czekałem, czy nie uda mi się schwytać jej teraz. Oto jest, jest tuż przede mną, błyska w jego oczach... A potem było za późno. Strach mnie ogarnął. Drżałem na całym ciele. Doznałem nerwowego skurczu żołądka, zrobiło mi się niedobrze. Usiadłem więc i patrzyłem na tego psa, a on na mnie.

Czułem, że jeszcze chwila, a dostanę bzika. Chcecie wiedzieć, co zrobiłem? Rzuciłem rewolwer na ziemię i pobiegłem do obozu z bojaźnią bożą w sercu. Stefan śmiał się ze - mnie.

Ale w tydzień później zobaczyłem, jak poprowadził Kleksa do lasu w tym samym celu. Wrócił sam, a po chwili lichy przyniosło Kleksa.

W każdym razie Kleks pracować nie zamierzał. Zapłaciliśmy za niego sto dziesięć dolarów, wyskrobaliśmy je z samego dna mieszka, a on nie chciał pracować. Nie raczył nawet naciągnąć postronków. Kiedy zaprzęgliśmy go po raz pierwszy, Stefan próbował przemówić mu do rozumu. Psa dreszcz obleciał i na tym się skończyło. Uprząż ani drgnęła. Kleks stał jak malowany i dygotał niczym galareta. Stefan kropnął go batem. Kleks zaskowyczał, ale ani śniło mu się ruszyć. Stefan ciachnął go jeszcze raz, trochę mocniej, i Kleks zawył -

prawdziwym, przeciągłym, wilczym głosem. Wtedy Stefan wściekł się i wlepił mu pół tuzina.

Wybiegłem z namiotu.

Zwróciłem Stefanowi uwagę, że się brutalnie obchodzi ze zwierzęciem. Powiedzieliśmy sobie przy tej okazji parę mocnych słów - po raz pierwszy w życiu. Szurnął bat w śnieg i odszedł

wściekły. Podniosłem bat i wziąłem się do roboty. Kochany Kleks zatrzęsł się, zadygotał i przycupnął, nim zdążyłem podnieść rękę. Ledwie go raz zaciąłem, zawył jak potępieniec i czym prędzej położył się na śniegu. Pognałem zaprzęg. Psy wlokły Kleksa, a ja łoilem go batem. Sunął grzbietem po śniegu, podskakując na wybojach, powiewając w powietrzu czterema łapami i wyjąc tak przeraźliwie, jakby go przerabiano na kiełbaski. Stefan wrócił i śmiał się ze mnie. Musiałem przeprosić go za to, co powiedziałem przed chwilą.

W żaden sposób nie można było nakłonić Kleksa do pracy. Za to w życiu nie widziałem większego żarłoka w psiej skórze. Na dobitkę był to złodziej nad złodziejami. Nie dał się złapać. Ileż razy nie jedliśmy bekonu na śniadanie, bo Kleks nas uprzedził. Przez niego omal nie pozdychaliśmy z głodu, wędrując w górę rzeki Stewarta. Zakradł się do naszej kryjówki z mięsem, czego zaś sam nie zeżarł, wykończyła reszta psiego zaprzęgu. Ale zachowywał się bezstronnie. Okradał każdego. Nie miał chwili spokoju, bez przerwy węszył za jakimś draństwem i dokądś latał. Żadnemu obozowi w promieniu pięciu mil nie przepuścił. Co gorsza, mieszkańcy tych obozów przychodzili do nas i przedstawiali rachunki za to, czym się tam ugościł. Było to sprawiedliwe, tak bowiem chciało miejscowe prawo. Ale dla nas był to dopust boży, zwłaszcza owej pierwszej zimy na Chilcoot, kiedy zostaliśmy doszczętnie zrujnowani, jak przyszło nam płacić za całe szynki i półcie bekonu, których nawet nie skosztowaliśmy.

Walczyć też umiał nasz kochany Kleks. Wszystko umiał, tylko do pracy nie był zdolny. Nie uciągnął nigdy ani funta, ale za to dyrygował całym zaprzęgiem. Aby zmusić psy do szacunku, stosował metody pedagogiczne. To znaczy, tyranizował psy. Zawsze, przynajmniej jeden z nich, naznaczony był świeżymi śladami jego kłów. Był jednak czymś więcej niż zwykłym tyranem. Nie bał się niczego, co chodzi na czterech łapach. Widziałem, jak sam jeden, bez najmniejszej zaczepki, porywał się na obcy zaprzęg i rozbijał go w puch. Czy mówiłem już, jak się rwał do żarcia? Złapałem go kiedyś, jak pałaszował bat. Fakt! Zaczął od rzemienia, a kiedy go dopadłem, już się dobierał do rączki i śmiało sobie z nią poczynał.

Ale prezentował się pięknie. Pod koniec pierwszego tygodnia sprzedaliśmy go konnej policji za siedemdziesiąt pięć dolarów. Policja miała doświadczonych poganiaczy, spodziewaliśmy się więc, że Kleksowi wystarczy przebyć sześćset mil drogi do Dawson, aby został dobrym psem zaprzęgowym. Powiadam "spodziewaliśmy się", bo nasza znajomość z Kleksem nie trwała długo.

Krótko potem nie mieliśmy już na tyle czelności, by się czegokolwiek po nim spodziewać. W tydzień później obudziła nas rano potworna wprost psia burda. Okazało się, że wrócił kochany Kleks i robi w zaprzęgu porządek. W ponurym nastroju - możecie mi wierzyć -

zjedliśmy śniadanie. Humory znacznie nam się poprawiły, gdy w dwie godziny później sprzedaliśmy go kurierowi śpieszącemu do Dawson z rządowymi depeszami. Tym razem Kleks wrócił już po trzech dniach i jak zwykle powrót swój uczcił piekielną awanturą z całą psią rodziną.

Przeprowadziliśmy przez Chilcoot własny ekwipunek, całą zimę i wiosnę targaliśmy cudzy bagaż.

Tłusty to był kasek. Poza tym grubo zarabialiśmy na Kleksie. Jak sprzedaliśmy go raz, to potem sprzedaliśmy go dwadzieścia razy. Powracał wytrwale i nikt nie żądał zwrotu forsy. Nam też nie zależało na pieniądzach. Opłacilibyśmy sownie faceta, który by wziął go od nas na zawsze. Chcieliśmy się pozbyć tego psa, ale nie można go było oddawać za darmo, bo to by zbudziło podejrzenia. Był jednak taki piękny, że kupców mieliśmy pod dostatkiem. "Niedotarty"

- mówiliśmy i ludzie dawali nam za niego każdą cenę. Raz co prawda puściliśmy go za dwadzieścia pięć dolarów. Kiedy indziej wzięliśmy sto pięćdziesiąt i właśnie wtedy nabywca sam go nam przyprowadził z powrotem. Chcieliśmy oddać mu pieniądze, odmówił i tylko tak nas zelżył, że wstyd powtórzyć. Oświadczył przy tym, że i tak niedrogo zapłacił za przyjemność powiedzenia nam, co o nas myśli. W duchu przyznawaliśmy mu rację i nie było sensu się odszczekiwać. Ale do dziś dnia nie odzyskałem szacunku, jaki żywiłem względem własnej osoby, zanim ten facet do mnie przemówił.

Kiedy lody ruszyły na - jeziorach i rzece, załadowaliśmy nasz ekwipunek do łodzi i popłynęliśmy jeziorem Bennett w stronę Dawson. Nasz zaprzęg był niczego sobie, więc wpakowaliśmy pieski na górę bagażu. Kleks był z nami - nie udało nam się go splawić.

Pierwszego dnia podróży ze dwanaście razy wszczywał bójkę i wrzucał do wody coraz to innego psa. W łódce było ciasno, a on tłoku nie lubił.

- Ten pies potrzebuje przestrzeni - stwierdził Stefan na drugi dzień. - Trzeba wysadzić go na ląd.

Jak się rzekło, tak się zrobiło. Koło Jeleniego Rozstaju przybiliśmy do brzegu, żeby Kleks mógł sobie wyskoczyć. Dwa inne psy, i to dobre psy, poszły za nim. Straciliśmy całe dwa dni na poszukiwania. Nigdy już ich nie ujrzyliśmy, ale błogi spokój, jakiego zażywaliśmy teraz, wart był znacznie wyższej ceny (jak by powiedział facet, który nie przyjął zwrotu stu pięćdziesięciu dolarów). Po raz pierwszy od wielu miesięcy obaj ze Stefanem znów śmialiśmy się, gwizdali i śpiewali. Byliśmy szczęśliwi jak nigdy. Czarne dni minęły. Szczerły zmory nocne. Kochany Kleks nas opuścił.

Pewnego ranka, w trzy tygodnie później, staliśmy ze Stefanem na brzegu rzeki w Dawson. Od strony jeziora Bennett nadpływała nieduża łódź. Nagle Stefan wzdrygnął się i nie zniżając głosu powiedział coś bardzo paskudnego. Patrząc, a tam, na dziobie łódki, siedzi Kleks i strzyże uszami. Natychmiast daliśmy nogę i zwiewaliśmy jak bite kundle, jak tchórze, jak złoczyńcy umykający przed wymiarem sprawiedliwości. Tak zapewne pomyślał oficer policji, gdy zobaczył, że dajemy chodu. Przypuszczał, że w łódce siedzą stróże prawa, którzy podążają naszym tropem. Nie czekając, aż się

sytuacja wyjaśni, puścił się za nami i przydybał

nas w kącie pewnego szynku. Zrobiła się heca, gdyśmy zaczęli się tłumaczyć, bo za żadne skarby nie chcieliśmy iść na brzeg i spotkać się z Kleksem. Wreszcie oficer zostawił nas pod strażą innego policjanta, a sam pobiegł do łodzi na brzegu. Kiedy nasz stróż się odczepił, poszliśmy do chałupy. Patrzymy, a tu kochany Kleks siedzi na ganeczku i czeka. No i skąd wiedział, że tu mieszkamy? Czterdzieści tysięcy ludzi mieszkało tego lata w Dawson. Jakim cudem wyniuchał naszą chałupę? I skąd w ogóle wiedział, że jesteśmy w Dawson?

Pozostawiam to wam do rozstrzygnięcia. Pamiętajcie tylko, com mówił o jego inteligencji i tym nieśmiertelnym czymś, co błyskało w jego ślepiach.

O spławieniu go nie było już mowy. W Dawson przebywało zbyt wielu takich, którzy kupili go od nas w drodze przez Chilcoot, i historia była powszechnie znana. Sześć razy zostawialiśmy go na pokładzie statków parowych odpływających z Dawson. Ale w pierwszej przystani po prostu wysiadał i brzegiem kłusował z powrotem. Nie mogliśmy go sprzedać, nie mogliśmy zabić (próbowaliśmy już obaj) i nikt inny nie mógł go utrupić. Śmierć się go nie miała, musiał

być zaczarowany. Kiedyś widziałem go w psiej potyczce na głównej ulicy Dawson. Znalazł się na samym spodzie, pod pięćdziesięcioma żrącymi się psiskami. Gdy je rozdzielono, Kleks stał

na wszystkich czterech nogach, cały i zdrowy, a dwa psy, spod których wylazł, leżały martwe.

Widziałem, jak zwędził ze spiżarni majora Dinwiddie płat jeleniego mięsa tak ciężki, że rabuś tylko o jeden skok wyprzedzał goniącą go z siekierą w ręku czerwonoskórą kucharkę.

Wreszcie Indianka zaprzestała pościgu, a Kleks wdrapał się na pagórek. Wówczas sam major Dinwiddie wybiegł z domu i zaczął prażyć ze swego winchestera. Major dwukrotnie opróżnił

magazyn, a Kleksowi włos z głowy nie spadł. Nadszedł policjant i aresztował majora za użycie broni palnej w obrębie miasta. Dinwiddie zapłacił grzywnę, a my wybuliliśmy mu za jelenie mięso po dolarze funt, kości nie kości. Sam tyle płacił. Mięso było drogie tego roku.

Mówię tylko o tym, com widział na własne oczy. I jeszcze coś wam opowiem. Byłem świadkiem, jak kochany Kleks wpadł do przerębli.

Łódź miał trzy i pół stopy grubości. Prąd wessał go jak słomkę. Trzysta jardów niżej była ogromna przerębla, skąd czerpano wodę do szpitala. Kleks wylazł z niej, otrząsnął się z wody, wygryzł lód wmarznięty między palce, podreptał na brzeg i sprawił lanie wielkiemu nowofunlandczykowi, którego właścicielem był sam Komisarz Pokładów Złota.

Jesienią roku 1898 odpłynęliśmy ze Stefanem na ostatniej wodzie w górę Yukonu, zmierzając ku rzece Stewarta. Zabraliśmy wszystkie psy, prócz Kleksa. Uważaliśmy, że jadł u nas dostatecznie długo. Kosztował nas więcej czasu, kłopotu, pieniędzy i żywności, zwłaszcza żywności, niż zarobiliśmy sprzedając go na szlaku Chilkoat. Tak więc Stefan i ja przywiązaliśmy go w chacie i ruszyliśmy łodzią wraz z całym dobytkiem. Wieczorem rozbiliśmy obóz u ujścia Rzeki Indiańskiej,

nie posiadając się z uciechy, że pozbyliśmy się Kleksa. Stefan błaznował, a ja siedziałem owinięty w koc i pokładałem się ze śmiechu, gdy wtem huragan runął na obóz. Furia, z jaką Kleks wjechał na psy i przerabiał zaprzęg, włosy nam jeżyła na głowie. Jakże się odwiązał? Sami powiedzcie. Ja rozkładałem ręce. Jak przepłynął się przez rzekę Klondike? Oto jeszcze jedna zagadka. A poza tym skąd wiedział, że popłynęliśmy w górę Yukonu? Przecież sami rozumiecie, że na wodzie nie mógł wywęszyć naszych śladów.

Stefan i ja zaczęliśmy podejrzewać, że coś niedobrze z tym psem. Grał nam na nerwach, to fakt. Ale - niech to zostanie między nami - małego pietra też się przed nim miało.

Gdy dotarliśmy do ujścia potoku Hendersona, wody zamarły. Sprzedaliśmy Kleksa za dwa worki mąki pewnej wyprawie udającej się po miedź w górę Rzeki Białej. No i cała ta wyprawa zaginęła. Nie odnaleziono nigdy śladów ludzi, psów, sanek ani niczego innego. Przepadli jak kamień w wodę. Los tej wyprawy pozostał jedną z tajemnic Klondike. Powędrowaliśmy w górę rzeki Stewarta i w sześć tygodni później kochany Kleks przywłókł się do obozu. Wyglądał jak szkielet, ledwie powłóczył nogami, a jednak doznał do nas. A teraz chciałbym wiedzieć tylko jedno: kto mu powiedział, żeśmy powędrowali w górę rzeki Stewarta? Mogliśmy udać się w tysiąc innych miejsc. Skąd wiedział? Powiedzcie, bardzo proszę, bo ja nic z tego nie kapuję.

Nie było na niego sposobu. W Mayo wszczął bijatykę z jakimś psem indiańskim. Właściciel tego kundla rąbnął w Kleksa siekierą - nie trafił i utrupił własnego psa. Mówcie sobie, co chcecie, o czarach i odbijaniu kuł! Ja osobiście uważam, że diablo trudniej jest odbić siekierę, zwłaszcza z wielkim chłopem na końcu. Kleks to zrobił. Na własne oczy widziałem. Indianin nie chciał zabić swojego psa. Kto uważa, że chciał, niech mi tego dowiedzie.

Opowiedziałem już, jak Kleks włamał się do schowka z mięsem. Oznaczało to dla nas nieomal śmierć głodową. Nie było na co polować, a prócz tego mięsa nie posiadaliśmy żadnych innych zapasów. Łosie odeszły o dobre setki mil, a Indianie w ślad za nimi. Ładna historia! Zbliżała się wiosna, trzeba było czekać, aż lody ruszą. Schudliśmy nielicho, nim zdecydowaliśmy się zjeść psy. Na pierwszym miejscu był Kleks. Wiecie, co zrobił? Zwiął. Skąd się dowiedział, że chcemy go zjeść? Czyhaliśmy na niego całymi nocami, ale nie wrócił. Zjedliśmy inne psy. Cały zaprzęg.

A teraz ciąg dalszy. Czy wiecie, jak to wygląda, gdy wielka rzeka zrywa okowy, kiedy rusza parę miliardów ton, i góry lodu napierają na siebie, kruszą się i trzeszczą? W samym środku żywiołu, który z łoskotem i rykiem rwał naprzód, ujrzelśmy Kleksa. Widocznie porwało go, gdy próbował gdzieś w górze rzeki przepłynąć się na naszą stronę. Stefan i ja wyliśmy z uciechy. Z

gromkimi okrzykami na ustach biegaliśmy po brzegu, podrzucając w górę kapelusze. Co chwila przystawaliśmy, padaliśmy sobie w ramiona. Szał radości nas ogarnął, bo oto ujrzelśmy koniec Kleksa. Nie miał nawet jednej szansy na milion. Był bezapelacyjnie stracony.

Gdy lody spłynęły, wsiedliśmy do łodzi i z biegiem Yukonu powiosłowaliśmy do Dawson. Po drodze zatrzymaliśmy się na tydzień w osadzie przy ujściu potoku Hendersona, żeby się trochę podkarmić. A kiedy przybiliśmy do brzegu w Dawson, siedział tam kochany Kleks.

Czekał z nastawionymi uszami, merdał ogonem i pysk mu się uśmiechał, słowem, witał nas

serdecznie. W jakiż sposób wykaraskał się z tych lodów? Skąd wiedział, że przybędziemy do Dawson dokładnie o tej godzinie i minucie? Wyszedł przecież powitać nas na brzegu.

Im dłużej myślę o Kleksie, tym bardziej nabieram przekonania, że dzieją się na świecie rzeczy, wobec których rozum ludzki jest bezradny. W żaden naukowy sposób nie da się wyjaśnić sprawy Kleksa. Śmiem twierdzić, że są to zjawiska spirytystyczne, mistyczne i tak dalej, ze sporą domieszką teozoficzną.

Klondike to piękny kraj. Żyłbym tam sobie do dziś i byłbym zapewne milionerem, gdyby nie ten Kleks. Działał mi na nerwy. Znosiłem go dobre dwa lata, po czym zupełnie się załamałem. W lecie roku 1899 wyprzęgłem. Stefanowi nie powiedziałem ani słowa. Po prostu dałem nogę.

Ale zrobiłem, co do mnie należało. Zostawiłem Stefanowi paczuszkę z napisem: “Śmierć szczurom!” i dołączyłem kartkę pouczając w niej, co i jak ma zrobić. Kochany Kleks strasznie mnie zmordował. Zrobiłem się taki nerwowy, że wciąż zrywałem się na równe nogi i rozglądałem wokół, choć nie było żywej duszy w pobliżu. Jednakże niezwykle szybko wróciłem do stanu normalnego. Zanim dojechałem do San Francisco, odzyskałem dwadzieścia funtów wagi, a gdy przepравиłem się promem do Oakland, byłem już dawnym sobą tak dalece, że nawet moja żona nie dostrzegła żadnej zmiany.

Stefan napisał do mnie tylko raz. List zdradzał niejaką irytację. Mój przyjaciel bardzo wzięł sobie “do serca to, że go zostawił z Kleksem. Pisał mi również, że “śmierci szczurom” użył zgodnie z moimi wskazówkami, lecz nic z tego nie wyszło. Minął rok. Znow pracowałem w biurze i świetnie mi się powodziło - nawet trochę się roztyłem. - Nagle przyjechał Stefan. Ale do mnie nie wstąpił. Przeczytałem jego nazwisko na liście pasażerów, którzy przybyli statkiem parowym, i zachodziłem w głowę, co mu się stało. Ale niebawem przestałem się dziwić.

Pewnego ranka wyszedłem z domu i ujrzałem, że kochany Kleks, przywiązany do furtki, nie chce wpuścić mleczarza. Tego samego ranka dowiedziałem się, że Stefan wyjechał na północ, do Seattle. Od tej chwili przestało mi przybywać na wadze. Żona kazała mi kupić obrożę i smycz. Nim minęła godzina, Kleks okazał żonie swą wdzięczność: zagryzł jej ulubieńca, perskiego kota.

Nie dam rady pozbyć się kochanego Kleksa. Będzie ze mną aż do mojej śmierci, bo sam nie umrze nigdy. Odkąd się pojawił, apetyt mi nie dopisuje, a żona twierdzi, że marnie wyglądam.

Zeszłej nocy Kleks dobrał się do kurnika pana Harveya (Harvey jest moim sąsiadem) i udusił dziewiętnaście rasowych kurcząt. Muszę za nie zapłacić. Sąsiedzi z naprzeciwka pokłócili się z moją żoną i wyprowadzili się gdzie indziej. Powodem był Kleks.

Oto dlaczego rozczarowałem się do Stefana Mackaye’a. Nigdy bym się nie spodziewał, że jest człowiekiem tak podłym.

Przełożył Kazimierz Piotrowski

Niepojęte i potworne

Nie żałuj pieniędzy - powiedziałem Roscoemu. - Niech wszystko na "Snarku" będzie najlepsze. I nie zawracaj sobie głowy dekoracjami. Zwyczajne deski sosnowe to moim zdaniem stosowne wykończenie. Pieniądże ładuj w konstrukcję. Chcę, żeby "Snark" był

najpewniejszym i najmocniejszym jachtem na morzach. Nie przejmuj się kosztami. Pilnuj, żeby był pewny i mocny, a ja zacznę pisać i zdobywać pieniądze na wydatki.

Dotrzymałem obietnicy... w granicach możliwości, gdyż "Snark" zjadał pieniądze szybciej, niż potrafiłem je zarabiać. Prawdę mówiąc, musiałem od czasu do czasu uzupełniać dochody pożyczkami. Raz był to tysiąc dolarów, raz dwa tysiące, raz pięć. A przez cały czas pracowałem jak dzień długi i zarobki topiłem w wielkim przedsięwzięciu. Harowałem w niedziele, nie dawałem sobie wytchnienia, ale sądziłem, że gra warta świeczki. Ilekroć pomyślałem o "Snarku", uprzytamniałem to sobie.

Weźmy chociażby, drogi czytelniku, solidność jachtu. Jego długość na linii wodnej wynosi czterdzieści pięć stóp. Pas przystępkowy ma trzy cale grubości, poszycie burt dwa i pół cala, pokładu dwa cale, a we wszystkim tym niepodobna znaleźć jednego sęka. Wiem, że tak jest, gdyż drewno zamówiłem specjalnie w firmie Puget Sound. Następnie "Snark" ma cztery wodoszczelne przedziały, czyli innymi słowy dzieli go w poprzek trzy wodoszczelne grodzie.

Wynika stąd, że bez względu na rozmiar przecieku zalany może być tylko jeden przedział.

Trzy pozostałe utrzymają "Snarka" na powierzchni i ma się rozumieć pozwolą na usunięcie przecieku. Wspomniane cztery przedziały przynoszą dodatkową korzyść, bo ostatni z nich, na samej rufie, mieści sześć zbiorników, w których znajdzie się tysiąc galonów benzyny. Otóż benzyna w pokaźnej ilości to ładunek bardzo niebezpieczny, szczególnie dla małego statku, zagubionego na bezkresach oceanu. Jeżeli jednak sześć nie przeciekających zbiorników mieści się w przedziale hermetycznie odgrodzonym od reszty statku, zagrożenie maleje do minimum.

"Snark" jest jachtem żaglowym i został zbudowany z myślą przede wszystkim o żeglowaniu.

Ale na wszelki wypadek posiada również silnik o mocy siedemdziesięciu koni. To doskonały, niezawodny silnik. Już ja wiem. Zapłaciłem za niego, nie wspominając nawet o koszcie dostawy z Nowego Jorku. Tuż nad silnikiem znajduje się kabestan - wspinałe urządzenie.

Waży on kilkaset funtów i zajmuje niemało miejsca na pokładzie. Jednakże zdajesz sobie sprawę, drogi czytelniku, czystą głupotą byłoby ręczne podnoszenie kotwicy statku wyposażonego w silnik o mocy siedemdziesięciu koni. Wobec tego postaraliśmy się o kabestan uruchamiany przez silnik za pośrednictwem przekładni i kół trybowych, które zamówiłem specjalnie w pewnych zakładach odlewniczych w San Francisco.

Jacht budowano z myślą o wygodzie i w tym zakresie nie oszczędzono kosztów. Na przykład ma on łazienkę - ciasną i małą, to prawda, wyposażoną jednak we wszystkie urządzenia przyzwoitego pokoju kąpielowego na lądzie. Łazienka nasza to senne marzenie o zawiłym systemie dźwigni, pomp,

kranów i zaworów dennych. Przyznam, że w czasie jej budowania nie sypiałem po nocach, medytując o tym cudzie. Oprócz łazienki mamy też łódź ratunkową i motorówkę. Wywindowane na pokład zajmą szczupłą przestrzeń pozostawioną nam dla uprawiania ćwiczeń gimnastycznych. Ale to przecież coś nierównie lepszego niż polisa ubezpieczeniowa, a człowiek przezorny - nawet posiadacz jachtu tak mocnego i pewnego jak

“Snark” - musi pamiętać o solidnej łodzi ratunkowej. Nasza jest rzeczywiście wspaniała. Miała kosztować sto pięćdziesiąt dolarów, gdy jednak przyszło do płacenia, okazało się, że rachunek wynosi trzysta dziewięćdziesiąt pięć. Już samo to dowodzi, jak wyborna musi być nasza szalupa.

Mógłbym rozwodzić się szeroko o rozlicznych cnotach i zaletach “Snarka”, ale dam za wygraną. Dość go wychwalałem i wychwalałem celowo, jak się okaże przed końcem opowieści. Wspomnij, czytelniku, jej tytuł: “Niepojęte i potworne”. Zgodnie z przewidywaniami

“Snark” miał wyjść w morze pierwszego października tysiąc dziewięćset szóstego roku. Nie wyszedł i to właśnie było niepojęte i potworne. Nie wyszedł bez uzasadnionej przyczyny -

chyba tylko dlatego, że nie był gotów, a nie był gotów również bez uzasadnionej przyczyny.

Obiecywano nam zakończyć roboty pierwszego listopada, później piętnastego, później pierwszego grudnia, lecz jacht wciąż nie był gotów. Pierwszego grudnia Charmian i ja rozstaliśmy się z uroczymi okolicami Sonomy, aby zamieszkać w dusznym i zatłoczonym mieście - oczywiście nie na długo., bo piętnastego grudnia, za dwa tygodnie, wyjdziemy w morze, jak dwa razy dwa - cztery. Wierzyliśmy, gdyż mówił tak Roscoe, za którego też radą przenieśliśmy się do San Francisco na owe dwa tygodnie. Niestety - upłynęły dwa tygodnie, cztery tygodnie, sześć, osiem - a data wyjścia w morze pozostawała równie daleka jak dotąd.

Któż to wytłumaczy? Ja? Nie potrafię. Nasze opóźnienie to chyba jedyna klęska, która naprawdę dała mi radę w życiu. Nie ma wytłumaczenia, bo gdyby było, mógłbym go przecież udzielić. Tymczasem ja - wytrawny rzemieślnik słowa - przyznaję, że nie zdołałem wytłumaczyć, czemu “Snark” nie był gotów w porę. Jak powiedziałem już i muszę powtórzyć, objawiło się niepojęte i potworne.

Osiem tygodni urosło do szesnastu i na koniec pewnego dnia Roscoe dodał nam ducha słowami:

- Jeżeli nie wyjdziemy w morze przed pierwszym kwietnia, zagracie w piłkę nożną moją głową.

W kilkanaście dni później napomknął:

- Zaczynam trenować swoją głowę do meczu.

- Drobiazg - powiedziała Charmian do mnie, a ja do Charmian. - Wystarczy pomyśleć, jaki to będzie cudowny statek po wykończeniu.

Następnie, ku wzajemnemu pokrzepieniu, zaczęliśmy przepowiadać sobie rozliczne cnoty i zalety “Snarka”. Ponadto zaciągnąłem nową pożyczkę, twardziej zasiadłem przy biurku, tym gorliwiej wziąłem się do pisania i po bohatersku odrzuciłem propozycję, aby korzystając z niedzieli wybrać się z przyjaciółmi na wycieczkę w góry. Przecież buduję jacht i, na Boga, musi to być jacht pisany

samymi dużymi literami: JACHT. Nie dbałem o koszty, nie obchodziły mnie pieniądze, chciałem w ostatecznym rezultacie otrzymać JACHT.

Aha, jest jeszcze jedna zaleta “Snarka” - zaleta, którą muszę się pochwalić. Chodzi o jego dziób, którego nie zaleje nawet najwyższa fala. Ten dziób śmieje się z morza, rzuca wyzwanie morzu, wzgardliwie natrzęsa się z morza. To wspaniały dziób o liniach jak gdyby wyczarowanych w marzeniu sennym i stanowczo śmiem wątpić, czy jakikolwiek statek szczyił się kiedykolwiek dziobem równie pięknym i sprawnym zarazem. Był jak pięść dla huraganów, a dotknięcie tego dziobu porównać można ze złożeniem dłoni na kosmicznym szczycie wszechrzeczy. Jedno nań spojrzenie wystarczy, by uprzytomnić sobie, że wydatki nie odgrywają najmniejszej roli. A więc ilekroć wynikała nowa zwłoka lub koszty rosły nadmiernie, wspominaliśmy ów cudowny dziób i byliśmy szczęśliwi.

“Snark” to bardzo niewielki statek. Gdy koszt jego budowy szacowałem na siedem tysięcy dolarów, byłem nie tylko hojny, lecz również uczciwy. Budowałem już szopy i domy, więc zdaję sobie sprawę, że w podobnych przypadkach działa osobliwa reguła przekraczania preliminowanych wydatków. Wiedziałem o tym określając przybliżony koszt budowy “Snarka” na siedem tysięcy dolarów. Byłem przygotowany. Ale cóż? Jacht pochłonął trzydzieści tysięcy.

Nie zadawaj mi pytań, czytelniku. To szczerą prawdą. Własnoręcznie podpisywałem чеки, osobiście zarabiałem pieniądze. Nie istnieją logiczne uzasadnienia. Poczytuję to za niepojęte i potworne, a ty, czytelniku, bez wątplenia przyznasz mi rację przed zakończeniem opowieści.

Należy jeszcze wrócić do kwestii opóźnień. Miałem do czynienia z czterdziestu siedmioma rzemieślnikami rozmaitych specjalności oraz ze stu piętnastoma różnorodnymi firmami. Żaden z tych rzemieślników, żadna z tych firm, nikt i nigdy nie dostarczył w uzgodnionym terminie chociażby jednej rzeczy. W porę nie odbywało się absolutnie nic, z wyjątkiem naturalnie pobierania zaliczek i przedstawiania rachunków do inkasa. Ludzie przysięgali na zbawienie nieśmiertelnej duszy, że to lub owo dostawią w takim czy innym dniu określonego miesiąca, i po złożeniu podobnej przysięgi rzadko spóźniali się... więcej niż trzy miesiące. Tak szło jakoś, a Charmian i ja pocieszaliśmy się wzajemnie mówiąc, że “Snark” to naprawdę wspaniały statek - taki mocny i pewny. Od czasu do czasu sadowiliśmy się w mniejszej łodzi, aby wiosłując dokoła jachtu podziwiać jego dziób cudowny i niewiarygodnie piękny.

- Wyobraź sobie - mówię do Charmian - tajfun opodal chińskich wybrzeży i “Snarka”, który staje w dryf i tym swoim wspaniałym dziobem pruje zawieruchę. Przez taki dziób nie pryśnie ani kropla. Jacht jest suchy jak pieprz, a my wszyscy siedzimy w kabinie i przy akompaniamencie sztormowego wichru spokojnie rżniemy w wista.

Na to Charmian gorąco ścisła moją rękę i wykrzykuje z zapałem:

- Wszystko się opłaciło! Zwłoka, wydatki, kłopoty, wszystko! “Snark” to rzeczywiście cudowny jacht!

Ilekroć spojrzałem na dziób “Snarka” lub pomyślałem o jego wodoszczelnych przedziałach, odzyskiwałem wiarę w przyszłość. Ale byłem osamotniony w swoim optymizmie. Przyjaciele i

znajomi jęli zakładać się ze mną kwestionując kolejne terminy wyjścia w morze. Pierwszy zainkasował wygraną pan Wiget, człowiek zostawiony na straży naszego rancza pod Sonomą.

Otrzymał pieniądze w sam dzień Nowego Roku tysiąc dziewięćset siódmego. Później zakłady posypały się jak z rękawa. Przyjaciele otaczali mnie niby stado hien, podawali w wątpliwość liczne kolejne daty, jakie wyznaczałem. Byłem zawzięty i uparty. Zakładałem się, zakładałem, zakładałem mimo wszystko i nieustannie płaciłem. Ba! Nawet panie z mojego towarzystwa nabrały odwagi i nawet te, które uprzednio nie myślały o tym nigdy, zakładały się ze mną, ja zaś płaciłem im również.

- Wszystko to fraszka - mówiła do mnie Charmian. - Pomyśl tylko o tym prześlicznym dziobie i dryfowaniu gdzieś na chińskich wodach.

- Widzicie - tłumaczyłem przyjaciołom regulując należności z tytułu ostatniej serii zakładów -

nie żałujemy starań ani kosztów, aby ze "Snarka" zrobić najlepszy z jachtów, jakie od początku świata zostawiły za sobą Złote Wrota. Stąd wynika zwłoka.

Tymczasem redaktorzy czasopism i wydawcy, z którymi zawarłem umowy, poczęli nękać mnie żądając wyjaśnień. Ale cóż mogłem im wyjaśnić, skoro nie byłem w stanie wyjaśnić nic sobie i nikt, nawet Roscoe, nie potrafił mi nic w tym pomóc? Gazety zaczęły ze mnie szydzić, a jedna zamieściła wierszyk traktujący uszczypliwie wyjście w morze "Snarka" i opatrzony refrenem:

"Jeszcze nie, ale tuż, prawie już." Charmian dodała mi ducha wspominając cudowny dziób

"Snarka", więc poszedłem do banku, by pożyczyć kolejne pięć tysięcy. Wszelako zwłoka opłaciła mi się pod jednym względem. Pewien przyjaciel, krytyk z zawodu, wykpił bezlitośnie moją osobę oraz wszystko, co dotąd zdziałalem i mogę zdziałać w przyszłości; to co napisał, zamierzał ogłosić drukiem, kiedy będę na odległych morzach. Byłem na łodzi, gdy ukazał się artykuł, więc biedak tłumaczył się gęsto.

A czas płynął i płynął, jednego dowodząc niezbitcie - że "Snarka" niepodobna wykończyć w San Francisco. Był w budowie tak długo, że występowały już objawy zniszczenia i zużycia.

Otwarcie mówiąc, jacht osiągnął fazę, w której psucie się następuje prędeej, niż możliwe jest tempo napraw. Stał się tematem żartów. Nikt nie traktował go serio - a zwłaszcza ludzie zatrudnieni przy jego budowie. W końcu powiedziałem, że wyjdziemy w morze na takim statku, jaki mamy, a w Honolulu roboty zakończymy ostatecznie. Na nieszczęście objawił się przeciek, który nieodwołalnie należało usunąć przed rozpoczęciem rejsu. Skierowałem

"Snarka" na slip, lecz nim tam dotarł, trafił między dwie ogromne barki i zderzył się z nimi potężnie. Przystąpiliśmy do wyciągania go na szyny pochylni, kiedy jednak był w połowie drogi, szyny się rozsunęły i jacht runął w błoto rufą do przodu.

Wyniknął nie lada kłopot; było to już zadaniem nie dla skutników, lecz specjalistów od rozbiórki wraków. W ciągu doby następowały dwa przyływy, toteż przez cały tydzień, za dnia i nocą, w porze wysokiej wody dwa holowniki parowe ciągnęły i popychały "Snarka". Ten jednak wytrwale stał na

rufie pomiędzy rozsuniętymi fatalnie szynami ślipu. Następnie - wciąż w tej samej nieprzyjemnej sytuacji - postanowiliśmy wypróbować obstalowane w lokalnych zakładach odlewniczych przekładnie i koła trybowe, które miały uruchamiać kabestan.

Pierwszy raz zamierzaliśmy wykorzystać to urządzenie. Niestety, koła trybowe miały skazy i rozłączyły się niezwłocznie, przekładnie też wysiadły. Kabestan przestał działać. Z kolei silnik o mocy siedemdziesięciu koni zawiódł pokładane w nim nadzieje. Wykonano go na specjalne zamówienie w Nowym Jorku, skąd pochodziła również płyta fundamentowa. Otóż ta płyta miała skazę, miała bardzo dużo skaz, wobec czego silnik o mocy siedemdziesięciu koni oderwał się od popękanej płyty, wyskoczył w powietrze, doznał licznych uszkodzeń i upadł na bok. No i "Snark" tkwił nadal między rozsuniętymi szynami pochylni i nadal dwa holowniki parowe szarpały - go wytrwale, lecz bezskutecznie.

- Mniejsza z tym - odezwała się Charmian. - Pomyśl tylko, jaki to pewny i mocny jacht.

- Aha - przyznałem. - Warto także pomyśleć o jego przesłicznym dziobie.

Tak pokrzepieni zabraliśmy się do roboty. Nieczynny silnik stanął znów na spękanej płycie fundamentowej. Zniszczone koła trybowe i przekładnie, które miały uruchamiać kabestan, zebraliśmy i zmagazynowaliśmy pod pokładem, by przewieźć je do Honolulu i tam dokonać niezbędnych napraw albo zamówić nowe odlewy. Niedługo, w zamierzonej przeszłości, kadłub

"Snarka" został na zewnątrz pociągnięty białą farbą i w sprzyjającym oświetleniu kolor ten był jeszcze trochę widoczny. Malowania wnętrza jachtu nie doczekał się nigdy, a jego pokład zalegała gruba na parę cali warstwa brudu i sosu z prymek, które żuli niezliczeni mozolący się tam rzemieślnicy.

- Mniejsza z tym - mówiliśmy pogodnie. - Brud zeskrobie się później, gdy zawiniemy do Honolulu. No i "Snarka" będzie można malować równocześnie z przebudową.

Wreszcie wysiłkiem własnych rąk i kosztem własnego potu wyciągnęliśmy jacht z uszkodzonej pochylni i ustawili przy nabrzeżu Oakland City. Dwukołowe platformy jeły przywozić z domu wszystko, co należy: książki, pościel, osobistą garderobę. Jednocześnie zalewał pokład istny strumień niosący beładnie drewno i węgiel, wodę i zbiorniki na wodę, świeże jarzyny, zapasy prowiantu, naftę, łódź ratunkową i motorówkę, wszystkich naszych znajomych, znajomych naszych znajomych i takich, co podawali się za ich znajomych, nie wspominając nawet o kilkunastu przyjaciółach przyjaciół przyjaciół naszej załogi. Nie brakowało także reporterów, fotografów, ludzi zupełnie obcych, rozmaitych wydrwigroszy oraz ogarniających wszystko kłębowy pyłu węglowego, które podnosiły się z nabrzeża.

Było sobotnie popołudnie. W morze zamierzaliśmy wyjść w niedzielę o godzinie jedenastej.

Wzdłuż nabrzeża gęstniały tłumy i kłęby pyłu węglowego. W jednej kieszeni miałem książeczkę czekową, wieczne pióro, datownik oraz podręczną suszkę, w drugiej - plusminus dwa tysiące dolarów w banknotach i złotych. Byłem przygotowany na spotkanie wierzyteli: gotówkę

przeznaczyłem dla drobnych, czeka dla poważniejszych. Wyglądałem tylko chwili, gdy Roscoe zjawi się z wykazem sald na rachunkach stu piętnastu firm, którym zawdzięczałem wiele miesięcy opóźnienia. Wtem...

Wtem jeszcze raz dało znać o sobie niepojęte i potworne. Roscoego uprzedził ktoś inny -

komornik w służbie rządu Stanów Zjednoczonych. Na smukłym maszcie "Snarka" przylepił

papier w taki sposób, że wszyscy zgromadzeni wzdłuż nabrzeża mogli przeczytać z łatwością o zajęciu jachtu z przyczyny zadłużenia. Komornik pozostawił na straży drobnego człeczynę w starszym wieku, sam zaś ulotnił się szybko. Nie miałem już wpływu na dalsze losy "Snarka" ani jego wspaniałego dziobu. Panem i władcą statku został drobny człeczyna w starszym wieku, mnie zaś poinformowano, że będę mu płacił trzy dolary dziówki za sprawowanie funkcji pana i władcy. Ponadto dowiedziałem się, że nazwisko wierzyciela brzmi Sellers, a dług, który stał się powodem zajęcia jachtu, wynosi dwieście trzydzieści dwa dolary.

Sellers? Któż to taki, u Boga Ojca? Zajrzałem do książeczki czekowej i zobaczyłem, że dwa tygodnie temu otrzymał czek na pięćset dolarów. Z poprzednich książeczek wynikało, że w ciągu długich miesięcy budowy "Snarka" wypłaciłem panu Sellersowi kilka tysięcy. Czemu, u licha, jak prosta przyzwoitość nakazuje, nie zgłosił się do mnie po nędzne saldo swojego rachunku? Czemu spowodował zajęcie jachtu? Wsunąłem dłonie do kieszeni; w jednej zmacałem książeczkę czekową, pióro, datownik - w drugiej szeleszczące banknoty i złote monety. Sto razy mogłem uregulować żebracze należności Sellersa! Czemu nie dał mi po temu okazji? Nie było wyjaśnienia. Napotkałem znów niepojęte i potworne.

Na domiar złego "Snark" został obłożony sekwestrem w sobotę pod wieczór. Na całe Oakland i całe San Francisco wypuściłem prawników i agentów, lecz niepodobna było odszukać sędziego ani komornika, ani pana Sellersa, ani adwokata pana Sellersa. Wszyscy wyjechali z miasta na weekend, więc "Snark" nie wyszedł w morze w niedzielę o godzinie jedenastej. "Nie wyjdzie!" Tak orzekł drobny człeczyna w starszym wieku, który sprawował funkcje pana i władcy statku. Charmian i ja spacerowaliśmy po nabrzeżu i szukali pociechy oglądając cudowny dziób "Snarka" i rozmyślając o sztormach, tajfunach i rzucanych im dumnych wyzwaniach.

- Drobnomieszczański kawał - mówiła Charmian pijąc do pana Sellersa i sekwestru. - Panika małego kupczyka. Ale to fraszka! Wszystkie troski miną, kiedy umkniemy stąd na bezkresy oceanu.

Wreszcie wyszliśmy w morze, a nastąpiło to z rana we wtorek dwudziestego trzeciego kwietnia tysiąc dziewięćset siódmego roku. Przyznaję, że rejs rozpoczął się kulawo. Kotwicę musieliśmy podnieść ręcznie z racji poważnych defektów transmisji mechanicznych. No i pozostałości silnika o mocy siedemdziesięciu koni spoczywały w charakterze balastu pod pokładem, na samym dnie statku. Kto jednak dbałby o podobne drobiazgi? Wszelkie naprawy załatwi się gładko w Honolulu, a tymczasem można przecież myśleć o doskonałości reszty statku. Co prawda silnik motorówki nie działał, a łódź ratunkowa przeciekała niby sito.

Jednakże to tylko akcesoria. Naprawdę liczą się wodoszczelne grodzie, solidne poszycie bez sęków, przemyślnie urządzenie łazienki - to dopiero jest "Snark". No i najważniejszy ze wszystkiego dostojny

dziób, co dumnie szydzi z wichrów.

Minęliśmy Złote Wrota i obrali kurs południowy, ku obszarom Pacyfiku, na których należało oczekiwać północno-wschodnich pasatów. Wówczas zaczęły następować dziwne wydarzenia.

W swoim czasie sądziłem, że młodzież będzie najlepszą załogą w podróży takiej jak rejs

“Snarka”, więc zaangażowałem trzech młodzieniaszków: mechanika, kucharza i młodszego stewarda. Sąd mój był słuszny zaledwie w dwóch trzecich, gdyż nie uwzględniłem w obliczeniach młodzieniaszków o skłonnościach do choroby morskiej i dwu takich przyjąłem: kucharza i stewarda. Obydwaj legli niezwłocznie na kojach i przez cały tydzień byli absolutnie do niczego. Rzecz zrozumiała, że na ten okres zostaliśmy pozbawieni gorących posiłków, a pod pokładem zapanował brud i nieład. Ostatecznie nie miało to większego znaczenia, gdyż odkryliśmy niebawem, że pomarańcze w skrzynce są zmarznięte, jabłka mocno nadgniłe, że natychmiast trzeba wyrzucić za burtę kapustę dostarczoną nam już w stanie rozkładu, że marchew cuchnie naftą, rzepa jest łykowata, buraki zepsute, drewno opałowe spróchniałe, a węgiel załadowany w worki po zgniłych kartoflach rozsypuje się po całym pokładzie i jest splukiwany do morza przez odpływники.

Nie martwiliśmy się wcale. Przecież to wszystko tylko akcesoria. Sam jacht jest bez zarzutu, absolutnie bez zarzutu! Ruszyłem wzdłuż pokładu i w ciągu minuty naliczyłem czternaście sęków w pięknym poszyciu, zamówionym w firmie Puget Sound specjalnie po to, aby nie miało sęków. Stwierdziłem również, że pokład przecieka, i to przecieka fatalnie. Woda wyгнаła Roscoego z koi i uszkodziła narzędzia w pomieszczeniu silnika - nie wspominając nawet o zapasach żywności nadwerężonych w pentrze. Przeciekały także burty oraz dno kadłuba i dzień w dzień musieliśmy harować przy pompie, aby utrzymywać jacht na powierzchni. Podłoga pentry leży o dwie stopy wyżej od wewnętrznego poszycia dna

“Snarka”, kiedy jednak stanąłem na tej podłodze, aby przekąsić coś na zimno, nasiąkłem po kolana wodą przelewającą się tam i z powrotem, chociaż od ostatniego pompowania minęły ledwie cztery godziny.

Ale nie na tym koniec. Wspaniałe, wodoszczelne przedziały pochłonęły moc czasu i pieniędzy, lecz jak się rychło okazało, nie były wcale wodoszczelne. Woda przelewała się z jednego do drugiego swobodnie niczym powietrze, a silny odór benzyny dobywający się z rufowego przedziału zbudził we mnie podejrzenia, iż jeden albo więcej z sześciu zbiorników najprawdopodobniej przecieka także. Zbiorniki przeciekają - pomyślałem - i bynajmniej nie są hermetycznie odgradzone od reszty statku. Warto też wspomnieć o łazience z jej systemem dźwigni, pomp, kranów i kingstonów. Wszystko to przestało funkcjonować przed upływem pierwszych dwudziestu godzin rejsu. Grube dźwignie z żelaza rozpadały się w rękach, gdy ktoś próbował uruchomić pompy, i łazienka, pierwsza wśród wszystkich części “Snarka”, obróciła się w kompletną ruinę.

Całe żelazo na jachcie okazało się gąbczaste, bez względu na fakt, kto i skąd je dostarczył.

Na przykład płyta fundamentowa silnika, sprowadzona z Nowego Jorku, była gąbczasta, nie inaczej niż przekładnie i tryby kabestanu pochodzące, jak wiadomo, z San Francisco. Ponadto stal zgrzewna zastosowana do takielunku ustępowała na wszystkie strony przy pierwszym lepszym nacisku.

Rozumiesz, czytelniku? Niby to stal zgrzewna, a kruszy się jak makaron włoski.

Szpona gafla grotzagli pękła bardzo szybko. Zastąpiliśmy ją szponą gafla traisla, ale i ta nie wytrzymała nawet piętnastu minut. A była to przecież szpona gafla żagla sztormowego, któremu mieliśmy zawierzyć w czasie sztormu! Obecnie "Snark" niesie grotzagieli niby złamane skrzydło, gdyż zamiast szpony gafla musieliśmy posłużyć się rzemieniem.

Przekonamy się, czy w Honolulu podobna zdobyć uczciwe żelazo.

Człowiek zdradził nas, wyprawił w morze na sicie, jednakże Pan miłował nas widocznie, bo przy sprzyjającej pogodzie odkrywaliśmy, że dzień w dzień trzeba harować przy pompach, aby jacht utrzymywać na powierzchni, a wykałaczką budzi więcej zaufania niż najgrubsza żelazna belka na "Snarku". W miarę jak wniwecz obracała się pewność i moc statku, Charmian i ja pokładaliśmy coraz więcej i więcej wiary w jego cudownym dziobie. Nic innego nie pozostało do wierzenia. Wciąż objawiało się niepojęte i potworne - z tego zdawaliśmy sobie sprawę - ale przynajmniej dziób umieszczał się w granicach zdrowego rozsądku. Wreszcie pewnego wieczora spróbowaliśmy stanąć w dryf.

Jak to opisać? Przede wszystkim ku oświeceniu żółtodziobów muszę wyjaśnić, że dryfowanie to manewr, który przy odpowiednio zrefowanych i zrównoważonych żaglach, zmusza statek do utrzymywania się dziobem w kierunku wiatru i fali. Kiedy wiatr jest zbyt silny lub fala za wysoka, statek rozmiarów "Snarka" z łatwością może stanąć w dryf i wówczas nie ma nic do roboty na pokładzie. Nie potrzeba sternika, zbyteczny staje się człowiek na oku. Załoga może zejść do kabiny i spać albo grać w wista.

Otóż dał niezbyt silny letni wiatr sztormowy, gdy oznajmiłem Roscoemu, że zaczniemy dryfować. Zapadał wieczór. Sterowałem przez prawie cały dzień. Załoga na pokładzie (Roscoe, Bert i Charmian) była strudzona. Załoga pod pokładem cierpiała z powodu choroby morskiej. Wzięliśmy już dwa refy na wielkim grotzagli. Latacz i kliwer były spuszczone i ref wzięty na przednim sztaksłu. Bezan zdążyliśmy też spuścić. Właśnie stenga bukszprytu zapadła pod powierzchnię i ułamała się krótko. Aby lec w dryf, począłem kłaść ster na burtę.

"Snark" szedł wówczas w dolinie fali. Nadal szedł tak uparcie, chociaż coraz mocniej i mocniej cisnąłem szprychy koła sterowego. Dolina fali to, miły czytelniku, najniebezpieczniejsza pośród pozycji, w jakich może się znaleźć statek. A zatem coraz mocniej cisnąłem szprychy koła sterowego i "Snark" nadal szedł w dolinie fali. Osiem rumbów w stosunku do wiatru -

więcej wydusić nie zdołałem, Berta i Roscoego zapędziłem do szotów grotzagli. "Snark" szedł nadal w dolinie fali i z przechyłem to na jedną burtę, to na drugą.

Jeszcze raz niepojęte i potworne unosiło zdrażliwie siwą głowę.

Działo się coś groteskowego, nieprawdopodobnego - coś, w co nie chciałem uwierzyć. Pod grotem wziętym na dwa refy i sztakslem na jeden "Snark" odmawiał uparcie stanięcia w dryf.

Wybraliśmy szoty żagla na sztywno, a mimo to "Snark" nie zmienił kursu nawet o dziesiątą część rumba. Spuściliśmy grotżagiel - również bez rezultatu. Podnieśliśmy żagiel sztormowy na bezanie i nic się nie stało. "Snark" szedł w dolinie fali, a jego piękny dziób stanowczo odmawiał przejścia linii wiatru.

Ostatecznie ściągnęliśmy zrefowany sztaksel i, jako jedyny kawał płótna nad pokładem, został

tylko sztormowy żagiel na bezanie. Jeżeli w takich warunkach dziób nie przejdzie przez linię wiatru, nigdy tego nie dokáže. Zapewne nie znajdę wiary, kiedy powiem, że nawet to zawiodło.

Trudno! Powiem, że zawiodło. Powiem, bo nie powoduje mną wiara, lecz obserwacja czegoś, co widziałem na własne oczy. Nie wierzę. Po prostu twierdzę, że widziałem.

Otóż, miły czytelniku, jak postąpiłbyś będąc na małym statku, który idzie w dolinie fali, a żagiel sztormowy na bezanie nie może obrócić go dziobem w kierunku wiatru i fali? Oczywiście wyrzuciłbyś dryfkotwę. Zgoda! My zrobiliśmy to samo. Mieliliśmy model opatentowany, wykonany na obstalunek, z gwarancją, iż nie zatonie. Wyobraź sobie stalową obręcz, która rozwiera górny otwór dużego stożkowego worka z brezentu, a ujrysz naszą dryfkotwę.

Troskliwie umocowaliśmy linę do niej oraz do dziobu "Snarka" i dryfkotwę wyrzuciliśmy za burtę. W mgnieniu oka dała nura. Na szczęście była zaopatrzona w specjalną linkę holowniczą do wyciągania, więc spieszenie wydobyliśmy ją na pokład, uzupełnili drewnianym pływakiem i ponownie wyrzucili. Tym razem utrzymała się na powierzchni. Wyprężyła się lina umocowana do dziobu jachtu. Żagiel sztormowy na bezanie zaczął przejawiać skłonność do zwrócenia dziobu w kierunku wiatru, lecz na przekór tej skłonności "Snark" wziął pod siebie dryfkotwę, wyprzedził i wlokąc za rufą szedł dalej w dolinie fali. Ładna historia! Spuściliśmy nawet żagiel sztormowy, na jego miejsce podnieśliśmy bezan i wybraliśmy szoty tego żagla na sztywno, a Snark sunął wciąż w dolinie fali holując dryfkotwę za rufą. Nie wierzysz mi, prawda? Ja też nie wierzę. Opisuję tylko coś, co widziałem na własne oczy.

Sam osądź sytuację, czytelniku. Kto słyszał kiedy o statku żaglowym, który uparcie nie chce stanąć w dryf? Nie chce stanąć w dryf nawet przy pomocy dryfkotwy? Ja nie słyszałem nigdy w czasie mojej niedługiej znajomości z żaglowcami. Stałem więc na pokładzie i patrzyłem w nie osłonięte niczym oblicze niepojętego i potwornego.

Oglądałem "Snarka", który nie chciał stanąć w dryf. Nastąpiła sztormowa noc ze zmiennymi przebłyskami księżycowej poświaty, powietrze pachniało wilgocią, od nawietrznej zapowiadały się deszczowe szkwały. Oglądałem dolinę fali - zimną i groźną w świetle księżyca - a w niej

"Snarka", który sunął zadowolony z siebie. Wreszcie wywindowaliśmy dryfkotwę, opuścili bezan, podnieśli zrefowany sztaksel i zawierzywszy mu losy "Snarka" zeszliśmy pod pokład.

Nie zeszliśmy na gorącą kolację, która powinna czekać, lecz po to, by ślizgać się w błocie zalegającym podłogę kabiny, gdzie kucharz i steward leżeli niby kłody w swoich kojach.

Położyliśmy się w kompletnym ubraniu i, gotowi na alarm, słuchaliśmy chlupotania wody zęzowej,

która do wysokości kolan przelewała się na podłodze pentry.

W klubie Cyganeria w San Francisco nie brak wytrawnych żeglarzy. Wiem o tym, bo niejednokrotnie wysłuchiwałem ich sądów w epoce budowy "Snarka". Pod jego adresem zgłaszali tylko jeden poważny zarzut i w tym względzie byli absolutnie zgodni. Wszyscy utrzymywali, że nasz jacht nie będzie szedł. "Jego linie - tłumaczyli niezbyt przejrzyście - są błędne i w tym sedno sprawy. Nie będzie szedł. Nie uda się go do tego zmusić". Szkoda, że tamtej nocy nie miałem na pokładzie "Snarka" kilku wytrawnych żeglarzy z klubu Cyganeria.

Przekonaliby się naocznie, że ich jednomyślny, jednogłośny, nieodwołalny werdykt kompletnie mija się z prawdą. Nie będzie szedł? Właśnie to "Snark" osiągnął w stopniu najdoskonalszym.

Nie będzie szedł? Przecież szedł w dolinie fali z dryfkotwą za rufą i zrefowanym żaglem sztormowym na bezanmaszcie. Nie będzie szedł? W momencie gdy piszę te słowa, idzie w północno-wschodnim pasacie z szybkością sześciu węzłów. Fala jest średnia. Nie ma nikogo przy sterze i nie zamocowano nawet koła sterowego. Aby być ścisłym, wieje wiatr północno-wschodni, bezan jest zwinięty, grotżagiel przełożony na prawą burtę, jego szoty naciągnięte, a

"Snark" idzie kursem południowo-południowo-zachodnim. Znam ludzi, którzy przez lat czterdzieści żeglowali po rozlicznych morzach i zawsze byli zdania, iż nie ma statku, który potrafiłby iść tak bez sterowania. Tacy nazwą mnie łgarzem, kiedy to przeczytają. Łgarzem nazywali też kapitana Slocuma, który to samo opowiadał o swoim "Sprayu".

Jeżeli chodzi o przyszłe losy "Snarka", błędzę w nieprzeniknionym mroku. Nie wiem nic.

Gdybym miał pieniądze albo kredyt, zbudowałbym nowego "Snarka", który zechciałby stanąć w dryf. Ale jestem u kresu zasobów finansowych, muszę zatem poprzestać na obecnym

"Snarku" lub zrezygnować z rejsu, a zrezygnować nie mogę.

Chyba ostatecznie spróbuję zmusić jacht do dryfowania rufą ku przodowi. Chyba da się to zrobić? Kto wie, może w burzliwy ranek, gdzieś na Morzu Chińskim jakiś siwobrody kapitan wytrzeszczy oczy, przetrze je z niedowierzaniem i znów wytrzeszczy na upiorny widok małego jachtu, łudzaco podobnego do "Snarka", który dryfuje rufą ku przodowi i rzuca dumne wyzwanie sztormom.

PS. Kiedy po zakończeniu rejsu wróciłem do Kalifornii, dowiedziałem się, że długość "Snarka" na linii zanurzenia mierzy czterdzieści trzy stopy zamiast czterdziestu pięciu. O tej niedokładności zdecydował fakt, że skutnik nie utrzymywał stosunków towarzyskich z taśmą mierniczą ani całówką.

Przełożył Tadeusz Jan Dehnel

Dom Mapuhiego

Mimo ociążałości swojej sylwetki "Aorai" manewrowała bez trudu na lekkim wietrze i kapitan podprowadził ją blisko do atolu, zanim zatrzymał statek tuż przed wirami przybrzeżnej kipieli.

Atol Hikueru spoczywał płasko na morzu. Był to krąg miękkiego piasku koralowego, który miał sto jardów szerokości, dwadzieścia mil w obwodzie, a wynurzał się nad powierzchnię o trzy do pięciu stóp. Na dnie olbrzymiej szklistej laguny znajdowało się wiele muszli perłowych i z pokładu szkunera można było dojrzeć, poprzez wąski pierścień atolu, zajętych swą pracą nurków.

Jednakże laguna nie miała wejścia odpowiedniego choćby dla handlowego szkunera. Przez kręty i płytki kanał mogły się przy pomyślnej bryzie przedostać kutry, natomiast szkunery stawały na zewnątrz i wysyłały tylko pomniejsze łodzie.

“Aorai” spuściła zgrabnie szalupę, do której wskoczyło pół tuzina śniadych marynarzy odzianych tylko w szkarłatne przepaski biodrowe. Chwycili za wiosła. Na rufie łodzi, opodal rudła, stał młody człowiek w białym tropikalnym ubraniu znamionującym Europejczyka. Ale nie był stuprocentowym Europejczykiem. Złociste dziedzictwo Polinezji objawiało się w słonecznej pozłocie jego jasnej skóry, rzucało złote blaski i lśnienia poprzez migotliwy błękit oczu. Był to Raoul, Aleksander Raoul, najmłodszy syn Marie Raoul, bogatej półKreolki, właścicielki sześciu handlowych szkunerów podobnych do “Aorai”.

Szalupa przecięła wir kłębiący się tuż u wejścia i prując zbełtane piany przyływu, torowała sobie drogę do zwierciadlanego zacisza laguny.

Młody Raoul wyskoczył na biały piasek i uściskał dłoń rosnącego krajowca. Ów miał wspaniały tors i ramiona, lecz kikut prawej ręki, z wystającą na kilka cali zbiełałą już kością, świadczył o spotkaniu z rekinem, które położyło kres karierze nurka i uczyniło zeń pochlebce i intryganta ubiegającego się o drobne łaski.

- Słyszałeś, Alek? - brzmiały jego pierwsze słowa. - Mapuhi znalazł perłę - ale jaką perłę!

Nigdy nie wyłowiono podobnej na Hikueru ani na wszystkich Paumotach, ani na całym świecie. Odkup ją od niego. Ma ją jeszcze. I pamiętaj, że ja pierwszy powiedziałem ci o tym.

Mapuhi jest głupi i możesz ją dostać tanio. Masz trochę tytoniu?

Raoul skierował swe kroki prosto przez plażę w stronę chaty stojącej pod drzewem pandanowym. Był konwojentem na szkunerze swojej matki i miał za zadanie przetrząsnąć całe Paumoty w poszukiwaniu zasobów kopry, muszli i pereł, w które obfitowały.

Był jeszcze młodym konwojentem; dopiero po raz drugi wyruszył w tym charakterze i gryzł się potajemnie swym brakiem doświadczenia w ocenianiu pereł. Kiedy jednakże Mapuhi pokazał

mu perłę, Raoulowi udało się opanować pierwsze wrażenie i zachować na twarzy niedbały, kupiecki wyraz. Albowiem na widok perły doświadczył wstrząsu. Była wielka jak gołębie jajo, doskonale kulista, a w jej białości opalizowały promiennie wszystkie dookolne barwy. Ta perła była żywa. Nigdy nie widział nic podobnego. Kiedy Mapuhi opuścił mu ją na dłoń, Raoula zdumiał jej ciężar. Świadczył on, że perła jest dobra. Obejrzał ją starannie przez kieszonkową lupę. Była bez jednej plamki czy skazy. Jej czystość jakby się roztopiała w powietrzu, perła, rzekłbyś, ulatywała mu z

dłoni.

W cieniu wydawała się miękko świetlista, błyszczała niby łagodny księżyc. Była tak przezroczyście biała, że kiedy ją wpuścił do szklanki z wodą, odnalazł ją nie bez trudu. Tak prosto i szybko osunęła się na dno, iż wiedział, że jej waga jest wyśmienita.

- No, a co chcesz za nią? - spytał z udaną obojętnością.

- Chcę... - zaczął Mapuhi, a za nim, tuż przy jego ciemnym obliczu, smagłe twarze dwóch kobiet i dziewczyny przytakiwały jego żądaniom. Wszystkie pochylone były do przodu, ożywiało je hamowane podniecenie, oczy ich chciwie błyszczały.

- Chcę dom - mówił Mapuhi. - Musi mieć dach z blachy cynkowej i ośmiokątny zegar z wagami. Musi być długi na sześć sążni, z gankiem dokoła. W środku musi mieć duży pokój, a w nim okrągły stół i ośmiokątny zegar na ścianie. Muszą tam być cztery sypialnie, po dwie z każdej strony dużego pokoju, a w każdej sypialni musi być łóżko żelazne, dwa krzesła i umywalnia. A na tyłach musi być kuchnia, dobra kuchnia, z garnkami i patelniami, i piecem. A ty musisz zbudować ten dom na mojej wyspie, która jest Fakarava.

- I to wszystko? - zapytał z niedowierzaniem Raoul.

- Musi być maszyna do szycia - ozwała się Tefara, żona Mapuhiego.

- Nie zapominaj o ośmiokątnym zegarze z wagami - dorzuciła Nauri, jego matka.

- Tak, to wszystko - rzekł Mapuhi.

Młody Raoul roześmiał się. Śmiał się długo, serdecznie. Lecz śmiejąc się rozwiązywał skrycie pamięciowe zadanie arytmetyczne. Nigdy w życiu nie budował domu i jego pojęcia o budownictwie były mgliste. Śmiejąc się obliczał koszt podróży na Tahiti po materiały, koszt samych materiałów, drogi powrotnej na Fakarave, wyładunku i wreszcie budowy domu.

Wyniosłoby to jakieś cztery tysiące francuskich talarów, z pewną marżą na wszelki wypadek; cztery tysiące francuskich talarów równały się dwudziestu tysiącom franków. To było niemożliwe. Gdzież mógł się dowiedzieć, jaka jest wartość podobnej perły? Dwadzieścia tysięcy franków to była masa pieniędzy - i na dobitkę pieniędzy jego matki.

- Mapuhi - powiedział - jesteś wielkim głupcem. Oznacz cenę w pieniądzach.

Ale Mapuhi potrząsnął głową, a trzy głowy powtórzyły za nim ten ruch.

- Ja chcę mieć dom - powiedział. - Musi być długi na sześć sążni, z gankiem dokoła...

- Tak, tak - przerwał mu Raoul. - Już słyszałem o tym twoim domu, ale nic z tego. Dam ci tysiąc talarów chilijskich.

Cztery głowy dały spodem milczący znak przeczenia.

- I sto talarów chilijskich w towarach.

- Ja chcę dom... - zaczął Mapuhi.

- Na co ci dom? - zapytał Raoul. - Pierwszy huragan zmiecie go precz. Powinieneś o tym pamiętać. Kapitan Raffy mówi, że właśnie zanosi się na huragan.

- Nie na Fakaravie - odrzekł Mapuhi. - Tam ląd jest o wiele wyższy. Na tej wyspie, owszem.

Każdy huragan może zmieść Hikueru. Ale ja będę miał dom na Fakaravie. Musi być długi na sześć sążni, z gankiem dokoła...

I Raoul znowu słuchał opowieści o domu. Strawił kilka godzin na próbach wybicia Mapuhiemu z głowy tej obsesji, jednakże matka i żona oraz córka, Ngakura, umacniały Mapuhiego w owym postanowieniu. Raoul, słuchając po raz dwudziesty szczegółowego opisu upragnionego domu, spostrzegł poprzez otwarte drzwi, że na plaży wylądowała druga szalupa z jego szkunera. Majtkowie nie wypuszczali z rąk wiosła, co wskazywało, że spieszą im wracać.

Pierwszy oficer "Aorai" wyskoczył na brzeg, zamienił parę słów z jednorękiem tubylcem i szybkim krokiem poszedł ku Raoulowi. Dzień nagle poszarzał, kiedy szkwał zasnuł tarczę słońca. Poprzez lagunę Raoul mógł dostrzec zbliżającą się po wodzie złowróbną pręgę wiatru.

- Kapitan Raffy powiada, żebyś pan stąd zwiewał czym prędzej - rzekł na powitanie oficer. -

Jeżeli są tu jakieś muszle, może uda nam się zabrać je później; takie jest jego zdanie.

Barometr spadł do dwudziestu dziewięciu siedemdziesiąt.

Podmuch wiatru uderzył w rosnące przy chacie drzewo pandanowe i przedarł się przez sąsiednie palmy, strącając kilka dojrzałych orzechów kokosowych, które z głuchym dudnieniem spadły na ziemię. A potem z oddali nadleciał deszcz, zbliżając się wraz z szumem wiei, od której zakurzyły się pofałdowane w skiby wody laguny. Gdy rozległ się ostry grzechot pierwszych kropel o liście, Raoul zerwał się na równe nogi.

- Tysiąc talarów chilijskich na stół, Mapuhi! - powiedział. - I dwieście w towarach.

- Ja chcę dom.. - zaczął tamten.

- Mapuhi! - wrzasnął Raoul starając się przekrzyczeć wichurę. - Jesteś głupcem!

Wypadł z chaty i razem z oficerem począł brnąć przez plażę w stronę łodzi. Nie mogli jej dojrzeć. Podzwrotnikowa ulewa przesłoniła wszystko dokoła; widzieli tylko piasek pod stopami i rozeżłone małe fale laguny, które kąsały i rwały brzeg. Z owego potoku wynurzyła się jakaś postać. Był to Huru-Huru, jednoręki krajowiec.

- Dostałeś perłę?! - krzyknął Raoulowi w ucho.

- Mapuhi to dureń! - odkrzyknął mu Raoul i w następnej chwili zniknęli sobie z oczu pośród strumieni wody.

W pół godziny później Huru-Huru, wypatrując z nadmorskiej strony atolu, zauważył, że obielodzie już wciągnięto i "Aorai" obraca dziób w stronę pełnego morza. Opodał inny szkuner, dopiero co przyniesiony z oceanu na skrzydłach szkwału, zatrzymał się właśnie i spuszczał

łódź na wodę. Znał ten statek. Była to "Orohena", własność Torikiego, kupcamieszkańca, który sam sobie był konwojentem, a teraz zapewne znajdował się na rufie szalupy. Huru-Huru zachichotał. Wiedział, że Mapuhi jest winien Torikiem za towary dostarczone zeszłego roku.

Szkwiał przeleciał. Rozgorzało palące słońce, a laguna znów wygładziła się niczym zwierciadło. Jednakże powietrze było kleiste jak szlam, a jego brzemień ciążyło płucom i utrudniało oddychanie.

- Słyszałeś nowiny, Toriki? - zapytał Huru-Huru. - Mapuhi znalazł perłę. Nigdy nie wyłowiono takiej perły na Hikueru ani gdziekolwiek indziej na Paumotach, ani na całym świecie. Mapuhi to głupiec. Poza tym jest ci winien pieniądze. Pamiętaj, że ja pierwszy ci powiedziałem. Masz trochę tytoniu?

I Toriki poszedł do Mapuhiego, do jego chaty z sitowia. Był to mężczyzna o władczym wejrzeniu, przy tym dość głupi. Obrzucił niedbałym spojrzeniem precudną perłę - patrzył tylko przez chwilę - i równie niedbale wpuścił ją do kieszeni.

- Masz szczęście - rzekł. - To ładna perła. Otworzę ci kredyt u siebie.

- Ja chcę dom - zaczął stropiony Mapuhi. - Musi być długi na sześć sążni...

- Gadaj do swojej babci! - uciał kupiec. - Chcesz spłacić długi: ot, czego chcesz. Byłeś mi dłużny tysiąc dwieście chilijskich talarów. W porządku: niceś mi już nie winien. Jesteśmy kwita.

Poza tym skredytuję ci dwieście chilijskich. Jeżeli po powrocie na Tahiti uda mi się dobrze sprzedać tę perłę, dam ci kredyt jeszcze na sto - razem na trzysta. Ale pamiętaj: tylko wtedy, gdy ją dobrze sprzedam. Bo mogę na niej stracić.

Mapuhi, zatroskany, skrzyżował ręce i siedział ze spuszczoną głową. Zrabowano mu jego perłę. Zamiast domu spłacił dług. Nie miał się czym pochwalić.

- Jesteś głupi - powiedziała Tefara.

- Jesteś głupi - powtórzyła Nauri, jego matka. - Po co mu dałeś perłę do ręki?

- A co miałem zrobić? - bronił się Mapuhi. - Byłem mu winien pieniądze. Wiedział, że mam perłę. Same słyszałyście, jak prosił, żebym mu ją pokazał. Ja mu nie mówiłem. Wiedział. Ktoś inny dał mu znać. A ja mu byłem winien pieniądze.

- Mapuhi jest głupi - powtórzyła z kolei Ngakura.

Miała dwanaście lat i niewiele jeszcze rozumiała. Mapuhi pofolgował sobie dając jej w ucho kuksańca, od którego aż się zatoczyła. Tefara i Nauri wybuchnęły płaczem, a potem jęły znów zasypywać go wymówkami, jak to mają w zwyczaju kobiety.

Huru-Huru, czatując na plaży, ujrzał trzeci szkuner, który zatrzymał się u wejścia na lagunę, i spuścił łódź. Był to "Hira", słusznie tak zwany, albowiem należał do niemieckiego Żyda nazwiskiem Levy, największego handlarza pereł, "Hira" zaś był to tahitiański bóg rybaków i złodziei.

- Słyszałeś już nowiny? - zapytał Huru-Huru, gdy Levy, otyły mężczyzna o ciężkich, asymetrycznych rysach wysiadł na plaży. -

Mapuhi znalazł perłę. Nigdy nie było takiej perły na Hikueru ani na całych Paumotach, ani na całym świecie. Mapuhi jest głupi. Sprzedał ją Torikiem za tysiąc czterysta chilijskich; podsłuchiwałem pod drzwiami, więc wiem. Toriki też jest głupi. Możesz ją tanio od niego odkupić. Pamiętaj, że to ja ci pierwszy powiedziałem. Masz trochę tytoniu?

- Gdzie jest Toriki?

- Pije absynt w domu kapitana Lyncha. Siedzi tam od godziny. I oto kiedy Levy z Torikim popijali absynt spierając się o perłę,

Huru-Huru podsłuchał, że zgodzono się na zdumiewającą cenę dwudziestu pięciu tysięcy franków.

W tym właśnie czasie zarówno "Orohena", jak "Hira" podpłynęły tuż do brzegu i poczęły raz po raz dawać ognia oraz sygnalizować jak opętane. Trzej mężczyźni wybiegli na dwór w sam czas, by ujrzeć, jak szkunery robią pośpiesznie zwrot i odpływają od lądu, spuszczając grotzagle i kliwry, w ucieczce przed zajadłym szkwałem, który gnał oba statki daleko po zbieleńskich wodach. Wreszcie przesłonił je deszcz.

- Wrócę, jak to się skończy - rzekł Toriki. - Lepiej się stąd wynosić.

- Pewnie barometr znowu spadł - powiedział kapitan Lynch. Był to siwobrody kapitan okrętu, nazbyt już stary do służby, który doszedł do wniosku, że jedynym sposobem ułożenia sobie jako tako stosunków z własną astmą jest zamieszkanie na Hikueru. Wszedł do domu, by spojrzeć na barometr.

- Boże drogi! - usłyszeli jego okrzyk i rzucili się do wnętrza, gdzie razem z nim wpatrywali się w tarczę barometru, który wskazywał dwadzieścia dziewięć dwadzieścia.

Znów wyszli, tym razem po to, by z niepokojem rozejrzeć się po niebie i morzu. Szkwał

przeleciał, lecz niebo było wciąż zachmurzone. Można było dojrzeć oba szkunery, do których dołączył się trzeci, wracające pod wszystkimi żaglami. Zmiana kierunku wiatru skłoniła je do poluznienia halsów, ale w pięć minut później, od nagłego podmuchu z przeciwnej strony, żagle wszystkich trzech statków przylgnęły do masztów, a mężczyźni zebrani na brzegu dostrzegli, jak liny bomów rozluźniają się i opadają.

Huk fal walących o brzeg był donośny, głuchy i złowrogi; rozpoczynała się potężna chwiejba.

W oczach trzech mężczyzn rozdarła niebo straszliwa błyskawica rozświetlając ponury dzień; grzmot potoczył się dziko dokoła.

Toriki i Levy ruszyli w skok do szalup, przy czym ten drugi podkłusowywał niczym wystraszony hipopotam. Kiedy obie ich łodzie wyrwały się z przesmyku, minęły wpływającą szalupę z

“Aorai”. Na rufie, zachęcając wiosłarzy do wysiłku, siedział Raoul. Nie mógł się uwolnić od myśli o perle i zawracał, aby wyrazić zgodę na postawione przez Mapuhiego warunki.

Wylądował na plaży pośród gromowej nawałnicy, która była tak nieprzenikniona, że zderzył się z Huru-Huru, zanim go zdążył zobaczyć.

- Za późno! - wrzasnął Huru-Huru. - Mapuhi sprzedał ją Torikiemu za tysiąc czterysta chilijskich, a Toriki odprzedał Levy'emu za dwadzieścia pięć tysięcy franków. A Levy sprzeda ją we Francji za sto tysięcy. Masz trochę tytoniu?

Raoul poczuł ulgę. Skończyły się zmartwienia z perłą. Nie musiał już się trapić, jakkolwiek jej nie dostał. Tyle że nie wierzył temu Huru-Huru. Mapuhi mógł sprzedać perłę za tysiąc czterysta chilijskich, ale żeby Levy, który znał się na perłach, zapłacił dwadzieścia pięć tysięcy franków, tego już było za wiele. Raoul postanowił wypytać o to kapitana Lyncha, lecz kiedy przybył do domu sędziwego marynarza, zastał go zapatrzonego w barometr szeroko rozwartymi oczyma.

- Ile on pokazuje? - zapytał niespokojnie kapitan Lynch. Przetarł okulary i znowu wpatrzył się w przyrząd.

- Dwadzieścia dziewięć i dziesięć - odczytał Raoul. - Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby opadł tak nisko.

- No pewnie! - zachnął się kapitan. - Pięćdziesiąt lat spędziłem na morzach, pływając od małego, a też nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Słuchaj pan!

Przez chwilę stali bez ruchu, a fale huczały i potrząsały domem. Potem wyszli na dwór.

Szkwał przeminął. O milę ujrzeli pozbawioną wiatru “Aorai”, którą wściekle miotały potężne bałwany toczące się dostojnym orszakiem z północo-wschodu i wściekle chlaszczące o koralowy brzeg. Marynarz z załogi szalupy wskazał na ujście przesmyku i pokiwał głową.

Raoul spojrział w tę stronę i ujrzał biały mat pian i bryzgów.

- Zdaje się, że dziś przenocuję u pana, kapitanie - rzekł, po czym obrócił się do marynarza i nakazał mu wciągnąć szalupę na brzeg oraz poszukać schronienia dla siebie i towarzyszy.

- Równe dwadzieścia dziewięć - oznajmił kapitan Lynch wracając od barometru z krzesłem w ręku.

Usiadł i zapatrzył się na wspaniałe widowisko rozgrywające się na morzu. Słońce wyszło zza chmur wzmagając jeszcze duszność; w powietrzu wciąż panował martwy spokój. Fale nadal piętrzyły się coraz bardziej.

- W głowę zachodzę, skąd biorą się takie fale! - mruknął z rozdrażnieniem Raoul. - Nie ma wiatru, a mimo to, spójrz pan tylko... o, patrz na tę, co idzie!

Olbrzymia fala, długa na całe mile, niosąca dziesiątki tysięcy ton wody, runęła na wąły atol i targnęła nim jak trzęsienie ziemi. Kapitan Lynch drgnął.

- Boże! - wykrzyknął, uniósł się z krzesła i opadł na powrót.

- Ależ nie ma wiatru! - upierał się Raoul. - Rozumiałbym to, gdyby jednocześnie wiał wiatr.

- Niebawem będziesz pan miał i wiatr, możesz się o to nie martwić - brzmiała ponura odpowiedź.

Obaj mężczyźni siedzieli w milczeniu. Pot występował im na ciało tysiącami drobniutkich kropelek, które zbiegały się tworząc pęcherzyki wilgoci, te zaś z kolei łączyły się w strumyczki i ściekały na ziemię. Z trudem chwyтали powietrze, co było szczególnie uciążliwe dla starego mężczyzny. Jedna z fal wdarła się na plażę, przeszorowała między pniami palm kokosowych i cofnęła się niemal od stóp obu mężczyzn.

- Grubo ponad najwyższy poziom wody - zauważył kapitan Lynch. - A mieszkam tutaj od lat jedenastu. - Spojrział na zegarek. - Trzecia godzina.

Obok nich przeciągnęli posepnie jakiś mężczyzna i kobieta, za którymi podążała bezładna cizba dzieciaków i kundli. Zatrzymali się przed domem i po dłuższej chwili wahania usiedli na piasku. W kilka minut później przywlokła się z przeciwnej strony inna rodzina, której członkowie unosili ze sobą najróżnorodniejszy dobytek. Niebawem paręset osób wszelkiego wieku i płci zebrało się wokół siedziby kapitana. Ten zawołał jedną z przybyłych, kobietę z niemowlęciem przy piersi, i dowiedział się, że jej dom właśnie zmieciony został do laguny.

Punkt ten był najwyższym wzniesieniem na przestrzeni wielu mil, natomiast w licznych miejscach po lewej i prawej ręce olbrzymie bałwany przerywały już wąski pierścień atolu wwalając się do laguny. Pierścień ów miał dwadzieścia mil obwodu, lecz nigdzie szerokość jego nie przekraczała pięćdziesięciu sążni. Sezon poławiania pereł był w pełni i krajowcy ze wszystkich okolicznych wysp, nawet tak odległych jak Tahiti, zbrali się na Hikueru.

- Jest tutaj tysiąc dwieście osób, mężczyzn, kobiet i dzieci - ozwał się kapitan Lynch. -

Ciekawe, ile ich będzie jutro rano.

- Ale dlaczego nie wieje? To chciałbym wiedzieć - powiedział Raoul.

- Nie martw się pan, nie martw; niedługo już przyjdzie bieda. Właśnie gdy kapitan Lynch wymawiał te słowa, olbrzymia wodna masa runęła na atol. Morska woda, na trzy cale głęboka, zapieniła się pod ich krzesłami. Stłumiony jęk przerażenia wydarł się z piersi licznych kobiet.

Dzieci załamując rączki wpatrywały się w ogromne bałwany i krzyczały żałośnie. Koty i kury brodziły wystraszone w wodzie, po czym jak na komendę uciekły na złamanie karku, szukając schronienia na dachu domu kapitana. Jakiś tubylec, który niósł w koszyku kilka nowo narodzonych szczeniąt, wdrapał się na palmę kokosową i uwiązał go na wysokości dwudziestu stóp. Na dole rzucała się w wodzie ich matka skamłając i poszczekując.

A słońce wciąż świeciło promiennie i martwa cisza wciąż trwała. Obaj Europejczycy siedzieli i obserwowali morze oraz szaleńczą huśtawkę "Aorai". Kapitan Lynch spoglądał, póki mógł, na przepotężne góry wody, które się niosły ku niemu. Wreszcie zasłonił rękami twarz, by nie patrzeć, a potem wszedł do domu.

- Dwadzieścia osiem sześćdziesiąt - powiedział spokojnie, gdy wrócił.

Przez rękę miał przerzucony zwój cienkiej liny. Pociął go na dwusążniowe kawałki, jeden wręczył Raoulowi, drugi zatrzymał dla siebie, resztę zaś rozdał kobietom doradzając, by każda wybrała sobie drzewo i wdrapała się na nie.

Lekki powiew przyleciał z północnego wschodu, a Raoul, uczuwszy jego tchnienie na policzku, doznał jakby otuchy. Widział, że "Aorai" nastawia żagle i zaczyna odpływać od lądu; pożałował, że nie jest tam, na pokładzie. Statek wymknie się w każdym razie, natomiast co się tyczy atolu... Wdarła się nowa fala i omal nie zwała go z nóg; wybrał więc sobie drzewo.

Potem przypomniał sobie o barometrze i pobiegł z powrotem do domu. Spotkał kapitana Lyncha, który zawrócił w tym samym celu, i obaj weszli razem.

- Dwadzieścia osiem dwadzieścia - powiedział stary marynarz. - Niezłe tu będzie piekło... A to co znowu?

Wydało się, że powietrze przepełnił jakiś pęd. Dom zadrżał i zatrzęsł się, a obaj mężczyźni usłyszeli potężny szum. Zadzwończyły szyby w oknach. Dwie pękły i podmuch wleciał do wnętrza, uderzając w nich, aż się zachwiali. Drzwi naprzeciw trzasnęły tak silnie, że wypadł

zamek. Biała gałka klamki osypała się kawałkami na podłogę. Ściany pokoju wydęły się niby raptownie napompowany balonik. A potem usłyszeli nowy odgłos przypominający grzechot karabinów, gdy bryzgi fal poczęły siec ścianę domu. Kapitan Lynch spojrział na zegarek. Była godzina czwarta. Nałożył kurtkę z włochatego sukna, zdjął barometr ze ściany i wsunął go do obszernej kieszeni. Nowa fala zadudniła ciężko o dom, a lekki budynek pochylił się, przekręcił o ćwierć obrotu w posadach i osiadł, przy czym podłoga legła skośnie pod kątem dziesięciu stopni.

Raoul wyszedł pierwszy. Pochwycił go wiatr, okręcił i popchnął naprzód. Raoul zauważył, że dmie teraz od wschodu. Z olbrzymim wysiłkiem rzucił się na piasek, skulił i przywarł doń mocno. Przewalił się przezeń kapitan Lynch porwany wiatrem niczym źdźbło trawy. Dwaj majtkowie z "Aorai" puścili palmę kokosową, której się uczepili, i przyszli im z pomocą, brnąc pod wiatr, nachyleni nieprawdopodobnym skosem, walcząc zaciekle o każdy cal drogi.

Stary kapitan miał zeszywniałe członki i nie mógł wdrapać się na drzewo, toteż marynarze związali razem kawałki lin i poczęli stopniowo, po kilka stóp naraz, windować Lyncha na górę, po czym umocowali go na szczycie palmy, o pięćdziesiąt stóp ponad ziemią. Raoul okręcił swą linę wokół pnia sąsiedniego drzewa i stał patrząc, co się dzieje.

Wicher był straszliwy. Raoulowi nigdy się nie śniło, że może dąć tak mocno. Przetoczył się bałwan i zmoczył go do kolan, nim spłynął do laguny. Słońce zniknęło i zapanował ołowiany półmrok. Raoula zacięło kilka kropel deszczu niesionego przez wiatr. Przypominało to uderzenie śrutem. Prysk słonej piany chlasnął go w twarz. Był jak trzaśnięcie ręką. Policzki szczypały Raoula, a mimowolne łzy bólu napłynęły mu do piekących oczu.

Kilkuset krajowców wdrapało się na drzewa; kiedy indziej rozśmieszyłyby go te grona ludzkich owoców, które obsiadły szczyty palm. Był rodem z Tahiti, sam więc też zgiął się wpół, objął oburącz palmę, wparł stopy w powierzchnię pnia i począł się wspinać. Na górze zastał już dwie kobiety, dwoje dzieci oraz mężczyznę. Jedna z dziewczynek przyciskała do piersi kota.

Ze swego napowietrznego schronienia przesłał ręką pozdrowienie kapitanowi Lynchowi, a ów chwacki patriarcha odpowiedział mu w podobny sposób. Raoula przeraziło niebo. Zniżyło się znacznie - właściwie wydawało się, że zwisa tuż nad głową - a jego ołowiana barwa przemieniła się w czerń.

Wiele ludzi pozostało jeszcze na ziemi; skupieni wokoło pni drzew, trzymali się ich kurczowo.

Kilka takich grup modliło się, a w jednej modłami kierował mormoński misjonarz. Do uszu Raoula doleciał przedziwny dźwięk, rytmiczny, zwiewny, niczym najdelikatniejszy głos dalekiego świerszcza; trwał ledwie chwilę, lecz w owej chwili nasunął mu niejasna myśl o niebie i niebiańskiej muzyce. Raoul rozejrzał się i spostrzegł u stóp innego drzewa sporą gromadę ludzi trzymających się lin i siebie nawzajem. Zauważył, że ich twarze i wargi poruszają się zgodnym rytmem. Nie dobiegły doń żadne słowa, lecz Raoul wiedział, że śpiewają hymny.

Wicher dął coraz potężniej. Raoul nie umiał rozumowo określić jego siły, albowiem ta zawierucha dawno już przekroczyła wszystko, co znał z doświadczenia; niemniej czuł, że dmie coraz mocniej. Nie opodał drzewo wyrwane zostało z korzeniami, strząsając brzemień uczepionych doń istot ludzkich. Fala przeszorowała przez spłacheć piasku i wszyscy ci ludzie zniknęli. Stało się to błyskawicznie. Raoul dojrzał brązowe ramię i czarną głowę rysującą się na tle pienistej bieli laguny. W następnej chwili i to zginęło mu z oczu. Inne wyrwane drzewa krzyżowały się w powietrzu, niesione jak zapalki. Raoula zdumiewała potęga nawałnicy. Jego własna palma chwiała się niebezpiecznie; jedna z kobiet poczęła zawodzić przyciskając do siebie dziewczynkę, która z kolei

tuliła do piersi kota.

Mężczyzna, trzymając drugie dziecko, dotknął ramienia Raoula i wskazał przed siebie. Raoul spojrział w tę stronę i zobaczył mormoński kościółek toczący się błędnie o sto stóp od niego.

Orkan wyrwał go z posad i wspomagany przez fale, unosił go i gnał w stronę laguny.

Straszliwa ściana wodna chwyciła budynek, okręciła nim i cisnęła na kępę palm kokosowych.

Pęki ludzkich owoców osypały się z drzew niczym dojrzałe orzechy. Ustępująca fala ukazała ich na ziemi: niektórzy leżeli nieruchomo, inni wili się i skręcali. Dziwnie przypominali mrówki.

Raoul nie był wstrząśnięty. Wzniósł się już ponad potworność. Zauważył jako rzecz samo przez się zrozumiałą, że następny bałwan oczyścił piasek z ludzkich szczątków. Trzeci z kolei, przerastający ogromem wszystko, co Raoul dotąd widział, zepchnął kościółek do laguny, gdzie ten spłynął i zniknął w mroku, na wpół zatopiony, przywodząc na myśl arkę Noego.

Raoul poszukał wzrokiem domku kapitana Lyncha i ze zdumieniem stwierdził, że i on zniknął.

Nie ma co gadać, wszystko działo się błyskawicznie. Zauważył, że liczni ludzie, którzy siedzieli na drzewach, poschodzili teraz na ziemię. Wiatr zyskał jeszcze na sile. Raoul mógł to poznać po własnym drzewie. Już się nie chwiało, nie kłoniło tam i na powrót. Trwało teraz prawie bez ruchu, przygięte wichrem pod ostrym kątem, i tylko drżało. Ale to drżenie było przerażające, przypominało wibrację kamertonu czy piły. Jego szybkość czyniła je tak strasznym. Aczkolwiek korzenie drzewa jeszcze nie puszczały, nie mogło ono długo wytrzymać takiego naporu. Coś musiało w nim trzasnąć.

O, jeszcze jedno poszło. Nie widział, jak pękało, ale teraz zobaczył szczątek, pień złamany przez pól. Nie sposób było wiedzieć, co się dzieje, jeśli się na to wprost nie patrzyło. Trzask drzew i jęki ludzkiej rozpaczki ginęły w potężnej zawierusze. Akurat patrzył w stronę kapitana Lyncha, kiedy to się stało. Ujrzał, jak pień palmy, przetrącony w połowie, rozszczenia się bezgłośnie. Korona drzewa, wraz z trzema marynarzami z "Aorai" i starym kapitanem, poszybowała nad laguną. Nie spadła, lecz mknęła przez powietrze niby garść plew. Śledził jej lot na przestrzeni stu jardów; wreszcie runęła w wodę. Wyteżył wzrok i wydało mu się, iż widzi, jak kapitan Lynch macha mu ręką na pożegnanie.

Raoul nie czekał dłużej. Dotknął ramienia krajowca i dał mu znak, że ma zejść na ziemię. Ten chciał tak postąpić, lecz jego kobiety były sparaliżowane strachem, więc postanowił zostać z nimi. Raoul owinął linę dokoła pnia i zsunął się w dół. Słona woda chlusnęła mu przez głowę.

Zatrzymał oddech i rozpaczliwie uczeplił się liny. Fala spłynęła i Raoul, osłonięty pniem drzewa, odetchnął znowu. Umocował pewniej linkę, po czym znów go załała fala. Jedna z kobiet zsunęła się do niego, mężczyzna zaś pozostał na górze z drugą, dwiema dziewczynkami i kotem.

Młody konwojent zauważył już przedtem, że grupki ludzi przywartych do pni innych drzew topnieją ustawicznie. Teraz zobaczył z bliska, jak to się dzieje. Musiał wyteżać wszystkie siły, by się utrzymać, natomiast kobieta, która się doń przyłączyła, słabła wyraźnie. Za każdym wychynięciem z fali ze zdziwieniem stwierdzał, że on sam wciąż jeszcze tu, a w następnej chwili zdumiewał się, że

jest i ta kobieta. Wreszcie wynurzył się z wody już tylko on jeden.

Podniósł głowę. Górna część drzewa zniknęła również. Na połowie pierwotnej jego wysokości drżał rozszczepiony koniec pnia. Raoul był teraz bezpieczny. Korzenie wytrzymały, choć drzewo postradało koronę.

Począł wdrapywać się na pień. Osłabł tak, że posuwał się z wolna, a fala za falą dosięgała go, nim zdołał wydostać się wyżej. Wreszcie przywiązał się do pnia i cały zakrzepł wewnątrz, gotując się na spotkanie nocy i niewiadomego losu.

Czuł się bardzo samotny w mroku. Chwilami wydawało mu się, że nadszedł koniec świata i że jest ostatnim człowiekiem, jaki pozostał przy życiu. Wichura wzmagała się ciągle. Wzmagała się z godziny na godzinę. Gdzieś około jedenastej, jak sobie obliczył, stała się wręcz niewiarygodna. Była to jakaś straszliwa potworność, wyjąca furia, zwarta ściana, co uderzała i przechodziła, ale nie przestawała uderzać i przechodzić - ściana bez końca. Miał złudzenie, że sam stał się lekki i ulotny, że to on jest w ruchu, że z niepojętą szybkością gnany jest wskroś bezkresnej masy. Wicher nie był już ruchomym powietrzem. Stał się dotykalny jak woda czy rtęć. Raoul miał wrażenie, że mógłby chwycić ten wiatr i drzeć go na płaty jak mięso ubitego wołu, że mógłby uczepić się go, zawisnąć na nim jak człowiek trzymający się skały.

Wiatr dławił go. Nie sposób było obrócić się ku niemu i oddychać, gdyż wtlaczał się w usta i nozdrza, rozdymał płuca niczym pęcherze. W takich chwilach wydawało się Raoulowi, że jego ciało obrzmiewa od wypełniającego je zbitego piachu. Oddychać mógł tylko przywierając ustami do pnia. Bezustanny napór wiatru wyczerpywał go. Znużenie ogarniało ciało i mózg.

Nie mógł już patrzeć, nie mógł już myśleć, był półprzytomny. Świadomość wypełniała mu jedyna myśl: więc to jest huragan. Ta myśl powracała od czasu do czasu. Była jak wątki, migocący co chwila płomyk. Ze stanu odrętwienia wracał do tego jednego: więc to jest huragan. A potem znów zapadał w odrętwienie.

Najwyższe natężenie huraganu trwało od jedenastej wieczorem do trzeciej nad ranem, a właśnie o jedenastej trzasło drzewo, na którym siedział Mapuhi wraz ze swoimi kobietami.

Mapuhi wypłynął na powierzchnię laguny, trzymając kurczowo swą córkę Ngakurę. Jedyne wyspiarz z Mórza Południowych mógł przetrzymać podobną udrękę. Drzewo pandanowe, którego się uczepił, przetaczało się w pianie i kipieli; tylko trzymając się go i wyczekując odpowiedniej chwili, kiedy indziej zaś szybko zmieniając uchwyt, był zdolny wynurzać własną i Ngakury głowę ponad powierzchnię, w odstępach dość krótkich, by nie utracić tchu. Jednakże i powietrze było właściwie wodą, gdyż wypełniała je kurzawa pian i potoki deszczu, który siekł

pod kątem prostym do pionu.

Do pierścienia piasku po drugiej stronie laguny było dziesięć mil. Tam pnie drzew miotane przez wodę, belki, szczątki kutrów i domów pozabijały dziewięć dziesiątych nieszczęsnych istot ludzkich, które ocalały z przeprawy na drugi brzeg. Na wpół utopieni, do cna wyczerpani, ciśnięci zostali w ów obłędny móździerz żywiołów i rozłuczeni na bezkształtne mięso. Ale Mapuhi miał szczęście.

Dzięki kaprysowi losu przypadła mu w udziale ta jedna szansa na dziesięć. Wynurzył się na piasek krwawiąc z rozlicznych ran. Ngakura miała lewą rękę złamaną, zmiażdżone palce prawej dłoni, policzek i czoło rozdarte do kości. Mapuhi, przytrzymując córkę uchwycił się jakiegoś pnia, który jeszcze się ostał, i z jękiem łykał

powietrze; wody laguny oblewały go do kolan, chwilami nawet do pasa.

O trzeciej nad ranem stos pacierzowy huraganu pękł. O piątej wiała już tylko silna morka. O

szóstej zaległa martwa cisza i zaświeciło słońce. Morze opadło. Na jeszcze zbełtanym skraju laguny Mapuhi ujrzał zgruchotane trupy tych, którym nie udało się dotrzeć do lądu. Tefara i Nauri były niewątpliwie wśród nich. Mapuhi poszedł plażą, oglądając zwłoki, i natrafił na żonę leżącą do połowy w wodzie. Siadł przy niej i zapłakał wydając ochryple, zwierzęce okrzyki będące wyrazem pierwotnego bólu. Wówczas jego żona poruszyła się niespokojnie i jęknęła.

Przyjrzał się jej uważniej. Była nie tylko żywa, ale nawet nie skaleczona. Po prostu spała. I jej również przypadła ta jedna szansa na dziesięć.

Z tysiąca dwustu krajowców, którzy byli żywi poprzedniego wieczora, zostało zaledwie trzystu.

Misjonarz mormoński i żandarm spisywali ocalałych. W lagunie walały się trupy. Nie ostał się ani jeden dom czy szałas. Na całym atolu nie utrzymał się kamień na kamieniu. Przetrwiała jedna pięćdziesiąta palm kokosowych, a i te były potrzaskane, nie został na nich ani jeden orzech. Nie było słodkiej wody. Płytkie studzienki, do których przesączała się woda deszczowa, pełne były soli. Z laguny wyłowiono kilka przemoczonych worków mąki. Ci, co ocaleli, wykrawali i jedli miążgę ze zwalonych palm kokosowych. Tu i ówdzie wpełzali do małych jam wygrzebanych w piasku i przykrytych kawałkami blachy dachowej.

Misjonarz sporządził prymitywny aparat destylacyjny, lecz nie mógł przedestylować wody dla trzystu osób. Pod koniec drugiego dnia Raoul kąpiąc się w lagunie zauważył, że jego pragnienie trochę zelżało. Krzykiem oznajmił tę wieść i po chwili trzystu mężczyzn, kobiet i dzieci stało już po szyję w lagunie, próbując wchłaniać wodę przez skórę. Ich zmarli unosili się wokół na powierzchni albo jeszcze leżeli na dnie i wówczas po nich deptano. Trzeciego dnia ludzie pogrzebali zabitych i zasiedli w oczekiwaniu na statki ratownicze.

Tymczasem Nauri, którą huragan oderwał od rodziny, przeżyła własną burzliwą przygodę.

Uczepiwszy się chropawej deski, która raniła i siniaczyła jej ciało szpikując je drzazgami, ciśnięta została z atolu prosto w morze i uniesiona na falach. Tutaj pod niewiarogodnym naporem gór wody wypuściła z rąk deskę. Była już starą kobietą około sześćdziesiątki, ale urodziła się na Paumotach i całe życie spędziła nad morzem. Gdy tak płynęła w ciemnościach, dusząc się, dławiąc, walcząc o każdy haust powietrza, uderzył ją mocno w ramię orzech kokosowy. W jednej chwili powzięła plan i chwyciła ów orzech. W ciągu następnej godziny wyłowiła ich jeszcze siedem. Związane razem utworzyły coś w rodzaju boi ratunkowej, która chroniła Nauri od utonięcia, jednocześnie zagrażając jej stłuczeniem na miążgę. Nauri była pulchna i na jej ciele łatwo robiły się sińce; miała jednakże doświadczenie z huraganami i modłać się do swego rekinowego boga o ochronę przed rekinami,

czekała, kiedy wiatr wreszcie ustanie. Ale o trzeciej nad ranem była już tak zamroczona, że nie wiedziała, co się dzieje. Nie wiedziała też nic i o szóstej, kiedy zapanowała owa martwa cisza. Nagły wstrząs przywrócił jej świadomość w chwili, gdy woda rzuciła ją na piasek. Wryła się weń odartymi ze skóry, rozkrwawionymi dłońmi i stopami, wczepiła się zaciekle, by nie dać się zmyć ustępującej fali i trwała tak, póki nie znalazła się poza zasięgiem wody.

Wiedziała, gdzie jest. Ten ląd nie mógł być niczym innym jak małą wysepką Takokota. Nie miała ona laguny. Nikt na niej nie mieszkał. Wyspa Hikueru znajdowała się o piętnaście mil.

Nauri nie mogła jej dojrzeć, ale wiedziała, że leży ona w kierunku południowym.

Mijały dni, a Nauri żywiła się orzechami kokosowymi, które ją utrzymały na powierzchni.

Dostarczały jej napoju i pokarmu. Jednakże nie piła tyle, ile jej było potrzeba, ani nie jadła tyle, ile pragnęła. Ratunek był dosyć wątpliwy. Widziała na horyzoncie dymy parowców ratowniczych, ale czyż można było spodziewać się, by któryś z nich przyplłynął na tę samotną, nie zamieszkaną wysepkę?

Od samego początku nękały ją trupy. Morze z uporem wyrzucało ciała na jej skrawek piasku, ona zaś z uporem, póki jej sił starczyło, wrzucała zwłoki na powrót w morze, gdzie szarpały je i pożerały rekiny. Kiedy zbrakło jej sił, trupy ułożyły się wokół plaży w koszmarną girlandę. Nauri zaś cofnęła się od nich najdalej, jak mogła, a nie było to zbyt daleko.

Dziesiątego dnia skończył się ostatni orzech kokosowy i Nauri usychała z pragnienia.

Powłokła się po piasku, szukając orzechów. Przedziwna rzecz: tyle trupów unosiło się na wodzie, natomiast nie było widać ani jednego orzecha. Przecież w morzu musiało pływać więcej orzechów niż zwłok! W końcu dała za wygraną i legła zupełnie wyczerpana. Przyszedł

koniec. Nie pozostało nic prócz oczekiwania na śmierć.

Ocknąwszy się z odrętwienia, powoli uświadomiła sobie, że wpatruje się w pasmo piaskoworudych włosów na głowie jakiegoś trupa. Morze wyrzuciło ciało w jej stronę, a potem odciągnęło je z powrotem. Zwłoki przekręciły się i Nauri ujrzała, że nie mają twarzy. A jednak było coś znajomego w tym paśmie piaskoworudych włosów. Minęła godzina. Nauri usiłowała rozpoznać trupa. Czekwała na śmierć i było dla niej rzeczą małej wagi, jakim człowiekiem mogła niegdyś być owa potworność.

Jednakże po upływie owej godziny usiadła z wolna i przypatrzyła się ciału. Niezwykle duży bałwan cisnął je poza zasięg pomniejszych fal. Tak, nie myliła się: to pasmo rudych włosów mogło należeć tylko do jednego człowieka na Paumotach. Był nim Levy, niemiecki Żyd, człowiek, który kupił perłę i uwiózł ją na swym statku "Hira". Jedną rzeczą była oczywista: "Hira" zatonął. Handlarza pereł zdradził patron jego statku, bóg rybaków i złodziei.

Podczołgała się do martwego mężczyzny. Koszulę zdarła zeń woda i Nauri ujrzała skórzany pas na pieniądze, okalający jego brzuch. Powstrzymała oddech i szarpnęła za sprzączki.

Ustały łatwiej, niż myślała, więc popęzła spiesznie po piasku, wlokąc pas za sobą.

Rozpinała kolejno jego kieszenie; były puste. Gdzież mógł włożyć tę perłę? W ostatniej kieszeni znalazła ją - pierwszą i jedyną perłę, jaką Levy zakupił na tej wyprawie. Odpełzła jeszcze kilka kroków, ażeby uniknąć smrodu wydzielanego przez pas, i obejrzała ją. Była to ta sama, którą znalazł Mapuhi, którą zrabował mu Toriki. Zważyła perłę na dłoni i jąta pieszczotliwie turlać ją tam i z powrotem. Nie widziała w niej jednak żadnego istotnego piękna.

Widziała tylko dom, który Mapuhi, Tefara i ona sama wybudowali w myślach tak pieczołowicie.

Ilekróć spojrzała na perłę, oczom jej ukazywał się ów dom ze wszystkimi szczegółami, aż po ośmiokątny zegar na ścianie. Dla tego warto było żyć.

Oddarła pasek ze swego ahu i uwiązała sobie mocno perłę na szyi. Następnie poszła plażą, dysząc i stękając; z uporem szukała orzechów kokosowych. Rychło znalazła jeden, a potem, kiedy się rozejrzała, i drugi. Rozbiła orzech, wypila jego spleśniały sok, wyjadła miąższ aż po ostatnią kruszynę. Nieco później znalazła uszkodzoną łódkę wydrążoną w pniu drzewnym. Nie miała ona wysięgnika, [(outrigger) - urządzenie przymocowywane do jednej lub obu burt czołen na Morzach Południowych dla zabezpieczenia się przed wywróceniem. Składa się ono z dwóch lekkich drzewc połączonych poprzecznym] ale Nauri pełna była najlepszej nadziei i zanim dzień się skończył, znalazła wysięgnik. Każde znalezisko było dobrą wróżbą. Perła była talizmanem.

Późnym popołudniem spostrzegła unoszącą się na wodzie drewnianą skrzynkę. Gdy ją wywlokła na brzeg, w skrzynce coś brzękło i okazało się, że wewnątrz jest dziesięć puszek łososa.

Przedziurawiła jedną uderzając nią o krawędź czołna. Wybiwszy otwór wypila cały sos. Potem spędziła kilka godzin na wydobywaniu mięsa; tłukła puszkę o czołno i wyciskała łososa po kawałku.

Osiem następnym dni czekała na ratunek. Tymczasem przytwierdziła wysięgnik do czołna, używając do tego wszystkich włókien kokosowych, jakie mogła znaleźć, a także resztek swojego ahu. Łódka była pęknięta i Nauri nie mogła jej uszczelnić, ale włożyła do niej. czerpak sporządzony z łupiny orzecha kokosowego. Najtrudniej było z wiosłem. Kawałkiem blachy z puszki ucięła sobie włosy przy samej skórze. Uplotła z nich powrósto i przywiązała nim deskę ze skrzynki do złamanego kija od miotły, długiego na trzy stopy. Zębami udarła z desek kliny, którymi umocniła wiązanie.

Osiemnastego dnia o północy zepchnęła łódkę poprzez przybrzeżne fale i wyruszyła w drogę powrotną na Hikueru. Była starą kobietą. Na skutek ciężkich przejść straciła cały tłuszcz, tak że została na niej nieledwie sama skóra i kości, i trochę włóknistych mięśni. Czołno było spore i trzeba by trzech krzepkich mężczyzn, by nim wiosłować. Ale Nauri robiła to sama jedna, za pomocą naprędcy skleconego wiosła. Na dobitkę łódka przeciekała fatalnie i Nauri trzecią część czasu poświęcała na usuwanie z niej wody.

Kiedy się zrobił jasny dzień, daremnie szukała wzrokiem Hikueru. W tyle Takokota skryła się już za krawędzią morskiego horyzontu. Słońce paliło nagie ciało Nauri, zmuszając je do oddawania całej wilgoci. Zostały jej dwie puszki łososa; w ciągu dnia wybiła w nich dziury i wysączyła płyn. Nie mogła tracić czasu na wyciąganie mięsa. Trafiła na prąd płynący w kierunku zachodnim i choć usiłowała posuwać się na południe, znosiło ją ku zachodowi.

Wczesnym popołudniem, stanąwszy w czółnie, ujrzała Hikueru. Znikła cała obfitość jej palm kokosowych. Za ledwie tu i ówdzie, w znacznych odstępach od siebie, mogła Nauri dostrzec postrzępione kikuty drzew. Widok lądu dodał jej otuchy. Była bliżej, niż przypuszczała. Prąd znosił ją wciąż na zachód. Poczęła mu się opierać wiosłując dalej. Kliny w wiązaniach wiosła obluzowały się, toteż co chwila traciła czas na ich wbijanie. A jeszcze to czerpanie wody. Z

trzech godzin jedną musiała poświęcać na to, by odłożywszy wiosło, opróżniać czółno. A przez cały ten czas zносиło ją na zachód.

Gdy słońce zachodziło, Hikueru znajdowała się o trzy mile w kierunku południo-wowschodnim.

Była pełnia księżyca; o ósmej dwie mile dzieliły Nauri od lądu, który leżał prosto na wschód.

Zmagała się jeszcze godzinę, lecz ziemia była wciąż równie daleko. Nauri dostała się w sam środek prądu; łódka była za duża, wiosło nazbyt prymitywne, za wiele czasu i sił trwoniła na wylewanie wody. Poza tym była ogromnie wyczerpana i słabła coraz bardziej. Na przekór jej wysiłkom czółno dryfowało na zachód.

Westchnieniem zaniosała modlitwę do swego rekinowego boga, zsunęła się przez burzę i poczęła płynąć. Woda orzeźwiła ją nieco; czółno szybko zostało w tyle. Po upływie godziny ląd zbliżył się wyraźnie. A potem przyszedł lęk. Wprost przed oczami Nauri, o niecałe dwadzieścia stóp od niej, przecięła wodę ogromna płetwa. Nauri popłynęła wprost na nią, a płetwa z wolna odsunęła się, skręciła w prawo i poczęła zataczać wokół niej krąg. Nauri nie spuszczała z niej oka i płynęła dalej. Gdy płetwa znikła, Nauri położyła się na wodzie twarzą do dołu i patrzała.

Płetwa ukazała się znowu i Nauri zaczęła płynąć. Potwór był leniwy - to widziała jasno. Bez wątpienia dobrze się pożywił od czasu huraganu. Nauri wiedziała, że gdyby był głodny, rzuciłby się na nią bez wahania. Miał piętnaście stóp długości i zdawała sobie sprawę, że jednym kłapnięciem paszczy mógłby ją rozciąć na dwoje.

Nie miała jednak czasu do stracenia. Czy płynęła, czy nie, prąd i tak rwał od wybrzeża. Minęło pół godziny i rekin zaczął się rozzuchwalać. Widząc, że Nauri nie jest niebezpieczna, podsunął się bliżej, zataczał coraz ciaśniejsze koła i bezczelnie łypał na nią przepływając mimo. Wiedziała doskonale, że wcześniej czy później zbierze się na odwagę i zaatakuje.

Postanowiła sama uczynić pierwszy krok. Obmyśliła sobie czyn zgoła rozpaczliwy. Była starą kobietą, samotną pośród morza, osłabłą z głodu i utrudzenia, a jednak znalazłszy się w obliczu owego morskiego tygrysa postanowiła, że musi uprzedzić jego skok rzucając się na niego.

Płynęła dalej; czekała stosownej chwili. Na koniec rekin przepłynął gnuśnie obok, za ledwie o osiem stóp. Rzuciła się nagle ku niemu, udając, że atakuje. Rekin dziko strzepnął ogonem w ucieczce, a jego skóra ostra jak tarka dotknęła jej ręki i rozharatała ją od łokcia do ramienia.

Zatoczył szybki, poszerzający się krąg i zniknął jej wreszcie z oczu.

W jamie wygrzebanej w piasku i przykrytej kawałkiem blachy dachowej leżeli Mapuhi i Tefara

wiodąc ze sobą dysputę.

- Gdybyś był mnie posłuchał - nastawała Tefara po raz tysięczny - i schował perłę, a nikomu nie pisał słowa, miałbyś ją teraz.

- Ale przecież Huru-Huru był przy mnie, kiedy otworzyłem muszlę. Czyż nie powtarzałem ci tego wciąż i wciąż bez końca?

- A teraz nie będziemy już mieli domu. Raoul mówił mi dzisiaj, że gdybyś nie sprzedał perły Torikiemmu...

- Nie sprzedałem mu jej. Toriki ją zrabował.

- ...że gdybyś nie sprzedał perły, byłby ci dał pięć tysięcy francuskich talarów, co wynosi dziesięć tysięcy chilijskich.

- Bo rozmawiał ze swoją matką - wyjaśnił Mapuhi. - Ona ma oko do pereł.

- A teraz perła stracona - narzekała Tefara.

- Spłaciłem nią dług Torikiemmu. W ten sposób zarobiłem swoje tysiąc dwieście.

- Toriki nie żyje! - krzyknęła. - Nikt nie wie, co się stało z jego szkunerem. Rozbił się razem z

“Aorai” i “Hirą”. Czy Toriki da ci te obiecane trzysta talarów kredytu? Nie, bo Toriki nie żyje. A gdybyś nie był znalazł perły, czy byłbyś mu dzisiaj winien tysiąc dwieście? Nie, bo Toriki nie żyje, a nie można płacić nieboszczykom.

- Ale Levy nic nie zapłacił Torikiemmu - powiedział Mapuhi. - Dał mu kawałek papieru, za który miał dostać pieniądze w Papeete, a teraz Levy nie żyje i już nie może zapłacić; i Toriki także nie żyje, a papier zginął razem z nim, a perła zginęła z Levy’m. Masz rację, Tefaro. Straciłem perłę i nic za nią nie dostałem. Ale teraz już śpijmy.

Nagle podniósł dłoń i jął nasłuchiwać. Z zewnątrz doleciał odgłos podobny do ciężkiego, bolesnego dyszenia. Czyjaś ręka poczęła gmerać koło maty, która służyła za drzwi.

- Kto tam? - krzyknął Mapuhi.

- Nauri - dobiegła jego uszu odpowiedź. - Możecie mi powiedzieć, gdzie jest mój syn, Mapuhi?

Tefara wrzasnęła i uczepiła się ręki męża.

- Upiór! - wybełkotała. - Upiór!

Twarz Mapuhiego stała się przeraźliwie żółta. Przywarł bezwładnie do żony.

- Zaczna kobieto - wyjąkał usiłując zmienić głos. - Dobrze znam twego syna. Mieszka po wschodniej

stronie laguny.

Z zewnątrz dobiegło westchnienie. Mapuhi już zaczynał triumfować. Oszukał upióra.

- Ale skąd ty przychodzisz, stara kobieto? - zapytał.

- Z morza - brzmiała zgnębiona odpowiedź.

- Wiedziałam! Wiedziałam! - krzyknęła Tefara kołysząc się w miejscu.

- Odkąd to Tefara zlega na spoczynek w obcym domu? - usłyszeli poprzez matę głos Nauri.

Mapuhi z przerażeniem i wyrzutem spojrział na żonę. Zdradził ich jej głos.

- I odkąd mój syn, Mapuhi, wypiera się starej matki? - ciągnął duch.

- Nie, nie... Ja nie... Mapuhi nie wyparł się ciebie! - zawołał. - Ja nie jestem... Mapuhi. Mówię ci, że on mieszka na wschodnim krańcu laguny.

Ngakura siadła na posłaniu i wybuchnęła płaczem. Mata poczęła drgać.

- Co robisz? - zapytał Mapuhi.

- Wchodzę - zabrzmiał głos Nauri.

Brzeg maty uniósł się. Tefara spróbowała dać nurka pod koc, ale Mapuhi trzymał się jej.

Musiała się czegoś przytrzymać. Zmagając się z sobą, drżąc na całym ciele i szczękając zębami, wpatrywali się wychodzącymi z orbit oczyma w matę, która podnosiła się z wolna.

Ujrzeli Nauri, która ociekając wodą morską, bez dhu, wpełzła do wnętrza. Odturlali się w tył i poczęli wyrywać sobie koc Ngakury, by zakryć nim głowy.

- Mógłbyś dać starej matce łyk wody - powiedział żałośliwie duch.

- Daj jej łyk wody - rozkazała Tefara drżącym głosem.

- Daj jej łyk wody - Mapuhi przekazał polecenie Ngakurze.

Wspólnymi siłami wypchnęli Ngakurę spod koca. W minutę później Mapuhi zerknął i zobaczył, że duch pije. A kiedy zjawą wyciągnęła drżącą rękę i położyła ją na dłoni Mapuhiego, ten poczuł jej ciężar i nabrał przeświadczenia, że to nie upiór. Wówczas wylazł spod koca, ciągnąc za sobą Tefarę. W kilka minut później słuchali już opowieści Nauri. Kiedy zaś wspomniała o Levy'm i opuściła perłę na dłoń Tefary, nawet ta pogodziła się z faktem, że jej teściowa jest istotą z krwi i kości.

- Rano sprzedasz perłę Raoulowi za pięć tysięcy franków.

- A dom? - zaoponowała Nauri.

- Raoul zbuduje dom - odparła Tefara. - Mówi, że będzie kosztował cztery tysiące. Prócz tego da tysiąc kredytu, co jest dwa tysiące chilijskich.

- I dom będzie długi na sześć sążni? - spytała Nauri.

- Tak - odrzekł Mapuhi. - Sześć sążni.

- A w środkowym pokoju będzie ośmiokątny zegar?

- Będzie; i okrągły stół też.

- To dajcie mi coś zjeść, bo jestem głodna - powiedziała z zadowoleniem Nauri. - A potem pójdziemy spać, bo jestem znużona. Jutro pogadamy jeszcze o domu, zanim sprzedamy perłę. Lepiej będzie wziąć ten tysiąc gotówką. Pieniądze są zawsze lepsze niż kredyt, jak się chce nabyć towar od kupców.

Przełożył Bronisław Zieliński

Chińczak

Koral rośnie i palma, a człowiek - umiera.

Przysłowie z Tahiti

Ah-Czo nie rozumiał po francusku. Siedział, zmęczony i znudzony, w natłoczonej sali sądowej i słuchał długich, hałaśliwych przemówień, wygłaszanych po francusku kolejno to przez tego, to przez innego z urzędników. Dla Ah-Czo była to tylko pusta paplanina; Chińczyk dziwił się głupocie Francuzów, którym potrzeba było tyle czasu na wykrycie mordercy Czung-Ga - aby go w końcu nie znaleźć. Każdy z pięciuset robotników z plantacji wiedział, że zabójstwo popełnił Ah-San, a oto Ah-San nie był nawet aresztowany. Prawda, wszyscy oni umówili się potajemnie, że nie będą świadczyć przeciwko sobie, ale przecież to takie proste, Francuzi sami powinni odkryć, że to Ah-San zabił. Jacy głupi ci Francuzi...

Ah-Czo nie zrobił nic złego, nie miał więc żadnych powodów do obawy. Nie brał udziału w morderstwie. Wprawdzie był jego świadkiem, a Schemmer, nadzorca plantacji, wpadłszy do baraków zaraz po wypadku przyłapał go tam wraz z czterema czy pięciu innymi; ale cóż stąd?

Czung-Ga dostał tylko dwa pchnięcia - łatwo więc pojąć, że pięciu czy sześciu ludzi nie mogło zadać dwóch ran sztyletem.

W każdym razie, gdyby nawet liczyć po jednym ciosie na człowieka, to sprawców mordu byłoby najwyżej dwóch.

Tak rozumował Ah-Czo - podczas gdy wraz ze swymi czterema towarzyszami wyłgiwał się, wypierał i wykręcał w zeznaniach. Usłyszeli hałas i, tak jak Schemmer, przybiegli na miejsce.

Tylko że przybyli tam przed Schemmerem - ot i wszystko. Co prawda Schemmer stwierdził, że na

odgłos kłótni zatrzymał się przechodząc w pobliżu i stał najmniej z pięć minut na dworze; że gdy wszedł do baraku - zastał już w nim podsądnych, którzy nie mogli wejść tam przed chwilą, ponieważ on, Schemmer, stał przed jednym wejściem do baraku. A czegoż to dowodzi? Ah-Czo i czterej jego towarzysze zeznali, że Schemmer się myli. Ostatecznie puszcza ich, byli tego pewni. Niepodobna ścigać pięciu ludzi za dwa pchnięcia nożem. A zresztą żaden z cudzoziemskich diabłów nie widział zbrodni. Ale ci Francuzi są głupi! W

Chinach - Ah-Czo. dobrze wiedział - sędzia kazałby wszystkich wziąć na tortury i dowiedziałby się prawdy. To przecież taki prosty sposób. Lecz ci Francuzi nie stosują tortur - co za głupcy!

W ten sposób nigdy nie dojdą, kto zabił Czung-Ga.

Lecz Ah-Czo nie wiedział wszystkiego. Angielska firma, właścicielka plantacji, przetransportowała na Tahiti tych pięciuset kulisów, ponosząc wielkie wydatki. Akcjonariusze wołali o dywidendy, a firma nie wypłacała jeszcze nic, przeto nie życzyła sobie, by jej kosztowni robotnicy nabrali zwyczaju wzajemnego zabijania się. A poza tym byli Francuzi, którzy kwapią się do narzucania Chińczykom dobrodziejstw i doskonałości prawa francuskiego. Nic skuteczniejszego, jak co jakiś czas dobra nauczka, a zresztą do czego ma służyć Nowa Kaledonia, [wyspa w Melanezji (kolonia franc.). Do końca XIX w. miejsce zesłań dla skazańców sądowych.] jeśli nie do wysyłania ludzi, by przeżywali na niej dni swoje w nędzy i utrapieniu, płacąc w ten sposób za to tylko, że są słabi i łagodni?

Tego wszystkiego Ah-Czo nie rozumiał. Siedział w sali rozpraw i oczekiwał, że sąd da się wywieść w pole i wyda wyrok, który pozwoli jemu i jego towarzyszom wrócić na plantacje i pracować aż do wygaśnięcia kontraktów.

Wyrok będzie ogłoszony niebawem. Formalności dobiegają końca, miarkował Ah-Czo. Nie było już zeznań, paplanina ustała. Diabły francuskie też były znużone i najwidoczniej czekały na wyrok. Oczekujący wraz ze wszystkimi Ah-Czo wrócił pamięcią w przeszłość - do owej chwili, gdy podpisawszy umowę wsiadł na statek odjeżdżający do Tahiti. Ciężko było żyć w jego rodzinnej nadmorskiej wiosce; gdy zaś podpisał kontrakt na pięcioletnią pracę na Morzach Południowych po pięćdziesiąt centów meksykańskich dziennie - uważał się za szczęśliwca.

Byli w jego wsi mężczyźni harujący cały rok za dziesięć dolarów meksykańskich, były kobiety, co wiązały sieci - przez cały okrągły rok - za pięć dolarów, i służące, co w domach sklepikarzy zarabiałały po cztery dolary rocznie. A oto on, Ah-Czo, ma otrzymywać pięćdziesiąt centów dziennie, za dzień, za jeden dzień tylko pobierać będzie tę królewską pensję! Cóż z tego, że robota ciężka? Po upływie tych pięciu lat powróci do domu - jak było w umowie - i nie będzie już nigdy potrzebował pracować.

Będzie do końca życia człowiekiem bogatym, będzie miał własny dom, żonę i dzieci, wznoszące w szacunku do niego. Tak... a za domem będzie miał ogródek - miejsce wypoczynku i rozmyślań - z małym basenem ze złotymi rybkami, z zawieszonymi na drzewach dzwoneczkami, które wiatr porusza; - a dokoła ogródka - wysoki mur, by nic nie przeszkadzało rozmyślaniom i wypoczynkowi.

No i odrobił już trzy lata z owych pięciu. Dzięki tym zarobkom w swej ojczyźnie byłby już człkiem

zamożnym: dwa tylko lata dzieliły plantację bawełny w Tahiti od miejsca wypoczynku i rozmyślań. Ale w tej chwili, niestety, Ah-Czo traci pieniądze na skutek tego nieszczęsnego przypadku, który zrzucił, że Ah-Czo był świadkiem sceny zabójstwa Czung-Ga. Próżnował

przez trzy tygodnie w więzieniu, a każdy dzień tych trzech tygodni przynosił mu stratę pięćdziesięciu centów. Ale teraz wydadzą wyrok i Ah-Czo wróci nareszcie do pracy.

Ah-Czo miał dwadzieścia dwa lata. Był wesoły, dobroduszny i skory do uśmiechu. Szczupły jak wszyscy Azjaci, twarz miał okrągłą, okrągłą jak księżyc i jaśniejącą łagodnym zadowoleniem, słodyczą i uprzejmością, co było rzadkie wśród jego współziomków. Wygląd jego nie kłamał. Ah-Czo nigdy nie zakłócał spokoju, nigdy nie brał udziału w awanturach. W

karty nie grał, gdyż na gracza miał zbyt łagodne usposobienie.

Ah-Czo zadowalał się rzeczami drobnymi, rozrywki jego były proste. Cisza i spokój w chwilach ochłody po znojnym skwarze na polu bawełny sprawiały mu niezmierną rozkosz. Mógł

przesiadywać godzinami, wpatrując się w samotny kwiat i filozofując na temat tajemnic i zagadek bytu. Błękitna czapla na skrawku piaszczystego wybrzeża, srebrzysty błysk latającej ryby lub perłoworóżany zachód słońca nad laguną mogły wprawić go w ekstazę, tak że zapominał o szeregu nużących dni i o ciężkim bacie Schemmera.

Schemmer, Karl Schemmer - było to brutalne bydlę. Ale pensję swoją wypracowywał

sumiennie. Wyciągał ostatek sił ze swych pięciuset niewolników, byli to bowiem niewolnicy -

aż do wygaśnięcia kontraktów.

Schemmer ciężko pracował, by wycisnąć siłę z tych pięciuset spotniałych ciał i zamieniać ją na bele włochatej bawełny gotowej do eksportu. Jego pierwotna, żelazna, władcza brutalność potrafiła dokonać takich przemian.

Do pomocy miał gruby rzemienny bat, trzy cale szeroki i jard długi, z którym zawsze jeździł i który przy sposobności spadał na nagie plecy pochylonego kulisa z hukiem rewolwerowego wystrzału.

Częste były te trzaskania, gdy Schemmer uganiał po brzdach polnych.

Pewnego razu w początkach pierwszego roku robót na plantacji Schemmer zwykłym uderzeniem pięści zabił jednego z kulisów. Oczywiście nie rozgniół mu głowy jak skorupki jajka, ale cios wystarczył, by zniszczyć to, co było wewnątrz, i po tygodniowej chorobie ów człowiek umarł. Chińczycy nie poskarżyli się francuskim diabłom panującym na Tahiti. Woleli się w to nie wdawać.

Schemmer - to był ich problemat. Musieli unikać jego gniewu - jak unikali skorpionów, czyhających w trawie lub wpełzających do sypialnych baraków w dżdżyste noce. "Chińczaki" -

tak bowiem przezywali ich gnuśni, brunatnoskórzy wyspiarze - baczyli, by nie wywołać gniewu Schemmera, co równało się oddawaniu mu pełnej miary znojnej pracy. Owo uderzenie

Schemmerowej pięści kosztowało firmę tysiąc dolarów, a Schemmera nie spotkała za to żadna nieprzyjemność.

Pozbawieni instynktu kolonizacyjnego Francuzi - nieudolnie, jakby po dziecinnemu bawiący się w eksploataowanie bogactw wyspy - radzi byli powodzeniu angielskiej firmy. Co ich obchodził Schemmer i jego pięść? I ten Chińczyk, co umarł? Cóż - to był tylko Chińczyk. A zresztą umarł od porażenia słonecznego - jak opiewał raport lekarski. Wprawdzie na Tahiti, odkąd sięgają dzieje, nikt nigdy nie umarł od porażenia słonecznego, ale właśnie ta okoliczność uczyniła śmierć tego chińskiego robotnika niejako jedyną w swoim rodzaju. Tyle napisał lekarz w swym sprawozdaniu. Doktor był rzetelny. Dywidendy muszą być wypłacane, gdyż w przeciwnym razie lista bankructw na Tahiti powiększyłaby się o nowy krach.

Niepodobna zrozumieć tych białych czartów! Ah-Czo, oczekując ogłoszenia wyroku, rozmyślał nad ich tajemniczością. Nie sposób przeniknąć, co kryje się w ich mózgach. Ah-Czo znał niewielu spośród nich. Wszyscy byli jednakowi: oficerowie i marynarze na statku, francuscy urzędnicy i biali ludzie na plantacji wraz z Schemmerem.

Umysły ich pracują w sposób tajemniczy, niepojęty. Wpadają w gniew bez widocznego powodu, a gniew ich - zawsze niebezpieczny. Wówczas są jak dzikie bestie. Przyczepiają się do głupstw, a czasem potrafią prześcignąć w pracy nawet Chińczyka. Nie zachowują umiaru jak Chińczaki, to obzartuchy; jedzą ponad miarę, a pija jeszcze więcej. Chińczak nigdy nie wie, kiedy im się co spodoba, a kiedy wywoła burzę gniewu. To, co im raz dogodziło, za chwilę może sprowadzić wybuch złości. Za oczami białych diabłów jest jakas zasłona ukrywająca ich zamysły przed wzrokiem Chińczaka. A poza tym ta straszliwa zręczność białych diabłów, ta ich obrotność, zdolność tworzenia, osiągnięcia pożądanego wyniku, podporządkowywania swej woli wszystkiego, co pełza i czołga się, a nawet ujarzmiania potęgi żywiołów. Tak, biali ludzie dziwni są i nadzwyczajni. To diabły. Spójrzcie tylko na Schemmera.

Ah-Czo dziwił się, czemu tak długo nie ogłaszano wyroku. Żaden z oskarżonych nie podniósł był ręki na Czung-Ga.

Zabił go Ah-San, Ah-San przechylił głowę Czung-Ga w tył jednym chwytem za warkocz, a drugą ręką dwukrotnie dźgnął go nożem.

Siedząc w sali sądowej z przymkniętymi oczami, Ah-Czo przeżywał po raz wtóry scenę morderstwa: sprzeczkę, wyzwiska padające to z jednej, to z drugiej strony, plugawe obelgi rzucane na czcigodnych przodków, przekleństwa ciskane na nie spłodzone jeszcze pokolenia, skok Ah-Sana, gdy chwycił za warkocz Czung-Ga, dwukrotne pchnięcie nożem, nagłe otwarcie drzwi, wtargnięcie Schemmera, ucieczkę Ah-Sana, świst pejcza nadzorcy, gdy pozostałych zaganiał w kąt, i wystrzał z rewolweru, który Schemmerowi sprowadził pomoc.

Ah-Czo wzdrygnął się przeżywając to wszystko na nowo. Smagnięcie bata zdarło mu trochę skóry i posiniaczyło policzek. Schemmer wskazał te siniaki, stwierdzając tożsamość przesłuchiwanego

świadka. Dopiero teraz, po trzech tygodniach, znaki zniknęły. To ci uderzenie! Pół ciała wyżej - i byłoby po oku. Lecz już po chwili Ah-Czo zapomniał o całym tym zdarzeniu - przesłoniła je wizja owego ogródka rozmyślań i wypoczynku, który go czeka w przyszłości, po powrocie do kraju.

Gdy sędzia ogłaszał wyrok, Ah-Czo miał wyraz twarzy obojętny; czterej jego towarzysze tak samo. I tacy pozostali wszyscy, niewzruszeni nawet wtedy, gdy tłumacz oznajmił im, że sąd wszystkich pięciu uznał winnymi zabójstwa Czung-Ga i że Ah-Czou ma być ścięty, Ah-Czo skazany na dwadzieścia lat więzienia w Nowej Kaledonii, WongLi - na dwanaście lat, AhTong zaś - na dziesięć.

Nie warto się było tym przejmować. Nawet Ah-Czou pozostał bez wyrazu, jak mumia, chociaż to jemu miano ściąć głowę. Sędzia dodał jeszcze kilka słów, a tłumacz je przełożył: oto fakt, iż Ah-Czou ma twarz najsilniej pokaleczoną rzemieniem Schemmera, tak dokładnie umożliwia jego zidentyfikowanie, że ponieważ jeden człowiek musi umrzeć, niechże nim będzie właśnie Ah-Czou. Podobnie okoliczność, że Ah-Czo ma również twarz mocno posiniaczoną - co dowodzi niezbitości jego obecności i współudziału w zbrodni - zdecydowała o owych dwudziestu latach więzienia. I tak dalej - aż do dziesięciu lat dla AhTonga, stopniowanie każdego wyroku miało odpowiednie uzasadnienie. Niechaj Chińczaki zapamiętają tę nauczkę - orzekł sąd na zakończenie - niech wiedzą, że na Tahiti prawo będzie przestrzegane, choćby się świat walił!

Pięciu Chińczyków odprowadzono z powrotem do więzienia. Nie byli oburzeni ani przybici.

Nieprzewidziane wyroki nie dziwiły ich - do takich rzeczy przywykli obcując z białymi diabłami.

Chińczak mógł oczekiwać od nich każdej niespodzianki. Ciężka kara za zbrodnię, której nie popełnili, nie była bynajmniej dziwniejsza od mnóstwa innych postępów białych diabłów.

Podczas następnych tygodni Ah-Czo często przypatrywał się Ah-Czou z łagodnym zaciekawieniem. Jego to głowa miała być ścięta na gilotynie, wzniesionej w tym celu na plantacji. Dla niego nie będzie upływających lat ani ogrodów spokoju. Ah-Czo filozofował i dumał o życiu i śmierci. Co do siebie - nie doznawał niepokoju. Dwadzieścia lat - to raptem dwadzieścia lat. O tyle tylko oddala się jego ogródek - to wszystko.

Ah-Czo był młody i miał we krwi cierpliwość Azjatów. Może poczekać dwadzieścia lat - przez ten czas ogień w jego żyłach przygaśnie, co go jeszcze snadniej przysposobi do zażywania owego rozkosznego spokoju w swym ogrodzie. Pomyślał o nadaniu mu nazwy, na przykład:

“Ogród Porannej Ciszy”. Myśl to uszczęśliwiła go na cały dzień i natchnęła do ułożenia maksymy moralnej o cnocie cierpliwości, która to sentencja okazała się wielce pocieszająca -

w szczególności dla WongLi i AhTonga. Ah-Czou natomiast nie dbał o nią. Jego głowa miała być odcięta od tułowia w tak bliskim czasie, że niepotrzebna mu była cierpliwość, by czekać na to wydarzenie.

Jadł, spał, palił, nie żałując sobie; nie dręczył go też powolny bieg czasu.

Cruchot był żandarmem. Przesłużył dwadzieścia lat w koloniach - od Nigerii i Senegalu po Morza

Południowe - ale te dwadzieścia lat bynajmniej nie wpłynęły na rozszerzenie jago ciasnego umysłu. Pozostał tak nierozgarnięty i powolnie myślący, jaki był za czasów swego chłopskiego bytowania w południowej Francji. Znał rygor dyscypliny i strach przed władzą: począwszy od Pana Boga aż do sierżanta żandarmerii; jedyną dla niego różnicą była miara ślepego posłuszeństwa, jakie okazywał.

W gruncie rzeczy w jego pojęciu sierżant więcej znaczył niż Bóg - z wyjątkiem niedziel, kiedy Najwyższy przemawiał przez usta swych sług. Zazwyczaj Bóg był bardziej oddalony, gdy sierżant - tuż pod ręką.

Ten to Cruchot otrzymał od prezesa sądu rozkaz dla dozorczy więzienia - rozkaz natychmiastowego wydania osoby Ah-Czou w jego ręce. Otóż zdarzyło się, że pan prezes poprzedniego wieczora podejmował u siebie obiadem kapitana i kilku francuskich oficerów marynarki wojennej. Ręka prezesa drżała, gdy pisał rozkaz, a oczy tak go bolały, że poniechał

odczytania tego, co napisał. Toć chodziło tylko o życie Chińczaka. I nie zauważył pan prezes, że opuścił końcówką literę w nazwisku Ah-Czou. Gdy tedy Cruchot przedstawił papier dozorczy więzienia - ten wydał mu Ah-Czo.

Cruchot usadowił więźnia obok siebie na wózku zaprzężonym w parę mułów i odjechał.

Ah-Czo radował się, że jest na dworze, w blasku słońca. Siedział obok żandarma - i promieniał. Rozpromienił się jeszcze bardziej, widząc, że muły dążą na południe, w kierunku Atimaono. To z pewnością Schemmer po niego posłał. Potrzebuje go do pracy. Doskonale, będzie pracował pilnie. Schemmer nigdy nie będzie miał powodu do niezadowolenia.

Dzień był upalny. Pasaty ustały. Muły pociły się. Pocili się także żandarm i Ah-Czo, ale Ah-Czo najlepiej znosił ten skwar. Wszak trzy lata mozolnie pracował pod tym słońcem, na plantacji.

Promieniał wciąż i radował się: był w tak dobrym humorze, że nawet mało bystry Cruchot zdumiał się.

- Jakiś ty zabawny! - rzekł wreszcie.

Ah-Czo kiwnął głową potakująco i uśmiechnął się radośnie. W przeciwieństwie do sędziego -

Cruchot przemawiał do niego w narzeczu kanaka, które Ah-Czo rozumiał podobnie jak wszyscy Chińczycy, a także i obce diabły.

- I czemu się tak śmiejesz? - gderał Cruchot. - W taki dzień człowiek powinien zalewać się łzami.

- Cieszę się, że wyszedłem z więzienia.

- Tylko z tego? - Żandarm wzruszył ramionami.

- Alboż to nie dosyć? - brzmiała odpowiedź.

- A więc nie cieszysz się z tego, że ci utną głowę?

Ah-Czo spojrział na niego z nagłym zmieszaniem i rzekł:

- Jakże to? Toć wracam do Atimaono, żeby pracować na plantacji u Schemmera! Czyż nie tam mnie wiesz?

Cruchot w zadumie pogładził wąsiska.

- Hm, tak... - mruknął na koniec, smagając batem jednego z mułów. - To ty nie wiesz?

- O czym? - Ah-Czo zaczynał odczuwać niewyraźny lęk. - Czy Schemmer nie chce, bym u niego pracował?

- Nie po dzisiejszym dniu! - Cruchot roześmiał się serdecznie. - Dobry kawał! Widzisz, jutro niezbyt będziesz zdalny do roboty. Człowiek z uciętą głową pracować chyba nie może, jak myślisz, he? - Dał Chińczakowi szturchańca pod żebro i zachichotał.

Ah-Czo milczał: muły tymczasem przekłusowały milę w upale. Wreszcie zapytał:

- Czy Schemmer zetnie mi głowę?

Cruchot wyszczerzył zęby, przytakując.

- To pomyłka - rzekł Ah-Czo poważnie. - Ja nie jestem tym Chińczykiem, którego mają ściąć.

Ja jestem Ah-Czo. Wielmożny sędzia orzekł, że mam przebyć dwadzieścia lat w Nowej Kaledonii.

Żandarm uśmieł się. To dobry żart - ten Chińczak chce oszukać gilotynę. Muły minęły kokosowy las i przemierzyły pół mili wzdłuż połyskliwego jeziora, zanim Ah-Czo przemówił

na nowo:

- Mówię wam, że ja jestem Ah-Czo. Wielmożny sędzia nie powiedział, że moja głowa ma być ścięta.

- Nie bój się! - rzekł Cruchot ze wspaniałomyślnym zamiarem ulżenia więźniowi. - To nie tak trudno umrzeć w ten sposób. - Tu przytknął palcami. - To idzie szybko. Ot tak. Nie to, co powieszenie na stryczku, kiedy człek wierzga nogami i wykrzywia się przez pięć minut. To tak, jakby zarznąć kurczaka tasakiem. Ucinasz mu łeb - i po wszystkim. Z człowiekiem - zupełnie to samo. Ciach! - i już koniec. To nie boli. Nie zdążysz nawet pomyśleć, że boli. Nie myślisz w ogóle. Głowa twoja odpada, więc nie możesz myśleć. To bardzo dobre. Chciałbym tak umrzeć

- szybko, ach, jak szybko! Ty masz szczęście, że umrzesz taką śmiercią. Bo, na przykład, mógłbyś dostać trądu, ciało odpadałoby ci kawałkami co jakiś czas, palec po palcu, to u ręki, to znów u nogi. Znałem człowieka, który poparzył się cały ukropem: no, ten konał przez dwa dni. O kilometr drogi słyszałeś jego jęki. Ale ty? Tak gładko! Cyk! Nóż spada ci na kark.

Skończone. Nóż gotów nawet trochę polaskotać. Kto wie? Nigdy taki, co umarł w ten sposób, nie wrócił, by o tym opowiedzieć.

Ostatnie zdanie Cruchot uznał za świetny dowcip i używał na to konto, trzęsąc się ze śmiechu przez pół minuty. Wesołość ta była poniekąd udana, ale żandarm uważał za swój szlachetny obowiązek rozweselić Chińczaka.

- Ale powtarzam wam: ja jestem Ah-Czo - upierał się tamten. - Nie chcę, żeby mi ucieli głowę.

Cruchot spochmurniał. Ten Chińczak stanowczo za dużo sobie pozwala.

- Ja nie jestem Ah-Czou - zaczął znowu Ah-Czo.

- Dość tego - przerwał mu żandarm. Wydał policzki, przybierając wyraz surowy.

- Ależ mówię, że nie jestem... - próbował bronić się Ah-Czo.

- Stul pysk! - wrzasnął Cruchot.

Po czym jechali dalej, już w milczeniu. Dwadzieścia mil dzieli Papeete od Atimaono; ujechali już przeszło połowę drogi, gdy Chińczak odważył się zabrać głos na nowo.

- Widziałem was w sali sądowej, kiedy wielmożny sędzia nas badał. Czy pamiętacie, że ten Ah-Czou, któremu mają ściąć głowę, że on, Ah-Czou, by wysokim mężczyzną? Spójrzcie teraz na mnie.

Ah-Czo powstał raptownie: Cruchot zobaczył, że kulis jest małego wzrostu. I w tej chwili w umyśle żandarma błysnęło wspomnienie postaci Ah-Czou: Ah-Czou był wysoki.

Dla żandarma wszystkie chińskie twarze były jednakowe. Ale między wzrostem niskim a wysokim dostrzegał różnicę i widział teraz, że ma przy sobie na wózku nie tego, którego miał wieźć.

Szarpnął gwałtownie za lejce - tak że dyszel podniósł się, unosząc chomąta na mułach.

- Widzicie, że to była pomyłka - rzekł Ah-Czo uśmiechając się uprzejmie.

Ale Cruchot zamyślił się. Żałował już, że wstrzymał muły. Nie wiedział o pomyłce sędziego i nie potrafił się jej domyślić, ale wiedział jedno: że polecono mu przywieźć tego kulisa do Atimaono i że jego obowiązkiem jest dostawić go tam. Cóż, jeśli to nie ten, o którego chodzi, i jeśli zetną mu głowę?

Ostatecznie to tylko Chińczak - a cóż to jest Chińczak w gruncie rzeczy? Poza tym może to wcale nie omyłka. On, Cruchot, nie może wiedzieć, co myślą zwierchnicy. Sami muszą najlepiej znać swoje sprawy. Kimże on jest, by miał myśleć za innych? Raz jeden, dawno temu, spróbował to zrobić, ale sierżant powiedział mu wtedy: "Cruchot, jesteś dureń! Im prędzej się o tym dowiesz, tym lepiej dla ciebie. Ty nie masz myśleć: masz słuchać, a myślenie pozostaw godniejszym osobom". Cruchot

wzdrygnął się na to wspomnienie.

Otóż jeżeli zawróci do Papeete - odwlecze egzekucję w Atimaono; a jeśli w dodatku wróci niepotrzebnie - spotka go wymówka od sierżanta oczekującego przybycia więźnia; a poza tym w Papeete także go wyłają.

Trzasnął z bata i ruszył w dalszą drogę. Spojrzał na zegarek. I tak spóźni się pół godziny; sierżant na pewno będzie zły. Popędził muły. Im goręcej Ah-Czo nalegał wyjaśniając pomyłkę -

tym bardziej Cruchot stawał się nieugięty. Świadomość, że wiezie kogoś innego, niż należy, psuła mu humor. To zaś, iż omyłka nie z jego była winy, utwierdzało go w przeświadczeniu, że zło, które spełnia, jest słuszne!

Aby uniknąć niezadowolenia sierżanta, Cruchot chętnie dostarczyłby nawet pół tuzina takich omyłkowych skazańców.

Co się tyczy Ah-Czo - z chwilą gdy żandarm trzasnął z biczyska, groźnie nakazując milczenie -

nie pozostawało mu nic innego, jak siedzieć cicho. Długa jazda ciągnęła się dalej w zupełnym milczeniu. Ah-Czo zastanawiał się nad osobliwymi praktykami cudzoziemskich diabłów. Nie znajdował klucza do tej zagadki. To, co robili z nim, było tak samo niewytłumaczalne, jak wszystko inne. Tak oto przede wszystkim uznali za winnych pięciu niewinnych ludzi, a następnie chcą uciąć głowę człowiekowi, którego sami swymi zamroczonymi mózgami zasądziły tylko na dwadzieścia lat więzienia. A on nic na to poradzić nie może. Musi siedzieć beczynn timer przyjąć to, co mu władcy życia i śmierci odmierzają. Zrazu ogarnęła go na chwilę panika i zimny pot wystąpił mu na czoło; lecz rychło przemógł się. Usiłował poddać się losowi, wspominając i powtarzając sobie wyjątki z Yin-Czih-Wen (Traktat o Gościńcu Spokoju); lecz zamiast tego widział wciąż swój wymarzony ogród rozmyślań i wypoczynku. Dręczył go ten natłok myśli, oddał się tedy wszystkim marzeniom: siedział pośród drzew, zasłuchany w brzęk zawieszonych na gałęziach dzwoneczków. I o dziwo! oto siedząc tak w marzeniach, mógł

snadnie rozpamiętywać i przepowiadać sobie ustępy z "Traktatu o Gościńcu Spokoju".

Tak więc czas upływał niepostrzeżenie - aż dojechali do Atimaono i muły zatrzymały się u samego podnóża szafotu, gdzie stał zniecierpliwiony sierżant. Ah-Czo został szybko wprowadzony po drabinie na rusztowanie. Z boku zobaczył na dole spędzonych wszystkich kulisów z plantacji. Schemmer - uważając, że ta egzekucja będzie dobrą lekcją pogładową -

zwołał z pola wszystkich robotników i zmusił ich, by byli na tym widowisku obecni. Skoro Chińczycy ujrzeli Ah-Czo, poczęli między sobą szeptać. Spostrzegli pomyłkę, ale zatrzymali to przy sobie. Snadź te niepojęte białe diabły zmieniły zamiar. Zamiast stracić jednego niewinnego człowieka - wybrały drugiego równie niewinnego. Ah-Czou czy Ah-Czo - jakaż różnica? Nigdy nie mogli zrozumieć tych białych psów - tak jak tamci ich nie rozumieli. Ah-Czo będzie ścięty, ale oni po upływie jeszcze dwu lat niewoli powrócą do Chin.

Schemmer sam wybudował gilotynę. Zręczny był z niego majster - nie widział nigdy gilotyny, ale

Francuzi wyłożyli mu jej zasady. Za jego to namową egzekucję wyznaczili w Atimaono zamiast w Papeete. Miejsce zbrodni - dowodził Schemmer - jest najodpowiedniejsze do wymierzania kary i w dodatku pół tysiąca owych Chińczyków z plantacji otrzyma w ten sposób zbawienną naukę. Schemmer dobrowolnie ofiarował się też wystąpić w roli kata i w tym właśnie charakterze stał teraz na rusztowaniu, wypróbowując sprawność skonstruowanego przyrządu. Pień drzewa bananowego grubości i twardości ludzkiej szyi leżał pod gilotyną. Ah-Czo przyglądał się temu wszystkiemu w osłupieniu. Niemiec, kręcąc małą korba, wznosił

ostrze ku górze niewielkiego wyciągu. Szarpnięcie za koniec mocnego sznura - i nóż spadł błyskawicznie, równiutko odcinając krąg z pnia banana.

- No, jakże działa? - zapytał sierżant podchodząc ku rusztowaniu.

- Wspaniale - brzmiała radosna odpowiedź Schemmera - pozwól, że ci zademonstruję.

Zakręcił znowu korba, wznosząc nóż, szarpnął sznur i spuścił klingę z łoskotem na miękkie drzewo. Lecz tym razem przebyła zaledwie dwie trzecie grubości i zatrzymała się.

Sierżant zaklął.

- Tak to na nic! - rzekł.

Schemmer otarł pot z czoła.

- Trzeba dać większy ciężar.

Podszedłszy na skraj szafotu, rozkazał kowalowi przynieść dwudziestopięcioletni kawał

żelaza. Podczas gdy Schemmer zajęty był przytwierdzaniem ciężaru do szerokiego brzegu klingi, Ah-Czo spojrzał na sierżanta i uznał, że chwila jest odpowiednia, zaczął:

- Wielmożny pan sędzia mówił, że ścięty ma być Ah-Czou. Sierżant mruknął coś niecierpliwie.

Myślał o piętnastomilowej przejażdżce, którą miał odbyć tego popołudnia ku wysuniętemu pod wiatr krańcowi wyspy, tudzież o Bercie, ładnej Metysce, córce handlarza pereł Lafiere'a, czekającej na niego u kresu uciążliwej drogi.

- Otóż ja nie jestem Ah-Czou. Ja jestem Ah-Czo. Pan dozorca omylił się. Ah-Czou to mężczyzna wysoki, a ja - proszę spojrzeć - jestem niski. Sierżant obejrzał go szybko i stwierdził fakt pomyłki.

- Schemmer - zawołał rozkazująco - chodź tu!

Niemiec odburknął coś, ale tkwił dalej schylony nad robotą - aż wreszcie ku jego zadowoleniu bryła żelaza umocowana została jak należy. Wówczas zapytał:

- Czy Chińczyk gotów?

- Spójrz na niego - odrzekł sierżant. - Czy to ten?

Schemmer zdziwił się. Klnąc siarczyście przez kilka sekund, patrzył z żalem na własnoręcznie zbudowany przyrząd, którego działania tak był ciekaw.

- Słuchaj - rzekł wreszcie - niepodobna odłożyć tej sprawy. Straciłem już trzy godziny pracy tych pięciuset Chińczaków. Nie mogę tracić drugich trzech godzin, zanim odszukają właściwego skazańca. Doprowadźmy to do końca, tak jak jest. Cóż, to tylko Chińczak.

Sierżant wspomniał czekającą go wycieczkę i córkę handlarza pereł; bił się z myślami. -

- Jeżeli rzecz się wykryje, winę poniesie Cruchot - nalegał Niemiec. - Ale to mało prawdopodobne. W każdym razie Ah-Czou nie piśnie ani słówka, to pewne.

- To nie wina Cruchota, omyłkę niewątpliwie popełnił dozorca.

- No, to skończmy z tym. Nam nic nie mogą zarzucić. Któż odróżni jednego Chińczaka od drugiego? Możemy powiedzieć po prostu, żeśmy wykonali wyrok na Chińczaku, którego nam dostawiono. Zresztą ja doprawdy nie mógłbym po raz drugi odrywać od roboty tych wszystkich kulisów.

Rozmawiali po francusku; lecz Ah-Czo, który ani słowa nie rozumiał, wiedział dobrze, że w tej chwili rozstrzygano jego losy. Wiedział także, iż decydował tu sierżant - wzrokiem tedy zawisł na wargach tego władcy.

- W porządku - oznajmił sierżant. - Zaczynaj egzekucję. Przecież to tylko Chińczak.

- Jeszcze tylko jedna próba, żeby się upewnić. - Schemmer podsunął pień banana pod nóż wzniesiony na wierzchołek rusztowania.

Ah-Czo usiłował przypomnieć sobie jakąś maksymę z "Traktatu o Gościńcu Spokoju". "Żyj w zgodzie" - nawinęło mu się, ale jakoś nie widział możliwości jej zastosowania - przecież nie będzie już żył. Ma umrzeć. Nie, to się nie nadaje. "Wybaczej złość". Tak, ale tu nie było złości do wybaczenia, Schemmer i tamci czynili to wszystko bez złości. Dla nich to była robota, która musi być wykonana - podobnie jak karczowanie dżungli, kopanie kanału lub uprawa bawełny.

Schemmer szarpnął postronek. Ah-Czo zapomniał o "Traktacie o Gościńcu Spokoju". Nóż opadł z brzękiem, zgrabnie odrzynając płat drzewa.

- Znakomicie! - wołał zachwycony sierżant zapalając papierosa. - Wspaniale, przyjacielu!

Schemmer był zadowolony z pochwały.

- Chodź no, Ah-Czou - rzekł w narzeczu Tahiti.

- Ale ja nie jestem Ah-Czou... - zaczął Chińczyk.

- Milcz! - usłyszał w odpowiedzi. - Jeśli raz jeszcze gębę otworzysz, to ci łeb rozbiję.

Nadzorca pogroził mu zaciśniętą pięścią. Ah-Czo zamilkł. Na co zdałoby się protestować? Te zamorskie diabły i tak robią, co im się będzie podobało. Dał się przywiązać do pionowej deski o rozmiarach jego postaci. Schemmer zaciągnął węzły tak mocno, iż rzemienie werżnęły się boleśnie w ciało Ah-Czo. Ale Ah-Czo nie skarżył się. Ból nie potrwa długo. Uczuł, jak deska zmieniła położenie z pionowego na poziome - i przymknął powieki. W tej chwili przed oczyma zamajaczył mu po raz ostatni widok ogrodu rozmyślań i wypoczynku. Wydało mu się, że siedzi w owym ogródku wśród kępy drzew; świeży wietrzyk powiewa, dzwonki pobrzękują łagodnie, ptaki też czynią swą wieczorną wrzawę przed spoczynkiem, a spoza wysokiego muru dociera przytłumiony gwar wiejskiego życia.

Wówczas uprzytomnił sobie, że deska leży nieruchomo, a po ucisku i naprężeniu mięśni odgadł, że położono go na wznak. Rozwarł powieki. Wprost nad sobą ujrzał zawieszony nóż, połyskujący w słonecznym blasku. Widział również ciężar dodany z wierzchu, zauważył też, że jeden z zaciągniętych ręką Schemmera węzłów rozluźnił się. Wtem usłyszał głos sierżanta wydającego krótki rozkaz. Ah-Czo spiesznie zamknął oczy. Nie chciał patrzeć, jak nóż będzie opadał, ale uczuł go - przez jedną krótką, lecz ważką chwilę. Wtedy wspomniął Cruchota i jego słowa. Lecz Cruchot mylił się: nóż nie laskotał. Tyle jeszcze pomyślał Ah-Czo - zanim przestał myśleć.

Przełożył Gabriel Karski

Befsztyk

Ostatnim kawałkiem chleba Tom King wymazał do czysta resztkę mącznego sosu z talerza i długo, z namysłem żuł ten kęs. Gdy jednak wstał od stołu, ciągle mu jeszcze doskwierało wyraźne uczucie głodu. A przecież i tak tylko on jadł; dwoje dzieci wcześniej położono do łóżka, by we śnie zapomniały, że nie dostały kolacji. Żona Toma nie wzięła nic do ust i siedziała cicho nie spuszczając z męża troskliwych oczu. Pochodziła z klasy robotniczej; była chuda i zniszczona, choć na jej twarzy znać jeszcze było ślady dawnej urody. Mąkę do sosu pożyczyla od sąsiadki po drugiej stronie korytarza. Ostatnie dwa półpensy wydała na chleb.

Tom usiadł przy oknie na mocno sfatygowanym krześle, które rozpaczliwie skrzypnęło pod jego ciężarem, machinalnie wsadził fajkę do ust i wsunął rękę do bocznej kieszeni marynarki.

Nie namacawszy tam tytoniu, zdał sobie sprawę z bezcelowości tego ruchu i odłożył fajkę na bok. Ruszał się powoli, niemal niezgrabnie, jakby go przytłaczał olbrzymi ciężar własnych mięśni. Budowę ciała miał krzepką, wyraz twarzy tępy. Całym swoim wyglądem bynajmniej nie budził sympatii. Jego prostackie odzienie było stare i źle uszyte, a przyszwyy butów - już za słabe jak na ciężar zelówek, zresztą też mocno nadwerężonych. Tania bawełniana koszula nosiła niezmywalne ślady farby, a kołnierz przy niej był przetarty.

Ale o profesji Toma Kinga - najwymowniej świadczyła jego twarz. Była to typowa twarz zawodowego boksera, który długie lata spędził w czworokącie ringu, przez co rozwinął w sobie i uwypuklił wszystkie charakterystyczne cechy drapieżnego zwierzęcia. Dokładnie wygolona, jakby po to, by żaden jej rys nie umknął uwagi patrzącego - była wyraźnie posępna.

Nieforemne wargi układały się w surową linię ust, które wyglądały jak głęboka blizna. Dolna szczęka była zaczepna, brutalna i masywna. Nieruchliwe oczy o ciężkich powiekach patrzyły obojętnie spod krzaczastych, zmarszczonych brwi. Te oczy były najbardziej zwierzęcą cechą Toma i tak już przypominającego prawdziwe zwierzę. Senne jak u lwa - oczy drapieżnej bestii.

Spadziste czoło stromo uchodziło pod krótko ścięte włosy, spod których wystawał każdy guz na szpetnej głowie. Nos, złamany w dwóch miejscach, fantastycznie uformowany niezliczoną ilością ciosów i charakterystyczne ucho boksera, zniekształcone i rozdęte do podwójnej wielkości, dopełniały urody, a gęsty zarost, mimo że świeżo zgolony, zabarwiał twarz na sino.

Słowem była to twarz człowieka, który mógł napędzić stracha w ciemnej ulicy lub w odludnym miejscu. A jednak Tom King nigdy w życiu nie popełnił żadnego przestępstwa. Poza bójkami, zwykłymi w jego sferze, nikogo nie skrzywdził. Nigdy też nie wszczął żadnej kłótni. Był

zawodowcem i wszystkie swoje brutalne instynkty zachowywał na zawodowe występy. Poza ringiem cechowała go flegma i dobroduszość, a za młodu, gdy pieniędzy miał jak wody, wydawał je na prawo i na lewo ze szkodą dla własnych interesów. Nie był pamiętliwy i prawie nie miał wrogów. Walkę traktował jako zawód. Na ringu walił, by zadać ból, by okaleczyć, zniszczyć przeciwnika, ale nie czuł złości. Robił tak, bo tego wymagał zawód. Publiczność zesła się i zapłaciła za to, żeby zobaczyć walkę dwóch ludzi. Zwycięzca dostaje lwią część nagrody. Gdy przed dwudziestu laty Tom King zmierzył się z Woolloomooloo Gougerem, wiedział, że szczęka jego przeciwnika zaledwie cztery miesiące temu zagoiła się po złamaniu w walce z Newcastle. Toteż celował przede wszystkim w tę szczękę i złamał ją wreszcie w dziewiątej rundzie. Nie dlatego, żeby żywił złość do Gougera, ale dlatego, że była to najpewniejsza droga pokonania przeciwnika i zdobycia tej lwiej części nagrody. A Gouger też nie czuł za to złości do niego. Obaj wiedzieli, że tego wymagał ich zawód, i stosowali się do jego prawideł.

Tom King był z natury małomówny. Siedział teraz przy oknie milcząc ponuro i patrzył na swoje ręce. Żyły na nich nabrzmiały, wystąpiły na wierzch, a rozbite, zniekształcone i zmaltretowane knykcie świadczyły, do czego były używane. Tom nigdy nie słyszał, że życie człowieka jest życiem jego arterii, ale doskonale wiedział, co znaczą te wielkie, wypukłe żyły: serce pompowało przez nie za dużo krwi pod najwyższym ciśnieniem. Nie spełniają już swego zadania. Do końca wyeksploatował ich elastyczność, a gdy się rozděły, stały się kruche. Teraz łatwo się męczył. Nie mógł już w błyskawicznym tempie walczyć przez dwadzieścia rund, młócić, bombardować ciosami i walczyć, walczyć, walczyć od gongu do gongu, w zaciekłych nieustannych zwarcjach, być na linkach i z kolei zapędzić przeciwnika na linki, i zewrzeć się jeszcze mocniej, z jeszcze większą zaciekłością w tej ostatniej, dwudziestej rundzie, kiedy widzowie już stoją i wyją, a on atakuje, bije, uchyla się w unikach, raz po raz sypie gradem ciosów i odbiera grad ciosów, a przez ten cały czas serce wiernie pompuje krew, fala za falą, przez sprawne żyły. Spęczniałe, zawsze wówczas wracały do normy, choć niezupełnie, bo za każdym razem, na początku ledwie widocznie - rozciągały się nieco. Patrzył teraz na nie i na pokiereszowane knykcie i na chwilę ujrzał doskonałą młodość swych rąk, do chwili, kiedy rozbił pierwszy knykieć o głowę Benny Jonesa, znanego pod przydomkiem "Postrach Walii".

I znów poczuł ssanie w dołku.

- Do diabła. Żeby tak mógł zjeść befsztyk! - mruknął głośno i zacisnąwszy potężne pięści zmełł w

ustach jakieś przekleństwo.

- Próbowałam i u Burkego, i u Sawleye'a - powiedziała żona na pół przepraszająco.

- I nie chcieli dać? - zapytał.

- Nie chcą dać nawet za pół pensa. Burkę mówił... - zawahała się.

- Gadaj, co mówił.

- Mówił, że Sandel cię dzisiaj pokona, a my i tak jesteśmy mu dosyć winni.

Tom King chrząknął, ale nic nie odrzekł. Zamyślił się nad tym, jak w młodości obkarmił

befsztykami swego bullterriera. Wtedy Burkę skredytowałyby mu tysiąc befsztyków. Ale czasy się zmieniły. Tom King się zestarzał, a stary człowiek, który walczy na drugorzędnych ringach, nie może liczyć na żaden kredyt u kupców.

Od samego rana, gdy tylko wstał z łóżka, gorąco pragnął zjeść kawałek mięsa. I to pragnienie go nie opuściło. Do dzisiejszej walki brakło mu dostatecznej zaprawy. W Australii panowała tego roku posucha, czasy były ciężkie i trudno było znaleźć nawet dorywczą pracę. Nie miał

też partnera do treningu, a odżywiał się marnie i często niedostatecznie. Imał się parodniowej pracy kopacza, gdy tylko mógł ją dostać, a wczesnym rankiem biegał trochę, by utrzymać nogi w formie. Ale ciężko było trenować bez partnera, gdy się ma jeszcze żonę i dwoje dzieci na karku. Kupcy podnieśli mu trochę kredyt na wiadomość, że ma się zmierzyć z Sandelem.

Sekretarz klubu "Rozmaitości" wypłacił mu też awansem trzy funty - wynagrodzenie dla przegrywającego - ale nie chciał dać ani grosza więcej. Od czasu do czasu udawało się Tomowi pożyczyć parę szylingów od starych kumpli, którzy chętnie daliby mu więcej, gdyby nie fakt, że ten rok był suchy i sami byli w potrzebie. Tak - nie ma co ukrywać - nie był w dostatecznie dobrej formie. Powinien był lepiej jadać i nie mieć kłopotów. A poza tym po czterdziestce człowiek trudniej wraca do formy, niż gdy ma lat dwadzieścia.

- Która godzina, Lizzie? - zapytał.

Żona poszła zapytać sąsiadów po drugiej stronie korytarza.

- Za kwadrans ósma.

- Za parę minut zacznie się pierwsze spotkanie - powiedział. - To będzie przedmecz. Potem cztery rundy pomiędzy Wellsem i Gridleyem i dziesięciorundowa walka. Starlightha z jakimś tam marynarzem. Moja kolej przyjdzie najwcześniej za godzinę.

Jeszcze dziesięć minut przesiedział w milczeniu, a potem wstał.

- Prawdę mówiąc, Lizzie, nie miałem dostatecznego treningu.

Sięgnął po kapelusz i ruszył do drzwi. Nie pochylił się, by ją pocałować - nigdy tego nie robił

wychodząc z domu - ale tego wieczoru ona odważyła się go pocałować. Zarzuciła mu ręce na szyję i zmusiła do schylenia. Przy tym krzepkim, masywnym mężczyźnie wydawała się zupełnie mała.

- Powodzenia, Tom - rzekła. - Musisz go pokonać.

- Tak, muszę go pokonać - powtórzył. - Tylko tyle i nic więcej. Muszę go pokonać.

Spróbował roześmiać się szczerze, gdy mocniej przycisnęła się do niego. Ponad jej ramieniem rozejrzał się po pustym pokoju. Tu było wszystko, co miał na świecie - zaległe komorne, żona i dzieci. A teraz wychodził z niego, w noc, by zdobyć pożywienie dla towarzyszki życia i potomstwa i to nie tak jak nowoczesny robotnik, który idzie do swej obrabiarki, lecz na stary, prymitywny, królewski, zwierzęcy sposób - by je wywalczyć siłą.

- Muszę go pokonać - powtórzył, tym razem z nutą rozpaczony w głosie. - Zwycięstwo - to trzydzieści funtów. Wtedy zapłacę wszystkie długi i jeszcze zostanie fura pieniędzy. Ale jeśli przegram, nie dostanę nic - nawet jednego pensa na tramwaj do domu. Sekretarz już mi dał

wszystko, co się należy w razie przegranej. Do widzenia, staruszko. Gdybym wygrał, wrócę prosto do domu.

- Będę czekać! - zawołała za nim przez korytarz.

Do "Rozmaitości" było bite dwie mile i Tom idąc rozmyślał nad tym, że gdyby to było w jego najwspanialszych czasach, kiedy był mistrzem wagi ciężkiej Nowej Południowej Walii -

jechałby teraz na pewno powozikiem opłaconym przez jednego z tych, co go mocno

"obstawili". Teraz za to Tommy Burns i ten Murzyn amerykański, Jack Johnson, rozbijają się samochodami. A on idzie piechotą! Każdy zaś wie, że taki dwumilowy spacer nie jest najlepszym wstępem do walki. Był stary, a świat nie ceni się ze starymi. Nie nadawał się już do niczego, chyba tylko do łopaty, ale i tu nawet przeszkadzał mu złamany nos i rozdęte ucho.

Pożałował, że się nie nauczył żadnego porządnego fachu. Na dłuższą metę, to by się lepiej opłaciło. Ale nikt mu tego nie powiedział. Zresztą w głębi duszy czuł, że gdyby mu nawet powiedziano, toby i tak nie posłuchał. Tamto było takie łatwe i przyjemne. Dużo pieniędzy -

ostre, pełne chwały walki z okresami wypoczynku i nieróbstwa między nimi - świta rozentuzjasmowanych pochlebców, poklepywanie po ramieniu, uściski rąk, szykowni faceci z radością stawiający kieliszek za przywilej pięciominutowej rozmowy, no - i zaszczyt, który z tego wszystkiego wypływał. Rozwrzeszczany tłum na widowni, huraganowy finisz i głos sędziego: "Zwyciężył King!" A nazajutrz jego nazwisko w sportowych sprawozdaniach gazet.

To były czasy. Ale teraz, mozolnie medytując na swój powolny sposób zrozumiał, że wtedy usuwał z drogi starych. On był wschodzącą Młodością, gdy oni byli zmierzającą się starością. Nic dziwnego, że szło mu łatwo: tamci mieli rozdęte żyły, pokaleczone knykcie i słabe kości po tyłu już

walkach. Przypomniawszy sobie, jak w Rush Cutters Bay pokonał starego Billa Stowshera w osiemnastej rundzie i jak potem stary Bill płakał w szatni niczym dziecko.

Może też zalegał z komornem. Może w domu miał żonę i dwoje dzieci. I może akurat wtedy łaknął kawałka mięsa. Bill mężnie stawał i oberwał porządnie. Teraz, gdy Tom sam już przeszedł przez surową szkołę, rozumiał, że wtedy - dwadzieścia lat temu - Stowsher Bill walczył o coś więcej niż on, młody Tom King, który chciał zwyciężyć dla sławy i łatwych pieniędzy. Trudno się więc dziwić, że Bill płakał później w szatni.

Tak, człowiek jest zdolny tylko do pewnej określonej ilości walk. To jest żelazne prawo gry.

Jednego stać na sto ciężkich walk, drugiego tylko na dwadzieścia. Każdy zależnie od swej fizycznej budowy i charakteru może stoczyć pewną ilość walk, a gdy je ma za sobą - jest skończony. On miał ich więcej w sobie niż większość innych ludzi. I stoczył też o wiele więcej walk, niż powinien był, walk wyniszczających, takich, które rozsadzają serce i płuca, pozbawiają żyły elastyczności, a prężne młode mięśnie zamieniają w starcze guzy. Takich walk, w których nadmiar wysiłku i chęć wytrwania osłabiają mózg i kości i wyczerpują do cna każdy nerw i ludzką wytrzymałość. Tom wytrzymał więcej niż inni. Z jego dawnych kolegów nikt nie pozostał na ringu. Był ostatni ze starej gwardii. Widział, jak tamci się kończyli, i nieraz sam do tego przyłożył ręki. Dawniej na próbę wystawiano go do walki ze starymi. Zmiał ich z drogi jednego po drugim, śmiejąc się, gdy płakali w szatni, jak płakał Stowsher Bill. A teraz on sam już był stary i na nim wypróbowywano młodych. Tak było z tym gościem, Sandelem.

Przybył z Nowej Zelandii już z jakimś wyczynem za sobą, ale w Australii nikt o nim nie słyszał, wystawiono więc przeciw niemu starego Toma Kinga. Jeśli Sandel dobrze się spisze, dostanie lepszego przeciwnika i zyska możliwość większej wygranej. Trzeba się zatem spodziewać, że będzie walczył zaciekle. Ma wszystko do wygrania w tej walce - pieniądze, sławę, karierę, a Tom King jest dla niego siwiejącym, starym zawałidrogą, który mu przeszkadza w dojściu do pieniędzy i sławy. I cóż Tom może wygrać prócz trzydziestu funtów na komorne i spłatę długu w sklepiku? Wolno żując te myśli ujrzał nagle w swej flegmatycznej wyobraźni wizję Młodości, wspaniałej Młodości budzącej entuzjazm, niezwykłej, o sprężystych mięśniach i jedwabistej skórze, o żelaznym, niezmordowanym sercu i płucach, tej Młodości, która drwi z oszczędnego wysiłku. Tak, Młodość to Nemezis. Niszczy starych wcale się z tym nie licząc, że jednocześnie niszczy i siebie. Rozdyma własne tętnice i rozbija sobie knykcie, aż z kolei i ją zniszczy Młodość. Bo Młodość jest wiecznie młoda. Tylko Starość się starzeje.

Na ulicy Castlereagh Tom skręcił w lewo, minął trzy bloki i znalazł się przed klubem

“Rozmaitości”. Tłum wyrostków oblegających drzwi rozstał się przed nim z szacunkiem i ktoś powiedział głośno: “To on. To Tom King”.

W budynku, po drodze do szatni, Tom spotkał sekretarza klubu, młodego mężczyznę o ostrym spojrzeniu i chytrej twarzy. Ucisnęli sobie ręce.

- Jak się czujesz, Tom? - zapytał sekretarz.

- Nic mi nie brakuje - odparł, choć wiedział, że kłamię i że gdyby miał funta przy duszy, zaraz by go oddał za porządny befsztyk.

Tłum widzów powitał go burzą braw i okrzyków, gdy wraz z sekundantami wyszedł z szatni i między rzędami krzeseł poszedł na kwadratowy ring na środku sali. Odpowiadał ukłonami rozdawanymi na prawo i na lewo, choć widział mało znajomych twarzy. Przeważnie były to twarze młodzieńców, których jeszcze na świecie nie było, gdy on zdobywał pierwsze laury na ringu. Lekko wskoczył na estradę, przesunął się pod linami do swego narożnika i usiadł na składanym krzeselku. Jack Ball, sędzia ringowy, podszedł do niego i podał mu rękę. Ten wyranżerowany już bokser od dziesięciu lat przeszło nie stawał na ringu jako zawodnik. King był zadowolony, że to on będzie sędziował. Obaj należeli do "starych" i Tom wiedział, że jeśli w walce z Sandelem pozwoli sobie trochę ostrzej potraktować przeciwnika z lekka wbrew regułom, może liczyć, że Bali puści mu to płazem.

Młodzi kandydaci wagi ciężkiej jeden za drugim wchodzili na ring, gdzie sędzia przedstawiał ich publiczności. W ich też imieniu rzucał wyzwania.

- Młody Pronto - ogłosił - z Północnego Sydney wyzywa zwycięzcę i stawia na boku pięćdziesiąt funtów.

Publiczność zaczęła klaskać, a gdy Sandel przeskoczył liny i usiadł w swoim rogu, rozległy się nowe brawa. Tom King ciekawie spojrział na niego poprzez ring. Za chwilę zewrą się przecież w bezlitosnej walce i każdy ze wszystkich sił będzie próbował znokautować drugiego. Ale niewiele dojrzał, bo Sandel - jak i on sam - miał spodnie i sweter na bokserskich trykotach.

Zobaczył tylko zdecydowanie przystojną twarz ukoronowaną jasną kędzierzawą czupryną i muskularną szyję, która świadczyła o herkulesowej budowie ciała.

Młody Pronto przeszedł z jednego narożnika do drugiego, zamienił uściski ręki z zawodnikami i zeskoczył z ringu. Wyzwań padało coraz więcej. Wieczna Młodość - Młodość nieznaną, ale nienasyconą - przeskakiwała sznury ringu wołając ludziom, że przy pomocy zręczności i siły dorówna zwycięzcy. Kilka lat temu w tym szczytowym okresie, kiedy był niezwykły, takie przygotowania bawiły i nudziły Toma Kinga. Ale teraz siedział jak urzeczony i nie mógł się pozbyć wizji Młodości przed oczu. W tej grze bokserskiej zawsze wybijali się młodzi.

Przeskakiwali przez liny i rzucaли wyzwania, a starzy zawsze musieli im ulec. Młodzi szli do triumfu po trupach starych. Ale za nimi szli jeszcze i jeszcze młodszy - Młodość niezmordowana i niezwykła - i zawsze spychali starych z drogi. A potem sami się starzeli i schodzili po tej samej pochyłej ścieżce, gdy za nimi, następując im na pięty, szła wieczna Młodość - nowe dzieciaki, teraz już krzepkie i spychające na bok starych. Za nimi zaś nieprzerwane szeregi nowych dzieciaków - i tak bez końca - nieśmiertelna Młodość, która zawsze musi dopiąć celu.

King spojrział na lożę prasową i kiwnął głową Morganowi ze "Sportowca" i Corbettowi z "Arbitra". Potem wyciągnął ręce do swych sekundantów, Sida Sullivana i Charleya Batesa.

Włożyli mu rękawice i mocno je zasznurowali pod baczynym okiem jednego z sekundantów Sandela, który przedtem jeszcze uważnie zbadał bandaż na knykciach Kinga. Jeden z sekundantów Kinga robił to samo w narożniku Sandela. Wreszcie ściągnięto z Sandela spodnie, a gdy wstał, zdjęto mu sweter przez głowę. Tom King spojrzął i zobaczył wcielenie Młodości: wspaniale sklepioną pierś, mocne, muskularne ciało i mięśnie, które jak żywe drgały i przesuwały się pod białą, aksamitną skórą. To ciało tętniło życiem i Tom King wiedział, że świeżość tego życia jeszcze nigdy nie uciekała przez obolałe pory w czasie długich walk, kiedy to Młodość płaciła swą dań i schodziła z ringu już nie tak młoda, jak weszła.

Ruszyli ku sobie. Gdy zabrzmiał gong i sekundanci zabrawszy składane stołeczki zeskoczyli z ringu, zawodnicy podali sobie ręce i stanęli w postawie. Zaraz też, jak mechanizm ze stali i sprężyn zaczepiony na czułym spuście, Sandel doskoczył i odskoczył, i znów doskoczył

ładując lewy cios w oczy, prawy w żebra, unikiem uchodząc przed kontrą, tańcząc leciutko w tył i znowu - groźnie - w przód. Był zwinny i sprytny. Widowisko było oszałamiające.

Publiczność wyła z zachwytu. Ale King wcale nie czuł oszołomienia. Zbyt dużo miał walk za sobą i zbyt wielu pokonał młodzików. Dobrze oceniał ciosy - były za szybkie, za kunsztowne, by mogły być groźne. Najwidoczniej Sandel od samego początku chciał poprowadzić forsowną walkę. Można się było tego spodziewać. Młodość zawsze tak robi: trwoni swą wyższość i bogactwo w dzikim uniesieniu i w szaleńczym ataku, przytłacza przeciwnika bezgraniczną wspaniałością siły i woli.

Sandel był tu i tam - wszędzie - dwoił się i troił, lekkonogi i zapalczywy, żywy cud białego ciała i kąśliwych mięśni, zwijających się w olśniewająco skonstruowanym ataku, biegających pod skórą tam i z powrotem niby tkackie czółenka, od ataku do ataku, poprzez tysiąc ruchów, a wszystkie miały tylko jeden cel: zniszczyć Toma Kinga, który zagradzał drogę do fortuny i szczęścia. Tom King znosił to cierpliwie. Znał swój fach, znał Młodość i wiedział, że ma ją już za sobą. Wiedział, że nic nie zrobi, póki ten drugi nie straci na wigorze. Na myśl o tym uśmiechał się do siebie, celowo nadstawiając w uniku czubka głowy pod silny cios Sandela.

Było to złośliwe, ale zupełnie zgodne z regułami boksu. Człowiek powinien dbać o swoje knykcie, a jeśli koniecznie chce ugodzić przeciwnika w czubek głowy, robi to z własną szkodą.

King mógł się schylić niżej i pozwolić, by cios świsnął nad nim, ale przypomniał sobie, jak w jednej ze swych pierwszych walk rozbił sobie pierwszy knykciec o głowę "Postrachu Walii".

Stosował się tylko do zasad gry. Jego unik zdecydował o losie jednego z knykci Sandela.

Teraz mu to jeszcze nie przeszkodzi. Będzie dalej jednako atakował, cudownie beztroski, bijąc tak silnie jak przedtem, przez cały czas spotkania. Ale później, kiedy odezwą się liczne walki na ringu, pożałuje tego knykcia, spojrzy w przeszłość i przypomni sobie, jak go rozbił na głowie Toma Kinga. Pierwsza runda należała do Sandela. Widownia ryczała porwana jego huraganowymi atakami. Zasypał Kinga lawiną ciosów, a King je biernie przyjmował. Ani razu nie skontrował, zasłaniał się, wolał blokować i robić uniki, przechodził do zwarć, by uniknąć ciosów. Czasem markował jakieś uderzenie, trząsł głową, gdy odebrał cięższy cios, ale ruszał

się powoli, nie skakał, nie rzucał się i oszczędzał każdej drobiny sił. Sandel jak koń musi się zmydląć pianą Młodości, zanim wiek dojrzały ośmieli się wziąć odwet. Ruchy Kinga były wolne i metodyczne, a jego oczy, prawie nieruchome pod ciężkimi powiekami, nadawały mu wygląd senny i ospały. A jednak były to oczy, które widziały wszystko, oczy wytrenowane w przeszło dwudziestoletnich walkach na ringu tak, by nic nie uszło ich uwagi. Nie mrużyły się przed groźącym ciosem, nie drgnęły nawet - tylko spokojnie oceniały i mierzyły odległość.

Po pierwszej rundzie Tom King odpoczywał przez minutę siedząc w swoim kącie odchylony w tył, z wyciągniętymi nogami i ramionami opartymi na zbiegających się pod kątem prostym linach. Pierś i przepona brzuszna unosiły mu się swobodnie i wysoko, gdy chłonał powietrze, które nawiewali mu ręcznikami obaj sekundanci. Zamknawszy oczy słuchał głosów z widowni:

“Czemu nie idziesz na niego, Tom?” - słychać było liczne krzyki: “Boisz się go, czy co?”

- Mięśnie mu zeszywniały - usłyszał komentarz z pierwszego rzędu krzeseł. - Nie może szybciej się ruszać. Stawiam dwa do jednego na Sandela, w funtach szterlingach.

Rozległ się dźwięk gongu i przeciwnicy ruszyli ze swych narożników. Sandel, pałający chęcią walki, przebył trzy czwarte ringu, King zaś był rad, że została mu mniejsza część drogi.

Zgadzało się to z jego taktyką oszczędzania sił. Brakło mu treningu, nie dojadł, toteż każdy krok się liczył. Prócz tego przeszedł już pieszo dwumilową drogę do klubu. Druga runda była powtórzeniem pierwszej: Sandel atakował jak huragan, a publiczność z oburzeniem pytała, czemu King nie walczy. King bowiem tylko pozorował ataki, wymierzył kilka bezskutecznych i ospałych ciosów - poza tym nie robił nic, jedynie blokował, umykał przeciwnikowi i wpadał w clinch. Sandel usiłował przyspieszyć tempo, ale King, kierując się doświadczeniem, nie podejmował tej inicjatywy. Uśmiechał się z jakimś smutno rozbrajającym wyrazem na swej zniekształconej twarzy i dalej skąpił sił z zazdrością, do jakiej tylko starość jest zdolna. Sandel był Młodością i marnotrawił siły tak rozrzutnie, jak to Młodość potrafi. Do Kinga należało mistrzostwo ringu, mądrość zdobyta w wielu bolesnych walkach. Z trzeźwą głową, zimnym wzrokiem obserwował przeciwnika i nie spiesząc się czekał, aż z Sandela wykipi piana młodości. Większość widzów myślała, że King jest bszadziejnie zdeklasowany, i pogląd swój wyrażała propozycjami zakładu trzech do jednego na korzyść Sandela. Ale było paru mądrzejszych, którzy znali Kinga z dawnych czasów - ci przyjmowali zakłady, uważając, że to pewne pieniądze.

Trzecia runda zaczęła się jak poprzednia. Była jednostronna, wszystkie akcje inicjował Sandel i on też zadawał ciosy. Minęło pół minuty i Sandel, zbyt zadufany w sobie, odsłonił się. W tej chwili błysnęły oczy Kinga i mignęło jego prawe ramię. Był to pierwszy prawdziwy cios, jaki zadał - sierpowy z wygiętego łuku ramienia po to, by był sztywniejszy i poparty całym ciężarem ciała z półobrotu. Jakby zbudził się pozornie śpiący lew i błyskawicznie walnął łapą.

Sandel trafiony w szczękę zwałił się niby ogłuszony wół. Publiczność wstrzymała oddech i słychać było pełne uznania szepty. Widać - mimo wszystko - Tom nie miał sztywnych mięśni i potrafił bić jak młot parowy.

Sandel doznał wstrząsu. Przekręcił się na bok i spróbował wstać, ale powstrzymał go ostry okrzyk

sekundantów, którzy kazali mu odczekać, aż sędzia doliczy do dziewięciu. Przyklął

więc na jedno kolano, gotów się poderwać, i czekał, podczas gdy sędzia stał nad nim i głośno odliczał mu wprost do ucha mijające sekundy. Przy dziewiątej Sandel podniósł się i stanął w postawie, a Tom King patrząc na niego żałował, że nie zadał ciosu o cal bliżej w szczękę.

Byłby to nokaut i Tom mógłby przynieść do domu trzydzieści funtów.

Runda trwała dalej aż do końca przepisowej trzeciej minuty. Sandel po raz pierwszy walczył

przejęty szacunkiem dla przeciwnika; Tom, jak zawsze, ruszał się powoli i patrzył sennymi oczami. Przed samym zakończeniem rundy King - domyśliwszy się z widoku sekundantów, którzy szykowali się już do przeskoczenia sznurów, że zbliża się ona do końca - tak poprowadził walkę, aby się znaleźć jak najbliżej swego narożnika. A kiedy rozległ się gong, usiadł niezwłocznie na już podstawionym krzeselku, gdy Sandel musiał przejść po przekątnej ringu do swego narożnika. Był to drobiazg, ale suma drobiazgów już coś znaczy. Sandel musiał przejść tych parę dodatkowych kroków, poświęcając na to odpowiednią ilość energii, i stracić część cennej minuty przeznaczonej na wypoczynek. Na początku każdej rundy King wolno wyłaził ze swego kąta i w ten sposób zmuszał przeciwnika do przebycia większej części drogi. Przy końcu rundy zawsze tak manewrował, by się znaleźć w swoim narożniku i móc zaraz usiąść.

Minęły jeszcze dwie rundy, w których King oszczędzał siłę, a Sandel je trwonił. Jego próby przyspieszenia tempa dały się Kingowi we znaki, bo spory procent wymierzanych ciosów docierał do celu. Jednakże King uparcie trzymał się taktyki zwolnionych ruchów, mimo głośnych poduszczeń młodych zapaleńców spośród publiczności. W szóstej rundzie Sandel znów nie uważał i znów straszliwy prawy Kinga wylądował mu na szczęce, poszedł więc na deski i leżał aż do dziewięciu.

W siódmej rundzie Sandel stracił swą wspaniałą kondycję i zrozumiał, że to będzie najcięższa walka w jego dotychczasowej praktyce. Tom King był stary, ale lepszy od tych, jakich Sandel dotąd spotykał - taki stary, który nigdy nie tracił głowy, zadziwiająco umiał się bronić, zadawał

ciosy niczym uderzenia maczugi, a w jego każdej ręce czaił się nokaut. Lecz mimo to nieczęsto odważał się uderzyć. Stale pamiętał o swych nadwerężonych knykciach i wiedział, że każdy cios się liczy, jeśli mają one wytrzymać do końca walki. Gdy siedział w swym rogu i patrzył przez ring na przeciwnika, przychodziło mu na myśl, że jego mądrość w połączeniu z młodością tamtego złożyłyby się na mistrza świata wagi ciężkiej. Ale w tym właśnie sęk.

Sandel nigdy nie będzie mistrzem świata. Brakowało mu doświadczenia, które mógł nabyć tylko za cenę Młodości. Lecz zanim je zdobędzie, Młodość mu zejdzie na jego kupno.

King wykorzystywał każdą szansę. Nie opuścił żadnej okazji do clinchu i niemal zawsze przy tym uderzał mocno ramieniem w żebra Sandela. W teorii walki bokserskiej pchnięcie ramieniem tyleż znaczy, co cios, gdy chodzi o unieszkodliwienie przeciwnika, ale jest znacznie lepsze, gdy idzie o oszczędność wysiłku. W clinchach Tom całym ciężarem kładł się na Sandelu i uparcie kleił się do niego. To zmuszało sędziego do interwencji. Rozdzielał ich, a zawsze przy tym pomagał mu Sandel, który jeszcze nie nauczył się odpoczywać. Nie mógł się powstrzymać do użycia swych wspaniałych,

śmigłych rak i sprężystych mięśni. Kiedy King szedł w zwarcie i barkiem szturchał go w żebra, chowając jednocześnie głowę pod jego lewe ramię, Sandel niemal zawsze zakładał prawą rękę za plecy i walił przeciwnika w wystającą twarz. Był to cios zręczny, który budził zachwyt publiczności, ale zupełnie nieszkodliwy i dlatego niepotrzebnie pochłaniał energię. Sandel nie znał jednak zmęczenia, nie umiał

dawkować sił, a King uśmiechał się tylko i znosił wszystko cierpliwie.

Sandel uciekł się teraz do wściekłych ciosów prawą w korpus. Na pozór szkodziły one bardzo Kingowi i tylko wytrawni znawcy potrafili ocenić zręczny dotyk lewej rękawicy Kinga w biceps Sandela tuż przed samym ciosem. Prawda, że każdy cios dochodził Kinga, ale za każdym też razem ten dotyk w biceps odbierał siłę uderzeniom. W dziewiątej rundzie King trzy razy w ciągu minuty prawym szerokim sierpowym ugodził przeciwnika w szczękę. I trzy razy Sandel całym ciężarem potężnego ciała padał na deski. Zawsze leżał dozwolone dziewięć sekund i wstawał drżący i oszołomiony, a jednak wciąż mocny. Stracił bardzo wiele ze swej szybkości i oszczędzał sił. Walczył nieustępliwie, ale ciągle czerpał ze swego głównego kapitału -

Młodości. Głównym kapitałem Kinga było doświadczenie. W miarę jak opuszczały go żywotne siły i energia, zastępował je chytrym rozumem zrodzonym w długoletnich walkach i przezorną oszczędnością wysiłku. Nie tylko nauczył się unikać zbędnych ruchów, ale nauczył

się też, jak kusić przeciwnika do marnotrawienia sił. Raz po raz złudnym ruchem nóg, rąk i ciała prowokował Sandela do odskoku, uniku czy kontry. Sam odpoczywał, ale nigdy nie pozwolił odpocząć przeciwnikowi. Była to taktyka Wieku Dojrzałego.

Tuż na początku dziesiątej rundy King począł stopować ataki Sandela prostymi lewymi w twarz, a Sandel, już ostrożny, odpowiadał wyrzutem lewej, ugięciem jej i mocnym prawym sierpowym w skroń. Ciosy lądowały za wysoko i dlatego nie były druzgoczące, ale już przy pierwszym z nich King doświadczył starego, dobrze znanego uczucia - jakby mu czarna zasłona omdlenia przesłoniła mózg. Na jedno mgnienie oka, a raczej na ułamek mgnienia, zapadł w nicość. Przez chwilę widział, jak przeciwnik i tło białych, wpatrzonych w ring twarzy odpływa mu sprzed oczu. Ale już w następnej chwili znów ujrzał Sandela i twarz. Zdawało mu się, że usnął na moment, a teraz znów otworzył oczy. Chwila nieświadomości była jednak tak krótka, że nawet nie zdążył upaść. Publiczność dostrzegła, że się zachwiał, że kolana się pod nim ugięły, ale zaraz się opanował i tylko głębiej wciągnął brodę pod osłonę lewego ramienia.

Sandel parokrotnie powtórzył ten cios utrzymując Kinga w częściowym zamroczeniu, ale potem King wypracował sobie system obrony, który jednocześnie był kontrą. Pozornie zagroziwszy przeciwnikowi lewą, odstąpił pół kroku i w tej samej chwili całą siłą uderzył prawą od dołu w górę. Tak dobrze to sobie wyliczył, że trafił Sandela prostopadle w brodę w pełni jego niskiego uniku. Sandel wyleciał w powietrze, przegiął się w tył i spadł głową i plecami na matę. King dwa razy powtórzył ten cios, a potem ruszył już całą parą i przygwoździł

przeciwnika do lin. Nie dawał mu teraz chwili wytchnienia, nie pozwolił mu przyjść do siebie i bił w niego jak w bęben, aż cała widownia zerwała się na nogi, a powietrze zatrzęsło się od braw. Sandel zadziwiał siłą i wytrzymałością. Mimo wszystko trzymał się na nogach. Zdawało się, że

nokaut będzie nieunikniony, toteż komisarz policji, przerażony widokiem tych straszliwych ciosów, zjawił się nagle obok ringu, by przerwać walkę. Gong ogłosił koniec rundy i Sandel powlókł się do swego narożnika zapewniając komisarza, że jest cały i zdrow. Na dowód wywinął dwa kozły i komisarz się uspokoił.

Tom King, ciężko dysząc, przechylony w tył w swoim narożniku, przeżywał rozczarowanie.

Gdyby walkę przerwano, sędzia z konieczności musiałby go ogłosić zwycięzcą i wtedy zdobyłby nagrodę. W przeciwieństwie do Sandela Tom nie walczył przecież dla kariery i sławy, lecz po prostu dla trzydziestu funtów. A teraz Sandel po minucie odpoczynku odzyska siły.

“Trzeba schylić czoło przed Młodością” - przemknęło mu przez myśl; przypomniał sobie, że powiedzenie to słyszał po raz pierwszy tego wieczoru, kiedy pokonał Billa Stowshera.

Powiedział je pewien wytworny facet stawiając Tomowi jakiś trunek po walce i klepiąc go po plecach. “Trzeba schylić czoło przed Młodością” ten gość miał rację. Owego wieczoru, już dawno temu, Tom był Młodością. Dziś wieczór Młodość siedziała w przeciwległym kącie.

Walczy już od pół godziny, a jest przecież stary. Gdyby walczył jak Sandel, nie wytrzymałby nawet kwadransa. Ale najgorsze było to, że Tom nie odzyskiwał sił. W przerwach między rundami nie mógł dostatecznie wypocząć, bo mu na to nie pozwalały rozdęte żyły i przemęczone serce. A był przecież za słaby nawet na to, żeby stanąć do tej walki. Nogi mu ciążyły i czuł, że chwytają go kurcze. Nie powinien był iść tych dwóch mil piechotą. Poza tym ten upragniony od samego rana befsztyk, tak bardzo mu potrzebny! Porwała go straszliwa nienawiść do rzeźników, którzy odmówili mu kredytu. Ciężko walczyć staremu człowiekowi, zwłaszcza gdy się nie najadł do syta. Kawałek mięsa to taki drobiazg, najwyżej parę pensów, ale dla niego oznaczał trzydzieści funtów.

Wraz z uderzeniem gongu, otwierającego jedenastą rundę, Sandel ruszył do ataku z ostentacyjną rzeźkością, której w rzeczywistości nie miał. King nie dał się oszukać. To był

bluff, tak stary jak boks. Poszukał ratunku w clinchu, a potem wyszedł z niego i pozwolił

Sandelowi przygotować się do ciosu. Tak to sobie uplanował. Pozorowanym ciosem z lewej skłonił Sandela do uniku i do kontry w górę sierpowym, potem się cofnął pół kroku i z ramienia zadał uderzenie od dołu w brodę. Sandel zwinął się i padł na matę. Od tej chwili King nie dawał mu spokoju. Odbierał wprawdzie ciosy, ale zadawał ich znacznie więcej. Przyciskał

Sandela do lin, grzmocił prostymi i sierpowymi, wyrywał się ze zwarć lub zapobiegał im ciosem, a gdy Sandel już, już miał upaść, chwycił go wyciągniętą ręką i uderzeniem drugiej posyłał na liny, aby nie mógł runąć na deski.

Publiczność oszalała. Była po jego stronie. Prawie wszyscy ryczeli: “Jazda, Tom!” “Wal go!

Wal go!” “Już go masz, Tom! Już go masz!” Zanosilo się na huraganowy finisz, a publiczność płaci za taki właśnie widok.

Tom King zaś, który przez pół godziny szczenił sił, teraz hojnie nimi szafował w jednym jedynym

wysiłku, na jaki, jak wiedział, było go jeszcze stać. To ostatnia szansa, teraz albo nigdy. Szybko opadał z sił i cała jego nadzieja leżała w tym, że nim zupełnie je straci, powali przeciwnika, tak że go wyliczą. W miarę jak bił i parł naprzód, zimno oceniając wagę swych ciosów i szkodę, którą nimi wyrządza, zaczynał rozumieć, że ciężko mu będzie nokautem pokonać takiego człowieka jak Sandel, który miał wprost niewyczerpany zapas żywotnych sił i bezgraniczną wytrzymałość - siły i wytrzymałość właściwe dziewiczej Młodości. Niewątpliwie przyszłość należała do Sandela. Miał ją w sobie. Tylko z takiego twardego materiału powstają zwycięzcy.

Teraz potykał się i zataczał, ale i Tomowi drętwiały nogi, a knykcie dawały o sobie znać. Mimo to zmuszał się do silnych ciosów, z których każdy przyczyniał męki zmaltretowanym rękom. I choć teraz właściwie nie odbierał żadnych ciosów, słabł równie szybko jak Sandel. Jego uderzenia trafiały w przeciwnika, ale brakło im już dawnej wagi, a każdy wymagał szalonego wysiłku woli. Nogi miał jak z ołowiu i wyraźnie nimi powłóczył. Sympatycy Sandela ucieszyli się z tych objawów i okrzykami zaczęli dodawać odwagi swemu faworytowi.

Pobudziło to Kinga do ostatecznego zrywu. Zadał dwa kolejne ciosy - lewy, odrobinę za wysoko, w słoneczny splot i prawy poprzeczny w szczękę. Nie były to ciężkie ciosy, jednakże Sandel tak osłabł i tak był odurzony, że upadł na ziemię i leżał drżąc. Sędzia stał nad nim i głośno odliczał mu do ucha fatalne sekundy. Jeśli się nie podniesie przed wywołaniem dziesiątej - przegra. Publiczność czekała w martwej ciszy. King odpoczywał na drżących nogach. Był śmiertelnie zmęczony. Przed oczyma płynęło mu i wirowało morze ludzkich twarzy, a do uszu, skądś z daleka, docierał głos sędziego, który odliczał czas. Lecz mimo to uważał, że wygrał walkę. Niemożliwe, żeby człowiek wstał po takich ciosach.

Tylko Młodość mogła wstać - i Sandel wstał. Przy czwartej sekundzie przekręcił się na brzuch i zaczął po omacku szukać linek. Przy siódmej z trudem przyklął na kolano i odpoczywał, a głowa chwiała mu się na ramionach jak pijanemu. Gdy zaś sędzia wykrzyknął "dziewięć!" - stał

wyprostowany, w klasycznej obronnej pozycji z lewym ramieniem osłaniającym twarz, a prawym - żołądek. Broniąc w ten sposób najżywotniejszych miejsc chwiejnie ruszył naprzód, by wpaść w clinch i zyskać na czasie.

Ledwie Sandel wstał, King zaatakował, ale oba jego ciosy utknęły w obronnie nastawionych ramionach. Za chwilę Sandel już go trzymał w clinchu i kleił się do niego desperacko, podczas gdy sędzia starał się ich rozdzielić. King próbował się wyrwać. Wiedział, jak szybko Młodość powraca do sił, i wiedział też, że pokona Sandela, jeżeli nie pozwoli mu ich odzyskać.

Wystarczy jeden mocny cios. Pokonał Sandela, niewątpliwie pokonał. Przewyższył go, zwyciężył, zdystansował. Sandel zataczając się wyszedł ze zwarcia i balansował teraz na cieniutkiej jak włos linii dzielącej porażkę od przetrzymania. Jeden porządny cios przewróci go, powali i wyeliminuje z walki. I w nagłym przeblasku goryczy Tom King przypomniał sobie befsztyk i pożałował, że go nie mógł zjeść przed tym ciosem, który musi za wszelką cenę teraz zadać. Zebrał się w sobie i uderzył, ale cios nie był ani dostatecznie silny, ani szybki.

Sandel zachwiał się, jednak nie upadł, zatoczył się tylko na liny i przytrzymał się ich. King powłókł się za nim i z bólem, jak przy konaniu, zadał jeszcze jeden cios. Lecz ciało już mu odmówiło

posłuszeństwa. Nic nie pozostało z Toma prócz bokserkiego doświadczenia, przyćmionego zupełnym wyczerpaniem. Chciał uderzyć wyżej, ale zmęczone mięśnie nie zdołały usłuchać i cios wymierzony w szczękę trafił zaledwie w ramię. Pod wpływem inercji sam się zatoczył i o mały włos nie upadł. Raz jeszcze uderzył. Tym razem jednak całkiem chybił i wyczerpany do cna runął na Sandela; zwarł się z nim i trzymał się go mocno, by nie upaść na deski.

Teraz nie próbował wyrwać się z clinchu. Wypuścił ostatnią strzałę z kołczana. Było już po nim. Schylił czoło przed Młodością. Nawet w tym clinchu czuł, że Sandelowi przybywa sił.

Kiedy sędzia ich rozdzielił, Tom ujrzał odrodzoną Młodość przed sobą. Z sekundy na sekundę Sandel stawał się coraz silniejszy. Jego ciosy, słabe i niepewne na początku, nabierały precyzji i mocy. Zamglonymi oczyma King dojrzał rękawicę celującą w jego szczękę. Chciał

podstawić ramię. Widział niebezpieczeństwo, pragnął działać, ale jego ręka była za ciężka.

Zdawało mu się, że ciąży na niej sto funtów ołowiu. Nie uniosła się sama, toteż usiłował ją unieść całym wysiłkiem woli. Wtedy pięść w rękawicy spadła na jego szczękę. Tom usłyszał

suchy trzask, jakby elektrycznej iskry, i zaraz potem spadła nań czarna zasłona.

Kiedy otworzył oczy, był znów w swym narożniku i słyszał ryk publiczności przypominający przybój morza na Bondi Beach. Na karku poczuł wilgotną gąbkę, a Sid Sullivan bryzgał mu ożywczą zimną wodą na pierś i twarz. Rękawice już mu zdjęto. Sandel pochylony nad nim ścisnął mu rękę. Tom nie czuł żalu do człowieka, który go pobił, toteż oddał uścisk ręki tak szczerze, że aż zabolowały go potłuczone knykcie. Potem Sandel wyszedł na środek ringu, a publiczność pohamowała nieco swe okrzyki entuzjazmu, by wysłuchać jego oświadczenia, że przyjmuje wyzwanie młodego Pronto i proponuje podwyższyć dodatkowy zakład do stu funtów.

King patrzył osowiałym wzrokiem, gdy sekundanci ocierali z niego kapiącą wodę, osuszali mu twarz i przygotowywali go do zejścia z ringu. Czuł głód. Nie było to zwykłe ssanie w dołku, ale wielka słabość, pulsowanie w dole żołądka, które udzielało się całemu ciału. Przebiegał

pamięcią walkę do chwili, kiedy dopadł Sandela, gdy ten chwiał się o krok od porażki. Ach, ten befszytk przesądziłby sprawę! Zabrakło mu go dla decydującego ciosu i dlatego przegrał.

Wszystko przez ten befszytk!

Sekundanci podtrzymali Toma, by mu pomóc przejść przez liny. Odepchnął ich, sam się pochylił pod linami i ciężko zeskoczył na ziemię. Szedł tuż za swymi sekundantami, którzy torowali mu drogę przez zapchane publicznością główne przejście. Gdy wychodził z szatni na ulicę, zaczął go jakiś młodziak przy wejściu do hallu.

- Czemuś go nie wykończył, kiedy już go miałeś? - zapytał.

- Idź do diabła! - odparł Tom King i zszedł ze schodów na chodnik.

Drzwi szynku na rogu stały otworem i Tom ujrzał światła i uśmiechnięte kelnerki. Usłyszał

liczne głosy rozprawiające o walce i miły dźwięk pieniędzy rzucanych na ladę. Ktoś zaprosił go na kieliszek. Zawahał się, potem odmówił i ruszył w swoją drogę.

Nie miał grosza w kieszeni, a dwumilowy spacer do domu wydawał mu się bardzo długi.

Starzeje się niewątpliwie. Przeciąwszy Domain, usiadł nagle na ławce, dręczony myślą o żonie, która czekała na niego i na wynik walki. To było cięższe od każdego nokautu i wydawało się prawie nie do zniesienia.

Był słaby i obolały, a ból w rozbitych knykciach mówił mu, że jeśli nawet znajdzie pracę kopacza, wcześniej niż za tydzień nie zdoła chwycić za kilof lub łopatę. Mdlilo go z tego świdrującego w dole żołądka głodu. Czuł się złamany swoim nieszczęściem, a do oczu napłynęły mu nieproszone łzy. Ukrył twarz w dłoniach i płacząc przypominał sobie Billa Stowshera, który schylił przed nim czoło tamtej nocy, dawno temu. Biedny stary Stowsher Bill!

Teraz Tom King zrozumiał, czemu Bill płakał w szatni.

Przełożył Tadeusz Evert

Straszliwy archipelag

Można powiedzieć bez przesady, iż Archipelag Salomona jest grupą wysp srodze upośledzonych.

Niewątpliwie jednak istnieją na świecie miejsca jeszcze gorsze. W każdym razie archipelag ten musi się wydawać naprawdę straszliwy żółtodziobowi pozbawionemu przyrodzonego daru rozumienia twardego życia i twardych ludzi.

Prawdą jest, że malaria i czerwotka grasują tam ustawicznie, szerzą się wstrętne choroby skórne, a powietrze przesyca trucizna, która przenika we wszystkie pory, zadrapania lub skaleczenia i sieje złośliwe czyraki. Prawdą jest, że wielu silnych mężczyzn, którym uda się nie umrzeć na tych wyspach, wraca ze zrujnowanym zdrowiem do rodzinnych krajów. Prawdą jest także, iż tubylcy z Archipelagu Salomona to stado dzikusów wiecznie zgłodniałych mięsa ludzkiego i zwariowanych na punkcie zbierania ludzkich głów. W ich pojęciu najwspanialszym wyczynem sportowym jest zaskoczyć odwróconego plecami człowieka i zręcznym ciosem tomahawka przeciąć mu kręgosłup u podstawy czaszki. Prawdą jest, iż na niektórych wyspach

- na przykład na Malaicie - rachunek strat i zysków we wzajemnych stosunkach między ludźmi oblicza się ilością zabójstw. Zakonserwowane głowy są obiegowym środkiem wymiany, a głowy białych mają niezwykle wysoką cenę. Bardzo często kilkanaście wiosek spędza swe trzody i tuczy je miesiąc po miesiącu, dopóki jakiś waleczny wojownik nie upomni się o nagrodę prezentując głowę białego człowieka, świeżo ściętą, zbroszoną jeszcze posoką.

Wszystko to jest szczerą prawdą. Są jednak biali, którzy spędzili na Wyspach Salomona po dwadzieścia lat, a opuściwszy je, cierpią na nostalgię. Człowiek musi być tylko ostrożny, no i mieć łut szczęścia, żeby żyć długo na tym archipelagu. Musi także być osobnikiem właściwego gatunku. Na duszy winien mieć wypalone piętno niepokonanego białego człowieka. Musi być niepokonany. Musi

mieć wzniosłą pogardę dla drobiazgów, niezmierną pewność siebie i rasowy egotyzm, który rodzi wiarę, że jeden biały jest lepszy od tysiąca czarnych w każdy powszedni dzień, a przy niedzieli może sobie poradzić nawet z dwoma tysiącami. Takie właśnie przymioty uczyniły białego człowieka niepokonanym. I jeszcze jedno: biały, który pragnie być niepokonany, powinien nie tylko gardzić podlegszymi nacjami, a o sobie mieć bardzo wysokie mniemanie, lecz cierpieć również na brak wyobraźni. Nie może zbyt dobrze rozumieć instynktów, obyczajów i procesów myślowych ludzi czarnych, żółtych czy brunatnych, bo nie taką metodą biała rasa wydeptała swój królewski gościniec dokoła świata.

Bertie Arkwright nie mógł uchodzić za niepokonanego. Był wrażliwy, delikatny, posiadał zbyt bujną wyobraźnię. Ugiął się pod brzemieniem zewnętrznego świata. Zanadto dociekliwie studiował otoczenie. Dlatego właśnie Archipelag Salomona był ostatnim na świecie miejscem, do którego winien wybrać się Bertie Arkwright. Nie wybrał się tam zresztą na stałe. Uważał, że pięcioletni pobyt pomiędzy rejsami parowców zupełnie zaspokoi zew pierwotności, którym drgały struny jego duszy. Tak przynajmniej, choć w innych słowach, Bertie informował

turystki z „Makembo”. Turystki wielbiły bohatera, same bowiem (jako że damy) miały jedynie zaznawać spokoju na pokładzie parowca, który przemierzał szlaki wodne archipelagu.

„Makembo” wiozł również innego pasażera, lecz na niego turystki nie zwracały uwagi. Był to mały, zasuszony człecznina o ogorzalej na mahoń, zwiędłej cerze. Nazwisko, pod jakim figurował na liście podróży, nie miało znaczenia, lecz na jego drugie nazwisko - Kapitan Malu - zaklinali się tubylcy i od Nowego Hanoweru po Nowe Hebrydy straszili nim nieznośne dzieciaki. Kapitan Malu panował nad dzikimi ludźmi i dzikimi obyczajami, a z malarii i z trudów, z trzasku sniderów i świstu batogów, którymi posługiwali się nadzorcy robót, wydusił okrągłe pięć milionów pod postacią trepangów, [raczki morskie poszukiwane jako przysmak w Chinach.] drzewa, sandałowego, muszel perłowych, szylkretu, orzecha amerykańskiego, kopry, terenów zdatnych pod uprawę, faktorii i plantacji. Mały palec Kapitana Malu, złamany niegdyś, był bardziej niepokonany niż cały Arkwright. Ale turystki opierały swe sądy jedynie na pozorach, a Bertie był niewątpliwie przystojnym mężczyzną.

Młody chwata rozmawiał w palarni z Kapitanem Malu i zwierzył mu się, iż chce zobaczyć srogie, ociekające krwią życie Archipelagu Salomona. Kapitan Malu przyznał, że to zamiar chwalebny i ambitny. Ale Bertie zainteresował go dopiero po kilku dniach, kiedy zapragnął

pokazać mu swój pistolet kalibru 44. Objął działanie automatu i na pokaz wsunął

magazynek do kolby. Następnie szarpnął w tył płaszcz lufy.

- Widzi pan, jaka to prosta historia - mówił. - Tym ruchem ładuje się broń, a także napina iglicę. Teraz wystarczy nacisnąć cyngiel osiem razy, tak szybko, jak chodzi palec. Albo bezpiecznik! Właśnie bezpiecznik podoba mi się najbardziej. Działa niezawodnie, pod gwarancją! - Zręcznie wyciągnął magazynek. - Sam pan chyba widzi, jaka to bezpieczna sztuka.

Ściskając w rękę pistolet zwrócił wylot lufy w stronę brzucha Kapitana Malu. Ten przyglądał się spokojnie, nie odwracał błękitnych oczu.

- Czy nie zechciałby pan celować w jakimś innym kierunku? - poprosił.

- Ależ nic nie grozi! - uspokoił go Bertie. - Wyjąłem magazynek. Rozumie pan, broń nie jest nabita.

- Broń jest zawsze nabita.

- Ale nie ten pistolet.

- W każdym razie proszę skierować go w inną stronę. Kapitan Malu mówił cicho, chłodnym, opanowanym tonem, lecz ani na chwilę nie oderwał wzroku od lufy pistoletu. Wreszcie wyłot zwrócił się w bok i linia celowania uległa zmianie.

- Zakład o pięć funtów, że broń nie jest naładowana - zaproponował żywo Bertie.

Jego towarzysz pokręcił głową.

- Więc panu dowiodę!

Bertie przyłożył pistolet do własnej skroni i najwidoczniej miał zamiar nacisnąć cyngiel.

- Chwileczkę - powiedział spokojnie Kapitan Malu sięgając po pistolet. - Wolę najpierw sprawdzić.

Wycelował w morze i nacisnął cyngiel. Huknął strzał. Automat szczęknął sucho i gorąca, dymiąca łuska stuknęła o deski pokładu. Bertie otworzył usta ze zdumienia.

- Tylko raz pociągnąłem w tył płaszcz lufy, prawda? - wyjaśnił bez przekonania. - Muszę przyznać, że ze mnie dureń.

Zachichotał słabo i usiadł na leżaku. Krew odpłynęła mu z twarzy, pod oczyma wystąpiły sine kręgi. Dłonie trzęsły się, nie były w stanie podnieść do ust papierosa. Bertie ugiął się pod brzemieniem świata zewnętrznego. Zobaczył siebie rozciągniętego na pokładzie, spryskanym przez własny mózg.

- Do... doprawdy... - wyjąkał. - Doprawdy...

- Piękna broń - orzekł Kapitan Malu zwracając pistolet właścicielowi.

Komisarz kolonii, który wracał na "Makembo" z Sydney, zezwolił, by parowiec zawinął do Ugi i wysadził na ląd misjonarza. W Ugi zaś stał na redzie kecz "Aria", dowodzony przez kapitana Hansena. "Aria" wchodził w skład licznej flotyli Kapitana Malu. Na propozycję i zaproszenie Kapitana Malu Bertie wstąpił na pokład "Arii", by jako gość wziąć udział w czterodniowym rejsie rekrutacyjnym u wybrzeży Malaity. Następnie kecz miał dostarczyć młodego zucha do plantacji Reminge, należącej również do Kapitana Malu. Arkwright mógłby tam spędzić tydzień i odpłynąć do Tulagi, siedziby władz kolonialnych, gdzie pozostałby w gościnie u komisarza.

Ponadto Kapitan Malu wysunął dwie dalsze propozycje, które kończą jego osobistą rolę w naszej opowieści. Adresatem jednej z nich był kapitan Hansen, drugiej - pan Harriwell, administrator plantacji Reminge. Propozycje nie różniły się treścią. Chodziło o to, by pan Bertram Arkwright

zobaczył surowe, krwawe życie Wysp Salomona. Podobno Kapitan Malu napomknął przy sposobności, że skrzynka szkockiej whisky przypadnie temu, kto szczególnie efektownie zaprezentuje gościowi wyżej wspomniane surowe i krwawe życie.

- Tak, ze Swartza zawsze był frajer. Zabrał czterech swoich majtków do Tulagi, gdzie mieli dostać baty... rozumie pan, oficjalną chłostę. Później wracał z nimi welbotem. Wiał silny wiatr i łódź fiknęła kozła niedaleko plaży. Tylko Swartz utonął. Oczywiście czysty przypadek.

- Przypadek? Naprawdę? - zapytał Bertie bez większego zainteresowania, gdyż gapił się właśnie na stojącego u steru czarnego marynarza.

Ugi zostało za rufą. Kecz "Aria" sunął po spokojnym w lecie morzu w stronę porośniętych dżunglą wzgórz Malaity. Sternik, który tak przyciągał wzrok Arkwrighta, miał nos przekłuty wielkim ćwiekiem. Na szyi nosił sznurek guzików od spodni, a w zdobiących uszy otworach nóż do otwierania puszek, złamaną rączkę szczoteczki do zębów, glinianą fajkę, mosiężne kółko budzika i kilka pustych gilz winchesterowych. Na piersiach dyndała zawieszona na długiej lince połówka porcelanowego talerza. Około czterdziestu podobnie przystrojonych krajowców wałęsało się po pokładzie. Piętnastu z nich należało do załogi. Resztę stanowili świeżo zwerbowani rekruci.

- Oczywiście był to czysty przypadek - zabrał głos porucznik Jacobs, szczupły, ciemnooki mężczyzna, który sprawiał wrażenie raczej profesora niż żeglarza. - Johnny Bedip miał bardzo podobną historię. Wiózł kilku chłopców po laniu, a ci wywrócili mu łódź. Ale Johnny umiał

pływać nie gorzej niż oni. Dwóch czarnych utonęło. Chodzą plotki, że używał bosaka i rewolweru. Oczywiście i to był przypadek.

- Takie przypadki sypią się jak z rękawa - podjął szyper. - Widzi pan ten okaz przy sterze, panie Arkwright? To ludożerca. Pół roku temu przy pomocy całej załogi utopił ówczesnego kapitana "Arii". Zrobili to, drogi panie, na pokładzie, o tam, na rufie, przy bezanżaglu.

- Pokład był w ohydny stanie - dorzucił porucznik.

- Czy mam rozumieć... - zaczął Bertie.

- Tak, tak! To było przypadkowe utonięcie - dokończył kapitan Hansen.

- Ale... ale... na pokładzie?

- Na pokładzie. W zaufaniu pozwolę sobie poinformować pana, że załoga użyła siekiery.

- Ta pańska obecna załoga?

Kapitan Hansen skinął głową.

- Dawny szyper zawsze był nieostrożny - wyjaśnił porucznik. - Cóż, odwrócił się plecami i zaraz go dostali.

- Widzi pan, jesteśmy tutaj bezradni - poskarżył się Hansen. - W każdym wypadku władze bardziej faworyzują czarnych niż białych. Nie może pan wystrzelić pierwszy. Pierwszy strzał

musi pan ustąpić czarnemu, bo inaczej władze nazwą to morderstwem, a pan powędruje na Fidżi. Dlatego właśnie zdarza się tak wiele przypadkowych utonięć.

Steward oznajmił, że obiad podany. Szyper zeszedł z gościem do mesy, pozostawiając swemu pomocnikowi straż na pokładzie.

- Miej no pan na oku tego czarnego szatana, Auiki - rzucił pożegnalną przestrożę. - Od kilku dni nie podoba mi się jego mina.

- Tak jest - odparł porucznik.

Pod koniec obiadu szyper był w połowie opowieści o napadzie na "Scottish Chiefs".

- Tak - mówił - to był najpiękniejszy statek na naszych wodach. Ale stracił sztagi i w mgnieniu oka osiadł na rafie. Obskoczyły go pirogi tubylców. Na pokładzie było pięciu białych i załoga -

dwudziestu zuchów z Santa Cruz i Samoa. Tylko supercargo uszedł z życiem. Aha! Statek wiózł także sześćdziesięciu rekrutów. Wszyscy zostali kaikai. Nie rozumie pan? Bardzo przepraszam. Chciałem powiedzieć, że wszyscy zostali pożarci. Także "James Edwards", elegancko ożaglowany...

Na pokładzie Jacobs zaklął siarczyście. Odpowiedział mu chór dzikich wrzasków. Trzykrotnie wypalił rewolwer. Później coś głośno chlupnęło w wodę. Kapitan Hansen skoczył na trap i po drodze błyskawicznym ruchem dobył pistoletu. Bertie patrzył jak urzeczony. Ale był przezorny.

Zawahał się, nim wychylił głowę spod daszka nad trapem. Nic się jednak nie działo. Porucznik drżał ze wzburzenia, w rękę trzymał rewolwer. Raz podskoczył i odwrócił się gwałtownie, jak gdyby od tyłu zagrażało mu niebezpieczeństwo.

- Jeden z tubylców wypadł za burtę - mówił dziwnym, zdławionym głosem. - Nie umiał pływać.

- Który? - zapytał szyper.

- Auiki.

- Ale... proszę panów! Przecież ja... ja słyszałem strzały... - Bertie drżał z podniecenia, bo wietrzył przygodę, i to przygodę szczęśliwie zakończoną.

Porucznik zwrócił się gniewnie w jego stronę.

- Łgarstwo - warknął. - Nie było żadnych strzałów. Czarny wypadł za burtę.

Kapitan Hansen mierzył gościa tępym, nieruchomym wzrokiem.

- Zdawało mi się... - zaczął Bertie.

- Strzały? - mówił zadumany szyper. - Strzały? Czy słyszał pan jakieś strzały, Jacobs?

- Nic podobnego.

Hansen spojrział triumfująco na gościa i powiedział:

- Czysty przypadek. Idziemy do mesy, panie Arkwright. Skończymy obiad.

Tej nocy gość spał w kajucie kapitańskiej - ciasnej komórce oddzielonej od mesy. Przednią grodz zdołał stojak na broń, a ponadto nad koją wisiały trzy karabiny. Pod koją była wielka szuflada. Arkwright otworzył ją i zobaczył, iż zawiera amunicję, dynamit i kilka pudełek spłonek detonujących. Wolał usiąść na ławce po przeciwnej stronie kabiny. Na małym stolyczku w widocznym miejscu leżał dziennik pokładowy "Arii". Bertie nie wiedział, że tę księgę sporządził

na jego cześć Kapitan Malu, toteż czytał z zainteresowaniem o dwóch majtkach, którzy dwudziestego pierwszego września wypadli za burtę i utonęli. Ach, dobrze rozumiał, co się za tym kryje, umiał już czytać między wierszami. Dalej dowiedział się, że welbot "Arii" został

ostrzelany z nadbrzeżnej dżungli w Su'u i stracił trzech ludzi, że szyper przyłapał kucharza, który gotował w kambuzie ludzkie mięso kupione przez załogę na wybrzeżu Fui; że podczas sygnalizowania przypadkowy wybuch dynamitu zabił jednego majtka. Bertie czytał o nocnych walkach, o ucieczkach z portów świtem, o napadach tubylców wśród porośniętych mangrowcami bagien i atakach flotyli piróg w zatokach lub cieśninach. Z nużącą jednostajnością powtarzał się wciąż ten sam zapis: śmierć z powodu czerwonki. Bertie przeraził się, gdy odkrył, że dwaj biali, podobnie jak on goście kapitana, umarli na tę chorobę.

- Wie pan co - powiedział nazajutrz kapitanowi Hansenowi - przejrzałem pański dziennik pokładowy.

Szyper przypomniał sobie, że zostawił dziennik na stole, i bardzo się zirytował.

- Wszystkie wypadki czerwonki to, widzi pan, taka sama bujda jak te wasze przypadkowe utonięcia - ciągnął młody chwyt. - Co właściwie ma oznaczać czerwotka?

Hansen zeszywniał zrazu, jak gdyby chciał gniewnie zaprotestować. Wkrótce jednak poddał się z wdziękiem i wyraził szczerzy podziw dla bystrości gościa.

- Widzi pan, panie Arkwright, sprawa tak się przedstawia: Wyspy Salomona mają opinię pod psem. Coraz trudniej zwerbować tutaj białego. Przypuśćmy, że ktoś został zabity. Firma musiałaby płacić złote góry, żeby odpowiednim człowiekiem zapełnić wolne miejsce. Ale jeżeli przyczyną śmierci jest choroba, wszystko w porządku. Nowicjuszom niestraszne choroby.

Żaden nowicjusz natomiast nie chce być zamordowany. Kiedy zajmowałem miejsce dawnego szypra „Arli”, byłem przekonany, że umarł na czerwonkę. No i stało się. Podpisałem kontrakt.

- Cóż - wtrącił Jacobs - zbyt często zdarzają się przypadkowe utonięcia. To nieładnie wygląda.

A wszystkiemu winne nasze władze. Białemu nie wolno bronić się przed czarnymi.

- Tak. Pamięta pan los "Princess" i tego porucznika, Amerykańca - zabrał znów głos szyper. -

Na pokładzie było pięciu białych, w ich liczbie przedstawiciel władz kolonialnych. Kapitan, ten agent i supercargo wybrali się na łód dwoma szalupami. Czarni wymordowali ich do nogi. Na pokładzie został porucznik, drugi oficer i załoga - mniej więcej piętnastu chłopców, Samończyków i Tongańczyków. Zgraja dzikich uderzyła na nich od wybrzeża. Porucznik widział na własne oczy, jak drugi oficer i cała załoga zginęli w pierwszym szturmie. Porwał trzy pasy z amunicją i dwa winchestery i wdrapał się na saling. On jeden ocalał, więc trudno go ganić, że wpadł w istną furję. Walił z jednego karabinu, aż karabin zupełnie się rozgrzał.

Później walił z drugiego. Na pokładzie czarno było od tubylców. Porucznik oczyścił pole.

Strzelał, kiedy przeskakiwali burty. Strzelał też, kiedy co tchu brali się do wiosła. Zaczęli skakać w wodę, ratować się wpław. Porucznik wpadł w furję, toteż ubił jeszcze kilku. A ile za to dostał?

- Siedem lat na Fidzi - syknął porucznik.

- Władze orzekły, że nie miał prawa strzelać, kiedy napastnicy znaleźli się w wodzie -
dokończył kapitan Hansen.

- Dlatego teraz ludzie umierają na czerwonkę - zakonkludował Jacobs.

- Dziwne, dziwne rzeczy - powiedział Bertie.

Odczuwał gorące pragnienie, by rejs jak najrychlej dobiegł końca.

Po południu wdał się w pogawędkę z czarnym, którego wskazano mu jako ludożercę. Dzikus nazywał się Sumasai. Spędził trzy lata na pewnej plantacji w Queenslandzie. Znał Samoa, Fidzi, a także Sydney. Jako majtek odbywał na szkunerach rekrutacyjnych rejsy do Nowej Brytanii, Nowej Irlandii, Nowej Gwinei i na Wyspy Admiralskie. Sumasai był żartownisiem i pokpiwał z zachowania obecnego szypra. Tak! Zjadł w życiu mnóstwo ludzi. Ilu? Nie potrafił

dokładnie sobie przypomnieć. Byli wśród nich także biali. Smakują doskonale, jeżeli nie są chorzy. Raz Sumasai zjadł chorego białego człowieka.

- Moja słowo! - zawołał na to wspomnienie. - Ja po ta biała człowiek chora, bardzo, bardzo chora. Moja brzuch boli, boli bardzo, bardzo!

Bertie zadrzał i spytał o głowy. Tak! Sumasai przechowuje na ladzie kilkanaście głów. Są w doskonałym stanie - wysuszone na słońcu, uwędzone w dymie. Jedna należała do szypra pewnego szkunera. Ma długie bokobrody. Sumasai gotów ją sprzedać za dwa funty.

Głowy czarnych są tańsze: kosztują po funcie. Sumasai ma parę główek dziecięcych. Są w gorszym stanie. Może je odstąpić po dziesięć szylingów sztuka.

Zakończywszy rozmowę Bertie usiadł na belce nad trapez obok czarnego majtka cierpiącego na jakąś ohydzną chorobę skórą. Odsunął się spieszenie i na zapytanie, co by to być mogło, otrzymał odpowiedź, że trąd. Pobiegł do kabiny i wyszorował się antyseptycznym mydłem. Do wieczora szorował się wiele razy, bo wszyscy czarni na keczu mieli złośliwe czyraki takiego lub innego pochodzenia.

“Aria” zarzucił kotwicę w małej zatoczce pośród bagien porosłych mangrowcami. Nadburcia przystrojono podwójnymi zasiekami z drutu kolczastego. Wyglądało to poważnie, a kiedy Bertie zobaczył, że od lądu odbijają pirogi pełne dzikusów zbrojnych w dziryty, łuki, strzały i snidery - goręcej niż dotychczas zapragnął, by rejs skończył się wreszcie.

Pierwszego wieczora czarni niechętnie opuszczali pokład. Kilku postawiło się porucznikowi, kiedy kazał im wracać na ląd.

- Nie martw się pan, zaraz ich przegonię - powiedział kapitan Hansen i zniknął pod pokładem.

Niebawem wyszedł stamtąd i pokazał gościowi ładunek dynamitu uwieszony na haczyku od wędki. Czasami się zdarza, że owinięta w papier butelka chlorodyny z przyczepionym do paczki nieszkodliwym lontem może wystrychnąć kogoś na dudka. Tym razem oszukała Arkwrighta. Oszukała także tubylców. Kapitan Hansen zapalił lont i haczyk wetknął w przepaskę biodrową na plecach jednego z opornych dzikusów, ten zaś zapałał tak gwałtowną tęsknotą do lądu, że nie przyszło mu na myśl zrzucić opaski. Skoczył w kierunku dzioba, a lont syczał i dymił za nim. Czarni ustępowali mu z drogi i jak szaleni skakali przez kolczaste druty do morza. Bertie skamieniał ze zgrozy. Tak samo skamieniał kapitan Hansen. Zapomniał o dwudziestu pięciu rekrutach, którym wypłacił po trzydzieści szylingów zaliczki! Wszyscy wyskoczyli za burtę wraz z osiadłymi na wyspie krajowcami, a ostatni poszedł ich śladem nieszczęśnik udekorowany syczącą flaszką chlorodyny.

Bertie nie widział wybuchu butelki, ale przytomny porucznik rzucił za rufę prawdziwy ładunek dynamitu w chwili, gdy to nie mogło już skrzywdzić nikogo. Wobec tego pan Arkwright z czystym sumieniem przysięgłby przed każdym sądem morskim, iż w jego oczach rozszarpało na sztuki czarnego.

Ucieczka dwudziestu pięciu rekrutów kosztowała “Arię” czterdzieści funtów gotowizną, że zaś tubylcy zbiegli do dżungli, nie było nadziei na ich odzyskanie. Wobec tego szyper i jego pomocnik wzięli się do topienia trosk w zimnej herbacie. Zimna herbata była nalana do butelek po whisky, toteż Bertie nie wiedział, iż piją całkiem nieszkodliwy trunek. Widział za to, że strasznie się upili i słyszał ich długą, pełną kwiecistych wyrażen kłótnię. Spierali się, czemu przypisać śmierć wysadzonego dynamitem dzikusa: czerwonce czy przypadkowemu utopieniu. Kiedy posnęli wreszcie i zaczęli chrapać, Bertie - jedyny biały w pełni władz umysłowych - trwożnie czuwał do rana, bo lękał się napaści z lądu, jak i buntu załogi.

Trzy następne dni “Aria” stał na redzie i przez trzy następne wieczory szyper i porucznik z lubością zapijali zimną berbatę obarczając wachtą gościa. Nie wątpili, że można mu ufać, on zaś był równie pewien, iż jeśli wyżyje, doniesie Kapitanowi Malu o pijatykach. Później kecz zarzucił kotwicę u wybrzeża wyspy Guadalcanar, w pobliżu plantacji Reminge. Bertie stanął na plaży z westchnieniem ulgi i uścisnął dłoń administratora. Pan Harriwell był gotów na jego przyjęcie.

- Proszę się tylko nie przejmować, że moi koledzy mają trochę rzadkie miny - mówił poufnie, odciągawszy go na bok. - Krążą pogłoski o buncie. Muszę przyznać, że zaobserwowałem kilka podejrzanych objawów, ale moim zdaniem, to tylko głupia gadanina.

- Ilu... ilu czarnych jest na... na plantacji? - zapytał Bertie truchlejąc ze strachu.

- W danej chwili zatrudniamy czterystu - odparł beztrąsko administrator - ale we trzech, oczywiście przy pomocy drogiego pana, szypa i porucznika "Arii", doskonale sobie poradzimy.

Bertie odwrócił się, by zawrzeć znajomość z niejakim McTavishem, magazynierem, ten wszakże prawie nie zwrócił na to uwagi, bo z wielkim zapałem prosił o dymisję.

- Słowo daję, panie Harriwell - mówił - nie mogę zostać dłużej, naprawdę nie mogę. Jestem żonaty. Knuje się coś złego. Widać to tak wyraźnie, jak nos na pańskiej twarzy. Będzie bunt czarnych. Powtórzy się masakra z Hohono.

- Co to znaczy "masakra z Hohono"? - zapytał Bertie, kiedy magazynier dał się przekonać, iż powinien wytrwać do końca miesiąca.

- Ach, McTavish mówił o plantacji Hohono na wyspie Ysabel - wyjaśnił administrator. - Dzicy zatłukli tam na łodzi pięciu białych, opanowali szkuner, zamordowali kapitana i porucznika, a później całą zgrają pożeglowali na Malaitę. Od początku twierdziłem, że w Hohono biali byli nieostrożni. Nas nie zaskoczą we śnie. Bardzo

Sfifi proszę, panie Arkwright, niech pan pozwoli dalej i spojrzysz, jaki piękny mamy widok z werandy.

Bertie niewiele widział. Zbyt zajęła go myśl, jak by dostać się do Tulagi, pod dach komisarza.

Jeszcze się nad tym zastanawiał, gdy bardzo blisko, tuż za jego plecami huknął karabinowy wystrzał. W tej samej chwili pan Harriwell wciągnął go do sieni tak gwałtownie, że omal nie zwicznął mu ręki.

- Ach, drogi panie! O włos się panu nie oberwało - mówił administrator obmacując gościa, by sprawdzić, czy nie jest ranny. - Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro. Ale skąd mogło mi przyjść do głowy coś podobnego? W biały dzień!

Bertie pobladł.

- Poprzedniego administratora sprzątnęli w taki właśnie sposób - dorzucił swoje McTavish. -

Cóż to był za sympatyczny facet! Obryzgał mózgiem całą werandę. Zauważył pan chyba ciemna plamę między schodkami a wejściem do domu...

Bertie dojrzał do wypicia cocktailu, który pan Harriwell wymieszał dlań i przyprawił. Nim jednak zdążył umoczyć usta, wszedł do pokoju jegomość w bryczesach i owijaczach.

- Co znowu? - zapytał administrator spojrzawszy na twarz nowo przybyłego. - Rzeka wystąpiła z

brzegów?

- Niech diabli porwą rzekę! Chodzi o czarnych. Jeden wyskoczył z gąszczu trzciny cukrowej i wygarnął do mnie. Był nie dalej niż o dwanaście stóp, ale strzelał z biodra i miał karabin snidera. Jedno chciałbym wiedzieć: gdzie zdobył tego snidera? Ach, bardzo przepraszam.

Miło mi poznać pana, panie Arkwright.

- Pan Brown jest moim pomocnikiem - wyjaśnił administrator. - No, może się nareszcie napijemy!

- Ale skąd czarny miał snidera? - dopytywał Brown. - Zawsze byłem przeciwny magazynowaniu tych pukawek w domu.

- Są przecież na miejscu - powiedział pan Harriwell trochę już zirytowany.

Brown uśmiechnął się z powątpiewaniem.

- Chodźcie ze mną, sprawdzimy - zawołał jego zwierzchnik. Bertie udał się również do kantoru, gdzie pan Harriwell wskazał triumfalnie dużą skrzynię ustawioną w zakurzonej kącie.

- W takim razie, gdzie ten drab zdobył snidera? - powtórzył Brown swój refren.

W tej chwili McTavish uniósł skrzynię. Administrator skoczył i zerwał wieko. Skrzynia była pusta. Spojrzeli na siebie w pełnym grozy milczeniu. Harriwell bezradnie opuścił ręce.

McTavish zaklął.

- Od wieków dowodzę - warknął - że nie wolno ufać służbie domowej.

- Sprawa wygląda poważnie - przyznał administrator. - Ale i tak poradzimy sobie. Tym żadnym krwi łajdakom trzeba dać po nosie. Zechcą panowie przyjść z karabinami do jadalni, a pan, panie Brown, niech przygotuje czterdzieści lub pięćdziesiąt ładunków dynamitu. Lonty mają być dobrze osadzone, krótkie. Damy im nauczkę. A teraz, proszę panów, obiad na stole.

Bertie nie cierpiał ryżu z curry, tak się więc złożyło, że tylko on zaatakował apetyczny omlet.

Sprzątał właśnie resztki z talerza, kiedy Harriwell nałożył sobie porcję omletu. Skosztował pierwszy kęs i zaczął pluć głośno.

- To już drugi raz - oznajmił McTavish złowróźbnym tonem. Harriwell pluł jeszcze i parskał.

- Co... co drugi raz? - wykrztusił Arkwright.

- Trucizna - padła odpowiedź. - Kucharz będzie wisiał.

- W taki sposób skończył buchalter na Cape Marsh - powiedział Brown. - Strasznie się męczył.

Podobno ci na "Jessie" słyszeli jego wrzaski z odległości trzech mil.

- Kucharza okuję w kajdany - syknął administrator. - Chwała Bogu, spostrzeżliśmy się w porę.

Bertie siedział jak skamieniały. Twarz mu poszarzała. Chciał coś powiedzieć, lecz dobywał tylko nieartykułowany bełkot. Wszystkie oczy zwróciły się niespokojnie w jego stronę.

- To niemożliwe! Powiedz pan, że to niemożliwe! - zawołał McTavish zdławionym głosem.

- Tak! Jadłem omlet! Bardzo dużo! Pełny talerz - wybuchnął Bertie nagle, jak nurek, który odzyskał dech.

Na pół minuty zapadła przerażająca cisza. Bertie wyczytał wyrok w oczach towarzyszy.

- Cóż, może omlet nie był jednak zatruty - bąknął posepnie Harriwell.

- Trzeba zawołać kucharza - odezwał się Brown.

Niebawem wszedł do jadalni kucharz - krzywo uśmiechnięty czarny z ćwiekiem tkwiącym w nosie i różnymi ozdobami w podziurawionych uszach.

- Słuchaj, Wiwi, co to takiego? - ryknął Harriwell i wskazał omlet oskarżającym gestem.

Wiwi był oczywiście wystraszony i srodze zakłopotany.

- Kaikai, ona dobra bardzo, bardzo - odpowiedział potulnie.

- Każ mu pan zjeść - zaproponował magazynier. - To niezawodna próba.

Harriwell nabrał pełną łyżkę i rzucił się na Murzyna, ten zaś uciekł w popłochu.

- Sprawa przesądzona - zawyrokował poważnie Brown. - Nie chciał jeść.

- Panie Brown, może pan będzie łaskaw okuć go w kajdany - rozkazał administrator i pogodnie zwrócił się do gościa. - Wszystko w porządku, drogi panie. Już komisarz zajmie się tym ptaszkiem. Łajdak będzie wisiał, jeżeli pan umrze.

- Niech się panu nie zdaje, że nasze władze są znowu tak skore - zaproponował McTavish.

- Ależ, panowie, panowie! - jęknął Bertie. - Pomyślcie na razie o mnie!

Harriwell wzruszył ramionami.

- Bardzo mi przykro, drogi panie, ale to jakaś tubylcza trucizna. Nikt nie zna antidotów na tubylcze trucizny. Niech pan spróbuje się uspokoić, jeżeli zaś...

Ostry huk dwóch wystrzałów przerwał rozmowę. Po chwili wrócił Brown. Naładował karabin i

zasiadł do stołu.

- Kucharz nie żyje - oznajmił. - Malaria. Zupełnie niespodziewany atak.
- Mówiłem właśnie panu Arkwrightowi, że nie ma antidotów na tubylcze trucizny...
- Z wyjątkiem dżinu - dokończył Brown.

Harriwell nazwał się bezmyślnym osłem i skoczył po flaszką dżinu.

- Ostrożnie, przyjacielu, ostrożnie! - ostrzegał gościa, który jednym haustem wypił dwie trzecie szklanki źle oczyszczonej okowity, a teraz dławił się i krztusił, bo piekielny trunek palił mu gardło, aż łzy spływały po twarzy.

Harriwell zmierzył Arkwrightowi tętno i temperaturę, udał, że bada go troskliwie i zaczął powątpiewać, czy omlet był zatruty. Brown i McTavish przytaknęli szefowi, ale Bertie wyczuł

nieszczera nutę w ich głosie. Stracił apetyt i ukradkiem liczył tętno pod osłoną stołu. Nie ulegało wątpliwości, że biło coraz szybciej, lecz Bertie zapomniał przypisać to wypitemu dżinowi. McTavish z winchesterem w ręku wyszedł na werandę, by rozejrzeć się w sytuacji.

- Gromadzą się przed barakiem kuchennym - brzmiał jego meldunek. - Mają bez liku sniderów.

Moim zdaniem trzeba przekraść się na tyły baraku i uderzyć na nich z flanki. Proponuję, panowie, żebyśmy zaatakowali pierwsi. Pójdiesz ze mną, Brown.

Harriwell posilał się z apetytem, a Bertie stwierdził, że puls ma szybszy o pięć uderzeń na minutę. Zerwał się jednak, kiedy gruchnęły strzały. Pośród trzasku sniderów słychać było szybki ogień winchesterów Browna i McTavisha. Kanonadzie akompaniowały piekielne wrzaski i wycia.

- Zmusili ich do ucieczki - powiedział administrator, gdy krzyki i wystrzały zaczęły cichnąć w oddali.

Ledwie Brown i McTavish zdążyli wrócić do stołu, magazynier wyruszył znowu na zwiady.

- Mają dynamit! - zameldował.

- Zaatakujemy ich więc dynamitem! - rzucił Harriwell.

Gospodarze uzbroili się w zapalone cygara i wepchnąwszy w kieszenie po kilka lasek dynamitu, skoczyli do drzwi. Wówczas zdarzyło się nieszczęście. Koledzy winili za nie później McTavisha, a on sam przyznawał, iż szturm był może nieco zbyt zaciekły. W każdym razie pierwszy ładunek eksplodował pod domem, który uniósł się jednym narożnikiem i osiadł z powrotem na podmurówce. Połowa porcelany spadła ze stołu, a nakręcany raz na tydzień zegar stanął. Rycząc mściwie trzej bohaterowie zniknęli w ciemnościach nocy. Zaczęło się bombardowanie.

Kiedy wrócili, nie zastali gościa w jadalni. Biedak zawlókł się do kantoru, zabarykadował drzwi i

runął na podłogę. Dręczyły go skapane w dżinie kosmary. Tysiące razy umierał okropną śmiercią, a wokół staczano bohaterskie walki. Rano wypełznął na werandę. Było mu niedobrze po dżinie i cierpiał na ból głowy, przekonał się jednak, że słońce nie zgasło i Bóg jest prawdopodobnie w niebie, ponieważ gospodarze żyli i nawet nie odnieśli ran.

Harriwell nalegał, by Bertie pozostał nieco dłużej, lecz ten postanowił niezwłocznie wracać

“Arią” do Tulagi, gdzie trzymał się blisko komisarskiej rezydencji aż do dnia odejścia najbliższego parowca. Na tym statku były również turystki. Bertie znów uchodził za bohatera, a na Kapitana Malu - jak zwykle - damy nie zwracały uwagi. Ale Kapitan Malu wyekspediował

z Sydney dwie skrzynki szkockiej whisky, najlepszej, jaką dysponował tamtejszy rynek. Nie był w stanie osądzić, kto efektowniej zaprezentował młodemu Arkwrightowi życie na straszliwym archipelagu - kapitan Hansen czy pan Harriwell.

Przełożył Tadeusz Jan Dehnel

Poganin

Zetknąłem się z nim po raz pierwszy podczas burzy. Chociaż jednak przeżyliśmy ją na tym samym szkunerze, dostrzegłem go dopiero wtedy, gdy statek rozleciał się pod nami w kawałki.

Musiałem niewątpliwie widywać go i przedtem wraz z pozostałymi członkami tubylczej załogi, lecz nie zdawałem sobie sprawy z jego istnienia, gdyż “Petite Jeanne” była wyraźnie przeładowana. Oprócz ośmiu czy dziesięciu marynarzytubylców, białego kapitana, jego zastępcy i supercargo oraz sześciu pasażerów kabinowych zabrała, wypływając z Rangiroa, bodaj osiemdziesięciu pięciu pasażerów pokładowych, krajowców z Paumotów i Tahiti -

mężczyzn, kobiet i dzieci, obładowanych pudłami z towarem, nie mówiąc już o matach do spania, kocach i tobołkach z odzieżą.

Właśnie minął sezon połowu pereł na Paumotach i wszyscy wracali na Tahiti. W kabinach było nas sześciu handlarzy pereł: dwóch Amerykanów, Ah-Czun (najbielszy ze znanych mi Chińczyków), jeden Niemiec, jeden polski Żyd i wreszcie ja.

Sezon udał się doskonale. Powodu do narzekań nie miał ani żaden z nas, ani też nikt spośród osiemdziesięciu pięciu pasażerów pokładowych. Wszystkim się poszczęściło, toteż z utęsknieniem oczekiwaliśmy odpoczynku i rozrywek w Papeete.

“Petite Jeanne” była niewątpliwie przeciążona. Miała tylko siedemdziesiąt ton pojemności i nie powinna była dźwigać na pokładzie ani dziesiątej części tego tłumu. Wnętrze miała wypełnione po brzegi muszlami perłowymi i koprą. Nawet kantorek zapchany był muszlami.

Zakrawało na cud, że w tych warunkach marynarze mogli obsługiwać statek. Nie sposób było poruszać się po pokładzie. Musieli po prostu przełazić na dziób i na rufę po burtach.

W nocy stąpali po śpiących, którzy - przysiągłbym - zalegali podłogę podwójną warstwą. A na dobitkę były tam świnię i kury, i worki korzeni yamu. Wszelkie możliwe miejsca obwieszono sznurami orzechów kokosowych i pękami bananów. Po obu bokach, między olinowaniem przedniego i głównego masztu, przeciągnięto liny na takiej wysokości, iż ledwie można było manewrować przednim bomem. Z każdej z nich zwisało co najmniej pięćdziesiąt pęków bananów.

Wszystko zapowiadało ciężką przeprawę, nawet gdyby udało nam się odbyć ją w ciągu dwóch, trzech dni, co było możliwe przy silnym wietrze południowo-wschodnim. Ale pasat nie chciał dać. Po pierwszych pięciu godzinach skończył ostatecznie na kilkunastu urywanych podmuchach. Przez całą noc i następny dzień trwała cisza, ta oślepiająca, szklista cisza, podczas której sama myśl o otwarciu oczu wystarcza, by wywołać ból głowy.

Na drugi dzień zmarł krajowiec z Wyspy Wielkanocnej, który wyróżnił się na lagunie jako doskonały nurek. Była to ospa, choć doprawdy nie mogę pojąć, skąd mogła się dostać na pokład, skoro na lądzie przed opuszczeniem Rangiroa nie słyszeliśmy o żadnym wypadku tej choroby. Niemniej fakt pozostawał faktem - ospa, jeden zgon i trzech dalszych ludzi powalonych chorobą.

Nie było żadnej rady. Nie mogliśmy ani odizolować chorych, ani zaopiekować się nimi. Byliśmy stłoczeni jak śledzie w beczce. Nie pozostawało nic innego, tylko zarazić się i umrzeć. Ściśle biorąc, nie pozostawało nic innego od nocy, która nastąpiła po pierwszym śmiertelnym wypadku. Tej nocy zastępca kapitana, supercargo i Żyd z Polski wymknęli się wraz z czterema nurkami krajowcami na dużym welbocie. Od tej pory słuch o nich zaginął. Następnego ranka kapitan czym prędzej przedziurawił pozostałe łodzie - i na tym się skończyło.

Tego dnia nastąpiły dwa zgony, nazajutrz trzy, potem zaś liczba ich podskoczyła do ośmiu.

Ciekawa była nasza reakcja. Krajowcy na przykład pograżali się w niemym, tępym przerażeniu. Kapitan, Francuz nazwiskiem Oudouse, stał się nerwowy i gadatliwy. Dostał

nawet tiku. Był to wielki, otyły mężczyzna, najmniej dwieście funtów żywej wagi, który wkrótce przypominał trzęsącą się jak galareta górę tłuszczu.

Niemiec, obaj Amerykanie i ja zakupiliśmy cały zapas szkockiej whisky i pograżyliśmy się w pijaństwie. Wymyśliliśmy piękną teorię, że jeśli przesiąkniemy alkoholem, każdy zarazek ospy, ledwie nas dotknie, spali się na popiół. Teoria ta znalazła zresztą potwierdzenie w faktach, choć muszę przyznać, że choroba nie tknęła również kapitana Oudouse i Ah-Czuna. Francuz nie pił wcale, a Ah-Czun ograniczał się do jednej szklanki dziennie.

Pogoda była piękna. Słońce, wstępujące właśnie w odchylenie północne, świeciło wprost nad naszymi głowami. Nie było wiatru, z wyjątkiem częstych szkwałów, które dęły wściekle przez pięć minut do pół godziny, a na koniec zatapiały nas w potokach ulewy. Po każdym takim szkwałe straszliwe słońce ukazywało się znowu, wydobywając kłęby pary z zalanych pokładów.

Para ta nie była przyjemna. Był to opar śmierci przesycony niezliczonymi milionami zarazków.

Sięgaliśmy po whisky, ilekroć opar ten poczynał się wznosić znad trupów i umierających -

zazwyczaj powtarzaliśmy tę czynność jeszcze parokrotnie, stosując szczególnie mocną mieszankę. Z reguły też wypijaliśmy po kilka dodatkowych porcji za każdym razem, gdy wyrzucano przez burzę nieboszczyków na pastwę rojącym się wokół statku rekinom.

Przeżyliśmy w ten sposób tydzień, aż wreszcie wyczerpał się zapas whisky. I dobrze się stało, gdyż w przeciwnym razie nie byłoby mnie dziś na tym świecie. Należało być zupełnie trzeźwym, by przetrzymać to, co nastąpiło potem - z czym zgodzi się chyba każdy, gdy wspomnę nawiasem, że tylko dwóm ludziom to się udało. Drugim był właśnie poganin -

przynajmniej takie miano nadał mu kapitan Oudouse w chwili, gdy po raz pierwszy zdał sobie sprawę z jego istnienia. Nie uprzedzajmy jednak wypadków.

Pod koniec tygodnia, gdy całe grono handlarzy pereł było z braku alkoholu trzeźwe, przypadkowo rzuciłem okiem na barometr wiszący u zejścia do kabin. Przeciętny wskaźnik w okolicy Paumotów wynosił 29.90, podlegając normalnym wahaniom w granicach od 29.85 do 30.00, a nawet do 30.05. Teraz jednak ujrzałem, że barometr spadł na 29.62, a to wystarczało, by otrzeźwić najbardziej pijanego handlarza pereł, jaki kiedykolwiek zajmował się spalaniem zarazków ospy w szkockiej whisky.

Gdy zwróciłem na to uwagę kapitanowi Oudouse, dowiedziałem się, że już od kilku godzin obserwował spadek ciśnienia. Niewiele można było zrobić, ale tę odrobinę wykorzystał

doskonale, jeśli zważyć okoliczności, w jakich się znajdowaliśmy. Ściągnął lekkie płótna, pozostawiając tylko żagiel sztormowy, rozpostarł liny ratunkowe i czekał na wiatr. Omyłka jego polegała na tym, co zrobił już po nadejściu wiatru. Stał w dryf na lewym halsie, co byłoby właściwym manewrem na południe od równika, gdybyśmy - w tym tkwiło sedno rzeczy - nie znajdowali się na samym szlaku huraganu.

A właśnie znajdowaliśmy się na samym jego szlaku. Mogłem to poznać po stałym wzmaganiu się wiatru i równie stałym opadaniu barometru. Chciałem, by kapitan obrócił statek i popłynął

lewym bajdewindem do czasu, gdy barometr zatrzyma się, a potem stanął w dryf.

Sprzeczałem się tak długo, aż dostał napadu hysterii, lecz nie ustąpił. Najgorsze było, że nie mogłem zyskać poparcia ze strony reszty handlarzy pereł; kimże bowiem byłem ja, abym mógł

znać się na morzu i żegludze lepiej od wykwalifikowanego kapitana - tak musieli sobie myśleć.

Oczywiście w miarę wzmagania się wiatru fala rosła straszliwie. Nigdy nie zapomnę trzech pierwszych fal, które wdarły się na pokład. "Petite Jeanne" odpadła, jak często zdarza się statkom w dryfie, i pierwsza fala bez trudu zalała pokład. Z lin ratunkowych mogli korzystać tylko silni i zdrowi, lecz nie na wiele im też się zdały, kiedy kobiety i dzieci, banany i orzechy kokosowe, świnię i pudła z towarem, chorzy i dogorywający zostali zmiecieni wzdłuż pokładu w rozwrzeszczanej i jęczącej, zwartej masie.

Druga fala zalała pokład aż do poręczy. Że zaś rufa szkunera opadła, a dziób wzniosł się ku niebu,

cały ten nieszczęsny kłęb ludzi i bagażu potoczył się do tyłu. Był to żywy potok. Lecieli głową naprzód, nogami naprzód, bokiem, koziółkując, skręcając się, tarzając, wijąc i gniotąc wzajemnie. Od czasu do czasu ten i ów chwycił się na chwilę jakiegoś słupka lub liny, lecz ciężar napierających ciał wnet go odrywał.

Zauważyłem człowieka, który głową i klatką piersiową zderzył się ze słupem służącym do umocowywania lin po prawej stronie pokładu. Czaszka rozprysła się jak skorupa jaja. Widząc, na co się zanosi, wskoczyłem na dach kabiny, a stamtąd wprost na główny maszt. Ah-Czun i jeden z Amerykanów chcieli pójść moim śladem, lecz wyprzedziłem ich o jeden skok.

Amerykanin został zmieciony za rufę jak słomka. Ah-Czun chwycił się rączki koła sterowego i przypadł do niego, lecz jakaś zwalista vahine (kobieta) z Raratonga - musiała ważyć ze dwieście pięćdziesiąt funtów - uczepiła się go, zarzucając mu ramię wokół szyi. Złapał wtedy drugą ręką wyspiarza-sternika, w tej chwili jednak szkuner przechylił się silnie na prawy bok.

Potok ciał i wody, rwący wzdłuż lewego chodnika między kabiną a poręczą, zmienił nagle kierunek i skręcił w prawo. Wylecieli wszyscy - vahine, Ah-Czun i sternik. Dałbym głowę, że wypadając za burtę Chińczyk przesłał mi uśmiech pełen filozoficznej rezygnacji.

Trzecia fala - najpotężniejsza ze wszystkich - nie wyrządziła już tak wielkich szkód. Kiedy wtargnęła na statek, prawie wszyscy byli już na linach masztowych. Na pokładzie pozostało z tuzin dyszących, na pół zatopionych i na pół ogłuszonych nieszczęśników, toczących się na wszystkie strony lub usiłujących doczołgać się w bezpieczne miejsce. Fala zniosła ich z pokładu wraz z wrakami dwu ostatnich szalup. Mnie i pozostałym handlarzom pereł udało się w przerwie między dwiema falami sprowadzić kilkanaście kobiet i dzieci do kabin i zatrzasać za nimi pokrywę. Niewiele im to zresztą pomogło.

A wiatr? Na podstawie całego dotychczasowego doświadczenia nigdy bym nie uwierzył, że wiatr może dać tak silnie. Niepodobna tego opisać. Czy można opisać koszmar? A wiatr był

właśnie potworną zmorą. Zrywał nam odzież z ciała, dosłownie - zrywał. Nie żądam, byście mi uwierzyli. Po prostu opowiadam, co widziałem i odczuwałem. Chwilami sam w to nie wierzę.

Przeżyłem to i dość na tym. Nie można stawić czoła takiej wichurze i ujść z życiem. Było to potworne, a najpotworniejszy ze wszystkiego był fakt, że wiatr wzmagał się bez ustanku.

Wyobraźcie sobie niezliczone miliony czy miliardy ton piasku. Wyobraźcie sobie, że cały ten piasek pędzi naprzód z szybkością dziewięćdziesięciu, stu, stu dwudziestu mil na godzinę lub jeszcze prędzej. Wyobraźcie sobie dalej, że piasek ten - choć niedostrzegalny i niedotykalny -

zachowuje cały ciężar i zwartość właściwe piaskowi. Gdy wam się to uda, może zyskacie słabe pojęcie o istocie owego wichru.

Zresztą porównanie z piaskiem nie jest najlepsze. Pomyślcie raczej o błocie -

niedostrzegalnym, niedotykalnym, a mimo to ciężkim. Ale i to nie wystarcza. Pomyślcie, że każda

cząsteczka powietrza zamieniła się w grudę błota. A teraz wyobraźcie sobie uderzenia mnóstwa tych grad. Nie - to przekracza moje możliwości. Mowa ludzka może wyrazić zwykłe warunki życia, ale nigdy nie zdoła oddać obrazu tej niesamowitej zawieruchy. Trzeba mi było trzymać się pierwotnego zamiaru i nie podejmować próby opisu.

Powiem tylko tyle: fala, która najpierw się wzniosła, teraz została zmiażdżona przez wiatr. Co więcej, wydawało się, że paszcza huraganu wessała cały ocean, porywając go w tę część przestrzeni, którą przedtem zajmowało powietrze.

Nasze żagle oczywiście dawno przepadły. Lecz kapitan Oudouse posiadał na "Petite Jeanne" coś, czego nigdy przedtem nie widziałem na szkunerze Mórz Południowych - dryf kotew. Był to stożkowaty worek płócienny, którego wlot, stale otwarty, utrzymywała w tym stanie olbrzymia żelazna obręcz. Kotew utrzymywała się w wodzie na podobieństwo latawca, dzięki czemu pruła wodę tak, jak latawiec pruje powietrze, z pewną wszakże różnicą. Pozostawała ona bowiem tuż pod powierzchnią oceanu w położeniu pionowym. Długa lina łączyła ją z kolei ze szkunerem. Dzięki temu urządzeniu "Petite Jeanne" ustawiona była dziobem do wiatru i do fali, jaka jeszcze pozostała.

Położenie nasze byłoby zupełnie korzystne, gdyby nie to, że znajdowaliśmy się na samym szlaku huraganu. Wprawdzie wiatr wyrwał żagle z rabant, zmiotł stengi i poplątał całe olinowanie, lecz mimo to bylibyśmy wyszli z przygody obronną ręką, gdyby oko huraganu nie zbliżało się wprost ku nam. To nas zgubiło. Długotrwały napór wichru wprowadził mnie w stan zupełnego oszołomienia. Byłem sztywny i jak gdyby sparaliżowany i wydaje mi się, że miałem właśnie dać za wygraną i zginąć, gdy uderzyło w nas ognisko burzy. Ciosem tym była absolutna martwota. Powietrza nie mącił nawet najłżejszy powiew. Wrażenie było niemal bolesne.

Nie zapominajcie, że przez wiele godzin pozostawaliśmy w stanie straszliwego napięcia mięśni, przeciwstawiając się potwornemu naciskowi wiatru. Teraz napór ten ustał

niespodziewanie. Czuję się wtedy, jak gdybym cały nabrzmiewał i miał się lada chwila rozlecieć na wszystkie strony. Zdawało się, że każdy atom mego ciała odpycha wszystkie pozostałe jego atomy i za chwilę pomknie w przestworza. Trwało to jednak tylko chwilę. Szła już ku nam zagłada.

Pod nieobecność wiatru i ciśnienia wzburzyło się morze. Skakało, wrywało się, wznosiło wprost ku chmurom. Zważcie, że ten niepojęty wiatr dał ze wszystkich kierunków w stronę ośrodka ciszy. W rezultacie zewsząd napływały fale. Nie było wiatru, który by stawiał im opór.

Strzelały w górę jak szpunty wybijane z dna beczki pełnej wody, bez ładu i składu. Były to wielkie, oszalałe fale. Miały co najmniej osiemdziesiąt stóp wysokości. Nie były w ogóle falami.

Nie przypominały żadnych fal, jakie kiedykolwiek widziało oko ludzkie.

Były po prostu bryzgami, potwornymi bryzgami osiemdziesięciu stóp wysokości.

Osiemdziesięciu? Z pewnością były wyższe. Przeskakiwały ponad szczytami masztów.

Wyglądały jak fontanny, jak wybuchy. Były pijane. Padały byle gdzie i byle jak. Roztrącały się

wzajemnie i zmagaly ze soba. Zwieraly sie i walily jedna na druga, by potem nagle rozpaść sie na tysiące wodospadów. Nie można było tego ośrodka burzy porównać z żadnym obrazem oceanu, jaki powstał w wyobraźni ludzkiej. Był to zamęt po trzykroć zmaconych żywiołów, ostateczna anarchia. Była to piekielna czeluść obłąkanego morskiego żywiołu.

Co się stało z “Petite Jeanne”? Nie umiem powiedzieć, poganin wyznał mi później, że i on nie wiedział. Została dosłownie rozdarta na pół, potargana, zdruzgotana na miazgę, potrzaskana w drzazgi, unicestwiona. Kiedy odzyskałem przytomność, znajdowałem się w wodzie, płynąc odruchowo - choć bliski zatonięcia. Nie zdawałem sobie sprawy, jak się tam dostałem.

Pamiętam tylko, że “Petite Jeanne” rozleciała się na kawałki, prawdopodobnie w chwili gdy wskutek uderzenia straciłem przytomność. Byłem teraz w wodzie i nie pozostawało mi nic innego, jak robić co się da, choć niewiele było do zrobienia. Wiatr dał znowu, a fala znacznie niższa i bardziej regularna wskazywała, że ośrodek burzy został już poza mną. Na szczęście nie było w pobliżu rekinów. Widocznie huragan rozproszył żarłoczną zgraję, która otaczała ginący statek i żywiła się trupami.

Było koło południa, gdy “Petite Jeanne” przestała istnieć, a w jakieś dwie godziny później fale zniosły ku mnie jedną z pokryw łukowych. Padał rześisty deszcz i jedynie wyjątkowo pomyślnemu zbiegowi okoliczności zawdzięczać mogłem to spotkanie. Krótka linka zwieszała się z uchwytu klapy. Dzięki temu mogłem przetrwać co najmniej jeden dzień, jeżeli nie powrócą żarłacze. Po upływie trzech godzin, a może nawet nieco później, gdy leżałem przywarty do klapy i z zamkniętymi oczyma usiłowałem skupić uwagę, by wdychać niezbędną do utrzymania się przy życiu ilość powietrza, a jednocześnie nie wchłaniać nadmiaru wody, co groziło zatopieniem, usłyszałem jakieś głosy. Deszcz ustał, a wiatr i morze przedziwnie szybko się uspokajały. W odległości najwyżej dwudziestu stóp, na drugiej takiej jak moja pokrywie dostrzegłem kapitana Oudouse i poganina. Walczyli o pokrywę, a w każdym razie walczył

Francuz.

- Paien noir! [- czarny poganinie!] - usłyszałem jego okrzyk, a jednocześnie ujrzałem, jak kopnął kanaka.

Kapitan utracił całe ubranie, z wyjątkiem ciężkich butów. Toteż cios okazał się dotkliwy, zwłaszcza iż trafił poganina w usta i podbródek i na pół go ogłuszył. Spodziewałem się, że wyspiarz odpłaci mu należycie, lecz on płynął tylko bezradnie, w bezpiecznej odległości dziesięciu stóp od napastnika. Ilekroć fala znosiła go w pobliże klapy, Francuz, nie puszczejąc jej z rąk, kopał go obu nogami. Za każdym razem obdarzał przy tym kanaka mianem czarnego poganina.

- Żebyś cię tylko mógł dostać, z przyjemnością utopiłbym cię, ty biały bydlaku! - wrzasnąłem.

Przyczyną, dla której tego nie zrobiłem, było wyczerpanie. Sama myśl o wysiłku, jakiego by to wymagało, przyprawiała mnie o mdłości. Przywołałem więc wyspiarza do siebie i odstąpiłem mu część klapy. Oświadczył, że nazywa się Otoo i pochodzi z Bora Bora, najbardziej na zachód wysuniętej spośród Wysp Towarzyskich. Jak się dowiedziałem później, pierwszy zdobył ową klapę, a dopiero po pewnym czasie spotkał kapitana Oudouse i zaofiarował mu na niej miejsce, w nagrodę

za co został przepędzony kopniakami.

W ten sposób zetknąłem się z Otoo. Nie był zawadiaką. Był istotą czułą, pełną słodyczy i delikatności, choć mierzył blisko sześć stóp i miał mięśnie gladiatora. Nie był zawadiaką, ale nie był też tchórzem. Miał serce lwa i nieraz później widziałem, jak narażał się na niebezpieczeństwa, którym nigdy nie ośmieliłbym się stawić czoła. Chcę tu podkreślić, że choć nie palił się do burd i starał się ich nie wywoływać - nigdy nie uchodził z pola walki, gdy awantura już się zaczęła. Ale gdy Otoo wkraczał na widownię, wszyscy musieli się mieć na baczności jak żeglarze na komendę: Strzeż się mielizny! Nigdy nie zapomnę nauczki, którą dostał od niego Bill King. Zdarzyło się to na niemieckim Samoa. Bill King został obwołany mistrzem Marynarki Amerykańskiej w wadze ciężkiej. Był to wielki kawał draba, istny goryl, jeden z tych pięściarzy, co to z ciężkim i pewnym uderzeniem łączą zwinność ramion. Wszczął

sprzeczkę z Otoo i zdążył kopnąć go dwukrotnie i raz zdzielić pięścią, nim Otoo uznał za konieczne stanąć do walki. Cała sprawa nie trwała nawet czterech minut, po upływie których nieszczęsny Bill King znalazł się w posiadaniu czterech pękniętych żeber, złamanego przedramienia i wybitej łopatki. Otoo nie miał pojęcia o naukowych zasadach boksu. Był po prostu zapaśnikiem z urodzenia, Bill King stracił więc prawie trzy miesiące na wylizanie się po zapasach, jakie stoczył owego popołudnia na plaży w Apia.

Znów jednak wybiegłem naprzód. Korzystaliśmy więc wspólnie z pokrywy luku. Zmienialiśmy się kolejno, przy czym jeden z nas leżał na pokrywie i odpoczywał, drugi zaś, zanurzony po kark, trzymał się jej oburącz. Przez dwie doby, na przemian to na klapie, to w wodzie, płynęliśmy po oceanie. Pod koniec byłem już przeważnie nieprzytomny, chwilami zaś słyszałem, jak Otoo bełkotał i majaczył w swym ojczystym narzeczu. Okoliczność, że byliśmy stale zanurzeni, ustrzegła nas przed śmiercią z pragnienia, choć woda morska i słońce wprawiły nas w przedziwny stan, pośredni między zamarynowaniem a porażeniem słonecznym.

W końcu Otoo uratował mi życie. Kiedy bowiem odzyskałem przytomność, leżałem na piasku w odległości dwudziestu stóp od morza, osłonięty przed blaskiem słońca kilkoma liśćmi palmy kokosowej. Tylko Otoo mógł mnie tam zaciągnąć i wetknąć liście w piach. Leżał teraz koło mnie. Straciłem powtórnie świadomość, a gdy znów przyszedłem do siebie, otaczała nas chłodna, gwiazdzista noc, Otoo zaś przyciskał do mych warg rozłupany orzech kokosowy.

Byliśmy jedynymi ocalałymi rozbitkami z "Petite Jeanne". Kapitan Oudouse musiał ulec wyczerpaniu, gdyż po kilku dniach fale wyniosły na brzeg klapę, której się trzymał, ale pustą.

Spędziliśmy z Otoo tydzień wśród krajowców na atolu, po czym zostaliśmy zabrani na pokład francuskiego krążownika, który przywiózł nas na Tahiti. Nim jednak to się stało, zdążyliśmy zamienić się imionami. Na Morzach Południowych obrządek ten wiąże z sobą mężczyzn ściślej niż braterstwo krwi. Inicjatywa wyszła ode mnie, Otoo zaś przyjął ją z oznakami najwyższej radości.

- To dobrze - rzekł w narzeczu tahitiańskim - albowiem przez dwa dni śmierć miała oba nasze imiona na ustach.

- Zająknęła się widocznie - zauważyłem z uśmiechem.

- Dokonałeś dzielnego czynu, panie - odrzekł - toteż śmierć nie była na tyle podła, by przemówić.

- Dlaczego nazywasz mnie panem? - zapytałem urażony. - Przecież zamieniliśmy się imionami. Jestem dla ciebie Otoo, a ty dla mnie Charley, i nigdy już to się nie zmieni. Tak chce obyczaj. A nawet gdy umrzemy, jeśli dane nam będzie rozpocząć nowe życie gdzieś poza gwiazdami i sklepieniem niebios, ty nadal będziesz dla mnie Charley, a ja dla ciebie Otoo.

- Tak, panie - odpowiedział z oczami rozpromienionymi i pełnymi czulej radości.

- I znów to samo! - krzyknąłem oburzony.

- Czyż to, co wypływa z mych ust, ma jakieś znaczenie? - bronił się. - Przecież to tylko usta. A w myślach zawsze będę cię zwał Otoo. Ilekroć pomyślę o sobie, będę myślał o tobie. Kiedy ludzie zawołają mnie po imieniu, zawołają ciebie, a ponad niebem i poza gwiazdami nie przestaniesz zwać się dla mnie Otoo. Czy teraz dobrze, panie?

Skryłem śmiech i powiedziałem, że już dobrze.

Rozstaliśmy się w Papeete. Ja pozostałem tam, by wrócić do sił, on zaś udał się kutrem na swą rodzinną wyspę Bora Bora. Po sześciu tygodniach wrócił.

Zdziwiłem się, ponieważ opowiadał mi o żonie i mówił, że zamierza powrócić do niej i zaprzestać morskich podróży.

- Dokąd się wybierasz, panie? - zapytał po pierwszych pozdrowieniach.

Wzruszyłem ramionami. Odpowiedź na to pytanie nie była łatwa.

- W szeroki świat - odparłem. - W świat, na wszystkie morza i wszystkie wyspy na morzach.

- Pójdę z tobą - powiedział po prostu. - Żona moja nie żyje.

Nie miałem nigdy brata, ale sądząc po braciach innych ludzi, wątpię, czy ktokolwiek miał kiedy brata tak bliskiego, jak dla mnie Otoo. Był mi bratem, lecz równocześnie ojcem i matką. I jeszcze jedno wiem dobrze: dzięki niemu stałem się rzetelniejszym i lepszym człowiekiem.

Mało mi zależało na innych, ale w oczach Otoo musiałem żyć uczciwie. Przez wzgląd na niego nie śmiałem się splamić. Widział we mnie ideał, choć obawiam się, że stworzony z własnej czci i miłości. Bywały chwile, kiedy stałem już na samym progu otchłani piekielnej i byłbym się w nią stoczył, gdyby nie myśl o Otoo. Jego duma ze mnie przenikała stopniowo moją istotę, tak że wreszcie jedną z głównych zasad mego postępowania stała się troska, by tej jego dumy nie umniejszyć.

Nie od razu oczywiście zdałem sobie sprawę z uczuć, jakie żywił dla mnie. Nie sądził mnie nigdy, nie krytykował - dopiero z czasem domyśliłem się, na jakie wyżyny zostałem przezeń wyniesiony, i począłem rozumieć, jak wielki ból mogłem mu zadać, gdybym nie dorastał do przypisywanej mi miary.

Przez siedemnaście lat stale byliśmy razem. Przez cały ten czas stał u mego boku, czuwając, kiedy spałem, pielęgnując mnie w chorobie, opatrując moje rany, a nawet otrzymując je w mej obronie. Zaciągał się na te same co i ja statki i pospołu przemierzyliśmy Ocean Spokojny od Hawaj po przylądek Sydney i od cieśniny Torres do wyspy Galapagos. Przewędrowaliśmy szmat świata od Nowych Hebrydów i Wysp Liniowych na zachód, poprzez Luizjady, Nową Brytanię, Nową Irlandię i Nowy Hanower. Trzykrotnie rozbiliśmy się - przy Archipelagu Gilberta, pośród wysp Santa Gruz i w okolicy Fidzi. A handlowaliśmy i zarabialiśmy wszędzie, gdzie tylko dostrzeżliśmy możliwość zysku w perłach, muszlach perłowych, koprze, mięczakach jadalnych, szylkrecie lub wyławianiu wraków.

Zaczął się to w Papeete, kiedy Otoo oświadczył, że zamierza towarzyszyć mi przez wszystkie morza i wyspy na morzach.

W owym czasie w Papeete istniał klub, gdzie zbierali się handlarze pereł, kupcy, kapitanowie i kwiat opryszków z całego obszaru Mórz Południowych. Grało się tam wysoko, a piło tego.

Niestety wracałem stamtąd o późniejszej porze, niżby wymagała przyzwoitość i dobre obyczaje. Bez względu na to jednak, o której godzinie opuszczałem klub, Otoo zawsze czekał, by mnie odprowadzić do domu.

Z początku uśmiechałem się tylko; potem zacząłem go łąjać. Wreszcie oświadczyłem prosto z mostu, że nie potrzebuję niańki, i przez jakiś czas nie widywałem go, gdy wychodziłem z klubu. Zupełnie przypadkowo, mniej więcej po tygodniu, odkryłem, iż odprowadzał mnie nadal, przemykając się chyłkiem w cieniu mangrowców po drugiej stronie ulicy. Cóż mogłem poradzić? Pamiętam jednak, co zrobiłem.

Nie zdając sobie z tego sprawy, począłem coraz wcześniej wracać do domu. W nocie dżdżyste i burzliwe, gdy szaleństwo i zabawa kwitły w najlepsze, prześladowała mnie uporczywie myśl, że Otoo odbywa swą ponurą wartę pod ociekającymi wodą mangrowcami. Doprawdy, pod jego wpływem stałem się lepszym człowiekiem. Ale nie miał w sobie nic ze świętoszka. Nie znał też wcale zasad chrześcijańskiej moralności. Wszyscy tubylcy z Bora Bora byli chrześcijanami, on jednak pozostał poganinem, jedynym niewierzącym na wyspie, bezwzględny materialistą, przekonany, że po śmierci przestanie żyć. Wierzył wyłącznie w uczciwą grę i prawość postępowania. Drobne podłostki były w jego mniemaniu niemal równie godne potępienia, jak bezmyślne zabójstwo. Sądzę nawet, że wyżej cenił mordercę niż małego krętacza.

Co się tyczy mnie, sprzeciwiał się wszystkiemu, co mogło mi zaszkodzić. Hazardowi nie miał nic do zarzucenia. Sam zresztą uprawiał go z zapałem. Ale wysiadywanie w spelunkach późną nocą, jak mi tłumaczył, zagrażało zdrowiu. Bywał świadkiem, że ludzie, którzy nie dbali o siebie, umierali na febrę. Nie był abstynentem i chętnie pokrzepiał się czymś mocnym, ilekroć wypadło mu moknąć w czasie pracy na łodzi. Ale był zwolennikiem umiarkowanego używania trunków. Widział wiele ludzi, których pociąg do kieliszka przyprawił o zgon lub hańbę.

Dobro moje zawsze leżało mu na sercu. Już z góry myślał za mnie, rozważał moje zamierzenia i przejmował się nimi bardziej niż ja sam. Z początku, kiedy nie wiedziałem jeszcze, jak dalece obchodzą go moje sprawy, musiał odgadywać me zamiary, jak na przykład w Papeete, gdzie omal nie

zawiązałem spółki z dość podejrzanym rodakiem, który chciał

wciągnąć mnie do jakichś interesów z guanem. Nie wiedziałem, że był łajdakiem, i nie wiedział

o tym nikt z białych w Papeete. Otoo również nie był wtajemniczony w jego sprawy, lecz widząc, co się święci, dokonał wywiadu na własną rękę. Wielu żeglarzy-krajowców ze wszystkich krańców mórz objija się po wybrzeżu Tahiti, Otoo więc, tylko pełen podejrzeń, gadał

z nimi dopóty, aż zebrał dostateczny materiał obciążający. Historia Randolfa Watersa była zaiste bogata. Nie dawałem wiary, gdy Otoo mi ją opowiedział, ale kiedy wygarnąłem wszystko Watersowi, zamilkł od razu, po czym spakował manatki i ulotnił się na pierwszym parowcu zdążającym do Auckland.

Muszę przyznać, że z początku czułem do Otoo pewną urazę za wścibianie nosa w moje sprawy. Wiedziałem jednak, że powoduje nim całkowita bezinteresowność, wkrótce zaś zmuszony byłem uznać jego rozsądek i ostrożność. Miał zawsze oczy otwarte na wszystko, co mogło przynieść mi zysk, a okazywał przy tym przenikliwość i dalekowzroczność. Po pewnym czasie został mym doradcą i doszło do tego, że lepiej ode mnie orientował się w moich interesach. Niewątpliwie dbał o moją korzyść więcej niż ja sam. Odznaczałem się wtedy szeroką beztróską młodości i przekładałem romantyzm życia nad dolary, a przygodę - nad wygodną kwaterę. Dobrze się więc stało, że znalazłem kogoś, kto by się o mnie troszczył.

Zdaję sobie teraz sprawę, że gdyby nie Otoo, nie byłbym dożył chwili obecnej.

Spośród wielu przeżyć opowiem jedno dla przykładu. Miałem już pewne doświadczenie w werbowaniu krajowców, nim zająłem się połowem pereł na Paumotach. Przebywaliśmy wraz z Otoo na piaszczystym wybrzeżu Samoa, bez grosza przy duszy, gdy trafiła mi się praca na brygu werbowniczym. Otoo zaciągnął się na ten bryg jako zwykły marynarz i przez następne sześć lat, na tyłuż co najmniej statkach, tłukliśmy się razem po najdziwniejszych zakątkach Melanezji. Otoo pilnował, by zawsze być szlakowym wioślarem w mej łodzi. W poszukiwaniu rąk roboczych mieliśmy zwyczaj wysadzać werbownika na brzeg. Łódź

ochronna spoczywała na wiosłach w odległości paruset stóp od lądu, podczas gdy łódź

werbownicza, również gotowa do drogi, czuwała przy samym brzegu. Kiedy udawałem się z towarami na ląd, opuszczając me zwykłe miejsce u steru, Otoo natychmiast przesiadał się ze szlaku na rufę, gdzie w fałdach płótna leżał w pogotowiu winchester. Załoga łodzi była uzbrojona w snidery, ukryte pod płócienną zasłonką zwieszającą się z krawędzi. Kiedy biedziłem się z kędzierzawymi ludożercami, namawiałem ich i zachęcałem do podjęcia pracy na plantacjach Queenslandu, Otoo czuwał. Niejednokrotnie z cicha rzucał mi ostrzeżenie, skoro dostrzegł jakiś podejrzaną ruch lub czającą się zdradę. Kiedy indziej szybki strzał, którym powalał tubylca, był dla mnie pierwszym znakiem ostrzegawczym. Gdy zaś umykałem ku morzu, zawsze czekał z wyciągniętą dłonią, by ułatwić mi skok do łodzi.

Pamiętam, że pewnego razu, gdyśmy należeli do załogi "Santa Anna", łódź osiadła nam na mieliźnie właśnie w chwili rozpoczęcia utarczki. Łódź ochronna rzuciła się nam na pomoc, ale gromada

krajowców skończyłaby z nami przed jej przybyciem. Otoo dał susa na brzeg, zanurzył obie ręce w towarach i począł rozrzucać na wszystkie strony tytoń, paciorki, siekierki, noże i perkaliki.

Była to pokusa zbyt silna dla kędzierzawych głów. Podczas gdy wydzielali sobie owe skarby, ściągnięta z mielizny łódź zdołała oddalić się od brzegu o czterdzieści stóp. W ciągu zaś następnych czterech godzin udało mi się zwerbować na tymże wybrzeżu trzydziestu krajowców.

Przygoda, o której teraz opowiem, zdarzyła mi się na Malaicie, która jest najdzikszym zakątkiem wschodniej części Archipelagu Salomona. Tubylcy byli usposobieni wyjątkowo życzliwie. Skąd zaś mieliśmy wiedzieć, że cała wioska od dwóch lat z górą zbierała składki na zakup głowy białego człowieka? Te gałgany zajmują się nagminnie zbieraniem głów, a szczególnie cenią głowy białych. Szczęśliwemu zdobywcy miał przypaść w udziale cały wynik zbiórki. Jak już wspomniałem, powitano mnie tak przyjaźnie, że oddaliłem się od łodzi ponad sto kroków.

Otoo ostrzegał mnie i jak zwykle gdy go nie słuchałem, wpadłem w opały.

Zanim się spostrzegłem, z porośłego mangrowcami bagienka wyfrunęła ku mnie chmara oszczepów, w tym co najmniej tuzin celnych. Wziąłem nogi za pas, lecz potknąwszy się o jedną z włóczni, która utkwiła mi głęboko w łydce, upadłem. Wtedy krajowcy rzucili się za mną z toporkami o wachlarzowatych ostrzach, osadzonymi na długich rękojeściach. Zamierzali odrąbać mi głowę. Chęć zdobycia nagrody tak ich zaślepiała, że w pośpiechu wpadali na siebie. W tym zamęcie unikałem szczęśliwie kilku ciosów, rzucając się w prawo i w lewo po piasku.

Wtedy wkroczył na scenę Otoo - zapaśnik co się zowie. Zaopatrzył się gdzieś w ciężką maczugę, która w walce wręcz była bronią stokroć skuteczniejszą od karabinu. Dostał się w sam gąszcz napastników, by nie mogli go zakłuć włóczniami - nie mówiąc już o toporkach, które w tych warunkach tylko im zawadzały. Walczył o moje życie z furią godną legendarnych Wikingów. Wprawa, z jaką posługiwał się maczugą, była zadziwiająca. Miażdżył czaszki jak przejrzałe pomarańcze. Dopiero gdy odpędził całą gromadę, porwał mnie w ramiona i rzucił

się pędem ku morzu, otrzymał pierwsze rany. Wpadł do łodzi trafiony czterema włóczniami, chwycił winchestera i nie zmarnował ani jednego strzału. Kiedy dobiliśmy do szkunera, zajęliśmy się opatrzaniem ran.

Siedemnaście lat spędziłem razem. Zawdzięczam mu wszystko. Gdyby nie on, byłbym dziś supercargu, werbownikiem lub może tylko wspomnieniem.

- Wydajesz wszystko, co masz - rzekł mi pewnego dnia - a potem dopiero rozglądasz się za nowym zarobkiem. Łatwo ci teraz zarabiać. Ale kiedy się zestarzejesz i nie będziesz miał

odłożonego grosza, znikąd go nie zdobędziesz. Wiem to dobrze, panie. Przyglądałem się życiu białych ludzi. Na wybrzeżu pełno jest starców, którzy kiedyś też byli młodzi i zarabiali nie gorzej od ciebie. Teraz są już starzy, a nie mając nic, polują tylko na młodych przybyszów, którzy by zechcieli zaprosić ich na jednego.

Czarni chłopcy - mówił dalej - są na plantacjach niewolnikami. Zarabiają po dwadzieścia dolarów

rocznie. Harują. Dozorca nie ma ciężkiej pracy. Dosiada konia i popędza czarnych robotników. Dostaje za to tysiąc dwieście dolarów rocznie. Ja jestem marynarzem na szkunerze. Zarabiam piętnaście dolarów miesięcznie dzięki temu, że jestem dobrym marynarzem. Pracuję ciężko. Kapitan ma wszystkie wygody i popija piwo z długich flaszek.

Nigdy nie widziałem, by ciągnął linę lub wziął się do wiosła. Zarabia sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Ja jestem marynarzem, on jest nawigatorem. Sądzę, panie, że byłoby bardzo dobrze, gdybyś wyuczył się nawigacji.

W ten sposób Otoo dał mi bodźca do nauki. Na moim pierwszym szkunerze pływał jako zastępca kapitana i był bardziej dumny niż ja z mego dowództwa. Potem zaczął z innej beczki:

- Kapitan jest dobrze płatny, panie, ale prowadzi tylko cudzy statek, nigdy więc nie może się uwolnić od odpowiedzialności. Najlepiej zarabia właściciel, który nie rusza się z lądu, otoczony jest służbą i obraca tylko pieniędzmi.

- To prawda, ale szkuner kosztuje pięć tysięcy dolarów, i to w dodatku stary szkuner - odparłem. - Zestarzę się, nim zdołam zaoszczędzić taką sumę.

- Biali ludzie mogą szybciej dorobić się pieniędzy ciągnął, wskazując na wybrzeże porośnięte palmami kokosowymi.

Działo się to na Wyspach Salomona, gdyśmy płynęli wzdłuż wschodniego wybrzeża Gwadalkanaru, gromadząc ładunek orzechów.

- Dwie mile dzielą ujście tej rzeki od następnego - powiedział. - Równina sięga daleko w głąb lądu. Nie ma ona teraz żadnej wartości. Za rok - kto wie? - może za dwa lata ludzie zapłacą ładny grosz za tę ziemię. Warunki lądowania są dobre. Duże parowce mogą stawać tuż obok na redzie. Jeśli chcesz, kupisz od starego wodza cały ten szmat kraju na cztery mile w głąb za jakieś dziesięć tysięcy wałeczków tytoniu, dziesięć butelek whisky i jeden karabin, co razem kosztować cię będzie około stu dolarów. Potem zarejestrujesz akt kupna u komisarza, a za parę lat sprzedasz to i zostaniesz właścicielem statku.

Posłuchałem rady i jego słowa sprawdziły się, choć dopiero po trzech latach. Następny interes dotyczył łąk na Gwadalkanarze - dwudziestu tysięcy akrów przejętych od rządu w wieczystą dzierżawę za symboliczny czynsz. Trzymałem tę dzierżawę dokładnie przez trzy miesiące, po czym odstąpiłem ją pewnej spółce za ciężkie pieniądze. Otoo umiał zawsze trafnie przewidywać i w porę dostrzec okazję. Za jego sprawą zająłem się wydobywaniem wraka statku

“Doncaster”, kupionego na licytacji za sto funtów. Zarobiłem na czysto trzy tysiące. On także namówił mnie na kupno plantacji na Sawai oraz na interes z orzechami kokosowymi na wyspie Upolu.

Nie żeglowaliśmy już tyle, co za dawnych lat. Byłem zbyt zamożny. Ożeniłem się i moja stopa życiowa wzrosła. Otoo jednak pozostawał zawsze ten sam - kręcił się po domu i biurze z drewnianą

fajką w zębach, w półkoszulku za szylinga na grzbiecie i w lavalava za cztery szylingi. Nie mogłem w żaden sposób nakłonić go do wydawania pieniędzy. Za wszystkie dobrodziejstwa można mu było odpłacić wyłącznie miłością i Bóg mi świadkiem, że nikt z nas mu jej nie szczędził.

Dzieci po prostu go uwielbiały. Gdyby zaś można było go popsuć, moja żona z pewnością by to zrobiła.

Dzieci! On pierwszy kierował ich drobnymi nóżkami na ścieżce życia. Zaczynał od nauki chodzenia, opiekował się nimi w chorobie, a potem kolejno wyprowadzał je na lagunę i zamieniał w istoty ziemnowodne, gdy ledwie wyrosły z okresu raczkowania. O obyczajach ryb i sposobach ich łowienia nauczył dzieci więcej, niż ja sam wiedziałem. Dotyczyło to także lasu.

W wieku lat siedmiu Tom wiedział więcej o lesie, niż mnie się nawet śniło. Mając sześć lat Mary potrafiła dać nurka ze Śliskiej Skały bez zmrużenia oka, choć wielu silnych mężczyzn nie odważyłoby się na ten ryzykowny krok. Kiedy zaś Frank osiągnął ten sam wiek, umiał już wyławiać monety z dna morskiego, nurkując na głębokość trzech sążni.

- Moi rodacy z Bora Bora nie lubią pogan, bo wszyscy są chrześcijanami, a ja znów nie lubię chrześcijan z Bora Bora - rzekł do mnie pewnego razu, gdy z myślą, by wydać część pieniędzy, które mu się bezsprzecznie należały, usiłowałem namówić go na odwiedzenie rodzinnej wyspy jednym z naszych szkunerów. Obmyśliłem tę podróż w nadziei, że doprowadzę Otoo do szczytów rozrzutności.

Wspomniałem o naszych szkunerach, choć w owym czasie były one prawnie tylko moją własnością. Walczyłem z nim długo, by zgodził się wejść do spółki.

- Byliśmy współnikami od rozbicia się "Petite Jeanne" - odpowiedział w końcu. - Jeśli jednak serce twoje tego pragnie, możemy spółkę naszą zalegalizować. Choć nie mam nic do roboty, wydatki moje są znaczne. Dużo jem, piję i palę, a wiem przecież, co to kosztuje. Nie płacę za grę w bilard, bo gram na twoim stole. Ale mimo to pieniądze płyną. Łowienie ryb na wędkę jest rozrywka bogaczy. Cena haczyków i linki bawełnianej jest zawrotna. Tak jest; musimy zostać prawnymi udziałowcami. Potrzebuję pieniędzy i będę je otrzymywał od prokurenta w biurze.

Odpowiednie dokumenty zostały więc sporządzone i wpisane, gdzie należy. Po roku jednak musiałem się poskarżyć.

- Charley - rzekłem - jesteś wstrętnym starym oszustem, obrzydliwym sknerą i nędznym płazem. Przecież twój udział w zyskach za ostatni rok sięga tysięcy dolarów. Prokurent doręczył mi ten wykaz. Wynika z niego, że w ciągu roku pobrałeś wszystkiego osiemdziesiąt siedem dolarów i dwadzieścia centów.

- A czy mi się coś należy? - zapytał z niepokojem. - Powiadam ci przecież, że tysiące - odpowiedziałem. Twarz jego rozpogodziła się, jak gdyby doznał niezmiernej ulgi.

- To dobrze. Dopilnuj, by prokurent ściśle obliczał moją należność. Gdy mi będzie potrzebna, zażadam jej i nie może wtedy zabraknąć ani centa.

Bo gdyby czegoś brakowało - dodał groźnie - trzeba to będzie ściągnąć prokurentowi z poborów.

A przez cały ten czas, jak się później dowiedziałem, jego testament, sporządzony notarialnie i czyniący mnie jedynym spadkobiercą, spoczywał w kasie pancernej u amerykańskiego konsula.

Musiał jednak nadejść kres, jak zawsze związkom między ludźmi. Stało się to na Archipelagu Salomona, gdzie za dni naszej burzliwej młodości dokonywaliśmy najdzikszych wybryków.

Odwiedziliśmy go raz jeszcze - w zasadzie dla spędzenia wakacji, a przy tej okazji chcieliśmy rzucić okiem na nasze posiadłości na wyspie Florida i zbadać możliwości połowu pereł w cieśninie Mboli. Stanęliśmy na kotwicy w pobliżu Savo, dokąd wybraliśmy się, aby drogą handlu wymiennego nabyć miejscowe ciekawostki.

Okolice Savo pełne są rekinów. Kędzierzawi krajowcy mają zwyczaj wrzucać zmarłych do morza, co oczywiście zachęca rekiny do uważania przyległych wód za swój rewir łowiecki. Na statek wypadło mi wracać małą, przeładowaną tubylczą łódeczką, która w pewnej chwili się wywróciła. Było w niej, a właściwie czepiało się jej czterech wyspiarzy i ja. Szkunier stał w odległości stu jardów. Wołałem właśnie, by spuszczone łódź, gdy jeden z kędzierzawych począł wrzeszczeć. Coś szarpnęło go kilkakrotnie w głąb, wciągając jednocześnie do wody i tę część łódki, której się trzymał. Następnie puścił rękę i zniknął. Chwycił go żarłacz.

Trzej pozostali czarni usiłovali wydrapać się z toni na dno łódki. Krzyczałem i kłałem, a najbliższego zdzieliłem pięścią, ale na nic to się nie zdało. Byli nieprzytomni ze strachu. Łódka tymczasem mogła utrzymać najwyżej jednego z nich. Pod ciężarem całej trójki stanęła dęba i przechyliła się na bok, zrzucając ich z powrotem do wody.

Zostawiłem czołno i popłynąłem ku szkunerowi w nadziei, że łódź wyłowi mnie po drodze.

Jeden z tubylców postanowił mi towarzyszyć i płynęliśmy w milczeniu obok siebie, od czasu do czasu zanurzając twarze w wodzie, by się przekonać, czy nie gonią nas rekiny. Krzyki człowieka pozostałego przy łódce dały nam znać o jego losie. Zaglądałem właśnie w wodę, gdy wielki żarłacz przepłynął tuż przede mną. Mierzył co najmniej szesnaście stóp. Widziałem wszystko. Chwycił wyspiarza w pasie i pociągnął za sobą, podczas gdy nieszczęśnik wystając głową i ramionami z wody wydawał rozdzierające krzyki. Przebył w ten sposób kilkaset stóp i został wciągnięty w głąbinę.

Płynąłem uparcie naprzód w nadziei, że był to może ostatni z uganiających się za zdobyczą rekinów. Okazało się wszakże, że pozostał jeszcze jeden. Czy należał do tych, które poprzednio napadły krajowców, czy może pożywił się dobrze gdzie indziej - nie wiem. Dość że nie okazywał takiego pośpiechu jak jego towarzysze. Nie mogłem teraz płynąć z dotychczasową szybkością, gdyż znaczny wysiłek musiałem poświęcić na śledzenie drapieżnika. Obserwowałem go, gdy po raz pierwszy przystąpił do ataku. Udało mi się szczęśliwie trafić go w nos obu rękami i choć siła zderzenia omal mnie nie zatopiła, jakoś go odegnałem. Nagle zawrócił i począł mnie znowu okręzać. Uratowałem się ponownie, stosując tę samą sztuczkę. Trzeci napad zakończył się dla obu stron niepowodzeniem. Rekin uchylił się w chwili, gdy moje ręce miały właśnie opaść mu na nos, lecz chropowatą skórą (miałem na sobie półkoszulek bez rękawów) obdarł mi do żywego ramię od łokcia aż po kark.

Byłem już wyczerpany i straciłem nadzieję. Od szkunera dzieliło mnie jeszcze dwieście stóp.

Wypatrywałem nowego natarcia, gdy wtem brązowe ciało przepłynęło między nami. Był to Otoo.

- Płyn do szkunera, panie! - zawołał wesoło, jak gdyby cała sprawa była drobnostką. - Znam się na rekinach. Rekin to mój brat.

Usłuchałem i popłynąłem z wolna dalej, podczas gdy Otoo okręzał mnie, trzymając się stale pomiędzy mną a rekinem, udaremniając jego ataki i dodając mi otuchy.

- Blok dźwigu się zaciął, ale spuszczają już łódź na linach - objaśnił po upływie chwili i zanurzył się, by odparować nowy atak.

Kiedy szkuner był o niespełna trzydzieści stóp, doszedłem kresu sił. Ledwie mogłem się poruszać. Rzucano nam z pokładu liny, ale wciąż padały za blisko. Rekin przekonawszy się, iż nie odnosi żadnej szkody, nabrał odwagi. Kilkakrotnie o włos byłby mnie chwycił, ale zawsze Otoo w samą porę przybywał na ratunek. Rzecz prosta - Otoo mógł się ocalić bez trudu. Nie opuszczał mnie jednak.

- Żegnaj, Charley! Już po mnie! - wyszeptałem ostatkiem tchu. Czułem zbliżający się koniec.

Wiedziałem, że lada chwila wyrzucę ramiona w górę i pójdę na dno.

Otoo uśmiechnął się do mnie mówiąc:

- Pokażę ci nową sztukę. Rekin będzie się miał z pyszna!

Popłynął do tyłu, skąd właśnie rekin mnie atakował.

- Trochę bardziej w lewo! - krzyknął po chwili. - Jest tam już lina na wodzie. Na lewo, panie, na lewo!

Zmieniłem kierunek i prąłem wodę na ślepo. Byłem już bliski utraty przytomności. Gdy chwyciłem linę, usłyszałem krzyk z pokładu. Odwróciłem się i spojrzałem. Ani śladu Otoo.

Prawie natychmiast wyłonił się z wody. Obie ręce odcięte miał w przegubie, a z kikutów tryskała krew.

- Otoo! - zawołał miękko. W zwróconych ku mnie oczach dostrzegłem tę samą miłość, która drgała w jego głosie.

Dopiero wtedy, u samego kresu tyłu wspólnie przeżytych lat, nazwał mnie tym imieniem.

- Żegnaj, Otoo! - krzyknął.

Został porwany w głąb, a tymczasem mnie wciągnięto na pokład, gdzie zemdlałem na rękach kapitana.

Tak zginął Otoo, który ocalił mnie i wyprowadził na człowieka, a w końcu raz jeszcze uratował

mi życie. Spotkaliśmy się w paszczy huraganu, a rozstaliśmy u paszczy rekina, z siedemnastu latami koleżeństwa pośrodku, i to koleżeństwa takiego, jakie - śmiem twierdzić - nigdy nie łączyło dotąd człowieka brązowego z białym. Jeśli Jehowa czuwa ze swego wysokiego tronu nad najmarniejszą nawet ptaszyną, chyba niepoślednie miejsce w jego królestwie zajmie Otoo, jedyny poganin z Bora Bora.

Przełożył Zygmunt Glinka

Dobrodziejstwo wątpliwości

Carter Watson, z ostatnim numerem jakiegoś czasopisma pod pachą, szedł wolno i ciekawie rozglądał się wkoło. Od dwudziestu lat nie był na tej ulicy, a zaszły tu wielkie i zadziwiające zmiany. To zachodnioamerykańskie miasto o trzystu tysiącach mieszkańców miało ich zaledwie trzydzieści tysięcy, kiedy jako chłopiec biegał po jego ulicach. Ulica, po której szedł, była wówczas spokojną ulicą domów mieszkalnych w przyzwoitej dzielnicy robotniczej. Ale tego późnego popołudnia Watson stwierdził, że wchłonęła ją występna i rozległa dzielnica o złej sławie. Zaroiło się na niej od chińskich i japońskich sklepików i spelunek, chaotycznie pomieszanych z podrzędnymi zakładami białych i knajpami spod ciemnej gwiazdy. Cicha ulica jego młodości stała się najbardziej bandycką dzielnicą miasta.

Spojrzał na zegarek. Było wpół do szóstej. Dobrze wiedział, że jest to senna pora w tego rodzaju dzielnicy, pchała go jednak ciekawość. Przez dwadzieścia lat włóczęgi i badania warunków socjalnych na świecie woził ze sobą wspomnienie swego rodzinnego miasta jako czegoś drogiego i pięknego. Zaskoczyła go zmiana, którą tu widział. Musi koniecznie przejść jeszcze kawałek i zobaczyć, jak nisko stoczyło się jego miasto.

I jeszcze coś: Carter Watson miał wyostrzony zmysł społeczny i obywatelski. Zamożny, a dzięki temu niezależny, niechętnie trwonil energię na wielkoświatowe herbatki i wytworne towarzyskie kolacje. Nie pociągały go też ani aktorki, ani konie wyścigowe, ani podobne rozrywki. Jego manią były sprawy etyki i uważał się za nie byle jakiego reformatora, choć jego działalność sprowadzała się przede wszystkim do pisywania artykułów w poważniejszych pismach i kwartalnikach oraz do wydawania pod własnym nazwiskiem jasno i mądrze napisanych książek o klasie robotniczej i wielkomiejskich nędzarzach. Wśród dwudziestu siedmiu ogłoszonych drukiem tytułów, które wyrobiły mu nazwisko, były takie: "Gdyby Chrystus zstąpił do Nowego Orleanu", "Wyeksploatowany do cna robotnik", "Reforma czynszowa w Berlinie", "Wiejskie slumsy Anglii", "Ludność wschodnich stanów", "Reforma contra rewolucja", "Miasteczka uniwersyteckie - rozsadnikiem radykalizmu" i "Jaskiniowiec cywilizacji".

Ale Carter Watson nie był ani maniakiem, ani fanatykiem. Nie wpadał w rozpacz na widok okropności, które badał i piętnował. Nie płonął ogniem naiwnego entuzjazmu. Ratował go humor, tak jak wielkie doświadczenie i usposobienie konserwatywno-filozoficzne. Nie skłaniał

się też ku teoriom błyskawicznych reform. Jego zdaniem społeczeństwo mogło stać się lepsze jedynie dzięki straszliwie powolnej i bardzo bolesnej ewolucji. Nie uznawał ani gwałtownych cięć, ani

raptownych odrodzeń. Ludzkość może się uszlachetniać tylko poprzez cierpienie i biedę, tak jak dochodziła do wszystkich zdobyczy socjalnych.

Tego późnego, letniego popołudnia Carter Watson był jednak zdjęty ciekawością. Przystanął

przed pretensjonalną knajpą. Wisiał nad nią szyld z napisem "Vendome", a do wnętrza prowadziło dwoje drzwi. Jedne najwidoczniej wiodły do baru - z tych nie skorzystał - a drugie otwierały się na wąski korytarz. Watson przeszedł go i znalazł się w dużej sali zastawionej stolikami, zupełnie pustej. W półmroku dostrzegł w odległym kącie pianino. Pomyślawszy w duchu, że wróci tu kiedyś i przyjrzy się ludziom, którzy siedzą i piją przy tych licznych stolikach, ruszył wokół sali.

Krótki korytarz wiodł z niej do małej kuchenki, gdzie przy stole siedział samotnie Patsy Horan, właściciel lokalu. Posiłał się spieszenie przed wieczornym napływem gości. Był zły na cały świat. Rano lewą nogą wstał z łóżka i odtąd wszystko go irytowało. Gdyby ktoś zapytał o to barmanów, pewnie by teraz powiedzieli, że "stary się wściekł". Ale Carter Watson tego nie wiedział. Gdy wszedł do kuchni, ponury wzrok Patsy Horana padł na czasopismo pod jego pachę. Nie znał Watsona i nie wiedział, że niesie on zwykłe ilustrowane pismo. Z głębi swego rozdrażnienia osądził, że ów obcy to zakała ludzkości, jeden z tych, którzy zapaskudzają mu wnętrze lokalu przybijając lub rozlepiając plakaty. Barwna okładka pisma utwierdziła go w przekonaniu, że to plakat. Od tego się zaczęło. Z widelcem i nożem w ręku Patsy podbiegł do Watsona.

- Wynoś się! - ryknął. - Już ja was znam!

Carter Watson osłupiał. Patsy wyskoczył na niego jak diabeł z pudełka.

- Będiesz mi tu ściany niszczył! - krzyczał Patsy wyrzucając z siebie istny potok ohydnych i obraźliwych wymysłów.

- Jeśli nawet czymś pana dotknąłem, zrobiłem to nieumyślnie...

Tyle tylko zdążył powiedzieć Watson, by Patsy zaraz mu przerwał.

- Wynoś się i nie rozpuszczaj pyska - powtórzył, groźnie wywijając dla większego wrażenia nożem i widelcem.

Carter Watson ujrzał oczyma wyobraźni ten widelec nieprzyjemnie wbity w jego żebra, zrozumiał, że daremnie próbowałby "rozpuszczać pysk", i szybko zawrócił do wyjścia. Widok tego pokornego odwrotu musiał do reszty rozwścieczyć Patsy Horana, bo ten czcigodny jegomość upuścił nóż i widelec i skoczył na Watsona.

Ważył sto osiemdziesiąt funtów, tyleż co Watson. Pod tym względem mieli równe szansę.

Patsy był jednak karczemnym zabijaką, na ślepo pracującym naprzód, podczas gdy Watson był

bokserem. I pod tym względem on miał przewagę, bo Patsy atakując zapomniał o obronie i ryzykownie zamachnął się prawą pięścią. Watsonowi wystarczyłoby poczęstować go lewym prostym i uciec. Ale Watson miał jeszcze jedną przewagę. Boks i doświadczenie wyniesione z nędznych i

podejrzanych dzielnic całego świata nauczyły go panowania nad sobą.

Obrócił się więc w miejscu i zamiast odpowiedzieć ciosem, zrobił unik i przeszedł do zwarcia.

Patsy, który szarżował jak byk, miał przewagę rozpędu, Watson zaś, obróciwszy się ku niemu, rozpędu nie miał. W rezultacie obaj całym ciężarem swoich trzystu sześćdziesięciu funtów runęli z hukiem na ziemię. Watson znalazł się pod spodem i głową dotykał tylnej ściany wielkiego pokoju. Od ulicy dzieliło go sto pięćdziesiąt stóp. Zastanawiał się szybko. Przede wszystkim należało uniknąć skandalu. Nie chciał dostać się do gazet w mieście swego dzieciństwa, gdzie mieszkało jeszcze wielu krewnych i przyjaciół rodziny.

Dlatego też oplótł rękami człowieka leżącego na nim, przywarł do niego i czekał nadejścia pomocy, która musiała przyjść zwabiona hałasem. I rzeczywiście nadeszła - to znaczy z baru wypadło sześciu mężczyzn i półkolem obstało zapaśników.

- Zabierzcie go - rzekł Watson. - Nie ruszyłem go i nie chcę się bić.

Lecz półkole stało w milczeniu. Watson trwał w nie zmienionej pozycji i czekał. Po wielu daremnych próbach ugodzenia go Patsy wdał się w pertraktacje:

- Puść mnie, to i ja cię puszcę - powiedział.

Watson puścił go, Patsy jednak ledwie się podniósł, stanął nad leżącym przeciwnikiem gotów do zadania ciosu.

- Wstawaj! - rozkazał.

Mówił głosem groźnym i nieubłaganym, jak Bóg Ojciec w dzień Sądu Ostatecznego, i Watson pojął, że nie może liczyć na zmiłowanie.

- Odejdź pan, to wstanę - odparł.

- Jeśli jesteś dżentelmenem, wstawaj zaraz - rzekł Patsy, a blade oczy pałały mu wściekłością, gdy pięść szykowała się do miażdżącego ciosu.

W tej samej chwili cofnął nogę, chcąc kopnąć Watsona w twarz. Watson zasłonił się skrzyżowanymi ramionami i skoczył na nogi tak błyskawicznie, że zamknął w klamrze przeciwnika, nim ten zdążył uderzyć. Trzymając go raz jeszcze zaapelował do gapiów.

- Chłopcy, zabierzcie go. Widzicie, że go nie ruszam. Nie chcę się bić. Chcę stąd wyjść.

Ludzie w kole ani nie drgnęli, ani się nie odezwali. To milczenie było tak złowróżbne, że Watsonowi ciarki przeszły po krzyżu. Patsy spróbował się wyrwać, co miało ten efekt, że Watson powalił go na wznak i wyrwawszy mu się skoczył do drzwi. Ale koło widzów jak mur zagrodziło mu drogę. Dostrzegł blade, nalane twarze ludzi, którzy nie widują słońca, i zrozumiał, że ma przed sobą nocnych rzeźmieszków, drapieżne zwierzęta wielkowiejskiej dżungli. Odepchnęli go w tył, w objęcia goniącego za nim jak rozjuszony byk Patsy Horana.

W jeszcze jednym zwarciu Watson, chwilowo bezpieczny, zaapelował do bandy opryszków. I znów jego głos był głosem wołającego na puszczy. Wtedy zląkł się nie na żarty. Znał wiele wypadków, kiedy w takich spelunkach maltretowano samotnych gości, łamano im żebra i masakrowano twarze, kopano i bito na śmierć. Wiedział też, że jeśli ma wyjść cało, nie wolno mu uderzyć ani napastnika, ani nikogo z bandy. Jednakże ogarnęło go uzasadnione oburzenie. Siedmiu na jednego - to w żadnym wypadku nie jest uczciwe! Był zły i zbudziło się w nim drapieżne zwierzę drzemiące w każdym człowieku. Ale przypomniał sobie żonę i dzieci, zaczęta książkę i dziesięć tysięcy akrów sfalowanej ziemi we własnej, tak lubianej podgórskiej posiadłości. W przelotnej jak błyskawica wizji ujrział błękitne niebo, promienie złotego słońca na ukwieconych łąkach, bydło leniwie brodzące w strumieniach i błysk rzucającego się w bystrym nurcie pstrąga. Życie było piękne - zanadto piękne, by miał je ryzykować dla zaspokojenia przyływu zwierzęcych instynktów. Krótko mówiąc, Carter Watson był

opanowany i przerażony.

Jego przeciwnik, zamknięty w mistrzowskim zwarcu, próbował się wyswobodzić. Watson znów go powalił, skoczył do drzwi i znów odepchnęło go półkole ludzi o wyblakłych, nalanych twarzach. Nowym unikiem umknął prawemu sierpowemu Horana i chwycił go wpół.

Powtarzało się to wiele razy. Watson stawał się coraz zimniejszy, gdy zawiedziony w rachubach Patsy, któremu nie wychodził żaden cios, wściekał się coraz bardziej i spróbował

walczyć w zwarcu głową. Za pierwszym razem grzmotnął Watsona czołem w nos.

Nauczony doświadczeniem Watson przyciskał odtąd w zwarcu głowę do jego piersi.

Oszalały z wściekłości Patsy bódł dalej i pokiereszował sobie oko, nos i policzek o ciemną głowę Watsona. A im silniej się kaleczył, tym bódł zacieklej i mocniej.

Taka jednostronna walka trwała od dwunastu do piętnastu minut. Watson nie zadał ani jednego ciosu, szukał tylko ucieczki. Czasem, w krótkich chwilach, gdy odrywał się od przeciwnika i klucząc między stolikami próbował dostać się do wyjścia, ludzie o bladych, nalanych twarzach łapali go za poły marynarki i pchali pod prawy sierpowy depczącego mu po piętach Patsy'ego. Raz po raz i nieskończoną ilość razy Watson przechodził do zwarcia i kładł

przeciwnika na obie łopatki, przy czym zawsze okręcał nim i przewracał go w kierunku drzwi.

W ten sposób zbliżał się do celu o długość ciała.

W końcu, bez kapelusza, rozchochranym, z krwawiącym nosem i podbitym okiem, wydostał się na chodnik i wpadł wprost w objęcia policjanta.

- Niech pan aresztuje tego człowieka - zażądał łapiąc z trudem oddech.

- Hej, Patsy! - zawołał policjant - co się tu u ciebie dzieje?

- Jak się masz, Charley - odpowiedział Patsy. - Ten drab wpadł tutaj...

- Niech pan go aresztuje - powtórzył Watson.

- Wynoś się! Zmykaj! - ryknął na niego Patsy.

- Zmykaj! - dorzucił policjant. - Bo jak nie, to ciebie aresztuję.

- Dobrze, ale musi pan także aresztować tego człowieka. Napadł na mnie bez powodu.

- Napadłeś na niego, Patsy? - zapytał policjant.

- Nie. Daj mi skończyć, Charley, i - na Boga - mam świadków na to, co mówię. Siedzę w kuchni i jem zupę, aż tu wchodzi ten drab i ni stąd, ni zowąd - do mnie. Nawet nie wiem, co to za jeden. Jest pijany.

- Niech pan spojrzy na mnie - zaprotestował oburzony socjolog. - Czy jestem pijany?

Policjant spojrział na niego ponuro i groźnie i skinął na Patsy'ego, by mówił dalej.

- Więc ten drab zaczyna się mnie czepiać. "Nazywam się Tim McGrath i rozsmaruję cię na chlebie. Ręce do góry!" - woła. Uśmiechnąłem się, a ten, bęc, bęc, palnął mnie dwa razy i rozlał mi zupę. Spójrz na moje oko. Ładnie mnie urządził.

- Co pan zamierza zrobić? - zapytał Watson policjanta.

- Wynoś się, zmykaj, bo zobaczysz, że cię aresztuję - usłyszał w odpowiedzi.

Wtedy w Watsonie zbudziło się poczucie obywatelskiej praworządności.

- Protestuję...

Ale w tej chwili policjant schwycił go za ramię i szarpnął tak mocno, że o mały włos byłby go przewrócił.

- Chodź, aresztuję cię.

- To i jego niech pan weźmie - żądał Watson.

- Akurat! - rzekł policjant. - Po coś na niego napadł, gdy spokojnie jadł zupę?

II

Carter Watson był naprawdę zły. Nie tylko napadnięto go bez powodu, dotkliwie pobito i aresztowano, ale jeszcze wszystkie ranne gazety podały sensacyjny opis jego pijackiej awantury z właścicielem osławionej knajpy "Vendome". W tych opisach nie było ani słówka prawdy. Patsy Horan i jego poplecznicy szczegółowo opowiedzieli całą bijatykę. Nie ulegało wątpliwości, że Carter Watson był pijany. Trzy razy wyrzucano go z szynku do rynsztoka i trzy razy wracał ziejąc nienawiścią i przysięgając, że wszystkich stąd powymiaa.

"Słynny socjolog urznął się i siedział w kozie" - taki był pierwszy tytuł artykułu, który wpadł

Watsonowi w oczy na czołowej stronie gazety. Obok ujrzał swoją wielką podobiznę. Inne tytuły głosiły: "Carter Watson ubiega się o mistrzostwo w boksie", "Carter Watson dostał za swoje",

"Słynny socjolog próbuje wymieść do czysta spelunkę" i "Carter Watson znokautowany przez Patsy Horana w trzeciej rundzie".

Wypuszczony za kaucją, Carter Watson stanął nazajutrz przed sądem policyjnym oskarżony z urzędu o zakłócenie porządku publicznego przez napad i pobicie niejakiego Patsy Horana. Ale przedtem jeszcze prokurator, który bierze pensję za ściganie wykroczeń przeciw porządkowi publicznemu, odciągnął Watsona na bok na prywatną, rozmowę.

- Lepiej byłoby, gdyby pan poniechał sporu - powiedział. - Wie pan co, panie Watson, niech pan się pogodzi z Patsy Koranem. Uściśnijcie sobie ręce i skończcie z tym. Załatwimy sprawę raz dwa. Szepnę słówko sędziemu i umorzy sprawę przeciw panu.

- Wcale nie chcę, żeby umarzał sprawę - zaproponował Watson. - Pańskim obowiązkiem jest mnie przesłuchać, a nie godzić z tym... z tym jegomościem.

- Ach, jeśli tak, to będę pana przesłuchiwał - odparł prokurator. - Będzie pan też musiał

przesłuchać tego Patsy Horana - rzekł Watson. - Bo teraz ja żądam aresztowania go za napad i bijatykę.

- Radzę, niech się pan z nim pogodzi - powtórzył prokurator, a tym razem jego słowa zabrzmiały niemal jak groźba.

Obie rozprawy wyznaczono za tydzień, tego samego ranka, przed sędzią Witbergiem.

- Nie masz żadnych szans - powiedział Watsonowi jego przyjaciel z lat dzieciństwa, dawny naczelny redaktor najpoczytniejszego pisma w mieście. - Każdy wie, że ten człowiek cię poturbował. Ma najgorszą w świecie opinię. Ale to ci nic nie pomoże. Obie skargi oddała. I to tylko przez wzgląd na twoją osobę. Zwykły śmiertelnik zostałby skazany.

- Nie rozumiem - odparł zdziwiony socjolog. - Ten człowiek napadł mnie z nienacka i dotkliwie pobił. Ja nie uderzyłem go ani razu. Ja...

- To nieważne - przerwał mu przyjaciel.
- Więc co jest ważne?
- Posłuchaj: zadarłeś z miejscową policją i całą machiną polityczną. Kim jesteś? Nawet nie stałym mieszkańcem tego miasta. Żyjesz gdzieś na wsi. Tu nie masz praw wyborcy. Co więcej, nie masz żadnego wpływu na wyborców. A za tym właścicielem knajpy pójdzie porządna kupa wyborców z jego okręgu - porządna kupa!
- Chcesz powiedzieć, że sędzia Witberg pogwałci świętość swego urzędu i złamie przysięgę uniewinniając tego bydlaka?
- Strzeż się - brzmiała ponura odpowiedź. - O, zrobi to z pewnością. Wyda arcyprawny, arcyzasadniony wyrok, obfitujący we wszystkie słowa, jakie zna nasz język dla wyrażenia pojęcia przyzwoitości i prawa.
- Jest jeszcze prasa! - wybuchnął Watson.
- Tak, ale w tej chwili nie zwalcza administracji. Czeka cię ciężka przeprawa. Już miałeś próbkę.
- Więc te pęta od kroniki policyjnej nie napiszą prawdy?
- Napiszą coś na pograniczu prawdy, tak żeby czytelnicy uwierzyli. Wiesz, że piszą, jak im każą. Mają powiedziane, że muszą kręcić i koloryzować, a gdy się do tego zabiorą, będziesz się miał z pyszna. Lepiej od razu poniechaj wszystkiego. Wpadłeś.
- Ale rozprawy już wyznaczono.
- Piśnij tylko słówko i zaraz wszystkiemu łeb ukręca. Człowiek może walczyć z machiną, ale wtedy, kiedy ma machinę za sobą.

III

Carter Watson był jednak uparty. Wiedział, że przegra z machiną, ale przez całe życie gonił za socjologicznymi doświadczeniami, teraz wpadł na coś zupełnie nowego.

Rankiem, w dniu rozprawy, prokurator raz jeszcze spróbował zatuszować sprawę.

- Jeśli takie jest pańskie stanowisko, to chyba wezmę adwokata, by popierał oskarżenie -
odparł Watson.

- Nie, nie trzeba - rzekł prokurator. - Biorę za to pensję, by ścigać przestępstwa i będę oskarżał. Ale muszę panu powiedzieć, że nie ma pan żadnych widoków. Złączymy obie sprawy w jedną i niech się pan pilnuje.

Sędzia Witberg spodobał się Watsonowi. Jeszcze młody, niewysoki, w miarę tęgi, czysto wygolony, o inteligentnej twarzy, robi dobre wrażenie. Uśmiech na wargach i wesołe zmarszczki w kątach czarnych oczu potęgowały tylko to wrażenie. Przyglądając mu się i badając go wzrokiem, Watson nabrał niemal pewności, że jego przyjaciel się mylił.

Rozczarował się wkrótce. Zeznania Patsy Horana i jego dwóch zauszników były jednym wielkim łgarstwem złożonym pod przysięgą. Watson nigdy by nie uwierzył, że coś takiego jest możliwe, gdyby sam tego nie doświadczył. Ludzie ci zaprzeczyli istnienia pozostałych czterech mężczyzn. Jeden ze świadków twierdził, że był w kuchni i widział, jak Watson bez powodu napadł na Horana. Drugi miał siedzieć w barze i widzieć, jak Watson dwa razy wracał do knajpy, by rozprawić się z Bogu ducha winnym szynkarzem. Przypisywali zaś Watsonowi tak bogaty rynsztokowy język, że - jak sądził - podważali tym własne zeznania. Trudno było bowiem uwierzyć, żeby on mógł używać podobnych wyrazów. Kiedy zaczęli opowiadać, jak brutalnymi ciosami zasypał twarz biednego Horana i jak rozbił krzesło daremnie usiłując go uderzyć, poczuł chęć do śmiechu, a jednocześnie i smutek. Sąd zamienił się w farsę, Watson zaś w obliczu tak bezgranicznej podłości z przygnębieniem myślał o długiej drodze wzwyż, jaka jeszcze leży przed ludzkością.

W obrazie zabijaki i chuligana, namalowanym przez świadków, najgorszy wróg nie poznałby Watsona ani on sam nie poznałby siebie. Ale jak przy wszystkich zagmatwanych krzywoprzysięstwach, tak tutaj widać było sprzeczności i głębokie rysy w zeznaniach. Sędzia jednakże jakoś ich nie dostrzegał, a obaj prokuratorzy i oskarżyciel z ramienia Horana - omijali je zręcznie. Watson nie pomyślał o tym, by zaangażować adwokata, i teraz był z tego zadowolony.

Gdy nadeszła kolej na jego zeznania, ciągle jeszcze zachowywał cień wiary w sprawiedliwość sędziego Witberga.

- Proszę Wysokiego Sądu, przypadkiem szedłem sobie ulicą... - zaczął, ale sędzia mu przerwał.

- Nie jesteśmy tu po to, żeby rozważać, co pan robił przed awanturą - warknął groźnie. - Kto pierwszy uderzył?

- Wysoki Sądzie - bronił się Watson - ja nie mam świadków w tej bójce i dlatego prawdę moich słów można ustalić tylko po wysłuchaniu całej historii...

Znów mu przerwano.

- Nie będziemy tu wydawali czasopism! - wrzasnął sędzia Witberg. Patrzył przy tym tak wrogo i gniewnie, że Watson nie mógł uwierzyć, by był to ten sam człowiek, któremu przyglądał się przed chwilą.

- Kto pierwszy uderzył? - zapytał oskarżyciel ze strony Horana. W tym miejscu wtrącił się prokurator, pytając, którą z dwóch połączonych spraw rozpatruje się obecnie i na jakiej zasadzie, w tym stadium, jego kolega bada świadka. Tamten zareplikował. Sędzia Witberg wmieszał się zdradzając zupełną nieznajomość sprawy. Wszystko to wymagało wyjaśnienia.

Rozgorzała generalna bitwa, która skończyła się tym, że obaj prawnicy przeprosili sąd i siebie nawzajem. I tak to szło, a Watsonowi zdawało się, że kilku rzeźmieszków obrabia uczciwego człowieka wyciągając mu portmonetkę. Machina pracowała i nic więcej.

- Czemu wszedł pan do knajpy o tak złej sławie? - zapytano go.

- Jako ekonomista i socjolog od wielu lat mam zwyczaj osobiście badać...

Więcej nie zdążył powiedzieć.

- Nic nas tu nie obchodzi pańska uczoność - warknął sędzia. - Pytanie jest wyraźne i niech pan wyraźnie odpowiada. Czy był pan pijany? O to tylko chodzi.

Kiedy Watson próbował wyjaśnić, że Patsy pokaleczył sobie twarz, gdy usiłował bić głową, otwarcie nie dano mu wiary i wyśmiano, a sędzia Witberg znów wziął go w obroty.

- Czy zdaje pan sobie sprawę z powagi przysięgi, którą pan złożył zobowiązując się mówić prawdę z tego miejsca dla świadków? - zapytał. - Plecie pan jakieś bajeczki. Nikt nie uwierzy, że człowiek przy zdrowych zmysłach pokaleczył się i dalej się kaleczył bijąc wrażliwymi i miękkimi częściami twarzy o pańską głowę. Pan jest przecież inteligentnym człowiekiem. Czy to ma sens?

- Ludzie w gniewie tracą rozsądek - łagodnie odrzekł Watson. Wtedy to sędzia Witberg poczuł się bardzo obrażony i uniósł się słusznym gniewem.

- Jakim prawem pan to mówi? - wrzasnął. - To nie ma żadnych podstaw. To nie ma żadnego związku ze sprawą. Jest pan świadkiem na okoliczność, jaka się wydarzyła. Sąd nie życzy sobie wysłuchiwać pańskich opinii.

- Odpowiedziałem tylko na pytanie, proszę Wysokiego Sądu - skromnie zaoponował Watson.

- Nic podobnego - wybuchnął sędzia. Uprzedzam pana, uprzedzam uroczyście, że taka bezczelność może być panu poczytana za obrazę sądu. I niech pan wie, że my tu, w tej sali rozpraw, wiemy, jak

przestrzegać prawa i dobrych obyczajów. Wstyd mi za pana!

Gdy następny drobiazgowy spór prawny między przedstawicielami stron przerwał mu opowiadanie o tym, co zaszło w "Vendome", Carter Watson bez goryczy, ubawiony, ale i smutny, patrzył, jak w jego oczach formuje się obraz maszyny wielkiej i małej, która rządzi krajem. Myślał o bezwstydnym i bezkarnym łapówkach wymuszonych w tysiącach miast przez podobne do pajaków, nędzne kreatury tej maszyny. Miał tu przed sobą sąd i sędziego, których machina podporządkowała służalczo właścicielowi szynku dlatego, że za nim szło mnóstwo wyborców. To zjawisko choć nędzne i marne stanowiło jedno z oblicz wielkiej maszyny, która groźnie rozpierała się w każdym mieście, w każdym stanie i pod tysiącem postaci rzucała cień na cały kraj.

Zadźwięczało mu w uszach znane powiedzonko: "To śmiechu warte" i w szczytowym punkcie sporu zachichotał głośno, na co sędzia zareagował groźnym zmarszczeniem brwi. Ci tyranizujący innych prawnicy i sędzia - myślał Watson - są gorsi, milion razy gorsi od zabijaków-marynarzy na trzeciorzędnych statkach, którzy sami tyranizują, ale i sami się bronią. Ci nędzni łotrzykowie zaś chowali się za majestat prawa. Bill, ale nie wolno było oddać im ciosu, bo za nimi stały cele więzienne i pałki tępych policjantów - płatnych i zawodowych gnębicieli człowieka. Ale Watson nie czuł złości. To wszystko było takie groteskowe, że zatracalo swą obrzydliwość i występność, a on na szczęście miał zbawienne poczucie humoru.

Mimo że go zastraszano i usiłowano zbić z tropu, udało mu się w końcu opowiedzieć szczerze i po prostu, jak to było, i mimo złośliwych krzyżowych pytań żaden szczegół jego relacji nie został podważony. Różniła się ona kapitalnie od fałszywych zeznań przebijających z historyjek Horana i jego dwóch świadków.

Oskarżyciel ze strony Horana i prokurator podtrzymali pierwotne oskarżenie pozostawiając wszystko sądowi do rozstrzygnięcia. Watson zaprotestował przeciwko temu, ale oskarżyciel publiczny zatkał mu usta mówiąc, że jest oskarżycielem publicznym i wie, co robi.

"Patrick Horan zeznał, że jego życiu zagrażało niebezpieczeństwo i że musiał się bronić - tak zaczynał się wyrok sędziego Witberga. - Carter Watson zeznał to samo. Każdy z nich przysiągł, że pierwsze uderzenie zadała strona przeciwna; każdy też przysiągł, że to on został

napadnięty bez powodu. Jest zasadą prawa, że wszelkie wątpliwości należy tłumaczyć na korzyść oskarżonego. W tym wypadku zachodzi fakt uzasadnionej wątpliwości. Tak więc w sprawie «naród przeciw Carterowi Watsonowi» wspomniany Carter Watson korzysta z dobrodziejstwa wątpliwości i zostaje zwolniony z aresztu. To samo rozumowanie należy zastosować w sprawie «naród przeciw Patrickowi Horanowi». I on korzysta z dobrodziejstwa wątpliwości i zostaje zwolniony z aresztu. Chciałbym, aby obaj oskarżeni uścisnęli sobie ręce i pogodzili się".

Pierwsze tytuły, jakie wpadły Watsonowi w oczy w gazetach wieczornych, głosiły: "Carter Watson uwolniony od winy i kary". W drugiej gazecie zobaczył: "Carter Watson uniknął

grzywny". Ale szczytem wszystkiego był nagłówek: "Carter Watson - to swój chłop". Z tekstu artykułu Watson dowiedział się, że sędzia Witberg doradził przeciwnikom, by podali sobie ręce, co z gotowością uczynili. Dalej czytał: "No, chodźmy to oblać - zaproponował Patsy Horan.

- Oczywiście - odparł Carter Watson.

I wzięwszy się pod rękę powędrowali do najbliższego baru”.

IV

Z całej tej przygody Watson nie wyniósł goryczy. Była ona nowego rodzaju doświadczeniem, które doprowadziło go do napisania jeszcze jednej książki pod tytułem "Postępowanie policyjno-sądowe: próba analizy".

Pewnego letniego ranka, w rok potem, w czasie przejażdżki po swej posiadłości, Watson zsiadł z konia i zaczął się przedzierać malutkim kanionem, chcąc zobaczyć, jak się przyjęły skalne paprocie, które zasadził ubiegłej zimy. Po drugiej, wyższej stronie wąwozu wyszedł na ukwieconą łąkę, cudowne, odludne miejsce, odgradzone od świata wzgórzami i kępami drzew.

I tu zobaczył jakiegoś mężczyznę, który musiał przyjść spacerem z hotelu otwieranego na lato w miasteczku o milę stąd. Spotkali się twarzą w twarz i poznali wzajemnie. Letnikiem był

sędzia Witberg. Wyraźnie naruszył prawo cudzej własności, bo Watson wszędzie na granicy swej posiadłości ustawił napisy zabraniające wstępu, choć nigdy nie przestrzegał tego zakazu.

Sędzia Witberg wyciągnął rękę na powitanie, ale Watson udał, że jej nie widzi.

- Polityka to wstrętne zajęcie, prawda, panie sędzio? - zauważył. - Oczywiście widzę pańską wyciągniętą rękę, ale nie mam zamiaru jej uścisnąć. W gazetach czytałem, że po rozprawie podałem rękę Koranowi. Pan wie, że tego nie zrobiłem, ale pozwoli pan sobie powiedzieć, że tysiąc razy wolałbym podać rękę jemu i nędznym kundlom z jego strony niż panu.

Sędzia Witberg był przykro zaskoczony i gdy chrząkał, jąkał się i próbował coś wybąkać, Watsonowi strzelił do głowy pewien pomysł. Zdecydował się na ponury i zabawny żart.

- Nie posądziłbym o wrogość człowieka tak obytego jak pan i tak znającego świat - powiedział sędzia.

- Wrogość? - powtórzył Watson. - Na pewno jej nie żywię. Nie leży w moim charakterze. A żeby tego panu dowieść, niech mi wolno będzie pokazać panu coś ciekawego, coś, czego pan jeszcze nigdy nie widział. - Rozejrzał się wkoło i podniósł ostry kamień wielkości pięści. - Widzi pan to? - powiedział. - Niech pan patrzy.

Z tymi słowy mocno uderzył się w policzek. Kamień przeciął mięso do kości i krew trysnęła strumieniem.

- Był za ostry - oznajmił Watson zdumionemu sędziemu, który pomyślał, że ma do czynienia z wariatem. - Trzeba się trochę potłuc. W takich sprawach należy przede wszystkim być realistą.

Znalazł gładszy kamień i kilka razy porządnie walnął się nim w policzek.

- A, a, a! - zagruchał. - Za parę godzin będę miał piękne zielonoczarne sińce. Najbardziej przekonujący dowód.

- Pan zwariował - drżącym głosem powiedział sędzia.

- Niech mi pan nie ubliża - odparł Watson. - Widzi pan moją posiniaczoną i pokrwawioną twarz? To pan to zrobił, własną prawicą. Dwa razy mnie pan uderzył: pac, pac. To brutalny i nie sprowokowany napad. Moje życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Muszę się bronić.

Strwożony sędzia cofnął się przed wzniesionymi groźnie pięściami.

- Jeśli mnie pan uderzy, każe pana aresztować - zagroził.

- To samo powiedziałem Patsy Koranowi. I wie pan, co zrobił w odpowiedzi?

- Nie.

- To!

W tej samej chwili prawa pięść Watsona z rozmachem wylądowała na nosie sędziego kładąc przedstawiciela prawa na wznak na trawie.

- Niech pan wstaje! - rozkazał Watson. - Niech pan wstaje, jeśli jest pan dżentelmenem. Jak pan wie, to samo powiedział mi Koran.

Sędzia Witberg nie chciał wstać, ale Watson podniósł go za kołnierz jedynie po to, by podbić mu oko i znów obalić na ziemię. To, co potem nastąpiło, przypominało masakrę Indian. Sędzia Witberg wziętołanie według wszelkich prawideł sztuki. Watson obił mu policzki, uszy, unurzał

twarz w ziemi. I przez cały czas zachowywał się tak jak Koran. Z rzadka i bardzo ostrożnie żartobliwy socjolog zadawał naprawdę poważny cios. Raz stawiając znękanego Witberga na nogi, umyślnie rozkwasił sobie nos o jego głowę. Z nosa poszła natychmiast krew.

- Niech pan patrzy! - krzyknął Watson cofając się i zręcznie rozmazując krew po gorsie koszuli. - To pan to zrobił. Własną pięścią. Straszne. Ładnie mnie pan urządził. Znów muszę się bronić.

I ciosem pięści prosto w twarz rzucił sędziego na trawę.

- Każe pana aresztować - łkał ten leżący.

- To samo mówiłem Patsy'emu.

- Brutalny... - sapał sędzia - nie sprowokowany... - sapnął - napad.

- To samo mówiłem Patsy'emu.

- Zobacz pan... każe pana aresztować.

- Mówiąc po łobuzersku: pośpiesz się, żebyś się czasem nie spóźnił.

Carter Watson odszedł w dół kanionu, wskoczył na konia i pojechał do miasta.

W godzinę później, kiedy sędzia Witberg dowłókł się przez park do hotelu, aresztował go - z oskarżenia Cartera Watsona - miejscowy policjant pod zarzutem napadu i pobicia.

- Wysoki Sądzie - mówił Watson nazajutrz do wiejskiego sędziego, zamożnego farmera, który trzydzieści lat temu skończył "wiejski uniwersytet" - ponieważ ten Salomon Witberg uważa za stosowne skarżyć mnie o pobicie, gdy ja go o to samo oskarżyłem, proponuję złączyć obie sprawy w jedną. Świadecko i fakty w obu wypadkach są te same.

Sędzia zgodził się i obie sprawy rozpatrywano łącznie. Watson jako świadek oskarżenia wystąpił pierwszy i opowiedział swoją historię.

- Zbierałem kwiaty - mówił - zbierałem kwiaty na własnym terenie i o niebezpieczeństwie nawet mi się nie śniło. Nagle ten człowiek wyskoczył na mnie zza drzew. "Nazywam się Dodo

- mówi - i zrobię z ciebie mokrą plamę. Ręce do góry!" Uśmiechnąłem się, a on na to - bęc, bęc - uderzył mnie, przewrócił na ziemię i rozsypał kwiaty. Wymyślał przy tym ohydnie. To był

brutalny i nie sprowokowany napad. Proszę spojrzeć na mój policzek. Proszę popatrzeć na mój nos. Nic z tego nie rozumiałem. Był widocznie pijany. Zanim zdołałem otrząsnąć się ze zdumienia, tak mnie pokaleczył. Moje życie zostało zagrożone i musiałem się bronić. To wszystko, proszę Wysokiego Sądu, choć na zakończenie muszę dodać, że ciągle nie mogę wyjść z podziwu. Dlaczego mówił, że nazywa się Dodo? Czemu napadł na mnie bez żadnego powodu?

W ten sposób Salomon Witberg dostał dobrą lekcję krzywoprzysięstwa. Często z wysokości swego sędziowskiego fotela pobłażliwie wysłuchiwał fałszywych zeznań w sfabrykowanych oskarżeniach. Ale po raz pierwszy tego rodzaju zeznania skierowano przeciw niemu, a on nie zasiadał w roli sędziego i nie miał za sobą ani woźnych, ani pałek policyjnych, ani więzienia.

- Wysoki Sądzie! - wykrzyknął - nigdy jeszcze nie słyszałem takiego steku kłamstw jak te, które tu opowiada ten bezwstydnny łgarz...

Watson zerwał się na nogi.

- Wysoki Sądzie, protestuję... O tym, co jest kłamstwem, a co prawdą, zadecyduje sąd.

Świadek ma tylko opowiedzieć przebieg wypadków. Jego osobiste poglądy i zdanie o mnie nie mają nic do rzeczy.

Sędzia podrapał się w głowę i dość ospale wyraził oburzenie:

- Zupełna racja. Dziwię się panu, panie Witberg. Mówi pan, że jest pan sędzią, człowiekiem znającym się na prawie i postępowaniu sądowym, a zachowuje się pan jak laik. Tu mamy prostą sprawę o napaść i pobicie. Naszą rzeczą jest ustalić, kto uderzył pierwszy, a pańskie zdanie o panu Watsonie nas nie interesuje. Niech pan opowiada dalej.

Witberg zagryzłby ze złości rozbite i spuchnięte wargi, gdyby go tak bardzo nie bolały.

Opanował się jednak i opowiedział po prostu, uczciwie i szczerze całą historię.

- Wysoki Sądzie - rzekł Watson - proszę, by Sąd zapytał świadka, co robił na moim terenie.

- Bardzo trafne pytanie. Co pan robił na terenach pana Watsona?

- Nie wiedziałem, że należą do niego.

- To było naruszenie cudzej własności, proszę Wysokiego Sądu! - zawołał Watson. - Wszędzie stoją tablice ostrzegawcze.

- Nie widziałem ich - odparł Witberg.

- A ja je widziałem - uciął sędzia. - Rzucają się w oczy. I muszę pana uprzedzić, że jeżeli rozmija się pan z prawdą w małych rzeczach, podważa pan swoje ważniejsze zeznania.

Czemu pan uderzył pana Watsona?

- Jak już powiedziałem, nawet go palcem nie tknąłem.

Sędzia spojrział na posiniaczoną i spuchniętą twarz Watsona i przeniósł groźny wzrok na Salomona Witberga.

- Niech pan spojrzy na policzek tego człowieka! - zagrmiał. - Jeśli go pan nawet nie tknął, to skąd jest taki potłuczony, pokaleczony?

- Jak już mówiłem...

- Niech pan uważa - ostrzegł sędzia.

- Będę uważał. Powiem szczerą prawdę. Sam się uderzył kamieniem. Uderzył się dwoma różnymi kamieniami.

- Czy to wytrzymuje krytykę, żeby człowiek, jakkolwiek człowiek przy zdrowych zmysłach sam się tak pokaleczył, bijąc się kamieniem po miękkich i czułych częściach twarzy? - zapytał

Carter Watson.

- To wygląda na bajeczkę - zauważył sędzia. - Panie Witberg, czy pan był pijany?

- Nie, proszę Sądu.

- Pan nigdy nie pija?

- Czasem, przy okazji.

Sędzia zastanawiał się nad tą odpowiedzią z miną wielce przenikliwą.

Watson skorzystał ze sposobności, by porozumiewawczo mrugnąć do Salomona Witberga, ale ten mocno pokrzywdzony dżentelmen nie dojrzał komizmu sytuacji.

- Bardzo dziwna sprawa, bardzo dziwna - oznajmił sędzia przystępując do ogłoszenia wyroku.

- Zeznania obu stron są biegunowo przeciwne. Poza tymi dwoma głównymi świadkami nie ma innych. Każda strona twierdzi, że to ona została napadnięta, a ja nie mam urzędowego sposobu ustalenia prawdy. Mam jednak własne zdanie, panie Witberg, i radziłbym panu, by się pan odtąd trzymał z dala od posiadłości pana Watsona, a nawet od tego okręgu.

- To oburzające! - wypalił Witberg.

- Niech pan siada! - huknął sędzia. - Jeśli mi pan jeszcze raz przerwie w ten sposób, to będę musiał ukarać pana grzywną za obrazę sądu. I uprzedzam, że grzywna będzie wysoka, bo pan sam jest sędzią i powinien się znać na grzeczności wobec przedstawiciela prawa i na powadze sądu.

A teraz wydam wyrok:

Zasadą prawa jest, że wszelkie wątpliwości należy tłumaczyć na korzyść oskarżonego. Jak już powiedziałem i raz jeszcze powtarzam, nie mam urzędowego sposobu stwierdzenia, kto uderzył pierwszy. Dlatego z wielkim żalem - zamilkł na chwilę i groźnie spojrział na Witberga -

w obu sprawach muszę przyznać oskarżonym dobrodziejstwo wątpliwości. Panowie, jesteście wolni.

- Chodźmy to oblać - rzekł Watson do Witberga, gdy wyszli z sądu, ale obrażony sędzia nie chciał wziąć go pod rękę i powędrować do najbliższego baru.

Przełożył Tadeusz Evert

Zabić człowieka

Chociaż obszerne pokoje i hali były skąpo oświetlone nocnymi lampkami, poruszała się swobodnie szukając nie doczytanego i zarzuconego gdzieś tomiku poezji, o którym teraz dopiero sobie przypomniała. Przekręciwszy kontakt w salonie stanęła w powłóczyście różowym szlafroku z koronkami przy szyi i ramionach. Miała na palcach wszystkie pierścionki, a złociste włosy nie były jeszcze uczesane na noc. Była delikatnej, wdzięcznej urody: miała szczupły owal twarzy, pąsowe usta, leciutko zaróżowione policzki i niebieskie oczy o zmienności kameleona, które posłuszne jej woli rozwierały się szeroko, dziewczęco naiwnie albo patrzyły twardo, chłodne i stalowoszare, lub też zapalały się władcą stanowczością i uporem.

Zgasła światło, wyszła do hallu i skierowała się w stronę sypialni. U progu zatrzymała się nasłuchując, gdyż z daleka doszedł ją nawet nie jakiś nikły szmer - wrażenie, że coś się porusza. Mogłaby przysiąc, że nic nie słyszała, a przecież w domu zaszła jakaś zmiana. Coś zakłóciło atmosferę nocnego spokoju. Nie wyobrażała sobie, kto ze służących nie śpi jeszcze o tej porze. Nie mógł to być kamerdyner znany z tego, że wcześniej kładł się do łóżka - chyba że go specjalnie zatrzymano. Ani pokojówka, która miała tego wieczoru wychodne.

Drzwi jadalni były zamknięte. Sama nie wiedziała, czemu je otworzyła i weszła do pokoju.

Skłoniło ją do tego uczucie, iż tu właśnie czai się coś nieznanego. W jadalni było ciemno. Po omacku znalazła i nacisnęła kontakt. Gdy zabłysło światło, cofnęła się z cichym okrzykiem:

“Och!”

Naprzeciwno, obok kontaktu ujrzała mężczyznę przytulonego do ściany. W ręce trzymał rewolwer wymierzony prosto w nią. Mimo przestraszony wywołany tym widokiem zauważyła, że broń jest czarna i ma szczególnie długą lufę. Poznała colta. Mężczyzna był średniego wzrostu, odziany pospolicie, oczy miał piwne, twarz ogorzałą. Wydawał się bardzo spokojny.

Wycelowaną w jej pierś broń trzymał bez drżenia, oparłszy łokieć o biodro.

- Och! - zawołała. - Przepraszam. Przestraszyliście mnie. Czego chcecie?

- Chcę stąd wyjść - odparł z żartobliwym grymasem ust. - Zabłądziłem w tej dżungli i jeżeli pani zechce wskazać wyjście, nie zrobię nic złego i zniknę natychmiast.

- Co właściwie tu robicie? - zapytała ostro, jak osoba przywykła do rozkazywania.

- Prosta kradzież, panienko, nic więcej. Pokręciłem się tu, żeby zobaczyć, co by można zgarnąć. Myślałem, że was nie ma w domu, bo widziałem, jak pani wyjeżdżała samochodem w towarzystwie starego. To pewnie tatuś, a pani jest panną Setliffe.

Pani Setliffe zauważyła pomyłkę, doceniła naiwny komplement i postanowiła nie przeczyć.

- Skąd wiecie, że jestem panną Setliffe? - zapytała.

- To dom starego Setliffe'a, no nie?

Skinęła głową.

- Nie wiedziałem, że ma córkę, ale chyba pani jest jego córką. A teraz bardzo będę wdzięczny, jeśli mi pani wskaże wyjście.

- Czemu miałabym to zrobić? Jesteście złodziejem, włamywaczem.

- Gdybym był obyty z tym fachem, sprzątnąłbym te pierścionki z paluszków panienki zamiast grzecznie rozmawiać. Przyszedłem odebrać, co mi się należy od starego Setliffe'a, a nie okradać kobiety. Proszę tylko usunąć się z drogi, a sam trafię do wyjścia.

Pani Setliffe była niewiastą bystrą. Wyczuła, iż taki człowiek niczym właściwie jej nie grozi. Że nie jest typowym przestępcą - to pewne. Po sposobie wyrażania się poznała w nim człowieka ze wsi, który jakby niósł ze sobą szeroki oddech dalekich szczyrych pól.

- A jeżeli zacznę krzyczeć? - zagadnęła ciekawie. - Jeśli zawołam o pomoc? Nie moglibyście strzelić do mnie... do kobiety?

Zauważyła, że niepokój błysnął w jego piwnych oczach... Odpowiedział wolno i z namysłem jak gdyby rozwiązując jakieś zawiłe zagadnienie.

- Zapewne musiałbym panią chwycić za gardło i trochę stłuc.

- Kobietę?

- Musiałbym - odrzekł i zaciął usta. - Pani jest tylko delikatna kobietą, to prawda, ale ja nie mogę iść do mamra. Nie, panienko, naprawdę nie mogę. Na Zachodzie czeka na mnie przyjaciel. Jest w ciężkich tarapatach i muszę mu pomóc. - Grymas ust stawał się coraz bardziej zacięty. - Chyba mógłbym zdusić pani gardło bez wielkiej krzywdy dla pani.

Oczy jej nabrały wyrazu dziecięcego niedowierzania.

- Nigdy nie spotkałam się z włamywaczem - zapewniła. - Nie macie pojęcia, jak mnie to zaciekawia.

- Ja nie jestem włamywaczem, panienko, takim prawdziwym... - pośpieszył dodać, widząc, że jest rozbawiona i powątpiewa. - Pewnie na to wyglądam, skoro jestem tu, w cudzym mieszkaniu. Ale pierwszy raz w życiu wziąłem się do takiej roboty. Potrzebne mi były pieniądze, strasznie potrzebne. Przy tym uważałem, że niby odbieram to, co mi się należy.

- Nie rozumiem - zachęciła go uśmiechem. - Przyszliście tu kraść, a kraść znaczy brać cudze.

- I tak, i nie, w tym szczególnym przypadku. Ale lepiej, żebym już sobie poszedł.

Ruszył ku drzwiom, lecz zagroziła mu odwrót, a stanowiła uroczą przeszkodę. Sięgnął lewą ręką, jakby ją chciał chwycić, ale się zawahał. Był zdjęty czcią dla tej delikatnej kobiety.

- No tak! - zawołała z triumfem - wiedziałam, że tego nie zrobicie.

Stał zakłopotany.

- Jeszcze nigdy nie podniosłem ręki na kobietę - tłumaczył się - nie takie to łatwe. Lecz zrobię to na pewno, jeśli pani zacznie krzyczeć.

- Czy nie zechcecie posiedzieć kilka minut i porozmawiać? - nalegała. - Taka jestem ciekawa.

Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego rabunek jest odebraniem tego, co się wam należy.

Spojrzał na nią z podziwem.

- Zawsze myślałem, że kobiety boją się złodziei. Ale pani wcale na to nie wygląda.

Roześmiała się wesoło.

- Bo bywają złodzieje i złodzieje. Nie boję się was, gdyż czuję, że nie jesteście z tych, co krzywdzą kobiety. Proszę, porozmawiajmy chwilę. Nikt nam nie będzie przeszkadzał. Jestem zupełnie sama. Mój... mój ojciec wyjechał nocnym pociągiem do Nowego Jorku. Służba śpi.

Pragnęłabym was czymś poczęstować. Kobiety zawsze szykują kolację dla bandytów złapanych na gorącym uczynku - przynajmniej w powieściach. Ale nie wiem, gdzie szukać jedzenia. Może się czego napijecie?

Zawahał się i nie odpowiedział. Widziała jednak, jak zachwył rośnie w jego oczach.

- Nie obawiacie się chyba? - zagadnęła. - Nie otruję, przyrzekam. Napiję się także, aby was przekonać, że wszystko jest w porządku.

- Pani to prawdziwa niespodzianka - stwierdził, po raz pierwszy opuszczając broń lufą w dół. -

Nikt mi już nie wmówi, że miejskie kobiety są bojaźliwe. Czym pani jest? Drobnym, słodkim stworzonkiem. Ale pani ma nerw i do tego ufność. Niewiele znalazłoby się kobiet, a nawet mężczyzn, którzy by potraktowali człowieka z rewolwerem tak, jak pani mnie potraktowała.

Uśmiechnęła się zadowolona z pochwały i spoważniała.

- To dlatego, że mi się podobacie. Znadto przyzwoity macie wygląd, by być złodziejem. Nie powinniście. Jeżeli źle się wam powodzi, trzeba wziąć się do pracy. No, dalej, proszę odłożyć ten wstrętny rewolwer i porozmawiać ze mną o wszystkim. Powinniście pracować.

- Nie w tym mieście - odrzekł z goryczą. - Zdarłem podeszwy próbując znaleźć zajęcie.

Naprawdę: był niegdyś ze mnie chłop na schwał, zanim ruszyłem na poszukiwanie zarobku.

Ubawiona tym żartem roześmiała się wesoło, co mu się najwidoczniej spodobało. Zauważyła to i postanowiła wyzyskać. Natychmiast odeszła od drzwi i stanęła przed kredensem.

- Proszę opowiadać, a ja tymczasem wydostanę coś do picia. Co mam dać? Whisky?

- Owszem, proszę - rzekł idąc za nią, wciąż z wielkim rewolwerem przy boku, i z żalem spoglądając na otwarte, nie strzeżone drzwi.

Napełniła kieliszek na bufecie.

- Przyrzekłam napić się z wami - powiedziała z wahaniem - ale nie lubię whisky. Wolę sherry.

Podniosła butelkę, by zobaczyć, czy się zgodzi.

- Pewnie - odparł i skinął głową. - Whisky to napój dla mężczyzn. Nie lubię patrzeć, jak kobieta bierze się do tego. Wino, ot coś dla niewiast.

Trąciła się z nim kieliszkiem. Oczy jej promieniały współczuciem.

- Za dobrą pracę dla was...

Urwała widząc na jego twarzy wyraz zdziwienia i niesmaku. Odjął od skrzywionych ust ledwie tknięty kieliszek.

- Co się stało? - spytała z niepokojem. - Nie smakuje? Czy może się omyliłam?

- Dziwna to jakaś whisky, jak gdyby przypalona czy przydymiona.

- Ach, jaka jestem nieuwważna! Nalałam szkockiej whisky, a wyście pewnie przyzwyczaili się do żytniówki. Zaraz zmienię.

Była niemal macierzyńsko troskliwa, gdy stawiała świeży kieliszek i wydobywała właściwą butelkę.

- Lepsze, co? - spytała.

- Tak, panienko. Tego już nie czuć dymem. To prawdziwa whisky. Nie piłem ani kropli od tygodnia. To jest gładkie, oleiste, rozumie pani, nie wytworzone chemicznie.

- Pijecie?

Było to na poły pytanie, na poły zaczepka.

- Nie, panienko, nie ma o czym mówić. Kiedyś zaglądałem do szynków, ale bardzo rzadko.

Lecz zdarzają się dni, kiedy dobrze jest zalać robaka. Dziś właśnie taki dzień. A teraz dziękuję panience za wszystko i zmykam.

Pani Setliffe nie chciała jednak rozstać się ze swym włamywaczem. Była kobietą zbyt zrównoważoną, by poddawać się romantycznym nastrojom, ale obecna sytuacja budziła miły dreszczyk. Wiedziała zresztą, że nic jej nie grozi. Człowiek ten, mimo wydatną szczękę i skupiony wyraz piwnych oczu, był bardzo potulny. Przy tym w wyobraźni jej zamajaczył widok licznego grona przyjaciół otaczających ją z zachwytem. Trudno było zrezygnować z takiego audytorium.

- Nie dowiedziałam się jeszcze, jak złodziejstwo w tym przypadku jest po prostu odzyskaniem własności. Proszę sięść o tu, za stołem, i opowiadać.

Podeszła do stołu, usiadła na swoim miejscu i usadowiła go obok. Zauważyła, że ma się wciąż na baczności. Mierzył bystro pokój spojrzeniem i raz po raz zwracał je ku niej z tajonym podziwem, choć nigdy nie na długo. Zauważyła też, że gdy mówiła, zdawał się nasłuchiwać podejrzanym szmerów. Nie rozstawał się z rewolwerem, położył go tylko między nimi, na rogu stołu, ręką ręką tuż przy swej prawej dłoni.

Lecz był na nowym, nieznanym terenie. Przybysz z Zachodu, znawca życia w lesie czy na stepie, z wiecznie czujnym wzrokiem i słuchem, uważny i podejrzliwy, nie wiedział, że pod stołem, tuż u jej nóg, znajduje się przycisk dzwonka elektrycznego. Nigdy nie słyszał, nie śniło mu się nawet o podobnym urządzeniu. Tym razem spryt i ostrożność na nic się nie zdały.

- To było tak, panienko - zaczął wobec jej nalegań. - Stary Setliffe obłupił mnie kiedyś ze skóry w pewnym drobnym interesie. Gruby kant, ale się udał. Każdy interes się uda, jeśli zostanie podparty kilkuset milionami. Ja tam nie jęczę i nie mówię źle o ojcu panienki. On mnie nie zna i przypuszczam, nie wie nawet, że mnie skrzywdził. To zbyt wielki tuz, on, który obraca milionami. Pewnie nawet nie słyszał o takim nędznym robaku jak ja. To organizator. Ma rozmaitych specjalistów, co myślą, projektują i pracują za niego. Niektórzy pobierają podobno wyższe pensje niż prezydent Stanów Zjednoczonych. Ja jestem tylko jednym z tysiąca tych, którym pani ojczulek przetrzącił krzyż, to wszystko.

Miałem małą dziurę na skrawku gruntu - maleńka skromna kopalnia z urządzeniem hydraulicznym. Kiedy armia Setliffe'a przeszukała Idaho i zreorganizowała trust metalurgiczny, zagarnęła całą okolicę i wprowadziła w życie wielki projekt hydrauliczny w Twin Pines. To mnie zrujnowało, nie dali mi żadnej szansy. Zmieciono mnie z placu, zanim się obejrzałem. I oto dzisiejszej nocy, straciwszy cały majątek a mając przyjaciela w potrzebie, wstąpiłem tu, aby odebrać, co mi się należało od pani ojczulka. Tak bardzo mi to było potrzebne, że chyba grzechu wielkiego nie popełnił.

- Przypuśćmy, że to wszystko jest prawdą - rzekła pani Setliffe - włamanie w każdym razie pozostaje włamaniem. Nie moglibyście bronić się w ten sposób przed sądem.

- Wiem o tym - wyznał potulnie. - To, co słuszne, nie zawsze bywa zgodne z prawem. Dlatego właśnie tak mi jakoś nieswojo siedzieć tu i rozmawiać z panią. Nie, żeby mi jej towarzystwo było nieprzyjemne, owszem, bardzo mi miło... lecz doprawdy, nie chcę, by mnie złapano.

Wiem dobrze, co by ze mną zrobili w tym mieście. W zeszłym tygodniu pewien chłopak dostał pięćdziesiąt lat za to, że ściągnął jednemu na ulicy dwa dolary osiemdziesiąt pięć centów.

Czytałem o tym w gazecie. Kiedy czasy są ciężkie, a roboty nie ma, ludzie stają się bezwzględni. I wtedy ci, którzy mają coś, co można im ukraść, również stają się bezwzględni i walą w tamtych. Jeżeli mnie złapią, wlepią mi najmniej dziesięć lat. Dlatego tak mi pilno wynieść się stąd.

- Nie, proszę zaczekać. - Podniosła rękę, aby go zatrzymać, a równocześnie odjęła stopę od dzwonka, który co jakiś czas przyciskała. - Nie wiem dotychczas, jak wam na imię.

Zawahał się.

- Proszę nazywać mnie Dave.

- Otóż... Dave... - śmiała się z miłym zakłopotaniem - trzeba coś dla was obmyślić. Jesteście młody, a zaczynacie bardzo źle. Jeżeli teraz chcecie zabrać to, co waszym zdaniem wam się należy, później sięgniecie po to, co będzie się należało już na pewno nie wam. A sami wiecie, czym się to kończy. Zamiast tego musimy znaleźć jakąś uczciwą drogę.

- Potrzebuję pieniędzy, i to zaraz - odrzekł z uporem. - Nie dla siebie, lecz dla przyjaciela, o którym wspominałem. Jest w strasznych tarapatach i muszę mu pomóc teraz albo nigdy.

- Mogę znaleźć wam posadę - zapewniła spieszenie. - I oczywiście pożyczę pieniędzy potrzebnych dla przyjaciela. Zwróćcie mi to później ze swych zarobków.

- Trzysta by wystarczyło - rzekł cicho. - To by go uratowało. Ja ręce urobię po łokcie, będę pracował przez cały rok za tę sumę i za utrzymanie, no i jeszcze kilka centów na tytoń.

- Ach, palicie? Że też się nie domyśliłam!

Ręką wyciągniętą tuż nad leżącym rewolwerem wskazywała żółte ślady na jego palcach.

Równocześnie oceniła wzrokiem, kto bliżej ma do rewolweru. Zapragnęła pochwycić go jednym szybkim ruchem. Była przeświadczona, że może to osiągnąć, nie miała jednak dostatecznej pewności. Pohamowała się więc i cofnęła rękę.

- Nie zapalicie?

- Mam straszną ochotę.

- Proszę, mnie to nie przeszkadza. Nawet to lubię, papierosy oczywiście.

Lewą ręką sięgnął do kieszeni, wydobyl skrawek bibułki i przełożył go do prawej ręki spoczywającej przy rewolwerze. Sięgnął powtórnie i wysypał na bibułkę szczyptę brunatnego, grubo kranego tytoniu. Następnie zabrał się do skręcania papierosa obydwoma dłońmi wzniesionymi tuż nad bronią.

- Widząc, jak lawirujecie dokoła tego wstrętnego rewolweru, można by pomyśleć, że to ze strachu przede mną - stwierdziła wyzywająco.

- Nie boję się pani specjalnie, ale okoliczności mnie onieśmielają.

- A ja się nie bałam.

- Pani nie miała nic do stracenia.

- A życie?

- Racja - przyznał. - I nie przestraszyła się pani. Może boję się niepotrzebnie.

- Nie chcę wyrządzić wam nic złego. - W chwili gdy to mówiła, wyszukała nogą guzik dzwonka i mocno nacisnęła. Oczywiście miała szczere, uczciwe. - Znam mężczyzn, widzę to, i kobiety. Z

pewnością, gdy ja tu próbuję odwieść was od występnego życia i znaleźć wam uczciwe zajęcie, to...

Natychmiast ogarnęła go skrucha.

- Bardzo panią przepraszam. To nerwy.

Przy tych słowach cofnął prawą rękę, a gdy zapalił papierosa, opuścił ją na kolana.

- Dziękuję za zaufanie. - Odetchnęła z ulgą, przestała mierzyć wzrokiem odległość dzielącą ją od rewolweru. Nogą wciąż mocno naciskała dzwonek.

- Te trzysta mógłbym wysłać telegraficznie na Zachód dziś w nocy. I gotów jestem pracować za to i za utrzymanie przez cały rok.

- Zarobicie więcej. Mogę obiecać co najmniej siedemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie. Znaie się na koniach? Twarz mu się wypogodziła, oczy zaiskrzyły.

- No to jest dla was miejsce u mnie, właściwie u mego... ojca, ale ja godzę służbę. Potrzebuję drugiego stangreta.

- Chodzić w liberii? - przerwał jej ostro. W głosie jego brzmiała duma, na ustach miał szyderyczy grymas wolnego mieszkańca Zachodu.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Oczywiście to nie dla pana. Trzeba coś obmyślić. Mam! Czy potraficie hodować i ujeżdżać dwulatki?

Skinął potakująco.

- Mamy farmę hodowlaną i znalazłoby się tam miejsce dla takiego człowieka jak wy.

Odpowiada to wam?

- Czy mi odpowiada, panienko? - Głos jego zabrzmiał wdzięcznością i zachwytem. - Proszę mi tylko wskazać drogę. Jutro mogę zacząć. I zaręczam: nigdy nie pożałuje pani, że wybawiła z kłopotów Hughie Luke'a.

- Zdaje mi się, że miałam was nazywać Dave... - skarciła go dobrotliwie.

- Tak jest, panienko, tak. I za to przepraszam. To było oszukaństwo. Naprawdę nazywam się Hughie Lukę. Jeżeli zechce mi pani wskazać adres tej swojej farmy i dać na bilet, pojedę tam z samego rana.

Podczas całej rozmowy pani Setliffe nie przerywała prób z dzwonkiem. Przyciskała go na wszystkie sposoby: trzy sygnały krótkie i długi, dwa krótkie i długi, wreszcie pięć równych.

Próbowała dawać długie serie ostrych dzwonek, a raz przytrzymała stopę na guziku przez całe trzy minuty. Nie wiedziała, czy wypadnie jej zgromić śpiocha kamerdynera, czy też kazać naprawić dzwonek.

- Bardzo się cieszę - rzekła. - Rada jestem, że się zgadzacie. Nie będzie mi trudno to zrobić.

Przede wszystkim jednak musicie mi zaufać, gdy udam się na górę po pieniądze.

Zauważywszy przelotny błysk podejrzenia w jego oczach, dodała spieszenie:

- Przecież ja wam zawierzę na te trzysta dolarów.

- Ufam pani - odrzekł z galanterią - jestem tylko trochę nerwowy, mimo woli.

- Mam więc pójść?

Lecz zanim Hughie Lukę wyraził zgodę, do uszu pani Setliffe dotarł daleki, głuchy szmer.

Poznała skrzypienie drzwi kredensowych. Dźwięk był jednak nikły, raczej lekkie drżenie powietrza niż jakiś odgłos i nie byłaby go rozeznała, gdyby w oczekiwaniu nie natężyła słuchu.

Ale i on usłyszał. Zdziwił się, choć nadal nie tracił opanowania.

- Co to było? - zapytał.

Zamiast odpowiedzi błyskawicznie sięgnęła lewą ręką po rewolwer. Porwała go w samą porę, w następnym bowiem oka mgnieniu jego dłoń wykonała ten sam ruch i schwyciła powietrze.

- Siadać! - rozkazała ostro, głosem dotąd mu nie znanym. - Nie ruszać się! Ręce na stół!

Skorzystała z jego lekcji. Zamiast trzymać ciężką broń w wyciągniętej ręce, wsparła przedramię i kolbę rewolweru o stół i wzięła na cel nie głowę, lecz pierś przeciwnika. Był

zimny, posłuszny jej rozkazom, świadom, że nie może chybić nawet wskutek odrzutu po strzale. Widział, że rewolwer nie drży w jej dłoni ani ramię jej nie dygocze. Wiedział też dokładnie, jakiej wielkości dziury mogą wywiercić te kule z czubkiem z miękkiego ołowiu.

Patrzył nie na nią, lecz na kurek rewolweru, który podniósł się pod naciskiem wskazującego palca na cyngiel.

- Muszę panią uprzedzić, że ten cyngiel jest strasznie cienko nadpiłowany. Nie trzeba zbyt mocno naciskać, bo będę miał dziurę wielkości włoskiego orzecha.

Opuściła nieco kurek.

- Tak lepiej - stwierdził - a najlepiej będzie spuścić całkiem. Widzi pani, jak gładko chodzi.

Jeżeli pani chce, wystarczy jedno szybkie szarpnięcie, by podnieść i spuścić kurek i zrobić śliczny bigosik na tej wytwornej posadzce.

W tyle otworzyły się drzwi i usłyszał, jak ktoś wszedł do pokoju. Nie odwrócił jednak głowy.

Patrzył na nią i widział twarz innej kobiety, zimną, ostrą, bezlitosną, choć równie olśniewająco

piękną. Oczy jej błyszczały jakimś chłodnym ogniem.

- Tomaszu - rozkazała - idź do telefonu zawezwać policję. Czemuś nie przychodził tak długo?

- Przybiegłem, jak tylko usłyszałem dzwonek.

Złodziej nie spuszczał oczu z pani Setliffe, a ona z niego. Przy ostatnich słowach zauważyła w jego wzroku nagle zdumienie.

- Przepraszam panią - odezwał się kamerdyner - czy nie byłoby lepiej, gdybym wziął jaką broń i obudził służbę?

- Nie, dzwoń na policję. Potrafię zatrzymać tego człowieka. Idź i spraw się szybko.

Kamerdyner wysunął się z pokoju, oni zaś siedzieli wciąż naprzeciw siebie i patrzyli sobie w oczy.

Dla niej była to rozkoszna przygoda. W myśli słyszała już komentarze swych znajomych, odczytywała wzmianki w pismach o tym, jak to młoda, piękna pani Setliffe sama jedna ujęła uzbrojonego opryszka. Będzie to z pewnością sensacją dnia.

- Kiedy zapadnie wyrok, o którym mówiłeś - rzekła chłodno - będziesz miał dosyć czasu na rozmyślanie, jakim byłeś głupcem sięgając po cudze mienie i grożąc kobietom rewolwerem.

Będziesz miał czas przekonać się o tym. A teraz mów prawdę. Nie' masz żadnego przyjaciela w potrzebie. Wszystko, coś mi opowiedział, to kłamstwo.

Nie odrzekł słowa. Choć utkwiał w nią oczy, zdawał się nic nie widzieć. Istotnie, w owej chwili jej postać przesłoniły mu szerokie, zalane słońcem przestrzenie Zachodu, gdzie mężczyźni i kobiety są wielkoduszniesi od tych zepsutych mieszczuchów, z którymi stykał się w miastach po trzykroć zgniłego Wschodu.

- No! Czemu milczysz? Dlaczego dalej nie kłamiesz? Czemu nie błagasz o wolność?

- Prosiłbym - odrzekł zwilżając językiem wargi - prosiłbym, gdyby...

- Gdybyco? - zapytała rozkazująco, widząc, że się waha.

- Chciałem znaleźć określenie, które mi pani nasuwa. Jak mówiłem, poprosiłem, gdyby pani była kobietą uczciwą. Twarz jej pobladła.

- Bądź ostrożny - zagroziła.

- Pani nie odważy się mnie zabić - rzekł szyderczo. - Świat jest doprawdy wstrętną dziurą, jeżeli chodzą po nim takie istoty jak pani, nie jest jednak aż tak zły, by pani mogła mnie zabić.

Jesteś zła, ale w tym sęk, żeś słaba w swej złości. Niewielka to rzecz zabić człowieka, ale ty tego nie zrobisz. I tu twoja przegrana.

- Licz się z tym, co mówisz - upomniała go ponownie. - Inaczej, przestrzegam, będzie z tobą krucho. Mogę wpłynąć na to, jaki dostaniesz wyrok.

- Coś tam musi być niedobrze z Panem Bogiem - odezwał się nie słuchając - skoro pozwala chodzić po świecie takim istotom jak pani. Trudno doprawdy zrozumieć, w jakim celu płata biednej ludzkości podobne figle. Gdybym ja był Bogiem...

Dalsze jego wywody przerwało wejście kamerdynera.

- Coś się musiało popsuć w telefonach - zameldował. - Druty pewno pokrzyżowane czy co.

Nie mogę połączyć się z centralą.

- Idź zbudzić którego z lokajów, niechaj sprowadzi policjanta, a sam wracaj.

Złodziej i kobieta znowu zostali sami.

- Czy zechce pani odpowiedzieć na jedno pytanie? - zagadnął mężczyzna. - Ten służący wspomniał o jakimś dzwonku. Śledziłem panią jak kot i jestem pewien, że pani nie dzwoniła.

- Dzwonek jest pod stołem, biedny głupcze. Przyciskałam go nogą.

- Dziękuję... Chwilami zdawało mi się, że spotykałem już takich jak pani. Teraz jestem tego pewny. Ja mówiłem szczerze i z zaufaniem, a pani przez cały czas ohydnie kłamała.

Zaśmiała się drwiąco.

- Mów dalej. Mów, co chcesz. To bardzo zajmujące.

- Wabiłaś mnie oczyma, spoglądałaś słodko i łaskawie, wygrywając to, że nosisz spódnicę zamiast spodni, i przez cały ten czas trzymałaś stopę na dzwonku. Doprawdy, to pociecha.

Wolę być biednym Hughie Lukę i odsiedzieć swoje dziesięć lat więzienia niż tkwić w twojej skórze. Takimi kobietami wybrukowane jest dno piekiel.

Zapanowało milczenie, podczas którego Lukę, nie spuszczać jej z oczu, obserwował ją i podejmował jakieś postanowienie.

- Proszę, proszę - nalegała. - Powiedz.

- Owszem, powiem, na pewno powiem. Wie pani, co teraz zrobić? Wstanę z tego krzesła i wyjdę tymi drzwiami. Mógłbym zabrać broń z pani rąk, ale może straciłabyś głowę i wystrzeliła. Zostawiam pani rewolwer. To dobra maszynka. Jak powiedziałem, wyjdę prosto tymi drzwiami, a pani nie wystrzeli. Trzeba mieć odwagę, by zabić człowieka, pani zaś tego brak. Zaczynamy. Proszę się przekonać, czy zdoła pani pociągnąć za cyngiel. Nie zrobię pani nic złego. - Wyjdę tymi drzwiami. Odchodzę.

Wciąż wpatrując się w jej oczy odsunął krzesło i stanął wyprostowany. Kurek rewolweru podniósł się do połowy drogi. Patrzyła na broń. On również patrzył.

- Niech pani naciśnie mocniej - doradzał. - Jeszcze mało. Dalej, pociągnij do końca i zabij człowieka. Zrób tak, jak powiedziałem, zabij, rozwal mu czaszkę, by mózg rozprysnął się po posadzce, albo zrób we mnie dziurę jak twoja pięść. Oto co znaczy zabić.

Kurek rewolweru opadał z drzeniem, ale łagodnie. Mężczyzna obrócił się i powoli zdążył ku drzwiom. Powiodła rewolwerem za jego plecami. Dwukrotnie odwiodła kurek do połowy i dwakroć niechętnie opuściła.

W progu, przed samym wyjściem, mężczyzna obejrzał się na chwilę. Na ustach miał

pogardliwy uśmiech. Odezwał się cicho, niemal szeptem, ale w szepcie tym skupiła się najgłębsza odraza, gdy rzucił jej w twarz słowo ordynarne, niepowtarzalne.

Przełożył Gabriel Karski

Dom pychy

Percival Ford sam właściwie nie wiedział, po co tu przyszedł. Nie tańczył. Wojskowych nie darzył nadmierną sympatią. Rzecz prosta, znał całe towarzystwo, które posuwało nogami i kręciło się w tańcu, tam, na szerokim nadmorskim lanai:[taras] oficerów w świeżo wykrochmalonych białych mundurach, cywilów ubranych na biało lub czarno, kobiety z obnażonymi ramionami. Po dwóch latach postoju w Honolulu dwudziesty pułk odchodził do nowego garnizonu na Alasce, a Percival Ford, jako jedna z ważnych figur na Wyspach Hawajskich, nie mógł uniknąć znajomości z oficerami i ich żonami.

Ale przepaść dzieliła znajomość od sympatii. Pułkowe panie budziły w Fordzie lekki dreszcz przerażenia. Pod żadnym względem nie przypominały kobiet w jego guście - podstarzałych matron, starych panien, dziewic w okularach, nad wyraz statecznych osób wszelkiego wieku, a takie właśnie kobiety spotykał na zebraniach komitetów: kościelnego, bibliotecznego i opieki nad przedszkolem. Te same panie przychodziły do niego upraszając o datki i dobre rady. Miał

władzę nad nimi dzięki swej wyższości umysłowej, wielkiemu bogactwu i wybitnej pozycji, jaką zajmował wśród handlowej arystokracji hawajskiej. Takich kobiet nie bał się ani trochę. Ich płęć nie była wyzywająca. Otóż to właśnie. Odczuwało się w nich coś innego i coś więcej zarazem niż natarczywą pospolitość. Ford był człowiekiem wybrednym, sam dobrze o tym wiedział. Toteż oficerskie damy, z gołymi rękami i obnażonymi plecami, o śmiałym wejrzeniu, tryskające życiem, pełne wyzywającej kobiecości, raziły jego wrażliwą naturę.

Nie lepszego zdania był o oficerach, którzy życie brali lekko, pili, palili i kleli, manifestując najbardziej przyziemne potrzeby ciała w sposób nie mniej bezwstydnym niż ich kobiety. Percival Ford czuł się zawsze źle w towarzystwie wojskowych. Ich też nic do niego nie ciągnęło. Miał

wciąż wrażenie, że się zeń wyśmiewają poza jego plecami albo litują się nad nim, albo ledwie go

tolerują. Poza tym zdawało mu się, że sama ich bliskość wypukła jakieś własne jego niedostatki, że zwracają uwagę na takie swe cechy, których on nie posiada - i chwalić Boga, że nie posiada. Brrr! Tacy sami jak ich żony!

W gruncie rzeczy Percival Ford nie zdradzał ani nadmiaru męskości, ani cech zniewieścienia.

Wystarczyło na niego spojrzeć, by zrozumieć, skąd się to brało. Zbudowany był dobrze, nie wiedział, co to choroba, a nawet lekkie niedomaganie, ale nie dostawało mu żywotności. Jego organizm był bierny. Jeśli w czyichś żyłach kipi gorąca krew, nie wykarmi ona i nie wymodeluje takiej długiej, pociągłej twarzy, takich wąskich warg, chudych policzków i świdrujących oczek.

Strzecha włosów koloru ziemi, sztywnych i rzadkich, świadczyła o jałowości swej gleby, podobnie jak nos, chudy, delikatnie rzeźbiony, przypominający dziób. Cienka krew Percivala Forda nie dodawała mu animuszu i pozwalała na jedną tylko namiętność, a była nią cnota. Jak żyć uczciwie - oto nad czym Ford rozmyślał i co go dręczyło. Jego natura pożywała dobrych uczynków tak samo, jak ludzie ze zwykłej gliny pragną kochać i być kochani.

Ford siedział pod drzewami algaroba, między tarasem a brzegiem morza. Powiódł oczami po tańczących, a potem odwrócił głowę ku morzu i ponad łagodnie pluszczącą falą patrzył na Krzyż Południa, płonący nisko nad widnokresem. Irytowały go nagie ramiona kobiet. Gdyby miał córkę, nigdy by nie pozwolił na coś podobnego, przenigdy! Ale myśl o córce była czystą abstrakcją. Nie towarzyszyło jej żadne wyobrażenie. Nie widział córki, żywej kobiety, z rękami i plecami. Uśmiechnął się na samą myśl o małżeństwie. Miał lat trzydzieści pięć, o miłości nie wiedział nic z własnego doświadczenia, ale żywił w tej sprawie nader trzeźwe poglądy. Miłość to instynkt zwierzęcy. Ożenić się potrafi każdy. Żenili się japońscy i chińscy kulisi, w pocie czoła pracujący na plantacjach trzciny cukrowej i polach ryżowych. Żenili się nieodmiennie przy pierwszej lepszej sposobności. A to dlatego, że żyli na tak niskim poziomie. Nic lepszego nie mieli do roboty. Podobnie jak ci oficerowie i ich kobiety. Ale on, Percival Ford, inne, wyższe cele miał na widoku. Różnił się od nich - od nich wszystkich. Znalazł się na tym świecie w sposób, który napawał go dumą. Nie wydała go na świat pospolita miłość małżeńska. Zrodziło go wzniosłe poczucie obowiązku i gorące umiłowanie Sprawy. Ojciec nie ożenił się z miłości.

Uczucie do kobiety było szaleństwem, które nigdy nie zmąciło spokoju ducha Izaaka Forda.

Kiedy odpowiedział na głos wzywający go, by poszedł między pogan i niósł im słowo boże, nie o małżeństwie myślał i nie żony pragnął. Pod tym względem Percival podobny był do Izaaka Forda, swego rodziciela. Ale Urząd Misyjny oszczędnie gospodarował funduszami. , Z

właściwą Nowej Anglii przezornością dobrze wszystko zmierzył i zważył, nim w końcu orzekł, iż misjonarze żonaci są, przeciętnie rzecz biorąc, mniej kosztowni, a bardziej wydajni. Wobec czego Urząd kazał ożenić się Izaakowi Fordowi. Co więcej, zaopatrzył go w żonę, inną żarliwą duszę, której ani w głowie było małżeństwo, pragnęła bowiem li tylko czynić dzieło boże wśród pogan. Po raz pierwszy ujrzeli się w Bostonie. Urząd ich spiknął i wszystko załatwił. W tydzień później, już jako para małżeńska, wyruszyli w długą podróż dokoła przylądka Horn.

Percival Ford szczycił się tym, że pochodzi z takiego związku. Urodzony na wyżynach, uważał

się za arystokratę ducha. Był dumny z ojca. Uczucie to stanowiło jego namiętność. Prosta, surowa postać ojca napawała go pychą. Na biurku postawił sobie miniaturę tego żołnierza Pana. W sypialni wisiał portret Izaaka Forda z czasów, kiedy ojciec służył Monarchii jako premier. A był nim nie dlatego, by pożądał zaszczytów i bogactw tego świata, lecz jedynie dlatego, iż jako premier, a potem bankier mógł tym większe usługi oddać sprawie duszpasterstwa wśród pogan. Niemcy, Anglicy i cała reszta zgrai handlarzy pokpiwała z Izaaka Forda twierdząc, że kupczy zbawieniem duszyczek. Ale on, syn Izaaka, inaczej patrzył

na te sprawy. Kiedy tubylcy, wyzwoliwszy się nagle z ustroju feudalnego, nie mając najmniejszego pojęcia, co to jest własność ziemi, zaczęli wyzbywać się za bezcen gruntów, właśnie Izaak Ford stanął między tłumem spekulantów a ich łupem i objął w posiadanie rozległe i żyzne ziemie. Nic dziwnego, że zgraja handlarzy nie wspomina go dobrze. A przecież Izaak Ford nigdy nie uważał swoich olbrzymich bogactw za osobistą własność.

Uważał się za sługę bożego. Z dochodów budował szkoły, szpitale, kościoły. Nie jego wina, że cukier, po gwałtownym spadku cen, dawał czterdzieści procent na czysto, że założony przez niego bank mógł sobie pozwolić na sfinansowanie kolei żelaznej, że, między innymi, pięćdziesiąt tysięcy akrów pastwiska w Oahu, za które swego czasu Ford płacił po dolarze za akr, rodziło potem osiem ton cukru z akra co osiemnaście tysięcy. O nie, Izaak Ford był ponad wszelką wątpliwość postacią bohaterską, godną stanąć - tak w skrytości ducha myślał Percival

- obok pomnika Kamehameha I przed gmachem sądu. Izaak Ford odszedł z tego świata, ale on, jego syn, prowadzi dalej zbożne dzieło ojca równie twarda, jeśli nie tak samo świetną, ręką.

Znów spojrzał na lanai. "Jaka jest różnica - pytał sam siebie - między bezwstydnym hula tańczonym przez Hawajki, przepasane girlandą z traw, a tymi płasami wydekoltowanych kobiet mej własnej rasy? Czy jest jakaś istotna różnica, czy też są to tylko dwa stopnie tego samego bezwstydu?"

Podczas gdy ważył w myślach ten problem, jakaś ręka spoczęła na jego ramieniu.

- Halo, Ford, co ty tu robisz? Czy to trochę nie za wesołe dla ciebie?

- Staram się być pobłażliwy, nawet gdy widzę, co się tu dzieje, doktorze Kennedy - odparł

Percival z powagą. - Siądź na chwilę.

Doktor Kennedy usiadł i głośno klasnął w dłonie. Natychmiast zjawił się biało ubrany kelner Japończyk.

Doktor zamówił whisky z wodą sodową, po czym zwrócił się do milionera:

- Tobie, oczywiście, nie proponuję.

- Owszem, też bym się czegoś napił - odrzekł Ford stanowczym tonem. Doktor zrobił wielkie oczy, kelner czekał. - Proszę lemoniadę.

Doktor, widząc, że Ford zazartował sobie z niego, roześmiał się serdecznie i popatrzył na

muzykantów pod drzewem hau.

- Co to? Orkiestra "Aloha". Zdawało mi się, że we wtorki wieczorem grają zawsze w Hotelu Hawajskim. Coś tu się pokiełbało.

Przez chwilę zatrzymał wzrok na jednym z muzyków, grającym na gitarze i śpiewającym hawajską piosenkę przy wtórze wszystkich instrumentów. Twarz doktora spoważniała, kiedy patrzył na śpiewaka, i pozostała poważna, gdy zwrócił się do swego towarzysza.

- Słuchaj, Ford - powiedział - czy nie uważasz, że mógłbyś już zostawić w spokoju Joe Garlanda? Podobno sprzeciwiłeś się wnioskowi Komisji Popierania Rozwoju Wysp, która chce wysłać Garlanda do Stanów w związku z ofertą sprzedaży nart wodnych. Chciałem o tym z tobą pomówić. Sądziłem, że chętnie byś się go stąd pozbył. Skończyłoby się to prześladowanie.

- Prześladowanie? - Brwi Percivala Forda uniosły się pytająco.

- Nazwij to, jak chcesz - ciągnął Kennedy. - Szczułeś tego biedaka całymi latami. Przecież to nie jego wina. Sam musisz przyznać.

- Nie jego wina? - Cienkie wargi Percivala Forda ściągnęły się mocno. - Joe Garland to rozpustnik i wałkoń. Nigdy grosza nie szanował.

- Ale to jeszcze nie powód, żebyś mu tak deptał po piętach. Obserwuję cię od początku.

Pierwszym twoim krokiem po powrocie ze studiów było wylanie Garlanda z plantacji, na której pracował jako przychodni luna. Ty, wielki milioner, i on, zarabiający sześćdziesiąt dolarów miesięcznie!

- Nie był to wcale mój pierwszy krok - odparł Percival Ford apodyktycznym tonem, jakiego zwykł używać na posiedzeniach komitetów. - Ostrzegałem go. Zarządzający plantacji twierdził, że Garland jest zdolnym robotnikiem. Pod tym względem nic przeciwko niemu nie miałem.

Szło mi o to, co robił po pracy. Burzył moje dzieło, zanim udało mi się je zbudować. Jakiż sens miały moje szkoły niedzielne i wieczorowe oraz kursy krawieckie, kiedy wieczorami zjawił się Joe Garland ze swoim wiecznym piekielnym brząkaniem na gitarze i ukulele, pił na zabój i tańczył hula! Po udzieleniu mu ostrzeżenia poszedłem do niego - nigdy tego nie zapomnę -

poszedłem do robotniczych baraków. Był wieczór. Już z daleka słyszałem, że śpiewają hula. A potem zobaczyłem tam dziewczyny, bezwstydne, tańczące przy księżycu, te same dziewczęta, nad którymi tyle pracowałem, żeby je nauczyć czystego, cnotliwego życia. Trzy z nich, pamiętam doskonale, właśnie ukończyły szkołę misyjną. Oczywiście zwolniłem Joe Garlanda. Wiem, że to samo robił w Hilo. Ludzie mówili, że się wtrącam do nie swoich spraw, kiedy przekonałem Masona i Fitcha, by wyrzucili go z pracy. Aie sami misjonarze mnie o to prosili. Garland niszczył ich dzieło swym złym przykładem.

- Później, kiedy pracował na kolei, twojej własnej kolei, wyrzucono go bez żadnego powodu -

nacierał Kennedy.

- Wcale nie - padła szybka odpowiedź. - Wezwałem go do mego gabinetu i rozmawiałem z nim pół godziny.

- Wyrzuciłeś go za nieróbstwo?

- Za niemoralne życie, proszę szanownego pana. Doktor roześmiał się sarkastycznie.

- Kto, u diabła, dał ci prawo ferowania wyroków? Czy to, że jesteś obszarnikiem, daje ci władzę nad nieśmiertelnymi duszami tych, którzy uginają karków na twoich gruntach? Jestem twoim lekarzem domowym. Czy mam się spodziewać, że jutro zadekretujesz, bym przestał pić whisky z wodą sodową, bo inaczej popadnę w niełaskę? Ba! Bierzesz życie zbyt serio, mój drogi. Poza tym, kiedy Joego przyłapali na szmuglu (nie pracował już wtedy u ciebie) i przysłał

ci kartkę z prośbą, żebyś zapłacił za niego grzywnę, pozostałeś głuchy na prośbę i chłopak musiał odbyć karę sześciu miesięcy ciężkich robót na rafach. Pomyśl, wystawiłeś go na pastwę losu. Brutalnie odepchnąłeś od siebie. A przecież pamiętam dzień, kiedy przyszedłeś do szkoły. Myśmy mieszkali w internacie, ty przychodziłeś tylko na lekcje. Trzeba cię było ochrzcić. Trzy razy nura do basenu pływackiego - jak pamiętasz, taka była przepisowa porcja dla każdego nowicjusza. A tyś się cofnął. Powiedziałeś, że nie umiesz pływać. Byłeś wystraszony, histeryzowałeś...

- Tak, wiem - wycedził Percival Ford. - Byłem wystraszony. I skłamałem, bom umiał pływać...

Ale się bałem.

- Czy pamiętasz, kto cię wtedy bronił? Kto kłamał za ciebie więcej niż ty sam? Kto przysięgał, że na pewno nie umiesz pływać? Kto skoczył do basenu i wyciągnął cię po pierwszym zanurzeniu i kogo za to chłopcy omal nie utopili, bo zdążyli zauważyć, że jednak umiesz pływać?

- Oczywiście, wiem o tym - odparł Ford chłodno - ale jeden szlachetny uczynek w młodych latach nie rozgrzesza całego późniejszego życia wypełnionego złymi postępkami.

- Garland nie zrobił ci nigdy nic złego, to znaczy nie uczynił tego osobiście, bezpośrednio?

- Nie - brzmiała odpowiedź Percivala Forda. - Dlatego właśnie moje stanowisko jest bez zarzutu. Nie mam do niego żadnych pretensji osobistych. Jest niedobrym człowiekiem, i tyle.

Jego życie jest złe...

- Inaczej mówiąc, nie zgadza się z twoim poglądem na to, jak trzeba żyć - przerwał doktor.

- Niech ci będzie. To nie ma znaczenia. Joe nic nie robi...

- Z tej prostej przyczyny, że wypędzasz go z każdej pracy.

- Jest niemoralny...

- Eee, daj spokój, Ford. Wciąż ta sama piosenka. Jesteś nieodrodnym dzieckiem Nowej Anglii.

Garland to półkanak. Twoja krew jest letnia, jego - gorąca. Życie co innego znaczy dla ciebie, a co innego dla Garlanda. On idzie przez życie śmiejąc się, śpiewając i tańcząc, radosny, życzliwy ludziom, naiwny jak dziecko, każdemu przyjaciel. Ty jesteś objazdowa ambona, przyjaźnią darzysz tylko ludzi prawych, a kto jest prawym człowiekiem, ty wiesz najlepiej. A któż wie naprawdę? Ty wiesz żywot pustelnika, Joe Garland żyje zdrowo. Który z was więcej ma z życia? Za to, że żyjemy, otrzymujemy zapłatę. Kiedy płaca jest zbyt nędzna, człowiek rzuca robotę. Oto, możesz mi wierzyć, przyczyna każdego świadomego samobójstwa. Joe Garland umarłby z głodu, gdyby miał żyć z pensji, jaką tobie płaci życie! On jest, widzisz, z innej gliny. A ty także zamorzyłbyś się na śmierć, gdybyś miał z życia to co on: śpiew, miłość...

- Żądem, jeśli łaska - przerwał Ford. Doktor Kennedy uśmiechnął się.

- Dla ciebie słowo miłość nie oznacza nic więcej poza tym, coś o nim wyczytał w słowniku. Ale miłości prawdziwej, czystej jak rosa, czulej i drżącej - nie znasz. Jeśli Bóg stworzył ciebie i mnie, jeśli stworzył mężczyzn i kobiety, to możesz mi wierzyć - stworzył także miłość. Wróćmy jednak do rzeczy. Pora, żebyś przestał szcuć Joe Garlanda. To niegodne ciebie, tchórzliwe.

Powinieneś podać mu rękę.

- Czemuż to ja, a nie ty na przykład? - zapytał Ford. - Dlaczego ty nie podasz mu ręki?

- Owszem, pomagałem mu i właśnie teraz staram się pomóc. Usiłuję nakłonić cię, byś nie odrzucił wniosku Komisji zalecającej wysłanie go do Stanów. Pracę w Hilo u Masona i Fitcha też ja mu znalazłem. Sześć razy wystarałem mu się o posadę i sześć razy ty go przepędziłeś.

Mniejsza z tym. Pamiętaj tylko o jednym - odrobina szczerości ci nie zaszkodzi - to brzydko cudzą winą obarczać Joe Garlanda. Wiesz dobrze, że jesteś tu osobą najmniej powołaną.

Dobrego smaku, mój stary, to nie dowodzi. To po prostu nieprzyzwoitość.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz - odparł Percival Ford. - Opętała cię jakaś mętna teoria naukowa dziedziczności i nieodpowiedzialności osobistej. Ale jaka teoria może uwolnić od odpowiedzialności za złe postęпки Joe Garlanda, a jednocześnie uczynić odpowiedzialnym za te postęпки mnie, i to w wyższym stopniu niż kogokolwiek innego, niż samego Garlanda - tego ani rusz nie mogę zrozumieć.

- Coś mi się zdaje, że tylko subtelność i dobry smak nie pozwalają ci mnie zrozumieć -

parsknął doktor. - Wszystko to bardzo pięknie, można ze względów towarzyskich o pewnych rzeczach nie mówić, ale ty posunąłeś się dalej.

- A cóż ja ukrywam? Bądź łaskaw powiedzieć.

Doktor Kennedy był zły. Rumieńce po normalnej porcji whisky nagle znacznie mu pociemniały.

- Nie przyznajesz się do syna twego ojca - powiedział.

- Cóż to ma znaczyć?

- Do kroćset tysięcy, człowieku! Powiedziałem ci chyba całkiem wyraźnie. Ale chcesz, proszę bardzo: syn Izaaka Forda... Joe Garland - twój brat.

Percival Ford milczał. Na jego twarzy malowała się irytacja i zgorzienie. Kennedy przyglądał mu się z zaciekawieniem. Minęło kilka długich minut. Doktor zmieszał się i przestraszył.

- Mój Boże! - zawołał. - Nie powiesz mi chyba, że nie wiedziałeś o tym.

Jak gdyby w odpowiedzi policzki Percivala Forda zbieleły. - To potworny żart - odezwał się - potworny. Doktor opanował się.

- Wszyscy o tym wiedzą - zaczął. - Myślałem, że ty także wiesz. A jeśli było inaczej, pora, byś się dowiedział. Rad jestem, że miałem okazję otworzyć ci oczy. Joe Garland i ty jesteście braćmi - przyrodnimi braćmi.

- To kłamstwo! - krzyknął Ford. - Sam nie wiesz, co mówisz. Matką Joe Garlanda była Eliza Kunilio. (Doktor skinął głową). Pamiętam ją dobrze, miała staw z kaczkami i zagon taro. Ojcem był Joseph Garland, znany nygus. (Doktor potrząsnął głową). Umarł jakieś dwa, trzy lata temu.

Alkoholik. Dlatego i Joe jest ladaco. Oto twoja dziedziczność.

- I nikt ci nie powiedział? - zapytał po chwili doktor z nutą zdziwienia.

- Doktorze Kennedy, powiedział pan straszną rzecz. Nie mogę tego puścić mimo uszu. Albo pan przedstawi dowody, albo...

- Sam się przekonaj. Odwróć się i popatrz. Widzisz go teraz z profilu. Spójrz na jego nos. To nos Izaaka Forda. Twój jest słabszą odbitką ojcowskiego. Patrz. Linie nosa Garlanda są grubsze, poza tym wszystko się zgadza.

Percival Ford patrzył na mieszańca, który grał na gitarze pod drzewem hau. Zdawało mu się, że doznał przywidzenia i patrzy na widmo własnej osoby. Rys po rysie oślepiał nieodpartym podobieństwem. Nie, to raczej on, Percival Ford, był cieniem tego muskularnego, doskonale zbudowanego mężczyzny. A rysy jednego i drugiego wyraźnie przypominały Izaaka Forda. I nikt mu o tym nie powiedział! Dobrze znał twarz ojca. Miniatury, portrety i fotografie ojca przesuwwały mu się w pamięci i raz po raz dostrzegał w twarzy muzykanta wyraźne lub ukryte podobieństwa. Tylko dziełem szatana mogło być to odtworzenie surowego oblicza Izaaka Forda w miękkich i zmysłowych rysach Garlanda. Nagle muzykant odwrócił się ku nim.

Percivalowi błysnęła myśl, że oto widzi ojca nieboszczyka, który patrzy nań z twarzy Joe Garlanda.

- To drobiazg - słyszał jakby z daleka głos doktora. - Swego czasu wszystko się tu przemieszało. Sam wiesz, jak było. Patrzyłeś na to przez całe życie. Marynarze poślubiali królowe, płodzili księżniczki, i tam dalej. Zwykła to była rzecz na Wyspach Hawajskich.

- Ale nie dla mojego ojca - przerwał Percival Ford.

- Ano właśnie - Kennedy wzruszył ramionami. - Siła kosmiczna, instynkt życia. Stary Izaak Ford był człowiekiem sztywnym jak drut i tam dalej. Wiem, że stało się coś niepojętego, najbardziej niepojętego dla Izaaka. On sam nie więcej z tego rozumiał niż ty. Instynkt życia, i basta. Pamiętaj o jednym: Izaak Ford miał w żyłach odrobinę niespokojnej krwi i Joe Garland odziedziczył ją wraz z całym instynktem życia i siłą kosmiczną, a tyś przejął po ojcu wszystką krew ascety. Jeśli więc masz krew zimną, dobrze ułożoną i posłuszną, to jeszcze nie powód, żebyś się boczył na Joe Garlanda. Kiedy Joe obraca wniwecz twoje dzieło, nie wolno ci zapominać, że to Izaak Ford stoi po obu stronach i jedną ręką niszczy to, co zrobił drugą.

Powiedzmy sobie szczerze: ty jesteś prawą ręką Izaaka, a Joe Garland - lewą.

Percival Ford nic nie odpowiedział. Doktor Kennedy wypił resztę whisky, o której zapomniał w czasie rozmowy. Zza tarasu dał się słyszeć hałaśliwy klakson samochodu wzywający doktora.

- Jest mój wóz - powiedział wstając doktor. - Muszę jechać. Przykro mi, żeś tak się przejął tym, co ci powiedziałem, ale swoją drogą dobrze się stało. Wiedz jedno: Izaak Ford miał tylko odrobinę bujnej krwi i ta krew w całości dostała się Joe Garlandowi. I jeszcze jedno. Jeśli lewa ręka twego ojca podniesie się na ciebie, nie obcinaj jej. Zresztą Joe to równy chłopak.

Szczerze mówiąc, gdybym miał wybierać, z którym z was wolałbym mieszkać na bezludnej wyspie, wybrałbym Joego.

Małe, boscie dzieci baraszkowały obok na trawie, ale Percival Ford ich nie widział. Wpatrywał się uporczywie w śpiewaka pod drzewem hau. Przesiadł się nawet, żeby być bliżej niego.

Urzędnik z portu przechodził w pobliżu, powłócząc starymi nogami, które odmawiały mu posłuszeństwa. Od czterdziestu lat mieszkał na Wyspach. Percival Ford kiwnął na niego.

Stary podszedł z wielkim szacunkiem. Zdziwił się, że Percival Ford był łaskaw go zauważyć,

- John - zaczął Ford. - Chcę się od ciebie czegoś dowiedzieć. Siadaj, proszę.

Urzędnik usiadł niezgrabnie, oszołomiony niespodziewanym zaszczytem. Przymrużył oczy.

spojrzał na Forda i wyjąkał:

- Tak, panie prezesie, dziękuję.

- Słuchaj, John, kim jest Joe Garland?

Jahn wpatrzył się w niego, zmrużył oczy, chrząknął i nic nie powiedział.

- Gadaj - rozkazał Percival Ford. - Kim on jest?

- Pan prezes żartuje sobie ze mnie - zdołał wykrztusić stary.

- Pytałem całkiem serio.

Urzędnik cofnął się.

- Czyżby pan nie wiedział? - Pytanie to było już odpowiedzią.

- Chcę się dowiedzieć.

- Otóż Joe... - zaczął John i bezradnie rozejrzał się wokół. - A może lepiej by się pan spytał kogo innego? Wszyscy myśleli, że pan wie. Myśmy zawsze...

- Tak, mów dalej.

- Myśmy zawsze myśleli, że właśnie dlatego pan się go czepia.

Fotografie i miniatury Izaaka Forda roily się w mózgu jego syna. Duch Izaaka Forda zdawał się unosić w powietrzu.

- Dobrej nocy życzę panu prezesowi - dosłyszał Percival i zobaczył, że urzędnik chce pokuśtykać dalej.

- John! - krzyknął.

John wrócił i stanął przy nim, mrugając powiekami i nerwowo oblizując wargi.

- I nie powiedziałeś mi.

- Ach, o Garlandzie?

- Tak, o Garlandzie. Kim on jest?

- Jest pańskim bratem, panie prezesie. Mówię to, co powie każdy. - Dziękuję, John. Dobranoc.

- To pan nie wiedział? - zapytał stary. Najgorsze miał już za sobą i chętnie by teraz został.

- Dziękuję, John. Dobranoc - powtórzył Ford.

- Tak jest, panie prezesie, dziękuję, panie prezesie. Znosi się na deszcz. Dobranoc, panie prezesie.

Z czystego nieba przyprószonego gwiazdami i poświatą księżyca spadł nagle deszcz drobny i lekki

jak mgiełka. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Dzieci dalej bawiły się biegając boso po trawie i skacząc na piasek. Deszczyk szybko przeleciał. Na południowym wschodzie Diamentowa Głowa rysowała się ostro czarną plamą w kształcie greckiej wazy na tle wygwieżdżonego nieba. Senne fale przyływu pryskały pianą na piasek i rosły murawę. Daleko widniały w świetle księżyca czarne plamki głów pływaków. Zamilkł chór śpiewający walca i wśród ciszy, gdzieś pod drzewami, zabrzmiał kobiecy śmiech, krzyk miłości. Percival Ford wzdrygnął się i przypomniał sobie słowa doktora. Przy czółnach wyciągniętych na piasek ujrzał tubylców, mężczyzn i kobiety, spoczywających leniwie niby "zjadacze lotosu". Niewiasty były w białych holoku. Na tle jednego holoku ujrzał czarną głowę sternika wspartą na kobiecym ramieniu.

Nieco dalej, w miejscu gdzie pasmo piasku rozszerzało się u wejścia do laguny, Ford dostrzegł parkę idącą ramię w ramię. Kiedy podeszli do oświetlonego lanai, zauważył, że kobieta uwolniła się od męskiego ramienia, które obejmowało jej kibić. Gdy go mijali, Ford poznał w mężczyźnie znajomego kapitana, a w niej - córkę majora, i skinął im głową. Instykt życia - otóż to, świetnie powiedziane. I znów spod ciemnego drzewa algaroba rozległ się kobiecy śmiech, który był krzykiem miłości. Obok fotela Forda przeszła bona Japonka.

Prowadziła za rękę i strofowała bosego chłopczyka, który musiał już iść do łóżka. Śpiewacy cicho i słodko zanucili hawajską pieśń miłosną. Oficerowie i ich damy, objawszy się, znów sunęli i wirowali na lanai. I jeszcze raz zaśmiała się kobieta pod drzewami algaroba.

Percivalowi Fordowi wszystko to bardzo się nie podobało. Irytował go miłosny śmiech kobiety i sternik, co złożył głowę na białym holoku, i pary, które spacerowały na brzegu morza, i oficerowie tańczący z paniami, i głosy śpiewaków opiewające miłość, i jego brat, który śpiewał

wraz z nimi pod drzewem hau. Najbardziej jednak drażnił go ów śmiech kobiecy. Dziwne myśli przysły mu do głowy. Był synem Izaaka Forda i co się przytrafiło ojcu, zdarzyć się może synowi. Na myśl o tym poczuł na policzkach blady rumieniec i doznał uczucia dojmującego wstydu. Przerażeniem napawało go to, co miał w krwi. To tak, jakby się nagle dowiedział, że jego ojciec był trędowaty i że on sam może mieć we krwi zarazek tej strasznej choroby. Izaak Ford, surowy żołnierz Pana - stary obłudnik! Czymże się różnił od byle nygusa? Dom pychy, wzniesiony przez Percivala Forda, walił mu się na głowę.

Mijały godziny, towarzystwo pułkowe śmiało się i tańczyło, hawajska orkiestra grała, a Percival Ford mocował się z problemem, który nagle go przytłoczył. Oparłszy łokieć o stół, skłonił

głowę na rękę. Sprawiał wrażenie znużonego obserwatora, lecz po cichu odmawiał pacierze.

W przerwach między tańcami wojskowi, ich panie i cywile podchodzili do niego i coś tam uprzejmie brzęczeli. A kiedy wracali na taras, Ford podejmował walkę w miejscu, gdzie ją przerwał.

Zaczął składać na nowo ideał Izaaka Forda, który mu się rozleciał w kawałki. Jako cementu użył chytrej i wyrafinowanej logiki. Było to spoidło z gatunku tych, jakie powstają w chemicznych laboratoriach mózgow egotystów. Działo doskonale. Nie ulegało wątpliwości, że ojciec stworzony był z lepszej gliny niż jego otoczenie, a przecież stary Izaak jeszcze się formował. Dopiero on, Percival Ford, osiągnął doskonałość. Na dowód tego zrehabilitował

ojca, a sam równocześnie wznosił się wyżej. Jego mizerna osoba urastała do olbrzymich rozmiarów. Był dostatecznie wielki, aby przebaczyć. Rozpłomieniała go ta myśl. Izaak Ford był

wielki, ale on jest większy, bo potrafi przebaczyć Izaakowi, a nawet wzniesć go znów w swej pamięci na piedestał, co prawda nie tak już święty jak dawniej. Wyrażał nawet podziw Izaakowi Fordowi za to, że odwrócił się plecami do owocu swego jedyne go fałszywego kroku.

Doskonale, on też owoc ten zignoruje.

Tańce dobiegały końca. Orkiestra zagrała "Aloha Oe" i zbierała się do odejścia. Percival Ford klasnął w dłonie. Zjawił się kelner Japończyk.

- Powiedz temu człowiekowi, że chcę z nim mówić - Ford wskazał palcem Joe Garlanda. -

Niech zaraz tu przyjdzie.

Joe Garland podszedł i przez szacunek dla Forda zatrzymał się parę kroków dalej, nerwowo przebierając palcami struny gitary, którą trzymał jeszcze w ręce. Percival nie prosił go, by usiadł.

- Jesteś moim bratem.

- Hm, wszyscy o tym wiedzą. - W odpowiedzi brzmiała nuta zdziwienia.

- Tak, słyszałem - sucho odparł Percival Ford. - Ale ja dowiedziałem się o tym dopiero dziś wieczór.

Nastąpiło milczenie. Przyrodni brat czekał zmieszany, a Percival Ford chłodno obmyślał następne zdanie.

- Pamiętasz, jak przyszedłem do szkoły i chłopcy wrzucili mnie do wody? - zapytał. - Dlaczego mnie broniłeś?

Przyrodni brat uśmiechnął się nieśmiało.

- Bo wiedziałeś?

- Tak, dlatego.

- Ale ja nie wiedziałem - dodał Percival równie sucho jak przedtem.

- Tak.

Znów zapadło milczenie. Służba zaczęła gasić światła na lanai.

- Ale dziś... pan wie - powiedział przyrodni brat.

Percival Ford zmarszczył brwi. Potem uważnie przyjrzał się tamtemu.

- Ile chcesz za to, że wyjedziesz stąd i nigdy nie wrócisz?

- Nigdy nie wrócę? - wyjąkał Joe Garland. - To jedyny kraj, jaki znam. W innych krajach jest zimno. Nie znam ich. Tu mam wielu przyjaciół. Tam nikt mi nie powie: "Aloha, Joe, mój drogi!"

- Powiedziałem: nigdy nie wrócisz - powtórzył Percival Ford. - "Alameda" odpływa jutro do San Francisco.

Joe Garland był zdumiony.

- Ale dlaczego? - zapytał. - Przecie już pan wie, że jesteśmy braćmi.

- Właśnie dlatego. Jak sam powiedziałem, wiedzą o tym wszyscy. Zapłacę ci tak, że nie pożałujesz.

Cała nieśmiałość i zakłopotanie zniknęły z twarzy Joe Garlanda. Nie dzieliła ich już przepaść urodzenia i pozycji społecznej.

- Chcesz, żebym wyjechał?

- Chcę, byś wyjechał i nigdy nie wrócił - odparł Percival.

W tej krótkiej chwili, która błysnęła i zgasła, dane mu było zobaczyć, jak brat wyrasta przed nim niczym góra, a on sam kurczy się i maleje do rozmiarów mikroskopijnej drobiny. Nie jest jednak dobrze ujrzeć swój prawdziwy obraz ani nie można tak długo patrzeć na siebie i żyć.

Toteż tylko na mgnienie oka Percival ujrzał siebie i brata w świetle prawdy, po czym znów opanowało go nędzne i nienasycone "ja".

- Jak powiedziałem, bardzo ci się to opłaci. Nie będzie ci źle. Dobrze zapłacę.

- Dobra jest - powiedział Joe Garland. - Wyjadę.

Odwrócił się i chciał odejść.

- Joe! - zawołał tamten. - Jutro rano wstąp do mojego adwokata. Pięćset dolarów z góry i dwieście miesięcznie, póki będziesz się trzymał z dala od Wysp.

- Jesteś bardzo dobry - cicho odpowiedział Joe Garland. - Jesteś zbyt dobry. W każdym razie, twoich pieniędzy nie potrzebuję. Jutro odjadę na "Alamedzie".

Odszedł bez pożegnania.

Percival Ford klasnął w dłonie.

- Kelner - powiedział do Japończyka - lemoniada!

Siedział nad lemoniadą i długo z zadowoleniem uśmiechał się do siebie.

Przełożył Kazimierz Piotrowski

Farmer morski

- To będzie szalupa doktora - odezwał się kapitan Mac Elrath.

Pilot mruknął twierdząco, a kapitan omiół spojrzeniem przez lornetkę najpierw motorówkę, później skrawek plaży, leżące za nim Kingston oraz wysunięte najdalej ku północy wejście do Howth Head.

- Przyptyw, jak trzeba - powiedział pilot siląc się na ton pogodny. - Za dwie godziny stanie pan u nabrzeża. Basen portowy Ring's End, prawda?

Tym razem kapitan przytaknął pomrukiem.

- Paskudny dzień, jak to w Dublinie - zaczął znów pilot.

Kapitan mruknął ponownie. Był zmęczony, bo miał za sobą sztormową noc w Kanale Irlandzkim i wiele godzin spędzonych na mostku. Znużyła go też cała długa podróż, która od portu macierzystego do portu macierzystego trwała dwa lata i cztery miesiące - osiemset piętnaście dni według dziennika okrętowego.

- Całkiem zimowa pogoda - podjął po chwili milczenia. - Miasto kiepsko widać. No i solidny deszcz zapowiada się na cały dzień.

Kapitan Mac Elrath był mężczyzną niskiego wzrostu - tyle że bez kłopotu mógł wyjrzeć nad brezentową osłonę mostku. Górowali nad nim pilot i trzeci oficer, a także marynarz u steru -

dezertor z okrętu wojennego, tęgi i rostry Niemiec, który zamustrował w Rangunie. Ale mimo niedoboru cali kapitan Mac Elrath wyróżniał się energią i zdolnościami. W każdym razie tak sądziła dyrekcja towarzystwa żeglugowego, o czym by się dowiedział, gdyby mógł uzyskać dostęp do swoich akt personalnych, prowadzonych drobiazgowo i przechowywanych w archiwum. Jednakże dyrekcja ani razu nie napomknęła, jak znacznym darzy go zaufaniem.

Nie zwykła tak postępować. Kierowała się zasadą, by pod żadnym pozorem nie budzić w pracowniku przekonania, że jest niezastąpiony albo nawet szczególnie przydatny. Chętnie karciała, pochwał nie udzielała nigdy. Kim ostatecznie był kapitan Mac Elrath? Szyprem -

jednym z osiemdziesięciu kilku kapitanów dowodzących osiemdziesięcioma kilkoma statkami towarowymi, które należały do towarzystwa żeglugowego i przemierzały wszystkie wielkie gościńce, wszystkie boczne ścieżki oceanów i mórz.

Poniżej mostku, na głównym pokładzie, którego zardzewiałe żelazne płyty opowiadały własną posępną historię o wadze i ciosach potężnych fal, dwaj chińscy palacze przeszli niosąc śniadanie w kierunku dziobu. Marynarz z załogi pokładowej zdejmował właśnie linę sztormową rozciągniętą nad lukami ładowni i dźwigami, między dziobówką a trapem wiodącym z pokładu na mostek.

- Ciężki rejs - odezwał się znów pilot.

- Aha. Czasem bywało kiepsko, ale nie tyle chodzi mi o to, ile o stratę czasu. Diabło nie lubię tracić czasu.

Mówiąc to kapitan odwrócił się, spojrział w stronę rufy, wyżej i niżej, a pilot podążając za jego wzrokiem otrzymał nieme, lecz wiele znaczące wyjaśnienie. Brązowo malowany komin powlekała biel soli, syrena połyskiwała krystalicznie w zmiennych przeblyskach słońca sunącego między strzępami chmur. U lewej burty brakowało łodzi ratunkowej, a jej skrzycone i powyginane żurawiki świadczyły o potędze uderzeń, jakie odbierał stary "Tryapsic". U prawej burty żurawiki były również puste. Zdruzgotany wrak łodzi ratunkowej, którą podtrzymywały niegdyś, leżał na górnej części szybu maszynowni, obok rozbitego świetlika, osłoniętego teraz plandeką. Niżej, ku prawej burcie, pilot zobaczył na pokładzie średniówki drzwi mesy, mocno nadwerżone atakami wysokiej fali. Obok drzwi bosman i marynarz zdejmowali ze sztagów kominowych ogromną czworokątną sieć z lin, która, jak widać, nie osłabiła siły tych ataków.

- Już dawniej dwa razy wspominałem armatorom o tych cholernych drzwiach - podjął kapitan Mac Elrath. - I co? Gadali, że wytrzymają. Nie wytrzymały. Napotykałem wielkie fale, a największa dała radę przekłętym drzwiom. Jak je wypchnęła, padły płasko na stół mesy i zrujnowały kabinę pierwszego mechanika. Strasznie się złościł.

- Fala musiała być cholernie duża - bąknął pilot tonem zrozumienia i współczucia.

- Pewno że tak! Przez jakiś czas ruszało się wszystko. No i ta fala wykończyła pierwszego oficera. Stał ze mną na mostku, więc mu powiedziałem, żeby zajrzał do luku pierwszej ładowni. "Tryapsic" czerpał wodę, no i niepokoiłem się trochę o tę pierwszą ładownię.

Wszystko to wyglądało podejrzanie. Zaczynałem już kombinować, czy nie stanąć w dryf do rana, kiedy przyszła ta fala: cholernie duża, jak Boga kocham! Nawet nam, na mostku, dostało się trochę. Z początku nie zauważyłem braku pierwszego oficera, bo trzeba było zająć się tym i owym, postawić wywalone drzwi, zakryć plandeką świetlik szybu maszynowni. Później nie mogliśmy go nigdzie znaleźć. Człowiek u steru mówił, że widział, jak pierwszy oficer zląził po trapie, kiedy rąbnęła w nas ta fala. Szukaliśmy na dziobie i w jego kabinie, i w maszynowni, no i w końcu był na dolnym pokładzie, po obu stronach osłony przewodu doprowadzającego parę do wind rufowych.

Pilot zaklął z podziwem i zgrozą.

- Trudno powiedzieć inaczej - ciągnął kapitan z nutą przemęczenia w głosie. - Był po obu stronach przewodu, rozplątany równiutko jak śledź. Fala musiała go przyłapać między górnym pokładem i pokładem średniówki, przenieść nad szybem kotłowni i głową do przodu rzucić na osłonę przewodu parowego. Dostał między oczy, a dalej przecięło go jak masło, na dwie połowy, tak że przy jednej została ręka i noga i przy drugiej została ręka i noga. Okropny widok! Złożyło się go, owinęło w brezent, no i za burtę.

Pilot zaklął powtórnie.

- Nie ma się czym przejmować - uspokoił go kapitan Mac Elrath. - Musiało się skończyć czymś podobnym. Z tego pierwszego oficera był kiepski marynarz. Nadawałby się może do roboty, za

przepraszaniem, w chlewie, a i to nie najlepiej.

Podobno istnieją trzy kategorie Irlandczyków - katolicy, protestanci i ci z Irlandii północnej, czyli przesiedleni Szkoci. Kapitan Mac Elrath pochodził z Irlandii północnej i chociaż miał

najczystszy szkocki akcent, nic nie mogło rozdrażnić go bardziej niż omyłka co do narodowości. Był Irlandczykiem i mocno przy tym obstawał, chociaż lekceważąco wydymał

wargi mówiąc o rodakach z Irlandii południowej lub nawet protestantach spod znaku domu Orańskiego. Należał do kościoła prezbiteriańskiego, a w jego gminie protestantom spod znaku domu Orańskiego nie udało się nigdy zebrać na modły więcej niżli pięciu wiernych. Jego gmina to wyspa McGill, gdzie siedem tysięcy ludzi zbliżonego pokroju żyje w tak przykładowej zgodzie i trzeźwości, że wystarcza im jeden policjant, a szynku nie ma wcale.

Kapitan Mac Elrath nie lubi morza, nie lubił nigdy. Czerpał z niego środki utrzymania, więc morze stanowiło miejsce, w którym pracował, jak fabryka, sklep, kantor stanowią miejsca, w których pracują inni. Romantyczność nie śpiewała mu syrenich pieśni, duch przygody nie rozplomieniał jego leniwej krwi. Nie posiadał wyobraźni. Nie rozumiał wymowy bezkresnych głębin. W jego pojęciu tornada, huragany, trąby wodne, zmienne fale pływów były jedynie przeszkodami dla statku na wodzie oraz dla kapitana na mostku. Nie widząc ich, widywał

nieprzeliczone cudowności i dziwy dalekich krain. Pod jego powiekami gorzały w bezwstydnym glorii morza tropików lub dęły chłodem sztormy na północnym Atlantyku czy południowym Pacyfiku. Ale wspomnienia o tym wszystkim ograniczały się do wywalonych drzwi mesy, zmywanych falami pokładów, zagrożonych luków, nadmiernego zużycia węgla, opóźnień rejsów, nagłych ulew, co splukiwały świeżo nałożoną farbę.

- Znam swoją robotę - powtarzał często i nie przyjmował do wiadomości niczego, co znajdowało się poza jego robotą, to znaczy wszystkich rzeczy, które oglądał na własne oczy nie podejrzewając ich istnienia. Jego armatorzy wiedzieli, że kapitan Mac Elrath zna swoją robotę; w przeciwnym razie nie powierzyliby mu "Tryapsica", który miał trzy tysiące ton rejestrowych pojemności netto, brał ładunek dziewięciu tysięcy ton i kosztował pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Kapitan Mac Elrath wybrał morze nie z zamiłowania, lecz z woli losu, ponieważ przyszedł na świat jako drugi, nie pierwszy, syn swojego ojca. Wyspa McGill ma określoną powierzchnię, więc na roli może pracować tylko określona liczba jej mieszkańców. Nadwyżka - i to duża nadwyżka - z musu idzie na morze, by szukać chleba. Dzieje się tak od wielu pokoleń.

Pierworodni synowie dziedziczą ziemię po ojcach, młodszy na wodzie trudnią się słońką orką.

Dlatego właśnie Donald Mac Elrath, potomek farmerów i chłopiec z farmy, musiał porzucić rolę, którą kochał, by z wyroku przeznaczenia uprawiać nienawistne morze. Sprytny, opanowany, trzeźwy, zaradny, pilny uprawiał je gorliwie przez lat dwadzieścia. Z chłopca okrętowego i młodszego marynarza awansował na oficera i kapitana żaglowców. Później przeszedł na statki parowe, był drugim oficerem, pierwszym, kapitanem, z małych jednostek wędrował na większe, by ostatecznie zająć miejsce na mostku "Tryapsica". Stara to łajba - ma się rozumieć - ale z pewnością warta

pięćdziesiąt tysięcy funtów i zdolna transportować dziewięć tysięcy ton ładunku na wszystkich morzach i przy każdej pogodzie.

Z mostku "Tryapsica" - miejsca na górze, które zdobył w rezultacie współzawodnictwa z ludźmi

- kapitan patrzył na coraz bliższy port Dublina, miasto niewyraźne pod ciemnym niebem w dzień posepny i smagany wiatrem, gmatwaninę lin i masztów na zacumowanych statkach. Po dwukrotnej podróży dookoła świata, po nieustannych rejsach tam i z powrotem wracał do domu, żony nie widzianej od dwudziestu ośmiu miesięcy, dziecka, którego nie widział nigdy, chociaż mówiło już i chodziło. W dole zmiana palaczy i trymerów wylaniała się z drzwi dziobówki niby króliki z nory i przez pokryty rdzą pokład śpieszyła w kierunku rufy, aby przejść oględziny lekarza portowego. Byli to Chińczycy o pozbawionych wyrazu sfinksowych twarzach. Szli w szczególny sposób, powłócząc nogami, jak gdyby niezdarne buciory zanadto krępowały ich cienkie kostki.

Kapitan spoglądał na swoich ludzi niewidzącymi oczyma i wsunawszy dłoń pod czapkę z daszkiem drapał się w gęstą czuprynę barwy piasku. Scena, którą miał przed sobą, stanowiła jedynie tło jego własnej, pełnej ukojeń wizji, która nawiedzała go często w długie noce na mostku, kiedy stary "Tryapsic" kołysał się na wzburzonej powierzchni oceanu, wysoka fala zmywała pokłady, w olinowaniu śpiewały porywy sztormu albo wiry śnieżycy, albo strumienie tropikalnej ulewy. Wizją tą były zagony zboża, dom mieszkalny, kryte strzechą zabudowania, dzieci swawolące w słonecznym blasku, dobra żona przed progiem, porykiwanie bydła, gdakanie kur, przytupywanie koni w stajni ojcowskiej farmy sąsiadującej o miedzę, a dalej bezleśna równina i schludne pola podzielone żywopłotami, rozpościerające się szeroko w kierunku pasma niskich, łagodnie sfaldowanych wzgórz. Tak przedstawiała się wizja kapitana Mac Elratha, jego marzenie, romantyczność i duch przygody, cel wszelkich starań, wspaniała nagroda za słońcą orkę i długie, bardzo długie bruzdy, które kreślił na wodach.

Prostotą upodobań i skłonnościami do życia osiadłego ten wytrawny podróżnik przerastał

najprawdziwszych, najbardziej autentycznych wieśniaków. Jego ojciec liczył siedemdziesiąt jeden lat i nie spędził dotąd nocy z dala od własnego łóżka pod własnym dachem na wyspie McGill. Kapitan Mac Elrath poczytywał to właśnie za ideał życia i nie był w stanie zrozumieć, jak ktokolwiek pod słońcem może bez przymusu rozstawać się z farmą, by iść na morze. Cały świat był mu znajomy nie gorzej niż wioska szewcowi połatajce, co ustawicznie przesiaduje w swoim warsztacie; bo w pojęciu tego wytrawnego podróżnika cały świat równał się wiosce.

Oczyma wyobraźni oglądał jej ulice długie po tysiąc mil i dłuższe - ulice, przy których zakrętachprzylądkach napotyka się najburzliwsze wody albo ciszę spokojnych zatok. Oglądał

skrzyżowania dróg wiodących w jedną stronę ku ukwieconym lasom i ciepłym morzom, w drugą - ku nieustannym sztormom i groźnym górom lodowym, pędzonym nurtem wielkich wiatrów od zachodu. Jaśniejące światłami miasta odpowiadały położonym przy ulicach sklepom, gdzie załatwia się sprawy handlowe, uzupełnia bunkier, bierze ładunek, odbiera od londyńskich armatorów rozkazy, by udać się z kolei tu, tam czy ówdzie i na nieskończenie długich szlakach morskich przewozić to i tamto, dokądkolwiek przyzywają szylingi i pensy, a polisa ubezpieczeniowa iść nie wzbrania. Ale wszystko to stanowiło tylko nieuniknioną mordęgę i nie dawało żadnych korzyści, z wyjątkiem

zarobkowania na chleb.

Kapitan Mac Elrath ostatni raz pożegnał żonę w Cardiff, przed dwudziestoma ośmioma miesiącami, kiedy "Tryapsic", załadowany po znak zanurzenia, wychodził do Valparaiso z dziewięcioma tysiącami ton węgla. Z Valparaiso do Australii lekko odbył niewielki sześciotysięcznomilowy rejs, tylko pod koniec miał burzliwą pogodę i odczuwał niedostatek węgla bunkrowego. Później był znowu węgiel do Oregonu - siedem tysięcy mil - i nieco więcej z drobnicą do Chin oraz Japonii. Powrót do Australii, ładowanie w Sydney, Melbourne i Adelaide drobnicy przeznaczonej dla Mauritius, Lourenco, Marques, Durbanu, Algoa Bay i Kapsztadu. Później na Cejlon, aby odebrać rozkaz rejsu do Rangun po ładunek ryżu dla Rio de Janeiro. Stamtąd do Buenos Aires po kukurydzę dla Zjednoczonego Królestwa lub europejskiego kontynentu i wreszcie - na Saint Vincent - rozkaz powrotu do Dublina. Dwa lata i cztery miesiące, osiemset piętnaście dni według dziennika okrętowego, tysiące i tysiące mil po nieskończonych szlakach morza i wreszcie powrót do Dublina. Kapitan był potwornie zmęczony.

Mały holownik zawładnął statkiem i przy akompaniamencie zgrzytów, pobrzękiwania, donośnych komend ciągnął, popychał, zapędzał starego, zdrożonego włóczęgę mórz przez służę do basenu portowego Ring's End, dokąd "Tryapsic" wchodził na zmniejszonej szybkości zmieniając biegi: to "pół naprzód", to "wolno" czy "pół wstecz". Podano cumy dziobowe i rufowe oraz szpring ze śródokręcia. Wzdłuż nabrzeża stały już grupki szczęśliwych ludzi z lądu.

- Odstawić maszyny! - zakomenderował kapitan Mac Elrath sennym, ochryplym głosem i trzeci oficer jął operować rączką telegrafu maszynowego.

- Opuścić trap - zawołał drugi oficer i dodał, gdy rozkaz wykonano: - W porządku!

Było to ostatnie zadanie: opuścić trap. Słowa "W porządku" równały się odprawie. Podróż dobiegła końca. Załoga dreptała już przez zardzewiały pokład ku dziobowi, gdzie oczekiwały worki marynarskie - spakowane, gotowe do wyniesienia na brzeg. Załoga miała w ustach smak lądu, czuł go też kapitan, który pożegnał pilota życzliwym pomrukiem i ruszył na dół do swej kabiny. Ale na trapie tłoczyli się celnicy, inspektor rejestru statków, przedstawiciel agenta towarzystwa żeglugowego, sztaurzy. Kapitan Mac Elrath szybko uporał się z nimi i ruszył

znowu ku kabinie, gdyż przedstawiciel agenta czekał, by zabrać kapitana do kantoru.

- Daliście znać mojej żonie? - brzmiały słowa powitania.

- Tak. Poszedł telegram, jak tylko dostaliśmy wiadomość, że pan wraca - odparł przedstawiciel agenta żeglugowego.

- Pewno przyjedzie rannym pociągiem - powiedział do siebie kapitan i wszedł do kabiny, aby umyć się i przebrać.

Po raz ostatni w tej podróży rozejrzał się dokoła, objął wzrokiem dwie fotografie - żony i niemowlęcia, dziecka nie widzianego nigdy. Ściany wykładane boazerią z cedru i klonu, długi stół, przy którym mogło zasiąść dziesięć osób, a przy którym jadał samotnie w ciągu długiej, nużącej

podróży. Obce mu były żartobliwe sprzeczki, śmiech, gwar panujący w mesie. Jadał w milczeniu, niemal pośępnie, a ciszę zdawał się wzmacniać niemy Azjata bezszelestnie usługujący do stołu. Nagle kapitan uświadomił sobie przerażające osamotnienie tych dwu z górą lat. Wszelkie troski i niepokoje należały wyłącznie do niego. Nie mógł ich z nikim podzielić. Dwaj młodszy oficerowie byli zbyt niedorośli i lekkomyślni, pierwszy oficer za głupi.

Nie nadawali się, by odbywać z nimi narady. Kabinę dzielił z kapitanem tylko jeden współlokator - poczucie własnej odpowiedzialności. Razem zasiadali do obiadu i kolacji, razem przechadzali się po mostku, razem sypiali.

- Cóż - bąknął pod adresem smutnego towarzysza podróży - pozbyłem się ciebie.

Rozstaniemy się... na trochę.

Na lądzie wyprzedził ostatnich marynarzy ze swojej załogi, którzy dźwigali worki, a w kantorze agenta załatwił sprawy statku z normalną w podobnych przypadkach stratą czasu. Później, zaproszony na drinka, poprosił o mleko z wodą sodową.

- Nie jestem abstynentem z zasady - wyjaśnił - ale jak żyję, nie mogłem ścierpieć smaku piwa ani whisky.

Wreszcie wczesnym popołudniem, gdy zakończył wypłatę załodze, pośpieszył do gabinetu agenta żeglugowego, gdzie jak mu powiedziano, czekała żona.

Najpierw zwrócił wzrok ku niej, chociaż z trudnością odparł pokusę, by objąć przelotnym spojrzeniem dziecko siedzące na krześle obok kobiety. Po długotrwałym uścisku odsunął ją od siebie, popatrzał w twarz bystro, uważnie. Chłonał łakomie rysy jej twarzy i dziwił się, że nie dostrzega wpływu czasu. Gorący chłop - pomyślała żona, chociaż zapytani o opinię oficerowie kapitana Mac Elratha odpowiedzieliby niewątpliwie: twardy chłop, zawzięty, zgorzkniały.

- No i jak tam, Annie? Co słychać? - zapytał i przygarnął ją raz jeszcze.

Później odsunął znowu od siebie tę prawie od dziesięciu lat nieznajomą żonę. Była dlań obca -

bardziej obca niż chiński steward, nie mówiąc nawet o młodszych oficerach, których widywał

dzień po dniu w ciągu minionych ośmiuset piętnastu dni. Ślub wziął dziesięć lat temu, a z żoną spędził w sumie ledwie dziewięć tygodni - mało co więcej niż miodowy miesiąc. Ilekroć wracał

do kraju, musiał od nowa zawierać z nią znajomość. Taki już los mężczyzn uprawiających słońą orkę: mało wiedzą o własnych żonach, jeszcze mniej o dzieciach. Co zdarzyło się na przykład pierwszemu mechanikowi r, "Tryapsic" - staremu, krótkowzrocznemu Mac Phersonowi: kiedy przyszedł do domu, nie chciał mu otworzyć drzwi czteroletni chłopczyk, który na oczy nie widział ojca!

- A to mały - powiedział kapitan i z wahaniem sięgnął ręką do policzka dziecka.

Jednakże mały cofnął się lekliwie, mocniej przylgnął do matki.

- Biedaczek! - zawołała. - Nie zna własnego ojca!

- Ani ja jego. Jak Boga kocham, nie odróżniłbym szkraba wśród innych dzieci, chociaż nos ma całkiem twój, Annie.

- A oczy twoje. Spójrz tylko, Donaldzie! To jest twój tatuś, twój własny tatuś, syneczku. Pocałuj grzecznie tatusia.

Ale dziecko tuliło się do matki. Było wystraszone, nieufne, a gdy mężczyzna chciał je wziąć na ręce, zrobiło płaczącą minę.

Kapitan wyprostował się i chcąc pokryć żal i zawód zerknął na zegarek, który wyciągnął z kieszeni.

- Pora na nas, Annie - rzucił. - Niedługo mamy pociąg.

W wagonie milczał zrazu. Uwagę dzielił między żonę, w której ramionach usypiało dziecko, a widoczne za oknem uprawne pola i zielone bezleśne wzgórza, mętne wśród deszczu, który zaczął siec na dobre. Przedział mieli dla siebie. Chłopczyk zasnął, matka położyła go na ławce, okryła ciepło. Następnie przyszła kolej na pytania o zdrowie krewnych oraz przyjaciół i powtarzanie drobnych ploteczek z wyspy McGill. Po wyczerpaniu tych tematów małżonkowie mogli mówić jedynie o własnych osobach i sprawach, więc kapitan Mac Elrath jął snuć opowieść, którą dla dobrej żony przywiózł z krańców świata. Nie była to baśń o widzianych cudownościach ani pięknych krainach kwiatów, ani tajemniczych miasteczkach Wschodu.

- Jak wygląda Jawa? - zapytała raz kobieta.

- Piekielna tam malaria. Połowa ludzi chorowała i była do niczego. Wciąż tylko chinina i chinina. Każdego rana cała załoga dostawała na czczo dżin i chininę. Ba! Nawet zdrowi udawali chorych, żeby się im gorzej nie działo.

Później padło pytanie o Newcastle.

- Nic tylko węgiel i pył węglowy. Bardzo nieprzyjemne miasto. Zwiało mi tam dwu Chińczyków, palaczy. No i armatorzy za każdego musieli beknąć sto funtów grzywny. „Z przykrością stwierdzamy”, pisali do mnie, a list otrzymałem dopiero w Oregonie... „Z przykrością stwierdzamy, że w Newcastle stracił Pan dwu Chińczyków należących do pańskiej załogi. Na przyszłość zalecamy większą czujność”. Większą czujność! Nie mogłem być bardziej czujny.

Chińczykom należało się do czterdziestu pięciu funtów gaży. Skąd mogłem wiedzieć, że dadzą drapaką. Ale armatorzy tak zawsze: „Z przykrością stwierdzamy...”, „Pozwalamy sobie zauważyć...”, „Zalecamy...”, „Nie jesteśmy w stanie zrozumieć...” Stara łajba towarowa! A im się zdaje, że może pruć szybciej niż „Lucania”, i to bez zużycia węgla. Chociażby śruba. Sam radziłem zmianę. Stara była z żelaza, topornej roboty. Nie pozwalała rozwinąć odpowiedniej szybkości. Nowa z brązu kosztowała dziewięćset funtów, więc armatorzy chcieli, żeby zaczęła się amortyzować, a ja miałem fatalny rejs i dzień po dniu marnowałem czas. „Z przykrością stwierdzamy, że pański rejs z Valparaiso do Sydney trwał nadmiernie długo. Przeciętna dzienna osiągała zaledwie sto

sześćdziesiąt siedem mil. Po wymianie śruby spodziewaliśmy się lepszych rezultatów. Przeciętą dzienna powinna wynosić dwieście szesnaście mil”.

Przecież to był ciężki zimowy rejs. Pół rejsu dęło jak wszyscy diabli, a w przerwach przychodziły sztormy. No i ze sześć dni trzeba było stać w dryfie, z zatrzymanymi maszynami, bo kończył się węgiel w bunkrach. Pierwszego oficera miałem tak głupiego, że w nocy nie potrafił minąć światła pozycyjnych żadnego statku, żeby nie wezwać mnie na mostek.

Wytłumaczyłem im to listownie, a oni znowu: “Nasz rzeczoznawca nawigacyjny jest zdania, że oddalił się pan zanadto ku południowi. Spodziewamy się lepszych rezultatów, po wymianie śruby”. Rzeczoznawca nawigacyjny! Przybrzeżny pilot, do licha! Obrąłem najwłaściwszą szerokość dla zimowego rejsu z Valparaiso do Sydney.

W końcu przybyłem do Auckland prawie bez węgla, bo w bunkrze miałem ledwie dwadzieścia ton węgla, i to po sześciu dniach dryfowania przy wygaszonych kotłach. Myślałem o stracie czasu i kosztach. Chciałem co nieco oszczędzić armatorom, więc do portu wszedłem i z portu wyszedłem bez pilota. Pilotaż nie jest tam obowiązkowy. No i co dalej? W Jokohamie spotkałem kapitana Robinsona z “Dyapsic”. Zaczęliśmy gadać o rozmaitych miejscach na australijskich szlakach, no i on pierwsza rzecz pyta: “Pan, kapitanie, nie był nigdy w Auckland, prawda?” “Jak to? - powiadam. - Byłem tam całkiem niedawno”. On zirytował się i mówi: “Aha, rozumiem, to pan był tym cwaniakiem, któremu zawdzięczam ten list od armatorów: »Z

przykrością stwierdziliśmy w rachunkach pozycję w kwocie piętnastu funtów za pilotaż w Auckland. Jeden z naszych statków był niedawno w tamtym porcie i kapitan nie obciążył nas podobnymi kosztami. Pozwalamy sobie zauważyć, że opłaty za pilotaż stanowią naszym zdaniem wydatek zbędny, którego unikanie zaleca się na przyszłość”.

Ale czy do mnie napisali? Czy chociaż słowem wspomnieli o zaoszczędzonych piętnastu funtach? Nic podobnego! Dostałem całkiem inny list. “Z przykrością stwierdziliśmy w rachunkach pozycję w kwocie dwu gwinei za honorarium lekarza, który badał w Auckland pańską załogę. Prosimy o wyjaśnienie obciążenia natury raczej niecodziennej”. Chodziło o dwu Chińczyków. Podejrzywałem, że zachorowali na beriberi, więc wezwałem doktora, żeby ich zbadał. Miałem rację. Obydwaj poszli za burtę w ciągu tygodnia. Ale do mnie armatorzy napisali: “Prosimy o wyjaśnienie wydatku natury raczej niecodziennej”. A do kapitana Robinsona: “Pozwalamy sobie zauważyć, że opłaty za pilotaż stanowią naszym zdaniem wydatek zbędny”.

Może nie telegrafowałem z Newcastle, że stara łajba ma dosyć i koniecznie potrzebuje suchego doku? Nie była w doku od siedmiu miesięcy, a przecież kadłub nigdzie nie obrasta tak szybko jak przy wybrzeżach zachodnich. No i co? Pilno im było! Ktoś zaczarterował

ładunek węgla do Portland. “Arrata”, jeden z frachtowców Woor Line, wyszedł w morze z Newcastle tego samego dnia co my, także do Portland. A stary “Tryapsic” mógł robić sześć węzłów, w najlepszym razie siedem. No i w Comox, gdzie brałem bunkier, dostałem znowu list. Podpisał go sam naczelny, a u dołu skreślił własnoE ręcznie: “»Arrata« wyprzedziła Pana o cztery i pół dnia. To wielki zawód”. Zawód, do licha! Wielki zawód! Może nie telegrafowałem z Newcastle, co? Jak “Tryapsic” został wydokowany w Portland, na kadłubie miał wąsy z wodorostów długie na stopę,

polipy jak moja pięść, małże wielkości spodka. Dwa dni zajęło uprzążanie z doku skorup i śmiecia. W Newcastle wynikła także sprawa rusztów. Firma z miasta zrobiła te ruszty cięższe niż pierwszy mechanik podał w specyfikacji i nie policzyła nic za różnicę wagi. W ostatniej chwili, kiedy już miałem wrócić na statek i regulowałem pozostałe należności, ktoś z tamtej firmy przedstawił mi dodatkową fakturę: “Błąd w obliczeniu wagi rusztów: sześć funtów”. Był już na statku i Mac Pherson fakturę akceptował. Powiadam, że to dziwna historia, więc nic nie zapłacę, a on na to: “Nie ma pan zaufania do własnego pierwszego mechanika?” “Nie chodzi o zaufanie, ale nie rozumiem, dlaczego ja miałbym płacić. Proszę na pokład. Moja szalupa przewiezie pana za darmo w jedną i drugą stronę.

Razem sprawdzimy, co Mac Pherson powie”.

Nie chciał wybrać się ze mną na “Tryapsic”. Trudno. W Portland dostałem list od tamtej firmy i rachunek. Nie odpowiedziałem. W Hongkongu czekał list od armatorów. Rachunek trafił do nich. Z Jawy odpisałem, żeby wyjaśnić kwestię, ale do Marsylii przyszedł drugi list. “Za dodatkowe prace w maszynowni: sześć funtów. Pierwszy mechanik akceptował fakturę. Pan odmówił zapłaty. Czy nie ma Pan zaufania do własnego pierwszego mechanika?” Odpowiedziałem, że nie chodzi o zaufanie do Mac Phersona, bo faktura dotyczy dodatkowej wagi rusztów i przez niego istotnie była akceptowana. Myślisz, że armatorzy zapłacili? Nic podobnego! Musieli zbadać sprawę. Później zachorował jakiś gryziopiórek z ich kantoru i faktura gdzieś zaginęła. Posypały się dalsze listy od armatorów i tamtej firmy z Newcastle.

“Błąd w obliczeniu wagi rusztów: sześć funtów”. Takie faktury dostawałem w Baltimore, Delagoa Bay, Moji, Rangunie, Rio, Montevideo. No i sprawa do dziś się nie skończyła. Mówię ci, Annie, strasznie trudno zarobić na uznanie armatorów.

Kapitan Mac Elrath umilkł i po chwili zastanowienia bąknął z niesmakiem:

- Błąd w obliczeniu wagi rusztów: sześć funtów.

Kobieta wykorzystwała pauzę.

- Słyszałeś o Jamie’em? - zapytała. Kapitan przecząco pokręcił głową.

- Fala zmyła z rufy jego i trzech marynarzy.

- Gdzie?

- Niedaleko przylądka Horn. Na Thornsby.

- Powrotny rejs do kraju, co?

- Aha. Trzy dni temu przyszła wiadomość. Jego żona na śmierć się zamartwia.

- Jamie... solidny chłop - podjął kapitan Mac Elrath. - Ale niełatwo z nim współżyć. Tak... tak...

Razem byliśmy na “Albionie” młodszymi oficerami. No i biedak nie żyje...

Kolejną pauzę przerwała znów żona.

- Pewno nie słyszałeś też o Bankshire, co? Mac Dougall stracił go w Cieśninie Magellana.

Wczorajsze gazety pisały o katastrofie.

- Cieśnina Magellana - podchwycił kapitan. - Okropne miejsce. Ten mój przeklęty pierwszy oficer mało nie wpakował mnie tam na ląd, dwa razy w czasie jednego przejścia. To skończony idiota, wariat. Przez minutę nie można było zostawić go na mostku. Podchodzimy właśnie do Narrow Reach. Fala wysoka, zadymka śnieżna. Jestem w kabinie nawigacyjnej, ale podałem mu przecież kurs: południowy wschód ku wschodowi. Powiedziałem to wyraźnie, a on powtórzył: "Południowy wschód ku wschodowi". Kwadrans później wchodzę na mostek, a mój pierwszy oficer mówi: "Dziwna historia. Nie przypominam sobie żadnej wyspy u wylotu Narrow Reach". Spoglądam ja na wyspę i wrzeszczę do człowieka przy sterze: "Prawo na burt!" Szkoda, że nie widziałaś, jak obrócił się stary "Tryapsic"! Nigdy chyba nie wykonał

zwrotu równie ostro. Poczekalem, aż śnieg trochę ustał i co widzę? Narrow Reach, jak się patrzy, ku wschodowi, a na południu wyspa w zatoce, co się nazywa False Bay. "Jaki miałeś kurs?" - pytam tego przy sterze, a on: "Południowy ku wschodowi, panie kapitanie".

Spojrzałem tylko na pierwszego oficera, bo co mogłem powiedzieć? Taki zły byłem, że zabiłbym głupca. Cztery rumby różnicy! Jeszcze pięć minut i byłby koniec ze starym

"Tryapsikiem".

A może nie stało się to samo przy wschodnim wyjściu z cieśniny? Za cztery godziny mieliśmy już być na pełnym morzu. I co? Od czterdziestu godzin stałem na mostku. Podałem pierwszemu oficerowi kurs i zamiar na latarnię Askthar. "Nie zbaczaj pan na północ od niej poza zamiar zachód ku północy - powiadam - a wszystko będzie dobrze". No i zszedłem pod pokład, żeby odsapnąć. Ale niepokoiłem się tak, że usnąć nie mogłem. Zresztą po czterdziestu godzinach na mostku co znaczą jeszcze cztery godziny? Tak pomyślałem, Annie, a później przyszło mi do głowy, że przez te cztery godziny pierwszy oficer może zmarnować statek i że wszystko będzie na mnie. "Trudna rada" - powiadam do siebie. Wstaję, myję się, wypijam filiżankę kawy, wchodzę na mostek i zaraz kontroluję zamiar na latarnię Askthar.

Namiar był północnozachodni ku zachodowi i łajba trafiłaby na płyciznę. Co za idiota z tego pierwszego oficera! Starczyło przecież wychylić się za burtę, spojrzeć na kolor wody. Jak Boga kocham, niewiele brakowało staremu "Tryapsicowi"! Dwa razy w ciągu trzydziestu godzin głupiec wpakowałby go na ląd, gdyby nie ja.

Kapitan Mac Elrath umilkł. Z wyrazem łagodnego zdumienia w małych, niebieskich oczach jął

spoglądać na pogrążone we śnie dziecko. Żona próbowała odwrócić jego uwagę od trosk związanych z pracą zawodową.

- Pamiętasz Jima MacCaula? - zapytała. - Chodziłeś do szkoły z jego dwoma synami. Stary Jim

MacCaul, co ma farmę za posiadłością doktora Haythorna. Pamiętasz?

- Ma się rozumieć. Co z nim, Annie? Umarł?

- Nie. Ale jak ostatni raz szedłeś do Valparaiso, zapytał twojego ojca, czy byłeś tam kiedy.

Ojciec powiedział, że nie byłeś, a stary Jim MacCaul na to: “Więc jak znajdzie drogę, co?” “Jak znajdzie drogę? - powiada ojciec. - Prosta sprawa, Jimmy. Przypuśćmy, że ty wybrałeś się na stały ład do kogoś, kto mieszka w Belfast. Belfast, Jimmy, to duże miasto. Jak znajdziesz drogę?” “Za pomocą języka - mówi Jimmy. - Zacznę wypytywać ludzi”. “A widzisz! - powiada ojciec. - Nie mówiłem, że to prosta sprawa. Zupełnie tak samo mój Donald znajdzie drogę do Valparaiso. Zacznie wypytywać ludzi z wszystkich statków spotykanych na morzu i w końcu trafi na statek, który był w Valparaiso, no i kapitan takiego statku wskaże mu drogę”. Wtedy stary Jim MacCaul podrapał się w głowę, powiedział, że rozumie i że to rzeczywiście prosta sprawa.

Anegdota przypadła do gustu kapitanowi. Zachichotał. W jego niebieskich, przemęczonych oczach pojawiły się na moment swawolne iskierki.

- Ten mój pierwszy oficer był cienki - podjął i znów niebieskie oczy zabłysły filuternie. - Cienki, Annie, jak ty i ja razem wzięci. - Filuterne błyski zniknęły, oczy przybrały tępy, niedobry wyraz.

- Wiesz, co zrobił w Valparaiso? Wyprawił na ład sześćset sążni łańcucha kotwicznego i od szypra z lichtugi nie wziął pokwitowania. Załatwiałem wtedy formalności przy odprawie statku i dopiero na morzu stwierdziłem brak pokwitowania na łańcuch kotwiczny. “Nie wziął pan pokwitowania?” - pytam, a on na to: “Nie. Przecież łańcuch miał pójść prosto do agenta”.

“Dawno pan na morzu - powiadam - a nie wie pan, że pierwszemu oficerowi nie wolno wydawać bez pokwitowania nic z ładunku. I zrobić coś takiego na Wybrzeżu Zachodnim!

Czemu szyper z lichtugi nie miałby ukraść iluś tam sążni łańcucha?” No i stanęło na moim. Ze statku poszło sześćset sążni, ale agent otrzymał tylko czterysta dziewięćdziesiąt pięć. W Portland dostałem list od armatorów. Do mnie mieli pretensję, nie do pierwszego oficera, chociaż byłem wtedy na ładzie i załatwiałem odprawę statku. Nie mogłem być w dwu miejscach jednocześnie, prawda? Ale co z tego? Listy armatorów i agenta dotąd do mnie przychodzą.

Ten mój pierwszy oficer to żaden marynarz, no i wcale nie dba o interesy armatorów. Chciał mnie nawet oskarżyć w urzędzie morskim, że miałem zanurzenie poniżej znaku wolnej burty.

Mówił o tym bosmanowi. A i mnie powiedział w oczy, podczas rejsu powrotnego do kraju, że miałem zanurzenie pół cala niżej znaku wolnej burty. Braliśmy wtedy w Portland ładunek i słodką wodę i szliśmy później do Comox po bunkier i słońną wodę. Wyobraź sobie, Annie, że naprawdę miałem zanurzenie pół cala poniżej znaku wolnej burty, kiedy węgiel mieliśmy już na statku. Ale o tym nie mówiłem nikomu, Annie, nikomu! I teraz mówię tylko tobie.

Tymczasem pierwszy oficer chciał złożyć raport w urzędzie morskim i zrobiłby to, Annie, gdyby nie rozplątała go na dwoje osłona przewodu parowego.

Straszny był z niego głupiec. W Portland razem z ładunkiem wzięłem sześćdziesiąt ton bunkru, bo tyle trzeba mi było do Comox. Słono kosztują tam lichtugi, no i nie miałem miejsca w zasobni węglowej. Przy nabrzeżu stał francuski bark, pogadałem więc z jego kapitanem i zapytałem, ile by policzył za ustąpienie mi miejsca na dwie godziny, potrzebne na załadowanie bunkru. Chciał dwadzieścia dolarów, więc mu dałem, by oszczędzić armatorom trochę pieniędzy. Tego samego wieczora stanąłem przy nabrzeżu i wzięłem bunkier. Później odbiłem i rzuciłem kotwicę, naturalnie pod własną parą. Ale musieliśmy wychodzić z basenu rufą do przodu, a coś tam szwankowało w biegu wstecznym. Stary MacPherson powiedział, że da jakoś radę, tyle że musi manewrować ręcznie i ma się rozumieć trzeba iść bardzo wolno.

“Zgoda” - ja na to, więc odeszliśmy od nabrzeża mając pilota na pokładzie. Był właśnie odpływ, a u wyjścia z basenu stał statek z dwoma lichtugami z każdej burty. Widziałem światła kotwiczne statku, ale na lichtugach było ciemno. Trudna to sprawa manewrować dużym statkiem pod parą, kiedy MacPherson ręcznie obsługuje bieg wsteczny. Musieliśmy podejść bardzo blisko do tamtego statku, żeby go minąć i wyjść z basenu. No i stuknęliśmy lichtugę rufą akurat w momencie, kiedy oddzwaniałem do MacPhersona “pół wstecz”.

“Co to było?” - zapytał pilot, jak stuknęliśmy lichtugę. “Nie wiem - powiadam. - Sam jestem ciekaw”. Pilota obchodziło tylko jego własne zadanie. Nie pytał więc, a ja poszedłem na dziób, żeby rzucić kotwicę. No i wszystko poszło gładko, gdyby nie ten idiota pierwszy oficer.

Wyobraź sobie, Annie, wchodzi na mostek i mówi: “Stuknęliśmy lichtugę”. Rozumiesz? Pilot stoi z nastawionymi uszami, a ten idiota gada: “Stuknęliśmy lichtugę!” “Jaką lichtugę?” -

pytam, a mój pierwszy oficer: “Tę, co stała u burty statku”. “Nie widziałem żadnej lichtugi” - ja na to i przydeptałem mu nogę tak, że z pewnością poczuł.

Jak pilot sobie poszedł, mówię do niego: “Jeżeli ktoś nic nie rozumie, to niech, na miłosierdzie boskie, trzyma język za zębami”. “Stuknęliśmy lichtugę, może nie?” - on na to. “Jeżeli nawet tak się stało - powiadam - nie pański interes gadać o tym pilotowi. Ale proszę pamiętać: nie widziałem żadnej lichtugi”.

Na drugi dzień rano, kiedy skończyłem się ubierać, steward melduje: “Ktoś do pana kapitana”.

“Niech wejdzie” - mówię i jakiś człowiek wszedł. “Proszę siadać” - mówię i ten człowiek usiadł.

To był właściciel lichtugi. Opowiedział swoje, a ja na to: “Nie widziałem żadnej lichtugi”. “Jak to? - powiada ten człowiek. - Jak to, kapitanie? Nie widział pan dwustutonowej lichtugi, wielkości sporego domu? Przecież stała u burty statku, który pan mijał”. “Uważałem tylko na światła kotwiczne statku i statku nie tknąłem. Tyle mi wiadomo”. “Ale tknął pan lichtugę - on na to. - Porządnie ją pan stuknął. Szkody wynoszą tysiąc dolarów i pan je pokryje”.

Wysłuchałem tego i mówię: “Panie szyper, kiedy manewruję statkiem w nocy, stosuję się do prawa morskiego, a prawo morskie każe uważać na światła statków. Pańska lichtuga nie miała światła kotwicznego, więc nie oświetlonej lichtugi wolno mi było nie widzieć”. “Pierwszy oficer mówił...” -

zaczął ten szyper, ale mu przerwałem: “Niech licho weźmie pierwszego oficera! Czy pańska lichtuga miała światło kotwiczne?” “Nie miała. Ale noc była przecież widna i świecił

księżyc”. Zdenerwował mnie osioł. “Widzę, że dobrze pan pilnuje swoich interesów, ale ja też potrafię pilnować swoich. Jeżeli pan uważa, że ma pan czystą sprawę, proszę skierować ją do sądu. Tymczasem steward pokaże panu drogę. Żegnam”.

Tak zakończyła się cała historia. Ale jasno z niej wynika, jaki był głupi ten mój pierwszy oficer.

To błogosławieństwo dla wszystkich kapitanów, że osłona przewodu parowego rozplątała go na dwoje. Miał jakieś poparcie u armatorów, więc trzymali go tylko dlatego.

- Słyszałam od pośredników, że niedługo pójdzie na sprzedaż farma Wekleyów - powiedziała pani Mac Elrath obserwując pilnie, jakie wrażenie sprawią jej słowa.

Momentalnie zablęskły mu oczy i kapitan wyprostował się, jak człowiek oczekujący czegoś nad wyraz miłego. Przecież to farma jego marzeń! Bezpośrednio sąsiaduje z ojcowską, a od rodzinnych gruntów żony leży ledwie o milę!

- Kupi się ją - oznajmił. - Ale słówka nie piśniemy nikomu przed ubiciem interesu i wyłożeniem pieniędzy. Ostatnio zaoszczędziłem sporo, chociaż nie te dzisiaj zarobki co dawniej. Mamy jaki taki kapitalik. Pogadam z ojcem i u niego zostawię pieniądze, żeby mógł kupić ziemię w każdej chwili, jeżeli nawet ja będę na morzu.

Przetarł zamgloną wewnętrzną stronę szyby i zapatrzył się w ulewny deszcz, za którego firanką niewiele widział.

- Kiedy byłem młody - podjął - bałem się ciągle, że mnie armatorzy zwolnią, i dziś boję się tego, ale koniec będzie ze strachem, jak kupimy farmę. Uprawianie morza to liche zajęcie, Annie. Na wszystkich wodach, przy każdej pogodzie, wśród rozmaitych niebezpieczeństw ja rządę statkiem, który kosztował pięćdziesiąt tysięcy funtów plus często drugie tyle wart ładunek. Sto tysięcy funtów, pół miliona dolarów, jak mówią Jankesi. Ja odpowiadam za taki majątek i co za to dostaję? Dwadzieścia funtów na miesiąc! Czy na lądzie weźmie tak mało ktoś, kto prowadzi przedsiębiorstwo wartości stu tysięcy funtów? No i kapitan jest parobkiem trzech panów: armatora, towarzystwa ubezpieczeniowego i urzędu morskiego. Ma się rozumieć każdy wymaga czegoś innego. Armator żąda szybkiego rejsu i nie dba o ryzyko; ubezpieczający żąda bezpiecznego rejsu i nie dba o zwłokę; urząd morski żąda ostrożnego rejsu, a ostrożność to zawsze zwłoka. Trzech różnych panów i każdy z osobna może wykończyć kapitana, który nie zastosuje się do jego wymagań.

Kapitan Mac Elrath poczuł, że pociąg zwalnia, spojrzął znów w zasnute mgłą okno. Wstał, zapiął płaszcz, postawił kołnierz i bardzo nieporadnie wziął na ręce śpiące nadal dziecko.

- Pogadam z ojcem - oznajmił raz jeszcze - i u niego zostawię pieniądze. Nie zmarnuje okazji.

W każdej chwili kupi ziemię, jeżeli nawet ja będę na morzu. Wtedy niech mnie wyleją, kiedy tylko zechcą. Zostanę z tobą, Annie. Noc po nocy będę sypiał w domu, a morze mogą wziąć wszyscy

diabli.

Piękne nadzieje rozjaśniły ich twarze wyrazem szczęścia. Na moment ulegli obydwójce tej samej cudownej wizji. Annie nachyliła się ku mężowi i kiedy pociąg stanął, ucałowali się nad uśpionym synkiem.

Przełożył Tadeusz Jan Dehnel

Meksykanin

Nikt nie znał jego przeszłości, a zgoła nic o nim nie wiedzieli członkowie Komitetu Junty. Był

dla nich prawdziwą zagadką ten wielki patriota, który po swojemu, ale z nie mniejszym niż oni oddaniem pracował dla nadchodzącej rewolucji meksykańskiej. Zrozumieli to późno, gdyż nikt z Komitetu go nie lubił. Kiedy po raz pierwszy zjawił się w zatłoczonym, pełnym zgiełku lokalu Junty, wszyscy powzięli podejrzenie, że jest szpiclem, jednym z płatnych agentów tajnej policji Diaza. Zbyt wielu ich towarzyszy siedziało w cywilnych i wojskowych więzieniach rozsianych po całym obszarze Stanów Zjednoczonych; inni, zakuci w kajdany i wydaleny do Meksyku, stanęli tam pod murem i zostali rozstrzelani.

Na pierwszy rzut oka chłopiec nie sprawiał dodatniego wrażenia. Mógł mieć najwyżej osiemnaście lat i jak na swój wiek był niezbyt wyrosnięty. Oświadczył, że nazywa się Felipe Rivera i chce pracować dla rewolucji. To wszystko, ani słowa więcej. Żadnych dalszych wyjaśnień. Stał i czekał. Na jego ustach nie było uśmiechu, oczy pozostały chłodne.

Wielkiemu, zamaszystemu Paulino Vera ciarki przeszły po kościach. Chłopak miał w sobie coś odpychającego, straszego, krył jakąś tajemnicę. W jego czarnych oczach czaiły się jadowite błyski, które przywodziły na myśl żmiję. Oczy te płonęły zimnym ogniem ogromnej, stężałej goryczy. Przeniósł błyszczący wzrok z twarzy spiskowców na maszynę do pisania, na której pilnie stukwała malutka pani Sethby. Kiedy spojrzała w górę, ich oczy spotkały się przelotnie.

Pani Sethby także doznała nieokreślonego uczucia i pod jego wpływem przerwała pracę.

Zanim zaczęła pisać dalej, musiała przeczytać list od początku.

Paulino Vera spojrział na Arrellano i Ramosa. Wszyscy po kolei wymienili pytające spojrzenia.

Ich oczy wyrażały brak decyzji i nieufność. Ten szczupły chłopak był Nieznanym i niósł z sobą grozę rzeczy niewiadomych. Był zagadką, czymś, co nie mieściło się w głowach tych rewolucjonistów, których zaciekle nienawiść do Diaza i jego tyranii nie była przecież niczym więcej jak uczuciem zwykłych, uczciwych patriotów. Tu zaś kryło się coś innego, ale co - nie wiedzieli. Wreszcie Vera, zawsze najbardziej impulsywny i szybki w decyzji, pierwszy przerwał

milczenie.

- Bardzo dobrze - rzekł chłodno. - Powiadasz, że chcesz pracować dla rewolucji. Zdejm marynarkę. Powieś ją tam. A teraz chodź... pokażę ci... gdzie są wiadra i szmaty. Podłoga jest brudna. Zacznie

od tego, że wyszorujesz podłogę tutaj i w innych pokojach. Wymyjesz także spluwaczki. Potem zabierzesz się do okien.

- Czy to będzie dla dobra rewolucji? - spytał chłopiec.

- Tak, dla dobra rewolucji - odparł Vera.

Rivera ogarnął ich chłodnym, podejrzliwym spojrzeniem. Potem zdjął marynarkę.

- Dobrze - powiedział.

I nic więcej. Odtąd co dzień przychodził do roboty - zamiętał, szorował, sprzątał. Wygarniał

popiół z pieców, przynosił węgiel i podpałkę i rozpalał ogień, zanim najgorliwszy z członków Komitetu zasiadł za swym biurkiem.

- Czy mógłbym tu nocować? - spytał pewnego razu.

Aha! Toś ty taki! Diazowi służysz! Kto nocował w lokalu Junty, miał dostęp do ich tajemnic, do list nazwisk i adresów towarzyszy w Meksyku. Prośbie odmówili i Rivera nigdy więcej już o tym nie wspomniał. Nie wiedzieli, gdzie sypia ani gdzie i za co je. Pewnego razu Arrellano ofiarował mu parę dolarów. Rivera potrząsnął głową na znak odmowy. Kiedy zaś Vera próbował go nakłonić, aby wziął pieniądze, powiedział:

- Pracuję dla rewolucji.

W naszych czasach wywołanie rewolucji wymaga wielkich pieniędzy, Junta więc zawsze była w potrzebie. Członkowie Komitetu cierpieli głód i nie szczydzili swych sił. Najdłuższy dzień był

dla nich jeszcze za krótki. Czasem jednak zdawało się, że rewolucja upadnie z braku kilku dolarów. Doszło do tego, że Komitet przez dwa miesiące nie płacił czynszu i gospodarz groził

im eksmisją. Wtedy to właśnie Felipe Rivera, chłopiec do posług, odziany w tanie, nędzne i wytarte ubranie, położył na biurku May Sethby sześćdziesiąt dolarów w złocie. Powtórzyło się to jeszcze kilka razy. Pewnego dnia trzysta listów, wytrząskanych na niestrudzonej maszynie do pisania (apele o pomoc materialną i poparcie przez zorganizowane grupy robotników, prośby do redaktorów naczelnych gazet, by więcej miejsca poświęcali rewolucji w Meksyku, protesty przeciw samowoli, jakiej dopuszczały się sądy Stanów Zjednoczonych wobec rewolucjonistów), leżało czekając na ofrankowanie i wysyłkę. Zniknął już złoty zegarek Vera, staromodny repetier, pamiątka po ojcu. Zniknęła również złota obrączka z palca May Sethby.

Sytuacja była beznadziejna. Ramos i Arrellano w rozpaczce targali swoje długie wąsy. Listy trzeba wysłać, a przecież poczta nie sprzedaje znaczków na kredyt. Wówczas Rivera włożył

kapelusz i wyszedł. Gdy wrócił, położył na biurku May Sethby tysiąc dwucentowych znaczków.

- Czy to nie jest przypadkiem przekłete złoto Diaza? - powiedział Vera do towarzyszy.

Podnieśli brwi - nie wiedzieli, co o tym sądzić. A Felipe Rivera, który mył podłogi dla rewolucji, gdy było trzeba, przynosił złoto i srebro i oddawał je na cele Junty.

Oni jednak, mimo wszystko, nie mogli polubić Rivery.

Nie znali go, a drogi tego chłopca nie były ich drogami. Nie zwierzał się nikomu. Udaremniał wszelkie próby pociągnięcia go za język. Choć był jeszcze chłopcem, jakoś nie mogli zebrać na odwagę i wziąć go na spytki.

- Może to wielki, samotny duch. Nie wiem, naprawdę nie wiem - bezradnie rozkładał ręce Arrellano.

- Nie ma w nim nic ludzkiego - mówił Ramos.

- Jego serce wyschło doszczętnie - dodawała May Sethby. - Wypaliła się w nim wszelka radość. Ma w sobie coś z nieboszczyka, a przy tym jakąś straszliwą żywotność.

- Przeszedł przez piekło - mówił Vera. - Tak może wyglądać tylko ten, kto przeszedł przez piekło, a przecież to jeszcze chłopiec.

Mimo to nie mogli go polubić. Nigdy z nimi nie rozmawiał, o nic nie pytał, niczego nie doradzał.

Ale kiedy rozmowa o rewolucji stawała się gorąca, przysłuchiwał się stojąc, bez żadnego wyrazu na twarzy, niczym martwy przedmiot i tylko w oczach jego płonął zimny ogień. Z

twarzy na twarz, z jednego mówcy na drugiego przenosił wzrok i drażąc oczami jak świdry z roziskrzonego lodu, zbijał ich z tropu, siał niepokój.

- On nie jest szpiclem - powiedział raz Vera do May Sethby. - Jest patriotą, zobaczy pani, największym patriotą z nas wszystkich. Wiem o tym. Mówi mi to serce i rozum. A jednak nic więcej o nim nie wiem.

- Ma niedobry charakter - odparła May Sethby.

- Tak - rzekł Vera i wzdrygnął się. - Patrzył na mnie tymi oczami. Nie ma w nich miłości. Te oczy grożą. Są dzikie jak ślepiec tygrysa. Wiem, że gdybym zdradził rewolucję, Rivera mnie zabije. On nie ma serca. Jest twardy jak stal, okrutny i zimny jak mróz. Przypomina blask księżyca w noc zimową, kiedy wędrowiec zamarza na samotnym szczycie górskim. Nie boję się Diaza i jego zbirów, boję się tego chłopca. Mówię pani prawdę. Boję się. Rivera jest tchnieniem śmierci.

A jednak właśnie Vera przekonał innych, aby po raz pierwszy zaufali Riverze. Było to w czasie, kiedy zerwała się łączność między Los Angeles a meksykańską Dolną Kalifornią. Trzej towarzysze własnymi rękami wykopali sobie groby i zostali nad nimi rozstrzelani. Dwaj inni stali się więźniami Stanów Zjednoczonych w Los Angeles. Juan Alvarado, dowódca wojsk federalnych, był potworem. Krzyżował wszystkie plany Junty. Nie mogli już porozumiewać się ani ze starymi, ani ze świeżo pozyskanymi rewolucjonistami w Dolnej Kalifornii.

Młody Rivera otrzymał instrukcje i został wysłany na południe. Gdy wrócił, łączność znów była nawiązana, a Juan Alvarado nie żył. Znalezione go w łóżku z nożem wbitym w pierś po rękojęść. Nie było to przewidziane w instrukcjach, jakie otrzymał Rivera, ale towarzysze z Junty wiedzieli dokładnie, gdzie się obracał. O nic go nie pytali. Sam też nic nie mówił.

Towarzysze tylko popatrzyli po sobie - zrozumieli wszystko.

- Już wam mówiłem - rzekł Vera. - Diaz powinien bać się tego chłopca więcej niż kogokolwiek innego. Rivera jest nieubłagany. To ręka sprawiedliwości.

May Sethby powiedziała to, co czuli wszyscy: chłopak miał złe skłonności. Wkrótce zaświadczyły o tym namacalne dowody. Rivera przychodził raz z rozciętą wargą, to znów z podbitym okiem lub obrzękłym uchem. Było jasne, że wszczyna burdy w owym innym świecie, gdzie jadł, spał, zdobywał pieniądze i chadzał drogami, których nie znali. Z czasem nauczył

się składać gazetkę rewolucyjną, którą Junta wydawała raz na tydzień. Zdarzały się jednak dni, kiedy nie mógł wykonywać tej pracy, gdyż palce miał spuchnięte w kostkach, kciuki rozbite, jedno lub drugie ramię zwisało bezwładnie, a na twarzy malował się wyraz niewypowiedzianego bólu.

- Awanturnik - mówił Arrellano.

- Bywalec spelunek - dodawał Ramos.

- Ale skąd on bierze pieniądze? - pytał Vera. - Dzisiaj znów się dowiedziałem, że zapłacił rachunek za papier - sto czterdzieści dolarów.

- Przynosi je ze swoich wypraw - powiedziała May Sethby. - Nigdy nie usprawiedliwia swej nieobecności.

- Powinniśmy go śledzić - zaproponował Ramos.

- Nie chciałbym być tym, który chodzi za nim - zauważył Vera. - Boję się, że zobaczylibyście mnie jeszcze tylko raz, na moim pogrzebie. Ten chłopiec jest w szponach jakiejś strasznej namiętności. Nikomu, nawet samemu Bogu, nie pozwoli zastąpić sobie drogi do celu.

- Czuję się przy nim jak dziecko - wyznał Ramos.

- Jest w nim - rzekł Arrellano - jakaś pierwotna siła. To wilk czający się do skoku, grzechotnik, jadowity skorpion.

- Jest wcieleniem rewolucji - dodał Vera. - Jej płomieniem i duchem, nienasyconym pragnieniem zemsty, która zabija w milczeniu. Jest aniołem mścicielem przemykającym wśród głuchoj nocy.

- Chce mi się płakać, kiedy o nim myślę - powiedziała May Sethby. - Przecież nie zna nikogo, a nienawidzi wszystkich. Nas toleruje tylko dlatego, że nasza działalność odpowiada jego pragnieniom. Jest sam, zupełnie sam... - Głos jej się załamał, tłumiała łkanie, oczy zaszyły jej mgłą.

Drogi i czyny Rivery były istotnie okryte tajemnicą. Zdarzało się, że nie widzieli go przez cały tydzień. Raz nie było go miesiąc. Kończyło się to zawsze tak samo: wracał i bez słowa kładł

złote monety na biurku May Sethby. I znów mijały dni i tygodnie, kiedy cały swój czas spędzał w biurze Junty. Potem, w nieregularnych odstępach czasu, znikał na cały dzień, od wczesnego ranka do wieczora. Wróciwszy pozostawał w lokalu Junty do późnej nocy. Kiedyś Arrellano zastał go o północy przy składaniu czcionek. Palce miał spuchnięte, a rozcięte wargi jeszcze krwawiły.

II

Zbliżała się chwila przełomowa. Rewolucja zależała od Junty, a Junta była w opałach.

Potrzebowali pieniędzy bardziej niż kiedykolwiek, a zdobyć je było coraz trudniej. Patrioci oddali już wszystko, co mieli, i więcej dać nie mogli. Zbiegli z Meksyku peoni,[chłopi] pracujący na szlakach kolejowych, oddawali Juncie połowę swych skąpych zarobków. Ale potrzeby były znacznie większe. Ciężki, wieloletni trud konspiracyjnej roboty miał wydać owoce. Nadchodził

czas. Zbliżała się chwila wybuchu rewolucji. Jeszcze trochę nacisnąć, jeszcze jeden bohaterski wysiłek, a przechyli się szala zwycięstwa. Junta dobrze знаła swój Meksyk.

Rewolucja, gdy już wybuchnie, będzie sama dalej się rozwijała. Aparat państwowy Diaza rozleci się jak domek z kart. Pogranicze stoi w pogotowiu. Pewien Jankes na czele setki ludzi z organizacji "Przemysłowych Robotników Świata" tylko czeka na znak, aby przejść granicę i wszcząć walkę o Dolną Kalifornię. Ale musi otrzymać broń.

W całym kraju, aż po brzegi Atlantyku, wszyscy, z którymi Junta była w kontakcie, potrzebowali broni: zwykli awanturnicy, rycerze fortuny, bandyci, rozgoryczeni amerykańscy obywatele, socjaliści, anarchiści, prostacy, wygnańcy z Meksyku, peoni zbiegli z niewoli, górnicy z Coeur d'Alene i Colorado, których wpędzano jak bydło w zagrody i okładano batami, pałający tym większą żądzą odwetu - słowem, wszelkie harde dusze wyrzucone za burtę dzisiejszego, piekielnie skomplikowanego świata. Zewsząd nieustannie wołano o karabiny i amunicję, amunicję i karabiny.

Tylko przerzucić tę różnorodną, dyszącą zemstą rzeszę rozbitków przez granicę i - rewolucja gotowa! Obsadzą komorę celną i północne porty Meksyku. Diaz nie będzie mógł stawić oporu.

Nie ośmieli się rzucić swych głównych sił na północ, gdyż będzie chciał utrzymać południe. Ale południe też ogarnie płomień rewolucji. Lud powstanie. Jedno za drugim poddawać się będą miasta. Stan za stanem przechodzić będzie w ich ręce. Wreszcie zwycięskie armie rewolucji okrążą ze wszystkich stron miasto Meksyk, ostatnią twierdzę Diaza.

Ale trzeba pieniędzy. Mieli dość ludzi, niecierpliwych i zawziętych, którzy potrafią zrobić użytek z broni, znali handlarzy broni, którzy mogli jej dostarczyć. Przygotowanie rewolucji wyczerpało jednak Juntę. Wydali ostatniego dolara, wyschło ostatnie źródło wpływów, przymierający głodem patrioci oddali ostatniego centa, a wielka sprawa wciąż jeszcze ważyła się na szali.

Karabinów i amunicji! Obdarte bataliony muszą otrzymać broń. Lecz skąd? Ramos opłakiwał swoje skonfiskowane dobra. Arrellano gorzko żałował rozrzutności w latach młodości.

May Sethby zastanawiała się, czy byłoby dziś inaczej, gdyby Komitet lepiej gospodarował swymi funduszami.

- I pomyśleć, że wolność Meksyku zależy od marnych kilku tysięcy dolarów! - wołał Paulino Vera.

Rozpacz malowała się na twarzach wszystkich. Ich ostatnia nadzieja, Jose Amarillo, który niedawno wstąpił do organizacji i przyrzekł dać pieniądze na jej cele, został pochwycony na swej hacjendzie w Chihuahua i rozstrzelany pod ścianą własnej stajni. Właśnie otrzymali o tym wiadomość.

Rivera, który klęcząc szorował podłogę, podniósł wzrok. Szczotka zastygła mu w rękach pokrytych po łokcie brudnymi mydlinami.

- Czy pięć tysięcy wystarczy? - spytał.

Spojrzeli nań ze zdumieniem. Vera skinął głową. Nie mógł mówić, lecz nagle odzyskał nadzieję.

- Zamówcie karabiny - rzekł Rivera, po czym wygłosił najdłuższe przemówienie, jakie słyszeli z jego ust.

- Czas ucieka. Za trzy tygodnie przyniosę wam pięć tysięcy. Tak będzie nawet lepiej. Zrobi się cieplej i łatwiej będzie walczyć. Zresztą nic więcej nie mogę zrobić.

Vera próbował stłumić rosnącą w nim nadzieję. Wszystko to było nieprawdopodobne. Tyle już drogich sercu marzeń rozwiało się od czasu, kiedy zaczął swą rewolucyjną grę. Wierzył temu obdartemu chłopcu, który mył podłogę dla rewolucji, ale jednocześnie nie śmiał mieć nadziei.

- Zwariowałeś - powiedział.

- Za trzy tygodnie - odparł Rivera. - Zamówcie karabiny. Wstał, obciągnął zakasane rękawy koszuli i włożył marynarkę.

- Zamówcie karabiny - powtórzył. - Odchodzę.

III

W kantorze Kelly'ego - po dniu pełnym rwetesu, telefonowania na wszystkie strony i przekleństw - odbywało się nocne posiedzenie. Kelly miał roboty po uszy, ale nic się nie kleiło.

Trzy tygodnie temu przywiózł z Nowego Jorku Danny Warda. Organizował spotkanie Warda z Billy Cartheyem. Carthey od dwóch dni leży w łóżku ciężko poturbowany. Fakt ten starannie ukrywa się przed sprawozdawcami sportowymi. Nie ma kto zastąpić Cartheya. Kelly rozesłał

telegramy do bokserów lekkiej wagi na Wschodzie, ale wszyscy byli już związani umowami i terminami. Teraz zaświtała nadzieja, co prawda niewielka.

- Bezczelny to ty jesteś - powiedział Kelly obrzuciwszy spojrzeniem Rivere.

Gniew i nienawiść płonęły w oczach chłopca, ale twarz pozostała obojętna.

- Położę Warda - rzekł krótko.

- Skąd wiesz? Czyś go widział kiedy na ringu? Rivera potrząsnął głową.

- Ward położy cię jedną ręką i z zamkniętymi oczami. Rivera wzruszył ramionami.

- Czy masz jeszcze coś do powiedzenia? - warknął manager.

- Położę Warda.

- Z kim już walczyłeś? - spytał Michael Kelly.

Michael był bratem managera. Prowadził totalizatora w "Yellowstone" i zarabiał ciężkie pieniądze na kibicach boksu.

Rivera w odpowiedzi zaszczycił go tylko gniewnym spojrzeniem.

Sekretarz managera, młodzieniec o wyglądzie sportowca, parsknął śmiechem.

- No dobrze. Znasz Robertsa. - Kelly pierwszy przerwał wrogie milczenie. - Powinien być tu lada chwila. Posłałem po niego. Usiądź i zaczekaj. Sądząc na oko, nie masz żadnych widoków. Tu nie może być lipy. Pierwsze miejsca idą, jak wiesz, po piętnaście dolarów.

Przyszedł Roberts, wyraźnie pod dobrą datą. Był to jegomość wysoki, chudy i mocno sfatygowany. Chód miał płynny i powolny, mówił zaś tak samo, jak chodził.

Kelly od razu przystąpił do rzeczy.

- Słuchaj, Roberts. Chwaliłeś się, żeś odkrył tego małego Meksykanina. Wiesz, że Carthey złamał rękę. No, tak. A ten mały zółtek bezczelnie się tu pcha i powiada, że może zastąpić Cartheya. Co ty na

to?

- W porządku, Kelly - wycedził Roberts. - On może walczyć.

- Powiedz jeszcze, że ten chłopak położy Warda - warknął Kelly.

Roberts zamyślił się.

- Nie, tego nie mówię. Ward to gwiazda, król ringu. Ale z Rivery klopsów tak łatwo nie robi.

Znam tego chłopca. Nikt nie da rady wyprowadzić go z równowagi. Jeszcze nie widziałem, żeby wyszedł z siebie. A walczy równie dobrze obu rękami. Może posłać na deski z dowolnej pozycji.

- Nie o to chodzi. Rzecz w tym, jakie widowisko Rivera może dać publiczności. Ty przez całe życie szkoliliś i trenowałeś bokserów. Zdejmuję kapelusz, gdy mówisz o tych sprawach. Czy Rivere stać na taką walkę, żeby publiczność wiedziała, za co płaci?

- Na pewno. A przy tym zmorduje Warda ile wlezie. Nie znasz tego chłopca, Kelly, a ja znam.

Sam go przecież odkryłem. To człowiek bez nerwów. Diabeł wcielony. Ward rozdziawi gębę ze zdumienia, gdy bliżej pozna tego samorodka, a wy zrobicie to samo. Nie twierdzę, że Rivera zwycięży, ale pokaże taką walkę, że uznacie go za wschodzącą gwiazdę.

- No, dobrze. - Kelly odwrócił się do sekretarza. - Proszę zadzwonić do Warda - powiedział. -

Uprowadziłem go, że jeśli znajdę kogoś, to go tutaj poproszę. Jest niedaleko, w "Yellowstone".

Obnosi się tam i zdobywa popularność.

Kelly zwrócił się znów do trenera.

- Napijesz się, Roberts?

Roberts wysączył szklankę whisky z wodą sodową i język mu się rozwiązał.

- Nie mówiłem ci jeszcze, w jaki sposób odkryłem tego cudaka. Jakies dwa lata temu pokazał

się w salach treningowych. Właśnie trenowałem Prayne'a do meczu z Delaneyem. Prayne to drań. Wali bez litości. Rozkwaśił nielecho gębę swemu partnerowi i nie mogłem znaleźć takiego, co by chciał z nim pracować. Byłem już w rozpacz, gdy wreszcie wpadł mi w oko ten mały, wygłodzony Meksykanin, który kręcił się nam pod nogami. Zawołałem go, dałem mu rękawice i - jazda, do roboty! Chłopak był twardy jak kamień, ale słaby. A o boksie nie miał

zielonego pojęcia. Prayne stłukł go na kwaśne jabłko. Meksykanin, choć ledwie żywy, wytrzymał dwie rundy, nim zemdłał. Był po prostu wygłodzony. Prayne tak przerobił chłopca, że rodzona matka by go nie poznała. Dałem mu pół dolara i porządny obiad. Trzeba było widzieć, jak on żarł. Okazało się, że od dwóch dni nie miał nic w ustach. Myślałem, że już się więcej nie pokaże. Ale na drugi

dzień znów przyszedł. Ciało miał zeszywniałe i potłuczone, lecz gotów był zarobić drugie pół dolara i dobry obiad. Spisywał się coraz lepiej. To urodzony bokser, a przy tym nieprawdopodobnie zawzięty. Nie ma serca, tylko kawałek lodu. Odkąd go znam, nigdy gęby porządnie nie otworzył. Robi swoje, i koniec.

- Widziałem go - powiedział sekretarz. - Często pracuje dla pana.

- Wszyscy nasi lepsi chłopcy zaprawiali się na nim - odparł Roberts. - Wiele się przy tym nauczył. Zauważyłem, że mógłby położyć niejednego z nich. Ale nie ma serca do boksu. Nie lubi tego sportu, to po nim widać.

- W ciągu ostatnich kilku miesięcy występował w różnych małych klubach - wtrącił Kelly.

- Właśnie. Nie wiem, co mu się stało. Nagle krew w nim zagrała. Wziął się do roboty i porozkładał wszystkich tutejszych chłopców. Zdaje się, że potrzebował pieniędzy. No i zarobił

coś niecoś, chociaż po jego ubraniu tego nie widać. Dziwny człowiek. Nikt nie wie, czym on się właściwie zajmuje. Przychodzi, robi swoje i natychmiast znika. Czasem nie widać go całymi tygodniami. Rad żadnych nie słucha. Jego manager mógłby zrobić majątek, ale on nie chce mieć managera. Zobaczycie, jak się będzie targował, gdy przyjdzie do omówienia warunków spotkania.

W tej chwili przyszedł Danny Ward. Przybył w asyście swego managera i trenera. Wniósł z sobą powiew zdobywczej pogody ducha i dobrego humoru. Witał się na prawo i lewo, dowcipkował, przygadywał, rozdawał uśmiechy. Więcej w tym było pozy niż szczerości. Ward był dobrym aktorem i uważał miłe obejście za doskonały atut w walce o powodzenie w świecie. W gruncie rzeczy jednak pod maską jowialności ukrywał się zimnokrwisty bokser i wyrachowany byznesmen. Ci, którzy znali go lepiej i częściej mieli z nim do czynienia, mówili, że Danny ma łeb do interesów. Zawsze brał udział w rozmowach na temat finansowych warunków spotkań. Niektórzy stanowczo twierdzili, że manager jest tylko pionkiem w jego ręku.

Rivera w niczym nie był podobny do Warda. W żyłach jego płynęła krew indiańska zmieszana z hiszpańską. Zaszył się teraz w kącie pokoju. Siedział tam milczący i bez ruchu, tylko jego czarne oczy bacznie śledziły ich twarze.

- A więc to jest ten facet - rzekł Danny szacując okiem swego domniemanego partnera. - Jak się masz, stary!

Oczy Rivery błysnęły gniewem, lecz nie odpowiedział na powitanie. Nie znosił gringów, tego zaś nienawidził z całego serca.

- Mój Boże! - Danny z uśmiechem zwrócił się do managera. - Czy ty nie chcesz przypadkiem, abym walczył z głuchoniemym?

Kiedy zaś przestali się śmiać z tego dowcipu, dodał:

- Chudo w tym waszym Los Angeles, jeśli nie mogliście wygrzebać nic lepszego. Z

któregoście przedszkola go wzięli?

- Ależ Danny, to dobry chłopak, słowo daję - tłumaczył mu Roberts. - Wcale nie taka łatwa sztuka, jakby się zdawało.

- A poza tym sprzedaliśmy już pół sali - nastawał Kelly. - Musisz się zgodzić, Danny.

Zrobiliśmy, cośmy mogli.

Danny jeszcze raz obrzucił Rivere lekceważącym spojrzeniem i westchnął.

- Mam wrażenie, że długo z nim nie będę się bawił - powiedział. - Żeby mi tylko nie spuchł.

Roberts parsknął śmiechem.

- Bądź jednak ostrożny - powiedział manager Warda. - Z nieznanym przeciwnikiem nie wolno ryzykować, bo taki przyczai się czasem, rąbnie zniecka i cześć!

- Ależ dobrze - uśmiechnął się Danny. - Będę ostrożny. Od razu go usadzę, a potem będę się z nim obchodził jak z jajkiem. Byle tylko zadowolić naszą kochaną publiczność. Co byś powiedział na piętnaście rund, Kelly? A potem - do łóżeczka!

- Owszem - odparł Kelly. - Tylko musisz dobrze się zgrywać.

- A teraz do rzeczy - rzekł Danny i przez chwilę liczył coś w pamięci. - Oczywiście dla nas sześćdziesiąt pięć procent wpływu za bilety wstępu, tak samo jak z Cartheyem. Tylko inaczej się podzielimy. Mnie z tego wystarczy cztery piąte.

Tu zwrócił się do swego managera.

- Czy tak?

Ten skinął głową.

- Czy rozumiałeś? - spytał Kelly Rivere. Meksykanin potrząsnął głową.

- Słuchaj, to jest tak... - zaczął tłumaczyć Kelly - wasz dochód wyniesie sześćdziesiąt pięć procent wpływu za bilety. Jesteś żółtodziób i nikt cię nie zna. Podzielicie się tak, że dostaniesz dwadzieścia procent, a Danny - osiemdziesiąt. Będzie to sprawiedliwy podział, prawda, Roberts?

- Najzupełniej sprawiedliwy - zgodził się Roberts. - Widzisz, Rivera, twoje nazwisko nic jeszcze nie mówi.

- Sześćdziesiąt pięć procent - ile to może być w gotówce? - zapytał Rivera.

- Och, może pięć, a może nawet osiem tysięcy dolarów - pośpieszył z wyjaśnieniem Danny. -

W każdym razie coś koło tego. Twój udział wyniesie tysiąc do tysiąca sześciuset dolarów.

Będzie to niezła zapłata za lanie, jakie weźmiesz od takiego boksera jak ja. Cóż ty na to?

Odpowiedź Rivery wprowadziła ich w zdumienie.

- Zwycięzca bierze wszystko - powiedział stanowczo. Zapanowała grobowa cisza.

- Jakbyś znalazł, Danny - odezwał się wreszcie manager Warda. Danny potrząsnął głową.

- Ja boksem zajmuję się nie od wczoraj - powiedział. - Nie podejrzewam sędziego ani nikogo z tu obecnych. Nie mówię też o bukmacherach i kantach, które czasem się zdarzają. Powiem tylko tyle, że to kiepski interes dla takiego zawodnika jak ja. Mogę walczyć, ale na pewniaka.

Szkoda każdego słowa. Co będzie, jak złamię rękę? A może jakiś drań podsunie mi narkotyk?

- Z wielką powagą potrząsnął głową. - Wygram czy przegram, muszę dostać swoje osiemdziesiąt procent. Cóż ty na to, Meksykaninie?

Rivera zaprzeczył ruchem głowy.

Danny wybuchnął. Nagle stał się rozbrajająco szczery. - Ach, ty brudasio! Mogę ci zaraz rozkwasić gębę. Roberts powoli podniósł się z krzesła i stanął między obu bokserami.

- Zwycięzca bierze wszystko - powtórzył posępnie Rivera.

- Dlaczego się upierasz? - spytał Danny.

- Bo mogę cię pokonać - odparł Rivera.

Danny zrobił ruch, jakby chciał zrzucić marynarkę. Ale jego manager wiedział, że mistrz się zgrywa. Danny nie zdjął marynarki i dał się przebłągać. Wszyscy byli za nim. Rivera stał sam na boku.

- Słuchaj, szczeniaku - zaczął nalegać Kelly. - Jesteś zerem. Wiemy, żeś ostatnio pokonał

paru kiepskich tutejszych bokserów. Danny to klasa. W następnym spotkaniu stajesz do walki o tytuł mistrza. A ciebie nikt nie zna. Poza Los Angeles nikt o tobie nie słyszał.

- Usłyszają. - Rivera wzruszył ramionami. - Usłyszają po tej walce. Danny nie mógł już wytrzymać.

- Czy naprawdę przyszło ci do głowy, że możesz mnie pokonać? - zapytał.

Rivera skinął głową.

- Ach, bądźże rozsądny, Rivera - tłumaczył mu Kelly. - Pomyśl, jaką reklamę zrobi ci ta walka.

- Potrzebuję tylko pieniędzy - odpowiedział Rivera.

- Nie zarobisz ich na mnie nawet za tysiąc lat - zapewnił go Danny.

- To dlaczego się nie zgadzasz? - zapytał Rivera. - Jeżeli pieniądze same idą ci w ręce, czemu ich nie chcesz brać?

- Chcę, jak Boga kocham! - krzyknął Ward nagle, zdecydowany. - Zatłukę cię na śmierć, kochlasiu. Żartów ci się zachciało. Kelly! Pisz umowę. Zwycięzca bierze wszystko. Ogłoś to w prasie sportowej. Powiedz im, że walka będzie na całego. Dam temu smykowi po nosie.

Sekretarz Kelly'ego zaczął już spisywać umowę, gdy Danny mu przerwał:

- Zaczekaj! - Tu zwrócił się do Rivery: - A jak będzie z wagą?

- Waga przy ringu - odparł Meksykanin.

- Ani mi się śni, mój mały. Jeżeli zwycięzca bierze wszystko, to ważenie odbędzie się o dziesiątej rano.

- Ale zwycięzca weźmie wszystko? - zapytał Rivera.

Danny skinął głową. Sprawa była załatwiona. Wejdzie na ring w pełni swych sił.

- Dobrze, waga o dziesiątej - rzekł Rivera. Pióro sekretarza znów zaskrzypiało.

- Ależ to oznacza różnicę pięciu funtów - wagi - strofował Roberts Rivere. - Niepotrzebnie się na to zgodziłeś. Jużes przegrał. Danny będzie silny jak byk. Jesteś skończonym głupcem.

Teraz na pewno cię pokona. Nie masz żadnych szans. Będziesz wyglądał jak kropla rosy w piekle.

Jedyną odpowiedzią Rivery było zimne i nienawistne spojrzenie. Pogardzał nawet tym gringiem, którego uważał za najlepszego z nich wszystkich.

IV

Wejście Rivery na ring ledwie zauważono. Powitały go rzadkie i słabe oklaski. Publiczność niczego się po nim nie spodziewała. Był w jej oczach barankiem wydanym na rzeź wielkiemu Danny. Poza tym publiczność doznała rozczarowania. Spodziewała się pełnej napięcia walki między Danny Wardem a Billy Cartheyem, a musiała zadowolić się spotkaniem z tym małym i mizernym nowicjuszem. Niezadowolenie ze zmiany zawodnika wyraziło się w zakładach.

Stawiano teraz za Wardem dwa, a nawet trzy przeciw jednemu. Ten zaś, na którego publiczność postawiła pieniądze, ma też jej serce.

Młody Meksykanin usiadł w swym rogu i czekał. Minuty wlokły się nieznośnie. Banny kazał mu czekać na siebie. Był to stary kawał, ale zawsze działał na początkujących bokserów. Ogarniał

ich lęk coraz większy, kiedy siedzieli tak - twarzą w twarz z własnym strachem i obojętną, tonącą w kłębach dymu publicznością. Tym razem jednak sztuczka spaliła na panewce.

Roberts miał słuszość. Rivera nie tracił zimnej krwi. Delikatniej unerwiony i bardziej wrażliwy niż ktokolwiek inny na sali, potrafił zachować kamienny spokój. Atmosfera przesądzonej klęski, jaka unosiła się nad jego rogiem, zupełnie mu się nie udzielała. Jego sekundantami byli nieznajomi gringowie, patałachy, nędzne odpadki bokserskiego sportu, ludzie bez czci i własnej woli. Oni też byli pewni, że ich zawodnik skazany jest na klęskę.

- Pilnuj się dobrze - ostrzegał go Spider Hagerty. Spider był jego pierwszym sekundantem. -

Trzymaj się jak najdłużej, oto co Kelly kazał ci powiedzieć. Inaczej gazety napiszą, że znów było zwyczajne mordobicie i na całe Los Angeles obsmarują to spotkanie.

Wszystko to bynajmniej nie dodawało Riverze otuchy, ale nic sobie z tego nie robił. Pogardzał

zawodowcami. Boks był znieawidzoną zabawą nienawistnych gringów. Jął się tego zajęcia i służył za piłkę treningową tylko dlatego, że umierał z głodu. Fakt, że był stworzony do boksu, nic dlań nie znaczył. Nienawidził tego sportu. Dopiero gdy przyszedł do Junty, zaczął walczyć o pieniądze. Przekonał się wówczas, że to łatwy sposób zarobkowania. Zresztą nie 011

pierwszy na świecie zdobywał powodzenie w zawodzie, którym pogardzał.

Nie myślał wiele. Wiedział tylko, że musi wygrać. Nie było innego wyjścia. Nikomu w tej zatłoczonej sali nawet się nie śniło, jakie potężne siły stoją za Rivera i podtrzymują go na duchu. Danny Ward walczył dla zysku i o łatwe życie, jakie mógł mieć za pieniądze. To, o co walczył Rivera, płonęło w jego mózgu: gdy siedział samotnie w rogu ringu czekając na swego chytrego przeciwnika, przed szeroko rozwartymi oczami ukazywały mu się oślepiające, straszliwe wizje tak wyraźnie, jakby były rzeczywistością.

Widział białe mury fabryk w Rio Blanco, widział sześć tysięcy wygłodzonych robotników o szarych twarzach i małe, siedmio - i ośmioletnie dzieci ciężko pracujące na długich zmianach za dziesięć

centów dziennie. Widział śmiertelnie blade twarze żywych trupów - mężczyzn zatrudnionych w farbiarniach. Pamiętał, że jego ojciec hale farbiarni nazywał "jaskiniami samobójców". Rok pracy w takiej norze oznaczał śmierć. Ujrzał podwórko ich domu. Matka kręci się koło kuchni i haruje od rana do wieczora, a przecież znajduje czas, aby otoczyć syna najtkliwszą miłością. Ukazał mu się ojciec, wielki, barczysty, wąsaty mężczyzna, który wszystkich kochał, lecz serce miał tak wielkie, że mieściła się w nim także ogromna miłość do żony i małego muchacho [chłopiec] bawiącego się w kącie patio.[podwórze] Nie nazywał się wtedy Felipe Rivera, lecz Fernandez - tak jak jego rodzice. Na imię mu było Juan. Później sam zmienił imię i nazwisko, gdy się dowiedział, że nazwisko Fernandez znieawidzone było przez prefektów policji i żandarmów.

Wielki i dobry Joaquin Fernandez! Wiele miejsca zajmował w wizjach Rivery, który dawniej mało rozumiał, lecz gdy teraz patrzył w przeszłość, rozumiał wszystko. Widział ojca składającego czcionki w małej drukarni, to znów za biurkiem zarzuconym papierami - w pośpiechu gryzmołącego bez końca nierówne linijki. Po raz wtóry przeżywał niezwykle wieczory, kiedy robotnicy przekradali się jak złodzieje pod osłoną mroku i zbierali u ojca.

Wiedli z nim długie rozmowy, a mały muchacho leżał w kącie i często nie mógł zasnąć.

Jakby z daleka usłyszał głos Spidera Hagerty'ego.

- Żebyś tylko nie zwałił się na samym początku. Tak mówi Kelly. Bierz lanie, bo ci za to płacą.

Minęło dziesięć minut, a on wciąż siedział w swoim rogu. Danny nie dawał znaku życia - widocznie przeciągał trick do ostatecznych granic.

Nowe wizje zapłonęły przed oczyma duszy Rivery. Strajk lub raczej lokaut, ponieważ robotnicy z Rio Blanco pomagali swym strajkującym braciom z Puebla. Głód, wyprawy na wzgórza po jagody, korzenie i trawy, które jedli i które skręcały im z bólu żołądki. A potem potworny widok i pustka przed sklepem Towarzystwa, tysiące umierających z głodu robotników, generał Rosalio Martinez i żołnierze Porfirio Diaza, i ziejące śmiercią karabiny. Zdawało się, że nigdy nie zamilkną i że krzywda robotników zawsze obmywać się będzie w ich własnej krwi. I wreszcie -

ta noc! Platformy wysoko załadowane zwłokami pomordowanych, wywożące do zatoki Vera Cruz pokarm dla rekinów. Pełzał wśród straszliwych stosów szukając ojca i matki. Odnalazł ich zwłoki, odarte z odzieży i zmasakrowane. Pamiętał zwłaszcza matkę, a raczej tylko jej głowę -

reszta ciała przywalona była stosem trupów. Zagrzechotały karabiny żołnierzy Porfirio Diaza.

Zjów przypadł do ziemi i pełzał jak szczuty przez sforę psów górski kojot.

Do uszu jego dobiegł potężny ryk, niczym łoskot wzburzonego morza, i ujrzał Danny Warda; wraz ze swą trenerów i sekundantów szedł na ring środkowym przejściem. Sala dzikim wrzaskiem witała swego ulubieńca i pewnego zwycięzcę. Jego imię było na ustach wszystkich. Cała sala trzymała z Wardem. Nawet sekundanci Rivery poweseleli, gdy Danny zręcznie przemknął się między liniami i wszedł na ring. Na jego twarzy pojawiały się raz po raz szerokie uśmiechy, a kiedy Danny uśmiechał

się, czynił to każdym rysem, aż po zmarszczki w kącikach oczu i aż do głębi źrenic. Jeszcze nie było tak wesołego boksera. Twarz Danny Warda była żywą reklamą do - brego samopoczucia i szczerzej życzliwości dla ludzi. Znał tutaj wszystkich. Żartował, śmiał się i pozdrowiał z ringu przyjaciół. Ci, którzy siedzieli dalej, nie mogąc opanować podziwu, krzyczeli na całe gardło: "Danny! Danny!" Burzliwa owacja trwała dobre pięć minut.

Na Rivere nikt nie zwracał uwagi. Nie istniał dla publiczności. Obrzękła twarz Spidera nachyliła się do jego ucha.

- Żebyś się tylko nie spietrał - ostrzegł Spider. - I pamiętaj o instrukcjach Kelly'ego. Musisz wytrzymać do końca. Nie rozłóż się. Jeśli się rozłożysz, mamy polecenie sprawić ci w szatni lanie. Zrozumiano? Bij się i tyle!

Na sali rozległy się oklaski. Danny szedł ku niemu przez ring. Nachylił się, ujął prawicę Rivery w obie ręce i potrząsnął nią z wylewną serdecznością. Uśmiechnięte oblicze Danny'ego znalazło się tuż przy twarzy Rivery. Publiczność wyła z zachwytu dla sportowej postawy swego ulubieńca: witał przeciwnika jak rodzzonego brata. Wargi Danny'ego poruszyły się, a publiczność, sądząc, że serdecznie pozdrawia Rivere, znów ryczała z podziwu. Jeden Rivera usłyszał słowa Warda.

- Ty mały szcurze meksykański - zasyczało spomiędzy wesoło uśmiechniętych warg Danny'ego - już ja cię obrobie, że tchórz z ciebie wylezie!

Rivera nie poruszył się. Nie powstał z miejsca. Tylko jego oczy płonęły nienawiścią.

- Wstań, szczeniaku! - zawołał ktoś z tyłu.

Tłum oburzony niesportową postawą Rivery gwizdał i krzyczał. On jednak ani drgnął. Huragan oklasków towarzyszył Danny'emu, kiedy wracał na swoje miejsce.

Gdy Danny zrzucił ubranie, rozległy się okrzyki zachwytu. Zbudowany był doskonale, tryskał

zdrowiem i siłą, ciało miał gibkie, skórę białą i gładką jak u kobiety. Był uosobieniem wdzięku, prężności i siły. Dowiódł tego w dziesiątkach walk. Fotografie Warda pojawiały się we wszystkich pismach sportowych.

Gdy Spider Hagerty ściągnął Riverze sweter, ogólny jęk dał się słyszeć na sali. Smagłość skóry sprawiała, że Rivera wydawał się chudszy, niż był w rzeczywistości. Mięśnie miał silne, ale nie uwydatniały się tak jak u jego przeciwnika. Publiczność nie zauważyła, że ma szeroką klatkę piersiową, i nic nie wiedziała o jego wytrzymałości, błyskawicznej reakcji mięśni i niezwykle czułym systemie nerwowym, który oplatał jego ciało, czyniąc zeń wspaniałą mechanizm bojowy. Sala widziała tylko smagłego osiemnastoletniego młodzieńca o chłopięcych kształtach. Danny - to zupełnie co innego. Był mężczyzną dwudziestoczteroletnim i wyglądał na prawdziwego mężczyznę. Kontrast jeszcze bardziej rzucił się w oczy, kiedy stanęli obok siebie na środku ringu i słuchali ostatnich pouczeń sędziego.

Rivera zauważył, że Roberts siedzi tuż za dziennikarzami. Był bardziej pijany i mówił jeszcze

wolniej niż zwykle.

- Uszy do góry, Rivera - cedził Roberts. - On nie może cię zabić, pamiętaj o tym. Rzuci się z miejsca na ciebie, ale nie daj się zastraszyć. Blokuj, trzymaj dystans, idź na zwanie. Wielkiej krzywdy ci nie zrobi. Niech ci się zdaje, że on cię młóci na sali treningowej.

Nic nie świadczyło o tym, że Rivera usłyszał.

- Ponury, diabli syn - mruknął Roberts do sąsiada. - Zawsze był taki.

Rivera nie patrzył już przed siebie swym zwykłym, pełnym nienawiści spojrzeniem. Oślepiła go wizja niezliczonej ilości karabinów. Jak daleko mógł sięgnąć wzrokiem, aż do miejsc na górze, po dolarze, twarze widzów zmieniły się w karabiny. I widział długą granicę meksykańską, spaloną i wyjałowioną przez słońce, a wzdłuż niej gromady obdartych ludzi czekających tylko na karabiny.

Rivera stał w rogu i czekał. Jego sekundanci wysliznęli się poza liny i zabrali brezentowe krzeselko. W przeciwległym rogu kwadratowego ringu stał Danny i patrzył na niego. Uderzył

gong, mecz się zaczął. Publiczność zawyla z zachwytem. Nigdy nie widziała tak wspaniałego początku walki. Gazety miały słuszność. Walka była ostra. Danny potężnym susem przebył

trzy czwarte odległości dzielącej go od przeciwnika. Widać było wyraźnie, że chce zmiażdżyć meksykańskiego chłopca. Nacierał nie jednym, nie dwoma i nie tuzinem ciosów. Był to wir uderzeń, huragan siejący zniszczenie. Rivera zniknął. Przywalała go lawina ciosów zadawanych ze wszystkich stron i z każdej pozycji przez doświadczonego mistrza boks.

Danny rzucał go na sznury, sędzia ich rozdzielał i Rivera znów leciał na sznury.

Nie była to walka, lecz jatki. Każda publiczność, z wyjątkiem bywalców meczów bokserskich, miała dość emocji już po pierwszej minucie. Danny najwidoczniej pokazywał, co umie, i robił

to doskonale. Publiczność tak była pewna wyniku walki, tak podniecona i tak trzymała stronę Danny'ego, że nie zauważyła, iż Meksykanin stoi jeszcze na nogach. Sala zupełnie zapomniała o Riverze. Rzadko go zresztą widziano, tak chłopca pokrywał morderczy atak Danny'ego. Minęła minuta, potem dwie. Gdy sędzia rozdzielił zawodników, widzowie ujrzeli na chwilę Meksykanina. Miał przeciętą wargę, z nosa ciekła mu krew. Kiedy się odwrócił i chwiejnym krokiem poszedł do zwarcia, ujrzeli na jego plecach czerwone, krwawe pręgi od uderzeń o sznury. Ale publiczność nie zauważyła, że jego piersi nie podnosił przyspieszony oddech i że oczy płonęły jak zwykle zimnym blaskiem. Zbyt wielu zawodników, ubiegających się o tytuł mistrza boks, próbowało na nim druzgocących ataków i okrutnie młóciło go w obozach treningowych. Przywykł wytrzymywać te ataki za pół dolara od treningu, a potem za piętnaście dolarów tygodniowo - twarda to była szkoła, ale wiele się w niej nauczył.

Potem stało się coś zupełnie niesłychanego. Burza kotłująca się na ringu nagle ustała. Rivera stał sam. Danny, straszliwy Danny leżał na wznak. Ciało przebiegały mu drgawki, jakby szamotała się w nim powracająca z trudem świadomość. Nie zachwiał się i nie osunął z wolna na deski. Prawy sierp

Rivery poraził go nagle jak śmierć. Sędzia odepchnął Rivere jedną ręką, stanął nad powalonym gladiatorem i liczył sekundy. Bywalcy zawodów bokserskich zwykle witają celny nokaut hałaśliwymi objawami zachwytu. Dziś sala milczała. Nikt nie spodziewał się tego, co nastąpiło. W pełnej napięcia ciszy sala słuchała, jak sędzia liczy sekundy. Nagle w tej ciszy dał się słyszeć tryumfalny głos Roberta:

- Mówiłem wam, że walczy obu rękami!

W piątej sekundzie Danny przewrócił się na twarz, a gdy sędzia odliczył siódmą sekundę, uklęknął na jedno kolano, gotów podnieść się po odliczeniu dziewiątej, a przed dziesiątą.

Gdyby na “dziesięć” kolano jego dotykało jeszcze podłogi, uznano by go za znokautowanego.

W chwili gdy kolano oderwie się od desek, uważa się, że zawodnik stoi na nogach. Rivera miał wtedy prawo znów go powalić. Ale mu się to nie udało. Postanowił uderzyć, gdy kolano oderwie się od podłogi. Obszedł przeciwnika, lecz sędzia znalazł się między nimi. Rivera wiedział, że sekundy odliczane są zbyt wolno. Wszyscy gringowie byli przeciw niemu, nawet sędzia.

Na “dziewięć” sędzia silnie odepchnął Rivere w tył. Nie było to “fair”, ale wystarczyło, aby Danny mógł wstać. Znów się uśmiechał. Zgięty wpół, osłaniając ramionami twarz i brzuch, sprytnie wpakował się w zwarcie. Według wszelkich prawideł walki sędzia powinien, był je przerwać, ale nie uczynił tego i Danny przyłgnął do Rivery jak skorupiak wyrzucony na brzeg przez falę. Z każdą chwilą odzyskiwał siły. Szybko zbliżała się ostatnia minuta rundy. Jeśli wytrzyma do końca, będzie miał całą minutę odpoczynku i przyjdzie do siebie. Wytrwał

uśmiechając się, mimo że jego położenie było roz. paczliwe.

- Ten się zawsze uśmiecha! - krzyknął ktoś z sali, a publiczność zaśmiała się z ulgą.

- Okropne ma uderzenie ten meksykański brudas! - szepnął Danny do trenera, z trudem łapiąc powietrze, podczas gdy sekundanci gorączkowo uwijali się koło niego.

Podczas drugiej i trzeciej rundy nic ciekawego się nie wydarzyło. Danny, chytry i wytrawny król ringu, walczył na dystans, blokował i stawiał opór jedynie po to, by przyjść do siebie po ogłuszającym ciosie otrzymanym w pierwszej rundzie. W czwartej rundzie był znowu sobą.

Doznał wstrząsu i oszołomienia, ale dzięki dobrej kondycji odzyskał siły. Zrezygnował już z taktyki zmierzającej do zmiążdżenia przeciwnika. Meksykanin okazał się niebezpieczny.

Danny odwołał się teraz do swego kunsztu bokserskiego. Znał doskonale wszystkie sztuczki, był niezwykle zręczny, miał ogromne doświadczenie. Nie mógł zadać decydującego ciosu, zaczął więc nader umiejętnie stosować serie krótkich ciosów nękających. Na każdy cios Rivery odpowiadał trzema, ale były to tylko uderzenia karcące, nie zabójcze. W sumie jednak ciosy te były niebezpieczne. Nabral szacunku do tego amatora, który walczył tak samo dobrze lewą, jak prawą ręką i obu pięściami zadawał diabłu celne krótkie ciosy.

Rivera lewymi prostymi rozbijał ataki Danny’ego, bynajmniej przy tym nie oszczędzając jego warg i

nosa. Danny jednak umiał się dostosować do każdej sytuacji. Nie darmo miał zostać mistrzem. Mógł dowolnie zmieniać styl walki. Teraz począł walczyć w półdystansie. Z bliska sam był szczególnie groźny, a ponadto zabezpieczał się przed lewymi prostymi przeciwnika.

Publiczność znów oszalała, gdy Danny wspaniale przełamał obronę i zadał krótki cios z dołu, którym wyrzucił Meksykanina w powietrze i zwałił na deski. Rivera, klęcząc na jednym kolanie, korzystał z liczonych sekund, by przyjść do siebie, ale równocześnie zdawał sobie sprawę, że sędzia śpieszy się, jak może.

W siódmej rundzie Danny znów zastosował swój szatański krótki cios z dołu. Tym razem Rivera tylko się zachwiał. Danny jednak wykorzystał chwilę słabości przeciwnika i drugim uderzeniem przerzucił go przez sznury. Rivera spadł na głowy siedzących pod ringiem dziennikarzy, którzy wepchnęli go z powrotem na róg platformy. Przyklęknął na jedno kolano i odpoczywał, podczas gdy sędzia szybko liczył sekundy. Na ringu, za sznurami, przez które musiał przeleźć, czekał Danny. Sędziemu ani się śniło interweniować i odsunąć Danny'ego.

Publiczność odchodziła od zmysłów z zachwytem. Ktoś krzyknął:

- Zabij go, Danny, zabij!

Liczne głosy podjęły ten okrzyk i mogło się zdawać, że to bojowy zew wilków.

Danny czyhał, ale Rivera już na "osiem" przemknął się nagle pod linami i wszedł bezpiecznie w zwarcie. Sędzia starał się odciągnąć Rivere, by Danny mógł go uderzyć, słowem - pomógł swemu faworytowi tyle, ile tylko może pomóc nieuczciwy sędzia.

Rivera trzymał się jednak dobrze, a szum w głowie szybko mu przechodził. Wszystko się zgadzało. Miał do czynienia z nienawistnymi gringami, którzy przecież nigdy nie postępują uczciwie. Znów ujrzał oślepiające wizje: długie szlaki kolejowe wiodące przez pustynię; meksykańscy żandarmi i amerykańscy policjanci; więzienia i areszty; łaziki przy cysternach z wodą na stacjach - panorama nędzy i cierpienia, jaką oglądał w czasie wędrówki po strajku i ucieczce z Rio Blanco. Lecz widział też idącą przez jego kraj w blasku sławy czerwoną rewolucję. Widział przed sobą karabiny. Każda zniechęcona twarz - to karabin. Walczy o broń. Sam jest orężem. Jest rewolucją. Walczy za cały Meksyk.

Zachowanie Rivery zaczynało już gniewać publiczność. Czemu nie chce wziąć lania, które mu się należy? Oczywiście, dostanie w skórę, ale dlaczego tak się opiera! Niewiele widzów było zainteresowanych jego zwycięstwem. Stawiali na fuksa i stanowili pewien ściśle określony procent tłumu grającego w totalizator. Wierząc w zwycięstwo Danny'ego, postawili jednak na Meksykanina w stosunku cztery do dziesięciu lub jeden do trzech. Sporo było zakładów o to, ile rund Rivera wytrzyma. Wielkie pieniądze stawiali przy ringu widzowie, którzy twierdzili, że Meksykanin nie wytrzyma siedmiu, a nawet sześciu rund. Zwycięzcy tych zakładów, zadowoleni, że ryzykowna gra szczęśliwie się skończyła, teraz wraz z resztą publiczności oklaskiwali swego prawdziwego faworyta.

Rivera nie dawał się pokonać. W ósmej rundzie Danny na próżno próbował powtórzyć swój cios z dołu. W dziewiątej Rivera znów wprawił salę w osłupienie. W czasie zwarcia zwinnym, szybkim ruchem oderwał się od przeciwnika i w wąskim odstępie, jaki powstał między nimi, prawą ręką zadał cios z dołu. Danny runął i na dziesięć sekund miał spokój. Tłum ogarnęło przerażenie. Danny został pobity własną bronią. Jego słynny cios prawą z dołu obrócił się przeciw niemu. Rivera nie próbował go dopaść, gdy podniósł się w dziewiątej sekundzie.

Sędzia jawnie osłaniał Danny'ego, chociaż w odwrotnej sytuacji, kiedy Rivera chciał podnieść się z desek, stał beczynnie.

W dziesiątej rundzie Rivera dwukrotnie zastosował ten sam cios, wyprowadzony z wysokości pasa do podbródka przeciwnika. Danny'ego ogarnęła rozpacz. Choć uśmiech nie schodził mu z twarzy, powrócił do swych morderczych ataków. Huragan ciosów nic mu jednak nie pomógł, a Riverze nie przeszkodził rzucić go na deski trzy razy pod rząd. Danny nie odzyskiwał już sił

tak szybko jak na początku spotkania. W jedenastej rundzie jego położenie stało się bardzo poważne. Ale od tej chwili, aż do czternastej rundy, dał pokaz najzręczniejszej walki w całej swej bokserkiej karierze. Trzymał dystans, blokował, oszczędzał się i usiłował zebrać siły.

Walczył przy tym tak nieuczciwie, jak to potrafi tylko wytrawny bokser. Uciekał się do najrozmaitszych sztuczek i podstępów - w zwarciach niby niechcący uderzał głową, przytrzymywał pięść Rivery przyciskając ją ramieniem do siebie, to znów zatykał mu rękawicą usta, aby utrudnić oddech. Często w zwarciach przez rozbite, lecz wciąż uśmiechnięte wargi ochryłym głosem szeptał Riverze do ucha wstrętne, obelżywe słowa. Wszyscy, zarówno sędzia, jak i cała sala, trzymali z Danny'm, pomagali mu i domyślali się, do czego zmierza. Po tylu niespodziankach ze strony nieznanego boksera Danny całą nadzieję pokładał teraz w jednym, decydującym ciosie. Wystawiał się na razy, udawał, markował, przeciągał walkę, czekając, aż przeciwnik odsłoni się i będzie można uderzyć z całej siły. Wtedy odwróci się karta. W podobnej sytuacji pewien słynny bokser wygrał walkę dwoma ciosami: prawą w splot słoneczny i lewą w szczękę. Mógł jeszcze zrobić to samo. Słyszał przecież z tego, że póki się trzymał na nogach, uderzenie miał mocne i zachowywał siłę w rękach.

Sekundanci Rivery nie bardzo troszczyli się o niego w czasie przerw między rundami. Niby machali rękami, ale nie dawało to powietrza jego zdyszonym płucom. Spider Hagerty udzielał mu pouczeń, Rivera wiedział jednak, że są to złe rady. Wszyscy byli przeciw niemu.

Otaczała go zdrada. W czternastej rundzie znów powalił Danny'ego i stał odpoczywając, z rękami opuszczonymi, podczas gdy sędzia liczył sekundy. Z drugiej strony ringu dobiegły go podejrzanym szeptem. Zobaczył, że Michael Kelly podszedł do Robertsa, nachylił się i coś szepcze mu do ucha. Miał koci słuch i zdołał pochwycić urywki rozmowy. Chciał usłyszeć nieco więcej, gdy więc Danny się podniósł, manewrował tak, aby wejść w zwiarcie przy sznurach.

- Musi... - mówił Michael, a Roberts mu przytakiwał. - Danny musi wygrać... inaczej stracę majątek... wpakowałem w to kupę własnej forsy. Jeśli Rivera wytrzyma piętnastą rundę, leżę na amen... Ten chłopak ciebie posłucha. Zrób coś.

Od tej chwili widzenia nie odwracały już uwagi Rivery. Próbowali go wystrychnąć na dudka.

Jeszcze raz powalił Danny'ego i stał odpoczywając, z opuszczonymi rękami. Roberts wstał.

- Ma dość - rzekł. - Idź do swego rogu.

Powiedział to głosem rozkazującym, podobnie jak mówił do Rivery w czasie treningów. Ale Meksykanin spojrział nań z nienawiścią i czekał, aż Danny się podniesie. Podczas minuty przerwy, gdy wrócił do rogu, podszedł doń manager Kelly i zaczął mówić.

- Dostyc tego, do ciężkiej cholery - szeptał chrapliwym głosem. - Kładź się, Rivera. Posłuchaj mnie, a zrobisz karierę. Następnym razem dam ci położyć Danny'ego. Ale dziś musisz ustąpić.

Po oczach Rivery widać było, że słyszał. Nie dał jednak po sobie poznać, czy się zgadza, czy nie. - Czemu nic nie mówisz? - zapytał Kelly ze złością.

- Przegrasz, tak czy siak - dodał Spider Hagerty. - Już się sędzia o to postara. Słuchaj Kelly'ego i kładź się.

- Poddaj się, kochasiu - błagał Kelly. - Pomogę ci zdobyć tytuł mistrza.

Rivera nie odpowiedział.

- Pomogę, jak Boga kocham - powtórzył Kelly.

Gdy uderzył gong, Rivera wyczuł, że coś się święci. Ale nie na sali. Cokolwiek to było, czyhało na niego tu, na ringu, całkiem blisko. Danny jakby odzyskał poprzednią pewność siebie.

Śmiałość jego ataków przeraziła Rivere. Coś tutaj knuli przeciw niemu. Danny natarł, ale Rivera unikał spotkania. Oskoczył w bok na bezpieczną odległość. Przeciwnik dążył

niewątpliwie do zwania. Widocznie było mu to potrzebne do jakiejś sztuczki. Rivera cofał się i wymykał Danny'emu, ale wiedział, że prędzej czy później nie uniknie zwania i podstęp.

Powziął rozpaczliwą decyzję: spróbuje szczęścia. Gdy Danny znów natarł na niego, Rivera udał, że chce się z nim zewrzeć. W ostatniej chwili, kiedy ciała ich już miały się zetknąć, zgrabnie odskoczył w tył. W tej sekundzie z rogu Danny'ego dały się słyszeć okrzyki: "faul!" Za wcześnie - Rivera ich nabrał. Sędzia nie wiedział, co robić. Już miał na ustach orzeczenie, ale nim zdążył się odezwać, jakiś chłopak przenikliwym głosem krzyknął z galerii:

- Tylko bez kantów!

Danny głośno lżąc Rivere rzucił się na niego. Meksykanin dalej się cofał. Postanowił nie zadawać już ciosów w tułów. W ten sposób tracił połowę szans zwycięstwa, lecz wiedział, że zwyciężyć może jeszcze tylko wtedy, gdy będzie walczył na dystans. Byle co wystarczy teraz, aby sędzia zdyskwalifikował go za nieuczciwą walkę.

Danny nie zachowywał już żadnych środków ostrożności. Przez dwie rundy grzmocił Rivere, który nie miał odwagi przyjąć walki z bliska. Meksykanin zbierał grad uderzeń, byle tylko uniknąć zgubnego zwarcia. Podczas tego wspaniałego końcowego ataku Warda publiczność zerwała się z miejsc i po prostu oszalała. Już nic nie rozumieli. Widzieli tylko, że ich ulubieniec mimo wszystko zwycięża.

- Czemu nie walczysz? - wołali z gniewem do Rivery. - Ty tchórze! Tchórze! Nie uciekaj, szczeniaku! Bij się! Zabij go, Danny! Zabij! Już go masz, Danny! Zabij!

W całej sali jeden Rivera zachował zimną krew. Z pochodzenia i temperamentu był najgorętszy z nich wszystkich. Ale przeszedł już w życiu przez takie piekło, że ten zbiorowy szal i wrzask dziesięciu tysięcy gardeł, narastający jak huragan, robił na nim wrażenie lekkiego powiewu chłodu w letni wieczór.

W siedemnastej rundzie Danny zebrał wszystkie siły. Rivera ugiął się i zatoczył w tył pod ciężarem ciosu. Ramiona zwisły mu bezwładnie. Danny uznał, że nadeszła pora. Chłopak był na jego łasce. Lecz Rivera tylko zmylił w ten sposób czujność przeciwnika i zadał mu straszliwy cios w szczękę. Danny upadł. Gdy się podniósł, Rivera powalił go potężnym ciosem prawej w nasadę szczęki. Powtórzył to trzy razy. Żaden sędzia nie mógłby uznać tych ciosów za faul.

- Och, Bill, Bill! - płaczącym głosem zawołał Kelly do sędziego. - Nie da rady! - żałośnie odparł sędzia. - Nie ma się do czego przyczepić.

Danny, rozbity, ale bohaterski, podniósł się jeszcze raz. Kelly i inni widzowie z pierwszych rzędów zaczęli wołać policję, by przerwała mecz, choć sekundanci Danny'ego nie chcieli rzucić ręcznika. Rivera ujrzał, jak gruby komisarz policji niezgrabnie przełazi przez liny. Nie wiedział, co to znaczy. Gringowie są zdolni do tylu podstępów! Ward jak pijany zataczał się bezradnie przed nim. Sędzia i komisarz już mieli złapać Rivere, gdy zadał ostatni cios. Nie trzeba było przerywać walki. Danny już się nie podniósł.

- Licz! - ochryłym głosem krzyknął Rivera.

Gdy sędzia skończył wyliczanie, sekundanci Danny'ego odnieśli go do rogu.

- Kto wygrał? - zapytał Rivera.

Sędzia niechętnie ujął jego dłoń w rękawicy i uniósł w górę. Nikt nie gratulował Riverze.

Odszedł sam do swego rogu, w którym sekundanci nie postawili jeszcze krzeselka. Oparł się plecami o sznury i spojrzał na nich z nienawiścią. Potem powiódł wzrokiem po sali, aż ogarnął

całe dziesięć tysięcy gringów. Kolana pod nim drżały, łkał z wyczerpania. Doznał zawrotu głowy i mdłości: zienawidzone twarze kołysały mu się przed oczami. Nagle przypomniał

sobie, że to są karabiny. Zdobył karabiny! Rewolucja może się rozpocząć.

Przełożył Kazimierz Piotrowski

Perły Parlaja

Brunatny majtek obrócił kołem sterowym. "Malahini" skręcił pod wiatr i stracił przechył.

Przednie żagle zatrzepotały, reflinki trzasnęły po płótnie, powiew przerzucił borny na przeciwną burtę. Nabierając wiatru w żagle szkuner pochylił się i ruszył nowym halsem.

Na tylnym pokładzie leniuchowało pięciu białych ubranych bardzo lekko mimo wczesnej godziny i dość silnego wiatru. Grief i jego gość z Anglii, Gregory Mulhall, mieli na sobie pidżamy, a bose stopy wsunęli w chińskie miękkie pantofle. Szyper i porucznik ograniczyli się do podkoszulków i nie krochmalonych drelichowych szortów, a supercargo trzymał w rękach bawełnianą koszulkę i nie mógł się zdobyć, by ją wreszcie naciągnąć. Kroplisty pot zraszał mu czoło. Supercargo zwracał się w stronę wiatru i wystawiał nagą pierś na powiew, który wcale nie chłodził.

- Niezła duchota przy takim wietrze - westchnął załośnie.

- A chciałbym wiedzieć, co wyrabia się dalej na zachód? - podchwycił Grief biadanie.

- Wiatr niedawno się zerwał i nie potrwa długo - odezwał się porucznik Hermann, Holender z pochodzenia. - Całą noc kołował. Raz dmuchnął stąd, raz stamtąd, później znów z innej strony.

- Coś z tego będzie, coś będzie - zakrakał kapitan Warfield. Zwrócił twarz ku wiatrowi, na próżno czekając chłodu, i palcami obydwóch rąk rozczesywał strzechę bujnej brody.

- Od dwóch tygodni pogoda wariuje - mówił. - Blisko miesiąc temu powinien zacząć się pasat.

Nie ma go! Wszystko się pokręciło. Barometr skoczył w górę wczoraj po zachodzie słońca.

Teraz też się podnosi, chociaż przy takiej pogodzie to nic a nic nie znaczy. Nie lubię nagłych skoków barometru. Działają mi na nerwy, i tyle. Tak samo szedł w górę, kiedy straciliśmy

"Lancaster". Byłem wtedy praktykantem, ale dobrze wszystko pamiętam. Nowiuteńki stalowy czteromasztowiec w dziewiczej podróży, rozumiecie, panowie? Nasz stary zagryzł się na śmierć. W linii żeglugowej służył od czterdziestu lat. Po katastrofie zwiądnął, że się tak wyrażę.

Umarł w niespełna rok.

Skwar dławił na przekór porannej porze i wiatrowi, który szemrał o chłodzie, ale chłodu nie przynosił. Gdyby nie wilgotna parność, mógłby wiać z Sahary. Nie było ani śladu mgły, ale zamazany widnokrąg stwarzał złudzenie, że w dali unoszą się nad wodą opary. Wyraźnie zarysowane chmury nie pokrywały nieba, a przecież pierzaste obłoczki były tak gęste, że nie przenikał ich blask słoneczny. - Do zwrotu! - wolno, dobitnie zakomenderował kapitan Warfield.

Brunatni, odziani w krótkie spodenki majtkowie szybko choć niechętnie ruszyli do przednich żagli i stanęli u szotów. - Ster w prawo na burtę!

Sternik szarpnął raptownie kołem i "Malahini" zwinnie wykonał zwrot.

- Na Jowisza! Czarodziejski statek! - wyraził uznanie Mulhall. - Nie wiedziałem, że kupcy z Mórz Południowych żeglują jachtami.

- Niegdyś był to szkuner rybacki - wyjaśnił Grief. - Pochodzi z Gloucester, a wszystkie statki z Gloucester budową, takielunkiem i ożaglowaniem przypominają jachty.

- Sterujecie prosto w cieśninę. Czemu nie chcecie jej przeskoczyć? - zdziwił się Anglik.

- Niech pan spróbuje tej sztuki, kapitanie - zaproponował Grief. - Pokaż pan, jak wchodzi się do laguny przy silnym odpływie.

- Ostro do wiatru! - zakomenderował Warfield.

- Ostro do wiatru - powtórzył sternik zwalniając nieco koło.

"Malahini" znalazł się w cieśninie wiodącej do laguny dużego atolu, który kreślił na morzu długi, spłaszczony owal. Wyglądało to tak, jak gdyby trzy atole spotkały się w trakcie powstawania, złączyły i zaniechały budowy ścian działowych. Palmy kokosowe sterczały tu i ówdzie kępami, a w lukach - tam, gdzie piaszczysty krąg ledwie wychylał się z morza i kokosy nie mogły rosnąć - połyskiwała wewnętrzna reda, lekko tylko pomarszczona, z oddali jednak gładka niczym tafla lustrzana. Powierzchnia niekształtnej laguny liczyła wiele mil kwadratowych, a przy odpływie masy wody miały tylko jedno ujście. Kanał był wąski, wody zaś wielkie, toteż cieśnina przypominała raczej rzekę o wezbranym nurcie niż zwyczajne wejście do środka atolu. Woda burzyła się, bulgotała, tworzyła wiry i przy zderzeniach fal strzelała białą pianą. Dziób "Malahini" wznosił się i opadał, a że popychały go wciąż przeciwne i boczne prądy, szkuner raz po raz schodził z kursu. Mniej więcej w połowie drogi tak zbliżył się do wybrzeża, że musiał wykonać manewr, a znalazłszy się na przeciwnym kursie, całą burtę wystawił na napór prądu i zniesiony został w kierunku morza.

- Pora teraz na ten pański nowy, kosztowny motor - zadrwił żartobliwie Grief.

Wszyscy wiedzieli, że ów motor stanowił achillesową piętę kapitana Warfielda, że szyper długo o niego prosił, molestował, zanim uzyskał zgodę Griefa.

- Motor zwróci swój koszt - odrzekł kapitan. - Sam się pan przekona po pewnym czasie. To lepsze niż polisa asekuracyjna. No, a wie pan chyba, że towarzystwa ubezpieczeniowe nie lubią statków żeglujących na Paumotach.

Grief wskazał palcem mały kuter walczący z prądem za rufą "Malahini".

- Trzymam zakład o pięć franków - powiedział - że "Nuhiva" nas wyścignie.

- A pewnie - zgodził się kapitan Warfield. - Ma aż za silny motor. "Malahini" wygląda przy nim jak

pancernik, a rozporządza tylko siłą czterdziestu koni. Tam jest dziesięć, choć to przecie łupina, skorupa! Może ślizgać się po pianie piekielnej smoły, ale nie da rady temu prądowi.

Odpyw robi teraz z dziesięć węzłów.

“Malahini”, targany i rzucony przez fale odpywu, mknął z szybkością dziesięciu węzłów w stronę pełnego morza.

- Gdy za pół godziny nurt osłabnie, ruszymy przed siebie - powiedział kapitan Warfield z nagłym rozdrażnieniem, które wyjaśniły dopiero następne zdania. - On nie ma prawa nazywać swego atolu Parlay. Atol ten figuruje na mapach admiralicji i mapach francuskich jako Hikihoho. Bougainville odkrył go i zachował nazwę tubylczą.

- Nie spierajmy się o nazwy - powiedział supercargo i korzystając ze sposobności nastrożonej przez rozmowę, przestał wciągać koszulkę i stanął z dłońmi w rękawach. - Grunt, że mamy przed nosem atol, a na nim starego Parlaja z perłami.

- Kto widział te słynne perły? - zapytał Hermann przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą.

- Powszechnie o nich wiadomo - odrzekł supercargo i zwrócił się do sternika. - Hej, TaiHotauri, jak tam z perłami starego Parlaja?

Tubylcowi pochlebiło pytanie. Zadowolony z siebie, pogładził koło sterowe.

- Mój brat nurkował u Parlaja trzy, może cztery miesiące. Dużo gadał o perłach. Hikihoho dobre miejsce na połów pereł, bardzo dobre.

- A handlarze nigdy nie zdołali namówić starego, by rozstał się bodaj z jedną sztuką - dorzucił szyper.

- Ludzie powiadają, że jak płynął na Tahiti, wiózł pełen kapelusz pereł dla Armandy -

supercargo podchwycił dalszy ciąg opowiadania. - Było to piętnaście lat temu. Później powiększał wciąż zbiory. Magazynował także muszle. Muszle wszyscy chyba widzieli. Jest ich setki ton. Podobno stary na dobre wyczyścił lagunę. Może dlatego właśnie zapowiedział

licytację?

- Jeżeli to prawda, będziemy mieli największą w tym roku podaż pereł, jak Paumoty długie i szerokie - wtrącił Grief.

- Posłuchajcie no, moi panowie! - zawołał Mulhall nie mniej niż reszta towarzystwa zdenerwowany wilgotnym upałem. - Kim jest ten stary jegomość? O czym właściwie mowa?

Co to za słynne perły? Czemu operujecie zagadkami?

- Stary Parlay jest właścicielem Hikihoho - odparł supercargo. - Ma ogromny majątek w perłach, które gromadził przez długie lata. Kilka tygodni temu rozpuścił wiadomość, że jutro z publicznej licytacji wyprzedaje skarby. Spójrzcie tylko na maszty sterczące ze środka laguny.

Ile tam będzie szkunerów? »

- Ja widzę osiem - powiedział Hermann.

- Cóż mają do roboty na takim marnym atolu? - podjął supercargo. - Przez rok nie zbierze się tutaj kopry na ładunek jednego szkunera. Wszyscy przyplłynęli na licytację, podobnie jak my.

Tylko dlatego mały kuter "Nuhiva" skacze na falach za naszą rufą, chociaż nie mam pojęcia, co właściwie "Nuhiva" mógłby kupić. Jego armatorem i kapitanem jest Narii Herring, półkrwi angielski Żyd. Cały majątek Herringa to tupet, długi i nie zapłacone rachunki za whisky. Istny geniusz kredytu! Winien tylu ludziom, że w Papeete nie ma kupca, któremu nie zależałoby na powodzeniu tego faceta. Wierzyście rezygnują z własnych korzyści, żeby nastęczyć mu dobre interesy. Dla nich to mus, dla niego atut pierwsza klasa. Ja na przykład nic nie winienem nikomu. I cóż z tego? Gdybym zemdłał, upadł na plaży, ludzie pozwoliliby mi leżeć i zdychać spokojnie. Nie ponieśliby przecież żadnej straty, z Narii Herringiem inna sprawa. Cóż by się stało, gdyby on zemdłał? Wszystko, co najlepsze, nie byłoby zbyt dobre dla niego. Tyle w nim tkwi cudzej forsy, że nie można mu pozwolić leżeć i zdychać spokojnie. Każdy wierzyciel zabrałby go chętnie do własnego domu i pielęgnował niczym rodzzonego brata! Otwarcie mówię: uczciwe płacenie długów to nie taki mądry interes, jak się powszechnie uważa.

- Co jakiś znów Narii ma z tym wspólnego? - wybuchnął Anglik i zwracając się do Griefa, dorzucił:
- Co to za brednie o perłach? Może chociaż pan zacznie naprawdę od początku?

- Liczę na waszą pomoc - uprzedził Grief obecnych. - Stary Parlay to wyjątkowa postać, a z tego, co widziałem na własne oczy, sędzę, że po trosze wariat; spokojny wariat. Oto cała historia. Parlay jest czystej krwi Francuzem. Mówił mi raz, że pochodzi z Paryża. Akcent ma prawdziwie paryski. Przybył tutaj w dawnych dobrych czasach. Wziął się do żeglowania i handlu wymiennego. Tak trafił na Hikihoho. Zawinął tam, żeby handlować, kiedy handel naprawdę się opłacał. Wysepkę zaludniała setka biednych Paumotańczyków. Parlay ożenił się z królową... ożenił według miejscowego rytuału. Po jej śmierci odziedziczył wszystko. Widzicie, zaraza nawiedziła wyspę. Przy życiu zostało ledwie kilkunastu krajowców. Parlay żywił ich, zapędzał do roboty, był królem. Ale przed zgonem królowej przyszła na świat dziewczynka: właśnie Armanda. Ojciec wysłał ją do klasztoru w Papeete, kiedy miała trzy lata, a do Francji, kiedy miała siedem czy osiem. Chyba zaczyna pan pojmować sytuację? Najlepszy, najbardziej arystokratyczny klasztor stał otworem przed córką wielkiego kapitalisty i króla jednej z wysp Archipelagu Paumotów. A, widzi pan, Francuzi w starym kraju nie zaprzatają sobie głowy kwestią koloru skóry. Armandę edukowano jak królową i ona się za taką uważała. Nigdy nie powstało jej w głowie, że jest półkrwi kolorową albo dzieckiem nieślubnym.

Ale przyszedł czas na tragedię. Stary Parlay był zawsze trochę pomyłonym fantastą. Na Hikihoho długo bawił się w absolutnego monarchę, toteż ubrdał sobie, że jest naprawdę królem, a jego jedynaczka królową. Armanda liczyła osiemnaście lat, kiedy stary wezwał ją do powrotu. Miał góry i fury hopów, jak powiedziałby rasowy Amerykanin. Zbudował wspaniały dom na Hikihoho i równie

wspaniała willę w Papeete. Armanda odbywała podróż z Nowej Zelandii parowcem pocztowym. Ojciec wypłynął własnym szkunerem, żeby spotkać ją na Tahiti. Gdyby nie huragan, Parlay opanowałby zapewne sytuację na przekór kwokom i tępym wołom z Papeete. Działo się to w roku, kiedy ManuHui została zalana i utonęło tysiąc sto jej mieszkańców. Chyba się nie mylę?

Wszyscy twierdząco skinęli głowami, a kapitan Warfield powiedział:

- W czasie tamtego orkanu pływałem na "Magpie". Wylądowaliśmy o ćwierć mili od plaży w głębi zatoki Taiohae, chociaż to podobno port bezpieczny nawet podczas huraganu. "Magpie" z całą załogą, z kucharzem i ładunkiem siadł między palmami kokosowymi.

- Zgadza się - ciągnął Grief. - Stary Parlay wpadł w ten sam orkan i z pełnym kapeluszem pereł trafił do Papeete o trzy tygodnie za późno. Musiał podnosić szkuner lewarami i żeby zepchnąć go na morze, zbudował pół mili drogi. Tymczasem Armanda czekała na Tahiti. Nikt jej nie odwiedzał. Wobec tego, według francuskich zwyczajów, sama złożyła powitalne wizyty gubernatorowi i lekarzowi portowemu. Panowie ją przyjęli, ale żon - głupich kwok - nie było dla niej w domu ani nie oddały wizyt. Armanda nie należała do kasty, była wyrzutkiem, chociaż nigdy nie przyszło jej to na myśl. W taki więc subtelny sposób dano jej to odczuć. Później młody, wesoły porucznik z francuskiego krążownika ofiarował jej serce, nie stracił jednak głowy. Łatwo wyobrazić sobie wstrząs, jakiego doznała piękna, subtelna młoda dama wychowana arystokratycznie, napompowana wszystkim najlepszym, co w starej Francji można dostać za grube pieniądze. Łatwo też domyślić się finału - Grief wzruszył ramionami. -

W willi starego Parlaya był służący, Japończyk. On widział. Mówił później, że zrobiła to z męstwem godnym samuraja. Wzięła sztylet... Nie pchnęła się, nie padła na klingę, nie skoczyła szaleńczo na spotkanie śmierci... Wzięła sztylet, ostrzem wycelowała prosto w serce i oburącz, z wolna, spokojnie cisnęła aż do końca.

Po tym wydarzeniu zjawił się Parlay z perłami. Jedna, jak powiadają, warta była sześćdziesiąt tysięcy franków. Peter Gee oglądał ją i oferował taką sumę. W pierwszej chwili stary oszalał na dobre. Ubrali go w kaftan bezpieczeństwa, dwa dni trzymali w Klubie Kolonialnym.

- Wuj jego żony, stary Paumotańczyk, rozciął kaftan i wypuścił Parlaya na wolność - uzupełnił supercargo.

- Wtedy Parlay zaczął robić porządki - podjął Grief. - Wpakował trzy kule w tego drania, poruczniczyńkę.

- Facet leżał w okrętowej izbie chorych przez trzy miesiące - dorzucił kapitan Warfield.

- Gubernatorowi chlusnął w gębę kieliszkiem wina, odbył pojedynek z doktorem, pobił jego tubylczą służbę, zdemolował szpital, złamał pielęgniarzowi dwa żebra i obojczyk. Później umknął. Z dwoma rewolwerami w garści urągał komendantowi policji i wszystkim żandarmom.

Nie dał się aresztować. Wycofał się na szkuner i odpłynął do domu. Podobno nigdy od tej pory nie

wyjrzał z Hikihoho. Supercargo kiwnął głową.

- Działo się to piętnaście lat temu i od piętnastu lat stary nie wychylił nosa za swój atol.

- Za to gromadził coraz więcej pereł - wtrącił szyper. - To stary, złośliwy wariat. Dostaję gęsiej skórki, jak o nim pomyślę. Czarownik, psiakość!

- Jak to? - zdziwił się Mulhall.

- Rządzi pogodą. Przynajmniej tubylcy są tego zdania. Proszę zapytać TaiHotauri. Hej, -

TaiHotauri! Jak myślisz? Co stary Parlay wyprawia z pogodą?

- On wielki diabeł od pogoda - odpowiedział majtek stojący przy sterze. - Ja wiem. Chce wielka burza, robi wielka burza. Nie chce wiatru, wiatr siedzi cicho.

- Ha, stary czarnoksiężnik! - zawołał Mulhall.

- Jego perły nieszczęśliwe - ciągnął TaiHotauri złowróźnie kręcąc głową. - On mówi, że sprzedaje. Dużo statek przy pływa. On robi później wielki huragan. Wszyscy zginęli, zobaczycie. Każdy kolorowy człowiek tak mówi.

- Mamy teraz okres huraganów - roześmiał się posępnie kapitan Warfield. - Tubylcy mogą być bliscy prawdy. Znosi się właśnie na coś bardzo niedobrego. Wolałbym, żeby "Malahini" był stąd o tysiąc mil. Czułbym się znacznie pewniej.

- Parlay jest trochę pomyłony - kończył Grief. - Próbowałem wczuć się w jego sytuację. To...

jak by tu powiedzieć?... trudne. Przez osiemnaście lat całe jego życie kręciło się dokoła Armandy. Teraz stary wierzy po trosze, że córka żyje, że nie wróciła jeszcze z Francji. To jeden z powodów, dla których gromadził perły. Cóż dalej? Białych nienawidzi jak zarazy.

Pamięta, że to oni zamordowali Armandę, choć często zapomina, że ona nie żyje. Co to?

Gdzie się podział wiatr?

Puste brzuchy żagli zwisały z masztów. Kapitan Warfield warknął gniewnie. Upał, dotychczas nieznośny, stał się nie do wytrzymania przy zupełnej ciszy. Pot zaczął spływać po wszystkich twarzach. Co chwila jeden lub drugi z białych wzdychał głęboko, jak gdyby bezwiednie próbował wciągnąć w płuca większy ładunek powietrza.

- Znowu zaczyna dąć! Zmienił kierunek o osiem rumbów. Załoga do szotów! Żywo!

Brunatni majtkowie sprawnie wykonali rozkaz kapitana. Przez pięć minut szkuner stał na wprost cieśniny, a nawet posunął się nie47R co pod prąd. Później wiatr ustał nagle i niebawem zaczął wiać z poprzedniego kierunku zmuszając znowu do manewrowania żaglami.

- Dogania nas "Nuhiva" - powiedział Grief. - Patrz pan, jak hula po falach. Motor ma w ruchu.

Kapitan Warfield spojrział w stronę niewielkiego otworu w pokładzie, tuż przed zejściem do kabiny. Z otworu wyglądała głowa i ramiona kolorowego mechanika - półkrwi Portugalczyka.

- Gotów? - spytał szyper.

- Naturalnie - odpowiedział mechanik ocierając twarz wiechciem zatłuszczonych paków.

- Zapuszczaj!

Mechanik zniknął w swojej norze. Po chwili zaterkotał motor. Dymek spalin strzelił za burtę z rury wydechowej. Ale "Malahini" nie mógł utrzymać pierwszego miejsca w wyścigu. Mały kuter robił trzy stopy na każde dwie szkunera, toteż dopędził go i wkrótce wyprzedził. Na pokładzie

"Nuhivy" widać było tylko krajowców. Biały stojący u steru podniósł rękę, jak gdyby ironicznie witał i zarazem żegnał pokonanych.

- Drab przy sterze to Narii Herring - wyjaśnił Grief Mulhallowi. - Na całych Paumotach nie ma drugiego równie bezczelnego i pozbawionego skrupułów łajdaka.

Wkrótce radosny okrzyk załogi "Malahini" zwrócił ogólną uwagę na współzawodnika. Motor na kutrze stanął, szkuner doganiał "Nuhive". Brunatni majtkowie zwinnie wspięli się na liny i drwili bezlitośnie z mijanego kutra. Mały statek zawrócił. Cofał się szybko z nurtem odpływu.

- Przynajmniej my mamy motor co się zowie - wyraził swe uznanie Grief, kiedy szkuner wpłynął na wody laguny i zmieniawszy kurs sunął w stronę redy.

Kapitan Warfield był widocznie uradowany, lecz mruknął tylko:

- Niech pan się nie obawia, niedługo zwróci swój koszt. "Malahini" wpłynął w sam środek niewielkiej flotylli i rychło znalazł dogodne miejsce dla rzucenia kotwicy.

- Jest tu Isaacs na "Dolly" - mówił Grief rozsyłając ręką powitania. - I Peter Gee na szkunerze

"Roberta". Nic nie zdołałoby powstrzymać go od udziału w takiej licytacji. Widzę też Franciniego na "Cactusie". Ha! Zebrali się wszyscy możliwi kupcy. Stary Parlay na pewno uzyska dobre ceny.

- A ci nie naprawili jeszcze motoru - mruknął nie bez zadowolenia kapitan Warfield spoglądając na rzadkie palmy kokosowe, za którymi widać było na morzu żagle "Nuhivy".

II

Dom Parlaya - piętrowa budowla z kalifornijskiego mahoni kryta ocynkowaną blachą - był

nieproporcjonalnie duży w porównaniu z cienkim pierścieniem atolu. Nad skrawkiem piasku sterczał niby potworna narośl. Biali z "Malahini" złożyli kurtuazyjną wizytę na łądzie zaraz po rzuceniu kotwicy. W obszernej bawialni zastali innych szyprów i kupców zajętych oglądaniem pereł, których licytacja miała się odbyć nazajutrz. Służba - tubylcy z Hikihoho, przeważnie powinowaci właściciela atolu - kręciła się nalewając whisky i absynt. Pośród tej szczególnie dobranej kompanii błdził sam Parlay - pokaszująca, krzywo uśmiechnięta, zmięta karykatura wysokiego, krzepkiego niegdyś mężczyzny. Rozgorączkowane oczy miał osadzone głęboko, policzki zapadłe i zwiędłe. Wyłysiał dziwnie, kępkami, a z wąsów i koziej bródki włosy powypadały mu w taki sam sposób.

- Bodaj go lichy! - mruknął pod wąsem Mulhall. - Długonogi Napoleon Trzeci, ale przypieczony, spalony, popękany od żaru. I chuderlawy! Cóż dziwnego, że nosi głowę na bok.

Musi przecie utrzymywać jakoś równowagę.

- Ma się na orkan - powitał starzec Griefa. - Chyba wysoko cenisz pan perły, jeśliś przyplął w taką psią pogodę.

- Pańskie perły warte podróży do piekła - roześmiał się Grief wodząc wzrokiem po stole, na którym urządzono wystawę.

- Różni ludzie odbyli już przez nie taką podróż - zaskrzeczał Parlay. - O, spójrz pan na tę! -

wskazał palcem okazałą, doskonale kształtną sztukę, wielkości małego orzecha włoskiego, leżącą osobno na kawałku irchy. - Na Tahiti oferowano mi za nią sześćdziesiąt tysięcy franków. Jutro dostanę równą albo i wyższą cenę, jeżeli orkan nie rozpędzi przedtem licytantów. Znalazł ją mój kuzyn albo raczej powinowaty. Rozumie pan, to był tubylec, a także złodziej. Schował ją, choć była moja. Jego kuzyn (no, i mój również, bo wszyscy tutaj jesteśmy spokrewnieni) zabił złodzieja dla tej sztuki i zwiął kutrem do NooNau. Urządziłem pościg, ale kacyk NooNau zdążył sprzątnąć drugiego złodzieja, nim przybyłem na miejsce. O tak! Ten stół

mówi o wielu, wielu trupach. Może pan coś wypije, kapitanie? Nie przypominam sobie pana.

Chyba nowicjusz na naszych wodach?

Grief przedstawił zagadniętego tak szypra:

- To kapitan Robinson z "Roberty".

Tymczasem Mulhall zawarł znajomość z Peterem Gee.

- Nie wyobrażałem sobie, że na świecie istnieje aż tyle pereł - powiedział Anglik.

- A ja nie widziałem nigdy tyłu naraz - wyznał Peter Gee.

- Ile mogą być warte?

- Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy funtów... to znaczy dla nas, handlarzy. W Paryżu... -

Wzruszył ramionami i podniósł brwi z podziwu dla zawrotnej, niemożliwej do obliczenia sumy.

Mulhall otarł pot zalewający oczy. Wszyscy pocili się obficie i oddychali ciężko. Napoje podawano bez lodu. Ciepły absynt i whisky z trudem przechodziły przez gardła.

- Tak, tak - zrzędził starzec. - Niemało umarłaków leży przed panami na stole. Znam swoje perły, znam wszystkie. Spójrzcie na te trzy! Wybornie dobrane prawda? Nurek z Wyspy Wielkanocnej wyłowił mi je w ciągu tygodnia. W następnym tygodniu dostał go rekin. Ciachnął

rękę do ramienia. Resztę zrobiła gangrena. Albo ten duży barok, o ten! Nic osobliwego.

Dobrze będzie, jeżeli przyniesie jutro dwadzieścia franków. Ale pochodzi z dwudziestodwusążniowej głębi! Pewien krajowiec z Raratonga bił wszelkie rekordy. Znalazł tę perłę pod dwudziestu dwoma sążniami wody. Oglądałem go na własne oczy. Właśnie wtedy trzasnęły biedakowi płuca. Jak to się mówi, krew go zalała. Skończył w dwie godziny. A wył

przed śmiercią! Chyba słysząc go było w promieniu kilku mil. Jak żyję, nie widziałem silniejszego, bardziej atletycznie zbudowanego krajowca. Ze sześciu moich nurków krew zalała. Poumierali. A teraz umrze więcej ludzi, znacznie więcej.

- Przestań pan krakać, Parlay - obruszył się jeden z szyprów. - Nie będzie żadnego orkanu!

- Gdybym był zdrowym, silnym chłopcem - odpowiedział starczy dyszkant - zaraz podniósłbym kotwicę i umykał co tchu. Tak! Gdybym był zdrowym, silnym chłopcem, co jeszcze lubi dobre wino. Ale was to nie tyczy. Wy zostaniecie wszyscy. Nie radziłbym ucieczki, gdybym podejrzewał, że posłuchacie. Ha! Nie można odegnać sępów od padliny. Jeszcze po jednym, dzielni marynarze! Tak, tak... Na co nie ważą się ludziska dla kilku ślimaczych łez! Patrzcie, piękne okazy. Prawda? Licytacja jutro, punkt o dziesiątej. Stary Parlay urządza wyprzedaż.

Zlatują się sępy. W moim czasie stary Parlay był tęższym chłopcem niż wy wszyscy. No, i stary Parlay doczeka jeszcze śmierci niejednego z was!

- Złośliwy dziadyga! Bestia! - szepnął Peter owi Gee supercargu z "Malahini".

- Niech nawet przyjdzie orkan. Cóż z tego? - wtrącił szyper "Dolly". - Nigdy dotąd morze nie zalało Hikihoho.

- Tym prawdopodobnie zaleje teraz - burknął kapitan Warfield. - Nie mam przekonania do tego atolu.

- Kto teraz kracze? - zgromił Grief szypra.

- Za nic nie chciałbym stracić motoru, nim zwróci swój koszt - odparł posepnie Warfield.

Stary Parlay przemknął przez zatłoczony pokój nadspodziewanie szybko i zwinnie. Zbliżył się do wiszącego na ścianie barometru.

- Spójrzcie tylko, dzielni marynarze! - zawołał radosnym tonem.

Najbliżej stojący z gości odczytał stan ciśnienia. Twarz spochmurniała mu wyraźnie.

- Zleciał o dziesięć kresiek - odezwał się tylko.

Wszyscy zaniepokoiли się, zrobili takie miny, jak gdyby mieli szczerą chęć ruszyć niezwłocznie ku drzwiom.

- Posłuchajcie! - krzyknął gospodarz.

W ciszy, jaka nastąpiła, wydawało się, że przypyływ tłucze o zewnętrzne wybrzeże coraz głośniejsze i głośniejsze. Szum zmieniał się w głuchy, potężny ryk.

- Idzie wielka fala - powiedział ktoś z obecnych.

Wszyscy podeszli do okien. Spoglądali w stronę oceanu widocznego za firanką z palm kokosowych. W porządku, jedna za drugą, ogromne, gładkie fałdy wodne sunęły na koralową plażę. Goście starego Parlaya gapili się kilka minut na osobliwy widok. Rozmawiali szeptem, bo w ciągu tych krótkich chwil zauważyli, że fale nieustannie rosną. Wiatr całkiem ustał, a więc zjawisko było tak nadzwyczajne, groźne, że głosy cichły bezwiednie. Niespodziewany chichot gospodarza przejął dreszczem jego gości.

- Czas jeszcze, dzielni marynarze! Czas wypłynąć na morze. Szalupy mogą przecie holować statki przez cieśninę.

- Wszystko w porządku, stary - odezwał się Darling, porucznik z "Cactusa", krzepki dwudziestopięcioletek. - Orkan idzie na południe, mija atol. Nawet nie dmuchnie tutaj.

W bawialni nastąpiło odprężenie. Rozległy się głośniejsze rozmowy. Kilku handlarzy wróciło nawet do stołu i oglądało perły.

- Racja, święta racja! - zabrzmiał znów starczy dyszkant. - Nawet spodziewany koniec świata nie odstraszy panów od kupowania.

- Jutro wykupimy pańskie perły. Nic nie pomoże - obiecał gospodarzowi Isaacs.

- Właśnie! Będziecie robić zakupy w piekle!

Odpowiedzią był chór pełnych niedowierzania śmiechów. Zirytowany starzec zwrócił się gniewnie do Darlinga:

- Odkąd to dzieciuchy jak ty znają się na burzach morskich? Może jest taki, co wytyczył szlaki huraganów na Paumotach? Może czytałeś o tym w jakiejś książce? Żeglowałem tutaj przed urodzeniem najstarszego z was. Ja wiem wszystko! Na wschodzie huragany opisują tak szerokie koło, że tworzą linię prawie prostą. Tutaj, na zachodzie, robią ostry zakręt.

Przypomnij sobie własną mapę! Jak to się stało, że w dziewięćdziesiątym pierwszym roku morze zmiotło Auri i Hiolau? To był zakręt, młody zuchu, zakręt orkanu! Za godzinę, za dwie, najdalej za trzy przyjdzie wiatr. Posłuchaj!

Potężny napór wód z rykiem wstrząsnął koralowymi fundamentami atolu. Dom dygotał.

Kolorowi służący z flaszkami whisky i absyntu w rękach zbili się w ciasną gromadkę, jak gdyby dla bezpieczeństwa. Patrzyli trwożnie przez okna na ogromne rozlewiska fal sięgające daleko w głąb plaży, aż do szop na kopkę.

Parlay zerknął w stronę barometru. Zachichotał. Z krzywym uśmiechem spojrzął po gościach.

Kapitan Warfield pewnym krokiem podszedł do ściany.

- 29,75 - odczytał. - Znowu pięć kresek. Jak Boga kocham! Stary piekielnik ma rację. Idzie orkan. Pierwszy głosuję za powrotem na statki!

- Robi się ciemno - szepnął Isaacs. Mulhall spojrzął na zegarek.

- Na Jowisza! Zupełnie jak w teatrze - powiedział do Griefa. - Dziesiąta rano, a zmrok na świecie. Tragiczny moment: przygasają światła. A gdzie stłumiona muzyka?

Zamiast odpowiedzi nowe uderzenie fal wstrząsnęło atolem i domem. Całe towarzystwo spiesznie, niemal w panice ruszyło do drzwi. W posępnym świetle złane potęmiły twarze wyglądały upiornie. Upał dusił. Isaacs dyszał astmatycznie.

Parlay udawał, że zatrzymuje zmykających gości.

- Po cóż taki pośpiech? - chichotał. - A pożegnalna kolejka, dzielni marynarze?

Nikt nie zwracał nań uwagi. Kiedy szyprowie i kupcy oddalali się wytyczoną muszlami alejką, gospodarz wytknął przez drzwi głowę i krzyknął:

- Pamiętajcie, moi panowie! Jutro o dziesiątej stary Parlay wyprzedaje perły!

III

Na plaży rozgrywała się osobliwa scena. Szalupy jedna po drugiej szybko odbijały od brzegu.

Ściemniało się coraz bardziej. Wciąż trwała martwa cisza, lecz piasek drżał pod stopami za każdym uderzeniem fal o zewnętrzną ścianę atolu. Narii Herring spacerował opodal niedbałym krokiem. Uśmiechał się złośliwie, obserwując niebywały pośpiech szyprów i handlarzy.

Towarzyszyło mu trzech brunatnych majtków z “Nuhivy” i TaiHotauri.

- Jazda do łodzi i za wiosło! - rozkazał kapitan Warfield swemu człowiekowi, ten zaś zbliżył się z buńczuczną miną.

Narii Herring przystanął ze świtą w odległości czterdziestu stóp. Patrzył, co się dalej stanie.

- Już nie pracuję u pana, panie kapitanie! - zawołał TaiHotauri głośno i bezczelnie, lecz wyraz jego twarzy przeczył słowom, bo krajowiec wykrzywił się i mrugał wymownie.

- Niech mnie pan wypędzi - szepnął i znowu mrugnął znacząco. Kapitan Warfield zrozumiał.

Od razu wpadł we właściwą rolę. Podniósł pięść i huknął wielkim głosem:

- Do łodzi, rozumiesz! Bo spiorę cię na kwaśne jabłko! Majtek czmychnął w popłochu. Grief zastąpił drogę kapitanowi i próbował go udobruchać.

- Idę do roboty na “Nuhiva” - powiedział TaiHotauri stojąc już między nowymi kolegami.

- Wracaj tu! Słyszysz! - ryczał kapitan.

- To wolny człowiek, panie szyper - przemówił Narii Herring. - Dawniej żeglował ze mną, teraz będzie żeglował znowu. Historia skończona.

- Chodźmy już, chodźmy - przynaglał Grief. - Pora wracać na statek. Widzisz pan, jak pociemniało?

Kapitan Warfield dał za wygraną, kiedy jednak łódź odepchnięto od brzegu, stanął na rufie i zaczął wygrażać pięścią w stronę lądu.

- Jeszcze się porachujemy, Narii! - krzyczał. - Na całych Paumotach nie znam drugiego szypra, który kradnie cudzych marynarzy!

Powiedziawszy swoje usiadł i przytłumionym głosem zapytał Griefa.

- Co knuje TaiHotauri? Na pewno ma jakiś cel, ale jaki?

IV

Hermann miał zaniepokojoną minę, gdy witając przybyłych pochylił się nad balustradą “Malahini”.

- Barometr leci na łeb - oznajmił. - Będzie orkan. Kazałem przygotować lewą kotwicę.

- Zajmij się pan także główną - rozkazał kapitan Warfield, który przejął od razu dowództwo. -

No, i niech tam kto whisuje naszą łódź. Trzeba ją opuścić na pokład i dobrze przywiązać dnem do góry.

Na wszystkich szkunerach pracowały załogi. Słychać było chrzęst rozwijanych łańcuchów.

Jeden po drugim statki obracały się, puszczały w ruch kabestany i rzucały drugie kotwice. Te, które jak “Malahini” zaopatrzone były w trzecią, czekały, aby rzucić ją, kiedy ustali się kierunek wiatru.

Ryk fal na pełnym morzu potężniał, ale powierzchnia laguny pozostawała nadal gładka niby lustro. W okolicy sterczącego nad plażą wielkiego domu Parlaya ani koło hangarów na łodzie i szop na koprze czy muszle perłowe nie było znaku życia.

- Jak nic podniosłbym kotwicę i odpłynął - powiedział Grief. - Nie namyślałbym się ani chwili, gdybyśmy znajdowali się na otwartym morzu. Ale łańcuch atolów na północy i wschodzie zagradza nam drogę. Może jeszcze najbezpieczniej tutaj? Jak pan myśli, kapitanie?

- Jestem pańskiego zdania, chociaż laguna to też nie sadzawka przy młynie. Ciekawe, z której strony zacznie dąć. Oo! Diabli biorą jedną szopę Parlaya!

Dobrze było widać, jak kryty trawą morską skład na koprze uniósł się i przewrócił. Kłębowisko białej piany zalało piaszczysty wał, spłynęło do laguny.

- Atol przerwany! - krzyknął Mulhall. - Dobrze się zaczyna! Spójrzcie! Znowu!

Ruiny szopy podskoczyły i legły na plaży. Trzecia fala rozbiła je zupełnie i zmiotła do wody.

- Jak zacznie wiać, to chyba się trochę ochłodzi - jęknął Hermann. - Ledwie już zipię. Okropny skwar. Wyszłem jak w piecu chlebowym.

Ciężkim nożem, który nosił w pochwie u pasa, otworzył młody kokos i wypił jednym tchem.

Inni poszli za przykładem porucznika. Na chwilę przeszkodził im nowy, interesujący widok.

Runęła jedna z szop, w których stary Parlay magazynował muszle. Barometr wskazywał

- Musimy być mniej więcej pośrodku najgłębszego niżu - powiedział beztrąsko Grief. - Nigdy w życiu nie trafiłem jeszcze w oko huraganu. Dla pana, Mulhall, będzie to także nowe przeżycie; nowe i wielkie, sądząc po szybkości, z jaką spada barometr.

Kapitan Warfield odchrząknął. Wszystkie spojrzenia powędrowały w jego stronę. Patrzył przez lornetę ku południowemu wschodowi, wzdłuż atolu.

- Idzie wiatr - oznajmił spokojnym tonem.

Nie trzeba było szkieleł. Dziwnie ubarwiona plama, przecinająca całą szerokość laguny, zbliżała się szybko. Równy z nią wyginały się palmy kokosowe, chmury zerwanych liści zaczynały wirować w powietrzu. Czoło wichury znaczył ciemny, wyraźny pas wzburzonej wody. Przed nim, niby harcownicy, biegły pojedyncze, uwieńczone białymi grzebieniami fale.

Za nim mknęła z równą szybkością gładka, zwierciadlana tafla, szeroka na ćwierć mili, dalej zaś orkan kreślił drugą czarną taśmę, za którą burzyła się, gotowała i pieniała masa wód laguny.

- Skąd ta spokojna woda? - zapytał Mulhall.

- Pas ciszy - wyjaśnił kapitan Warfield.

- Ale zbliża się z taką samą szybkością jak wiatr - zdziwił się Anglik.

- Inaczej być nie może, bo w ogóle nie mielibyśmy pasa ciszy. To huragan o dwóch czołach. U

brzegów Sawaii widziałem raz taki szkwał. Dwugłowy, psiakość! Trrach! Wiatr nami szarpnął, później na chwilę zupełnie ustał i szarpnął znowu, ale jak! No! Stać teraz pewnie! Trzymać się!

Już nadlatuje! Spójrzcie na "Robertę"!

Szkuner zakotwiczony na długich łańcuchach najbliższej czoła orkanu poderwał się i skoczył

burtą naprzód niby słomka. Później łańcuchy szarpnęły go potężnie, zatrzymały i okręciły dziobem pod wiatr. Jeden po drugim statki, w ich liczbie i "Malahini", ruszały teraz pchnięte pierwszym podmuchem i rwały się na wyprężonych łańcuchach. Mulhall i kilku majtków padło na pokład, gdy kotwice zatrzymały "Malahini".

Później wiatr zamarł. Szkuner znalazł się w pasie lotnej ciszy. Grief potarł zapałkę. Nie osłonięty płomyk migotał wesoło w nieruchomym powietrzu. Wokół zalegał półmrok. Zdawać się mogło, że chmury, które opadały od kilku godzin, dotknęły wreszcie powierzchni morza.

"Roberta" targnęła łańcuchy, gdy wymierzyło jej cios drugie czoło orkanu. Szybko, jeden po drugim, robiły to samo pozostałe szkunery. Morze pobielące od furii rozkołysało się małymi, pryskającymi falami. Pokład "Malahini" dygotał. Naprężone fały tłukły werblem o maszty, a cały takielunek - jak gdyby szarpany potężną ręką - zawodził obłąkańczą melodię. Niepodobna było zwrócić się twarzą pod wiatr i oddychać. Mulhall, który wraz z innymi przycupnął za nadbudówką kabiny, przekonał się o tym na własnej skórze. Wciągnął w płuca strumień szybko gnanego powietrza i nie mogąc zrobić

wydechu, omal się nie udusił, nim zdążył

odwrócić głowę.

- To nie do wiary - wykrztusił, ale nikt go nie słyszał. Hermann z kilkoma brunatnymi majtkami pełził na czworakach w stronę dziobu, żeby rzucić trzecią kotwicę. Grief dotknął ramienia szypra wskazując palcem "Robertę". Szkuner zbliżał się. Kapitan Warfield przyłożył usta do ucha pracodawcy i wrzasnął:

- Nas też znosi!

Grief skoczył do koła sterowego, zakręcił silnie, obrócił statek w lewo. Trzecia kotwica zaryła w dno, a "Roberta" przemknęła rufą naprzód w odległości dwunastu jardów. Grief i Warfield gestem ręki pozdrowili Petera Gee i kapitana Robinsona, którzy z kilkoma tubylcami uwijali się na dziobie.

- Odczepiają łańcuchy kotwiczne! - krzyknął Grief. - Próbują trafić w cieśninę. Co mają robić?

Włoką przecie kotwice!

- My stoimy teraz mocno! - ryknął Warfield w odpowiedzi. - Oo! "Cactus" pcha się na "Misi"!

Koniec z nimi.

"Misi" trzymał się dotychczas, lecz wraz z "Cactusem" tworzył zbyt dużą zaporę dla wichury.

Splątane szkunery zaczęły sunąć przez białe bryzgi piany. Załogi usiłowały je rozdzielić.

Ludzie biegali po pokładach wywijając siekierami. Tymczasem "Roberta" pozbyła się kotwic i podniósłszy na dziobie kawał brezentu sterowała w stronę cieśniny położonej u północnozachodniego krańca laguny. Udało się jej i wnet wypłynęła na pełne morze. Ale "Misi" i "Cactus" nie mogły się rozłączyć. Razem wpadły na brzeg atolu, o pół mili od wejścia do cieśniny.

Orkan wzmagął się nieustannie. Trzeba było natężyć wszystkie siły, by wytrzymać jego napór, a kilka kroków pod wiatr zupełnie wyczerpywało. Hermann z brunatnymi marynarzami cierpliwie człapał po pokładzie, umacniał wszystko, wiązał, krępował zwinięte żagle dodatkowymi linkami. Wichura potargała w strzępy, zerwała im z grzbietów podkoszulki.

Poruszali się ociężale, jak gdyby ciało ludzkie ważyło całe tony. Nie wypuszczali z ręki oparcia, nim drugą nie chwycili innego. Wolne końce lin stały sztywno, prostopadle do masztów, a w chwilach, gdy pęd powietrza tracił nieco szybkości, strzępiły się i kawałkami ulatywały z wiatrem.

Mulhall dotknął ramienia Griefa i kapitana. Wskazał ręką wybrzeże. Zniknęły szopy kryte trawą morską. Dom Parlaja zataczał się jak pijany. Osłaniało go wprawdzie kilka mil palm kokosowych, gdyż wicher dał wzdłuż atolu, lecz szturmujące z pełnego morza olbrzymie fale podmywały, rozbijały budynek. Spłukały już znaczną część piaszczystego nasypu, domostwu groziła więc nieuchronna zagłada. Tu i ówdzie widać było ludzi, którzy przykrępowali się do palm. Drzewa nie chwiały się, nie szamotały. Pochylone z wiatrem, wygięte, nie zmieniały pozycji. Dygotały tylko przerażająco.

Pod nimi, na piasku, kłębiła się piana rozbijanych o ląd bałwanów.

Olbrzymie fale sunęły wzdłuż laguny. Nie brakowało im miejsca na dziesięciomilowej przestrzeni za nawietrznym krańcem atolu. Wszystkie szkunery raz po raz zapadały się i znów wznosiły na fali. “Malahini” począł kryć rufę i dziób pod największymi górami wodnymi, a co pewien czas woda wypełniała śródokręcie aż po balustradę.

- Teraz pora na pański motor! - ryknął Grief.

Kapitan Warfield popęzł z trudem do kryjówki mechanika i grzmiącym głosem wydał rozkazy. Motor ruszył pełnymi obrotami i “Malahini” począł zachowywać się lepiej. Nie przestał wprawdzie czerpać wody dziobem, ale nie szarpał już tak gwałtownie kotwic. Łańcuchy były jednak dalej naprężone, gdyż moc czterdziestu koni mechanicznych nie mogła zrównoważyć naporu fal, zmniejszała go tylko nieco.

Wiatr wciąż przybierał na sile. “Nuhiva”, który stał bliżej plaży, równoległe do “Malahini”, przeżywał trudne chwile. Motor miał popsuty i kapitana na łodzi. Mały kuter niknął pod falami tak często i na tak długo, że widzowie z “Malahini” próbowali za każdym razem odgadnąć, czy ukaże się jeszcze. O trzeciej po południu druga góra wodna nakryła go, nim zdołał wynurzyć się spod poprzedniej, i statek zniknął na dobre.

Mulhall spojrział w stronę Griefa i na nieme pytanie otrzymał donośną odpowiedź:

- Woda wdarła się do ładowni!

Mały szkuner “Winifred” miotał się w pobliżu. Kapitan Warfield wskazał go ręką i zaczął wrzeszczeć do ucha Griefowi. Głos jego dochodził w strzępach, oderwanymi zdaniem, przeplatany ciszą, gdy zawierucha porywała słowa.

- Spróchniała łajba... Kotwice trzymają... Ale jak ona trzyma się kupy... Stara jak arka...

W godzinę później Hermann zwrócił uwagę towarzyszy na ów statek. Łańcuchy kotwiczne zerwały jego fokmaszt i znaczną część dzioba. “Winifred” przewrócił się na bok, stoczył w przepaść wodną, został nakryty falą, rzucony w stronę lądu.

Na redzie pozostało teraz pięć statków. Motor posiadał tylko “Malahini”. Dwa - obawiając się losu “Nuhivy” lub “Winifreda” poszły za przykładem “Roberta”. Załoga odczepiła łańcuchy kotwiczne i próbowała trafić do cieśniny. Pierwsza ruszyła “Dolly”, ale podmuch zerwał jej żagiel sztormowy i szkuner rozbił się na zawietrznym krańcu atolu, tam gdzie “Misi” i “Cactus”.

Podobny los spotkał “Moanę”, która nie zniechęciła się katastrofą “Dolly” i usiłowała opuścić lagunę.

- Niezła rzecz taki motor, he?! - wrzasnął kapitan Warfield pod adresem pracodawcy.

Grief silnie uściśnął dłoń szypra.

- Zarabia na siebie! - odkrzyknął. - Wiatr skręca na południe. Będzie lżej!

Orkan dał coraz potężniej, lecz z wolna, nieustannie obracał się ku południowi i południowemu zachodowi. Wkrótce skierował dzioby trzech ocalałych szkunerów prosto ku plaży. Fale porywały tymczasem resztki domu Parlaya, zepchnęły je w wodę i poniosły w stronę statków.

Masa drewna minęła "Malahini" i runęła na stojącą ćwierć mili za jego rufą "Paparę". Załoga rzuciła się do gorączkowej pracy i po kwadransie uwolniła statek od szczątków domu, które poniosły jednak ze sobą przedni maszt i bukszpryt. [pochyły, często poziomy maszt na dziobie statku.]

Bliżej brzegu, po lewej stronie dzioba "Malahini", znajdował się "Tahaa", szkuner smukły, podobny do jachtu, lecz o zbyt wielkim omasztowaniu. Kotwice trzymały jeszcze, ale kapitan widząc, że wicher nie słabnie, postanowił zmniejszyć powierzchnię oporu i kazał rąbać maszty.

- Niezła rzecz taki motor - pogratulował Grief szyprowi. - Uratuje nam patyki.

Kapitan Warfield z powątpiewaniem pokręcił głową.

Wraz ze zmianą wiatru fala na lagunie szybko opadła, ale statki zaczęły wznosić się i opadać na falach wdzierających się z pełnego morza. Na pierścieniu atolu ocalało niewiele drzew.

Jedne zostały złamane tuż nad ziemią, inne wyrwane z korzeniami. Z "Malahini" widać było, jak palma, której uczepiły się trzy osoby, pękła w połowie i z wiatrem poszybowała do laguny.

Dwóch ludzi oderwało się od pnia i popłynęło do "Tahaa". Wkrótce, tuż przed nastaniem zmroku, jeden z nich skoczył z rufy w wir tryskający białą pianą i śmiało ruszył w pław ku

"Malahini".

- To TaiHotauri - orzekł Grief. - Będziemy mieli nowiny. Krajowiec chwycił watersztag, [linę]

wdrapał się na dziób i z trudem przywędrował na rufę. Nikt go nie wypytywał. Musiał się wysapać, później zaś za wątpliwą osłoną kabiny opowiedział swą historię, częściowo urywanymi zdaniami, częściowo na migi.

- Narii... przeklęty rabuś... Chciał ukraść... perły... Zabić Parlaya... Jeden miał... zabić Parlaya... Nikt nie wiedział kto... Trzy czarne... Narii... ja... Pięć ziaren fasoli... Kapelusze... Narii mówi jedno ziarno czarne... Nikt nie wiedział... Zabić Parlaya... Narii piekielny łgarz...

Wszystkie ziarna czarne... Pięć czarne... W szopie ciemno... Każdy ma czarne ziarno...

Przychodzi wielki wiatr... Nie było jak... Wszyscy poszli na drzewa... Pechowe perły... Dawno mówiłem... Nie dają szczęścia...

- Gdzie Parlay?! - krzyknął Grief.

- Na drzewo... Trzy jego czarni na to samo... Narii i jeden czarny na inne... Moja drzewo diabli wzięli... Wróciłem na statek.

- Gdzie perły?

- Na drzewo z Parlayem. Może Narii już dostał perły.

Grief powtórzył opowieść TaiHotauri wrzeszcząc do ucha wszystkim kolejno towarzyszom.

Kapitan Warfield przejął się najbardziej. Widać było, że zgrzyta zębami.

Hermann zszedł pod pokład i wrócił z latarnią kotwiczną, lecz wiatr zdmuchnął ją w momencie, gdy została podniesiona nad poziom daszku kabiny. Lepiej powiodło się z lampą kompasową, którą zapalono po długotrwałych zbiorowych staraniach.

- Niezły zefirek, co?! - krzyknął Grief do ucha Mulhalla i dmie coraz mocniej.

- Jak mocno?

- Sto mil na godzinę, dwieście, nie wiem... Silniejszego wiatru nie widziałem, jak żyję.

Morze wdzierało się przez okrąg atolu. Wnętrze laguny było coraz bardziej wzburzone.

Huragan pędził przed sobą setki mil oceanu i łatwo obracał wniwecz skutki odpływu. Kiedy zaczął się przyptyw, bałwany wzrosły w jednej chwili. Księżyc i wicher rzucały południowy Pacyfik do szturmu na atol Hikihoho.

Kapitan Warfield, który od czasu do czasu odbywał wycieczki do maszynowni, powrócił z wiadomością, że mechanik leży zemdlony.

- Nie można dopuścić, by ten motor stanął - powiedział żałośnie.

- Dobrze będzie - odrzekł Grief. - Mechanika wynieść na pokład. Ja go zastąpię.

Do maszynowni można się było dostać tylko ciasnym korytarzykiem z kabiny, gdyż zejście z pokładu zabito na głucho. Panował tam nieznośny upał, gazy spalinowe dławily. Spiesznie, z zatroskaną miną obejrzawszy motor i wnętrze szczupłego pomieszczenia, Grief zdmuchnął

lampę naftową. Później pracował w ciemności świecąc sobie tylko żarem cygar, które jedno po drugim zapalał - dla bezpieczeństwa w kabynie. Nawet człowiek tak opanowany i spokojny zaczął się wnet denerwować zamknięty w hałaśliwej, czarnej norze z żelaznym potworem, co wysiłał się, stukał, charczał, sapał nieustannie. Nagi do pasa, upapwany oliwą i smarami, posiniaczony, podrapany od ustawicznych uderzeń o ścianki, Grief harował godzina po godzinie. W głowie szumiało mu, bo oddychał stale mieszaniną powietrza ze spalinami. Na przemian obsypywał czułościami, błogosławił, poganiał, przeklinał motor i wszystkie jego części. Zapłon zaczął szwankować. Paliwo źle dopływało, a co najgorsze, grzały się cylindry.

Podczas narady w kabinie mechanik prosił i błagał, żeby choć na pół godziny zatrzymać maszynę, dać jej ostygnąć, naprawić urządzenie chłodnicze. Kapitan Warfield był stanowczo przeciwny. Mechanik przysięgał, że w takim razie motor sam się zatrzyma, i to na dobre. Grief z pałającymi oczyma, umorusany i potłuczony, krzyczał, wymyślał obu dyskutantom, wydawał

rozkazy. Mulhalla, supercargo i Hermanna zapędził do roboty w kabinie, gdzie po dwa lub trzy razy filtrowali benzynę. W podłodze maszynowni kazał wyrąbać otwór, przez który brunatny majtek ciągnął kubły wody z zeny i zlewał cylindry. Sam Grief nieustannie oliwił części w ruchu.

- Nie wiedziałem, że taki z pana fachowiec od benzyny - pochwalił pracodawcę kapitan Warfield, gdy Grief przyszedł do kabiny, aby choć parę razy odetchnąć mniej zanieczyszczonym powietrzem.

- Ja? Kąpię się w benzynie - syknął przez zęby. - Żrę benzynę!

Nikt nie dowiedział się, do czego jeszcze służy Griefowi benzyna, bo w tej chwili wszyscy (nie wyłączając filtrowanej benzyny) padli na przednią grodzień, gdy "Malahini" dał głębokiego nurka.

Nie mogąc stanąć na nogach, taczali się przez kilka minut tam i z powrotem, obijali raz o jedną, raz o drugą ściankę. Szkunier, przywalany raz po raz trzema ogromnymi bałwanami, trzeszczał, skrzypiał, dygotał, uginał się pod ciężarem wody zalewającej pokład. Grief powlókł

się do maszynowni, a kapitan Warfield czekał sposobności, by trapek wydostać się na górę.

Wrócił dopiero za pół godziny.

- Szalupa poszła! - oznajmił. - Balustrada poszła. Wszystko poszło, prócz pokładu i nadbudówek. I my poszlibyśmy, żeby ten motor nie szedł. Dobra robota! Nie trzeba jej przerywać!

Około północy mechanik pozbył się z płuc i głowy gazów spalinowych, mógł więc zluźnić Griefa, ten zaś wyszedł na pokład, żeby z kolei doprowadzić do porządku własną głowę i płuca. Zbliżył się do reszty towarzyszy, którzy przycupnęli za nadbudówką kabiny, uczepli rękami co pewniejszej podpory, opasani podwójnymi linami. Tłok panował tam nie lada, bo miejsce to było jedynym schronem dla załogi. Niektórzy majtkowie przyjęli wprawdzie zaproszenie szypra i zeszli do kabiny, niebawem jednak dym wypędził ich stamtąd. "Malahini" zanurzał się często, fale zalewały pokład, a ludzie oddychali mieszaniną powietrza z bryzgami piany i wodą.

- Coraz fatalniejsza pogoda, Mulhall! - wrzasnął Grief do ucha gościowi pomiędzy jednym a drugim nurkiem.

Anglik krztusił się i dławił. Odpowiedział tylko skinieniem głowy. Luki odpływowe nie przepuszczały wody zebranej na pokładzie. Szkunier czerpał jej coraz więcej, raz jedną burtą, raz drugą; przelewał to w tę, to w inną stronę. Chwilami zadzierał dziób ku niebu, przysiadł

na sterze i całą powódź rzucał w kierunku rufy. Woda pokrywała wszystko, przeskakiwała nadbudówkę kabiny, zlewała przycupniętą pod jej osłoną załogę i spływała przez nadburcia.

Mulhall pierwszy zobaczył i pokazał Griefowi niespodziewanego gościa. W mdłym świetle lampy

kompasowej Narii Herring czołgał się, czepiał kurczowo pokładu. Był nagi. Miał na sobie tylko pas, za którym tkwił nóż bez pochwy, oparty o gołą skórę.

Kapitan Warfield odwiązał się od nadbudówki i ruszył z miejsca, depcząc sąsiadów. W blasku lampy ukazał twarz wykrzywioną gniewnym skurczem. Widać było, że coś mówi, lecz wichura porywa słowa. Szyper nie chciał jednak zbliżyć ust do ucha Herringa. Ruchem ręki wskazał za burzę. Narii zrozumiał. Pokazał białe zęby w złośliwym, ironicznym uśmiechu. Wyprostował się

- rosły, wspaniale zbudowany mężczyzna.

- To morderstwo! - ryknął Mulhall.

- On chciał zamordować starego Parlaya! - odkrzyknął Grief. Na chwilę woda spłynęła z rufy.

Szkuner stanął na równym kilu.

Narii chciał się popisać. Pewnym krokiem ruszył w stronę burty, upadł jednak pod naporem wiatru. Na czworakach zniknął w ciemności. Nikt nie wątpił, że stoczył się do wody. "Malahini" dał znowu nurka, a kiedy wyłonił się z topieli, Grief poszukał ucha Mulhalla.

- Nic mu nie będzie! To człowiekryba z Tahiti. Przepłynie lagunę i wyląduje na drugim końcu atolu, jeżeli jest tam jeszcze atol.

W pięć minut później nowa fala zatopiła szkuner i przelewając się przez nadbudówkę rzuciła płataninę ciał ludzkich na pokład "Malahini". Załoga chwyciła je i przytrzymała, dopóki woda nie opadła. Wówczas podniosła ciała pod lampę, żeby je rozpoznać. Stary Parlay leżał na deskach. Nie poruszał się, oczy miał zamknięte. Towarzyszyli mu dwaj kolorowi krewniacy.

Wszyscy byli nadzy, okrwawieni. Złamana ręka jednego z tubylców zwisała bezwładnie. Drugi krwawił obficie ze strasznej rany na ciemieniu.

- To robota Herringa? - zapytał Mulhall. Grief zaprzeczył.

- Nie. Rozbił się o nasz pokład albo jeszcze na lądzie o szczątki domu!

Coś zmieniło się nagle ku zdumieniu wszystkich. Potrzeba było dobrej chwili, aby uświadomić sobie, że nie ma wiatru. Ustał momentalnie, jak gdyby ucięty jednym zamachem miecza.

Szkuner szamotał się, podskakiwał, targał łańcuchy kotwiczne z chrzęstem, który po raz pierwszy dał się słyszeć. Po raz pierwszy też słychać było plusk wody przelewającej się po pokładzie. Mechanik wyłączył sprzęgło śruby, aby ulżyć motorowi.

- Jesteśmy w oku huraganu - powiedział Grief. - Teraz uwaga! Zaraz zacznie dąć jak nigdy.

Rzucił okiem na barometr.

- 29,32 - odczytał.

Po wielu godzinach przekrzykiwania wiatru nie zdołał stłumić głosu. Mówił tak donośnie, że wśród cisy słuchaczom huczało w uszach.

- Wszystkie żebra pogruchotane - oznajmił supercargo obmacując boki Parlaya. - Dycha jeszcze, ale niewiele mu brak.

Starzec jęknął, słabo poruszył ręką, odemknął powieki. Oczy zajaśniały mu błyskiem przytomności.

- Dzielni marynarze - wyjąkał szeptem. - Pamiętajcie... licytacja... o dziesiątej... w piekle!

Powieki przymknęły się, dolna szczęka zaczęła opadać. Ale Parlay stłumił przedśmiertne drgawki i na pożegnanie zdążył zachichotać po raz ostatni - głośno, wyraźnie, wzgardliwie.

Na niebie i morzu wybuchnęła znów orgia. Rozległ się dobrze znajomy ryk orkanu. "Malahini", uderzony w bok, prawie zupełnie legł na burzę. Szarpnął się, zatoczył łuk na trzymających mocno łańcuchach. Odwrócony pod wiatr stał przez chwilę na równym kilu. Mechanik włączył

sprzęgło, śruba zaczęła znowu pracować.

- Północnozachodni! - krzyknął kapitan Warfield, kiedy Grief wrócił na pokład. - Jak z bicia strzelił, wykręcił osiem rumbów.

- Narii za nic nie przepłynie teraz laguny - rzucił Grief.

- Ha, cóż! Przywieje go z powrotem do naszej burty. Tym gorzej.

Po oddaleniu się oka orkanu barometr zaczął iść w górę, a wichura przycichała równie szybko, lecz była jeszcze przeraźliwie. Raptem motor podskoczył, zsunął się z podstawy, szarpnął konwulsyjnie z mocą czterdziestu koni i po tym ostatnim wysiłku upadł na bok. Woda z zenzy syknęła głośno, buchnęły kłęby pary. Mechanik jęknął żałośnie, ale Grief objął czułym spojrzeniem uszkodzoną maszynę i wyszedł do kabiny, aby bawełnianymi pakułami oczyścić smary z piersi i ramion.

Zaszył ranę na głowie kolorowego krewniaka Parlaya. Drugiemu nastawił rękę. Kiedy wyrzwał na pokład, świeciło słońce i szemrał przyjemny, letni wietrzyk. "Malahini" stał spokojnie w pobliżu plaży. Na dziobie załoga pod okiem Hermanna wybierała i rozplątywała łańcuchy kotwiczne. "Papara" i "Tahaa" zniknęły. Kapitan Warfield badał przez lornetę przeciwległy kraniec atolu.

- Nie zostało z nich ani drzazgi - powiedział. - Oto do czego prowadzi brak motoru! Musiało je porwać, nim nastąpiła nagła zmiana wiatru.

Na lądzie, w miejscu gdzie stał dom Parlaya, nie pozostało ani śladu zabudowań. Pas długości trzystu jardów, przez który wdarło się pełne morze, był ogołocony z drzew, ba! nawet z pniaków. Dalej tu i ówdzie zachowały się samotne palmy, nierzadko złamane w połowie.

TaiHotauri zawołał, że na pewno rusza się coś w koronie jednego z kokosów. Na "Malahini" nie było łodzi, toteż załoga przyglądała się ciekawie, jak TaiHotauri płynie do brzegu i wspina się na drzewo.

Kiedy wrócił, wyciągnięto na pokład młodą brunatną dziewczynę, służącą Parlaya. Ale dziewczyna podała najprzód ratownikom zgnieciony koszyk. Był w nim miot ślepych kociąt.

Wszystkie nie żyły. Tylko jedno pomiaukiwało z cicha i niezdarnie ruszało łapkami.

- Oo! - zdziwił się Mulhall. - A któż to taki?

Jakiś mężczyzna szedł po plaży tak niedbałym krokiem, jak gdyby wybrał się na poranny spacer. Kapitan Warfield zgrzytnął zębami. Poznał Herringa.

- Dzień dobry, panie szyper! - zawołał Narii, kiedy zrównał się z "Malahini". - Można do pana na śniadanie?

Twarz i szyja kapitana Warfielda zaczęła pęcznieć, purpurowieć. Próbował coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w krtani.

- Ani krzty... ani krzty... - zdołał tylko wyjąkać.

Przełożył Tadeusz Jan Dehnel